

Bickmore Barbara

Na krańcu świata

Rok 1938. Kiedy cały świat szykuje się do wojny, doktor Cassandra Clarke wraca ze Stanów, gdzie studiowała medycynę, do swej rodzinnej Australii. Ryzykując życiem, by ratować życie innych, zмага się nie tylko z przeciwnościami przyrody i losu, lecz także z własnym sercem, rozdartym pomiędzy trzech mężczyzn...

Część I

Czerwiec 1938 - sierpień 1939

Rozdział pierwszy

Nigdy nie wierzyła, że miłość może być taka. Miała ochotę śpiewać i tańczyć.

Podczas lat spędzonych w Georgetown, w Waszyngtonie, gdzie jej ojciec był ambasadorem, obawiała się, że miłość mogłaby ją zwieść z wybranej drogi, więc nie dopuszczała tego uczucia do siebie.

Studiując medycynę pracowała tak ciężko, że nie miała czasu dla mężczyzn.

Potem wróciła do rodzinnego Melbourne i jako pierwsza kobieta lekarz rozpoczęła pracę w pogotowiu ratunkowym przy największym szpitalu w mieście. Od lat ją ostrzegano, że będzie miała trudności z założeniem własnego gabinetu, bo nawet kobiety wolą lekarza mężczyznę. Ta praca miała dać jej doświadczenie i uchronić przed trudami prywatnej praktyki w kraju, w którym nie była od dwudziestu lat.

Podejrzewała, że zaproponowano jej tę posadę dzięki doktorowi Normanowi Castorowi, ordynatorowi oddziału chirurgicznego. Doktor Castor, przyjaciel jej ojca z czasów wspólnych studiów, odwiedzał ich, kiedy ojciec był konsulem w San Francisco oraz ambasadorem w Londynie i w Waszyngtonie. Od dzieciństwa nazywała go wujkiem Normem.

Wiedziała, że jest z niej dumny. Dobrze sobie radziła

z przypadkami ciężkich urazów, w nagłych wypadkach nie traciła głowy, nie wahała się wezwać na pomoc chirurga lub specjalisty, kiedy miała jakieś wątpliwości. Odbierała porody w ambulansie, zszywała rany po pchnięciach nożem, a nawet wykonała cesarskie cięcie na pokrytej linoleum podłodze brudnego mieszkania na trzecim piętrze, u kobiety, którą postrzelono w brzuch. Raz w tygodniu, poza godzinami pracy, prowadziła zajęcia dla kobiet w ciąży i udzielała bezpłatnych porad w dziedzinie antykoncepcji.

W pogotowiu poznała doktora Raymonda Grahama. Potrzebny był jej neurochirurg do pacjenta z urazem. Musiała zatelefonować i obudzić doktora o czwartej trzydzieści nad ranem. Przyjechał do szpitala w pół godziny. Na powitanie zaledwie skinął jej głową i zbadał pacjenta. Potem oznajmił:

- Będzie pani musiała mi asystować. Proszę za mną. Jego umiejętności zrobiły na niej wrażenie. Kiedy skończyli szyć, po raz pierwszy się do niej uśmiechnął.

- Po tym, jak mnie pani obudziła w środku nocy, mogłaby mi pani przynajmniej postawić śniadanie. Siedzieli w szpitalnej restauracji w poplamionych krwią zielonych fartuchach i pili kawę za kawą. Oczarowały ją jego dykteryjki i przyjacielski sposób bycia. Graham wypytywał o jej sprawy. Zainteresował się, kiedy usłyszał, że dorastała głównie w Anglii i Ameryce.

Nazajutrz, wiedząc, że po ciężkiej nocy będzie spała w ciągu dnia, zadzwonił do niej późnym popołudniem.

- Które wieczory w tym tygodniu ma pani wolne?

- W środę i czwartek.

- Nie chcę tak długo czekać. Może jutro zjemy razem kolację?

Pierwszy raz od podjęcia pracy w szpitalu, czyli od niemal roku, ktoś zaprosił ją na kolację. Kilka kobiet, które poznała poza pracą, nie mogło zrozumieć, dlaczego woli być leka-

rzem, a nie żoną. Nieliczne znajome ze szpitala były pielęgniarkami i nie zwykły przyjaźnić się z lekarzem.

Cassie nagle zdała sobie sprawę, że jest samotna. Pogotowie często było sceną dramatycznych wydarzeń i zwykle po dyżurze wracała do domu zbyt zmęczona, żeby się martwić brakiem przyjaciół. Jeśli jednak nie pozna się przyjaciół w pracy, to gdzie indziej ich znaleźć?

Zjedli kolację w małej włoskiej restauracji, której nigdy przedtem nie zauważyła, chociaż przechodziła obok niej wiele razy. Przypominała jej restaurację u Mamy Leone w Georgetown. Było tu ciepło i przytulnie, mimo zacinającego na zewnątrz deszczu.

Między sałatą a kurczakiem cacciatore doktor Graham powiedział jej, że jest żonaty i ma dwoje dzieci, ale po ośmiu latach małżeństwa żyją z żoną w separacji. Ona wróciła do rodziców, do Toowoombi, i zamierzała wnieść sprawę o rozwód.

W pogodne jesienne wieczory spacerowali po plaży, obserwując małe pingwiny. Chodzili razem do kina i odwiedzali restauracje, w których serwowano potrawy wszystkich narodów, jakie można było spotkać w Melbourne. Pewnego wieczora doktor Graham nachylił się nad stolikiem i nakrył jej dłoń ręką.

- Zakochałem się w tobie - powiedział.

Po raz pierwszy od dziesięciu lat, odkąd wstąpiła na uniwersytety czuła się bezpiecznie z mężczyzną. Lubiła jego pocałunki i dotyk ręki na piersi. Wszystkie tłumione uczucia wypłynęły na powierzchnię, więc kiedy pewnej nocy rozpiął jej bluzkę, nie protestowała. Chciała czuć jego pocałunki na szyi, na piersiach, pragnęła, żeby jego nagie ciało zetknęło się z jej ciałem.

- Nie martw się - wyszeptał. - Dopilnuję, żebyś nie zaszła w ciążę.

Dała mu klucz do mieszkania, a on na nią czekał, kiedy wracała nad ranem z nocnego dyżuru. Zasypywał ją pocałunkami i wyznaniem miłości. Otwierała się przed nim, obejmowała go mocno, wciągała w siebie. Niemal o niczym innym nie potrafiła już myśleć. Praca stała się miejscem, gdzie spędzała czas, kiedy nie była z Rayem. Teraz rzadko jadali kolacje w restauracjach i wcale nie chodzili do kina. Zawsze łądownali w łóżku. Nauczyła się od niego zupełnie nowych rzeczy o miłości. Ray był cierpliwy, lecz wymagający. Nie pozwalał jej biernie leżeć, ale pokazywał, co mu sprawia przyjemność.

- Pocałuj mnie tam. Nie bój się. O Boże, tak, właśnie tak.

Odwracał ją na brzuch. Kochali się stojąc i leżąc. Wydawało się jej, że musieli to robić również do góry nogami, a może nawet unosząc się w powietrzu.

Powiedział jej, że ma najpiękniejsze piersi i najbardziej elektryzujące ciało, jakie kiedykolwiek widział. Czowała dumę z siebie samej. Zaczęła chodzić wyprostowana, częściej zerknęła do lustra i kupowała obcisłe suknie. Kąpała się w olejkach i zawsze skrapiała się perfumami za uszami i pod kolanami.

Nigdy jeszcze nie żyła taką pełni życia. Zakochała się. Dziko, szaleńczo, ekstatycznie. Obiecywał jej, że się pobiorą, kiedy tylko rozwód... No, właśnie.

W drugiej połowie czerwca, we wtorek, Ray wezwał Cassie do swojego gabinetu.

- Marta wróciła do domu - oznajmił. - Chce, żebyśmy jeszcze raz spróbowali. Wobec tego, obawiam się, że między nami wszystko skończone.

Siedziała i patrzyła na niego. Oczy Raya spoglądały lodowato. Nigdy ich jeszcze takich nie widziała.

- Ray?

Zacisnął mocno usta.

- Cassie, nie utrudniaj i tak niełatwej sytuacji.

- Nie utrudniać? - Łza spłynęła jej po policzku. W gardle czuła piekący ucisk. - Ray, ja cię kocham. - To na pewno jakiś koszmarny sen i zaraz się obudzi.

Zabębnił palcami po blacie biurka. Spojrzał na zegarek.

- Za piętnaście minut zaczynam operację.

- Tak po prostu się ze mną żegnasz? Patrzył na nią bez słowa.

Wybuchnęła płaczem. Podsunął jej pudełko chusteczek higienicznych.

- Nie wyglądasz teraz zbyt atrakcyjnie - powiedział zniecierpliwiony.

Cassie gwałtownie podniosła głowę.

- Tylko tyle? Naprawdę chcesz powiedzieć, że to już koniec? - zapytała łamiącym się głosem.

- Właśnie to chcę powiedzieć. Sądzę też, że lepiej będzie, jeśli znajdziesz sobie pracę w innym szpitalu. Oczywiście napiszę ci list polecający. Jesteś dobrą lekarką. Mam przyjaciół w szpitalach w Perth i w Charleville. Jeśli chcesz, porozmawiam z nimi. - Zdała sobie sprawę, że te dwa miasta leżą tak daleko od Melbourne, jak to tylko możliwe.

- Domyślam się, że w zaistniałej sytuacji niezręcznie byś się tu czuła.

- Ja bym się czuła niezręcznie? - Zastanawiała się, czy zauważył piskliwy zgrzyt w jej głosie.

Spuścił wzrok i usiadł głębiej w fotelu za piętrzącymi się na biurku papierami.

- Wydaje mi się, że byłoby to dla ciebie raczej krępujące...

- Umilkł i spojrzał jej prosto w oczy. - Cassie, nie chciałbym wyrzucać cię z pracy. To by było niesprawiedliwe. Dlaczego sama nie odejdziesz?

Nie mogła spać. Prawie nic nie jadła. Nękały ją zawroty

głowy. Często wychodziła na spacer i płakała krążąc ulicami. Raz poszła do kina, ale szlochała tak głośno, że musiała wyjść z sali. Kilka razy czytała tę samą stronę książki, nie rozumiejąc ani słowa. Siadała przy oknie, wpatrywała się w pustą przestrzeń i głośno, rozdzierająco jęczała.

W pracy zjawiała się przygnębiona i z zaczerwienionymi oczyma. Mogła myśleć tylko o doktorze Raymondzie Grahamie. Tak jak jej polecił, złożyła rezygnację.

Po dwóch tygodniach, wyraźnie szczuplejsza, została wezwana do biura doktora Castora. Siedział za wielkim tekowym biurkiem i chwilę spoglądał na nią, kiedy usadowiła się naprzeciw. Westchnął głęboko.

- Nie chciałbym przyjmować twojej rezygnacji.

- Już wystarczająco długo pracuję w pogotowiu - wymamrotała, nie patrząc na niego.

Wyprostował się i przyjrzał jej się uważnie.

- Co chcesz zrobić?

A co miałyby robić? Przeżyć kolejny dzień. Zapaść w sen. Wrócić do taty, do Waszyngtonu. Wspiąć się na szczyty Himalajów. Wstąpić do klasztoru.

- Chciałabyś uciec - stwierdził doktor Castor, kiedy Cassie nie odpowiadała.

Spojrzała na niego. Czyżby wiedział?

- Wszyscy wiedzą - odpowiedział na jej nie wypowiedziane pytanie.

Łzy zebrały się w kącikach jej powiek. Castor wstał, okrążył biurko i przysiadł na skraju blatu tuż przed Cassie. Wziął ją za rękę.

- Nie mogę tu zostać - wyszeptała. Słone krople spływały po policzkach. Zastanawiała się gorzko, czy kiedykolwiek przestanie płakać.

Castor podszedł do okna i z rękami złożonymi za sobą

spoglądał przez brudną szybę. Kiedy Cassie przestała szlochać, zapytał:

- Co wiesz o latających doktorach? Spojrzała na niego zaskoczona.

- To ci, którzy zajmują się pacjentami w głębi kontynentu? Castor skinął głową.

- Wszystko zaczęło się dziesięć lat temu, dzięki pastorowi Johnowi Flynnowi, najwspanialszemu człowiekowi, jakiego znam. Twierdzi on, że olbrzymie połacie interioru zostaną zasiedlone dopiero wtedy, kiedy kobiety zdecydują się tam zamieszkać. Zauważył, że na tej olbrzymiej przestrzeni żyje bardzo mało rodzin. Nie ma tam kobiet, dzieci ani ciepła. Nie ma miłości. Jego zdaniem, jedynym sposobem skłonienia kobiet do zamieszkania o setki, a nawet tysiące kilometrów od najbliższych sąsiadów jest zapewnienie im opieki medycznej i łączności ze światem. W dwudziestym ósmym roku jego marzenie zaczęło się urzeczywistniać; w Cloncurry założono pierwszą bazę latających doktorów. W najnowszym piśmie medycznym znalazłem ogłoszenie. Poszukują latającego doktora. Istnieje możliwość otworzenia piątej bazy, nie jestem pewien gdzie. To dobrze płatna praca, a pastor Flynn zatrudnia tylko najlepszych, ludzi którzy zechcą dzielić jego pasję i pomogą w rozwoju wielkich, nie zamieszkanym połaci naszego kontynentu. - Przerwał na chwilę. - Byłabyś tym zainteresowana? W tej chwili nic jej nie interesowało.

- Ta baza na pewno znajduje się gdzieś bardzo daleko, prawda?

Castor przytaknął i nie czekając podniósł słuchawkę. Podał telefonistce jakiś numer w Sydney.

- John? Cieszę się, że cię zastałem. Mówi Norm. Nie, nie jestem w Sydney. Dzwonię, żeby się dowiedzieć, czy już kogoś znaleźliście na to miejsce? - Słuchał przez chwilę.

- Poczekaj. Zanim podejmiesz decyzję, pozwól, że przyślę ci pewną osobę. Nie znajdziesz lepszego kandydata. Ani nawet równie dobrego. Ona... tak, to jest kobieta. Przez ostatni rok pracowała u nas w pogotowiu. - Umilkł. Najwyraźniej rozmówca mu przerwał. - Zaczekaj chwilę, John. Sposobem myślenia wyprzedzasz swoje czasy. Dlaczego nie dać szansy kobiecie? Przynajmniej z nią porozmawiaj, dobrze? To wspaniała dziewczyna, naprawdę pierwsza klasa.

- Mrugnął do Cassie. Przez chwilę słuchał głosu w słuchawce, a potem powiedział: - Jak ci się wydaje, co czują kobiety, kiedy leżą z uniesionymi do góry nogami i bada je jakiś mężczyzna? - Znów zapadła cisza. - No cóż, jeśli takie jest twoje zdanie. Słuchaj, John, mogę ją wsadzić do nocnego pociągu i rano będzie już w Sydney. Chcesz się z nią spotkać o dziesiątej? Kiedyś mi za to podziękujesz. Nazywa się Ciarke. Doktor Cassandra Ciarke. - Odłożył słuchawkę i szeroko uśmiechnął się do Cassie. - Więc jak?

Patrzyła na niego pustym wzrokiem. Wszystko działo się o wiele- za szybko. Dokąd zmierza jej życie? Nieważne gdzie, byle dalej od Raya Grahama.

- Nie musisz się zgadzać. Pastor też nie. Nie zachwyca go, że będzie miał w swoim zespole kobietę. Powiedział mi, że nigdy nie brał tego pod uwagę. Cassie, pokaż mu, co potrafisz. Zdobędziesz tam wszystkich szturmem.

Tam? To znaczy gdzie?

Rozdział drugi

Augusta Springs było zakurczonym miasteczkiem, położonym na rozległej równinie. Kiedy kursujący raz w tygodniu pociąg z sapaniem wtoczył się wolno na stację, Cassie po raz pierwszy od dwóch miesięcy odczuła jakąś emocję.

Strach.

Co ona tu robi, o tysiąc kilometrów od cywilizacji? Co wie o tym mieście? Znajdował się tutaj mały szpital, w którym pracowało dwóch miejscowych lekarzy. Było najdalej wysuniętą na północ stacją załadunku bydła, odsyłanego stąd na wielkie targi. W miasteczku, zamieszkanym przez mniej więcej tysiąc dwustu ludzi, działała sześcioklasowa szkoła.

Nie przypominało miejscowości, które widywała w życiu, nawet tych na amerykańskim zachodzie. Teren wokół był tak płaski, że wzrok biegł w nie kończącą się dal. Widok przesłaniały tylko drzewa gumowe, wyrastające z piaszczystej ziemi.

Pastor Flynn ostrzegł ją, że miejscowa ludność łatwo jej nie zaakceptuje. „Ale nie mają wyboru, więc muszą zgodzić się na kobietę”. Mała pociecha. Dowiedziała się też, że największym problemem aborygenów są choroby weneryczne. „A tubylcy z pewnością nie pozwolą się zbadać kobiecie”.

Dlaczego więc ją wybrał?

Dlaczego się zgodziła? Ponieważ w ten sposób mogła wyjechać jak najdalej od Raya Grahama. Ponieważ nie miała energii ani ochoty zastanawiać się nad innym wyjściem ani innym miejscem pracy.

Nawet nie podejrzewała, że człowiek może czuć się tak samotny. Cały następny rok spędzi w tej odległej osadzie i w powietrzu. Nigdy jeszcze nie leciała samolotem. Czy dostanie mdłości?

Powtarzała sobie, że nie boi się śmierci, ale czy wytrzyma mdłości?

Przywołała wszystkie siły i zdecydowanym ruchem wyprostowała sztywno plecy. Spojrzała przez okno wagonu na oślepiające słońce.

- Nie mam nic więcej do stracenia - powiedziała na głos. Była też pewna, że nic dobrego jej tu nie spotka.

Pilot Powietrznej Służby Medycznej, Sam Vernon, stał na peronie, ze źdźbłem trawy w ustach.

Zsunąwszy czapkę baseballową na tył głowy, przez ciemne okulary rozglądał się po stacji.

Wyglądał dość zadziornie: wysoki, opalony i chudy jak tyczka. Zauważyła, że podąża wzrokiem za wszystkimi młodymi kobietami: Była pewna, że w myślach rozbiera każdą z nich. Nie znaczyło to, że z pociągu wysiadło wiele kobiet. W ogólnie nie było tu zbyt wielu ludzi.

Cassie sięgnęła po podręczną torbę i podeszła do niego, odsuwając z czoła krótko przycięte, gęste kasztanowate włosy.

- Pan Vernon?

Podniósł gwałtownie głowę i wymamrotał:

- Słucham panią?

- Jestem Cassandra Clarke - oznajmiła stawiając torbę na ziemi. Wyciągnęła rękę.

Chwilę patrzył na nią, zanim ujął jej dłoń.

- Moje walizki są tam. - Wskazała na półkę z bagażami. Spojrzał na nie, potem znowu na nią i ruszył do wagonu.

- Tak, proszę pani.

Przyniósł walizki i wskazał głową na zakurzoną niebieską półciężarówkę.

- To mój samochód.

Doszli do niego w milczeniu. Sam wrzucił walizki na platformę i otworzył drzwi przed Cassie. Kiedy obchodził przód samochodu, siadał za kierownicą i wkładał kluczyk do stacyjki, uważnie go obserwowała.

Zawarczał silnik. Cassie wyjrzała przez okno.

- Więcej tu drzew, niż oczekiwałam. Myślałam, że to będzie pustynia.

- Dalej na południe tak jest. Będzie pani leczyła wielu poganiaczy bydła i czarnych...

- Czarnych? - Spojrzała na niego.

- Aborygenów. Nie chciałem nikogo obrazić - wyjaśnił pośpiesznie. - To po prostu łatwiejsze słowo.

W każdym razie, i tak żaden z nich nie pozwoli kobiecie patrzeć na swoje ciało, na jego intymne części.

Starła się zobaczyć jego oczy za ciemnymi szklami.

- Niełatwo panią tu zaakceptują - mówił dalej patrząc prosto przed siebie.

- Przyzwyczajają się. - Właściwie chciała powiedzieć: „Dziękuję za słowa otuchy”. Mijali domy, niektóre otoczone drzewami i wypielegnowanymi ogródkami, inne o zaśmieconych odpadkami podwórkach, po których włóczyły się kozy. - Jak pan myśli, co skłania ludzi, żeby tutaj przyjechać? - zapytała bardziej siebie niż swojego towarzysza.

- Pionierski duch. - Najwyraźniej nie wydało mu się to wyczerpującą odpowiedzią, bo dodał: -

Wolność. Indywidualizm. Żądza bogactwa. Potrzeba niezależności. Chęć ucieczki

od innych ludzi i ich zasad. - Wyszczерzył zęby w uśmiechu i spojrział na nią. - Niektórzy mężczyźni po prostu lepiej się czują, kiedy nie muszą się stroić.

- Nie muszą się stroić dla kobiet? - Spojrzeli sobie w oczy.

- Osobiście jestem zdania, że kobiety to największy dar od Boga dla ludzkości. - Miała przeczucie, że o niej tak nie myślał. - A dlaczego pani tutaj przyjechała? - zapytał.

- Sama nie wiem. - Tak naprawdę chciała wsiąść do powrotnego pociągu.

Sam wyskoczył z ciężarówki. Zdjął ciemne okulary i rzucił je na deskę rozdzielczą.

- Większość kobiet przyjeżdża tu, żeby znaleźć miłość. - Poprowadził ją ulicą do zajazdu Addiego i przytrzymał wahadłowe drzwi. Wzdłuż pierwszego piętra budynku biegł długi balkon. - Zamieszka pani z miejscową nauczycielką. Powiedziałem jej, że tutaj się spotkamy.

Powietrze było ciężkie od dymu i woni zwięzrałego piwa. Mężczyźni otaczali bar i tłoczyli się pod tablicą do gry w rzutki, na końcu długiej sali. Sam skręcił w prawo i podążył do sali restauracyjnej, gdzie stoły przykryto obrusami w czerwono-białą kratę. Tylko jeden ze stolików był wolny i Sam podszedł do niego. Odsunął krzesło dla Cassie.

- Jeszcze nie znam tu wielu ludzi - powiedział. - Jestem tu dopiero od tygodnia. Jeśli pani im nie przedstawiam, to tylko dlatego, że nie pamiętam ich imion.

- I tak nie będziemy pracowali z mieszkańcami miasta, prawda?

- Ale będziemy tu mieszkać - odparł.

Zjawiała się kelnerka o szczupłych biodrach i olbrzymim biuście. Kokieteryjnie uśmiechnęła się do Sama.

- Podać piwo? - zapytała.

Skinął głową, mrugnął do dziewczyny, a potem podniósł brew spoglądając na Cassie.

- Dla pani też piwo?

- Jasne, dlaczego nie?

- Jakie steki pani jada?

- Średnio wysmażone.

- Dobra - odezwała się kelnerka. - Wiem, że ty, Sam, lubisz takie, które prawie jeszcze się ruszają.

Podawała im piwo, nachylając się tak nisko nad Samem, że Cassie bała się, żeby biust dziewczyny nie wyskoczył z za dekoltu bluzki. Pilot uśmiechnął się z uznaniem.

Z grającej szafy grzmiała amerykańska muzyka. Cassie wlała sobie piwo do szklanki, a Sam pił prosto z butelki.

- Wiek również działa na pani niekorzyść. Wyprostowała się.

- Również?

Błądził wzrokiem po sali.

- Podoba mi się tutaj, u Addiego. I w Augusta Springs. Biuściasta kelnerka przyniosła im steki, frytki, fasolkę

z puszki, pomidory na liściu przywędłej sałaty i sos. Cassie spojrzała na talerz i podniosła wzrok na towarzysza.

- To jest najlepsze jedzenie w mieście?

Żując wielki kęs mięsa Sam radośnie kiwnął głową.

- Niech pani spróbuje. Niebo w gębie.

W tej samej chwili zobaczyli roześmianą, rudowłosą kobietę mniej więcej w ich wieku, która przeciskając się przez zatłoczoną salę zmierzała w ich kierunku. Zatrzymywała się niemal przy każdej grupie gości, ale Cassie domyśliła się, że jej celem jest ich stolik. Sam pomachał jej, a kiedy się zbliżyła, wstał. Nieznajoma odezwała się matowym głosem.

- Jestem Fiona Sullivan. - Wyciągnęła rękę. - Czy Sam ci powiedział, że będziesz u mnie mieszkała?

Sam usiadł i z apetytem zabrał się do steku, a kobiety przyglądały się sobie badawczo. Fiona przysunęła krzesło od sąsiedniego stołu i dosiadła się do nich.

- No, no. - W jej oczach migotało rozbawienie. - Wpadłam, żeby powiedzieć, że frontowe drzwi są otwarte i zaznaczyłam karteczkami drogę do twojej sypialni. Czuj się tam jak u siebie w domu.

Porozmawiamy rano. Wybieram się właśnie na przyjęcie. Wiesz, teraz mamy tydzień wyścigów.

- Nasza Fiona jest Miss Gościnności Augusta Springs

- wyjaśnił Sam. Zamówił kolejne piwo i odchylił się do tyłu razem z krzesłem.

Cassie odkroiła kawałek steku. Okazał się nadspodziewanie delikatny.

- Czy słusznie mi się wydaje, że w twoim głosie słychać irlandzki akcent?

Fiona upiła łyk kawy, którą postawiła przed nią kelnerka.

- Chociaż mieszkam tu już od pięciu lat, przed nikim nie udaje mi się go ukryć.

- W mieście mówią, że Fiona to najlepsza nauczycielka w tej części kraju - wtrącił Sam. - Może nawet w całej Australii.

Fiona nachyliła się nad stołem i przykryła jego rękę dłonią.

- To przesada, ale miło mi to słyszeć.

Dwóch młodych poganiaczy wpadło do sali i na widok Fiony ruszyło spiesznie do ich stolika.

- Dobrze, że jesteś, Fi - odezwał się jeden z nich. - Wysłali nas na poszukiwania. Bez ciebie przyjęcie nie może się zacząć.

Wzięli ją z dwóch stron pod ręce i podnieśli z krzesła.

- Już idę. Zostawcie mnie. - Pochyliła się do Cassie.

- Witaj w Augusta Springs. Bardzo się cieszę z twojego przyjazdu.

Serce Cassie zalała fala ciepła. Uśmiechnęła się po raz pierwszy, od kiedy Ray Graham oznajmił jej, że wraca do żony.

Fiona wyszła z dwoma mężczyznami. Sam podążył za nią wzrokiem.

- Jutro zawiozę panią do bazy - powiedział odsuwając krzesło. - Pozna pani Horriego. Porozmawiamy o tym, co będziemy robić i jak zorganizujemy pracę.

Wyjął z paczki papierosa, zerknął na Cassie i obrócił go między palcami. Tytoń posypał się na ogryzioną kostkę na talerzu. Spotkali się oczami i Cassie wyczuła niechęć pilota.

- Nie bardzo się panu podoba, że będzie pan pracował z kobietą, prawda?

- Nie mam zamiaru rezygnować ani nic w tym rodzaju. Spróbuję. - Jego głos brzmiał chłodno. - Byłem zaskoczony, kiedy się dowiedziałem, że przysyłają lekarkę. Jeszcze nigdy nie pracowałem z kobietą.

- Czy tak trudno to sobie wyobrazić? Uśmiechnął się nieśmiało, jak chłopiec.

- Przychodzi mi do głowy wiele ciekawszych rzeczy, które można robić w damskim towarzystwie. A tak przy okazji, jak mam się do pani zwracać? - Spojrzała na niego pytająco. Roześmiał się. - Może doktorku? Czy ktoś tak panią nazywał?

Potrząsnęła głową.

- Nie. Nigdy.

Wcale jej się to nie podobało.

- No, dobrze, doktorku. Zabiorę cię teraz do Fiony, żebyś mogła się rozgościć. To niedaleko stąd.

Zapłacę rachunek. Dzisiaj ja stawiam, doktorku.

Doktorku! Cassie zacisnęła zęby.

Rozdział trzeci

Fiona mieszkała w najładniejszym domu w mieście. Wzdłuż płotu, ogradzającego frontowy ogródek, rosły kolorowe lwie paszcze. Dom okalała weranda w typowym australijskim stylu. Fiona ozdobiła ją doniczkami z jaskrawymi nagietkami, cyniami i petuniami. Stojące tu wiklinowe jasnożółte meble wyłożono wygodnymi poduszkami, pokrytymi białym perkalem. Fiona twierdziła, że większość czasu spędza właśnie na werandzie.

- Muszę cię ostrzec - powiedziała opierając łokcie na stole. - Kiepska ze mnie kucharka. Nie lubię gotować, chociaż nie zaprzeczam, że uwielbiam jeść.

Cassie uśmiechnęła się.

- Gotowanie to jedyne gospodarskie zajęcie, które mi dobrze idzie.

Fiona wydała okrzyk radości.

- Jestem pewna, że będzie nam się razem świetnie mieszkalo.

Towarzystwo Fiony wprawiało Cassie w dobry nastrój.

Salon urządony był na biało, a jedyne plamy koloru stanowiły leżące na kanapie zielone i niebieskie poduszki. Zupełnie nie przypominała ona wyściełanych końskim wło-

siem kanap, które Cassie widywała w mieście, pokrytych szorstkim welurem i obciążonych na oparciach pokrowcami.

Na łóżku z balfochimem, stojącym w sypialni Cassie, leżała robiona szydełkiem narzuta.

- Wspaniała - wyszeptała Cassie, gładząc ją palcami.

- Czy to pamiątka rodzinna?

- Zrobiłam ją kilka lat temu - wyjaśniła współlokatorka.

- Leczyłam wtedy złamane serce i potrzebowałam czegoś, co zajęłoby mi czas i myśli.

Niemal całkowicie biały pokój mógłby wydawać się zbyt surowy, ale barwne poduszki i zawieszane nad łóżkiem impresjonistyczne obrazy w wesołych kolorach dodawały mu lekkości i przestronności.

Przeszklone drzwi wiodły prosto na boczną werandę.

- Bardzo mi się tu podoba.

Fiona miała na sobie jasnoniebieską rozpinaną z przodu sukienkę i sandały. Ogniście rude włosy sprawiały radosne wrażenie, tak samo jak ogród.

- Moja sypialnia znajduje się w przeciwnym końcu domu, więc nie będziemy wchodzić sobie w drogę.

- Jeśli gotowanie ma być moim zadaniem, to muszę uprzedzić, że nie wiem, czy będę w stanie co wieczór coś przyrządzić. Nie znam jeszcze swojego rozkładu zajęć.

- Nic nie szkodzi. - Fiona machnęła ręką. - Zawsze mogę coś zjeść u Addiego. Wydaje mi się, że twoja praca będzie bardzo ciekawa. Poprosimy Sally, naszą telefonistkę, żeby przerywała inne rozmowy, jeśli zadzwoni Horrie.

- Rozejrzała się po pokoju. - Jeśli chcesz, wstawimy tu biurko. Jest dość miejsca. Mogłybyśmy umieścić je pod oknem.

- To bardzo miło z twojej strony. - Cassie czuła, że w tej cieplej atmosferze rozkwita jak kwiat.

- Nie powiedziałabym tak: Robię to z czystego egoizmu. Pieniądze za wynajem bardzo mi się przydadzą, a poza tym chcę mieć dostęp do tych stert książek, które zamierzasz tu sprowadzić z Melbourne. Mam też przeczucie, że się polubimy. Przedstawię cię mieszkańcom miasta. Kiedy wrócę po południu ze szkoły, zabiorę cię do doktora Adamsa, dyrektora szpitala. Mam nadzieję, że pozwoli ci trzymać lekarstwa w swojej chłodziarce. Nikt inny tutaj nie ma lodówki. Musimy się zadowolić chłodnymi spizarniami. Oczywiście, doktor to straszny zrzęda i pewnie trudno ci się będzie z nim rozmawiało.

„Trudno” to było o wiele za łagodne słowo.

Doktor Christopher Adams stał wyprostowany jak oficer. Chociaż dopiero niedawno przekroczył czterdziestkę, skronie całkiem mu posiwiały, a równo przycięte wąsy miały kolor soli z pieprzem. W jego jasnyniebieskich oczach nie było wesołości ani ciepła.

Skinął głową Fionie i ruchem ręki dał znak obu kobietom, żeby usiadły na krzesłach przed jego starannie uporządkowanym biurkiem.

- Już słyszałem, że kierownictwo przysłało kobietę. - Wymówił słowo „kierownictwo” jakby Chodziło o wroga, a „kobieta” zabrzmiało w jego ustach pogardliwie.

- Zastanawiałam się, czy pozwoli mi pan trzymać część leków w swojej chłodziarce? - zapytała Cassie.

Adams nie odpowiedział, tylko zabębnił palcami po blacie.

- Rozmawiałem z pastorem Flynnem i Stevenem Thompsonem, przywódcą tutejszych hodowców.

Rozumie pani, że pani uprawnienia nie sięgają za próg tego szpitala, prawda? Nie ma pani tu żadnych medycznych przywilejów. Pacjentami, których tu pani przywiezie, zajmę się ja lub doktor

Edwards. Jeśli zaistnieje potrzeba, możemy wysłać ambulans na lotnisko. Po przekroczeniu drzwi szpitala pani pacjenci przechodzą po naszą opiekę.

- Tak, o ile wiem, tak właśnie działa Powietrzna Służba Medyczna. - Cassie starała się mówić spokojnie.

- Chciałem się tylko upewnić, czy zna pani podstawowe zasady.

- Jak rozumiem - ciągnęła Cassie wymuszonym, lekkim tonem - PSM nie lata do pacjentów, do których pan może dotrzeć, tylko do tych nie objętych obecnie opieką lekarską. Zgadza się?

Adams zawahał się chwilę, a potem przytaknął.

- Właśnie na tym polega praca PSM.

Cassie nachyliła się i oparła dłonie o biurko doktora.

- Zapewniam pana, doktorze Adams, że nie zamierzam podkradać panu pacjentów, jeśli to właśnie pana niepokoi.

Przez chwilę nic nie mówił, tylko spoglądał na nią nie mrugnawszy nawet powieką.

- Poproszę pielęgniarkę, żeby opróżniła jedną półkę na pani szczepionki. Mam nadzieję, że się rozumiemy.

- Podejrzewam, doktorze Adams, że upłynie wiele czasu, zanim się zrozumiemy. - Wstała i wyciągnęła rękę. - Tymczasem dziękuję za życzliwość i pomoc.

Adams nie ujął wyciągniętej dłoni, tylko zdjął okulary w drucianej oprawce i wytarł szkła o krawat. Potem odezwał się nie patrząc na Cassie.

- Wolałbym, żeby pani była pielęgniarką. Fiona wstała z miejsca.

- Dziękuję ci, Chris. Wiedziałam, że chętnie pomożesz. Cassie będzie ze mną mieszkać.

Doktor się nie pożegnał.

- Uroczy człowiek - stwierdziła Cassie.

- Może trochę brakuje mu ogłady w stosunkach z ludźmi

- przyznała Fiona. - Jednak to dobry lekarz, o wiele lepszy niż doktor Edwards. Poza tym, dużo szczeka, ale mało gryzie. - Otworzyła drzwi samochodu, a Cassie usiadła na miejscu obok kierowcy. - Po drodze kupimy coś do jedzenia. Umieram z głodu.

- Kolacja już gotowa. Zrobiłam potrawkę. Trzeba ją tylko odgrzać.

Fiona uruchomiła silnik.

- Kolacja już czeka? To cudownie!

- Dlaczego z niego taki, jak to określiłaś, straszny zrzęda?

- Kto to wie? Powiedziałabym, że tak na niego działają jego obecne kłopoty, gdyby nie to, że zawsze taki był. - Co to za kłopoty?

- Z żoną. - Fiona zaparkowała przed domem. - Izabela umiera. Przez długie lata pracowała z nim jako pielęgniarka.

- Mówiła dalej otwierając drzwi. - Przez dwadzieścia kilka lat małżeństwa ciągle byli razem, i w pracy, i w domu.

Wyjęła ze spiżarni piwo i zaproponowała je Cassie, która właśnie zapalała gaz, ale ta odmówiła ruchem głowy. - Jest też lekarzem szkolnym. - Fiona wytarła usta wierzchem dłoni. - Przy dzieciach pozbywa się tej surowej maski i staje się delikatnym, niemal ojcowskim człowiekiem.

- Dlaczego go bronisz?

Fiona wypiła łyk piwa z butelki.

- Chyba dlatego, że zawsze staję po stronie atakowanego. Sama wkrótce się o tym przekonasz.

Cassie skinęła głową.

- Od jak dawna choruje jego żona?

- Izabela od kilku miesięcy nie wstaje z łóżka. O, jaki wspaniały zapach.

Cassie kroїła warzywa na sałatkę. Współlokatorka wybiegła do ogrodu i ścięła troskę kwiatów, zrećcznie ułożyła je w wazonie i ustawiła na środku stołu.

- Dopiero w zeszłym miesiącu założyłam siatki na frontowej werandzie - oznajmiła. - W lecie strasznie dokuczają tu muchy.

Cassie przyniosła sałatkę.

- Jeśli zechce ci się przygotować kolację dla więcej niż dwóch osób, mogłybyśmy któregoś wieczora zaprosić tego twojego przystojnego pilota i inżyniera.

Cassie obawiała się, że po wspólnych lotach z Samem będzie miała dość jego towarzystwa.

- Czy pani Adams jest przez cały dzień sama?

- Och, nie. Przychodzą do niej dwie panie, żeby ją kapać i karmić.

- Może kiedy będę miała wolną chwilę, zajrzę tam i zapytam, czy nie zechce, żebym jej poczytała.

Fiona spojrzała na nią i uśmiechnęła się.

- Nie wiem, z czego jest ta potrawka, ale smakuje bosko.

- Przez chwilę żuła w milczeniu. - Więc chcesz dyplomatycznie podejść Chrisa?

- Nie mam w sobie nic z dyplomaty - odparła Cassie.

- Ludzie zarzucają mi, że jestem zbyt bezpośrednia.

- W ten sposób delikatnie dają ci do zrozumienia, że brakuje ci taktu? - roześmiała się Fiona.

- Właśnie.

- Czy to nie odstrasza mężczyzn?

Wydawało się, że oczy Cassie przesłonił jakiś ciemny welon.

- Mężczyźni mnie nie interesują.

Przez chwilę trwała cisza. Potem Fiona rozparła się wygodniej na krześle.

- Tutaj nie sposób uniknąć męskiego towarzystwa. W okolicy roi się od kawalerów. Większość z nich po prostu chce się zabawić, jednak co kilka miesięcy któryś mi się oświadcza, chociaż bez specjalnego zapachu. Ale... - Głos jej zamarł.

- Ale co?

- Jedyne mężczyzna, którego naprawdę pragnęłam, nie chciał mnie.

Cassie nie wiedziała, co powiedzieć. Czy jakkolwiek mężczyzna mógłby nie zechcieć Fiony?

- Jakoś to przebolełam - uspokoiła ją współlokatorka. - Zajęło mi to trochę czasu. Chciałabym mieć dzieci, ale skończyłam dopiero dwadzieścia sześć lat, więc mi się nie śpieszy. Tymczasem cieszę się takim życiem, jakie mam.

- Ja też - odparła Cassie. — Mimo Sama i doktora Adamsa, mam przeczucie, że czeka mnie wspaniała przygoda.

Przygoda zaczęła się nazajutrz z samego rana, kiedy pod dom zajechał ciężarówką Horrie.

- Kilkaset kilometrów na północ stąd jakiegoś poganiacza nadepnał koń - krzyknął.

Rozdział czwarty

Boisz się? - zapytał Sam, wsuwając się do kabiny obok Cassie.

Nie czekając na odpowiedź zaczął nastawiać pokrętła. Machnął do kogoś na zewnątrz i silnik zaczął warczeć.

Cassie chwyciła się kurczowo oparcie fotela, tak jak to robiła u dentysty, nawet zanim jeszcze rozpoczęło się borowanie. Torbę lekarską schowała pod siedzeniem.

Poczuła mrowienie w piersi i miała nadzieję, że nie wymiotuje. Samolot zaczął się toczyć po pasie.

Silnik ryczał ogłuszająco. Patrzyła na przedmioty za szybą, coraz szybciej uciekające w tył, i nie zdawała sobie sprawy, że wzbili się w powietrze, dopóki ziemia nie zaczęła się oddalać. Nie wierzyła, że już leci.

Miasteczko Augusta Springs, które w trzydziestym ósmym roku liczyło sobie już pół wieku, z góry nie wyglądało okazale. Liczne, ale niewysokie drzewa rosły wzdłuż przecinających się pod kątem prostym ulic. Oaza na pustyni. Cassie z łatwością odnalazła stację kolejową i szyny biegnące na południowy wschód. Tor wyścigowy. Kilkanaście budynków stanowiących centrum miasta. Dwa największe to zapewne szkoła i szpital. Żaden z nich z tej wysokości nie

wyglądał imponująco. Kiedy wznieśli się wyżej, widziała już tylko kępy drzew, z rzadka rozrzucone po bezkresnej czerwonej równinie.

Sam stopniowo wyrównał kurs i zwrócił się do Cassie, przekrzykując warkot silników.

- Wszystko tutaj tak wygląda. Całe kilometry pustkowia. Może nawet tysiące kilometrów. Tu przynajmniej są jakieś drzewa, nie tak jak na południu. Im dalej na północ, tym więcej drzew.

W jaki sposób te kruche skrzydła potrafią utrzymać maszynę w powietrzu? Kostki na dłoniach Cassie zbiały, tak kurczowo ścisnęła oparcie fotela.

- Pewnie od czasu do czasu będziemy gubić drogę -oznajmił Sam szczerząc zęby w uśmiechu. - Nie ma nawet dokładnych map samochodowych, którymi moglibyśmy sobie pomagać. Musimy zwracać uwagę na punkty orientacyjne: farmy, rzeki, wzniesienia terenu wyższe od innych, kępy drzew, wyschnięte koryta strumieni. Przyzwyczaimy się.

Dla niej wszystko wyglądało tak samo. Jak rozpoznać koryto strumienia, skoro nie ma w nim wody?

- Co będzie, jeśli naprawdę zgubimy drogę? Odwrócił głowę i spojrzał na nią. Z zadowoleniem spostrzegła, że oczy mu się śmieją.

- O to będziemy się martwić, kiedy się zgubimy. Dzisiaj nam się to nie zdarzy - pocieszył ją. - Spójrz na tę skrzynkę - skinął głową w kierunku przytwierdzonych do ścianki noszy. - Mam tam termos.

Należesz mi kawy do kubka? Wlewaj po trochu, żeby się nie rozlała. Jak masz ochotę, poczęstuj się. W tej małej puszcze jest mleko i trochę cukru, jeśli potrzebujesz.

Udało jej się napełnić dwa kubki bez rozlewania, mimo że samolotem co chwila ostro rzucało. Sam wyjaśnił, że to przez prądy powietrzne.

- O tej porze nie mamy się czym martwić. Anglicy i Amerykanie nie wierzą, że nigdy nie zdarza się nam oblodzenie skrzydeł i nie musimy się zmagać z takimi warunkami jak oni. Przez większą część roku panują tu niemal doskonałe warunki nawigacyjne. Z wyjątkiem trzech miesięcy w porze deszczowej. Wtedy będziemy mieli trochę rozrywki. Ale to dopiero w grudniu i styczniu. Oczywiście, jeśli nie spadną deszcze i nadejdzie susza, to czeka nas walka z burzami piaskowymi. Lecimy teraz na wysokości ponad półtora kilometra - wyjaśnił.

Zauważyła, że jego głos brzmi trochę chrypliwie. Było to miłe dla ucha. Sączyła kawę i przyglądała się pilotowi. Uznała, że jest nieco za chudy, ale ma miłą twarz. Opaloną. Domyśliła się, że i ona wkrótce zbrązowieje na słońcu. Zdecydowanie zarysowany podbródek. Kolor jego włosów określiłaby jako brudny blond. Stale nosił czapkę baseballową, nawet podczas lotu, tyle że zsuniętą na tył głowy. Ostry, prosty nos.

Nachyliła się do okna i zrozumiała, dlaczego ostrzegł ją, żeby nie latała samolotem bez ciemnych okularów. Słońce świeciło oślepiająco, zalewało blaskiem czerwoną równinę poniżej i wielkie, suche pęknięcia, które zdawały się wrzynać do samego wnętrza ziemi.

Lecieli wzdłuż ledwie widocznego wąskiego traktu. Co kilkanaście kilometrów widać było rozrzucone farmy hodowlane. Zastanawiała się, dlaczego ludzie decydują się osiedlać na takim pustkowiu.

Samolot podskoczył i Cassie przestraszyła się, że zwymiotuje.

- Tamte tereny, gdzie rosną kępy gumowców, w porze deszczowej zalewa woda - krzyknął do niej Sam. - Rozlewa się na całe kilometry. Płynie tymi pęknięciami w ziemi, tam obok drzew i po tym gładkim piachu, który teraz wygląda jak sucha rzeka.

Nie potrafiła sobie wyobrazić powodzi na tym terenie.

- Za kilka miesięcy - ciągnął Sam - przed deszczami, wielkie połacie ziemi popękają od suszy.

Cassie nie odrywała oczu od okna, obserwując monotonną, bezkresną równinę.

Sam zapisał coś w przytwierdzonym do paska spodni notatniku.

- To dziennik pilota - wyjaśnił. - Notuję tu charakterystyczne szczegóły krajobrazu, żeby następnym razem wiedzieć, gdzie jestem. Hej, spójrz w dół! Całe stado kangurów.

Wyjrzała przez okienko i zobaczyła setki skaczących zwierząt. Jak i gdzie znajdują wodę w takiej pustynnej okolicy?

Dwie godziny później, kiedy okrążali farmę hodowlaną, Cassie była bardziej rozluźniona, chociaż nadal mocno ścisnęła oparcia fotela. Na blaszanym dachu domostwa wymalowano olbrzymimi literami nazwisko właściciela, Wilkins.

- Staram się znaleźć pas ubitej ziemi albo jakieś płaskie miejsce, gdzie mógłbym wylądować - wyjaśnił Sam. Cassie zauważyła mężczyznę, który wybiegł z domu i wymachiwał rękami. - Dobra, lądujemy - powiedział pilot. - Trzymaj się.

Kiedy siadali na nierównym terenie, samolot drżał i podskakiwał na kamieniach. Zanim Sam wstał z fotela i otworzył drzwi, mężczyzna czekał już na nich przy samolocie.

Sam wyciągnął rękę i pomógł Cassie zejść po schodkach. Czowała, że nogi ma jak z waty.

- Mam Land Rovera. Możemy nim pojechać jakieś piętnaście kilometrów - odezwał się nieznajomy, nie czekając na instrukcje. - Potem trzeba będzie jechać konno. Samochód tamtędy nie przejedzie.

- Jak to daleko? - zapytała.

Mężczyzna zignorował ją i dalej mówił do Sama.

- Lepiej, żeby pielęgniarka została z moją żoną. To ciężka droga. Okolica nie dla kobiety.
- To jest pani doktor - oznajmił Sam. - Ja jestem pilotem. Mężczyzna spojrział na nią otwierając usta ze zdumienia.

Podrapał się za uchem.

- W takim razie, chodźmy - wymamrotał. - Poganiacz może w każdej chwili umrzeć. Jeśli wierzyć posłańcowi, koń przygniótł go już dwadzieścia cztery godziny temu. Inna rzecz, że tubylcy nie mają poczucia czasu, więc kto wie, jak jest naprawdę. Przewodnik czeka na was na następnej farmie.

Poprowadzi was. Okolica tu skalista i pełna rozpadlin.

- Dlaczego pędzili bydło po takim terenie? - zapytał Sam. Wbijał w ziemię metalowe kołki i przywiązywał do nich samolot.

- Za tymi kanionami rośnie najlepsza trawa pod słońcem. Przez ponad trzy kwadransy jechali po suchej, spękanej,

piaszczystej ziemi, zanim przebyli piętnaście kilometrów dzielące ich od następnej farmy, która okazała się niczym więcej jak zwykłą szopą. Jednak właśnie stąd nadzorowano wypasanie bydła na tysiącach akrów. Chudy, brudny poganiacz wyszedł z budynku i wskazał na tubylca, leżącego pod jednym z drzew.

- On was poprowadzi. - Obudził kopniakiem śpiącego aborygena i coś wymamrotał. - Dam wam dwa konie. Już czekają osiodłane.

- Umiesz jeździć konno? - zapytał Cassie Sam. Skinęła głową. Od kiedy pastor John Flynn zawiadomił ją, że dostała tę pracę, trzy razy w tygodniu brała lekcje jazdy, nigdy jednak nie wyjechała poza arenę ujeżdżalni lub miejski park.

- Jeśli wierzyć temu tutaj - poganiacz wskazał na czekającego tubylca - stało się to ponad trzydzieści kilometrów stąd.

- A on nie ma konia? - zapytała Cassie.

- To naganiacz. Doskonale biega.

- Ale przecież to ponad trzydzieści kilometrów.

- Ostatniej nocy tyle przebiegł - odparł mężczyzna, nawet na nią nie patrząc.

Łatwo przejechali pierwsze pięć czy sześć kilometrów przez krzewy mulga i piach. Na szczęście, nie było tutaj spinifeksu, którego ostre żdźbła raniły bydło i wprawiały poganiaczy w rozpacz. Kiedy wjechali w poprzecinaną wąwozami okolicę, na tle popołudniowego nieba zobaczyli ostre zarysy skał. Sam wręczył Cassie kanapkę.

- A nasz przewodnik? - zapytała.

Kiwnął głową, sięgnął do torby przy siodle, wyjął opakowane w pergamin zawiniątko i zawołał biegnącego rytmicznie człowieka. Tubylec zatrzymał się i odwrócił. Na widok ofiarowanego mu jedzenia podszedł do Sama i wyciągnął rękę. Podziękował uśmiechem. Kilka minut później znowu przystanął, wyrzucił do góry ramiona i dał im znać, żeby zsiadli z koni. Zboczył ze ścieżki, w odległości kilku metrów od niej przyklęknął i zaczerpnął wody z sączącego się po ziemi strumyka.

- Nigdy byśmy go nie zauważyli - powiedział Sam i podążył za tubylcem. Woda działała odświeżająco. Cassie poszła w jego ślady. Ochlapała twarz i włosy, zwilżyła szyję.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Nic mi nie jest. Daleko jeszcze?

- Nie wiem. Na ziemi nie potrafię ocenić odległości. Czeka nas jeszcze chyba parę godzin jazdy.

Aborygen znów ruszył przed siebie rytmicznym, miarowym krokiem. Pilot złożył dłonie, po których Cassie wspięła się na konia, a sam wskoczył na siodło wprost z ziemi. Była zadowolona, że pastor Flynn doradził jej kupno męskich spodni, chociaż taki strój na kobiecie szokował ludzi.

Zakupiła je w sklepie R. M. Williamsa, który sprzedawał koszule, bryczesy i buty dla pasterzy owiec i poganiaczy bydła. Cassie wybrała buty dla tych drugich. Miały szpiczaste czuby, wyższy obcas i były bardziej miękkie niż płaskie obuwie używane przez owczarzy. Pasterze owiec nosili kremowobiałe spodnie, ale Cassie kupiła dwie pary w kolorach charakterystycznych dla poganiaczy. Dzisiaj miała na sobie ciemnoszare bryczesy do konnej jazdy. Drugą, niebieską parę spodni zostawiła w domu. Żadna z koszul u Williamsa na nią nie pasowała, ponieważ miały zbyt szerokie ramiona. Włożyła jasnozieloną jedwabną bluzkę, która przylegała do ciała i podkreślała to, co Cassie starała się ukryć - kobiece kształty. Jasnoszary stetson o szerokim rondzie ocieniał twarz. Oczy ukryła za ciemnymi okularami. Ten świat bardzo różnił się od tego, który dotychczas znała. Przebiegł ją dreszcz emocji. W Georgetown nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że kiedyś będzie leciała ponad trzysta kilometrów, a potem jechała konno przez skaliste kaniony pod jaskrawobłękitnym niebem, żeby zająć się pacjentem. Kiedy dotarli do celu, Cassie oszacowała, że zostały jej jeszcze dwie godziny dziennego światła. Czowała też, że następnego dnia dadzą jej się we znaki odciski od siodła. W cieniu kępy wysokich drzew gumowych leżał człowiek, dla którego przebyli tak długą drogę. Otaczało go trzech kolegów. Konie poganiaczy pasły się nie opodal. Sam zeskoczył z konia i pomógł zsiąść Cassie. Leżący otworzył oczy i Cassie poznała, że ranny bardzo cierpi. Uklękła obok pacjenta i przemówiła łagodnym głosem.

- Gdzie boli?

Mężczyzna zwilżył spękane wargi językiem. Ledwo poruszając ustami wymamrotał coś niezrozumiałego.

- Brzuch? - zapytała. Słabo skinął głową.

- Obawiam się, że sprawię ci trochę więcej bólu. Muszę sprawdzić, czy coś nie jest złamane. - Rozpięła mu pasek.

- Czy to boli? - Nacisnęła brzuch pacjenta.

- Jezu Chryste! - zawołał i zacisnął zęby, a ręce Cassie wprawnie go zbadały.

Odwróciła się do Sama. Zdała sobie sprawę, że mężczyźni uważnie ją obserwują.

- Zdejmij mu spodnie i zsuń bieliznę - poleciła.

Sam przyklęknął, lewą ręką uniósł pośladki mężczyzny z ziemi i łatwo ściągnął mu spodnie z bioder.

- Wydaje mi się, że kość łonowa jest złamana. Podnieś go tak delikatnie jak tylko potrafisz, a ja do końca zdejmę mu spodnie. - Znow zwróciła się do pacjenta. - Czy byłeś w stanie oddawać mocz?

- Jezu! - mruknął jeden z poganiaczy.

- To boli jak cholera - wyszeptał pacjent łamiącym się głosem.

- Zobacz - powiedziała do Sama. - Na bieliźnie jest krew. Czy ból przychodzi falami? - zapytała pacjenta. - Czy staje się coraz silniejszy, a potem słabnie, ale nigdy całkiem nie odchodzi?

W odpowiedzi jęknął potakująco. Nie mógł się poruszać. Kiedy znowu go dotknęła, głośno krzyknął.

Wyjęła z torby stetoskop i zacisnęła na ramieniu chorego mankiet do pomiaru ciśnienia krwi.

- Tętno szybkie, sto pięćdziesiąt. - Moje chyba też, myślała jednocześnie. Czy będę musiała tu operować?

- Jednak ciśnienie w normie, sto czterdzieści na osiemdziesiąt. Gdzie dokładnie najbardziej boli? - Chyba już wiedziała, co się stało. Co ona tu poradzi, na tym pustkowiu?

Mężczyzna zacisnął zęby i lewą ręką wskazał na podbrzusze, napuchnięte i obolałe. Cassie więcej go nie dotykała.

- Genitalia wyglądają normalnie - powiedziała. Sam nie wiedział, czy mówi do niego czy do siebie. Poganiacze gapili się na nią szeroko rozwartymi oczami. - Moszna nie jest opuchnięta. Podbrzusze nabrzmiało, można więc podejrzewać złamanie miednicy. - Wskazała na opuchniętą część ciała chorego. - A ponieważ w moczu widać krew, zapewne nastąpiło pęknięcie pęcherza. - Co, do cholery, można zrobić w tej dziczy z pękniętym pęcherzem moczowym? Jednak musi coś zrobić, bo inaczej nastąpi zakażenie i być może śmiertelne zatrucie krwi. Nigdy jeszcze nie miała do czynienia z takim przypadkiem poza sterylną salą operacyjną. Zwróciła się do Sama: - Najpierw spróbuję założyć cewnik...

- O, Boże - jęknął jeden z obserwujących ją mężczyzn.

- ...żeby zmniejszyć nabrzmienie pęcherza - dokończyła. - Wsunęła rurkę w wiotki penis rannego, ale ukazała się tylko niewielka ilość uryny i krwi.

Spojrzała na Sama, który klęczał po drugiej stronie pacjenta i obserwował jej działania.

- Złamana miednica nie wymaga żadnej szczególnej ingerencji, sama się zrośnie, ale pęknięty pęcherz moczowy trzeba natychmiast operować. - Przysiadła na piętach.

- Chcesz tutaj przeprowadzić operację?

- Nie mam wyboru, a w dodatku za parę godzin się ściemni.

Słysząc było tylko brzęczenie much. Poczowała, że w żołądku formuje jej się supeł strachu. Wstała i zwróciła się do trzech mężczyzn.

- Panowie, proszę, żebyście rozpalili ognisko. Będzie mi potrzebny wrzątek. Pomożesz mi - oświadczyła Samowi.

Cofnął się.

- Jestem pilotem, nie pielęgniarką.

- Mam dla ciebie nowinę - powiedziała wyjmując jakiś pakiet z torby lekarskiej. - Teraz jesteś pilotem i anestezjologiem. Widzisz to? - Pokazała mu maskę ze zwiniętej gazy.

- Nie potrafię. - Głos Sama brzmiał ochryple.

- Oczywiście, że potrafisz - zapewniła go. - Wstrzyknę mu domięśniowo dziesięć miligramów morfiny, żeby go uspokoić. Kiedy zacznie zapadać w sen, weźmiesz maskę w jedną rękę, a tę buteleczkę w drugą i co trzy do pięciu minut wylejesz kroplę eteru na gazę. Dopilnuj, żeby to była tylko kropla, bo inaczej go zabijesz.

- Skąd będę wiedział, czy nie wylałem za dużo? Wyjęła z torby strzykawkę i fiolkę, z której nabrała igłą

dziesięć miligramów morfiny. Potrząsnęła strzykawką i odrobina przejrzystego płynu wytrysnęła w górę. Cassie znów uklękła obok pacjenta. Lewą ręką wyjęła z pakietu wacik, odkręciła buteleczkę ze spirytusem i zmoczyła tampon. Następnie potarła nim ramię pacjenta i wbiła w nie igłę. Jeden ze stojących pod drzewem mężczyzn jęknął, a Sam głęboko wciągnął powietrze.

Kiedy pacjent zapadał w sen, Cassie rozglądała się za miejscem, gdzie mogłaby postawić sterylne pakiet z narzędziami.

- Muszę to zrobić, bo inaczej umrze, zanim przetransportujemy go do samolotu - wyjaśniła.

- Co to jest? - zapytał jeden z poganiaczy.

- To pakiet z wysterylizowanymi narzędziami chirurgicznymi - odparła, wkładając gumowe rękawiczki. W pakiecie znajdowała się również nowokaina, skalpel, gaza, nici chirurgiczne i igła.

Ułożyła pakiet na wysterylizowanych ręcznikach.

- Od teraz kropla co trzy do pięciu minut - poinstruowała Sama.

- Skąd mam wiedzieć, co ile minut podawać eter?
- Jeśli będzie niespokojny, co trzy minuty. Jeśli będzie spał, co pięć. I pamiętaj, jedna kropla.
Zmoczona spirytusem wata oczyściła podbrzusze i posmarowała je jodyną. Wzięła głęboki oddech, wybrała ostry skalpel i wykonała pięciocentymetrowe pionowe nacięcie tuż nad kością łonową. Rozszerzyła je lewym kciukiem i palcem wskazującym. Adrenalina zaczęła krążyć w jej żyłach, jak zawsze, kiedy zaczynała operację.
- Muszę się przedostać przez kilka warstw. - Cassie uznała za oczywiste, że Sam interesuje się przebiegiem operacji. Wiedziała, że jeśli będzie głośno mówić, jej napięte nerwy nieco się rozluźnią. - Ta druga, śliska warstwa to tłuszcz, potem naczynia, z których wydobywa się tyle krwi, a potem ta gruba, jakby chrząstkowata powłoka.
Rozległ się ostry, suchy trzask, którego oczekiwała. Krew trysnęła na wszystkie strony. Sam podskoczył.
- Tak powinno być - uspokoiła go. - Teraz przetną grubą warstwę mięśni, o tu, prosto przez mięśnie odbytu.
Jeden z mężczyzn wydał z siebie zduszone stęknienie, odbiegł od drzewa i z wymiotował na piach.
- Moim celem jest umożliwienie wypłynięcia moczu z pęcherza i usunięcie krwi wymieszanej z moczem, która zebrała się poza pęcherzem, w jamie brzusznej. Muszę całkiem opróżnić pęcherz. Kiedy tylko przetnę warstwę mięśni, właśnie tu, o... - Wytrysnął strumień uryny zmieszanej z krwią. Wokół rozniosła się odrażająca woń. - Widzę mały fragment pęcherza, ale nie mogę dostrzec pęknięcia. - Wkładając gumowy cewnik do pęcherza, tłumaczyła dalej: - To ma przyspieszyć wypływanie płynów. - Ręce Cassie poruszały się zręcznie, kiedy wsuwała dwie gumowe rurki obok pęcherza. Miały one ułatwić usunięcie moczu i krwi,

które wydobyły się do jamy brzusznej. Jedną ręką założyła szew, który miał przytrzymać gumowy cewnik w odpowiednim miejscu. Potem zajęła się wnętrzem pęcherza. Dwoma szwami zamknęła warstwę mięśni i następnymi dwoma zszyła skórę. Zakończenia wszystkich rurek wystawały na zewnątrz przez dolną część pięciocentymetrowego nacięcia w podbrzuszu. Wszystko poszło gładko.

- Teraz pozostało mi tylko zszycie pacjenta. - Węzeł strachu w żołądku rozluźnił się.

Sam nie spuszczał oczu z jej palców.

- Dobrze, nie podawaj już eteru.

Zdała sobie sprawę, że jej ciało opuszcza napięcie, i wydała długie westchnienie ulgi. Sztywność w karku zaczęła ustępować. Uśmiechnęła się do Sama.

- Świetnie się spisałeś. Dziękuję.

Rzucił maskę z gazy na sterylne ręczniki i odstawił na ziemię buteleczkę z eterem. Patrzył na Cassie przez minutę, potem wstał i odszedł w kierunku koni, które krążyły niedaleko.

Cassie odwróciła się do kolegów pacjenta. Zobaczyła, że pozostał tylko jeden.

- Możecie zrobić jakieś nosze, żebyśmy mogli odwieźć go do samolotu? - zapytała.

Żałowała, że nie ma coli albo kawy, którą Sam woził w termosie.

Wstała, przeciągnęła się i zaplotła ramiona na piersiach. Spojrzała na poszarpane smugi czerwonego światła, przecinające mroczniejsze niebo.

Rozdział piąty

Po posiłku w towarzystwie poganiaczy, złożonym z fasoli i placków, usłyszeli, że ciszę pustkowiec przerwały ostre krzyki tysięcy szaroróżowych kakadu, które pojawiły się na ciemniejącym niebie.

- Lecą do jakiegoś pobliskiego wodopoju - wyjaśnił Sam.

Wokół zebrało się więcej ptaków, niż Cassie kiedykolwiek widziała. Siadały na gałęziach gumowców, tak że drzewa nabierały niezmiernego wyglądu. Zięby i papużki faliste zajęły wyższe gałęzie i przekrzykiwały kakadu.

Niedaleko znajdowały się koryta z wodą dla bydła. Ptaki nurkowały w powietrzu nad głowami zwierząt i piły razem z nimi. Skąd wzięło się to stado bydła?

Krzyki tysięcy ptaków nie dawały rozmawiać aż do zmierzchu, kiedy niebo zmieniło się z jasnoniebieskiego w fiołkowe. Potem przybrało kolor zaschniętej krwi, żeby wreszcie zalać się biskupim fioletem.

Cassie siedziała obok pacjenta, a Sam i trzech poganiaczy stało obok, rozmawiając i paląc papierosy. Nagle zapadła głęboka, śmiertelna cisza. Cassie zobaczyła, że Sam zdeptał niedopałek i ruszył w jej stronę. W powietrzu czuło się podniecenie, chociaż nie rozległ się żaden dźwięk.

Kiedy zapadły całkowite ciemności, widać było tylko trzy światełka zarzających się papierosów.

W chwili kiedy Sam podszedł do niej, powietrze zadrżało od porykiwania tysięcy sztuk bydła.

- Chodź. - Pilot dotknął jej ramienia, podał dłoń i postawił na nogi. - Chcesz zobaczyć coś, czego nigdy nie zapomnisz?

Chwycił ją za rękę, żeby nie potknęła się w ciemnościach, i poprowadził w aksamitną ciemność nocy.

Kiedy oczy przyzwyczyły się do mroku, zobaczyła jakieś poruszające się w ciemnościach sylwetki, ludzi na koniach, którzy spędzali bydło w ciasny krąg, nakazując mu położyć się na ziemi.

- To aborygeńscy pasterze - powiedział szeptem Sam, puszczać jej dłoń.

Kapelusze z szerokimi rondami odcinały się na tle rozgwieżdżonego, tropikalnego nieba. Widziała, jak bydło podrzucając łbami drepcze w ciasnym kole, wokół którego krążył tuzin pasterzy na koniach.

Sam zatrzymał się i oboje obserwowali poruszające się wokół kształty.

Z początku cicho, pasterze zaczęli śpiewać.

- Nazywają to zaklinaniem bydła śpiewem - wyjaśnił Sam. - Dzięki temu zwierzęta wiedzą, że wokół są ludzie i czują się bezpiecznie. Gdyby choć jedna sztuka wpadła w popłoch, w kilka minut całe stado rzuciłoby się do galopu i nikt nie potrafiłby go powstrzymać. Jednak kiedy je zaklinają, bydło jest spokojne i niczego się nie boi.

Głosy pasterzy były wysokie. Cassie nigdy jeszcze nie słyszała takiego śpiewu. Tło dla tych dźwięków stanowiło pełne zadowolenia porykiwanie bydła. Ten sam rytm powtarzał się, w coraz niższym tonie, a po nim rozlegał się jakiś nieziemski dźwięk, głębokie pulsowanie, które niosło się w powietrzu hen, daleko.

Cassie poczuła, że ciarki przebiegają jej wzdłuż kręgosłupa. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie przeżyła.

Powoli wstawał księżyc, a pasterze krążyli wokół, zaganiając bydło. Dzikie, prymitywne rytmy wypełniały noc.

Patrzyli na to chyba przez godzinę.

- Lepiej chodźmy spać, bo inaczej jutro będziemy do niczego - odezwał się w końcu Sam.

Cassie położyła się obok pacjenta. Sam ułożył się w pobliżu. Leżał na plecach, z rękami pod głową i czapką nasuniętą na twarz. Natychmiast zasnął. Cassie patrzyła na gwiazdy i myślała, że dzisiaj spotkała ją prawdziwa przygoda. Każdą minutę przyżyła w całej pełni. Każdą sekundę. A już myślała, że nigdy nie doświadczy żadnych uczuć. Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że nadchodzący rok może być ciekawy. Być może wyjazd z Melbourne to najlepsza rzecz, jaka mogła się jej przydarzyć. Wujek Norm wiedział, co robi, kiedy ją tu wysłał. Chyba uda jej się zapomnieć o Rayu. Może to prawda, że czas leczy wszystkie rany. Przez całą noc nieustannie się budziła, żeby nie uronić ani chwili z cudownego spektaklu pod gwiazdami. Nad ranem mocno zasnęła.

Kiedy się obudziła, okolica była pusta. Tysiące bydła, pasterze w kapeluszach, konie, ptaki - wszystko zniknęło. Została tylko płaska, porośnięta trawą równina, już rozgrzana od palącego słońca. Pusta. Cicha.

- Ona ocaliła mi życie, prawda? - odezwał się pacjent głosem silniejszym niż poprzedniego dnia.

Cassie spojrzała na niego i spostrzegła, że stoi przy nich Sam. Nie widziała jego oczu, ukrytych za ciemnymi szklami.

- Chyba właśnie to zrobiła. Ocaliła ci życie - odparł.

- Ty mi pomogłeś - powiedziała Cassie wstając. Ciało miała zeszywniałe po nocy spędzonej na twardej ziemi.

Usta Sama rozciągnęły się w uśmiechu.

- No, tak. My oboje ocaliliśmy ci życie.

Sam wydał się jej dziwnym człowiekiem. Wyraźnie widziała, że podczas operacji jego irytacja zmieniła się w niechętny szacunek dla niej. Nie ukrywał, że denerwuje go perspektywa pracy z kobietą lekarzem. Kiedy trzy dni temu poznali się na stacji w Augusta Springs, dał jej to jasno do zrozumienia. Pastor Flynn jej powiedział: „W głębi kontynentu można spotkać dwie grupy ludzi - poszukiwaczy przygód i tych, którzy od czegoś uciekają”. Zastanawiała się, do której grupy należy Sam.

Nie wiedziała też, do której grupy może teraz zaliczyć siebie.

W Augusta Springs czekał na nich ambulans, obok którego stał doktor Adams. Lekarz ubrany był w długi, biały fartuch, koszulę, starannie wyprasowane spodnie i eleganckie półbuty - nie tak jak Cassie, która miała na sobie buty na lekko podwyższonych obcasach, jakie zwykle nosili poganiacze bydła. Czarne włosy Adamsa były równo ostrzyżone i starannie uczesane, a okulary dodawały mu profesjonalnego wyglądu. Stał wyprostowany, z pewnym siebie, spokojnym, ale nie przyjacielskim wyrazem twarzy.

Otworzył tylne drzwi ambulansu, kiedy samolot kołował po pasie i wjeżdżał do hangaru. Sam wyłączył silniki i chwilę zaczekał, zanim wyszedł z kabiny. Otworzył drzwi i rozłożył schodki. W bramie hangaru pojawił się Adams.

- Macie tu pilny przypadek? - zapytał krótko i chłodno.

- Nie - odparła Cassie. Wyszła z samolotu i podeszła do lekarza. - Wczoraj przeprowadziłam operację. Teraz pacjent potrzebuje tylko opieki szpitalnej.

- Co to było?

- Pęknięty pęcherz moczowy - wyjaśniła. - Proszę mi pomóc wynieść te nosze.

Sam i doktor Adams spojrzeli na nią jednocześnie.

- Oczywiście - powiedział Sam, delikatnie odsunął ją na bok i chwycił jeden koniec noszy. - Pan gotowy, doktorze?

- zapytał.

Adams chwycił za drugi koniec i obaj przenieśli pacjenta do ambulansu.

Cassie wzięła swoją torbę lekarską i również zamierzała wsiąść do karetki. Doktor stanowczym gestem położył jej rękę na ramieniu.

- Gdzie się pani wybiera?

- Chcę jechać z pacjentem - odpowiedziała patrząc mu prosto w oczy.

- To już nie jest pani pacjent. Zapomniała pani?

- Ale ja go wczoraj operowałam.

- Mamy w szpitalu doskonale pielęgniarki. Może panią zaskoczę, ale też zdarzało mi się operować pęknięty pęcherz, więc wiem, co robić. Kiedy pacjent znajdzie się w Augusta Springs, nie podlega już opiece Powietrznej Służby Medycznej. Zna pani zasady. Przynajmniej tak mi pani powiedziała.

- Z trzaskiem zamknął drzwi i ruszył na przód samochodu. Usadowił się obok kierowcy. - W porządku, Ed. Jedziemy.

Ambulans odjechał, a Cassie długo jeszcze patrzyła jego śladem. Sam usłyszał jej westchnienie.

- Cóż, wiedziałaś, że pacjenci należą do ciebie, tylko jeśli znajdują się w odległości ponad osiemdziesięciu kilometrów od Augusta Springs.

- Tak. - Cassie skinęła głową. - Ale Adams nie musiał zachować się jak ostatni palant.

Sam przyjrzał się jej uważnie. Nie tylko ubierała się jak mężczyzna, ale i mówiła jak mężczyzna.

- Chodźmy na piwo.

Kiedy szli do samochodu, odezwał się z uśmiechem:

- To była prawdziwa przygoda, co? Niezły początek nowej pracy.

Cassie wsiadła do samochodu, zdjęła kapelusz i postawiła torbę lekarską na fotelu oddzielającym ją od kierowcy.

- Muszę przyznać, że zaczęło się wspaniale.

Mimo to, cały czas była zdenerwowana zachowaniem doktora Adamsa. W drodze do Addiego odezwała się:

- Już przedtem wiedziałam, że nie mogę zajmować się pacjentami w promieniu osiemdziesięciu kilometrów od miasta, ale myślałam, że...

Sam położył jej dłoń na ramieniu.

- Przyzwyczaisz się - powiedział. - Adams pewnie jest trochę zdenerwowany. Stanowimy dla niego zagrożenie. Leczymy pacjentów za darmo. Latamy tam, gdzie spotka ich nieszczęście, choćby to było nie wiem jak daleko. Przejdziemy do legendy, doktoru. Czuję to przez skórę. A on się boi, że przy nas źle wypadnie.

Cassie spojrzała na pilota. Może nie będzie miała w nim wroga.

- Wczoraj postawiłeś mi kolację. Dzisiaj ja zapraszam cię na piwo.

Roześmiał się.

- Będę się musiał przyzwyczaić do wielu rzeczy. Jeszcze nigdy dama nie stawiała mi drinka.

- Oboje musimy się przyzwyczaić do wielu nowych rzeczy.

Ku swojemu zaskoczeniu, Cassie stwierdziła, że nie ma nic przeciw temu.

Rozdział szósty

Następnego ranka Sam jechał na śniadanie do Addiego. Przed sobą spostrzegł starą, poobijaną ciężarówkę, mknącą na złamanie karku w kierunku stacji. Nigdy przedtem nie widział ani tego samochodu, ani młodego człowieka za jego kierownicą. Chłopak zatrzymał się z piskiem opon, wyskoczył z samochodu i pognął do pociągu, który już gwizdał na znak odjazdu. Młodzieniec wbiegł po stopniach do wagonu. Zanim jeszcze Sam pojechał dalej, z okna jednego z przedziałów wypadły dwie walizki, a młody kierowca wyskoczył na peron, wlokąc za sobą za kołnierz jakiegoś innego chłopaka.

Sam uśmiechnął się. Bójka o dziewczynę? Skłócenie bracia? Jadąc dalej spostrzegł, że obaj młodzi mężczyźni schylają się po walizki. Jeden wygładził ubranie. We wstecznym lusterku Sam zobaczył odjeżdżający pociąg i tych dwóch nieznajomych, jak szli peronem do samochodu.

Trzy kwadranse później niemal zapomniał o tym incydencie. Siedział przy barze u Addiego i pił trzecią filiżankę kawy. Nagle poczuł czyjąś rękę na plecach.

- Pracujesz dla latających doktorów? - zapytał jakiś głos. Sam odwrócił się i zobaczył pokrytego pyłem młodzieńca, który prowadził starą półciężarówkę. - Jestem Conway

Sellars - przedstawił się chłopak. - Potrzeba nam lekarza na farmie taty, w Kimundrze.

- Co się stało? - zapytał Sam.

- Moja siostra będzie rodziła dziecko. Musimy szybko sprowadzić doktora. - A więc to tak.

Wyciągnięty z pociągu chłopak z pewnością uciekał przed nie chcianym ojcostwem. - Ojciec polecił mi przywieźć lekarza i przy okazji wstąpić po pastora McLeoda. Jest na farmie Dexheimerów. To po drodze do Kimundry. - Wyjął z kieszeni mapę. - Ojciec kazał powiedzieć, że zaraz obok domu jest kawałek płaskiego terenu, nadającego się do lądowania. Jego też musimy zabrać. - Wskazał głową na młodego człowieka, którego wyciągnął z pociągu.

Dobrze. On, Cassie, pastor i tych dwóch chłopców. Samolot uniesie tyle osób, jeśli nie będzie ciężkiego bagażu ani butli tlenowej.

- Kiedy ma się urodzić dziecko? - zapytał Sam schodząc z wysokiego barowego stołka.

- To może być w każdej chwili.

- W takim razie chodźmy po lekarza. - Rzucił banknot na kontuar i pomachał kelnerce za barem.

Jechał do Cassie prowadząc za sobą dwóch młodzieńców w starej półciężarówce i śmiał się pod nosem. Co to będzie, kiedy oficjalnie rozpoczną działalność, skoro teraz codziennie przytrafia im się coś nowego?

Cassie podeszła do siatkowych drzwi. Wciąż jeszcze była ubrana w poranny szlafrok, miała potargane włosy i zaspane oczy.

- A, to ty, Sam - wymamrotała, otulając się ciasniej szlafrokiem. - Która godzina? Spałam jak zabita.

- Nie mamy czasu - przerwał jej. - Poród już się zaczął i potrzeba lekarza, a czeka nas jeszcze parę godzin lotu.

Cassie była gotowa w piętnaście minut. Sam tymczasem

zaparzył kawę. Wlał czarny, mocny, gorący płyn do termosu, który zawsze trzymał w pogotowiu w swoim samochodzie. Kiedy wybiegła z domu z torbą lekarską i ciemnymi okularami, siedział już za kierownicą.

- Bez kapelusza? - Uniósł brew.

Rzuciła torbę na siedzenie, wbiegła do domu i po chwili wróciła.

- Kim są ci dwaj młodzi ludzie w ciężarówce za nami?

- Jeden przyjechał dziś rano prosto z farmy na południu. Wpadł jak burza do miasta i wyciągnął tego drugiego z pociągu tuż przed odjazdem. Obaj znaleźli mnie w zajeździe. Ten kierowca powiedział, że jego siostra rodzi. Wydaje mi się, że ten drugi ucieka przed ślubem pod lufą strzelby. A może tylko przed strzelbą. Ojciec dziewczyny chce, żebyśmy po drodze zabrali padre McLeoda.

- Pastor Flynn wspominał o ojcu McLeodzie. Udziela ślubów, a czasami tego samego dnia chrzci dzieci nowożeńców. - Zerknęła na niego spod oka.

- Cóż, większość farm odwiedza raz na półtora roku albo raz na dwa lata. To wielkie terytorium. - Przeciągle wymówił słowo „wielkie”. - Czasami to jedyna istota ludzka, jaką oglądają mieszkańcy najodleglejszych farm. Odprawia pogrzeby, czasami nawet w rok po śmierci człowieka. Mówią, że nieraz po odprawieniu mszy zakasuje rękawy i pomaga reperować ciężarówkę albo zepsuty wiatrak. Nie słyszałem, żeby ktoś niechętnie go u siebie witał. Zawsze na pierwszym miejscu stawia sprawy ludzkie. Z tego co wiem, to niezwykły, wspaniały człowiek. Ojciec dziewczyny pewnie chce od razu urządzić chrzciny i ślub.

Zanim pojechali na lotnisko, zatrzymali się w bazie. Sam wyskoczył z samochodu.

- Zaczekaj tutaj. Powiem Horriemu, gdzie lecimy. Wrócił po kilku minutach.

- Horrie tylko się śmiał. Mówi, że czy tego chcemy, czy nie, nasza służba już się zaczęła. Młodzi ludzie z podziwem patrzyli na samolot, obchodzili go wkoło i przyglądali się każdemu szczegółowi.

Kiedy Sam rozmawiał z Pete'em, Cassie podeszła do chłopców.

- Powiedzcie mi coś o tej przyszłej mamie.

- To moja siostra - odparł Con. Nie odrywał jasnoniebieskich oczu od samolotu. Wskazał na swojego towarzysza, wyraźnie o wiele bardziej zainteresowanego samolotem niż przyszłym ojcostwem. - On niedługo zostanie moim szwagrem.

- Czy bóle już się zaczęły?

- Nie, proszę pani. - Potrząsnął głową. - Przynajmniej jeszcze nie wczoraj, kiedy wyjeżdżałem z farmy.

Sam i Pete wytaczali samolot z hangaru.

- Wsiadajcie - polecił Sam wysuwając schodki. - Będę potrzebował pomocy. Musimy zamocować dwa dodatkowe fotele. Samolot jest przewidziany dla czterech pasażerów i tyłu właśnie dzisiaj będzie. No, chłopaki, do roboty.

Piękno tego poranka warte było pędzla malarza. Niebo przybrało kobaltowoniebieski kolor. Kiedy samolot nabrał wysokości, Sam zobaczył czerwoną równinę, upstrzoną ciemnozielonymi plamami drzew rozrzuconych z rzadka po okolicy. Westchnął głęboko. Jak dobrze żyć.

- Dzisiaj będziemy podziwiać inny krajobraz - zawołał do Cassie. - Lecimy na południe, do kraju owiec. Nie będzie tam tyle drzew. Owcom potrzeba mniej roślinności niż bydłu - wyjaśniał, uznając za oczywiste, że miejska dziewczyna nie ma pojęcia o takich rzeczach.

Zobaczył, że Cassie wygląda przez okno i zapisuje coś w notesie. Uśmiechnął się. Ona również notowała charakterystyczne szczegóły terenu. Powodzenia, doktorku.

Odwrócił się i kątem oka zerknął na pasażerów. Con i jego przyszły szwagier spoglądali przez okno. Sam współczuł młodemu człowiekowi. Niezły los cię spotkał - stwierdził w duchu. To nie było sprawiedliwe. Ożeni się z dziewczyną, z którą być może spędził tylko jeden beztroski wieczór. Będzie musiał spędzić resztę życia z niemal obcą osobą, tylko dlatego, że jego plemnik przypadkiem zetknął się tej nocy z jej komórką jajową. Dzieciak powinien być ostrożniejszy. W tej głuszy pewnie nie mógł nigdzie kupić prezerwatyw. A przecież trudno okiełznać ludzką naturę. Sam pomyślał, że chyba dzięki szczęściu jemu samemu nie przytrafiła się taka wpadka. Przykład chłopaka skłaniał do namysłu. Trzeba być czujnym. Jak dobry harcerz.

Tymczasem skupił wzrok na cienkiej linii, która wciąż zdawała się znikać z oczu. To chyba droga do farmy Dexheimerów. Trzeba jeszcze minąć zarośla wzdłuż wyschniętego koryta rzeki, która tutaj tworzy zakole, a potem jeszcze z pięć kilometrów.

Okolica była tak płaska, że mógł wylądować gdziekolwiek. Usiadł na pasie między krzewami. Ledwie zatrzymał samolot, z pobliskiego domu otoczonego płotem dla ochrony przed naganianym przez wiatr piaskiem wybiegli kobieta i mężczyzna. Kobieta wycierała ręce w ubrudzony mąką fartuch, który okrywał wypłowiałą podomkę. Mężczyzna był szeroki w ramionach, średniego wzrostu. Miał na sobie białą koszulę z podwiniętymi rękawami i miejskie półbuty, a nie wyższe buty pasterskie, jakie tu wszyscy nosili. Sam domyślił się, że to ojciec McLeod. Nie mylił się. McLeod chętnie zgodził się lecieć z nimi do Kimundry, jeśli tylko odwiozą go tutaj z powrotem, żeby mógł zabrać swoją ciężarówkę. Poprosił, żeby chwilę za-

czekali, a sam pobiegł po kapelusz i kilka niezbędnych *rzeczy*, wśród nich po sutannę, która mu będzie potrzebna do odprawienia ślubu i chrztu.

Brazowe oczy połyskiwały wesoło, kiedy wsiadał do samolotu.

- Nigdy się nie spodziewałem, że taki ptak sfrunie z nieba specjalnie po mnie. - Usadowił się obok Cassie. - Kobieta lekarz? Coś takiego! - Te słowa w jego ustach wcale nie brzmiały obraźliwie.

Sam słyszał tylko urywki ich rozmowy. Startował, kierując samolot pod wiatr.

- Mów mi Don - zaproponował pastor McLeod. - Wszyscy tak się do mnie zwracają. Tu nie obowiązują żadne formalności. Właśnie dlatego tak mi się tutaj podoba. Wszystko jest proste. To prawda, pomyślał Sam. Obserwował okolicę. Jediną drogą jaką dostrzegł był trakt, zapewne wyżłobiony w piachu jeszcze przez żelazne koła wozów ciągnionych przez woły. Wokół przez całe kilometry ciągnęły się smagane wiatrem piaszczyste wydmy. Tu i ówdzie widać było zabudowania gospodarstw, otoczone chyba milionem owiec.

Spojrzał przed siebie, na horyzont. Zdawało się, że lecą w sam środek słońca. Pomyślał, że nie widział wspanialszego widoku. Kiedy był dzieckiem i spoglądał na samolot srebrzyście połyskujący na niebie, wydawał mu się on uosobieniem wolności. Zrzucić pęta ziemi, samotnie wznieść się ponad cywilizowany świat, uciec od pozorów, obowiązków i odpowiedzialności. Rzeczywistość wyglądała trochę inaczej. Właśnie teraz był odpowiedzialny za życie czterech osób, znajdujących się na pokładzie jego samolotu. Miał też obowiązek wobec matki i mającego się wkrótce urodzić dziecka. Spojrzał na kompas i kiwnął głową. Za pół godziny

powinni być na miejscu. Usiadł wygodniej w fotelu i próbował pochwycić strzępy toczącej się za jego plecami rozmowy.

Przed południem wylądowali na płaskim gruncie obok domostwa. Con powiedział mu, że jego ojciec chce zbudować pas do lądowania, tak żeby latający doktorzy mogli tu przylatywać, jeśli zaistnieje potrzeba. W domu nie było jeszcze radiostacji, ale rodzina miała nadzieję, że ją kupią, kiedy następnym razem ktoś z nich pojedzie do miasta, albo przywiezie im ją padre McLeod przy okazji następnej wizyty. Nowo przybyłych powitało przy bramie troje dzieci. Rozszerzonymi oczami spoglądały na samolot, który nagle znalazł się niemal na ich podwórzu. Za nimi pojawił się wysoki mężczyzna. Kiedy Sam otworzył drzwi, szybkim krokiem podszedł do samolotu.

Zajrzał do środka i zwrócił się do duchownego.

- Cieszę się, że cię widzę, Don.

Na dłużej zatrzymał wzrok na młodym chłopaku, którego imienia Sam jeszcze nie poznał. Cassie chwyciła torbę.

- Jestem lekarzem. Czy zdążyłam na czas?

Wysoki mężczyzna zmrużył oczy i chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił.

- Jest z nią teraz moja żona. Dziewczyna bardzo cierpi. Cassie pobiegła do domu, nie czekając na innych. Con

i pastor zeszli po schodkach. Za nimi podążył Sam.

- No, wysiadaj - polecił mężczyzna chłopakowi, który nadal siedział w samolocie kurczowo ściskając poręcz fotela. - To twoje dziecko właśnie się rodzi.

Sam bał się, że chłopak zaraz wybuchnie płaczem. McLeod i Con poszli przodem. Nagle rozległ się krzyk i zanim

dobiegli do werandy, usłyszeli cichy płacz dziecka, który wywołał uśmiech na twarzy Dona.

- Owczarni naszego Pana przybyła następna owieczka

- powiedział.

Cassie nie miała czasu nawet umyć rąk ani otworzyć torby lekarskiej.

Wysoki mężczyzna, zamieniwszy kilka słów z McLeodem, zwrócił się do Cona.

- Zapytaj, czy ktoś chce kawy albo herbaty.

- Poproszę kawę. - Sam skinął głową. - Pani doktor też się chyba napije. Ty pewnie też, co? - zapytał świeżo upieczonego ojca.

Chłopak z wdzięcznością kiwnął głową. Sam miał ochotę objąć go ramieniem, ale się powstrzymał.

Młody człowiek nie odezwał się jeszcze ani słowem.

Kobieta, nieco po czterdziestce, pojawiła się w drzwiach do sypialni. W zmęczonych oczach błyszczały iskierki śmiechu.

- To chłopiec - oznajmiła. Spojrzała na milczącego młodzieńca. - Masz syna. Jeśli chcesz, możesz tam za chwilę wejść i go zobaczyć.

Chłopak potrząsnął głową i wbił wzrok w podłogę.

- Jak się masz, Maude? - powitał kobietę ojciec McLeod.

- A czy ja mogę tam wejść?

- Jasne. Ale zaczekaj, aż lekarka skończy robić co trzeba i zmienimy prześcieradła - odparła Maude. - Willie by sobie tego życzyła.

- Jak ona się czuje? - zapytał pan Sellars.

- Zmęczona. Ale nic jej nie będzie. Lekarka się nią teraz zajmuje i bada dziecko.

Kobieta poszła do kuchni.

- Don, chcę, żeby ślub odbył się za dziesięć minut

- odezwał się Sellars. - Willie może składać przysięgę na leżaco. Potem ochrzczisz dziecko. Słyszysz mnie, chłopcze?

Młodzieniec skinął głową. Patrzył wokoło nieszczęśliwym wzrokiem.

- Tak, proszę pana.

- Lepiej się umyj i przebierz w porządne ubranie. Zemsz się z moją córką - oznajmił.

Chłopak pociągnął Sama za rękaw.

- Zostaniesz moim świadkiem?

- Jak się nazywasz? - uśmiechnął się pilot.

- Tyler. Tyler Edison.

- No pewnie, Tyler. To dla mnie zaszczyt. Jasne, że będę twoim świadkiem. Pierwszy raz mi się to zdarza. - Uścisnął dłoń młodemu człowiekowi.

Podniósł wzrok i w drzwiach zobaczył Cassie, która trzymała w ramionach noworodka, bardziej przypominającego wiewiórkę niż istotę ludzką. Cassie wyglądała łagodnie, tak jak powinna wyglądać kobieta. Przez chwilę Samowi się wydawało, że serce zamiera mu w piersi. Ale tylko przez chwilę.

Pomyślał, że lepiej będzie, jeśli on również się umyje i doprowadzi do porządku. Przecież został świadkiem pana młodego.

Rozdział siódmy

W wieku dwudziestu sześciu lat Fiona zdała sobie sprawę, że grozi jej los starej panny nauczycielki. Jednocześnie czuła, że właśnie teraz żyje tak szczęśliwie, jak nigdy dotychczas.

Pięć lat temu, zaraz po przyjeździe w te strony, była gotowa założyć rodzinę. Zakochała się tak mocno i szaleńczo, że nie potrafiła rozsądnie myśleć. Zaślepiła ją namiętność, jakiej nigdy przedtem nie doświadczyła, i wiedziała, że już nigdy czegoś takiego nie przeżyje.

Oczywiście, że nadal chciała wyjść za mąż. Pragnęła mieć dzieci, rodzinę, ale wiedziała, że mąż będzie tylko jej towarzyszem, dzielącym wspólny los. Nie poczuje do niego tej zniewalającej namiętności, która pochłania całą duszę.

Za pierwszym razem zerwał z niej ubranie. Uwielbiała dotyk jego skóry; drżała, kiedy kładł ręce na jej ciele i muskał językiem piersi. Podniecało ją jego pożądanie, rozsuwała szeroko nogi, a on lekko chwycił zębami miękkie, delikatne ciało po wewnętrznej stronie ud. Sutki jej nabrzmiwały, kiedy dotykał językiem brzucha i wodził palcami między udami, otwierając ją szeroko.

- Boże, jaka ty jesteś piękna - szeptał.

Po dwóch miesiącach nie było takiego zakamarka jej ciała czy umysłu, którego by nie tknął i na który nie umiałby podzielać tak, żeby dać jej ogromną rozkosz.

Nagle po prostu przestał ją odwiedzać. Kiedy go przypadkiem spotykała, zdawkowo, po przyjacielsku witał ją skinieniem głowy. Czuła w sercu ból i okropną pustkę.

Gorączkowo rzuciła się we wszystkie działania społeczne, jakie podejmowano w miasteczku.

Przysięgła sobie, że odtąd będzie się angażowała jedynie w sprawy swoich uczniów. Cierpienie z czasem zelżało, chociaż wciąż jeszcze w każdej chwili oczekiwała, że on się znów pojawi. Zrywała się na równe nogi na dźwięk kroków na ganku, a serce przestawało jej bić, kiedy zadzwonił telefon. Po mniej więcej roku nie czuła już bolesnego skurczu myśląc o jego dotyku, głosie, spojrzeniu. Obiecała sobie, że już żadnemu mężczyźnie nie pozwoli sobą zawładnąć.

Tak więc nie otwierała serca przed jednym, ale przed każdym, kto przewinał się przez jej życie.

Wkrótce zapanował tam wielki tłok. Od czterech lat ani razu samotnie nie jadła kolacji.

Potem, ze swojej farmy, oddalonej o niemal pięćset kilometrów, zadzwonił Steven Thompson i powiedział jej, że wraz z innymi właścicielami wielkich farm poprosił pastora Flynną, założyciela Powietrznej Służby Medycznej, o przysłanie lekarza do tej rozległej okolicy. Lekarz miał zamieszkać w Augusta Springs, a Flynn podjął przedziwną decyzję - przyjął na tę posadę kobietę. Jako przedstawiciel farmerów tej części kraju, Steven zgodził się na tę propozycję i teraz trzeba znaleźć mieszkanie dla pani doktor. Chociaż sam nigdy osobiście nie poznał Fiony, kilku farmerów poddało mu myśl, że ponieważ Fiona mieszka sama, to mogłaby wynająć pokój lekarce. Jej towarzystwo pomogłoby nowo przybyłej w trudnych początkach.

Fiona nie wahała się ani chwili.

- Jeśli nic z tego nie wyjdzie, w dyplomatyczny sposób przeniesiemy ją gdzie indziej - zapewnił Steven. Fionie podobał się jego głos. - Kiedy praca się rozkręci, wraz z żoną będziemy przyjeżdżać do miasta na comiesięczne spotkania rady PSM. Nie mogę się doczekać, kiedy panią poznam. Słyszałem o pani same dobre rzeczy.

- Kilka razy spotkałam pana syna na przyjęciach i tańcach. Steven się roześmiał.

- Tak jak każda inna ładna dziewczyna w promieniu ośmiuset kilometrów.

No, tak. Jego syn miał opinię kobieciarza.

Teraz Fiona była bardzo zadowolona, że zgodziła się na współlokatorkę. Od czasów młodości, spędzonej w Irlandii, nie miała bliskiej przyjaciółki, której mogłaby się zwierzyć, z którą mogłaby się pośmiać, takiej, która... nadawałaby na tej samej fali co ona. A Cassie okazała się świetnym materiałem na przyjaciółkę.

Zapakowały jedzenie do koszyka i chłodnym wieczorem poszły na piknik nad strumień. Usiadły na piaszczystym brzegu pod wielkim eukaliptusem, którego węzlaste konary kołysały się na lekkim wietrze.

- Czasami w porze deszczowej ten strumień zmienia się w rwącą rzekę - powiedziała Fiona.

- Trudno mi w to uwierzyć.

- Sama zobaczysz.

Wyjęły z koszyka sałatkę ziemniaczaną, jajka, kurczaka na zimno, oliwki, pikle, butelki coli i zaczęły opowiadać sobie historie swojego życia.

Zdziwiły się, że łączy je tak wiele wspólnych poglądów i upodobań.

- Kiedy tu przyjechałam, z początku najbardziej brakowało mi zieleni. Ale szybko doszłam do wniosku, że wolę mieć każdego dnia piękną pogodę. To chyba kwestia wyboru.
- Fiona zerwała źdźbło trawy i z uśmiechem przesunęła nim po policzku. - Albo zieleń w dole, a szarość w górze, albo błękit w górze i złoto na dole.
- Złoto? - roześmiała się Cassie. - Chyba raczej brąz.
- To zależy, czy kochasz ten kraj, czy nie. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym mieszkać gdzie indziej. Rodzina pytała mnie w listach, co ja tu robię, w tym małym miasteczku na końcu świata. A ja wiem tylko tyle, że nie mam ani chwili wolnej. Nigdy się nie nudzę. Oni nie rozumieją, dlaczego wyjechałam tak daleko.
- A dlaczego to zrobiłaś?
- Och, chyba chciałam sprawdzić, czy się odważę. Chciałam poznać obcy kraj. Nie lubię dużych miast ani Irlandii. Sama nie wiem. Tam jest tak ciasno. Nie przeczę, że ludzie są tam tak samo przyjaźni jak tutaj. Ale Irlandia jest tak zaściankowa, zamknięta w sobie. Nie wierzyłam, że czeka mnie tam jakakolwiek przyszłość. Przygniatało mnie szare niebo i kamienne mury. A tutaj...
- Zakreśliła ramieniem szeroki łuk. - Nie wiążą mnie żadne tradycje. Wszystko jest takie nowe i ciekawe. W każdym domu serdecznie mnie witają. Kiedyś pewnie zapragnę wyjechać na wieś, chociaż chyba nie tak się to tu nazywa.
- Może któregoś dnia polecisz z nami, kiedy dostaniemy wezwanie w sobotę albo niedzielę. Fionie rozbłysły oczy.
- Bardzo bym chciała. Nigdy jeszcze nie leciałam samolotem, a marzę o tym od dziecka. Chyba lubię wszystko co nowe i inne.
- I trochę niebezpieczne? - wtrąciła Cassie.

- Trafiałaś w samo sedno. - Podciągnęła kolana pod brodę i objęła je ramionami. Spojrzała na Cassie. -
A ty?

- Przez dwadzieścia lat - zaczęła Cassie - widywałam rodzinny kraj tylko przez trzy tygodnie w lecie,
kiedy przyjeżdżałyśmy z matką odwiedzić dziadków.

Jej ojciec rozpoczął pracę w dyplomacji jako urzędnik od spraw personalnych i szybko piął się w górę.
Pierwszy raz wysłano go za granicę do San Francisco. Cassie miała wtedy sześć lat i tam zaczęła
chodzić do szkoły. Inne dzieci wyśmiewały jej australijski akcent. „Myśleliśmy, że w Australii mówi
się po angielsku” - drwiły. Ciężko pracowała, żeby mówić jak rodowita Amerykanka. Rodzicom
bardzo się podobało w San Francisco. Ojciec był tam konsulem. Ona tęskniła za Sydney, za
należącym do dziadków wielkim wiktoriańskim domem z czerwonym dachem i widokiem na port, za
dziećmi, które mówiły ze swojskim akcentem i bawiły się w znane jej gry. Sześć lat później, kiedy już
całkiem się zamerykanizowała, kiedy znała czterdzieści osiem stanów lepiej niż jej koleżanki z klasy i
z większą łatwością używała amerykańskiego slangu niż australijskiego, który niemal zapomniała,
właśnie wtedy ojca przeniesiono do Londynu.

Tutaj używano jeszcze innej odmiany angielskiego. Szare niebo i chłodne wilgotne zimy przygnębiały
Cassie. Nawet matka narzekała, że w tym nieprzyjaznym klimacie bez centralnego ogrzewania
„przemarza do samej kości”. Znając Australijczyków i Amerykanów, Cassie stwierdziła, że
Brytyjczycy są strasznie sztywni i oficjalni. Szanowali tradycję, podczas gdy tamte dwie nacje
buntowały się przeciw wszelkiej władzy. W Londynie nigdy nie czuła się jak w domu i nienawidziła
szkoły z internatem. Rodziców widywała tylko podczas weekendów.

Kiedy się skarżyła, matka gładziła ją po głowie i mówiła:

„Tutaj obowiązuje inny system szkolny. Nie ma naprawdę dobrych dziennych szkół. Tylko szkoły z internatami się liczą. Wiesz przecież, że twój ojciec, wychowany w głębi kraju, też się w takiej uczył. Nie było innego wyjścia. Kochanie, jedyne dobre szkoły w Anglii to szkoły z internatem. Większość dzieci nie wraca do domu nawet na weekendy.”

Cassie o tym wiedziała. Ale wiedziała też, że nawet kiedy przyjeżdżała do domu, jej rodzice zawsze wieczorem wychodzą. W weekendowe wieczory dyplomaci zwykle spełniają obowiązki towarzyskie. Zawsze ta czy inna ambasada wydawała przyjęcie. Ważni ludzie zapraszali rodziców na kolację. Jednak niedziele były zarezerwowane dla rodziny, chyba że ojciec musiał pomagać w rozwiązywaniu jakiegoś nagłego kryzysu. We troje jeździli na przejażdżki, zwiedzając okolice Londynu. W drodze powrotnej wstępowali do wiejskiego pubu. Za każdym razem ojciec mówił: „W ten sposób poznamy prawdziwych ludzi”.

Nie znosiła steków i nerek zapiekanych w cieście, które uwielbiał jej ojciec, ale bardzo lubiła jego towarzystwo. Był dowcipny, inteligentny i uroczy. Matka odznaczała się urodą. Zwykle trzymała się w cieniu. Cassie nigdy nie słyszała, żeby jej rodzice się kłócili. Nigdy też nie słyszała, żeby matka przeciwstawiła się ojcu, czasami tylko wyrzucała mu, że zbyt ciężko pracuje. Cassie często się zastanawiała, w jaki sposób matce udaje się powstrzymać słowa sprzeciwu. Czyżby w żadnej sprawie nie miała własnego zdania? Śmiała się z dowcipów ojca, nawet jeśli wysłuchiwała ich setny raz. Najpiękniejsze chwile młodości spędziła na pokładzie statku i w domu dziadków. Kochała lato. Uwielbiała podróżować wraz z matką. Najpierw jeździły do Sydney z San Francisco, a potem z Londynu, przez Kanał Sueski i Ocean Indyjski. Kilka razy statek przybił do portu w Bombaju

i Kalkucie, a Cassie z matką wędrowały po ulicach tych miast, chociaż powiedziano im, że to niebezpieczne. Jadały w eleganckich restauracjach hotelowych, a matka kupiła materiał na sari, które potem, w Londynie, wkładała na oficjalne przyjęcia.

Latem jej matka stawała się inną osobą - częściej się śmiała i wyglądała młodziej. Namawiała córkę, żeby pomyślała o wyborze zawodu.

- Nie pozwól, żeby mężczyzna przysłonił ci cały świat - powiedziała.

- Nie jesteś szczęśliwa?

Matka spojrzała na nią szybko nieprzeniknionym wzrokiem.

- Oczywiście, że jestem szczęśliwa. Ale ty należysz do nowego pokolenia. Możesz żyć własnym życiem, a nie tylko życiem męża i dzieci.

W wieku czternastu lat Cassie nie wiedziała, o co matce chodzi.

Kiedy miała szesnaście lat, matka zachorowała na raka. Cassie patrzyła, jak z dnia na dzień stan jej zdrowia się pogarsza. Przepiętne bólem oczy wypalały ranę w sercu dziewczyny. Nic nie można było zrobić oprócz tylko częściowego łagodzenia bólu. Jedynym ratunkiem pozostała morfina.

Pewnego dnia matka wzięła Cassie za rękę i powiedziała słabym głosem:

- Najbardziej żałuję, że muszę cię opuścić. Nie zobaczę, jak odnosisz sukces. Nie będę mogła się nim cieszyć. Nie będzie mnie... Och, Cassie, nie będę mogła ci pomóc. - Wybuchnęła płaczem.

- Wiesz co, mamó? Zostanę lekarzem. Postaram się, żeby ludzie nie musieli cierpieć tak jak ty. Będę im pomagać.

Oczy matki rozbłyły.

- Lekarzem? Moja córka lekarzem? Och, dlaczego nie? Możesz być, kim zechcesz. Jakie to cudowne! Lekarz. Bardzo mi się ten pomysł podoba.

Od tej chwili Cassie nie miała żadnych wahań, ani po śmierci matki, ani kiedy ojciec próbował ją zniechęcić.

W tym czasie został już ambasadorem Australii w Stanach Zjednoczonych i oboje zamieszkali w Georgetown, w domu o wiele dla nich za dużym.

- Nie będziemy się teraz o to spierać, Cassie - powiedział ojciec. - Kobiety nie zostają lekarzami. Wbij to sobie wreszcie do głowy. Nie pozwalam ci iść do college'u. Od dawna to planowaliśmy.

Zobaczmy, czy przyjmą cię tutaj, do Georgetown. Wtedy mogłabyś ze mną zamieszkać. Przecież nie chcesz zostawić mnie samego, prawda?

Nie, nie chciała. Ku zdumieniu ojca z łatwością ukończyła Georgetown, zdobywając najlepsze oceny. Matka nie byłaby zaskoczona.

Latem samotnie odwiedzała dziadków. Najpierw pięć dni jechała pociągiem przez cały kraj do San Francisco, a potem dziesięć dni żeglowała do Sydney. Uwielbiała te rejsy. Każdego lata nawiązywała krótki, niewinny romans. Tylko wtedy dopuszczała do romantycznych związków z mężczyznami. Już dawno postanowiła, że żaden mężczyzna ani małżeństwo nie zwiedzie jej z obranej drogi. Jednak pozwalała sobie na te morskie przygody, ponieważ miała pewność, że się skończą, kiedy tylko statek przybije do portu w Sydney.

Wiktoriański trzypiętrowy dom jej dziadków, z dachem jak z piernika, był jedynym miejscem, gdzie czuła się u siebie. On jeden stanowił niezmienny element jej życia. Tutaj dawano jej bezwarunkową miłość, chociaż nie zawsze pochwalano jej decyzje. Dziadkom nie spodobało się, że chce zostać lekarką.

- Damy nie badają męskich ciał - szeptała babcia, patrząc z niesmakiem.

- A mężczyźni mogą badać kobiece ciała?

- To co innego.

Nie zdołali jednak jej skłonić do zmiany decyzji. Pewnego popołudnia dziadek zaprosił ją do swojej szklarni.

- Najlepiej dla ciebie byłoby, gdybyś wróciła do kraju i poznała jakichś miłych młodych ludzi - powiedział. - Zbyt długo mieszkasz za granicą.

Manipulował sekatorem przy orchidei, którą chciał skrzyżować z inną. Od czasu przejścia na emeryturę orchidee stały się jego pasją.

- Wrócę do kraju, dziadku, ale nie po to, żeby wyjść za męża. - Wspomnienie cierpiącej przez wiele miesięcy matki nigdy jej nie opuszczało.

Miała zaledwie dwadzieścia pięć lat, kiedy uzyskała dyplom Akademii Medycznej Johna Hopkinsa. Cztery lata studiów były bardzo ciężkie. Czuła, że musi być lepsza od studiujących z nią mężczyzn, żeby udowodnić, że kobiety są równie zdolne. Znosiła nieprzyzwoite żarty kolegów. Na zajęciach z anatomii wszyscy sobie z niej dowcipkowali. Nawet większość profesorów spoglądała na nią niechętnie, jakby znalazła się nie na swoim miejscu. Jednak nie mogli jej powstrzymać. Skończyła akademię w grupie najlepszych studentów, ale przebyła trudną drogę. Otaczali ją okrutni, nieżyczliwi i spragnieni władzy mężczyźni. Dawali jej jasno do zrozumienia, że wkroczyła na terytorium, gdzie prawo wstępu mieli tylko oni.

W grupie oprócz niej była jeszcze jedna kobieta, więc się zaprzyjaźniły, ponieważ miały takie same cele i problemy, ale poza tym bardzo się różniły. „W dniu otrzymania dyplomu Cassie oznajmiła ojcu, że wraca do domu, do Australii.

W tym czasie dziadkowie już nie żyli.

Ojciec zadzwonił do Norma Castora. Jego poręczenie i znakomite oceny ze studiów pomogły jej zdobyć pracę w szpitalu Wiktorii, gdzie odbierała porody, wykonywała cesarskie cięcia i inne zabiegi ginekologiczne. Potem doktor Castor załatwił jej przeniesienie do pogotowia ratunkowego przy szpitalu w Melbourne.

Cassie w rodzinnym kraju czuła się obco. Po dwudziestu latach spędzonych za granicą nie mówiła jak Australijka i trudno jej było się przyzwyczaić do samochodów jadących po, według niej, niewłaściwej stronie drogi. Nawet nie myślała jak Australijka. Była bardziej Amerykanką, chociaż z kolei w Ameryce nie uważano jej za swoją, bo przecież pochodziła z Australii. Zastanawiała się, czy gdziekolwiek poczuje się jak w domu...

Opowiedziała Fionie o Rayu Grahamie.

- Witaj w klubie, kochana - odparła przyjaciółka. - To się zdarza wszystkim kobietom. Jakoś to przeżyjesz.

To dowodziło, jak wiele Fiona wie o życiu.

Rozdział ósmy

Cassie polubiła Horriego od pierwszego wejrzenia. Był to przysadzisty mężczyzna-po trzydziestce, o kasztanowatych włosach. Pracował w niedużym, trzypokojowym, pokrytym blachą domku, w którym, jak twierdził, w lecie woda sama się gotuje. Z dumą w głosie dodawał, że jest to centrum nerwowe Powietrznej Służby Medycznej w Augusta Springs.

Siedzieli przed radiostacją.

- W tej chwili tylko trzydzieści sześć farm ma warunki do przyjmowania samolotu - wyjaśniał. - Niektóre już mają własne radiostacje i przygotowują pasy startowe. Sądzę, że wielu ludzi nawet nie wie o naszym istnieniu, ponieważ nie mają możliwości komunikowania się z innymi, dopóki ktoś z mieszkańców nie przyjedzie do miasta albo nie spotkają się z sąsiadem, który czasami mieszka nawet w odległości kilkuset kilometrów. Upłynie trochę czasu, zanim do nich dotrzemy. Niektórych nie stać na wybudowanie pasa.

Wszystkie wezwania miały przechodzić przez niego. Wiadomości od ludzi zamieszkałych w promieniu siedmiuset kilometrów, na obszarze większym niż terytorium Francji, będą nadchodziły do jego małego, prażącego się w słońcu baraku. Domek nie miał nawet typowej australijskiej weran-

dy, tylko daszek nad wejściem. Znajdował się półtora kilometra na północny zachód od miasta, tam gdzie występowały najmniejsze zakłócenia fal radiowych.

- Jak ludzie będą się z nami kontaktować? - zapytała Cassie.

- Kiedyś robili to za pomocą alfabetu Morse'a - odparł Horrie z papierosem zwisającym z kącika ust. - Jednak zbyt wielu nie potrafiło się go nauczyć. Wtedy Alf Traeger, ten geniusz, który zbudował radio na pedał, wymyślił maszynę do pisania, która zamieniała litery w sygnały Morse'a. Wspaniały człowiek. Teraz porozumiewamy się głosem, za pomocą mikrofonu. Trzy razy dziennie, o ósmej, jedenastej i za kwadrans piąta, poświęcamy godzinę na połączenia z poszczególnymi farmami, żeby sprawdzić, czy gdzieś nie potrzeba pilnej pomocy albo rady. Jeśli ciebie tu nie będzie, zgłoszę się ja. Prawdopodobnie najczęściej usłyszymy pytania, na które łatwo ci będzie odpowiedzieć, na przykład co zrobić z przeziębieniem, bolącym gardłem albo raną od noża. - Roześmiał się. - Takich pytań na pewno będzie sporo!

- A co się stanie, jeśli ktoś zechce nadać pilne wezwanie w środku nocy? - Cassie patrzyła na sprzęt radiowy i zastanawiała się, czy kiedykolwiek nauczy się, jak go obsługiwać.

- Będzie musiał poczekać. Obie strony powinny być w tym samym czasie na tej samej długości fal, żeby się porozumieć. A poza tym, i tak nie będziecie w stanie wystartować w nocy. Jeśli będzie trzeba stale nadzorować jakiś przypadek, możemy się umówić na regularne połączenia o wyznaczonych porach. Na przykład powiem nadającemu, żeby połączył się ze mną o siódmej i o tej godzinie będę czuwał przy radiostacji.

- A co, jeśli akurat wylecimy w teren albo ja gdzieś wyjadę?

- Samolot jest odpowiednio wyposażony, więc mogę przekazywać wam wiadomości. Mogę nawet połączyć się z pielęgniarkami w jednej z pomocniczych izb chorych albo z farmą i powtórzyć nagłe wezwanie. Jeśli będziecie już w drodze, mogę was zawrócić.

Sam siedział oparty o ścianę. Przednie nogi jego krzesła zawisły w powietrzu. Czapeczkę baseballową odwrócił daszkiem do tyłu.

- Proponuję, żebyśmy ustalili terminy przyjęć lekarskich w terenie dwa razy w tygodniu, dopóki się nie zorientujemy, jaki będzie stały rozkład naszych zajęć.

Cassie skinęła głową. Miała na sobie zgrabnie skrojone gabardynowe spodnie, różową bawełnianą bluzkę i buty na podwyższonym obcasie. Nowy kapelusz rzuciła na krzesło.

- Skąd ci wszyscy ludzie będą wiedzieli, że już rozpoczęliśmy regularne przyjęcia zgłoszeń? - zapytała Horriego.

Odpowiedział jej Sam.

- A czy w ogóle będziemy mieli czas na regularne przyjmowanie zgłoszeń, skoro już jesteśmy zajęci, a nie rozpoczęliśmy jeszcze oficjalnej działalności?

Horrie roześmiał się.

- Za dziesięć dni przyjeżdża Berty. Mniej więcej właśnie w tym terminie rozpoczynamy normalną pracę. Zamierzamy się od razu pobrać. W zasadzie nikogo tutaj nie znam, więc chciałem prosić was dwoje, żebyście zostali naszymi świadkami. - Cassie zrobiło się bardzo przyjemnie. - Stale powinienem być w pobliżu radiostacji, więc chyba przez jakiś czas będziemy tutaj mieszkać.

Cassie rozejrzała się po baraku. Zrobiło jej się żal tej nieznanym Betty.

- Betty obiecuje, że nauczy się obsługiwać radiostację, żeby mnie czasami zastępować. - Przednie nogi krzesła, na którym siedział Sam, uderzyły o ziemię. - Zapytam właś-

cicieli większych farm, czy pozwolą nam u siebie urządzać tymczasową klinikę na czas przyjmowania pacjentów. Zobaczymy, co z tego wyjdzie. Posuwajmy się krok za krokiem. Na pewno wszyscy zechcą nam pomagać. Oczywiście będziesz też musiała odwiedzać izby chorych.

Cassie splotła ramiona. Mimo, że krajobraz wokół był tak nieprzyjazny, czuła już, że podnieca ją nowe wyzwanie.

Widać było, że Horrie łatwo ją zaakceptował. Nie tak jak Sam. Pilot wiedział, co robić ze słodkimi młodymi dziewczętami, które zaglądały mu w ciemne oczy, uśmiechały się zalotnie, sprzeczały się z nim i prowokowały do pocałunków i uścisków. Umiał się z nimi obchodzić, ale nie bardzo wiedział, co robić z nią, z Cassie. Zachowywał się tak, jakby myśląca istota ludzka i kobieta to były dwa różne stworzenia. Chociaż nic nie powiedział i dobrze im się razem pracowało, jednak istniało między nimi jakieś napięcie. Cassie zdawała sobie sprawę, że Sam nie uznaje kobiet lekarzy... ani zapewne kobiet prawników, inżynierów, pilotów i kobiet wykonujących wszelkie inne zawody, dotychczas zarezerwowane dla mężczyzn. Nie da się zaprzeczyć, że był dla niej uprzejmy. Ale dlaczego nie mógł zachowywać się tak jak Horrie - otwarcie, przyjaźnie i miło?

Sam i doktor Adams. Dwa ciernie w jej ciele.

Bardzo udane przyjęcie - stwierdziła Cassie, wycierając naczynia, które myła Fiona. Tego wieczora wydały kolację dla członków rady Powietrznej Służby Medycznej. Zebrała się ona w Augusta Springs, żeby poznać Sama i Cassie oraz przedyskutować metody działania.

- Przynajmniej na tym skorzystałam - zauważyła Fiona wycierając wilgotne czoło ramieniem. Ręce miała całe w pianie. - Zostałam honorowym członkiem rady!

- Tak. Dlaczego nie ma w niej kobiet?

Fiona spojrzała na nią z podniesionymi brwiami.

- Jeszcze nie wiesz?

- Że świat należy do mężczyzn?

- A skoro mowa o mężczyznach, to...

- To co?

- To porozmawiajmy o niektórych znajomych panach. Boże, ten Steven Thompson jest niesamowity. Ma chyba z pięćdziesiąt lat, ale co z tego!

Cassie uśmiechnęła się.

- Masz rację. Jego żona też jest wspaniała.

- Tak jak ich syn. To największy babiarz w tej części kraju. Łatwo się zakochuje i równie łatwo odchodzi, ale nie znam dziewczyny, która nie zaryzykowałaby serca dla jednego tańca z nim.

- Żaden mężczyzna nie jest aż tak niezwykły! Fiona wylała pomyje.

- Któregoś dnia sama się przekonasz. Ale ojciec naszego bohatera też mi się podoba. I zgadzam się, że pani Thompson to wyjątkowo piękna kobieta. Thompsonowie to wielcy posiadacze ziemscy, najważniejsze figury w okolicy. Słyszałam, że ich farma, Tookaringa, jest wspaniała. Ma chyba z dziesięć milionów akrów.

Cassie wiedziała, że Fiona przesadza, ale rozumiała, co chce wyrazić.

- No cóż, przynajmniej łatwo mnie zaakceptowali, chociaż ostrzegli, że będę miała trudności z miejscowymi mężczyznami.

- Nie znam żadnego wartościowego związku między kobietą i mężczyzną, który nie byłby skomplikowany - odparła Fiona. Wzięła ścierkę i pomogła Cassie wycierać naczynia. - Wypiliśmy dzisiaj całe litry alkoholu. Zapewniam cię, że masz szczęście, że pracujesz z takimi facetami jak Horrie i Sam.

- Horrie i Sam to po prostu moi współpracownicy. Nie myślę o nich... w ten sposób.
 - Mam dwadzieścia sześć lat i moje hormony szaleją - zachichotała przyjaciółka. - Atrakcyjny współpracownik to dla mnie też mężczyzna. A Sam i Horrie na pewno są atrakcyjni. Może Horrie nie jest taki seksowny jak Sam, ale i tak bardzo miły.
 - Sam jest seksowny? - Cassie powiesiła ścierkę na haczyku.
 - Och... daj spokój. Każda kobieta to zauważy. Zobacz, jak on chodzi. Wydaje się, że chce cię rzucić na łóżko. A kiedy z tobą rozmawia, patrzy ci prosto w oczy, ale tak naprawdę wiesz, że w wyobraźni rozbiera cię do naga. Inaczej się zachowuje w męskim towarzystwie. Zwyczajnie i prosto. Powiedziałabym, że on należy do świata mężczyzn, tylko w nim jest sobą. Z kobietami zawsze flirtuje.
 - Ze mną nie flirtuje.
 - Pewnie trochę się ciebie boi. Jesteś lekarzem. Będzie się od ciebie trzymał z daleka. Ale powiedz mu, że ja nie zawsze jestem taką chłodną profesjonalistką, dobrze? Moglibyśmy się razem trochę zabawić.
 - Fiona! Chyba za dużo wypiałś.
 - Och, nie twierdzę, że z mężczyzną trzeba od razu iść do łóżka, ale sama powiedz, czy wśród tych, których tu spotkałaś, nie ma takiego, z którym chciałabyś się trochę zabawić, no wiesz...
- Cassie się uśmiechnęła.
- Don McLeod. Szkoda, że niedługo ma się żenić. W przyszłym roku jedzie do Adelajdy, żeby wziąć ślub z dziewczyną, która od trzech lat jest jego narzeczoną. Od półtora roku ani razu się nie widzieli.
 - No, to daj mu szansę...
 - Nie - odparła Cassie. Poszła do salonu i opadła na

krzesło. - On jest inny. A ja nie mam tych szczególnych potrzeb, o których wspominałaś. Don to najwspanialszy mężczyzna, jakiego znam tutaj i gdzie indziej. Z niego promieniuje miłość.

- Miłość, a nie seks, tak? - Fiona wyciągnęła się na kanapie. Jutro wyczyszczą popielniczki i wyrzucą puste butelki po piwie. Nieźle dzisiaj zaszalały. Fiona pomyślała, że nikt nie umie lepiej się bawić niż Australijczycy.

- Cóż, może i Don ma w sobie trochę seksu, ale jest wierny narzeczonej. On po prostu kocha wszystkich. Całą ludzkość. Wiesz, pod tym względem jesteś do niego podobna.

- A ty niby zostałaś lekarką dla pieniędzy? Powieki Cassie same się zamykały.

- Ja też jestem taka jak ty i Don. Chciałam kiedyś zbawić świat.

- Mówisz to w czasie przeszłym?

- Dobrze, dobrze. Nadal uważam, że powinnam zbawiać ludzkość, przynajmniej w tym rejonie geograficznym. Ale moja droga nie jest taka prosta. Muszę udowodniać, że potrafię robić to samo co mężczyzna.

- Po co? Bycie kobietą bardzo mi odpowiada. Przynajmniej wtedy, kiedy nie jestem zakochana. Miłość to piekło na ziemi.

Cassie wstała.

- Fiono, w tej sprawie się z tobą zgadzam. Miłość to piekło na ziemi. A teraz idę spać.

Rano obudził je natarczywy dzwonek telefonu. Fiona pierwsza wyskoczyła z łóżka i ledwie widząc na oczy doszła do telefonu.

- To do ciebie! - zawołała i wróciła do sypialni nie czekając na reakcję Cassie.

Dzwonił Steven Thompson.

- Wracamy już z Jenny do Tookaringi, ale przedtem zjemy śniadanie. Mamy nadzieję, że zechcesz do nas dołączyć. Będiesz gotowa za pół godziny?

Cassie zaspanymi oczami spojrzała na zegarek. Było dopiero wpół do ósmej.

- Chyba tak - odparła, nie całkiem rozbudzona. Wzięła szybki prysznic i przeciągnęła szczotką po krótkich

włosach. Włożyła jasnoniebieską lnianą sukienkę, swoją ulubioną, starannie wyszminowała usta i chwyciła ciemne okulary. Zrzuciła wygodne, codzienne buty i włożyła pantofle na wysokich obcasach. Zdecydowała się na słomkowy kapelusz w kolorze ecru. Tutaj, pod gorącym słońcem interioru, zawsze chodziła w kapeluszu, a ten był o wiele bardziej wytworny niż jej stary stetson. Thompsonowie przyjechali po nią półtonową ciężarówką. Spodziewała się, że się zjawią w czymś bardziej luksusowym i eleganckim. Jednak szybko zrozumiała, że ponieważ mają przed sobą prawie sześćset czterdzieści kilometrów drogi przez pustynię i bezludzie, potrzebują odpowiednio wytrzymałego pojazdu.

- Chyba nie macie zamiaru pokonać całej trasy do domu w jeden dzień? - zapytała, kiedy Steven ruszył spod domu Fiony. Jennifer siedziała między nimi.

- Nie - odparła. Mówiła z arystokratycznym brytyjskim akcentem. - Na noc zatrzymamy się u przyjaciół. Znamy wszystkich, którzy mieszkają między Tookaringą i Augusta Springs. W interiorze goście są zawsze mile widziani. Tak rzadko ktoś nas odwiedza, że każdy przejezdny to wielka atrakcja. - Roześmiała się. - No, prawie każdy.

Steven zaparkował przed zajazdem Addiego, wysiadł, szybko obszedł samochód i otworzył drzwi od strony pasażera.

Cassie podążyła za Jennifer do zajazdu. Żona Stevena zbliżała się do pięćdziesiątki, ale mimo to nadal była szczupła i piękna. Włosy, koloru soli z pieprzem, miała starannie ułożone. Cassie zastanawiała się, gdzie ona tutaj znalazła fryzjera. Jennifer ubrana była w biały jedwabny kostium, szmaragdową bluzkę i brązowo-białe buty na bardzo wysokich obcasach. Wyglądała, jakby wybierała się na weekend do angielskiej wiejskiej posiadłości. Nie pasowała do wnętrza zajazdu, ale nie widać było po niej najmniejszego śladu skrępowania.

Steven najpierw odsunął krzesło dla żony, a potem dla Cassie. Kiedy Thompsonowie przeglądali menu, Cassie uważnie przyjrzała się Stevenowi. Fiona miała rację. To niezwykle mężczyzna. Miał szerokie ramiona, wąską talię i był wysoki, wyższy od innych - na pewno przekraczał metr dziewięćdziesiąt. Opalona, wysmagana wiatrem twarz świadczyła o częstym przebywaniu pod gołym niebem. Wielki mężczyzna. Duże ręce, duże stopy, wylewny uśmiech. Przejrzyście niebieskie oczy. Biła od niego siła. Wielki i silny. Gdyby chcieć go opisać, takie słowa najpierw przychodziły do głowy.

Piątkowej nocy wybrano go na przewodniczącego rady. Nikt mu nie dorównywał, przynajmniej na tym końcu świata.

Złożyli zamówienie. Steven poprosił, żeby natychmiast przyniesiono kawę. Oparł łokcie na stole i zwrócił się do Cassie:

- Chcielibyśmy, żebyś pierwsze wyjazdowe badania zorganizowała w Tookarindze. To największa farma na północy. Przyjeźdź w piątek. Pracuje dla nas mnóstwo aborygenów i wielu z nich ma rodziny. Zatrudniamy też setki innych. Razem z Jennifer pomyśleliśmy sobie, że byłoby miło, gdybyście z Samem przylecieli w piątek i zostali na cały weekend. Po południu mogłabyś przyjmować pacjentów

w Tookarindze, a w sobotę odwiedzić Winnamurę. Nie ma tam telefonu, ale wysłałbym jeźdźca, żeby zawiadomił misjonarkę o twoim przybyciu. Miałyby wtedy czas na zebranie wszystkich chorych i niedomagających. Razem ustaliłybyście terminy wizyt na następne miesiące. Wydaje mi się, że wiele twoich wypraw na regularne badania będzie trwało dłużej niż jeden dzień. Radiostacja zapewni ci stały kontakt z Hornem, w razie jakiegoś nagłego wypadku. Może nawet uda ci się prowadzić swoje trzy codzienne sesje radiowe. W każdym razie w sobotę urządzimy barbecue i zaprosimy wielu ludzi, żeby mogli cię poznać. Możesz wylecieć wczesnym rankiem w poniedziałek. Odwiedzisz izbę chorych w Yancannie i nawiązesz kontakt z tamtejszymi pielęgniarkami.

- Taki plan mi się podoba. - Cassie zastanawiała się, czy po kawie przejdzie jej ból głowy. Czyżby naprawdę ostatniego wieczora wypła aż tyle?

- Wydaje nam się, że upłynie trochę czasu, zanim tutejsi przyzwyczają się do kobiety lekarza - ciągnął Steven. - Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby ci pomóc. Lekarz jest nam tu potrzebny.

Kelnerka przyniosła kawę. Cassie wypła swoją bez mleka.

- Przekonasz się, że tutaj mieszkają najbardziej przyjaźni ludzie pod słońcem - odezwała się Jennifer.

- Kiedy tu przyjechałam, nie mogłam w to uwierzyć.

- Skąd pochodzisz? - Cassie spojrzała na piękną panią Thompson.

- Z Cambridge - odparła Jennifer czystym, melodyjnym głosem. - To znaczy z Anglii. Tam spotkałam Stevena. - Spojrzała na męża śmiejącymi się oczami i Cassie wyczuła, że ci dwoje nadal są w sobie zakochani.

- Jak się spotkaliście?

Steven szybko przełknął kawę i dał znak kelnerce, żeby przyniosła następną.

- Uczęszczałem tam na uniwersytet. Matka nalegała, żebym zdobył odpowiednie wykształcenie, ale ja wcale się do tego nie paliłem. Bardzo chciałem wrócić do Australii, pracować pod gołym niebem, przeganiać bydło, oglądać wschody słońca. Czułem narastającą klaustrofobię w tym mieście ograniczonym szpalerami drzew i murami. Wytrwałem w Anglii dwa lata, wystarczająco długo, żeby namówić Jenny na wyjazd razem ze mną.

Kelnerka przyniosła im steki, sadzone jajka i całą górę grzanek.

- Więc nie pochodzisz z Anglii? - zapytała Cassie. Steven potrząsnął głową. Jedzenie nie powstrzymywało go od mówienia.

- Urodziłem się tutaj. Moja matka przybyła z Anglii w osiemdziesiątych latach zeszłego wieku, jako guwernantka do rodziny mieszkającej ponad tysiąc kilometrów na południe stąd. Tam zwrócił na nią uwagę jeden z młodych poganiaczy. Od pierwszego wejrzenia zakochał się po uszy. Dzięki temu postanowił zdobyć własną farmę. Kupili kilka akrów na północy, wybudowali blaszany barak i nabyli parę sztuk bydła. Mam obrazki przedstawiające to gospodarstwo. Nikt by się nie spodziewał, że przetrwa choćby rok, a co dopiero ponad pół wieku.

Cassie uśmiechnęła się. Śniadanie pomogło jej pozbyć się bólu głowy. Poczowała się lepiej. Jennifer pochyliła się nad stołem.

- Tak bardzo potrzeba nam tu lekarza. Gdybyśmy go mieli dwadzieścia pięć i trzydzieści lat temu... - Łzy napłynęły jej do oczu, ale nie potoczyły się po policzkach. - Mamy teraz tylko jedno dziecko. Blake skończył dwadzieścia dziewięć lat... - Głos się jej załamał.

Steven położył rękę na dłoni żony.

- Straciliśmy pięcioro dzieci, w tym dwa razy mieliśmy

poronienie. - Cassie spodobało się, że użył liczby mnogiej. - W końcu, kiedy Jenny po raz trzeci zaszła w ciążę, wysłałem ją do miasta, żeby była bliżej lekarza. Tak samo postąpiliśmy przy następnych dwóch ciążach.

- Gdybyśmy wtedy mieli lekarza na miejscu... Cóż, teraz być może kobiety nie będą już musiały przechodzić przez to co my. - Jennifer spojrzała na Cassie. - Jedno dziecko umarło na odrę, a drugie... Nie chcę wdawać się w szczegóły, ale nie było nam łatwo. Nie życzyłabym tego nikomu...

Cassie popatrzyła na Thompsonów. Nigdy by nie odgadła, że ci ludzie o szczęśliwych, zadowolonych twarzach przeszli takie tragedie.

- Jak udało się wam to wytrzymać? - zapytała. Steven uśmiechnął się.

- Mieliśmy siebie. Mieliśmy też swoje zwycięstwa i radości. Ale nie sprowadziliśmy cię tutaj, żeby rozmawiać o Jenny i o mnie. Chcemy zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby PSM wysokich lotów. Wybacz mi ten kalambur. Jeśli w czymś moglibyśmy ci pomóc, natychmiast daj nam znać. Cały czas będziemy mieli włączoną radiostację, zresztą chyba tak samo jak większość ludzi, którzy posiadają ten sprzęt. Usłyszemy każdą wiadomość od ciebie i odpowiemy na każde wezwanie. Inni członkowie rady będą równie pomocni. Wszyscy zdajemy sobie sprawę, ile w tych okolicach znaczy obecność lekarza. Zbyt długo byliśmy pozbawieni pomocy medycznej. Jesteśmy tu po to, żeby ci pomagać. W tym momencie Home Wallace wsunął głowę przez uchylone drzwi. Ruszył do ich stolika krzycząc na cały głos.

- Pilne wezwanie z odległej farmy! Sam powiedział, że za dziesięć minut będzie gotowy. Podrzucę cię do domu, żebyś wzięła torbę lekarską. - Cassie wstała. - I żebyś się przebrała. - Horrie wyszczerzył zęby w uśmiechu. - W tych butach nic nie zwojujesz.

Cassie zwróciła się do Thompsonów.

- Dziękuję za śniadanie i za zaproszenie na weekend. I za wczorajszą zabawę. Za wszystko. Jeśli o mnie chodzi, to zapewniam, że przyjedziemy do Tookaringi, chyba żeby coś się zmieniło.

Przygotujcie wszystko do przyjęcia chorych i dajcie znać do Winnamurry, że w sobotę się tam zjawię.

- Zarzniemy cielaka na barbecue - powiedział Steven, wstając z miejsca. Wyciągnął dłoń na pożegnanie.

Horrie chwycił ją za drugą rękę.

- Idziemy! - krzyknął, chociaż stał tuż przy niej. Ruszyli biegiem.

Rozdział dziewiąty

Tym razem, podczas trzeciego lotu, Cassie była w stanie przyjrzeć się samolotowi uważniej niż w czasie poprzednich wypraw, kiedy roztaczający się poniżej krajobraz przyciągał ją i fascynował. Silnik pracował bardzo głośno. Trzeba było krzyczeć, żeby się nawzajem słyszeć, co nie stwarzało warunków dla towarzyskiej pogawędki o niczym.

- Czy zawsze latałeś na takim typie samolotu? - zapytała, nachylając się do Sama.

- Ten samolot to kupa złomu, doktorku - odparł patrząc na nią. - Maszyna sprzed wielu lat, którą dostaliśmy z drugiej ręki. Posłuchaj tych wibracji. Blacha cienka jak papier i nieszczelna kabina, co wyklucza loty na większych wysokościach.

- Jak wysoko latamy?

- Od siedmiuset siedemdziesięciu do tysiąca ośmiuset pięćdziesięciu metrów. Przez to latamy wolno. Ale nie zrozum mnie źle, ten samolot ma swoje dobre strony. To pierwsza maszyna, która tak łatwo unosi się w powietrze i nie potrzebuje długiego pasa ani do startu, ani do lądowania, co w naszym przypadku jest bardzo ważne. Jednak ten egzemplarz to rozklekotane pudło. Mam do niego niewielkie zaufanie.

- Twoje słowa wprawiają mnie w coraz lepszy nastrój. Sam roześmiał się.
- Za to do siebie mam całkowite zaufanie. Zdobędziemy nowy samolot, jak tylko będzie nas na to stać. PSM to organizacja charytatywna, jej działalność zależy od datków, więc trudno o pieniądze na nowoczesne samoloty. To niewielka organizacja i nie może sobie pozwolić na zapłacenie nam - miał na myśli linie lotnicze QUANTAS - za samolot, jaki byłby naprawdę potrzebny do tej pracy. Należysz mi kawy? - zapytał.
- Jeśli nie zboczyłem z kursu, siadamy za dwadzieścia minut. Kiedy schodzili do lądowania, dostrzegli na ziemi krzepko zbudowanego człowieka, który machając ramionami naprowadzał ich na pas.
- Gdzie jest pacjent? - zapytał Sam, gdy tylko otworzył drzwi. Zwalisty mężczyzna uśmiechnął się.
- To ja. Już się dobrze czuję.
- Cassie i Sam wymienili spojrzenia. Cassie chwyciła torbę lekarską i zeszła po schodkach.
- Lepiej będzie, jeśli mimo to pana zbadam.
- To pewnie była tylko zgaga - oświadczył mężczyzna, wyciągając na powitanie wielką dłoń. - Jestem Leonard Neville - przedstawił się. - Moja żona pojechała na najbliższą farmę, jakieś sto kilometrów stąd, żeby was wezwać, i jeszcze nie wróciła. Teraz nic mi nie dolega.
- Okazało się, że Leonard Neville jest lepszym diagnostykiem niż Horrie.
- Porozmawiaj z Hornem - poradził Sam, kiedy lecieli z powrotem. - Nie jesteśmy powietrzną karetką pogotowia. Każdy lot dużo kosztuje.
- Tak, powiem mu, żeby następnym razem mi dał porozmawiać z pacjentem, zanim do niego wystartujemy
- odparła Cassie.

Niepotrzebna wyprawa. Zmarnowany czas i pieniądze. A przecież obie te rzeczy były dla nich bardzo ważne.

- Pierwsze regularne badania zorganizujemy w piątek -oświadczyła pilotowi. - U Thompsonów. Steven zaproponował, żebyśmy zostali na weekend, a w poniedziałek polecieci do Yancanny. W sobotni wieczór zorganizują barbecue i przedstawią nas ludziom.

Sam kiwnął głową, patrząc prosto przed siebie.

- Tookaringa jest znana z gościnności. Od lat wiele słyszę o tej posiadłości.

Cassie usiadła głębiej w fotelu i zamknęła oczy. Czuła się teraz lepiej niż przed południem. Pomyślała, że zamieszkała tutaj, żeby uciec, wycofać się z życia, a nigdy nie widziała miejsca, które by tak nim tętniło. Dwa ostatnie tygodnie były tak burzliwe, tak inne od spokojnego, wypełnionego nauką życia, które prowadziła w Anglii i Ameryce.

Tutaj obcy sami nawiązywali rozmowę. Kiedy tylko miejscowi dowiadywali się, że jest lekarką, otwierali przed nią nie tylko drzwi, ale i ramiona. Musiała przyznać, że czasami zrozumienie tych, którzy mówili szybko i używali dziwnych wyrażen, sprawiało jej trudność. Jednak nikt nie kpił z jej amerykańskiego akcentu. Tak wiele lat poświęciła, żeby go nabyć, a teraz wołałaby się go pozbyć. Nie było tu szaro jak w Londynie czy San Francisco ani tak wilgotno jak w Waszyngtonie. Pomyślała, że jej ojciec, przyzwyczajony do miejskiego życia, tu czułby się zagubiony. Zaraz jednak przypomniała sobie, że wychował się w małym, zagubionym na pustkowiu miasteczku w Nowej Południowej Walii.

Uznała, że to niemożliwe, żeby po dwóch tygodniach na tym krańcu świata czuła się u siebie, bo przecież zawsze, we wszystkich miejscach zamieszkania miała wrażenie, że jest

obca. Nie wiedziała, jak nazwać to uczucie, nie było jej z nim dobrze. Rozmyślenia przerwało pytanie Sama.

- Grasz w tenisa?

- Nie - odpowiedziała nie otwierając oczu.

- Chciałabyś się nauczyć? Otworzyła jedno oko.

- Raczej nie. Dziękuję. - Nie uważała siebie za miłośniczkę sportów. Opanowanie jazdy konnej było dla niej wielkim sukcesem. Spojrzała przez okno na ciągnącą się po horyzont równinę. Miło ze strony Sama, że jej to zaproponował. To dowód, że stara się poprawić ich stosunki. Nie chciała, żeby pomyślał, że go odtrąca. - Masz ochotę zabrać Horriego i wpaść do nas na kolację? Mamy co prawda tylko pozostałości z wczorajszego przyjęcia.

Sam uniósł brew i spojrzał na nią.

- To brzmi zachęcająco.

Cassie wiedziała, że Fiona się ucieszy.

Okazało się, że przyjaciółka umie grać w tenisa. Wkrótce razem z Samem zaczęli spędzać popołudnia na jednym korcie w miasteczku.

Natomiast Cassie wypełniała popołudniowe godziny głośnym czytaniem.

Czterdziestodwuletnia Izabela Adams była tak wychudzona, że wyglądała jak zaszuszone staruszka.

Leżała na kanapie, okryta kołdrą. Kasztanowate włosy spływały na poduszkę. Powitała Cassie bladym uśmiechem.

- Jak to miło z pani strony. - W jej głosie brzmiały ciepłe nuty. - Nie spodziewałam się tych odwiedzin.

Chris mi o pani opowiadał, ale nie oczekuję, że wszyscy nowo przybyli będą mi składać wizyty. -

Izabela zwróciła się do korpulentnej kobiety, która otworzyła przed Cassie drzwi. - Grace, może zrobisz nam wszystkim herbaty? Doktor

Ciarke, to jest Grace Newcomb. - Dotknęła ramienia Grace.

- Nie wiem, co bym bez niej zrobiła. Grace uśmiechnęła się.

- Zaraz będzie herbata. Ma pani ochotę na kanapki z ogórkiem?

Cassie ich nie znosiła.

- Wystarczy herbata - odparła. - Nie jestem głodna. Ramiona Izabeli były cienkie jak patyki.

- Ja nigdy nie jestem głodna - powiedziała chora.

- Kiedyś ciężko nad tym pracowałam, żeby nie przytyć, a teraz proszę na mnie spojrzeć. Ale nie rozmawiajmy o mnie. Nowa twarz w mieście. To bardzo odświeżające. Przybysz z szerokiego świata!

- Przyszłam, żeby zapytać, czy mogłabym w czymś pomóc. Przysłali mi już dwie skrzynie książek, mam płyty.

- To bardzo miło z pani strony. Jednak nie mam energii, żeby czytać. Nie potrafię długo utrzymać książki.

- Może ja mogłabym pani poczytać? Mam niektóre z najnowszych książek.

Oczy Izabeli rozbliły.

- Poczytałaby mi pani? Chris nie znosi głośnej lektury. Ja to uwielbiam. Byłabym bardzo wdzięczna.

Może ma pani „Przeminęło z wiatrem”?

Cassie skinęła głową.

- Mam. To wspaniała powieść.

- Zna ją pani? W takim razie powtórne czytanie nie byłoby dla pani zbyt zajmujące.

- Wręcz przeciwnie. Zrobię to z przyjemnością.

- A „Rebeka”? Słyszałam, że to również doskonała powieść.

- Mam obie te książki - odparła Cassie z uśmiechem. Nie mogła obiecać Izabeli, że będzie jej czytała codziennie,

ponieważ nie знаła jeszcze stałego rozkładu swoich zajęć, ale zdecydowały, że jeśli nie zaistnieją jakieś nagłe wypadki,

Cassie będzie przychodziła do domu Adamsów późnym popołudniem, po radiowej sesji z pacjentami o czwartej czterdzieści pięć.

Tego tygodnia spędziła trzy dni jako lektorka Izabeli. Nigdy nie zrozumiała, co skłoniło ją do tego uczynku. Izabela była wyraźnie rozczarowana, kiedy w czwartek Cassie oznajmiła jej, że organizuje pierwsze badania wyjazdowe, wobec czego nie będzie jej w mieście podczas weekendu.

Nie rozmawiały wiele, ponieważ gdy tylko Cassie przekraczała próg, Grace stawiała herbatę na stoliku przy łóżku i sadowiła się na krześle. Wraz z Izabelą z trudem tłumili zniecierpliwienie i nie mogły się doczekać, kiedy Cassie odczyta dalszy ciąg przygód mieszkańców Tary i Dwunastu Dębów. Cassie w ogóle nie widywała Chrisa Adamsa. Kiedy wychodziła przed szóstą, jego jeszcze nie było w domu.

W życiu zawodowym napotkała trudności, nie mogąc się przyzwyczać do stawiania diagnozy na podstawie rozmowy przez radio. Wprawdzie stwierdziła, że jest to łatwiejsze, niż porady przez telefon, gdzie rozmówca w każdej chwili mógł przerwać tok jej myśli. Nie mogła zalecać kuracji tylko na podstawie opisanych objawów, ale musiała poznać medyczną historię pacjenta i jego choroby, co zwykle denerwowało pytających. Chciała dokładnie wiedzieć, gdzie chorego boli i jakie ma inne symptomy, a rozmówca nie był w stanie dokładnie opisać odczuć pacjenta. Każda rozmowa doprowadzała Cassie do frustracji. Podejrzewała, że czasami pacjenci, szczególnie kobiety, dzwonią z powodu samotności. Niejasno podawały objawy własnych chorób, wpadały w histerię, gdy chodziło o dzieci. Za wszelką cenę chciały usłyszeć ludzki głos. Cassie stwierdziła, że w czasie sesji radiowych przybiera bardziej formalny ton rozmowy, jakby była na scenie. Jedno z wezwań nie dawało jej spokoju przez długie dni.

Nadeszło z farmy wysuniętej daleko na północ. Jej właściciel, Ian James, opisał stan jednego ze swoich naganiaczy.

- Ten tubylec ginie w oczach. Nie przyszedł na śniadanie, a przez trzydzieści lat nie opuścił żadnego posiłku. Moja żona się nim zajmuje i twierdzi, że biedak wygląda okropnie. Z trudem łapie oddech, boję się, że umiera. Czy możecie go zabrać?

- Najpierw proszę zajrzeć do apteczki i znaleźć termometr. Niech pan zmierzy mu temperaturę i zbada puls. Proszę policzyć liczbę uderzeń, jakie przez piętnaście sekund da się wyczuć na nadgarstku pacjenta, a potem pomnożyć wynik przez cztery. Zrozumiał pan?

Po drugiej stronie zapadła cisza. Potem rozległ się poirytowany głos.

- Pani doktor, znam tego człowieka od kiedy byłem dzieckiem. Nie muszę mierzyć mu temperatury i badać pulsu, żeby wiedzieć, że jest bardzo chory.

- Mimo to nie mogę nic zalecić bez niezbędnych informacji.

- Nie musi pani nic zalecać. Przylećcie tu i zabierzcie go do szpitala.

Cassie straciła cierpliwość.

- Być może ma pan rację, ale uzyskanie niezbędnych informacji zabierze panu tylko kilka minut.

- Chcę, żeby lekarz natychmiast zbadał tego starego nieszczęśnika! - wykrzyknął Ian James ze złością.

- Współczuję panu, ale potrzeba mi więcej danych, żeby zdecydować się na kilkugodzinny lot do pacjenta. Nie jesteśmy latającym pogotowiem. To zajmie tylko kilka minut...

Radio zamilkło. James się rozłączył. Cassie wiedziała, że wielu innych mieszkańców odległych farm przysłuchiwało się tej rozmowie. Nawet jeśli nie mieli żadnych pytań do lekarza ani nie chorowali, te radiowe sesje porad medycznych

były najciekawszą częścią ich dnia. Dowiadywali się o problemach sąsiadów, słyszeli głosy innych ludzi i przez to czuli się mniej osamotnieni.

Przez następne dwie noce, ledwie zamknęła oczy, Cassie widziała tylko konającego tubylca, podczas gdy ona szczegółowo wypytywała o objawy choroby. Zapomniała o całej sprawie, gdy razem z Samem wylecieli w piątek do Tooka-ringi. W minionym tygodniu odbyli tylko jeden krótki lot, żeby przywieźć pacjenta do szpitala na usunięcie wyrostka robaczkowego. Operację wykonał Chris Adams. Tym razem był na tyle uprzejmy, że poinformował Cassie o dobrym stanie chorego. Wiadomość przekazała jej Izabela.

Zdecydowali z Samem, że wylecą do Tookaringi po sesji radiowej o jedenastej i w ten sposób znajdą się na miejscu akurat na czas otwarcia kliniki wyjazdowej. Sam stwierdził, że zaproszenie na barbecue u Thompsonów to prawdziwy zaszczyt i szczęście.

Cassie udało się odpowiedzieć na wszystkie pytania, z jakimi zwracali się do niej pacjenci w czasie sesji porad o ósmej i jedenastej. Obiecała, że w drodze do Tookaringi zatrzyma się na jednej z farm, gdzie jakaś kobieta niebezpiecznie zraniła się w nogę drutem kolczastym.

- Przynajmniej dam jej zastrzyk przeciwtężcowy, żeby nie wdała się gangrena - powiedziała do Horriego.

Lecili na północny zachód. Słońce świeciło wprost nad nimi.

- Poprowadzę to rozklekotane pudło dość nisko - powiedział Sam. - Nie śpieszy się nam. Mamy chyba godzinę lotu do farmy... Jak się nazywają właściciele?

Cassie spojrzała na leżący na kolanach notatnik.

- Martin. Wezwała nas Heather Martin. Mówiła, że pas do lądowania nie jest jeszcze gotowy, dopiero nad nim pracują, ale teren jest dość płaski.

- Zawsze się zastanawiam, jak ludzie rozumieją to słowo. Przeważnie „płaski” znaczy dla mnie zupełnie co innego niż dla nich.

Na przestrzeni kilkuset kilometrów nie napotkali żadnej innej farmy, więc łatwo było odnaleźć gospodarstwo Heather Martin. Wokół prostokątnego placu rozwieszono mnóstwo czerwonych wstążek, powiewających na wietrze. Cassie usłyszała, że Sam się roześmiał.

- Kto u licha ma tyle wstążek? - zapytał, nie oczekując odpowiedzi.

Na ziemi, machaniem ramion naprowadzając samolot na lądowisko, oczekiwało ich sześć długonogich kobiet. Wszystkie miały na sobie męskie spodnie, robocze koszule i miękkie buty na podwyższonym obcasie używane przez poganiaczy, takie jak nosiła Cassie. Nie mogła się powstrzymać, żeby nie pokazać Samowi tej oryginalnej grupki, kiedy samolot kołował po pasie równiejszym niż większość tych, z których dotychczas korzystali.

- Widzę, widzę - wymamrotał Sam, nie mogąc stłumić szerokiego uśmiechu.

Kiedy otworzył drzwi i kopnięciem rozłożył schodki, sześć kobiet ustawiło się w szeregu, jak komitet powitalny. Chociaż najwyraźniej najstarsza była matka i miała około czterdziestu pięciu lat, wszystkie prezentowały się oszałamiająco.

- Nazywam się Estelle Martin. A to moje dziewczęta - oznajmiła matka, podchodząc bliżej, kiedy śmigła samolotu przestały się obracać. - Potem wam je przedstawię. Miranda czeka w domu. Jej noga wygląda dość kiepsko. - Cassie podążyła za matką, mijając dziewczęta, które uśmiechały się do Sama. Najmłodsza miała około szesnastu lat, najstarsza dwadzieścia dwa lub trzy.

Miranda leżała na kanapie. Urodą przypominała siostry.

Złote włosy otaczały głowę i spływały na ramiona. Opalona cera podkreślała jaskrawy błękit oczu, otoczonych drobnymi zmarszczkami, spowodowanymi przez długie lata spędzone w słońcu. Bluzka ciasno opinała obfity biust, a ręce były podrapane i stwardniałe od ciężkiej pracy. Uśmiechnęła się, odsłaniając równe perłowe zęby. Miała na sobie szorty i Cassie podejrzewała, że Sam ma ochotę gwizdnąć z uznaniem. Czerwone rozcięcie na nodze wyglądało brzydko. Zaczynało się jątrzyć i z wyrazu oczu Mirandy Cassie odgadła, że dziewczyna bardzo cierpi, chociaż maskuje to uśmiechem.

- Nieźle się urządziłam, co? - odezwała się Miranda. Cassie uklękła obok niej i zwróciła się do Estelle.

- Zagotujcie mi trochę wody. Chcę przemyć ranę. Potem będę musiała ją rozciąć, żeby usunąć bakterie. Dobrze, że mnie wezwaliście, inaczej mogłaby nastąpić gangrena.

Sam wszedł do środka, otoczony wianuszkami piękności. Nic nie mówił, tylko uśmiechał się od ucha do ucha.

Pokój był duży i przewiewny - dziewięć osób nie robiło w nim tłoku. Dywany pokrywały podłogę i widać było, że meble wybrano z wielką starannością. Nie dostrzegało się nawet pyłku kurzu, i to w kraju, gdzie piasek stale wszystko zasypywał. Cassie domyśliła się, że mężczyźni są poza domem, zajęci jakąś gospodarską pracą. Z samolotu widziała wielkie stado bydła.

Kiedy wyjmowała z torby instrumenty i spirytus, panny Martin część uwagi poświęcały jej czynnościom, ale przede wszystkim otwarcie wpatrywały się w Sama. Może Fiona miała rację. Sam niektórym kobietom wydawał się wyjątkowo atrakcyjny.

- Potrzebujesz jakiejś pomocy? - zapytał. Cassie potrząsnęła głową.

- Nie, dziękuję. To prosty zabieg.

Jedna z córek podeszła i uknęła obok Cassie, obserwując każdy jej ruch.

- Dam ci zastrzyk znieczulający - powiedziała Cassie do Mirandy. - To będzie bolało.

- Nie - odparła dziewczyna. - Spróbuję wytrzymać. Nie chcę żadnych medykamentów.

- To tylko coś na złagodzenie bólu.

- Nie - upierała się. Cassie oceniła ją na dziewiętnaście albo dwadzieścia lat. - Wolałabym nie. Chcę wszystko widzieć. Jeśli nie będę mogła tego znieść, powiem.

Cassie z powątpiewaniem kiwnęła głową. Usłyszała za sobą głos matki.

- Jesteśmy silne. Wydaje mi się, że Miranda wytrzyma. Cassie odwróciła się, żeby spojrzeć na Estelle i zobaczyła

pozostałe córki. Siedziały na krzesłach, na dywanie, albo stały oparte o ścianę i w skupieniu ją obserwowały. Sam już dla nich nie istniał.

Kiedy jedna z córek przyniosła wrzątek, Cassie otworzyła rozjątrzoną ranę. Ropa popłynęła po nodze Mirandy. Dziewczyna gwałtownie drgnęła, ale kiedy Cassie podniosła na nią wzrok, pacjentka tylko skinęła głową i zacisnęła mocniej zęby. Twarda sztuka, pomyślała Cassie. Spodziewałabym się takiej postawy gdzieś w głuszy, wśród mężczyzn, którzy próbują dowieść swojej wytrzymałości, ale nie tutaj, w tym babińcu.

Skończyła zabieg w dziesięć minut.

- Przez dziesięć dni, do dwóch tygodni, ma leżeć w łóżku. Potem może powoli zacząć chodzić.

Matka skinęła głową, a jedna z córek odezwała się uszczypliwie:

- Teraz wszystko jasne, Andy. Zrobiłaś to sobie, żeby się wymigać od pracy. Wiesz, że jutro zaczynamy gradzić to odległe pastwisko.

- Cicho bądź - roześmiała się Estelle. - Andy najbardziej z nas wszystkich lubi pracować z dala od domu.
 - Tylko żartowałam, mamo.
 - Wiesz, że najlepiej czuję się na otwartej przestrzeni i nie wytrzymam długo zamknięta w ciasnym pokoju
 - powiedziała Miranda.
 - Wystarczy - uciszyła je matka. - Dziewczęta, przygotujcie podwieczorek. Nasi goście przed odlotem na pewno chętnie napiją się herbaty.
- Podano herbatę, ciasto z owocami, grzanki i dżem malinowy.
- Od czasu do czasu najbardziej brakuje mi tutaj świeżych babeczek - powiedziała Estelle.
 - A mnie owsianki bez grudek - wtrąciła Cassie. Siedziały w olbrzymiej kuchni, wokół stołu, za którym mógłby wygodnie zasiąść tuzin ludzi nie trącając się łokciami.
 - Mój mąż umarł sześć lat temu - mówiła Estelle. - Od tego czasu dziewczęta nie widziały wielu mężczyzn. Dlatego tak się na ciebie gapią - wyjaśniła przepraszająco Samowi.
 - Chce mi pani powiedzieć, że tę farmę prowadzą same kobiety?
 - Jasne, że tak - odezwała się jedna z córek.
 - To Alberta - oznajmiła matka. - Lepiej przedstawię wam je wszystkie, chociaż i tak pewnie nie zapamiętacie tylu imion. Zacznijmy od końca stołu. Tam siedzi najstarsza, Heather. - Dziewczyna wpatrywała się z uwielbieniem w Sama, ani na chwilę nie spuszczał z niego oczu.
 - Następna to Wilhelmina - Billy. Po niej urodziła się Andy, ta która teraz leży na kanapie. Dalej Alberta, Bertie. Tam
 - wskazała na kolejną córkę - siedzi Luisa, Lou. W końcu nasza mała Paulie. - Cassie zauważyła, że z wyjątkiem Heather, do wszystkich dziewcząt zwracano się zdrobniałymi wersjami imion, które równie dobrze mogły być uznane za

męskie. - Jasne, że same prowadzimy farmę. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy akrów ziemi. Ponad sześćset sztuk bydła.

- Nie potrzeba wam mężczyzn do najtrudniejszych zajęć, do pracy fizycznej? - zapytał Sam.

Estelle potrząsnęła głową.

- Nigdy. Nawet kiedy żył Earl, wszystko robiłyśmy same z jego pomocą. Dziewczęta dorastały zajmując się, jak to mówią, męską robotą. Praca w domu je nudzi.

- Dwa razy w roku przysyłają nam dostawy od Teakle'a i Robbinsa - powiedziała Heather. - Tylko ja byłam kiedyś w mieście. Żadna inna, rzecz jasna z wyjątkiem mamy, nie opuszczała nigdy farmy.

- A co z ubraniami, butami i... - zaczął Sam.

- Pan Teakle zna nasze rozmiary i przysyła nam ubrania, kiedy o to prosimy. Nie potrzebujemy sukienek, a męskie stroje starczą na długo.

Cassie ze śmiechem odchyliła się na krześle.

- Jesteście naprawdę niezwykle. Nigdy nie słyszałam, żeby sześć kobiet samodzielnie prowadziło farmę i nigdy nie odwiedzało miasta.

- Nauczyłam je czytać i rachować - oznajmiła Estelle. - Dorastałam w Sydney i skończyłam szkołę.

Tam poznałam pana Earla Martina. Byłam sekretarką w fabryce narzędzi, w której on pracował.

Najbardziej na świecie chciał zostać hodowcą bydła. Zaoszczędziliśmy pieniądze na pierwszą ratę, kupiliśmy starą ciężarówkę, pobraliśmy się, przyjechaliśmy tutaj i już się stąd nie ruszyliśmy. Nigdy tego nie żałowałam.

- Ale my trochę tego żałujemy, mamó. Żałujemy, że nie nauczyłaś się gotować - powiedziała Lou.

- Wy też nie radzicie sobie w kuchni. Wszystkie tutaj wolimy proste życie pod gołym niebem. - Mimo to dom był czysty, schludny i bardzo kobiecy.

Sam napotkał wzrok Cassie. Zauważyła, że pilot z trudem tłumi śmiech.

- Nie chciałybyście wybrać się do miasta? - zapytał nie patrząc na żadną z dziewcząt. - Zobaczyć jakiś film? Kupić jakiś strój, może ładną sukienkę?

Jedna z sióstr prychnęła lekceważąco.

- A po co nam sukienki?

- Nie chciałybyście zobaczyć, jak żyją inni ludzie, porozmawiać z nimi? - nie ustępował Sam.

- One wiedzą, jak żyją inni - odezwała się Estelle. - Co roku wysyłamy do wydawnictwa Penguin w Londynie zamówienie na pięćdziesiąt dwie książki. Jedna na każdy tydzień w roku. Założę się, że moja rodzina czyta najwięcej w całej Australii.

Dziewczęta milczały. Potem Billy - przynajmniej Cassie się wydawało, że to właśnie ona - odparła:

- Nie jesteśmy więźniarkami. Gdyby któraś z nas chciała stąd odejść, mogłaby to zrobić. Ale w mieście nie ma nic takiego, czego nie mogłybyśmy mieć i tutaj.

- A mężczyźni? - zapytał Sam.

- Już o tym rozmawialiśmy - powiedziała Estelle. - Gdybyście znaleźli kucharza, ale takiego naprawdę dobrego, przyślijcie go tutaj. - Wolno omiotła wzrokiem stół, uśmiechając się do córek. - Miło by było mieć tu mężczyznę, tak dla odmiany. Ale będziemy bardzo wymagające. To musiałby być naprawdę doskonały kucharz. I powinien lubić wieczorne lektury. Nie ma tu nic innego do roboty.

Kiedy wystartowali, Sam powiedział:

- Moim zdaniem wśród tych pięknych kobiet mężczyzna miałby wieczorami wiele ciekawszych rzeczy do roboty niż czytanie książek.

Rozdział dziesiąty

Nawet z powietrza było widać, że Tookaringa to wyjątkowe miejsce. Setki, tysiące drzew... Nie tworzyły lasu, były na to zbyt rzadko rozrzucone. Eukaliptusy ciągnęły się całymi kilometrami. Wśród nich wędrowały stada bydła. Niektóre zwierzęta pasły się na otwartej przestrzeni.

Wąska wstążka niebieskiej rzeki rozszerzyła się, kiedy posunęli się dalej na północ. Jej brzegi gęsto porastały wyniosłe drzewa gumowe.

- Myślisz, że ta rzeka kiedykolwiek wysycha? - zapytał Sam. - Popatrz tam. To chyba właśnie ta posiadłość. No, no!

Przynajmniej tuzin budynków wznosiło się między kępami drzew na zachodnim brzegu jednej z odnóg rzeki. Gumowce się przeredziły i zobaczyli wyraźnie się odcinający prostokątny plac.

Łopoczące na wietrze białe flagi wyznaczały pole do lądowania.

Lekki wstrząs samolotu był jedynym sygnałem tego, że dotknęli ziemi. Maszyna zatrzymała się przed olbrzymim, barakowatym budynkiem pozbawionym zachodniej ściany. Z bliska zobaczyli, że służy jako garaż. W odróżnieniu od innych gospodarstw, które dotychczas odwiedzili, w Too-karindze panował porządek. Narzędzia zawieszono na ścianie

wielkiego garażu. Traktory błyszczały w słońcu. Nie było na nich pyłu, jak na innych farmach. Dwa pick-upy wyglądały tak, jakby przed chwilą opuściły fabrykę.

Wzbity w powietrze przez lądujący samolot kurz wirował jak cyklon. Na polu do lądowania pojawił się chyba z tuzin mężczyzn. Dwóch z nich było tubylcami. Sam wyłączył silnik. Cassie zobaczyła, że gestem dłoni pozdrawia nadchodzących, którzy zgodnie machali do nich rękami.

Sam wstał z fotela, przeszedł na tył samolotu, otworzył drzwi i nachylił się, żeby rozłożyć schodki. Podał ramię Cassie i dał jej znak, żeby wysiadła.

- Dam sobie radę sama - odparła sięgając po torbę lekarską.

Pilot wzruszył ramionami i pierwszy opuścił samolot. Mężczyźni krążyli wokół maszyny, oglądając ją z zainteresowaniem. Na ich twarzach odbijało się zaciekawienie, a nie zdziwienie.

Zza garażu pośpiesznym truchtem nadbiegła Jennifer. Włosy koloru soli z pieprzem związała w gładki kok. Ubrana była w bryczesy i bladoturkusową bluzkę. Miała talię i chód osiemnastolatki. Kiedy zbliżyła się do samolotu, wyciągnęła serdecznie ramiona.

- Witajcie w Tookarindze. - Uśmiechnęła się olśniewająco do Sama, wzięła Cassie pod ramię i pociągnęła ją za sobą. - Na werandzie ustawiliśmy wszystko, co, jak nam się wydawało, będzie wam potrzebne do przyjmowania pacjentów.

Szli wydeptaną ścieżką mijając niskie budynki. Jennifer poprowadziła Cassie do trzeciego z kolei.

- W tym baraku leży jeden z naszych pasterzy. Wczoraj spadł z konia i boimy się, że złamał nogę.

Trochę cierpi, więc może zbadasz go na początku.

Weszła przez otwarte drzwi do przestronnej świetlicy,

w której stały wygodne, choć nie pasujące do siebie fotele i kanapa. Znajdowało się tutaj również radio i czasopisma. Biblioteczka zawierała kilkanaście książek o zniszczonych okładkach, co świadczyło o tym, że często je czytano.

- Walt mieszka w sali przy tym korytarzu - wyjaśniła Jennifer i skierowała się do innego przestronnego pomieszczenia, w którym ustawiono dwanaście prycz. Na jednej z nich leżał pogrążony we śnie człowiek. - Chyba koledzy dali mu coś na sen, żeby nie czuł bólu. - Jennifer uśmiechnęła się, podeszła do pracownika i potrząsnęła jego ramieniem. Mężczyzna coś wymamrotał, ale się nie obudził.

Cassie obejrzała napuchniętą stopę chorego. Nie obudził się, nawet kiedy ucisnęła mu kostkę.

- To tylko zwichnięcie, jednak dość poważne. Kość na szczęście nie jest złamana, ale jeden z palców chyba tak. Bardzo napuchł, a paznokieć zrobił się fioletowy. Oczywiście, ze złamanym palcem u stopy nic nie będziemy robić. Z czasem sam się zrośnie. Wrócę tu później, kiedy pacjent się obudzi. - W zasadzie powinna powiedzieć „wytrzeźwieje”. - Musi tydzień albo dwa zostać w łóżku.

- Dzięki Bogu, że to tylko to - powiedziała Jennifer. Wyprowadziła Cassie z sali na werandę. Znowu ujęła ją pod ramię i powiodła do głównego domostwa. Po drodze wskazywała jej różne budynki. - Tutaj trzymamy zapasy. Dostawy przychodzą tylko dwa razy w roku. Wysyłamy zamówienie do Teakle'a i Robbinsa, a oni dostarczają nam wszystko, czego potrzebujemy. Musimy to jednak gdzieś przechowywać. W zasadzie mamy tu własny sklepik spożywczy. Muszę przewidywać, co będzie nam potrzebne przez następne sześć miesięcy i robić listę zamówień. W tamtym budynku mieszkają kobiety. O wiele tam przytulniej niż u mężczyzn. A tam, tuż przy głównym domostwie, jest biuro Stevena. Za nim mieszkają księgowy i nadzorca. A to... a to, moja droga, jest Tookaringa.

Minęły pozostałe budynki i zatrzymały się na niewielkim wzniesieniu. Pośrodku wielkiego, starannie przystrzyżonego trawnika, w otoczeniu posadzonych w regularnych odstępach dwunastu królewskich palm stał dwupiętrowy, żółtobiały wiktoriański dom, z typowym dachem niby z piernika i ozdobnymi gzymsami. Otaczała go szeroka weranda.

Wznosił się majestatycznie, nietypowo dla tego rejonu kraju, gdzie domy, zresztą nieliczne, były zwykle parterowe. Przy końcu pokrywającego łagodne zbocze trawnika, mniej więcej w odległości trzystu metrów, rosły wysokie gumowce, ocieniając staw. Na jego wodzie unosiły się czarne łabędzie i kaczki.

- Nawet po trzydziestu latach ten dom mnie fascynuje

- wyznała Jennifer ściskając ramię Cassie.

- Nic dziwnego. Jest cudowny. - Ciemno-biały ptak o długim dziobie uniósł się nad drzewami przy brzegu stawu. Jego sylwetka zarysowała się ostro na kobaltowym niebie.

- To żabim. - Jennifer podążyła za wzrokiem towarzyszki.

- Dawniej często urządzaliśmy sobie wieczorne pikniki nad brzegiem rzeki, a Steven woził nas łódką.

- Widać było, że Jennifer tęskni za tamtymi czasami. - Cóż, chodźmy. Zobaczysz, co przygotowaliśmy na werandzie, i powiesz nam, czego ci jeszcze trzeba. Najpierw jednak się odświeżysz

i wypijesz coś zimnego. A może zjesz kanapkę? - Cassie zauważyła kilkanaście ciemnoskórych kobiet i dzieci, siedzących na trawie u stóp schodów do domu. - To rodziny naszych pasterzy. Mieszkają w przybudówkach, tam za tymi drzewami, stąd nie możesz ich zobaczyć. Rodzinom pracowników dostarczamy jedzenie, a teraz, kiedy do nas przybyłaś, chcemy im zapewnić opiekę lekarską. Kiedy Blake miał guwernantkę, zachęcałam ich, żeby przysyłali dzieci na lekcje. Niestety, niewielu skorzystało z tej okazji. Żyjemy

w dwóch odmiennych kulturach i chociaż chcemy, żeby tubylcy przejęli naszą, oni nie bardzo mają na to ochotę. - Potrząsnęła głową. - Prawdopodobnie nie potrafią zrozumieć, dlaczego my nie przyjmujemy ich sposobu życia, dlaczego upieramy się, żeby mieszkać w domach i tak ciężko pracować.

Doszły do szczytu szerokich schodów. Długi stół, nakryty białym płótnem, ustawiono po prawej stronie werandy. W lewej części, osłoniętej siatkami, stały wygodne ogrodowe meble, a wśród nich zwieszała się z sufitu bujana ławka. Cassie nigdy dotychczas nie widziała tak wielkiego domostwa.

- Sprawdź, czy czegoś ci jeszcze potrzeba.

Żeby to stwierdzić, Cassie musiała się dowiedzieć, z jakimi przypadłościami będzie miała dzisiaj do czynienia.

- Przyda mi się trochę wrzątku. Poza tym chyba jest tu wszystko, co potrzeba. Mam nadzieję, że Sam przyniesie z samolotu skrzynkę ze sterylnymi narzędziami. - Postawiła na stole torbę lekarską.

- Napijesz się mrożonej herbaty?

- Doskonały pomysł. Macie pewnie własną prądnicę? Jennifer uśmiechnęła się.

- Steven mi obiecał, że jeśli zdecyduję się wyjechać z Anglii, dopilnuje, żebym tutaj miała takie same warunki jak tam. Słowa dotrzymał. Ostatnio wybudował za domem basen, kryty szklanym dachem i ozdobiony klatkami z papugami. Następnym razem weź ze sobą kostium do kąpieli.

- Myślałam, że w australijskim interiorze panuje susza.

- Tutaj źródła nigdy nie wysychają, ale w ciągu ostatnich lat trzy razy mieliśmy taką suszę, że straciliśmy dziewięćdziesiąt procent stad.

Cassie popatrzyła na nią szeroko otwartymi oczami. Jennifer poklepała ją po ramieniu.

- Nie zawsze było nam łatwo. Ale gdyby nie to, życie byłoby taki nudne. Nasze jest bardzo ciekawe. Tutaj możesz się umyć, a ja dopilnuję, żeby ci podano mrożoną herbatę.

Pół godziny później, kiedy Cassie wyszła na werandę, żeby otworzyć swoją pierwszą klinikę wyjazdową, zastała na stole pudło z narzędziami, ale nigdzie nie dostrzegła Sama.

Tego wieczora jedli kolację w towarzystwie Jennifer i Stevena.

- To najlepszy posiłek w moim życiu - pochwalił Sam.

- Ruby jest u nas od ponad dwudziestu lat - odparła Jennifer. - Ci, którzy mówią, że aborygeni nie lubią pracować i często uciekają na włóczęgę, nie znają naszej kucharki.

- Cóż - odezwał się Steven. - Nasi pracownicy nie wyruszają na włóczęgi zbyt często, ale wielu innych tubylców to robi.

- Nie będę się upierała, że nikomu z nich się to nie zdarza - odparła jego żona. - Ale z pewnością nasi pracownicy od wielu lat są nam oddani i sumiennie pracują.

- Co to takiego te włóczęgi? - zapytała Cassie. Odpowiedział jej Sam.

- Ludzie różnie to rozumieją. Większość nadzorców, właściwie większość moich znajomych twierdzi, że to po prostu ucieczki czarnych, którzy nie mają ochoty pracować. Aborygen nigdy nie uprzedza, że niedługo odejdzie. Pewnego dnia zwyczajnie znika, a inni mówią ci, że wyruszył na włóczęgę. Ja uważam, że dla nich te wyprawy mają wymiar duchowy. To podróż w poszukiwaniu czegoś, może kontaktu z duchami przodków.

- Zgadza się - przerwała mu Jennifer. - Złoipi nas, że nie chcą przejąć naszego sposobu życia. My...

- Ma na myśli białych ludzi - wyjaśnił Steven.

- Ludzi, którzy okupują ziemię tubylców - ciągnęła kobieta.
 - To chyba za mocno powiedziane. - Głos Stevena przybrał wojowniczy ton.
 - Ale przecież chcemy, żeby ubierali się tak jak my, wierzyli w naszego Boga...
 - To znaczy w chrześcijańskiego Boga białego człowieka - wtrącił znowu Sam.
- Jennifer skinęła głową.
- Chcemy, żeby mieszkali w domach takich jak nasze.
 - Nigdy tego nie zrobią - stwierdził Steven.
 - W zamkniętych pomieszczeniach dostają ataków klaustrofobii - wyjaśniła Jennifer. - Wolą budować sobie schronienie z gałęzi drzew, tymczasowe szałas pod gołym niebem, w których nie tracą kontaktu z naturą. Mogą się z nich wyprowadzić, kiedy zrobi się tam brudno albo kiedy chcą wyruszyć na wspólną włóczęgę.
 - Jeśli zamieszkają w domu, natychmiast go demolują - powiedział Steven. - Nie uznają naszych wartości...
 - Ale przecież my też nie uznajemy ich wartości - przerwał mu Sam. - Uważam, że tubylcy są bardziej... bardziej uduchowieni, niż my. Żyją zgodnie z naturą, szanują swoich przodków.
- Jennifer, zadowolona, że znalazła pokrewną duszę, wtrąciła z uśmiechem:
- To łagodni, pokojowo nastawieni ludzie.
 - Jenny uwielbia tubylców - oznajmił jej mąż. - Zauroczył ją mit szlachetnego dzikusa. Nie dostrzega, że są brudni i leniwi. Na wszystkich swoich obrazach maluje ich i ich ziemię.
 - Na obrazach? - zdziwiła się Cassie. Nagle poczuła się jak w obcym kraju. Z dzieciństwa i letnich wakacji zapamiętała zupełnie inną Australię. W Melbourne widziała kilku aborygenów, ale ich kultura była jej zupełnie obca.

- Jennifer maluje - wyjaśnił Steven. - Jest w tym świetna.
- On nie ocenia mnie obiektywnie - odparła z uśmiechem żona.
- Czy mogę obejrzeć twoje obrazy? - zapytała Cassie.
- Oczywiście. Teraz nie mam zbyt wielu. Zawsze znajdzie się ktoś, komu chcę je podarować na ślubny prezent albo na urodziny. Czasami daję obraz komuś, kto przyjedzie do nas w odwiedziny i podoba mu się moje malarstwo. Odkryłam, że lubię malować, wiele lat temu, kiedy Steven przez całe tygodnie nadzorował przepędzanie stad daleko od domu. Czasami przyjeżdżał do domu raz na półtora miesiąca. Teraz Blake zajmuje się tą pracą. Dzięki Bogu, mąż rzadko wyjeżdża gdzieś dalej. Malowanie pozwoliło mi zostać przy zdrowych zmysłach na samym początku, po przyjeździe do Australii, kiedy wydawało mi się, że brak towarzystwa oznacza samotność.

Ciemnoskóra służąca wniosła deser - duże, okrągłe francuskie ciasto, ozdobione bitą śmietaną i owocami. Tęgie ciało kobiety okrywała schludna sukienka, a Cassie najbardziej rozbawiło to, że służąca nie nosiła butów i jej bose stopy klaskały dźwięcznie po deskach podłogi.

Sam chciał zapalić papierosa, ale spojrzał na Cassie i schował paczkę do lewej kieszeni koszuli. Podano kawę.

- Mamy na naszym terenie kilka ciężarnych kobiet - odezwała się Jennifer. - Następnym razem mogłabyś spróbować namówić je na badania. To może zabrać trochę czasu. Steven wpadł na pomysł, żeby je czymś przekupić.

- Jak to się stało, że na waszej ziemi żyje tylu aborygenów?

- To wspaniali myśliwi - odparł Steven. - Świetni poganiacze. Radzą sobie z bydłem jak nikt inny. Doskonale jeżdżą konno. I bardzo sobie cenią tę pracę. Nie spotkałem

jeszcze leniwego poganiacza. Chyba mają do tego wrodzone zdolności. Kiedy zatrudniamy tubylca, jego rodzina automatycznie osiedla się na naszej ziemi. Nie płacimy im wiele, bo wtedy nie moglibyśmy ich tylu zatrudniać, ale karmimy ich rodziny i zapewniamy im naukę, jeśli chcą się uczyć...

- Niestety, zwykle nie mają na nią ochoty - powiedziała Jennifer.

- Prawda. Smutna prawda.

- Dlaczego smutna? Czego możemy nauczyć ich o życiu, jakie chcą prowadzić?

- Możemy nauczyć ich wiele o życiu, do którego będą musieli się przystosować - odparł Steven, a Cassie miała wrażenie, że Thompsonowie już nieraz dyskutowali o tym problemie. - Jutro po raz pierwszy zobaczysz aborygeńską misję, prawda? - zapytał ją Steven.

- W Yancannie?

- Nie, tam jest izba chorych. Tam polecicie w poniedziałek. Jutro czeka cię wyprawa do Narrabingi. Misję prowadzi katolicka zakonnica.

Misjonarka nosiła szorty. Cassie pomyślała, że to dobry początek. Tutaj, w tropikach, sama miała ochotę przywdziać taki strój. Na długie spodnie było zbyt gorąco. Wszyscy mężczyźni, których tu spotkała, nosili szorty i podkolanówki. Te ostatnie wydały się jej trochę pretensjonalne. Może jeśli ta zakonnica zdecydowała się włożyć szorty, Cassie też się na to odważy. Oczywiście dopiero wtedy, kiedy ludzie się już przyzwyczają, że chodzi w męskich spodniach. Zmiany należy wprowadzać powoli.

Szorty misjonarki były luźne i dość długie. Z pewnością nie dodawały jej kobiecości. W ogóle nie wyglądała pociągająco. Jej nijakie, siwiejące włosy sprawiały takie wrażenie,

jakby położyła na głowie miskę i przycięła je wzdłuż jej brzegu. Nosiła okulary w szylkretowych oprawkach, zsunięte na czubek nosa.

- Dzięki Bogu! - powitała ich. - Jestem siostra Ina.

- Wyciągnęła rękę i energicznie uściśnęła dłoń Cassie.

- Mamy nadzieję, że wkrótce zdobędziemy radiostację na pedał, ale tymczasem musimy obchodzić się bez niej. Akurat dzisiaj bardzo potrzebujemy lekarza!

Bez dalszych wyjaśnień odwróciła się na pięcie i niemal truchtem podążyła od niskiego baraku z blachy falistej, ocienionego wysokimi palmami.

Cassie poszła za nią ściskając torbę lekarską. Na klepisku leżał twarzą do ziemi ciemnoskóry człowiek. Głowę miał odwróconą od drzwi, a rozrzucone ramiona sprawiały, że wyglądał tak, jakby właśnie w tym miejscu bezwładnie padł na ziemię. Między łopatkami, w połowie pleców, sterczała włócznia, długa niemal na półtora metra.

- Dobry Boże! - wykrzyknęła Cassie.

- Jest tu od niespełna godziny i nie wiemy, jak wyjąć to z jego pleców.

Cassie przyklękła obok chorego.

- Od jak dawna jest nieprzytomny? - zapytała.

- On jest przytomny - odparła ponuro misjonarka. Powiedziała do mężczyzny coś, czego Cassie nie zrozumiała. Ranny otworzył oko. Stęknął i znowu je zamknął. Cassie widziała, że włócznia zaledwie o włos minęła rdzeń kręgowy. Najwyraźniej nie strzaskała kręgow, gdyż w takim wypadku nastąpiłaby natychmiastowa śmierć. Z kąta, pod jakim sterczała włócznia, Cassie wywnioskowała, że ostrze znajduje się blisko serca, ale gdyby przebiło aortę, pacjent już by nie żył. Studia w akademii medycznej nie przygotowały jej do takich przypadków.

W tej samej chwili do baraku wszedł Sam.

- Mój Boże! - jęknął.

- No tak, mój Boże - odparła siostra Ina. - Właśnie staramy się znaleźć jakiś sposób, żeby to z niego wydobyć. Niezły pasztet, co?

- Łagodnie powiedziane! Te narzędzia, które mam ze sobą, nie wystarczą. - Cassie wstała. - Macie tu obcęgi albo klucz?

- Jasne, w warsztacie - odparła zakonnica. - Chodźcie ze mną.

Cassie spojrzała na Sama.

- Czuję, że będziesz mi potrzebny. Masz więcej siły w rękach niż ja.

- Dzięki Bogu - uśmiechnął się Sam. Nie odpowiedziała mu uśmiechem.

W warsztacie znaleźli obcęgi i klucz francuski.

- Miejmy nadzieję, że to wystarczy.

Kiedy wszystko było przygotowane, Cassie oznajmiła misjonarce:

- Będzie siostra musiała podawać pacjentowi środek nasenny. - Wyjęła z torby tampon z gazy i buteleczkę z eterem.

- Tym razem mnie to ominie? - zapytał Sam z ulgą.

- Tak. Ty będziesz mi potrzebny, żeby wyciągnąć tę cholerną włócznie. - Sam spojrzał na nią zaskoczony. - Bądź ostrożny. Musisz uważać, żeby nie złamać kręgu. - Zauważyła, że patrzy na nią pytająco, nie rozumiejąc, o co chodzi. - Kręgi to takie kostne segmenty, z których zbudowany jest kręgosłup. Żeby nie złamać kręgosłupa pacjenta, będziesz musiał ciągnąć włócznie wprost do siebie. Nie próbuj odchyłać jej na boki, po prostu ciągnij. - Odwróciła się do siostry Iny. - Siostra poda eter, on pociągnie za drzewce, ale będziemy też potrzebować kogoś, kto przytrzyma pacjenta, żeby Sam mógł szarpnąć z odpowiednią siłą. Może siostra zawołać ze dwóch silnych mężczyzn do pomocy?

Zakonnica zniknęła.

- Co się stanie, jeśli złamię kręgi? - zapytał Sam. Cassie zerknęła na niego spod oka. Jej również to pytanie

przyszło do głowy.

- Postaraj się tego nie zrobić.

Siostra wróciła z dwoma roslymi aborygenami i wyjaśniła im, że mają przycisnąć pacjenta do ziemi, żeby Sam mógł wyciągnąć włócznie.

- Nie dajcie mu się ruszyć - poleciła Cassie. Skinęła misjonarce głową. - Zaczynamy. Po jednej kropli.

- Wyjaśniła siostrze, jak podawać eter. Uklękła nad pacjentem, przycisnęła dłońmi skórę otaczającą drzewce i zwróciła się do Sama. - Oprzyj nogę na jego pośladkach, żeby zachować równowagę. On tego nie poczuje. Teraz pociągnij, ostrożnie, ale zdecydowanie.

Włócznie ani drgnęły.

Sam zaczął się pocić. W baraku było gorąco.

- Dobrze - odezwała się Cassie. - Wyciągniemy ją po trochu. Spróbuj obrócić włócznie za pomocą tego klucza.

- Włócznie drgnęły, ale bardzo nieznacznie. - Teraz delikatnie ciągnij. Najpierw trochę przekręć, potem ciągnij. - Sam wykonał jej polecenie. Skóra wokół rany przywarła do włócznie. - Zaczekaj!

Popatrz. Kiedy obracasz, skóra porusza się razem z włócznie. Musisz wyciągnąć ją na kilka milimetrów i chwilę poczekać, a ja tymczasem odsunę skórę od ostrza.

- Biedaczek - wyszeptała siostra Ina, wylewając kropelkę eteru na gazę.

- Ciągnij - poleciła Cassie, naciskając dłońmi na plecy chorego wokół rany, żeby skóra nie wkręcała się w ostrze.

- Co kilka obrotów lekko wciśnij włócznie w dół. Nie rozerwij skóry. - Zdała sobie sprawę, że poci się nie tylko z powodu upału.

Krople potu błyszcząły również na twarzy Sama. Dla odpoczynku na chwilę przerwał zmagania i Cassie podniosła na niego wzrok. Obrócił kluczem drzewce i zręcznie pociągnął do siebie.

- Zaczekaj, skóra odchodzi razem z włócznią. Obróć lekko i nie ciągnij do góry. O, już mam. Teraz obracaj.

Minęło około piętnastu minut, zanim Sam uchwycił rytm kolejnych czynności. Potem sprawnie obracał lekko klucz, przekręcał drzewce i ciągnął je do siebie, a Cassie pilnowała, żeby skóra nie przywarła do włóczni. Ostrze zaczęło się wysuwać.

Po ponad godzinie włócznia z cichym młaśnięciem wyszła z pleców rannego. Krew buchnęła jak z gejzera. Cassie szybko zacisnęła brzegi rany palcem wskazującym i kciukiem, sięgnęła po nasączony kolodium tampon, który mocno przycisnęła do rany. Chwyła strzykawkę i zrobiła pacjentowi zastrzyk z adrenaliny.

- Jak to się stało? - zapytała wstając.

Siostra Ina oddała jej buteleczkę z eterem i gazę.

- Prawdopodobnie złamał jakieś prawo plemienne. Nigdy się tego dokładnie nie dowiemy. Ktoś, kogo wyznaczono do wykonania wyroku, nie spisał się. Czy on wydobrzeje?

Cassie sama nie знаła odpowiedzi na to pytanie.

- Sam zrobił kawał dobrej roboty. - Zauważyła, że pilot zniknął. - Nie wiem, czy pacjent przeżyje.

Nigdy jeszcze nie miałam do czynienia z podobnym przypadkiem. Już by nie żył, gdybyśmy się nie zjawili.

- Niezbadane są wyroki Pańskie... - Zakonnica uśmiechnęła się. - Może herbaty?

- Nie, dziękuję. Napiałabym się czegoś zimnego. Misjonarka potrząsnęła głową.

- Przykro mi. Tutaj to niemożliwe.

Sam stał pod palmą i zaciągał się papierosem.

Podczas przyjęć w terenie Cassie spotkała się głównie z owrzodzeniami i bliznami spowodowanymi trądem, który na tych terenach występował coraz rzadziej, i z frambezią, tropikalną chorobą skóry. Oglądała też stare, zaniedbane rany. Zgłaszały się do niej tylko kobiety i dzieci.

Na brzuchu jednej z dziewcząt, która nie wyglądała nawet na dwanaście lat, dostrzegła jasne smugi.

- Można by pomyśleć, że to rozstępy po ciąży - powiedziała.

- Tak też jest - oznajmiła siostra Ina, która przez całe przedpołudnie nie odstępowała jej na krok. - Tutaj dzieci rodzą dzieci. Musisz zrozumieć, że tutejsi mężczyźni wykorzystują kobiety i młode dziewczęta, kiedy mają na to ochotę. Na przykład kiedy idą ścieżką i zobaczą ładną kobietę albo dziewczynę, biorą ją bez zastanowienia. To nie ma dla nich żadnego znaczenia.

- Czy nie ma to znaczenia również dla kobiet? Zakonnica wzruszyła ramionami.

- Kto to może wiedzieć? Ten problem nie dręczy ich tak jak nas. Doszłam do wniosku, że jeśli ich obyczaje miałyby mnie oburzać, to nie powinnam tutaj pracować. W końcu jestem na ich terenie. Staram się jednak dopilnować, żeby kobiety i dzieci nie były tak często bite. W zasadzie aborygeni to łagodni ludzie. Po prostu myślą inaczej. Żyją chwilą, nie zastanawiają się nad przyszłością. Biorą sobie to, czego w danym momencie pragną. Prawa plemienne nie stosują się do kobiet, a nawet jeśli tak jest, to kobiety o tym nie wiedzą. Nie wolno im brać udziału w plemiennych obrzędach ani nawet znać tych praw.

Cassie patrzyła na zakonnice ze zdziwieniem.

- Jak siostra znosi życie między tymi ludźmi? Przecież to chyba trudno wytrzymać.

W uśmiechu siostry widać było cień melancholii.

- Nie jestem pewna, dlaczego wciąż tutaj trwam. To chyba za sprawą Boga. Dlatego tutaj przyjechałam. Teraz mi się tu podoba. Nie mogłabym wrócić do Anglii. Tutaj przynajmniej mogę usprawiedliwiać problemy tubylców ich ignorancją lub, jeśli wolisz, niewinnością. A jak wytłumaczyć problemy nękające współczesną cywilizację? Ludzie dobrze wiedzą, jak należy postępować, a mimo to robią takie okropne rzeczy.

Okazało się, że najczęstszym problemem zdrowotnym w tych stronach był ból zęba. Cassie wyrwała dwanaście zębów. Jedyne kleszcze dentystyczne, jakie przywiozła, nadawały się do górnych i dolnych siekaczy oraz do usuwania złamanych korzeni.

- Sama zobaczysz, że kobiety zawsze znoszą wyrywanie zębów z większym spokojem - powiedziała siostra Ina.

Udręczony bólem, w strachu przed lekarzem i medycznymi instrumentami, każdy pacjent zmieniał się nie do poznania, kiedy ząb został usunięty i następowała wyraźna ulga. Wyrywanie zęba było zwykle mniej bolesne niż długie tygodnie cierpienia, jakie musiał przedtem znieść. Pacjent zwykle nie mógł się nadziwić, że ząb zniknął i straszliwy ból ustąpił.

Cassie była gotowa do odlotu dopiero po trzeciej. Pot spływał jej po twarzy i zalewał oczy, które szczypały od soli. Chustka, którą wycierała czoło, po chwili stała się całkiem mokra.

- Dzisiaj zjawily się tylko najcięższe przypadki - powiedziała jej Ina. - Ale wkrótce wszyscy w okolicy się dowiedzą, że dzięki tobie mija ból zębów i że uratowałaś życie temu człowiekowi. Mam nadzieję, że do czasu następnej wizyty uda mi się namówić kilka kobiet w ciąży, żeby zgłosiły się na badanie. Nie mogę jednak nic obiecać. Może pozwolą zaszczepić dzieci. To musi trochę potrwać. Nigdy jeszcze nie dano im możliwości skorzystania z opieki medycznej.

- Od jak dawna siostra tutaj mieszka? - zapytała Cassie. Była tak wyczerpana, że wątpiła, czy starczy jej energii, żeby dojść do samolotu. Wiedziała, że w kabinie będzie gorąco, ponieważ maszyna przez ponad sześć godzin stała w pełnym słońcu.

- Od siedmiu lat - odparła zakonnica, wycierając pot ze skroni.

Sam stał w cieniu palmy, nie opodal samolotu. Kiedy zobaczył, że Cassie się zbliża, zgasił papierosa i wyciągnął rękę po jej torbę.

- Dam sobie radę - powiedziała.

- Do zobaczenia w przyszłym miesiącu - pożegnał zakonnice i pierwszy wskoczył do samolotu. Stał przy wejściu i kiedy Cassie weszła na pokład, złożył schodki i zatrzasnął drzwi.

- Serdeczne dzięki! - zawołała siostra Ina.

Cassie opadła na fotel i zamknęła oczy. Boże, jak gorąco.

Rozdział jedenasty

Jennifer spojrzała raz na Cassie i natychmiast zaproponowała jej drzemkę przed wieczornym barbecue. Cassie spałaby przez całą noc, gdyby gospodyni o siódmej nie zapukała lekko do drzwi. W promieniu setek kilometrów nie mieszkali inni właściciele wielkich farm, ale Thompsonowie zaprosili wszystkich okolicznych mieszkańców. Nadzorca wraz z żoną, księgowy Stevena, wszyscy zatrudnieni na farmie, poganiacze i pasterze, którzy nie przebywali akurat w buszu, ogrodnik i jego żona, dwóch mechaników i weterynarz - każdy, kto dla nich pracował został zaproszony na spotkanie z nowo przybyłą lekarką. W tej liczbie znajdowały się ze dwa tuziny dzieci.

- Uwielbiam takie przyjęcia - oświadczyła Jennifer, przysiadając na skraju łóżka Cassie. - Australia to najbardziej egalitarny kraj na świecie. W Anglii nie zaprasza się służby. Nie ma tu dzisiaj wielu naszych pracowników, bo przepędzają bydło na odległych pastwiskach. Żałuję, że Blake nie mógł przyjechać. Spodobałabyś mu się.

- Nie wiem, czy przywiozłam odpowiedni na taką okazję strój - wyznała Cassie, spoglądając na brzoskwiniową, jedwabistą suknię Jennifer, przylegającą do jej wspaniałej figury.

- Och, połowa zaproszonych kobiet nawet nie ma żadnego wieczorowego stroju. Ale nie mów mi, że zamierzasz wystąpić w bryczesach.

- Nie, mam ze sobą sukienkę.

Jennifer zapewniła ją, że suknia jest śliczna. Kiedy razem schodziły po schodach, wszystkie oczy zwróciły się w ich kierunku. Krótkie, kasztanowate włosy otaczały aureolą głowę Cassie. Jej uszyta z delikatnego batystu czerwona suknia w białe grochy wzbudziła zainteresowanie kobiet - nigdy jeszcze nie widziały podobnej kreacji. Nie dziwiła ich elegancja Jennifer, były do niej przyzwyczajone, ale widok nieznajomej lekarki w pięknej sukni sprawił, że nowo przybyła wydała im się mniej onieśmielająca i mniej... profesjonalna.

- Wszyscy mężczyźni będą chcieli z tobą zatańczyć -szepnęła jej Jennifer.

- Wolałabym porozmawiać z kobietami - odparła cicho Cassie. - Przecież to właśnie one potrzebują mnie najbardziej.

- Niekoniecznie. - Jennifer puściła jej ramię. - A poza tym, z kobietami możesz rozmawiać przy innych okazjach. Tańce są po to, żeby spędzać czas w męskim towarzystwie.

Cassie rozejrzała się. Nie dostrzegła nikogo w typie Raya Grahama. Nie było więc niebezpieczeństwa. Może powinna dzisiaj pozwolić sobie na trochę rozrywki, na tańce z poganiaczami, stajennymi, mechanikami, z parobkami i z osadnikami. Trochę dzisiaj zaszaleje.

W powietrzu unosił się zapach pieczonej wołowiny. Mięso przez cały dzień piekło się na węglu drzewnym. Wielkie misy sałaty i fasoli umieszczono na trzymetrowych stołach, ustawionych na frontowym trawniku, łagodnie biegnącym ku rzece. Na długich blatach, ustawionych na podpórkach, w regularnych odstępach stały talerze z herbatnikami i ciastem z dyni, półmiski z wielkimi, czerwonymi pomidorami i kawałkami sera, dzbanki mleka i mrożonej herbaty.

Zjawił się Steven.

- Witam, moje panie. Wyglądacie prześlicznie. Chodźcie za mną. Własnymi rękami przygotowałem dwa koktajle. Już na was czekają.

- Chętnie się napiję, jeśli tylko są w dużej szklance i zimne - odparła Cassie.

- Tam jest twój pilot. - Steven skinieniem głowy wskazał Sama, który rozmawiał z kilkoma pracownikami. - Zdaje się, że pija tylko piwo. Czy wiesz, że Australijczycy wypijają więcej piwa na głowę niż jakikolwiek inny naród?

Cassie zastanawiała się, czy to powód do dumy.

- Nasi pracownicy nie będą dziś mogli oderwać od ciebie oczu. - Steven uśmiechnął się szeroko. - Są tak nieśmiali, jak wszyscy mężczyźni, ale dzisiaj każdy będzie chciał z tobą zatańczyć, mimo że jesteś lekarką. Nie denerwuj się, kiedy zauważysz, że wszyscy się na ciebie gapią. Tutaj niewiele kobiet wygląda tak jak ty.

- W ogóle nie mamy tutaj wielu kobiet - wtrąciła Jennifer. - W zasadzie tylko dziewczęta, która pracują w naszym gospodarstwie. Mężczyźni bardzo się cieszyli, kiedy Blake był jeszcze dzieckiem i zatrudnialiśmy guwernantkę. Ale to już dawne dzieje.

- Daleko stąd do jakiejś szkoły, prawda?

- Niestety. Zawsze stać nas było na guwernantkę, ale każda z nich mniej więcej po roku wychodziła za mąż. W końcu były to jedyne kobiety w takiej masie mężczyzn. Jednak w buszu żyje wiele rodzin, których nie stać na nauczycielkę, a rodzice nie są wystarczająco wykształceni, żeby samodzielnie uczyć swoje dzieci. Czasami dziecko ma wyjątkowe szczęście, jeśli uda mu się nauczyć alfabetu i najprostszych rachunków. To jest jeden z wielkich problemów, jakie napotykają ci, którzy zdecydują się na założenie tutaj rodziny. Kiedy dziecko ma dwanaście lat, trzeba wysłać

je do miasta, do szkoły z internatem. To jest bardzo kosztowne i większości ludzi na to nie stać. Ci z nas, którzy mają pieniądze, ponoszą inne koszty życia na pustkowiu. Nasze dzieci wcześniej od nas odchodzą. To wysoka cena, jaką się płaci za pionierskie życie.

- Mamy więcej szczęścia niż inni - odezwał się Steven. - Mogliśmy sobie pozwolić na guwernantki i dobre szkoły. Blake zdobył dyplom w dziedzinie zarządzania, chociaż tutaj nie bardzo mu się to przydaje. Jego celem jest prowadzenie tego rancha. Ale ma dobre wykształcenie.

- Ho, ho, doktorku! - Za plecami Cassie rozległ się głos Sama. - Nigdy bym cię nie poznał. Odwróciła się i zobaczyła, że mierzy ją pełnym uznania wzrokiem. Trochę speszona uniosła szklaneczkę i zawirowała w piruecie.

- Czyżbym nie wyglądała jak lekarz?

- Wyglądasz jak stuprocentowa kobieta - odparł. - Mogę poczęstować się jeszcze jednym piwem? - zapytał Stevena.

- A więc to ty zabiłaś mojego tubylca!

Steven otoczył ramieniem przysadzistego, siwego mężczyznę, który wypowiedział te słowa.

- Ian, jeszcze nie wiesz, kto to jest. To nasza nowa pani doktor...

- Nie chciała zbadać jednego z moich ludzi, kiedy ją o to prosiłem, i człowiek umarł.

Cassie poczuła, że jeżą się jej włosy na karku. Zauważyła, że Sam zawrócił i stanął obok niej.

- Chciałam się tylko dowiedzieć, czy ma gorączkę i...

- Człowiek umarł.

- Z pewnością nikt by nie mógł mu pomóc - odezwał się Steven.

Ian James spojrział na Cassie. Potem odwrócił się na pięcie i odszedł. Cassie miała ochotę zapaść się pod ziemię.

- Nie przejmuj się tym - uspokajał ją gospodarz. - Wszyscy popełniamy błędy.
- Ona będzie się tym przejmowała - powiedział Sam. - A poza tym, to nie był błąd. James przerwał rozmowę. Sam słyszał. Nie chciał współpracować. PSM to nie latająca karetka pogotowia. Zanim wyprowadzę samolot z hangaru, Cassie musi się upewnić, że to naprawdę poważny przypadek. Lot jest bardzo drogi, a w dodatku byłoby to marnowanie czasu.

Cassie miała ochotę powiedzieć: „Serdeczne dzięki za taką obronę, Sam”.

- Żeby postawić diagnozę, muszę mieć dokładny opis symptomów i historii choroby. Pan James nie chciał mi nic powiedzieć.

Steven poklepał Cassie po ramieniu.

- Przywyknij do tego - poradził jej.

W ciągu kilku minut zgromadziło się wokół Cassie kilku mężczyzn, dając Stevenowi okazję, aby ich przedstawił. Sam odszedł porozmawiać z młodymi kobietami, które stały w gromadce nie opodal. Po chwili Cassie straciła go z oczu.

Kiedy doszła do siebie po ataku lana Jamesa, zdała sobie sprawę, że dobrze się bawi w otoczeniu mężczyzn, którzy nic ją nie obchodzą, których może prowokować do pełnych zachwyty spojrzeń i śmiałych uwag. Uzmysłowiła sobie, że wkładając elegancką wieczorową suknię pozbyła się zasadniczego, profesjonalnego sposobu bycia lekarki.

Słońce powoli schodziło coraz niżej na cynobrowym niebie. Zrobiło się mniej upalnie, a na przyjęciu zapanowała ożywiona, wesoła atmosfera. Jennifer i Steven dopilnowali, żeby Cassie została przedstawiona wszystkim obecnym. Doszła do wniosku, że nigdy jeszcze nie spotkała tak przyjacielskich ludzi.

Do kolacji posadzono ją między dwoma pasterzami.

Naprzeciw miała trzech innych. Tylko jeden z nich opanował sztukę towarzyskiej pogawędki i Casie musiała wyszukiwać tematy do rozmowy, ale i tak czas płynął jej miło.

Po posiłku, kiedy na niebie rozbłysły gwiazdy, usłyszała dobiegające z werandy dźwięki strojonych skrzypiec. Wkrótce w powietrzu rozległo się łagodne zawodzenie trąbki, jakby grał Harry James.

Potem dołączyło się kilka innych instrumentów i zaczęły się tańce. Otworzono szklane drzwi do salonu, tak że obszerna weranda i wielki pokój utworzyły salę balową. Zdjęto dywany i ukazał się lśniący, świeżo wywoskowany parkiet. Zablysły zawieszane na werandzie chińskie lampiony, a orkiestra zagrała żywiołowe amerykańskie piosenki, przeplatane wolnymi fokstrotami.

Przez całą wieczór Cassie przechodziła z jednych męskich ramion w drugie, nie mając okazji nawet do krótkiego odpoczynku. Umierała z pragnienia, kiedy Sam odbił ją kolejnemu partnerowi.

- Dobrze tańczysz - odezwała się po kilku minutach. Przez jakiś czas w milczeniu krążyli wolno po parkiecie. - W dodatku jesteś doskonałym asystentem medycznym - dodała.

Roześmiał się.

- Wczoraj świetnie się spisałem, co? Mam na myśli tę włócznię.

Oczy Cassie rozbłysły.

- Czy mam opowiedzieć tym dziewczętom, jaki jesteś wspaniały?

Potrząsnął głową, obracając zamaszyście swoją partnerką.

- Dziękuję, ale nie trzeba. Same się wkrótce o tym przekonają.

Orkiestra zagrała szybkiego amerykańskiego jitterbuga pod tytułem „Elrner's Tune”. Większość par zeszła z parkietu.

- Chcesz spróbować to zatańczyć? - Sam uniósł brew.

- Myślisz, że nie potrafię? - zapytała Cassie zaczepnie.

- Dobra, doktorku, pokażmy im, co potrafimy. - Zaczął obracać ją wokół siebie, na przemian odpychał i znów ujmował jej rękę, kiedy partnerka wirując powracała do niego. - No, no, niezła jesteś! - stwierdził z podziwem. Tańczyli dalej. Cassie z wycuciem poddawała się jego prowadzeniu. Parkiet opustoszał. Wszyscy na nich patrzyli, klaszcząc w rytm muzyki. Sukienka wirowała szeroko, kiedy Cassie obracała się wokół Sama. Trzymał jej dłoń delikatnie, ale stanowczo. Na jego twarzy malowało się zadowolenie. Świetnie tańczył i doskonale prowadził. Zauważyła, że wplatał do tańca dodatkowe kroki, jakby chciał sprawdzić, czy za nim nadąży.

Kiedy muzyka zamilkła, rozległy się głośnie brawa. Szeroko uśmiechnęli się do siebie. Sam skłonił się nisko. Widać było, że się popisuje. Cassie dygnęła. Czowała, że wyzwala jakąś część swojej osobowości. Nie robi tego pod wpływem Sama, ale raczej atmosfery australijskiego interioru, pod wpływem nowego życia. Wszystko tu było dla niej nowe i bardzo jej się podobało.

Kiedy w poniedziałek rano wyruszali do Yancanny, oboje zgodnie stwierdzili, że spędzili w Tookarindze niezwykły weekend. Wielkie wrażenie zrobiły na nich obrazy Jennifer, przedstawiające twarze aborygenów, otwarte połacie czerwonej ziemi, drzewa, skały i niezmierzoną przestrzeń. Wiele się nauczyli i odpoczęli. Ostatniego wieczora grali w brydża i dużo się śmiali. Cassie czuła, że w Thompsonach znalazła dwoje nowych przyjaciół.

Tak wiele łączyło ją z Samem. Razem pracowali i bawili się. Podczas tańca trzymał ją w ramionach, ale nawet teraz nie miała wrażenia, że lepiej go poznała.

Może to i dobrze.

Yancanna leżała tuż pod nimi, ale z samolotu była ledwie zauważalna. Nie dostrzegli tyłu budynków co w Tookarindze. Znajdowała się tu poczta, izba chorych i sklep. Stało tutaj zaledwie pięć budynków, chyba że policzyć również posterunek, który jednocześnie służył policjantowi za dom. Cassie zastanawiała się, dlaczego na takim odludziu urządzono pocztę, ale dowiedziała się, że ta instytucja obsługuje ludzi na obszarze ponad osiemnastu tysięcy kilometrów kwadratowych.

Dwie pielęgniarki, Marianna i Brygida, miały niewiele ponad dwadzieścia lat i pracowały w Yancannie od dziewięciu miesięcy. Brygida pojechała do buszu, żeby odebrać poród, ale Marianna i niemal dwumetrowy policjant Walt Davis, którego wszyscy nazywali Szefem, wyszli im na spotkanie, kiedy samolot wylądował na płaskim polu za izbą chorych.

Marianna miała na sobie tradycyjny biały strój pielęgniarki. Była to ładna młoda kobieta. Ciemne brwi podkreślały niemal czarne oczy. Nieustannie odsuwała z czoła kosmyki niesfornych włosów, które kolorem przypominały jej tęczę.

- Nawet nie macie pojęcia, jacy jesteśmy szczęśliwi, że przyjechał do nas lekarz - oznajmiła, wyciągając rękę na powitanie.

Szef pomógł Cassie nieść torbę. Był to najwyższy mężczyzna, jakiego dotychczas widziała. Opalony, o szerokich ramionach, miał twarz o wyrazistych rysach, pobrużdżoną na skutek spędzonych w ostrym słońcu lat, chociaż policjant nie przekroczył jeszcze trzydziestki. Uścisnął rękę Samowi.

Marianna wyjaśniła, że Brygidzie jest bardzo przykro, ponieważ nie mogła poczekać na przybycie lekarki. Potem zaprowadziła ich do szpitalika. Jak inne szpitale w interiorze, i ten był dwupiętrowy, zbudowany z betonu dla ochrony

przed termitami. Szerokie schody prowadziły na werandę. Przez duże, podwójne drzwi wchodziło się do obszernego korytarza. Podłogi wykonano z wypolerowanego mahoni. Przestronny oddział i gabinet lśniły czystością. Gabinet, którego używano do drobnych zabiegów chirurgicznych i przyjmowano w nim pacjentów, był doskonale wyposażony. Po lewej stronie korytarza znajdował się oddział na trzy łóżka, w tej chwili pusty. Po prawej zobaczyli dużą świetlicę, a za nią kuchnię. Te dwa pokoje stanowiły centrum towarzyskie dla mieszkańców kilku tysięcy kilometrów kwadratowych.

- Wszyscy z okolicy zjeżdżają się tu na święta - mówiła Marianna. Uśmiechnęła się do Szefa. - Ostatnio czytał nam „Opowieść wigilijną” Dickensa. To było wspaniałe.

Cassie zauważyła, że pielęgniarka podkochuje się w Szefie. Po chwili poprowadziła ich dalej. W szpitaliku znajdowały się również dwie łazienki z porcelanowymi wannami i umywalkami. Na piętrze urządzono sypialnie pielęgniarek, wygodne pokoje z drzwiami wychodzącymi na górną werandę. Stamtąd rozciągał się widok na wiele kilometrów. Dziewczyny mogły oglądać drzewa rosnące wzdłuż koryta rzeki, a może nawet samą rzekę, kiedy nie wysychała. Widziały brzoskwińskie obłoki kurzu i stada dzikich koni galopujących przez pustkowia. Kiedy zbliżał się ktoś obcy, dostrzegały go już z daleka.

- Zawiadomiliśmy ludzi, że będziecie tu przed jedenastą

- powiedziała Marianna. - W tej chwili nie mamy żadnych ostrych przypadków. W zasadzie bardzo często spełniamy tu rolę lekarzy. Wyrrywamy zęby... - Cassie zauważyła, że jest to najczęstszy kłopot zdrowotny tutaj, z dala od cywilizacji.

- Jeśli kobiety nie stać na wyjazd do Brisbane, Adelajdy albo nawet do Augusta Springs, żeby tam oczekiwać narodzin dziecka, ja i Brygida odbieramy poród. Zawsze się niepokoiśmy, czy nie będzie konieczne cesarskie cięcie, bo tak

naprawdę nie mamy kwalifikacji, żeby przeprowadzić taką operację. Jednak odebrałyśmy kilka porodów pośladowych i nieraz miałyśmy do czynienia z bardzo trudnymi przypadkami. Staramy się ściągnąć kobiety do naszego szpitala, ale zwykle to my jedziemy do nich na farmę.

- Podziwiam was - odparła Cassie. Wydawało się jej, że zdecydowała się spędzić dwa lata na kompletnym pustkowiu. Teraz zaskoczona zrozumiała, że dopiero Yancanna znajduje się na prawdziwym końcu świata.

Szef rozmawiał z Samem.

- Przeżyliśmy tu niedawno wielką tragedię. Trzy tygodnie temu tamte haszcze pochłonęły kolejne ofiary. - Wskazał na ciągnące się kilometrami zarośla krzewów mulga. - Dwóch małych chłopców, w wieku trzech i czterech lat, zniknęło. Pani Benbow zostawiła ich na ganku, a sama poszła przygotować coś do zjedzenia. Kiedy wróciła, dzieci nie było. Zniknęły bez śladu. To się stało około jedenastu kilometrów stąd. Wszyscy w promieniu pięćdziesięciu kilometrów brali udział w poszukiwaniach. Szukali nawet w nocy, ale nic nie znaleźli, chociaż pomagali im najlepsi aborygeńscy myśliwi. Nic z tego. Matka szaleje z rozpaczy.

- Nic dziwnego - odparła Cassie. Opowieść Szefa przyprawiła ją o zimny dreszcz.

Marianna potakująco skinęła głową.

- Słyszałam, że co wieczór wychodzi z domu i nawołuje swoich synów. Codziennie szykuje dla nich kolację i prosi męża, żeby poczekali na dzieci, które pewnie zaraz skończą zabawę i wrócą do domu. Zaparzę herbatę - zaproponowała po chwili. - Dzisiaj chyba nie będzie wielu pacjentów. Najbardziej potrzebujemy tutaj pomocy w nagłych wypadkach i rady, kiedy same nie potrafimy uporać się z jakimś

problemem. Jestem pewna, że uratowałybyśmy chyba z tuzin istnień ludzkich, gdybyśmy mogły na czas sprowadzić tu lekarza. Nawet nie wiecie, jak się cieszę, że tu jesteście. Przepraszam na chwilę. Cassie wyjrzała przez okno. Usłyszała, co SzeF mówi do Sama.

- Tak, nadzoruję obszar większy niż każdy inny rejon policyjny w kraju. Nie wiedziałem, w co się pakuję, kiedy pięć lat temu przyjechałem tu z Anglii. Jestem jedynym przedstawicielem prawa na terenie większym niż większość krajów europejskich! - Zaśmiał się z dumą. - Odgrywam niejedną rolę. Opiekuję się aborygenami. Polubiłem tych ludzi. Jestem pierwszym białym, którego zapraszają na swoje święta i uroczystości inicjacyjne. Oczywiście, kobietom nie wolno brać w nich udziału. Kobieta nic dla nich nie znaczy. Ale ja czuję się zaszczycony, że obdarzyli mnie zaufaniem. Lubię ich. Wydaje mi się, że są uczciwi i zdolni. **Żaden** biały nie potrafi tak jak oni wytropić zwierzyny. Mają swoje prawa plemienne, które ja szanuję. Wiedzą, co powinni robić, a czego im nie wolno. To prosta społeczność, która odróżnia dobro od zła. Trochę się tylko gubią, kiedy muszą działać według naszych praw i tradycji.

Sam powiedział coś, czego Cassie nie usłyszała. Po chwili SzeF mówił dalej.

- Jestem też urzędnikiem sądowym. Kiedy jakiś problem trzeba szybko rozstrzygnąć na drodze prawnej, zwołuję posiedzenie sądu i sam występuję jako sędzia i ława przysięgłych. Ludzie wolą to od oczekiwania, aż zjawi się tutaj jakiś prawdziwy sędzia.

Cassie wyszła na werandę i spojrzała na krajobraz. Przytłaczał ją.

- Czy to nie jest zbyt duże obciążenie? - zapytała policjanta.

- Nie. - Uśmiechnął się. Szerokie ramiona sprawiały

takie wrażenie, jakby mógł na nich udźwignąć cały świat. - Lubię być przywódcą. Podoba mi się tutaj. Im trudniejsza sytuacja, tym lepiej pracuję. Znam w tej części kraju każdego człowieka i nie ma takiego domu, w którym chętnie by mnie nie witano. A teraz, kiedy siostry mają radio, możemy sobie siadywać wieczorami i słuchać, co się dzieje na świecie. Kiedy ktoś z mojego rejonu rozmawia przez radiostację z wami, w Augusta Springs, słyszę to i jeśli uznam, że mogę pomóc, jadę na miejsce.

- Zawsze jeździsz konno?

Szef potrząsnął głową tak energicznie, że blond włosy opadły mu na czoło. Z roztargnieniem sięgnął do kieszeni koszuli, wyjął szczoteczkę i zaczął szorować nią zęby.

- Tam, gdzie są drogi, dojeżdżam ciężarówką, ale do większości farm nie dochodzą przejezdne trakty. Nawet jeśli jest droga, zwykle się jej nie naprawia. W porze deszczowej może zmyć ją ulewa. Podczas suszy zasypuje ją piach, chociaż mamy tutaj tyle drzew, że nie jest to takim problemem, jak dalej na południu.

- Bardzo tu chyba samotnie? - Cassie z trudem powstrzymywała śmiech, patrząc na poczynania Szefa ze szczoteczką do zębów.

Policjant schował szczoteczkę do kieszeni.

- Wszyscy krewni z Anglii mnie o to pytają. W ciągu całych pięciu lat pobytu tutaj ani przez chwilę nie czułem się samotny. Nigdy jeszcze mi się nie udało w ciągu dnia zrobić wszystkiego, co sobie zaplanowałem.

- Tak samo jak nam - odezwała się Marianna, wnosząc tacę z czterema filiżankami.

W tym momencie usłyszeli czyjeś kroki na schodach. Przez otwarte drzwi weszła kobieta w nieokreślonym wieku. Lata pracy na świeżym powietrzu sprawiły, że twarz miała pomarszczoną i ogorzałą.

- To jest Hermione - przedstawiła ją Marianna. - Nasza listonoszka. Jej mąż prowadzi sklep i pub.

Cassie podejrzewała, że żadne z nich się nie przepracowuje.

Hermione miała na sobie bezkształtną sukienkę, jedną białą i jedną żółtą skarpetkę oraz brudne buty, z których jeden miał wycięty czubek. Na głowie nosiła stary, zniszczony słomkowy kapelusz z szerokim rondem. Podała paczkę listów.

- Pomyślałam sobie, że moglibyście je zabrać, żeby tu nie czekały na pana Minera, który pewnie zjawi się najwcześniej za dziesięć dni.

Sam wziął od niej listy.

Marianna poszła po dodatkową filiżankę.

Cassie głośno się zastanawiała, skąd się wzięło tyle listów i jak to się dzieje, że pielęgniarki mają tylu pacjentów. Przecież w całym miasteczku mieszka najwyżej tuzin ludzi.

- Część tych listów to korespondencja między farmerami i wydziałem oświaty - wyjaśniła Hermione. Jej głos brzmiał tak, jakby od urodzenia paliła papierosy. - Tak właśnie kształci się w tych stronach dzieci. Korespondencyjnie.

- Nasza osada leży na trasie przepędzania bydła - dodał Szef. - Szpital służy jako miejsce spotkań.

Wszyscy mężczyźni w promieniu kilkuset kilometrów zawsze wynajdują jakieś powody, żeby tu przyjechać i popatrzeć na Brygidę i Mariannę. - Roześmiał się, a Marianna poczerwieniała. - Siostry zawsze znajdą coś do zjedzenia dla gości.

- Pełnimy również funkcję bibliotekarek - odezwała się pielęgniarka. - Każdy, kto skończył czytać książkę, przywozi ją tutaj. Dorobiłyśmy się całkiem niezłego księgozbioru. Tylko kiedy przyjeżdża do nas większa grupa poganiaczy i każdy bierze sobie jakąś lekturę, nasz zbiór nieco się uszczupla. Ale ciągle dostajemy jakieś nowe książki. Założę się, że mieszkańcy interioru są najbardziej czytany ludźmi pod słońcem.

- Bez książek można by tu oszaleć - wtrąciła Hermione. Ponieważ nie było żadnych pacjentów, długo w Yancan-

nie nie zabawili. Przed odlotem włączyli radiostację i odbyli zwykłą sesję o jedenastej, a także połączyli się z Hornem, żeby się upewnić, czy nie dostali jakiegoś nagłego wezwania. Cassie udzieliła porad medycznych mieszkańcom dwóch farm, którzy zgłosili się z jakimiś drobnymi problemami.

- Mam do was prośbę - oznajmił Horrie. - Wracajcie jak najszybciej. Przyjechała Betty i chcemy się jeszcze dzisiaj pobrać. Po twojej sesji o czwartej czterdzieści pięć odbędzie się ślub, a potem wszyscy wybierzemy się na kolację.

W samolocie Cassie zamknęła oczy i odprężyła się. Pomyślała, że chociaż bardzo lubi Horriego, to jednak cieszy się, że nie jest na miejscu Betty. Trudno jej było sobie wyobrazić, że mogłaby mieszkać w tym małym, blaszanym baraku. Jak bardzo trzeba kochać mężczyznę, żeby uczynić to miejsce zewnętrzną granicą własnego życia i pozwolić, żeby Horrie stał się jego granicą wewnętrzną. Chociaż darzyła go wielką sympatią, nie mogła sobie tego wyobrazić.

Zadawała sobie pytanie, jak wyglądałoby jej życie, gdyby Ray nie zdecydował się wrócić do żony. Teraz w jej życiu nie było żadnych granic. Czy takie granice, wewnętrzne i Zewnętrzne, istnieją tylko wtedy, gdy dzieli się życie z mężczyzną? Westchnęła. Nie znajdowała na te pytania odpowiedzi. Być może doszła już do punktu, w którym cieszyła się, że Ray Graham postąpił, jak postąpił. Może właśnie tutaj, z dala od dużych miast, czeka na nią wielka przygoda. Gdzie indziej zdarzyłoby się jej usuwać włócznię wbity w plecy aborygena? Gdzie miałyby okazję latać setki, a nawet tysiące kilometrów tygodniowo? Czy poznałaby takich ludzi jak Steven i Jennifer, Fiona, Don McLeod, mieszkańcy Yancanny i siostra Ina z Narrabingi?

Wiedziała, że takie rzeczy mogły się przydarzyć tylko tutaj. Uśmiech przebiegł po jej twarzy. Po chwili zasnęła w fotelu tuż obok Sama.

Horrie i Betty czekali na lotnisku. Betty okazała się energiczną blondynką o kręconych włosach i twarzy lalki. Ledwie sięgała narzeczonemu do ramienia. Miała na sobie kostium z białego szantungu i mały słomkowy kapelusz, ozdobiony woalką i kwiatami, zwieszającymi się po bokach ronda.

Przez całą drogę do kościoła, podczas samej ceremonii i w drodze od ołtarza nie puszczała ramienia Horriego.

- Jest śliczna - powiedział Sam, kiedy wraz z Cassie szli za nowożeńcami wzdłuż nawy. Horrie nie dał im czasu nawet na zmianę stroju.

- Betty Wallace - odezwała się panna młoda. - Ładnie brzmi, prawda? Ciekawe, czy kiedyś się do tego przyzwyczaję?

Poszli do zajazdu Addiego, gdzie Sam zamówił szampana, żeby wznieść toast za nowożeńców. Betty zachichotała.

- Czy to nie jest wspaniałe? I pomyśleć, że gdybym wyszła za kogoś w Kerrybree, byłabym tylko gospodynią domową. Tutaj zostanę również współpracownikiem.

- Pewnie, że tak - uśmiechnął się Horrie, ściskając rękę żony. - Ale chyba dopiero jutro zacznę cię uczyć alfabetu Morse'a.

Uśmiechnęła się do niego.

- Czy on nie jest nadzwyczajny? - rzuciła w przestrzeń.

- Ja funduję szampana - oznajmił Sam, kiedy kelnerka przyniosła im butelkę. - I steki. - Podniósł kieliszek. - Za długie, szczęśliwe życie.

Horrie spojrzał na niego z wdzięcznością. W tej samej chwili Cassie poczuła czyjaś rękę na ramieniu. Odwróciła się i zobaczyła Chrisa Adamsa.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedział. W jego głosie nie było słycać zakłopotania. - Szukam pani od ponad godziny.

Cassie spojrzła na niego i podniosła kieliszek szampana do ust. Ręka doktora ją powstrzymała.

- Nie - nakazał. - Żadnego szampana. Jest mi pani potrzebna.

Jestem mu potrzebna?

- Muszę dokonać amputacji dłoni - wyjaśnił. - Jakiś szaleniec chciał użyć dynamitu, ale nie odszedł na czas i rozerwało mu rękę. Zostały same szczątki kości. Konieczna jest natychmiastowa amputacja.

Cassie odstawiła kieliszek na stół.

- Dlaczego ja? Z pewnością doktor Edwards...

- Doktor Edwards nie jest w tej chwili zdolny do wykonywania swoich obowiązków - przerwał jej lekarz ostrym tonem. - Nikt nie odezwał się ani słowem. - Jest pijany jak bela, a ja natychmiast potrzebuję anestezjologa.

Cassie wstała.

- Jestem do dyspozycji. - Zwróciła się do Horriego i Betty. - Przepraszam. Może jeszcze tu będziecie, kiedy skończę. Przyjdę sprawdzić. Jeśli nie, zobaczymy się jutro.

Adams odwrócił się na pięcie i pierwszy wyszedł z sali, nawet nie przytrzymując przed nią wahadłowych drzwi ani nie pomagając jej wsiąść do samochodu. Przekreślił kluczyk w stacyjce i czekał, aż Cassie sama otworzy sobie drzwi od strony pasażera i zajmie miejsce.

Przez całą drogę do szpitala nie powiedział ani słowa.

Rozdział dwunasty

Na co uskarża się pani mąż, pani Anderson? - Cassie jeszcze nie przywykła do stawiania diagnozy na odległość, bez widzenia się z pacjentem.

- Czuje jakiś ucisk w piersi. Mówi, że to tak, jakby ktoś mu ją przydeptał.

Cassie nacisnęła przełącznik. Dobrą stroną rozmów przez radio było to, że jeden rozmówca nie wpadał w słowo drugiemu. Przełączniki musiały być zsynchronizowane.

- Czy ból się przesuwają?

- Chwileczkę. - Cassie usłyszała, że kobieta coś krzyczy. Po chwili w słuchawce rozległ się głos mężczyzny.

- Tak, ból się przesuwają. Czuje, jak wędruje w górę po szyi i wzdłuż ramienia aż do lewej ręki. - Angina pectoris. - Odczuwam go w łokciu, chociaż wcale się nie uderzyłem ani nic takiego.

- Kiedy ból się pojawia?

- Cóż... - Głos dobiegał wśród trzasków. - Szczególnie dokucza mi wczesnie rano, kiedy zajmuję się codzienną robotą. Czasami tak mnie boli, że muszę przerwać pracę i siedzieć, dopóki mi się nie polepszy.

Ile mu powiedzieć?

- To są typowe objawy niedomogi serca albo dusznicy. Najlepiej by było, gdyby pan unikał wszelkiego wysiłku, dopóki nie stwierdzimy dokładnie, co to jest.
 - Co mam robić?
 - Nie przejmować się. Oszczędzać się. Niech kto inny przejmie pańskie obowiązki. Przylecimy jutro, zrobimy EKG i przywieziemy panu tabletki nitrogliceryny.
 - Nie ma tu nikogo, kto mógłby za mnie pracować.
 - Lepiej niech pan kogoś znajdzie. Czy słucha nas pańska żona?
 - Jestem tutaj - włączył się kobiecy głos.
 - Dobrze. Słyszała pani, co powiedziałam. Niech pani teraz nie pozwala mężowi na żaden wysiłek. Objawy nie są groźne. Jeśli mu się pogorszy albo wystąpią jakieś inne dolegliwości, proszę dać mi znać. Jutro przylecimy.
 - Zrobię, co będę mogła. Czy mam położyć go do łóżka?
 - To nie jest konieczne. Niech unika ciężkiej pracy i odpoczywa, kiedy tylko odczuje ból.
- To była ostatnia radiowa porada tego dnia. Dochodziła piąta trzydzieści.
- Słyszałeś moją rozmowę z matką tej małej dziewczynki? - Cassie zapytała Horriego. - Powiedziałam jej, że połączysz się z nią o siódmej i zapytasz, czy gorączka opadła. Wieczór planuję spędzić w domu. Jeśli będę gdzieś wychodzić, dam ci znać.
 - Myślałem, że idziesz do Adamsów. Cassie się roześmiała.
 - Jakie to miasto małe! Skąd wiesz? - W zasadzie nie oczekiwała odpowiedzi. To prawda, w drodze powrotnej miała wstąpić do Adamsów, żeby poczytać Izabeli. Zaplanowały z Fioną, że na kolację zjedzą sałatkę z kurczaka, przyrządzoną z resztek mięsa z wczorajszego posiłku, więc nie śpieszyło się jej do domu.

Od powrotu z Tookaringi rzadko odwiedzała Izabelę, a z Chrisem nie miała żadnego kontaktu od czasu amputacji, której wspólnie dokonali dwa dni temu. Adams podziękował jej półgębkiem. Cassie rozejrzała się. Przez dwa dni blaszany barak bardzo się zmienił. Największe zmiany zaszły w pokoju, który służył Horriemu i Betty za kuchnię i salonik, a sąsiedował z pomieszczeniem, w którym znajdowała się radiostacja.

- Horrie obiecał, że wybudujemy wokół domu werandę - powiadomiła ich Betty. - Najbardziej zależy mi, żeby zbudował ją w tylnej części domu, to będziemy mogli siadywać tam wieczorami. -

Wydawało się, że warunki mieszkaniowe jej nie przerażają.

- Ona już zna pięć liter - powiedział Horrie, mając na myśli alfabet Morse'a. - Bystra z niej uczennica.

- Pewnie jesteś dobrym nauczycielem albo nie oceniasz jej obiektywnie - odparł Sam. Musiał przywozić Cassie na wszystkie trzy sesje radiowe, do czasu gdy pastor Flynn załatwi dla niej samochód.

- Wsiądę przed domem Adamsów - oznajmiła Cassie, siadając obok Sama w ciężarówce.

- Może w końcu się zaprzyjaźnicie.

- Wątpię. Podczas operacji zachowywał się tak, jakby z trudem znosił moją obecność.

- Czy chociaż ci podziękował? - Sam przesunął daszek czapki baseballowej na tył głowy.

- Bardzo chłodno. Ale muszę przyznać, że to wspaniały chirurg. Zrobił na mnie wielkie wrażenie, -r Sam nic nie odpowiedział, więc wyjrzała przez okno. - Jak tu jest w zimie?

Sam popatrzył na nią.

- Chcesz zmienić temat rozmowy?

- Wcale nie. - Wciąż spoglądała na przesuwane się za oknem miasteczko Augusta Springs. - Jeśli o mnie chodzi,

temat jest zakończony. Nie mam nic więcej do powiedzenia o Chrisie Adamsie.

- Zimą jest tu chłodno. Noce potrafią być mroźne. A przez resztę roku, jak sama widzisz, jest duszno i wszędzie wciska się kurz. - Cała okolica była spowita różowawą mgłą, spowodowaną wirującymi tumanami pyłu. - Kiedy nadejdzie burza piaskowa, zamykamy na głucho okiennice i drzwi, ale mimo to wszystko jest potem pokryte kilogramami piachu. Z lataniem jest podobnie. Normalnie maszyna prawie sama się prowadzi, ale podczas burzy jest z nią trochę kłopotu. A kiedy nastają prawdziwe upały, występują tu silne turbulencje. Sama zobaczysz. Tam gdzie teraz jest to suche koryto rzeki Orilla, w marcu można się kąpać. Zobacz, jak układają się łachy piaskowe na wschodnim krańcu miasta. W marcu i kwietniu będziemy tam jeździć na pikniki. Może nawet wcześniej.

- Dlaczego aborygeni zawsze rozbijają obozy w tamtej okolicy?

Sam wzruszył ramionami.

- A dlaczego nie? Nie lubią mieszkać w miastach, w murowanych domach. I ty, i ja przyjechaliśmy tutaj już po najważniejszym wydarzeniu całego roku - regatach rzecznych.

- Masz na myśli wyścigi łodzi? Gdzie? Chyba nie na rzece Orilla?

Pilot roześmiał się.

- W przyszłym roku zobaczysz to na własne oczy. Urządzają całą imprezę na wzór regat Henley-on-Todd w Alice. Sprowadzają specjalne łodzie i podobno całe miasto jest odświętnie udekorowane. To najważniejsze wydarzenie w roku.

Kiedy zbliżyli się do centrum miasta, Cassie uważniej rozglądała się wokół. W długim, niskim drewnianym budynku znajdował się dom towarowy spółki Teakle i Robbins. Sąsiadował z nim męski fryzjer. Obok zobaczyła sklep

jednego z dwóch rzeźników w miasteczku, potem damski zakład fryzjerski i sklep z butami. Apteka była jednocześnie barem mlecznym, słynącym z wyśmienitych napojów i lodów. Przed nią stał jedyny w mieście dystrybutor benzyny. Po przeciwnej stronie ulicy mieścił się warsztat elektryka, sklep warzywno-owocowy, biuro linii lotniczych, sala do gry w bilard i pensjonat, zamieszkały głównie przez urzędników państwowych, którzy mieli nadzieję, że nie zabawią w Augusta Springs na tyle długo, żeby kupować sobie tu dom. Na przeciwległym rogu znajdował się zajazd Addiego, obok kino oraz gabinet i laboratorium weterynarza. Za nimi mieściły się gabinety doktora Adamsa i doktora Edwardsa. W głębi ulicy widać było sklep z wyrobami rymarskimi, gdzie również sprzedawano ubrania i buty dla poganiaczy bydła. W ostatnim budynku mieścił się skład materiałów budowlanych, sklep drugiego rzeźnika, salon z sukniami i chińska restauracja. Na sąsiedniej ulicy stała sześcioklasowa szkoła. Tak jak i większość prowincjonalnych szpitalików, była jednopiętrowa. Niemal cały parter zajmowała sala gimnastyczna. W pobliżu wznosił się budynek sądu, który mieścił również areszt z jedną celą, zwykle zajmowaną przez pijanych aborygenów, zatrzymanych na noc. Obok znajdował się hotel, z zewnątrz prezentujący się łacinie, ale o bardzo zniszczonych pokojach z odklejającymi się tapetami. Przejedni, którzy nie znaleźli wolnego miejsca u Addiego, traktowali hotel jako ostatnią deskę ratunku. Rosnący przed nim rząd wyniosłych palm był jedynym przedmiotem dumy właścicieli tego przybytku, od których zresztą wziął swoją nazwę, Królewskie Palmy.

- Ładne mi królewskie - wymamrotał Sam, kiedy przejeżdżali obok.
- Tak, nazwa trochę pretensjonalna - zgodziła się Cassie.
- Potrzebujesz obrońcy? - zapytał, zatrzymując samochód przed domem Adamsów.

Cassie potrząsnęła głową. Pomyślała, że to miły gest ze strony pilota. Tego się po nim nie spodziewała.

- Nie, Adamsa nigdy nie ma w domu. Czytam Izabeli przez godzinę. To ona mi pewnie powie, że doktor Adams dziękuje mi za pomoc przy operacji. On nigdy nie zwraca się bezpośrednio do mnie.

- Wstąpię do was i zobaczę, czy Fiona nie poczęstuje mnie piwem - oznajmił Sam. - Chcesz, żebym ją uprzedził, że się spóźnisz?

- Powiedz jej tylko, gdzie jestem. Jeśli będzie zbyt głodna, żeby na mnie poczekać, to kolacja jest w chłodziarce. Dzisiaj zjemy coś na zimno. Powinnam być w domu przed szóstą trzydzieści. - A więc Sam zamierza odwiedzić Fionę.

Izabela i Grace już na nią czekały. Grace ustawiła kanapki z rzeżuchą i ciasto na stoliku obok krzesła Cassie i natychmiast pobiegła przygotować herbatę. Cassie od razu zauważyła, że oczy Izabeli napełnione są bólem. Czyżby chora nie wzięła morfiny? Przecież nie ma powodu, żeby tak cierpieć.

- Tak się cieszymy, że już wróciłaś. - Izabela wyciągnęła na przywitanie chude ramiona. - Nie możemy się już doczekać dalszego ciągu. Zabroniliśmy sobie zaglądać do książki, żeby sprawdzić, czy Ashley odejdzie od Melanii, kiedy się dowie, że Scarlet go kocha.

Po półgodzinie zadzwonił mały budzik, stojący obok Izabeli. Zasluchana w czytana przez Cassie powieść, w zaskoczeniu potrząsnęła głową.

- Czas na moje lekarstwo - oznajmiła.

Grace wstała i poszła do kuchni. Za minutę wróciła ze strzykawką. Wkrótce Izabela zapadnie w sen. Opiekunka znów usadowiła się w fotelu.

Cassie czytała jeszcze najwyżej przez pięć minut, kiedy frontowe drzwi się otworzyły i wszedł doktor Adams, niosąc czarną torbę lekarską. Wyglądał tak świeżo i schludnie,

jakby przed chwilą skończył toaletę. Miał ze sobą jakieś paczki. Po papierze, w jaki jedna z nich była opakowana, Cassie poznała, że pochodzi od rzeźnika. Adams zniknął w kuchni, ale wrócił, zanim skończyła czytać, i stanął w przejściu między holem i salonem, ze szklanką jakiegoś zimnego płynu. Słuchał głosu Cassie i przypatrywał się jej uważnie.

Cassie zobaczyła, że dzięki morfinie oczy Izabeli zaszły mgłą. Zamknęła książkę.

- Dalszy ciąg jutro - powiedziała. - Jeśli okoliczności na to pozwolą.

Oczy Grace rozbliły.

- To najprzyjemniejsze chwile naszego dnia. - Wstała i skinęła głową Chrisowi. - Dobry wieczór, doktorze Adams, Ale na mnie chyba już czas. - Nachyliła się i poklepała Izabelę po ręce. - Przyjdę jutro rano. - Wzięła torebkę z gzymsu kominka i wyszła.

Izabela westchnęła.

- Zdrzemnę się przed kolacją - powiedziała. Powieki same opadały jej na oczy. - Tylko na chwilę. - Nie wymienili z Chrisem ani słowa.

Adams odstawił szklankę, podszedł do żony, podniósł ją z kanapy i zaniósł do sypialni. Tam ułożył ją na łóżku i okrył cienkim kocem.

- Nie zamykaj drzwi - poprosiła.

- Oczywiście, że nie - odparł. - Nigdy tego nie robię. Może coś zimnego do picia? - zaproponował Cassie, kiedy wrócił do salonu.

Potrząsnęła głową.

- Na mnie też już czas. Muszę przygotować kolację dla Fiony.

- Robię najlepszy koktajl Tom Collins w mieście - powiedział. - Nie masz dzisiaj dyżuru, prawda? Cassie uśmiechnęła się. Starał się być miły i bezpośredni.

W ten sposób dawał jej do zrozumienia, że jest wdzięczny za pomoc w operacji.

- No, dobrze, ale...

- Właśnie kupiłem dwa wspaniałe steki. Izabela nie ma ostatnio apetytu i prawie nic nie je. Miałem nadzieję, że zjemy je razem. Co prawda, nie jestem doskonałym kucharzem, ale wiem, jak upiec na ruszcie stek, a frytki przyrządzam wprost fantastycznie.

- Czy mogę nie przyjąć takiego zaproszenia? - Miała ochotę wrócić do domu, do Fiony, ale Adams tak usilnie się starał. - Zadzwoń tylko do Fiony.

- Twój lotnik tu jest - powiadomiła ją koleżanka. - Poczęstuję go twoją kolacją.

- Horrie ma o siódmej sprawdzić stan jednej pacjentki. Jeśli by mnie potrzebował, to wiesz, gdzie jestem. Nie wrócę późno.

- Ho, ho, ho! Więc Chris postanowił się poprawić, co? Wie, że ma w tobie lepszego sprzymierzeńca niż w tym pijaku Edwardsie. Nie poddawaj się. Niech drań ciężko zapracuje na każdy uśmiech.

Cassie się roześmiała.

Wróciła do kuchni, gdzie Chris smażył steki. Sałata, pomidory i cebula leżały na ceramicznym blacie stołu, umieszczonego na środku.

- Może zrobię sałatę? - zaproponowała.

- Dobrze - odparł Chris, pochylony nad rusztem.

Cassie uznała, że nie jest on człowiekiem zbyt rozmownym. Żałowała, że nie ma tu papryki. Może powinna założyć ogródek warzywny. Mogłaby też uprawiać w nim zioła. W miejscowym sklepie nigdy nie mieli ich zbyt wielu. Zamówiłaby nasiona szpinaku, rzodkiewek, papryki i cebuli.

Urządziłaby ogród za kuchennym oknem, gdzie późnym popołudniem nie dochodzi słońce.

Chris przewrócił steki na drugą stronę.

- Jakie lubisz? Tylko mi nie mów, że mocno przypieczone.

- Nie, wolę średnie, ale nie krwiste.

Wyjął sztucze z szuflady i podszedł do kuchennego stołu.

- Zdaje się, że gdybym chciał odpowiednio podziękować za pomoc, musiałbym zabrać cię do Sydney i tam zaprosić do najlepszej restauracji.

- Pomogłam ci z przyjemnością. To była ciężka operacja. Nigdy jeszcze nie widziałam amputacji.

- Boże, jak ja ich nienawidzę. Przeważnie pacjent nie jest w stanie psychicznie zaakceptować utraty kończyny. Wydaje mu się, że czuje ból w odjętej ręce czy nodze, nie chce patrzeć na tę część swojego ciała. Nigdy już nie czuje się kompletny. Ale ten pacjent jest zadziwiający. Już żartuje na ten temat. Mówi, że sam jest sobie winien i że następnym razem będzie uważniejszy.

Cassie postawiła sałatę na stole.

Chris pochylił się nad rusztem i przełożył steki na półmisek. Zauważyła, że ze swojego wykroił połówkę. Zachował ją dla Izabeli.

Szukała w myślach tematu do rozmowy. Adams nie ułatwiał jej zadania.

- Jak długo tu mieszkacie? - zapytała siadając do stołu. Wzruszył ramionami.

- Mniej więcej osiemnaście, dziewiętnaście lat. Sprowadziliśmy się tutaj, kiedy tylko skończyłem studia.

- A co was tu ściągnęło? Zerknął na Cassie.

- A co nas wszystkich przyciąga do Augusta Springs albo do podobnych miejsc? Na ten kraniec świata. To brzmi surrealistycznie, prawda? Myślę, że wszyscy mieszkańcy miasteczek i farm w głębokim interiorze są trochę odmieńcami. Niektórzy to prawdziwi dziwacy. Sama się przekonasz. Spotkasz ich tu wielu. Nawet według tutejszej miary są

dziwni. Myśleliśmy z Izą, że zostaniemy tu dwa, najwyżej trzy lata. - Roześmiał się, ale bez wesołości.

- Wydawało się nam, że to będzie przygoda.

- A nie była?

- Nie wiem, czy to odpowiednie słowo. Nie prowadzę tu zbyt urozmaiconego życia. Po mniej więcej dziesięciu latach dałem ogłoszenie, że szukam partnera do pracy i zjawił się Jon Edwards. Zebraliśmy pieniądze, które wystarczyły na budowę szpitala. Sprowadziliśmy kilka pielęgniarek. Rośliśmy razem z miastem. Kiedy tu przyjechaliśmy, liczyło sobie nie więcej niż dwustu mieszkańców.

- Frytki są doskonałe. Koktajl też. Skinął głową nie patrząc na Cassie.

- Co powiedziałaś? Teraz spojrzał jej w oczy.

- Bezwład. Uśmiechnęła się.

- Nieprawda. Wydaje mi się, że nie jesteś leniwy. Potrząsnął głową.

- Znają mnie tu. Całą swoją energię wlałem w to miasto i nic jej już we mnie nie zostało.

Cassie przyjrzała mu się. Nie mógł mieć więcej niż czterdzieści kilka lat. Gdzie się podział zapal do życia?

- A więc też jesteś trochę odmieńcem, tak?

Zdjął okulary, wytarł je krawatem i z powrotem włożył na nos.

- Czuję się raczej jak kwadratowy kołek w okrągłej dziurze. Rozległ się brzęczyk telefonu. Dzwonił Horrie.

- Sam już po ciebie jedzie. Lepiej porozmawiaj z panią Dennis. Jej dziecko ma coraz wyższą gorączkę, ponad trzydzieści dziewięć stopni.

- Muszę wyjść - powiedziała Cassie do Chrisa. - Ale bardzo dziękuję za zaproszenie.

Usłyszeli kroki Sama na schodach na werandę. Stał w drzwiach i zsunął czapkę baseballową na tył głowy.

- Gotowa? - Na Adamsa ledwie zerknął. W tej chwili rozległ się słaby głos Izabeli.

- Chris?

Adams poszedł do sypialni, a Sam odwrócił się i szybko zszedł po schodach.

- Horrie się niepokoi - powiedziała Cassie.

- Cóż, martwił się też o atak serca, którego nigdy nie było. - Pilot uruchomił silnik.

Dotarli do bazy w niecałe piętnaście minut. Horrie już na nich czekał.

- Powiedziałem pani Dennis, że się z nią połączymy o siódmej trzydzieści pięć. Zaczekajmy jeszcze trzy minuty.

Cassie poznała po głosie, że kobieta jest bliska hysterii.

- Rosie nie chce się ocknąć - mówiła pani Dennis przez łyżę. - Jest cała rozpalona.

- Macie tam lód?

- Nie.

- Niech pani zmoczy ścierki i ręczniki i obłóży nimi dziecko. Trzeba ją ochłodzić tak bardzo, jak to tylko możliwe. - Zwróciła się do Sama. - Czy możemy dolecieć tam nocą?

Przesunął czapkę na bok.

- Mało prawdopodobne. Zapytam o możliwości lądowania, chociaż nie mam nawet pojęcia, gdzie jest ta cholerna farma.

Nie, nie było tam przygotowanego lądowiska. Tak, wokół rosły drzewa. Mieli tylko jeden samochód, więc nie mogli oświetlić terenu nadającego się do lądowania, chociaż mniej więcej półtora kilometra od domu znajdowało się płaskie pole. Sam oddał mikrofon Cassie.

- Nie ma mowy - oznajmił. - Możemy wylecieć przed świtem, ale kiedy tam dotrzemy, musi być jasno. Farma jest oddalona o mniej więcej godzinę lotu.

Cassie powtórzyła to pani Dennis i obiecała, że skontaktują się z nią o piątej rano, żeby sprawdzić, czy są potrzebni.

O piątej, kiedy było jeszcze ciemno, pani Dennis powiedziała im, że sytuacja nadal jest bardzo ciężka. Temperatura skoczyła do czterdziestu stopni i dziecko całkowicie straciło przytomność.

- Wylatujemy - zarządził Sam.

Cassie ze zmartwienia nie spała prawie całą noc. Chciała wyruszyć o czwartej trzydzieści, kiedy Sam przyjechał, żeby ją zabrać na lotnisko, ale pilot chciał przedtem sprawdzić silniki i przyrządy w kabinie, a szczególnie urządzenia żyroskopowe. Powiedział, że muszą czekać, aż rozjaśni się na tyle, żeby mogli bezpiecznie wylądować.

- Przynajmniej przy starcie będziemy mieli oświetlony pas - oznajmił.

Kiedy byli w powietrzu, powiedział jakby sam do siebie:

- Prędkość lotu i wznoszenia same się uzgodnią, jeśli samolot będzie prawidłowo wchodził na wysokość.

Lot w ciemnościach sprawił, że Cassie poczuła się bardzo samotnie. Wspięli się na wysokość dwóch tysięcy pięciuset metrów i skierowali się na północny wschód. Zastanawiała się, skąd Sam wie, czy czasem nie lecą do góry nogami. Czowała się tak, jakby ważyła tyle co piórko, nie miała żadnego punktu odniesienia, oprócz cienkiej linii brzasku na wschodzie.

Wylądowali dokładnie o szóstej i dowiedzieli się, że dziewczynka zmarła piętnaście minut temu.

- Gdybyśmy dotarli tu godzinę wcześniej, to czy uratowałabyś jej życie? - zapytał Sam.

- Kto to może wiedzieć? - odparła. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek przywyknie do śmierci.

Rozdział trzynasty

Przecież wszyscy przychodzą na sobotnie tańce.

- Wcale nie wszyscy - odparła Cassie. W życiu prywatnym chciała trzymać się z daleka od mężczyzn.
- Jestem zmęczona. Miałam ciężki tydzień. Chcę umyć włosy i z nikim nie rozmawiać, tylko czytać książkę.

Stojąca w drzwiach Fiona zmierzyła wzrokiem przyjaciółkę, która leżała na łóżku, wsparta o poduszki.

- Jakież kłopoty?

- Co to ma znaczyć? Czy nie mogę robić tego, na co mam ochotę?

- Jasne, że tak. Ale ludzie będą rozczarowani. To miejsce roi się od samotnych mężczyzn.

Przyjeżdżają tu z daleka, żeby chociaż zerknąć na kobietę. Niektórzy z nich muszą zebrać całą odwagę, żeby poprosić którąś do tańca.

- Jestem pewna, że i beze mnie dadzą sobie radę - powiedziała Cassie. - Potrzebuję czasu dla siebie.

Fiona wzruszyła ramionami.

- Czuję, że kryje się za tym coś więcej. Ale niech ci będzie.

- Zaproponuję ci coś, co pewnie cię ucieszy. Poprosiłam

Sama, żebyśmy w przyszły weekend polecieeli do Burnham Hill. Mieliśmy lecieć tam w środę, ale jeśli przełożymy to na sobotę, ty będziesz mogła nam towarzyszyć. Zgodził się. Co ty na to?

- Och, Cassie! - Fiona podbiegła do przyjaciółki. - To wspaniale! Z przyjemnością z wami polecę!
- **Świetnie**, w takim razie już mnie nie męcz o te dzisiejsze tańce. Ani o żadne sobotnie tańce, dobrze?
- Wiem, że potrafisz tańczyć. Sam mi powiedział, że jesteś wspaniałą tancerką.
- Pewnie chciał się tylko pochwalić własnymi wyczynami.
- Nie lubicie się? To znaczy...
- Jeśli o mnie chodzi, to lubimy się wystarczająco. Dobrze się z nim pracuje, chociaż on sam nie jest zadowolony, że musi współpracować z kobietą.
- Wydaje mi się, że już mu to minęło. Szanuje cię.
- I to mi wystarczy. Ja też go szanuję. Fiona wstała.
- Dobrze, ja idę się bawić, a ty zostań tutaj i zmarnuj piękny wieczór.
- Czy zdajesz sobie sprawę, ile rzeczy w tym tygodniu zrobiłam? Poza tym, że w zeszły weekend nie miałam ani jednej wolnej chwili z powodu wizyt w Tookarindze i Narrabindze, to na dodatek spędziłam cały poniedziałek w Yancannie, byłam świadkiem na ślubie Horriego i Betty, asystowałam przy amputacji kończyny, a w środę dostałam pilne wezwanie do chorej dziewczynki, która zmarła tuż przed naszym przybyciem. W czwartek miałam wyjazdowe badania i tylko w tym tygodniu wyrwałam chyba z tuzin zębów.
- Dobrze już, dobrze.

Jednak kiedy Fiona wyszła, Cassie niespokojnie krążyła po domu. Umyła włosy, ale nie potrafiła się skupić na

lekturze. Około jedenastej wyszła na werandę, ubrana w stary szlafrok frotté. Patrzyła w ciemność, aż oczy przyzwyczyły się do mroku i dostrzegła liście na rosnących wzdłuż ulicy drzewach. W nocnym powietrzu słychać było muzykę, dobiegającą z położonego o trzy przecznice od jej domu zajazdu Addiego. Zawodzenie saksofonu sprawiło, że ogarnęła ją dojmująca samotność. Może powinna iść na tańce razem z Fioną.

Wiedziała, że towarzystwo nie stłumiłoby uczucia izolacji, które nie opuszczało jej ani na krok. Przez krótką chwilę wydawało jej się, że znalazła kogoś bliskiego, że jest dla tego kogoś najważniejszą osobą pod słońcem, że są dla siebie stworzeni. Ale Ray Graham dowiódł, że to nieprawda. Została sama.

Mimo że otaczali ją tu przyjaźni ludzie, Cassie wiedziała, że Augusta Springs to tylko krótki przystanek na drodze jej życia. Za rok czy dwa stąd wyjedzie i nikt nie będzie pamiętał nawet jej imienia. „A tak, mieszkała tu kiedyś jakaś lekarka”. Nikt nie będzie żałował, że odeszła z ich życia. Ktoś szedł ulicą, stawiając pewne, zdecydowane kroki. Cassie wpatrzyła się w mrok. Z fotela na werandzie miała dobry widok. To był Chris Adams. Kroczył prosto przed siebie, nie spoglądając ani w prawo, ani w lewo.

- Dobry wieczór, Chris! - zawołała, kiedy mijał jej dom. Zatrzymał się gwałtownie i spojrzał w jej stronę.

- Fi? Czy to ty, Fiona?

- Nie. - Nie wstała z krzesła. - To ja, Cassie.

- A, dobry wieczór - odparł, i przysięgłaby, że gdyby doktor miał na głowie kapelusz, uchyliłby go, tak formalnym tonem się do niej zwrócił. - Co robisz w domu w sobotni wieczór?

- A ty zażywasz codziennej przechadzki dla zdrowia?

- Chyba tak to się właśnie nazywa. - Przez chwilę stał w miejscu, ale z powodu ciemności nie mogła dostrzec jego

twarży. - Cóż, dobranoc. - Znów ruszył szybkim krokiem, zmierzając do granicy miasteczka. Dziwny człowiek. Niezręczny w towarzyskiej pogawędce. Nigdy nie zdradza swoich uczuć. Nawet do pacjentów odnosi się oschle, z wyższością. Lekarz, który uważa się za Boga. Często spotykana przypadłość. Zastanawiała się, czy w jego żyłach zamiast krwi nie płynie lodowata woda. Usnęła trzymając w ręku książkę, którą przez cały wieczór usiłowała czytać. Kiedy obudziła się rano, książka leżała na podłodze, a pościel była tak skotłowana, jakby przez jej łóżko przemaszerowała cała armia. Łzy zmoczyły poduszkę, a Cassie pamiętała, co je wywołało. Śniła o Rayu Grahamie, czuła na ustach jego usta, wspominała uścisk jego ramion. Nigdy więcej, obiecała sobie. Nigdy, nigdy więcej. W tym tygodniu odbyli tylko jeden lot, do jednej z farm, gdzie mieli wyznaczone regularne badania wyjazdowe. Żona właściciela była w siódmym miesiącu ciąży. Trójka ich dzieci, z których żadne nie miało nawet pięciu lat, nigdy jeszcze nie widziała lekarza, ponieważ rodzina mieszkała ponad trzysta kilometrów od miasta. Cassie zajęła się też wrastającym paznokciem kucharza i skręconą kostką jednego z młodych parobków. Stamtąd polecili na sąsiednią farmę, gdzie Cassie złożyła złamaną psią nogę, a także zaszczepiła miejscowe dzieci, w tym troje aborygeńskich. Niania od trzech dni miała rozwolnienie, więc Cassie wymogła, żeby wraz z nimi poleciała do Augusta Springs. Biedna młoda kobieta ledwie trzymała się na nogach. Sam pomógł jej ułożyć się na noszach w samolocie. Przez większość czasu, który spędzili na obu farmach, pilot rozmawiał z miejscowymi ludźmi. Wszędzie, gdzie się pojawił, Cassie słyszała wesoły śmiech.

W sobotę, kiedy Fiona była wolna od nauczycielskich obowiązków, przed odlotem na południe, do Burnham Hill, jedli śniadanie u Addiego. Przy stole nie opodal siedziała Heather Martin z jedną ze swoich sióstr.

- Wczoraj zdarzyło mi się coś niezwykłego - oznajmił cicho Sam, pochylając się nad stolikiem. - Panny Martin zapukały do moich drzwi, oznajmiły, że przyjechały do miasta i nie mają gdzie się zatrzymać. Zapytały, czy mogą u mnie przenocować.

Cassie uniosła brwi.

- Nie, nie - roześmiał się pilot. - Załatwiłem im pokój tutaj, u Addiego. Przejechały ciężarówką całą drogę do miasta, żeby się ze mną zobaczyć. Powiedziałem im, że dzisiaj wylatujemy w teren.

- Nic na to nie poradzisz, że nie potrafią ci się oprzeć - odparła Cassie z uśmiechem.

- Cóż, są bardzo ładne, ale ja jestem jedynym mężczyzną, którego w życiu widziały, nie licząc ich ojca i człowieka, który im przywozi zamówione dostawy.

- One są wspaniałe. - Fiona uważnie obserwowała obie młode kobiety.

- Poradziłem im, żeby poznały Culliego - mówił Sam. - To doskonały kucharz, a właśnie kogoś takiego szukają.

- Pewnie nie zechce wyjechać z miasta na zabitą dechami wieś - stwierdziła Fiona.

- No, nie wiem. Tam jest jeszcze pięć takich samych kobiet - odparł pilot.

Cassie pomachała pannom Martin, a one natychmiast podeszły do ich stolika.

- Powinnyście wybrać się dzisiaj na tańce - zasugerowała Fiona, kiedy wszystkich sobie przedstawiła. - Będzie tam wielu chłopców.

Heather nie odrywała oczu od Sama.

- Ty też tam będziesz? - zapytała go. Skinął głową.

- Chyba tak.

- W takim razie przyjdziemy - odpowiedziała Bertie. A może to była Billie?

Podczas lotu Cassie patrzyła na Fionę, która przycupnęła na podłodze samolotu, jak najbliżej Sama, i z wielką uwagą słuchała jego słów.

- Nachyl się i wyjrzyj przez okno - mówił pilot. - Widzisz? To są cumulusy. Kiedy zobaczysz białe chmury, wyglądające jak zamki wysoko na niebie, takie zbite w wielkie, puszyste kule, podobne do waty cukrowej... to właśnie będą cumulusy. Nie wróżą nic złego, jeśli płyną wysoko, przetaczają się i puchną. Stają się niebezpieczne, kiedy się układają w pojedyncze, wysokie wieże i stoją nisko nad ziemią.

Cassie wyjrzała przez okno i zobaczyła szybującego obok samolotu sokoła, co chwila nurkującego w dół i znów wzbijającego się pod niebo. Sam zaczął podchodzić do lądowania. Farma okazała się większa, niż Cassie oczekiwała. Zobaczyła mnóstwo samochodów i ciężarówek, więcej niż w Augusta Springs.

Sam odwrócił głowę i zawołał do niej:

- Spójrz tylko na ten zjazd! Chyba wszyscy w promieniu stu kilometrów się rozchorowali!

Fiona podniosła się z podłogi, usiadła na fotelu za Cassie i zapięła pasy.

- Nie podejrzewałam, że latanie jest takie podniecające.

- Nie zawsze. Czasami trzeba kilka godzin siedzieć w samolocie.

Samochód przeganiał stado koni z pasa do lądowania.

Zwierzęta zataczały kręgi i zawracały, galopując poszerzającą się ławą, a za nimi podążała ciężarówka. Nie zmieniając kursu, Sam zbliżał się do lądowiska. Kierował się wprost na nadbiegające stado, które przemknęło obok maszyny w chmurze pyłu. Mój Boże, ten człowiek ma stalowe nerwy. Samolot łagodnie zwolnił, a Cassie spostrzegła, że z lądowiska usunięto kamienie i ułożono je po obu stronach oczyszczonego pasa. Pomyślała, że nie byłaby dobrym pilotem. Zachowywałaby się zbyt ostrożnie. Sam podejmował ryzyko, na które ona nigdy by się nie odważyła.

- Myślę, że kuszenie losu sprawia ci przyjemność! - zawołała, kiedy samolot się zatrzymał.

Szeroko uśmiechnięty Sam dziarsko wstał z fotela.

- Moje panie, jesteśmy na miejscu. Oto Burnham Hill, największa owcza farma hodowlana, jaką kiedykolwiek widziałyście.

- To chyba jakieś miasto.

- Nie.

Otworzył drzwi i kopnięciem opuścił schodki. Zeskoczył na ziemię i podał ramię Fionie. Cassie przez chwilę stała w drzwiach, spoglądając na zgromadzony tłum ludzi. Panował tu ruch jak w ulu.

Wysoki, szczupły mężczyzna w kremowobiałych bryczesach, chętnie noszonych przez pasterzy owiec, uściśnął rękę Sama. Cassie wyszła z samolotu.

- To jest Dan Mason - przedstawił nieznajomego Sam. - Właściciel Burnham Hill.

- Skąd się wzięli wszyscy ci ludzie? - zapytała Cassie. Mason zatoczył krąg ramieniem.

- Niektórzy przyjechali z kopalń opali, prawie pięćset kilometrów stąd i od wczoraj obozują na farmie. Inni przybyli z sąsiednich farm, oddalonych o sto, sto dwadzieścia kilometrów. Aborygeni przyszli z tamtych wzgórz, a ludzie

pracujący przy torach, na kolei, przyjechali razem tą wielką ciężarówką, która wygląda jak autobus. Przeznaczaliśmy dla ciebie cały dzień, doktorku. Znowu ktoś nazywał ją doktorkiem.

- To więcej ludzi, niż zdołaliśmy przebadać przez pierwszy miesiąc pracy - zwróciła się do Sama.
- Potrzebujesz pomocy? - zapytał. Wzruszyła ramionami.
- Dlaczego pytasz? Chcesz flirtować z ładnymi dziewczynami? Nie krępuj się. Zawołam cię, jeśli będziesz mi potrzebny.

Sam spojrział na nią dziwnie, powiedział coś do Fiony i odszedł.

- Kiedy wcześniej rano zdaliśmy sobie sprawę, ilu ludzi się zjechało, dla ochrony przed słońcem rozbiliśmy namiot, którego zwykle używamy podczas przyjęć - wyjaśnił Dan Mason. - Przecież nie wytrzymałabyś cały dzień w słońcu. Moja żona, Nancy, później tu przyjdzie. Jest zajęta w domu. Przygotowuje posiłek dla tego tłumu. Powiedziała, żebyś dała znać, jeśli czegoś ci będzie potrzeba, na przykład wody czy coś w tym rodzaju. Do namiotu wstawiliśmy stół. Co jeszcze będzie konieczne?
- Wszystko w porządku - oznajmiła Cassie.
- Mogę ci jakoś pomóc? - zapytała Fiona.
- Jasne. Chcę, żeby każdy pacjent miał swoją kartę. Mogłabyś robić dla mnie notatki?
- Z przyjemnością.

Oczy Fiony zabłysły, kiedy przyjaciółka podała jej notes.

Cassie szczepiła dzieci i wrywała kolejne zęby. Nie spodziewała się, że tylu ludzi cierpi na ból zębów, Okazało się, że to najczęściej występująca przypadłość w interiorze. Kiedyś chyba będą musieli zabrać na taką wyprawę jakiegoś dentystę. Przecięła też jeden czyrak. Zastanawiała się,

dlaczego wszystkie aborygeńskie dzieci mają zaczerwienione oczy i ciekące nosy. Na powiekach siadały im muchy, jeszcze bardziej infekując zakażone miejsca.

Miała jeden przypadek zapalenia gardła, złamany staw skokowy, naderwane ścięgna, rozstroje żołądka, sińce, oparzenia, złamane ramię, którego prawidłowo nie złożono, i trzy ciężarne kobiety, którym Cassie oznajmiła, że zbada je w jednej z sypialń, jeśli się na to zgodzą.

O pierwszej nadeszła Nancy Mason, wycierając umączzone ręce w kuchenny fartuch, który okrywał jej obfite ciało.

- Obiad gotowy! - zawołała. - Przygotowałam bufet, bo nie mamy tylu stołów i krzeseł.

Za to jedzenia było pod dostatkiem. Na jednym końcu długiego stołu, który wyniesiono z jadalni, stała olbrzymia szynka.

- Ustawcie się w kolejkę z tej strony - dyrygowała Nancy. - W ten sposób nie będzie bałaganu. -

Zwróciła się do Fiony. - Mam nadzieję, że wystarczy dla wszystkich. Kto by się spodziewał, że przyjadą aż czterdzieści cztery osoby?

Podano też smażone ziemniaki i wielkie bochny domowego chleba. Na tacach stały sosy i góra surówki z kapusty, marchewki i jabłek. Były też duszone warzywa, pokrojone w plastry pomidory i zielona fasolka z płatkami migdałowymi. Na mniejszym stole leżało pięć ciast.

- Wszystkie te ciasta zostały przywiezione. Nie ja je upiekłam - odpowiedziała Nancy na nieme pytanie Cassie.

- Właściwie przygotowałam tylko szynkę i ziemniaki.

- Prawdziwe dobrosąsiedzkie stosunki - stwierdził Sam.

- Nie jesteś do tego przyzwyczajona, co? Rzeczywiście. Nie spotkała się z czymś takim ani w Waszyngtonie, ani w Londynie, ani nawet w San Francisco. Przysłuchiwała się, jak kobiety wymieniają przepisy kulinarne i opowiadają o tygodniach z konieczności spędzonych

w mieście - w Adelajdzie, Brisbane, a czasem nawet w Augusta Springs - w oczekiwaniu na poród. Mężczyźni zebrali się w grupki na drugim końcu werandy i rozmawiali o owcach i wyścigach konnych. Spojrzała na wąski trawnik otaczający świeżo odmalowany biały dom i zobaczyła Sama. Włożył do kieszeni czapkę baseballową, z którą nigdy się nie rozstawał, otoczył ramionami dwie wpatrzone w niego, rozchichotane dziewczyny i uśmiechał się od ucha do ucha. Do Augusta Springs mogli odlecieć dopiero po zmroku.

- To całkiem możliwe - powiedział Sam. - Lotnisko jest oświetlone, inaczej niż na farmie, gdzie nie ma warunków do nocnego lądowania. Mamy nawet reflektor sygnalizacyjny.

Jednak Nancy i Dan Masonowie namówili ich, żeby zostali na noc. Sam połączył się z Horriem, żeby sprawdzić, czy nie ma jakichś pilnych wezwań. Okazało się, że tego dnia w ogóle nikt się do nich nie zwracał o pomoc.

- Jeśli chcecie, możemy wylecieć wczesnym rankiem - powiedział Sam do Fiony i Cassie.

- A co z pannami Martin? Będą zawiedzione. - Cassie się starała, żeby zabrzmiało to żartobliwie, ale na próżno.

Sam zmrużył oczy.

- Nie chcę, żeby kobiety mnie wybierały. Wolę sam wybierać.

- Więc mężczyzna zawsze musi przewodzić? - Głos Cassie przybrał ostry ton.

Pilot nachylił się, zerwał źdźbło trawy i włożył je do ust.

- Jasne.

- Świetna zabawa, co? - Dołączyła do nich Fiona. -Dziękuję, że mnie tu zabraliście. To najwspanialszy dzień w moim życiu. Nie wiedziałam, że latanie jest takie... takie... Nawet nie wiem, jak to wyrazić.

Takie oszałamiające. - Przyjaciółka nie była ani trochę zmęczona. - Nie miałam pojęcia, że twoje życie jest tak bardzo wypełnione... Chyba

nigdy nie czujesz się samotna, prawda? Wszyscy ci ludzie kochają cię za to, że im pomagasz. Od pierwszej chwili stajesz się częścią ich życia. Ja tak się czuję, kiedy wchodzę do klasy. Na zawsze już zostanę częścią życia moich uczniów. Będą pamiętali moje imię albo moją twarz, albo to, że uczyłam ich jakiegoś przedmiotu.

„Chyba nigdy nie czujesz się samotna”, powtórzyła w myślach Cassie.

O szóstej rano rozległ się hałaśliwy dźwięk blaszanego dzwonka, jakie zwykle wiąże się u szyi krowom. Cassie już nie spała, tylko leżała nieruchomo w łóżku, żeby nie zbudzić Fiony. Teraz szturchnęła ją w ramię.

- Hej, pora wstawać.

- Mmm - wymamrotała przyjaciółka.

Cassie usiadła na brzegu łóżka i spojrzała przez okno. Czy każdy poranek w interiorze jest wspaniały? Włożyła ubranie, które wieczorem powiesiła na oparciu krzesła, i przesunęła językiem po zębach. Była zła, że nie wzięła szczoteczki. Musj włożyć zapasową do torby lekarskiej. Przynajmniej kiedy znowu wypadnie nieoczekiwanie gdzieś zanoćować, nie będzie rano czuła się tak nieświeżo. Nasunęła buty i spojrzała w lustro nad toaletką. Pośpiesznie przeczesła włosy grzebieniem. Nie zadała sobie nawet trudu, żeby umalować usta, tylko od razu wyszła powitać świt.

Dan Mason był już na nogach. Rozmawiał z brygadziwą. Kurz unosił się spod kopyt koni, przeganianych i siodłanych przez trzech młodych parobków. Cassie ruszyła przez ostrą, gęstą trawę w stronę wzgórza, jakieś pół kilometra na wschód. Zobaczyła, że Sam już robi przegląd samolotu. Chociaż wszystko wokół było doskonale widoczne, słońce

nie ukazało się jeszcze nad linią horyzontu. Kiedy Cassie wspinała się na pagórek, w nadziei że zobaczy wschód słońca, zaskoczona dostrzegła strumień, wijący się między porastającymi jego brzegi gumowcami. Słońce ukazało się za linią drzew. Wschód byłby bardziej spektakularny, gdyby na niebie płynęły obłoki lub gdyby horyzont przysłaniał wzbity pył, ale mimo to widok ten ją oszołomił. Ze wszystkich stron widziała niczym nie przysłoniętą linię horyzontu. Wokół tylko równina i równina. Kiedy wielka, pomarańczowa kula uniosła się wyżej, śląc na ziemię oślepiające promienie jak macki ośmiornicy, cały krajobraz zalała złota poświata, zapowiadająca kolejny dzień bez nadziei na chłód. Cassie zastanawiała się, jak tu jest latem, skoro w październiku, trzy minuty po wschodzie słońca dokuczał jej upał.

- Człowiek czuje się lepszy, prawda? - usłyszała za sobą głos Sama.

Znów rozległ się dźwięk dzwonka.

- Śniadanie chyba już gotowe. Chciałabym zaraz wystartować. To przecież nasz wolny dzień i trzeba go wykorzystać.

Sam patrzył, jak Cassie schodzi ze wzgórza. Po chwili ruszył za nią, potrząsając głową.

Rozdział czternasty

Sam będzie mnie uczył pilotować samolot - oznajmiła podekscytowana Fiona. - Czyż to nie cudownie? Zajęta krojeniem warzyw Cassie podniosła wzrok.

- Skąd taki pomysł?

Fiona nalała sobie filiżankę herbaty. Właśnie wróciła z kortu, gdzie grała z Samem w tenisa, i wyglądała jak uosobienie zdrowia.

- Powiedziałaś mu, że latanie kojarzy mi się z przygodą miłosną i że podczas wyprawy do Burnham Hill zakochałam się w samolotach. Wiesz, nocą, kiedy leżę w łóżku, zamykam oczy i widzę siebie wysoko pod niebem, unoszącą się w powietrzu jak orzeł. Powiedział, że skoro tak mnie to fascynuje, może nauczyć mnie latać. Pierwszą lekcję mam w sobotę. Jestem taka podniecona.

Cassie wrzuciła marchewkę do garnka i nie patrząc na Fionę zapytała:

- Czy jest coś między tobą a Samem?

- Tak. - Oczy przyjaciółki błyszczały. - i jest to dla mnie coś zupełnie nowego - przyjaźń z mężczyzną. Chyba przedtem nie miałam przyjaciela. To znaczy, takiego prawdziwego. Lubimy się z Samem, ale nie ma między nami tej

iskry. Rozumiesz, o co mi chodzi. Ale bardzo lubię z nim przebywać. Rozmawiamy o wszystkim.

Cassie spojrzała prosto na Fionę.

- Czy można naprawdę zaprzyjaźnić się z mężczyzną? Wątpię.

- Och, Cassie, przestań mścić się na sobie samej i na mężczyznach za to, że ktoś cię kiedyś porzucił. Ja też byłam nieszczęśliwie zakochana. Komu się to zresztą nie zdarzyło? Minęły lata, zanim doszłam do siebie. Ale uważam, że takie doświadczenie nas wzbogaca. Byłybyśmy godnymi pożałowania stworzeniami, gdybyśmy tego nie przeżyły. Jak inaczej mogłybyśmy rozumieć odczucia innych ludzi? Życzyłabym każdemu małej dawki nieszczęścia i chociaż jednego zawodu miłosnego. To uczy również pokory.

- Brednie! Byłabym o wiele lepszą osobą, gdyby Ray potraktował mnie inaczej.

- Być może teraz byłabyś szczęśliwsza, ale dzięki temu doświadczeniu rozwijasz się — dowodziła Fiona. - To, że czujesz to, co czujesz, nie jest winą Raya. Prawda, był sukinsynem. Ale porzucenie to jeszcze nie koniec świata. Stałaś się po prostu zgorzkniała. Teraz nie chcesz zaufać żadnemu mężczyźnie. Tłumisz uczucia, żeby nikt cię jeszcze raz nie zranił. Cassie, przeważnie jesteś śliczną, wspaniałą kobietą. Przy mnie i w towarzystwie innych kobiet zachowujesz się swobodnie i naturalnie. Masz świetne podejście do dzieci. Słyszałam też, że w pracy jesteś cudowna. Pacjenci cię uwielbiają. Ale ukrywasz się przed atrakcyjnymi mężczyznami, którzy mogliby stanowić dla ciebie pokusę. - Fiona położyła rękę na ramieniu przyjaciółki. - Mur, który wybudowałaś wokół siebie, żeby się odgradzić od mężczyzn, jest niemal namacalny.

- Daj spokój, jestem całkiem zadowolona z obecnego życia.

Fiona usiadła na twardym krześle, jedynym jakie stało w kuchni.

- Milej odnosisz się do Horriego niż do Sama. Jesteś bardzo uprzejma dla Stevena Thompsona, ponieważ jest tak stary, że mógłby być twoim ojcem. Ale poczekaj tylko, aż poznasz jego syna. Blake będzie dla ciebie zagrożeniem, i to jakim! Będziesz go traktowała jeszcze chłodniej niż Sama. Czy zdajesz sobie sprawę, że w towarzystwie atrakcyjnych mężczyzn sama zachowujesz się jak mężczyzna?

- Nic nie rozumiesz. Mam powody, żeby do mężczyzn odnosić się z rezerwą, i to wcale nie tylko ze względu na doświadczenie z Rayem Grahamem. Musiałam walczyć, żeby skończyć akademię medyczną. Czy wiesz, że podczas każdego zajęcia z anatomii moi koledzy opowiadali sobie złośliwe dowcipy o kobietach i patrzyli, jak ja to znoszę? - Wspomnienie tamtych czasów zdenerwowało ją. - Czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo mężczyźni czują się zagrożeni, kiedy kobieta wkracza na teren, który uważają za swój?

Fiona zabębniła palcami po stole.

- Wiesz co? Nie jestem nawet przekonana, że mężczyźni i kobiety się lubią. Myślę, że wszyscy czujemy się zagrożeni przez przeciwną płć. To podważa naszą wiarę w siebie. Ale przecież czujemy pociąg do mężczyzn. Może chodzi tu o coś tak podstawowego, jak seks. A może to pragnienie poczucia, że jest się dla kogoś najważniejszą na świecie osobą, a ten ktoś to mężczyzna, z którym spędzimy nasze życie. Możliwe też, że jesteśmy dwiema połowami jednej całości. Yin i yang. Choć nie lubimy się nawzajem, to możemy się pokochać. Chcemy wiedzieć, że w oczach mężczyzn jesteśmy piękne. Bawimy się w gry z płcią przeciwną, ale nie z najlepszymi przyjaciółmi. Jednak od tysięcy lat mężczyźni i kobiety nie czują się spełnieni, jeśli nie mają przy sobie jakiegoś przedstawiciela drugiej płci.

Fiona miała rację. Cassie dobrze wiedziała, że chociaż buduje wokół siebie mur, ilekroć jakiś atrakcyjny mężczyzna pojawi się choćby na obrzeżach jej życia, to jednocześnie zastanawia się, czy dobrze wygląda, czy ma ułożone włosy, czy szminka nie starła się z warg i czy ten mężczyzna na nią patrzy.

- Sama tego nie rozumiem, Cassie. Bardziej lubię kobiety niż mężczyzn. Potrafię bardziej zbliżyć się do kobiety, chociaż z większością z nich nie prowadzę takich rozmów. Tylko z tobą i z Ally... - Ally to była młodsza siostra Fiony. - Tylko tobie i jej mogę szczerze wyznać, że tak, tak, spałam z mężczyzną, który nie był moim mężem, i nie ma co ukrywać, bardzo mi się to podobało. Jakaś część mnie samej wciąż kocha tego mężczyznę, chociaż wcale go teraz nie lubię.

Cassie westchnęła.

- Fiono, jesteś najmilszą mi osobą pod słońcem. Nawet kiedy żyła moja matka, nie mogłam z nią w ten sposób rozmawiać.

- Ależ nigdy nie mówimy matkom, jakie naprawdę jesteśmy, bo za bardzo zależy nam na ich aprobacie. Moja mama dostałaby ataku, gdyby usłyszała, że mówię „gówno”. Ale przed dobrą przyjaciółką można się odsłonić i właśnie to umacnia przyjaźń. Potrafimy być otwarte i szczerze i oczekujemy tego samego od mężczyzny, w nadziei że zostanie nie tylko naszym kochankiem, ale i przyjacielem. Tak się zwykle nie zdarza. Mężczyźni trzeba dogadzać. Przyjaciela tego nie oczekuje. Nie zrozum mnie źle. Należy dbać o przyjaźnie, poświęcać im czas, pielęgnować je. To jedyny dział życia, w którym możemy być takie, jakie naprawdę jesteśmy.

- Jesteś moją pierwszą prawdziwą przyjaciółką - oświadczyła Cassie.

- Ja od dzieciństwa miałam przyjaciółki, ale nigdy takiej jak ty. Nikomu jeszcze nie mówiłam tego, co tobie.

Cassie podeszła do Fiony, położyła jej rękę na ramieniu i pocałowała w policzek.

- Przyjechałam na to pustkowie, żeby się skryć, uciec od życia. Tymczasem odnajduję tu siebie, częściowo dzięki tobie.

W tej samej chwili zadzwonił telefon i Fiona poderwała się z krzesła. Po chwili wróciła do kuchni.

- To do ciebie. W Tookarindze zdarzył się jakiś wypadek.

- Nie zgłosili się przez radio?

- To bezpośredni telefon. Horrie powiedział im, gdzie cię szukać.

Ponieważ nieliczne linie telefoniczne w interiorze biegły zwykle po płotach i drzewach, system rzadko funkcjonował sprawnie.

- Cassie, dzięki Bogu, że jesteś - usłyszała zdenerwowany głos Jennifer. — Mamy tu problem. Steven wyjechał, ale mój syn wszystko ci opowie. Szybko.

W słuchawce rozległ się nieznajomy męski głos.

- Graliśmy właśnie w tenisa, kiedy Ewa Paul, nasz gość, rzuciła raketę, chwyciła się za gardło, zaczęła tupać nogami i spluwać. Szerszeń wleciał jej do ust i użądlił ją. Stało się to niecałe piętnaście minut temu. Użądlił ją w nasadę języka. Język jej spuchł i dziewczyna ma kłopoty z oddychaniem.

Wpadła w panikę. Podajemy jej chłodne napoje i lód, żeby powstrzymać opuchliznę. - W tle Cassie usłyszała chrapliwy oddech Ewy. - Sinieje, a jej twarz i usta stają się ziemiste. Jest cała spocona, jak w łaźni. - Dobry Boże, pomyślała w popłochu Cassie. - Kiedy możecie tu przylecieć? - zapytał Blake Thompson.

- Kiedy do was dotrzemy, ona już nie będzie żyła. Musisz przeprowadzić tracheotomię.

- Co takiego?
 - Musisz przeprowadzić...
 - Co mam robić?
 - Słuchaj uważnie. Opuchnięta nagłośnia blokuje tchawicę, co może spowodować śmierć przez uduszenie lub zadławienie. Będziesz musiał wykonać otwór w tchawicy tuż pod grdyką. - Po drugiej stronie przewodu zapadła cisza. Cassie mówiła dalej: - Natychmiast każ komuś wysterylizować mały, ostry nóż i przynieść kawałek gumowej rurki. Może używacie ich do przelewania benzyny. Szybko! Teraz słuchaj mnie uważnie, żebyś wszystko zrozumiał. U nasady języka jest gardło, które niżej rozdziela się na dwie części. Jedna służy do przełykania płynów i pokarmów, drugą wciąga się powietrze w płuca. To jest tchawica. Znajduje się tam zastawka, która się zamyka przy przełykaniu. Opuchlizna uniemożliwia przepływ powietrza do tchawicy. Dziewczyna się udusi, jeśli ktoś jej szybko nie pomoże. Gdybyśmy byli w szpitalu, można by było wprowadzić rurkę tracheotomijną bezpośrednio do tchawicy, ale do najbliższego szpitala macie czterysta kilometrów.
 - Jedyne operacje, jakich w życiu dokonywałem, to kastrowanie młodych zwierząt.
 - Jeśli tego nie zrobisz, dziewczyna umrze, i to za kilka minut. Wkrótce straci przytomność z powodu niedotlenienia. Oddaj słuchawkę matce i kiedy ja będę z nią rozmawiała, przysuń kanapę blisko telefonu. Natychmiast zawołaj kilku swoich pracowników. Będziesz potrzebował silnych mężczyzn, żeby przytrzymać pacjentkę.
- Ze słuchawki dobiegł ją głos Jennifer.
- W porządku, Cassie, Blake przysuwa kanapę. Wydaje mi się, że Ewa traci przytomność. O, mój Boże! Jakie to szczęście, że mamy tu jeszcze dwóch silnych mężczyzn. Jak mogę pomóc?

- Zostań na miejscu i trzymaj słuchawkę przy uchu Blake'a albo dokładnie powtarzaj mu, co mówię. Dobrze. Jeśli kanapa stoi już na miejscu, gdzie Blake będzie mógł dokonać operacji słysząc moje instrukcje, to ułóżcie pacjentkę tak, żeby głowa i szyja wystawały poza boczną poręcz kanapy. Teraz zawołaj najsilniejszego z mężczyzn...

- To Blake.

- W takim razie jakiegoś innego, też silnego. - Cassie miała ochotę zawołać: „Na miłość Boską, kobieto, nie utrudniaj!” - Niech mocno przytrzyma głowę dziewczyny. Żeby nie wiem jak się szarpała, nie może się ruszyć. Powiedz mu, żeby nie patrzył na operację, tylko skoncentrował się na trzymaniu głowy pacjentki. Niech nic innego go nie obchodzi. To jest podstawowa sprawa. A teraz niech Blake umyje ręce, i to biegiem. Potem niech weźmie wysterylizowany nóż i wraca do telefonu.

- Za minutę wróci - odezwała się Jennifer. - O, Boże...

- Spokojnie, Jenny. - Cassie zwróciła się do stojącej obok Fiony: - Podaj mi krzesło, dobrze? Ta rozmowa potrwa dosyć długo.

Usłyszała w słuchawce głos Blake'a.

- Już jestem.

- Oddaj słuchawkę matce. Ona będzie ci powtarzała każde moje słowo. Nie wahaj się, bo dziewczyna umrze.

- Dobrze - odparła Jennifer.

- Niech Blake wymaca grdykę i zrobi pionowe nacięcie niecałe półtora centymetra poniżej. Nacięcie powinno mieć długość około trzech, czterech centymetrów. Niech się upewni, że odnalazł punkt na samym środku szyi i tnie, aż przez otwór przedostanie się powietrze. Nie przejmujcie się krwawieniem. Jak tylko powietrze zacznie uchodzić na zewnątrz lub zasysać się do środka, krwawienie się zmniejszy. - W tle Cassie słyszała mozolny oddech dziewczyny.

- Ewa zsiniała! Ma wywrócone białka, jakby już była martwa! Straciła przytomność. - W głosie Jennifer słychać było przerażenie.
- Chyba już nie żyje - odezwał się Blake do matki.
- Powiedz mu, żeby nie przerywał. Musi być całkowicie pewny, że tnie przez sam środek. Nie może zboczyć. Niech dotrze do tchawicy, bez względu na to, czy dziewczyna żyje, czy nie.
- Znowu oddycha - powiedziała Jennifer.
- To znaczy, że coś jest nie tak! - Cassie zdała sobie sprawę, że krzyczy. - Albo nóż zszedł mu w bok, albo nie dotarł wystarczająco głęboko. Niech sprawdzi, czy jest na samym środku.
- Już otworzył tchawicę! Przez otwór przechodzi powietrze. Boże, wszędzie jest krew!
- To dobrze. Niech wsunie rurkę w otwór i obłoży ranę czystymi szmatkami, chusteczkami albo serwetkami. Potem niech wepnie dużą agrafkę pod kątem prostym w wystającą część rurki, tak żeby nie wsunęła się w tchawicę. Czy dziewczyna jest przytomna?
- Tak, i bardzo cierpi.
- Powiedz mu, żeby przyłożył palce po obu stronach nacięcia. To zatamuje krwawienie i nieco osuszy ranę. Nie jest ważne, ile krwi wypłynęło, najważniejsze, żeby nie wpływała z powrotem do otworu! Przez chwilę panowała cisza.
- Teraz krew ledwie się sączy - odezwała się w końcu Jennifer.
- Świetnie. Musicie po kolei czuwać przy niej przez całą noc i pilnować rurki. Jest już prawie ciemno, więc nie możemy teraz przylecieć, ale wystartujemy przed świtem i dotrzemy do was po dziewiątej. Myślę, że z Ewą będzie wszystko w porządku. Daj mi jeszcze pana doktora - powiedziała z uśmiechem.

- Jestem. - To było wszystko, co powiedział Blake.

- Dobra robota.

- No, tak...

Następnego ranka, o dziewiątej dwadzieścia dwie, wylądowali w Tookarindze. Blake Thompson wyjechał po nich ciężarówką na lądowisko. Kiedy Sam otworzył drzwi samolotu, stał opierając się o samochód. Twarz miał ukrytą pod rondem dużego stetsona. Podeszedł do nich wolnymi, długimi krokami, w nieco zniszczonych, roboczych butach. Szedł jak człowiek, który spędza całe dnie w siodle, ale mimo to poruszał się z niemal kocią gracją. Uścisnął rękę Sama.

- Jestem Blake Thompson.

Sam skinął głową i Cassie wydawało się, że pilot również wymienia swoje imię, ale nie mogła tego usłyszeć, ponieważ stał do niej tyłem.

Jeszcze na schodkach wyciągnęła rękę na powitanie.

- Doktor Thompson? Blake roześmiał się.

- Czułem, że wiesz, co robisz, kiedy tak wydawałaś mi instrukcje przez telefon.

Ruszyli do ciężarówki.

- Jak się czuje pacjentka?

- Chyba dobrze. Długo spała. Wydaje się, że rano ból nieco się zmniejszył.

Boże, jaki on przystojny, jeszcze przystojniejszy niż ojciec. Cóż, jeśli się ma takich udanych rodziców, nie można wyglądać inaczej. Blake był dobrze zbudowany i znacznie górował nad nią wzrostem. Był chyba z dziesięć centymetrów wyższy od Sama. Miał z metr dziewięćdziesiąt pięć. I te szerokie ramiona...

- Jeśli się trochę ścieśnimy, wszyscy wejdziemy na przednie siedzenie - powiedział. Otworzył drzwi przed Cassie. Usiadła pośrodku, a Sam rzucił torbę na tylne siedzenie.
 - Cieszę się, że byłam pod telefonem - powiedziała. - Jeszcze kilka minut, a dziewczyna by nie żyła. Blake zahamował przed domem, odwrócił się i spojrzał na Cassie. Miał kobaltowoniebieskie oczy.
 - Idźcie przodem - odezwał się Sam. - Ja wezmę torbę. Cassie wbiegła po schodach do salonu, gdzie Jennifer czuwała przy siedzącej na kanapie pacjentce.
 - Sama bym tego lepiej nie zrobiła - oświadczyła Cassie po badaniu. - Opuchlizna już się zmniejszyła i kiedy przewieziemy cię do szpitala, usuniemy rurkę. Jutro za-szyjemy ranę. Prawie nie będzie po niej śladu - pocieszyła młodą kobietę.
 - Jadłaś śniadanie? - zapytała Jennifer.
 - Nie możemy zostać - odparła. - Mamy następną wizytę, a poza tym chcę zawieźć tę młodą damę do szpitala.
 - Przyjechała do nas z wizytą z Brisbane - wyjaśniła Jennifer. - Spakuję jej rzeczy, żeby mogła złapać jakiś samolot albo pociąg z Augusta Springs, kiedy wyjdzie ze szpitala. I tak zamierzała już wyjechać.
 - Muszę zatankować - powiedział Sam do Blake'a. Obaj stali w drzwiach do salonu.
 - Chodź ze mną. Możesz podprowadzić samolot do dystrybutora?
 - Jeśli nie, to naleję benzyny w beczki, a potem do zbiorników.
 - Spakuję Ewę i odwiozę ją razem z Cassie pod hangar, żebyście nie musieli tu na nie czekać - odezwała się Jennifer.
- Sam skinął głową i obaj mężczyźni wyszli.

Kiedy Ewa przypięła się pasem do fotela, Cassie zajęła miejsce obok niej. Blake wskoczył do samolotu i uściskał dziewczynę.

- Przykro mi, że to się tak pechowo skończyło.

- Dziękuję za ocalenie życia. - Ewa uśmiechnęła się słabo. Zanim zbiegł po schodkach, spojrzał na Cassie. Sam

zatrzasnął drzwi i przeszedł do kabiny pilota.

Maszyna toczyła się po pasie, a Cassie patrzyła na Blake'a, który z kapeluszem w ręku stał obok matki.

Widziała ich, jak odprowadzają wzrokiem samolot, aż w końcu zmienili się w dwa małe punkciki.

Kiedy zniknęli jej z oczu, Cassie pomyślała: „A więc to jest Blake Thompson”.

Oczy jak błękitne niebo.

Rozdział piętnasty

Ustalili, że ich zwykła wizyta medyczna w Tookarindze odbędzie się w ostatnim dniu starego roku. Cassie słyszała, że na słynne sylwestrowe przyjęcia u Thompsonów ludzie przyjeżdżają aż z Sydney i Melbourne.

Namawiała Fionę, żeby również się tam wybrała, ponieważ gospodarze i ją zaprosili, ale przyjaciółka się wymówiła. Jej wykręty nie były przekonujące, zwłaszcza że wiadomo było, jak bardzo lubi przyjęcia.

- To jest najważniejsze wydarzenie towarzyskie roku -przekonywała Cassie.

Fiona machnęła lekceważąco ręką.

- Tym bardziej powinnam zostać tutaj i uatrakcyjnić przyjęcie u Addiego.

- Przecież jeszcze nigdy nie byłaś w Tookarindze. Przyjaciółka kiwnęła głową.

- Nie zależy mi na tym. Mogę się spotkać ze Stevenem i Jennifer, kiedy odwiedzają nasze miasteczko.

Nikt tam nie zauważy, że mnie nie ma. Już mnie nie męcz, Cassie. Nie pojedę.

- Ale dlaczego?

Koleżanka wstała i wyszła do kuchni.

- Mam swoje powody.

Fiona pomogła Cassie uszyć nową suknię, specjalnie na sylwestrowy bal. W sklepie w Augusta Springs oczywiście nie można było dostać nic odpowiedniego. Teraz Cassie zastanawiała się, czy kreacja nie jest zbyt strojna.

- Jeśli chcesz wykreślić mężczyznę ze swojego życia, to po co zakładasz taką suknię? - zapytała Fiona.

- Odmawiasz sobie wszelkich radości - ciągnęła. - Kiedy mnie spotkał zawód miłosny, nie potrafiłam długo żyć odcięta od świata. Przez jakiś czas otwierałam serce tylko przed moimi uczniami. Ale to mi nie wystarczało. W końcu postanowiłam otworzyć je przed wszystkimi. Mam wystarczająco duże serce. Od kiedy to zrobiłam, jest mi o wiele łatwiej.

- Otwierasz serce przed wszystkimi? Przecież znowu ktoś cię zrani.

Fiona wzruszyła ramionami.

- Być może. Ale już nie tak mocno. Nie tak mocno, jak wtedy, kiedy jednemu mężczyźnie oddałam serce, umysł i każdy oddech. Teraz w moim sercu panuje taki tłok, że jedna osoba nie może nim zawładnąć. Cassie, zapewniam cię, że mój sposób jest zdrowszy niż to, co ty robisz. Zamknęłaś serce przed wszystkimi mężczyznami. Jesteś chyba jedyną panną w promieniu tysiąca kilometrów, z którą żaden mężczyzna nie próbuje umówić się na randkę. Spójrz w lustro. Nawet ci, którzy osądzają kobiety tylko po wyglądzie, powinni tłoczyć się pod twoimi drzwiami. A ty mi mówisz, że w ciągu tych kilku miesięcy, które tu spędziłaś, żaden mężczyzna nie próbował cię poderwać. To dlatego, że ich onieśmielasz.

- Nic nie szkodzi. - Cassie wsunęła przez głowę nową

suknię z różowego szyfonu i zawieszona przed wysokim lustrem, zawieszonym na wewnętrznej stronie drzwi szafy.

- Popatrz na siebie! - W głosie Fiony brzmiał zachwyty. - Nie musisz się angażować. Po prostu traktuj ich jak normalnych ludzi. Nie wpędzaj ich w poczucie niższości. Bądź dla nich troszeczkę miłsza. Ja nie zamierzam angażować się w żaden związek, przynajmniej nie teraz, ale przecież flirt to taka przyjemność.

- Nigdy nie potrafiłam flirtować.

- Zawsze jesteś taka poważna. Nie zrozum mnie źle. To również jedna z twoich zalet. Lekarz chyba powinien być poważny, żeby ludzie mieli do niego zaufanie. Do niej. Ale przecież nie musisz stale zachowywać się jak lekarz. Teraz jedź do Tookaringi, rozluźnij się i zaszalej.

Może tak zrobi. Jeszcze nie spotkała tu mężczyzny, przed którym powinna się mieć na baczności. Niemal wszyscy byli tacy jak Sam. Woleli głupiutkie, rozchichotane dziewczęta, które patrzyły na nich z uwielbieniem i całowały się z nimi za stodołą, podczas gdy ona przyjmowała pacjentów na wyjazdowych badaniach. Z Samem nie pracowało się źle. Może nawet bardzo dobrze. Pilotował samolot i nie mówił zbyt wiele, chyba że chciał zwrócić jej uwagę na coś, co jego zdaniem mogło ją zainteresować. Bez narzekania pomagał jej, jeśli zachodziła taka potrzeba. Był miły dla ludzi, z którymi się stykali. Nawet więcej niż miły. Od razu się do nich zbliżał. Pamiętał, ile mają dzieci i skąd przybyli w te strony. Wiedział, od jak dawna mieszkają na swojej farmie. Nie zapominał, dla kogo pracuje każdy spotkany poganiacz i jaki obszar zajmuje dana farma. Każdy charakterystyczny punkt w terenie łączył z jakimś osobistym wspomnieniem. „To jest droga, którą własnymi rękami zbudował Dick Highland”. Albo: „Widzisz ten kopiec? Jest tu od ponad siedem-

dziesięciu lat. Tędy biegnie trasa stad bydła i dawno temu jacyś poganiacze ułożyli te kamienie, żeby inni również wiedzieli, że tutaj znajduje się woda." Albo: „Matt Warden sprzedaje w tym roku sześć tysięcy sztuk bydła".

Jednak o sobie nie mówił zbyt wiele i nie wypytywał Cassie, jak wyglądało jej dzieciństwo za granicą. Nie był ciekaw jej przeszłości. Poza tym, że grywał z Fioną w tenisa i dawał jej w soboty lekcje latania, Cassie nie wiedziała, jak pilot spędza wolny czas, chociaż często słyszała, że ludzie o nim rozmawiają. Mężczyźni go lubili. Wieczorami przesiadywał u Addiego, grał w rzutki, pił piwo i wysłuchiwał opowieści poganiaczy. Brał udział w życiu miasteczka.

Wiedziała też, że dziewczyny za nim szaleją. Ale on żadnej szczególnie nie wyróżniał.

- Każdej soboty zjawia się w towarzystwie innej dziewczyny - powiedziała jej Fiona po powrocie z tańców. - Z żadną nie jest blisko związany. A jak tańczy! Na parkiecie czuję się przy nim lekka jak piórko.

- Jeśli nie będziesz uważała, zakochasz się w nim, chociaż ci się wydaje, że wasza sympatia jest czysto platoniczna. To się zdarza w najmniej oczekiwanym momencie.

Fiona na chwilę się zamyśliła.

- Nie sądzę. Cenię sobie Sama wyłącznie jako przyjaciela, i kropka. Ale jeśli się zakocham, to trudno. Jeśli za wszelką cenę będę chciała uniknąć zawodu i cierpienia, to nigdy już nie zaznam miłosnych uniesień.

- Jesteś niekonsekwentna.

- Zacytuję jednego z moich ulubieńców, Ralpa Waldo Emersona. Powiedział, że konsekwencja to przywara ciasnych umysłów. - Roześmiała się. - Nie chciałabym, żeby ktoś mówił, że mam ciasny umysł.

- Albo małe serce. - Cassie żałowała, że nie jest bardziej podobna do Fiony.

Czeka nas długi wieczór - powiedziała Jennifer, kiedy Cassie skończyła badać pacjentów. - Może chcesz się zdrzemnąć po długim dniu pracy? Widać, że trochę snu by ci nie zaszkodziło.

Cassie z wdzięcznością skinęła głową.

- Może coś przekąsisz? Kolację podamy bardzo późno. Masz ochotę na kanapkę z zimną jagnięciną? Zaraz po wylądowaniu Sam zniknął jej z oczu.

- Poszedł do kuchni-zawiadomiła ją Jennifer, wskazując na niski budynek, widoczny przez szklane ściany otaczające basen. - To chyba przez tę nową kucharkę. Śliczna dziewczyna.

- Myślałam, że macie kucharza.

- Steven go zwolnił. Twierdzi, że jeśli ktoś przez rok nie potrafi się nauczyć, jak przyrządzać lekko wysmażone steki, to nie ma już dla niego nadziei. Przez tę nową dziewczynę wszyscy chłopcy schodzą się w kuchni, kiedy tylko mają wolną chwilę. Nie tylko cudownie gotuje, ale do tego ma uśmiech, od którego nawet w lochu zrobiłoby się jasno.

Tak, Sam na pewno poszedł do kuchni.

- Powiedz mi, czy moja suknia nie jest trochę za strojna na to przyjęcie.

- Na nasze przyjęcia każdy strój jest odpowiedni. Mary Ellen Fonteyn zawstydzi nas wszystkich, a reszta towarzystwa i tak nie zna się na modzie. Możesz się ubrać, jak chcesz. Cokolwiek włożysz, będziesz mi się podobała. I tak zawsze wyglądasz czarująco. - Cassie nie podzielała tej opinii. - Blake wrócił z buszu na dwa tygodnie wakacji. Myślę, że się sobie spodobacie.

- Mam nadzieję, że nie za bardzo. W moim życiu nie ma teraz miejsca dla mężczyzny.

- Przecież nie musisz od razu się za niego wydawać -odparła Jennifer.

Na bal przybyło kilkaset osób. Kilkunastu gości nocowało w wielkim domu i Cassie już niektórych poznała. Orkiestrę ustawiono na trawniku, żeby cała weranda i salon pozostały do dyspozycji tańczących. Rozwieszono lampiony i nawet palmy były świątecznie oświetlone. Przybyli wszyscy członkowie rady latających doktorów z Augusta Springs, wraz z żonami. Nawet Don McLeod zmienił rozkład zajęć tak, żeby być obecnym na przyjęciu. Cassie cieszyła się, że znów go spotyka.

Postanowiła nie słuchać rady Fiony i nie szaleć. Musiała przecież dbać o swoją reputację.

Przyjęcia w Tookarindze, a widziała już dwa, byty jedynymi, na których naprawdę dobrze się bawiła. Australijczycy to najmiłsi, najgościnniejsi i najbardziej otwarci ludzie pod słońcem, Amerykanie cieszą się opinią przyjacielskich, ale wypadają blado przy tych ludziach z buszu, którzy od pierwszej chwili traktują cię jak starego przyjaciela i włączają w swoje życie. Dobrze się wśród nich czuła.

- Może zatańczymy? - zapytał Steven stając za nią. - Ktoś musi zacząć.

Wziął ją za rękę i poprowadził przez trawnik na werandę, do jej zabudowanej części, z której było wejście do salonu.

- Smutna piosenka, ale nadaje się do tańczenia - stwierdził.

Cassie rozpoznała ją natychmiast... „Nigdy więcej się me uśmiechnę”.

Obejmował ją mocno, nucąc w takt muzyki. Zgodnie poruszali się po parkiecie.

- Jesteś wspaniałym nabytkiem dla naszej okolicy, wiesz?

- Mam nadzieję - odparła, z łatwością podążając za jego krokiem. - Podoba mi się tu.

- Podbiłaś serca nawet tych z nas, którzy wątpili, że kobieta nadaje się na lekarza.

- Doprawdy? Tobie też się ten pomysł nie podobał?

Kilka par również zaczęło tańczyć.

- Myślałaś, że wszyscy będą zachwyceni? Wciąż jeszcze wiele osób, tych które nie miały z tobą do czynienia, uważa że kobieta nie jest w stanie postawić trafnej diagnozy czy operować. Jestem pewien, że wszystkich w końcu przeciągniesz na swoją stronę.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. Nie mają wyboru, prawda?

Orkiestra zaczęła grać szybką melodię.

- Jak chcesz to tańczyć? - zapytał Steven. - Tak jak jitterbuga czy bardziej po nowojorska?

Zanim Cassie odpowiedziała, pojawił się Sam.

- Wybacz, Steven, ale to mój taniec. - Chwytał Cassie za rękę i zaczął obracać ją wokół siebie. Na poprzednim przyjęciu byli jedynymi gwiazdami na parkiecie. Tym razem również przyciągali uwagę, ale dołączyło do nich kilka innych par. Sam tak wykonywał skomplikowane kroki, że Cassie lekko i bez wysiłku podążała za nim.

- Napijmy się czegoś zimnego - powiedział, kiedy orkiestra umilkła.

Tymczasem Cassie nie odrywała wzroku od Blake'a Thompsona, który opierał się o framugę drzwi. Stał wyprostowany jak struna i patrzył na nią z wyrazem rozbawienia na twarzy.

Sam podążył za jej wzrokiem.

- Aha - powiedział tylko.

Kiedy później wspominała ten wieczór, nie wiedziała, czy Sam zniknął, czy podszedł do innej dziewczyny i co się z nim potem działo. Dla niej przestał istnieć. Tak samo jak inni goście.

Nie, pomyślała. Nie i koniec.

Blake przecisnął się przez tańczące pary, wziął ją za rękę i otoczył ramieniem w talii. Nic nie powiedział, tylko

przyciągnął ją do siebie i zaczął tańczyć, spoglądając jej w oczy. Czula przy sobie jego ciało i przewidywała każdy krok, zanim jeszcze go wykonał.

Przez chwilę miała ochotę uciec, odnaleźć Sama i poprosić go, żeby stąd odlecieli. Jeszcze tego wieczora. Ale nogi Blake'a dotykały jej nóg i czuła na plecach mocny ucisk jego dłoni.

- Powiedzieć ci, co o tobie wiem? - zapytał miękim, melodyjnym głosem. - Pod powłoką zimnej profesjonalistki kryje się czułe serce. Jesteś idealistką. Musiałaś walczyć o swoje w świecie mężczyzn i teraz boisz się ujawnić swoją kobiecość. Ale nie możesz jej ukryć. Masz kobiece ciało, poruszasz się jak kobieta. Jakiś mężczyzna cię kiedyś zranił. Nie zamierzasz dopuścić, żeby ktoś cię znowu tak wykorzystał. - Zmyliła krok i niemal potknęła się o jego stopę. - Wydaje mi się też, że kiedy całujesz, wkładasz w to całą duszę. - Przyciągnął ją bliżej do siebie. Ich ciała poruszały się jak jedno.

Skończ z tym, nakazała sobie. Weź się w garść. Nie pozwól, żeby doprowadzał cie do takiego stanu.

- A co ja wiem o tobie? - Starła się, żeby to zabrzmiało żartobliwie. - Skoro tak potrafisz rozmawiać z kobietami, to pewnie zostawiłeś za sobą sznur złamanych serc.

W ramionach Blake'a jej ciało ożyło. Kiedy muzyka umilkła, cofnął ramię, ale nie wypuszczał jej dłoni ze swojej. Wyszli z werandy przez siatkowe drzwi.

- Powiedz mi, skąd się wziął u ciebie amerykański akcent i dlaczego taka piękna kobieta jak ty została lekarzem, a nie żoną i matką.

- A ty co mi o sobie powiesz?

- Teraz dla ciebie ma znaczenie tylko to, że jestem mężczyzną, który zaraz cię pocałuje.

Dotarli do długiego stołu, który służył za bar.

- Czego się napijesz? Lemoniady? Roześmiała się.

- Raczej piwa.

Wziął ze stołu dwie butelki.

- Pewnie nie potrzebujesz nawet szklanki, co?

- Skąd ci przyszło do głowy, że zechcę się z tobą całować? Miał poważną minę.

- Wątpię, czy którekolwiek z nas będzie miało wpływ na to, co się stanie w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin. Może potem tak, chociaż i tego nie jestem pewien. Wiedziałem to już w chwili, kiedy cię zobaczyłem. Ty też wiedziałaś. Odgadłem, że czujesz to samo.

Pragnęła, żeby to uczucie ją opuściło. Ale nie chciało. Krew płynęła jej szybciej w żyłach, a na szyi pulsował jakiś nerw. Podniosła rękę, żeby go uspokoić.

Blake lekko musnął to miejsce palcami.

- Potem cię tam pocałuję.

Rozdział szesnasty

Przez całą noc, gdziekolwiek była, w czyichkolwiek ramionach tańczyła, nie spuszczał z niej wzroku. O północy wrócił do niej i wziął ją w ramiona, jakby właśnie tam było właściwe dla niej miejsce. Nic nie mówił, tylko przytulał ją tak mocno, że czuła bicie jego serca. Ich nogi poruszały się w zgodnym rytmie. Patrzyła na jego lewą dłoń, którą trzymał ją za rękę. Dostrzegła na niej bliznę.

Zauważył jej spojrzenie.

- To stare oparzenie - wyjaśnił. Przyglądał się jej ustom. Zapowiedział, że ją pocałuje, zanim wieczór dobiegnie końca. Przecież pocałunek nikomu jeszcze nie zaszkodził. Tylko jeden pocałunek.

Przestał tańczyć w środku melodii i ujął ją za rękę.

- Chodźmy nad staw.

Muzyka podążała za nimi, kiedy w ciemnościach szli po łagodnie schodzącym w dół trawniku. Blake nie zatrzymywał się i trzymając Cassie, pewnym krokiem maszerował przez noc. Pewnie wielokrotnie chodził tędy o tak późnej porze, może jako chłopak, żeby o północy wykapać się w stawie.

Sierp księżycy oświetlał wyniosłe drzewa gumowe, rosnące nad brzegiem. Blake zatrzymał się pod nimi i spojrzął na

Cassie. Widziała jego rozmazane rysy. Łagodne dźwięki piosenki „Moje marzenie” płynęły w nocnym powietrzu. Przyciągnął ją do siebie i otoczył ramionami.

- Być może czekałem na ciebie całe życie - powiedział patrząc jej w oczy. Nagle łagodnie i delikatnie dotknął ustami jej ust. Potem poczuła, że niecierpliwie rozsuwa jej wargi językiem. Nawet nie chciała się opierać; umysł przestał działać. Wiedziała tylko, że dotychczas nikt nie całował jej tak mocno.

Ucałował jej ucho i nerw drgający na szyi. Muskał wargami policzek, aż ich usta znowu się zetknęły. Usłyszała własne westchnienie.

Nieoczekiwanie roześmiał się, wypuścił ją z uścisku, znowu chwycił za rękę i pociągnął nad samą wodę.

- No dobrze, mów - powiedział.

- Co mam ci powiedzieć?

- Wszystko. Chcę się wszystkiego o tobie dowiedzieć. Wciąż czuła smak jego ust.

- Na pewno dojdiesz do wniosku, że nie jestem interesująca.

- Nie zaczynaj naszej znajomości z takim nedorzecznym nastawieniem. Wiesz tak samo dobrze jak ja, że tak się nie stanie. Chcę wiedzieć, skąd się u ciebie wziął amerykański akcent. Dlaczego tu przyjechałaś, dlaczego nie wyszłaś za mąż, kim jesteś, co czujesz i myślisz. Dlaczego zostałaś lekarką. Chcę wiedzieć, kogo kochałaś, czy masz rodzeństwo i co cię łączy z tym pilotem. Powiedz mi, czy potrafisz jeździć konno i jak ci się podoba życie o tysiąc kilometrów od dużego miasta. Chcę wiedzieć, co sądzisz o aborygenach i o nowiu księżycy. Czy lubisz psy? Zaraz, czy zapytałem już o wszystkie ważne rzeczy? Chyba tak.

- A nie chcesz się dowiedzieć, czy wierzę w Boga? Roześmiał się.

- Spójrz tylko na te gwiazdy.

Tropikalne niebo skrzyło się od diamentowych punkcików.

- Obiecuję sobie, że kiedyś prześpię całą noc pod gwiazdami - powiedziała.

-; Kiedyś to razem zrobimy. Większość życia sypiam właśnie tak. One są Bogiem. Spójrz na księżyc.

On też jest Bogiem. Nie muszę zadawać ci takich pytań.

Jej ciało wypełniło się życiem. Chciała, żeby ją znowu pocałował. .

- Dorastałam w Anglii i w San Francisco. Mój ojciec pracuje w dyplomacji, teraz jest ambasadorem w Waszyngtonie. Kiedy moja matka zmarła, nie chciałam, żeby był sam, więc wstąpiłam na uniwersytet Goergetown, a potem do Akademii Medycznej Johna Hopkinsa. Z Australii wyjechałam, kiedy miałam sześć lat. Wróciłam niewiele ponad półtora roku temu.

- Dlaczego nie wyszłaś za męża?

- A ty dlaczego się nie ożeniłeś?

- Masz prawo pytać. - Kiwnął głową i mocniej ścisnął jej rękę. - Nie potrafię odpowiedzieć. Aż do dzisiejszego wieczora nie spotkałem nikogo, z kim chciałbym spędzić życie czy choćby spać pod gwiazdami. Teraz twoja kolej.

- Mężczyzna, którego, jak mi się wydawało, kochałam, wrócił do żony.

Blake milczał.

- Co jeszcze? Nie pamiętam twoich pytań. Ach, tak. Nie widziałam jeszcze psa, którego bym nie polubiła i jeźdźcę konno.

- A co z aborygenami?

- Chyba nie potrafię ci powiedzieć. Zapytaj mnie, czy lubię twoją matkę, pana Highlanda albo jakąś inną konkretną osobę, to ci odpowiem. Ale co mam powiedzieć o całej grupie ludzi? Calej rasie?

Osądzam ich indywidualnie.

Przez chwilę nic nie mówił, tylko na nią patrzył. Chmura sunąca po niebie przesłoniła księżyc i spowiła w mroku ich twarze.

- Cóż, Cassandro, wydaje mi się, że rodzi się między nami coś poważnego. - Nachylił się i pocałował ją w usta. Poczowała jego język i zapagnęła jego dotyku na piersiach. Chciała, żeby wargi Blake'a otoczyły jej sutki, żeby delikatnie gryzł i pieścił całe ciało.

Odsunęła się.

- Hej, zwolnij - powiedziała. Zdała sobie sprawę, że drży.

- Dobrze. Całe życie przed nami. Dość tego!

Ujął jej dłoń.

- Skąd tyle o mnie wiedziałeś? - zapytała, kiedy ruszyli po łagodnym zboczu do jasno oświetlonego domu.

Roześmiał się.

- Skąd wiedziałem, że ktoś cię zranił? Powiedział mi o tym twój wygląd. Zbuntowana młoda kobieta. W dodatku wciąż unikasz spojrzenia innych ludzi, jakby to miało uchronić cię przed niebezpieczeństwem. Wyglądasz tak bezbrinnie, jak zraniona sarenka. - Ścisnął mocniej jej dłoń.

Otoczyły ich dźwięki muzyki i wciągnęły w radosny rytm przyjęcia.

- To dobra orkiestra - powiedziała Cassie.

- Co roku ściągamy ją z Adelajdy - odparł Blake. Zatrzymał się i odwrócił ją do siebie. - Miałem rację, prawda?

- Nie znam cię wystarczająco dobrze, żeby ci się zwierzać.

- Nie opowiadaj takich bzdur - odpowiedział, patrząc na nią przeszywająco. - Wiemy już o sobie więcej niż o większości innych ludzi w naszym życiu. Nie znamy tylko szczegółów. Odkrywanie ich to będzie duża przyjemność, ale tak naprawdę nie mają one znaczenia.

Jennifer pomachała do nich z przeciwległego końca trawnika. Nigdzie nie było widać Sama i kucharki.

Czyż Fiona jej nie ostrzegała? Przecież powiedziała: „Dzisiaj poznasz ich syna, Blake'a. Uważaj. Zostawił sznur złamanych serc w całej okolicy, a może nawet w całym kraju.”

Podeszli do stołu, który wciąż uginał się od jedzenia. Cassie sięgnęła po talerz i nałożyła sobie kilka plasterów szynki. Szukając ucieczki przed Blake'em Thompsonem, rozejrzała się rozpaczliwie wokół. Jednocześnie pragnęła patrzeć tylko na niego, napić oczy jego widokiem, sprawdzić, czy jest prawdziwy. Odwróciła się, żeby coś do niego powiedzieć, ale Blake'a tam nie było. Zobaczyła, że stoi po drugiej stronie stołu i nie odrywając od niej wzroku rozmawia z jakimś nie znanym jej człowiekiem.

- Powiedz ci, co o nim wiem? - Rozległ się głos Dona McLeoda. Pastor podszedł do niej z talerzem w rękę. - Nie spotkałem nikogo, kto by go nie lubił.

- O kim ty mówisz?

Don uśmiechnął się do niej i przez chwilę jadł w milczeniu. Przypominał bardziej robotnika niż prezbiteriańskiego duchownego.

- Nawet ludzie, którzy dla niego pracują, mają go niemal za półboga. Strzela lepiej niż każdy z nich. Wypatrzy bawołu w wysokiej trawie z odległości sześćdziesięciu metrów i powali go jednym strzałem. W walce wręcz pokona każdego i w dodatku wzbudzi sympatię przeciwnika. Tańczy lepiej niż ktokolwiek z tu obecnych. Nie wymaga od swoich ludzi tego, czego sam by się nie podjął, a wszystko robi z wielką brawurą i nikt nie ma mu tego za złe. Wydaje się, że nic nie jest mu straszne. Ma też poczucie humoru...

- No, no, no! - Cassie nie mogła powstrzymać śmiechu. - A skąd ci przyszło do głowy, że mnie to interesuje?

- Posłuchaj. - Don odstawił na stół pusty talerz. - Nie po to przez cały wieczór bawiłem się w szpiega, żeby moje wiadomości na nic się nie przydały. Wysłuchasz mnie, czy nie?

- Dobrze - odparła z uśmiechem. - Nie wiem tylko po co to wszystko.

- Blake jest tutaj najsilniejszym mężczyzną, najlepszym strzelcem i uwodzicielem. Pracuje równie ciężko jak jego ludzie. Ukończył z wyróżnieniem uniwersytet w Sydney. Tookaringa to jego oczko w głowie. Kocha mamę i tatę, ale rzadko bywa w domu. Ma śmiałe plany. Uwielbia życie pod gołym niebem i dla czystej przyjemności wyprawia się na sześciomiesięczne spędy bydła. Równie umiejętnie postępuje z kobietami jak z mężczyznami czy zwierzętami. Jego ręką można z pełnym zaufaniem powierzyć wszystko, oprócz kobiety. A z tego co słyszałem, przez jego ręce przeszło wiele kobiet.

Cassie zmrużyła oczy.

- Próbujesz mnie ostrzec?

Don spojrzał na nią z powagą i położył jej rękę na ramieniu.

- Chcę ci tylko powiedzieć, że to wspaniały człowiek, tak jak jego rodzice. Ale też mówię ci, żebyś była ostrożna.

- Don, jestem ci wdzięczna za to ostrzeżenie - odparła Cassie. Cieszyło ją, że tak się o nią troszczy. - Jestem wzruszona, że zadałeś sobie tyle trudu, ale zapewniam cię, potrafię o siebie zadbać.

Kiwnął głową.

- Wiedziałem, że to nie moja sprawa. Ale kiedy teraz na ciebie patrzę, czuję, że miałem rację.

- Don, przecież ja ledwie go poznałam!

- A ja przeczuwałem, że kiedy znajdzie się odpowiedni mężczyzna, ty... Och, mniejsza o to.

Zatańczysz ze mną?

Jestem tu chyba jedynym, który jeszcze nie miał tej przyjemności. Wiesz, gdyby nie Margaret...

Cassie pocałowała go w policzek.

- Tak, Don, wiem. Gdyby nie Margaret... - Zaczęli tańczyć. Dzisiejszego wieczora pozwoliła sobie na zbyt wielką nieostrożność. - Jestem ci wdzięczna za troskę.

Od lat nie spała do ósmej trzydzieści. Kiedy zeszła na dół, Blake czekał na nią na werandzie. Miał na sobie wielki kapelusz, a obcisłe spodnie i skórzane ochraniacze opinały muskularne nogi. Podszedł do niej, zdjął kapelusz i rzucił go na stół.

- Czy wszyscy już zjedli? - zapytała.

- Ja czekałem na ciebie. - Nie spuszczał z niej wzroku.

- Umieram z głodu i mam wielką ochotę na słynną specjalność Tookaringi, bułeczki cynamonowe. - Poszła do jadalni, starając się uspokoić gwałtowne bicie serca. Bułeczki już zjedzono, więc zadowolona się jajecznicą na bekonie i mocną, pachnącą cykorią kawą.

Do pokoju wszedł kot i wskoczył na kolana Blake'a, który pogłaskał go w roztargnieniu.

- Wiesz, to chyba przeznaczenie. Spoglądała na niego przez dłuższą chwilę.

- Przecież ty mnie nawet nie znasz. Ale coś ci powiem. Nie myliłeś się. Zraniono mnie. Przeżyłam bardzo przykre doświadczenie. Stało się to w zeszłym roku i być może wciąż jeszcze nie doszłam do siebie. Dla mnie posuwasz się zbyt szybko. Nie jestem jeszcze gotowa. Twoja śmiałość mnie przeraża i dlatego ci nie ufam.

Wyciągnął rękę i przykrył nią dłoń Cassie.

- Przez to, że ktoś cię skrzywdził, nasz związek nabiera jeszcze większego znaczenia, prawda?

Dobrze, Cassandro,

rozegramy to według twoich reguł, ale na pewno już wiesz, że to coś poważnego.

Przypomniała sobie jego pocałunki.

Właśnie wtedy do jadalni wpadł Sam.

- Połączyłem się z Hornem. Lepiej z nim porozmawiaj. Zdaje się, że mamy jakiś nagły przypadek w Bagley Waters.

- Co się stało?

- Porozmawiaj z Horriem. Nikt nie wie, co się dzieje. Wszyscy troje pobiegli do samolotu. Sam wywołał Horriego przez radiostację.

- Nie wiem dokładnie, co się dzieje - wyjaśnił Horrie. - Córka właścicieli Bagley Waters jest bardzo chora. Myśleli, że to grypa albo wyrostek. Powiedziałem, że za piętnaście minut z nimi porozmawiasz. Dobrze? Połączę cię. Nigdzie nie odchodź.

Cassie chwyciła mikrofon.

- Gdzie jest Bagley Waters?

Sam sięgnął do nieprzemakalnej torby i wyjął mapę.

- Farma leży około ośmiuset osiemdziesięciu kilometrów na południowy zachód stąd - odparł Blake. Wszedł za nimi do samolotu i stanął w drzwiach. - Prowadzi ją Bill Miller. Wspaniały facet. To jedna z najlepszych farm, o jakich słyszałem.

Sam odebrał sygnał od Horriego.

- Połączyłem cię z Millerami - oznajmił radiotelegrafista wyraźnie zdenerwowany.

Wśród trzasków rozległ się męski głos.

- Doktor Ciarke?

- Co się stało, panie Miller?

- Sami nie wiemy. Od dwóch dni Sara, moja córka, ma lekkie mdłości i biegunkę. Najpierw podejrzewaliśmy, że to grypa, potem że wyrostek. Proszę poczekać, moja żona chce coś powiedzieć.

- Doktor Ciarke? Może dostała miesiączki o niewłaściwej porze? Trochę krwawi. - Zamilkła, żeby dać Cassie czas na odpowiedź.

Cassie nie wiedziała, co o tym myśleć.

- Musimy tam polecieć i sprawdzić, o co chodzi - zwróciła się do Sama. - Może trzeba zabrać ją do szpitala.

Kiwnął głową. A to pech. Umówił się z kucharką na piknik, po tym jak dziewczyna przygotowuje obiad dla wszystkich.

- Przylecimy do was - powiedziała Cassie do mikrofonu. - Dam wam pilota. Wypyta o warunki lądowania i powie, kiedy dotrzemy na miejsce.

Oddała mikrofon Samowi i wstała z fotela. Usłyszała, że dotrą do farmy mniej więcej za sześć godzin.

- Czy to się często zdarza? - zapytał Blake.

- Nie, to jest pierwszy raz.

- Dzisiaj już nie wrócicie?

Sam odwiesił mikrofon i wpatrzył się w mapę.

- Nie ma mowy - odpowiedział.

- W Bagley Waters będą mieli benzynę - uspokoił ich Blake. - Chcecie dopełnić zbiorniki?

Sam pokręcił głową.

- Skończyłem tankować przed rozmową z Hornem. Samolot ma zapas na sześćset pięćdziesiąt kilometrów. Dla bezpieczeństwa załaduję kilka beczek. Jesteś gotowa? - zapytał Cassie.

- Jasne, że nie. Muszę spakować torbę i pożegnać się z Jennifer i Stevenem.

- Pojechali na konną przejażdżkę z kilkoma gośćmi - powiedział Blake. - Pożegnam ich od ciebie. - Pomógł Cassie zejść ze schodków.

- Zaraz wracam - zawołała do Sama i spiesznie ruszyła do domu. Blake szedł obok niej.

Kiedy weszli do środka, zatrzymał ją i odwrócił do siebie; przyciągnął ją blisko i spojrzał głęboko w oczy.

- Chcę, żebyś to zapamiętała. - Pocałował ją, a Cassie poczuła zawrót głowy od namiętności, jaką w niej budził.

- Nie zapomnij - wyszeptał.

Potem ruszył przodem do jej pokoju i zaczekał, aż spakowała torbę. Wziął bagaż, chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą. Szedł tak szybko, że Cassie musiała biec, żeby dotrzymać mu kroku.

Kiedy Sam złożył schodki, Blake uścisnął mu rękę na pożegnanie.

- Do zobaczenia. Pilot skinął głową.

- Jasne. - Zatrzasnął drzwi i wsunął się za stery. Cassie patrzyła, jak człowiek, który wtargnął w jej życie,

zmienia się w maleńki punkt na ziemi, aż wreszcie całkiem znika. Zamknęła oczy i zobaczyła twarz Blake'a. Jego elektryzujące niebieskie oczy uśmiechały się do niej.

Powiedział, że już wiedzą o sobie więcej niż o większości innych ludzi. Wspomniała dotyk jego ust i westchnęła.

Rozdział siedemnasty

Farma Bagley Waters, chociaż nie taka ogromna jak Tookaringa, zajmowała tak duży obszar, że oprócz głównej siedziby właścicieli znajdowało się na nim pięć pomocniczych gospodarstw. W odróżnieniu od ziem Tookaringi, gdzie dominowały krzewy i drzewa gumowe, teren wokół Bagley Waters był pofałdowany, porośnięty gęstą, falującą trawą. Wzdłuż licznych, przecinających się wyschniętych koryt strumieni rosły krzewy mulga, gumowce i wysokie trawy. Była to część prowincji Channel, której rzeki podczas wiosennych deszczów zbierały wodę na północy i toczyły ją na południe, wpadając w końcu do zwykle wyschniętego jeziora Frome. Tereny te, dobrze nawadniane wodą ze studni artezyjskich, stanowiły jedno z najlepszych pastwisk na świecie. Nawet kiedy większość strumieni wysychała, w jednej rzece zawsze była woda. Tylko w latach wyjątkowej, przedłużającej się suszy Bagley Waters popadała w kłopoty. Stąd pochodziła najlepsza wełna z merynosów w kraju, a co za tym idzie, na całym świecie.

Szpaler czerwonych i różowych bugenwilli otaczał sad, w którym rosły brzoskwinie i cytryny. Cassie zauważyła też

winorośl, palmy daktylowe i, bliżej domu, piękny ogród kwiatowy.

Kilka samochodów i ciężarówek jeździło wokół wyznaczonego na ziemi prostokąta, pokazując pilotowi miejsce do lądowania. Cassie nie zauważyła, kiedy samolot dotknął ziemi.

Powitał ich mężczyzna około pięćdziesiątki, z czerwono-białą chustką zawiązaną wokół szyi i w wielkim kapeluszu.

- Z Sarą cholernie niedobrze. - To były jego pierwsze słowa, kiedy zobaczył Cassie w drzwiach samolotu. Chwycił jej torbę, pobiegł do ciężarówki, otworzył drzwi od strony pasażera i zaczął na Cassie. Pilot wskoczył na tył samochodu. Dom znajdował się w odległości niespełna pół kilometra. - Boli ją brzuch i ma kłopoty z żołądkiem. Trochę wymiotuje, a potem na kilka godzin się jej polepsza. Nie wiemy, co to jest.

Cassie również się nie domyślała, znając tylko symptomy, o których powiedziano jej przez radio.

- Ile córka ma lat?

- W marcu kończy siedemnaście. To nasza najmłodsza. Na południu horyzont ciągnął się w nieskończoność,

a ziemia zlewała się z niebem. Na północy widać było czerwone piaszczyste wzgórza. Olbrzymie dwupiętrowe domostwo nie pasowało do krajobrazu. Stało samotne na płaskim terenie, stercząc sztywno jak zabandażowany palec.

Bill Miller tak mocno nacisnął na hamulec, że Cassie niemal uderzyła o przednią szybę. Przeprosił ją i chwycił torbę lekarską.

- Sara jest na górze - oznajmił.

- Będę ci potrzebny? - zapytał Sam i zeskoczył z ciężarówki.

- Chodź ze mną - odparła Cassie, idąc za Billem. Szybko przeszli przez duży, wysoki hol i wbiegli na górę po półkolistych schodach. W jednym z pokoi żona Billa, Marianna, czuwała przy nieprzytomnej córce. Kiedy weszli do środka, zerwała się na równe nogi.

Cassie natychmiast podeszła do leżącej na łóżku dziewczyny.

- Skarżyła się na ostry ból brzucha - powiedziała Marianna. - Jaką godzinę temu zaczęła bardzo krwawić.

Wstrząśnięta Cassie spojrzał na bladą, spoconą pacjentkę.

- Poczekajcie na zewnątrz, a ja tymczasem ją zbadam - zwróciła się do rodziców Sary i do Sama.

Po chwili już wiedziała, że ma do czynienia z ciążą pozamaciczną.

- Czy to wyrostek? - zapytała matka dziewczyny, kiedy Cassie zjawiała się w holu.

- Na to wygląda - odparła. - Jeśli natychmiast jej nie zoperuję, powstanie zapalenie otrzewnej.

- Operacja? - Przerażona Marianna nakryła dłonią usta. - Tutaj?

- Nie ma czasu, żeby ją zabrać do szpitala. Sam, chodź tutaj. Pani Miller, proszę zagotować mi wrzątek. Potrzebuję czystych prześcieradeł i jakiegoś miejsca, gdzie mogłabym przeprowadzić operację. Może w kuchni? Czy macie tam duży stół albo moglibyście go tam przynieść? Dam wam pół godziny. Kuchnia ma być tak czysta, jak to możliwe. Zagotujcie wodę. - Te nagłe operacje w niesterylnych warunkach zawsze wprawiały ją w zdenerwowanie.

Marianna stała bez ruchu i spoglądała na lekarkę, aż Cassie musiała podejść do niej i potrząsnąć ją za ramię.

- Rozumie pani?

Matka kiwnęła głową i wybiegła.

- Sam, będziesz mi potrzebny.

Kiedy weszli do pokoju, zamknęła starannie drzwi.

- Dziewczyna jest w ciąży - oznajmiła. - Jestem pewna, że jej rodzice o tym nie wiedzą. Być może ona sama nic nie wie. - Spojrzała na pacjentkę. - To dopiero kilka tygodni, ale ciąża jest pozamaciczna.

- Co? - Sam drapał się w głowę i spoglądał pytająco na Cassie.
 - Ciąża rozwija się poza macicą... może w jajowodzie albo w jamie otrzewnej.
 - Co to jest otrzewna? - Sam zawsze interesował się przypadkami medycznymi, z którymi się stykali.
 - To gładka, przezroczysta, dość cienka i wodnista membrana, która wyściela jamę brzuszną i... och, nieważne. Ciąża pozamaciczna to stan nieprawidłowy. Wymaga natychmiastowej operacji. Dziewczyna jest w szoku i umrze, jeśli szybko nie zadziałamy. Powiedziałam jej rodzicom, że to zapalenie wyrostka. Nie chcę, żeby dodatkowo karali córkę. Poniosła już wystarczającą karę.
 - A co będzie, jeśli kiedyś w przyszłości naprawdę dostanie zapalenia wyrostka?
 - Dzisiaj jej go usunę - odparła Cassie. - Będziesz mi potrzebny jako anestezjolog.
 - Tego się spodziewałem. Lepiej pójdę się umyć.
 - I pomóż im doprowadzić kuchnię do porządku. Szybko. Nie mamy czasu.
- Godzinę później otworzyła brzuch pacjentki, rozcinając skórę i warstwy mięśni. Kiedy dostała się do jamy otrzewnej, wytrysnął strumyczek krwi.
- Najlepiej byłoby to odessać, ale nie mamy odpowiedniego sprzętu. Muszę to osuszyć. Podaj mi tampony z gazy. - Sam wykonał polecenie i mogła usunąć trochę krwi. - O, zobacz. Stąd pochodzi krwawienie. Jeden z jajowodów jest patologicznie zmieniony. - Sam nachylił się, żeby lepiej widzieć.
 - To ten, który wygląda jak zaogniona, fioletowawa żyła, z której wydobywa się krew i krzepnie przy ujściu. - Kiedy mu to objaśniała, jej ręce zręcznie pracowały. Umieściła zaciski po obu stronach jajowodu, żeby powstrzymać krwawienie. Usunęła zmieniony fragment i zaszyla koniec jajowodu bliższy macicy.

Na dźwięk westchnienia ulgi Sam podniósł na nią oczy.

- Niebezpieczeństwo minęło? - zapytał, wylewając następną kroplę eteru na maseczkę.

- Daj mi jeszcze parę tamponów - poleciała, osuszając pozostałą w jamie krew. Potem zbadała drugą stronę macicy i jajniki.

- Co teraz robisz? - zapytał Sam, widząc, że sięga coraz g[^]biej.

- Badam jelita, wątrobę i śledzionę, żeby się upewnić, że w jamie brzusznej nie ma innych zmian chorobowych. W zasadzie kiedy stwierdziłam ciążę jajowodową i usunęłam ją, jestem niemal pewna, że nie ma innego źródła krwawienia. Dziewczynie nie grozi już żadne niebezpieczeństwo, ale nadal jest w szoku i musimy być ostrożni. Trzeba będzie podać jej dużo płynów. Najpierw jednak usunę wyrostek. - Za pomocą retraktorów odsunęła dwie duże wiązki mięśni. - Nie znoszę wykonywać dwóch operacji jednocześnie. - Chwyciła kleszczami okrężnicę i odsuwała ją, aż ukazał się zdrowy wyrostek. Rozcięła tkankę tłuszczową i naczynia krwionośne, a potem podwiązała je, żeby nie krwawiły. Przesunęła ostrze między klamrami i usunęła wyrostek.

Sięgnęła po azotan srebra, wysterylizowała i założyła szwy na rozcięcie. Wcisnęła pozostałą część wyrostka na miejsce, zacisnęła szwy i zamknęła nacięcie.

- Jak tylko zaszyję ranę, podamy dziewczynie trochę wody. Zwilżymy jej usta mokrym ręcznikiem. Sam obserwował każdy ruch, kiedy Cassie wolno zaszywała warstwy otrzewnej, grube, drewnowate powięzie, wiązki mięśni, warstwę tłuszczu i w końcu skórę.

Jak zawsze po operacji, kiedy minęło napięcie, Cassie czuła ból w ramionach.

- Jak ciąża może powstać gdziekolwiek indziej niż...

Wzruszyła ramionami, jak zwykle gdy nie znajdowała odpowiedzi na jakieś pytanie.

- Jeden z wybryków natury. - Zdjęła zakrwawione gumowe rękawiczki. - Jajo zostaje zapłodnione w jajowodzie i zwykle schodzi niżej, do macicy. Temu nie udało się tam dotrzeć.

Zamknęła oczy.

Sam ujął ją za nadgarstek.

- Masz wiele wad, Cassie Ciarke, ale bardzo przyzwoita z ciebie kobieta.

Spojrzała na niego.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Nic nie powiedziałaś rodzicom dziewczyny.

- No, tak - westchnęła. - Teraz powiadomię ich, że wszystko jest w porządku i polecę, żeby podali córce jakiś płyn. Lepiej by było, gdybyśmy zostali tu na noc. Inaczej będziemy musieli zabrać ją do szpitala.

- Jasne, że zostaniemy - odparł Sam. - Jeśli tylko zgodzą się nas nakarmić.

Kiedy późnym rankiem wrócili do Augusta Springs, Fiona czekała w domu.

- Dlaczego nie jesteś w szkole? - Cassie bardzo chciała opowiedzieć przyjaciółce o Blake'u Thompsonie. W drodze powrotnej z Bagley Waters myślała niemal wyłącznie o nim.

Ale Fiona miała dla niej inną wiadomość.

- Dostałam telegram od matki. Lekarze dają mojemu ojcu sześć miesięcy życia.

- Och, Fi! - Cassie chwyciła przyjaciółkę za rękę.

- Jadę do domu. Jutro złapię południowy pociąg, za trzy, cztery dni będę w Sydney, a stamtąd mam statek.

- A co z pracą?

Fiona wybuchnęła płaczem.

- Teraz nie mogę o tym myśleć. Po prostu nie potrafię. Będą musieli znaleźć kogoś innego. - Cassie otoczyła ją ramionami. - Już zaczęłam się pakować. Zaopiekujesz się domem, prawda? - Nie czekała na odpowiedź. - Boże, teraz, zimą, w Irlandii jest okropnie. Przysięgałam sobie, że nigdy już nie spędzę żadnej zimy na chłodnej północy.

Siedziały pijąc kawę, a Fiona wspominała ojca.

- Jak się udało przyjęcie? - zapytała w końcu. - Pewnie miałaś wspaniały weekend. Spodziewałam się, że wrócisz wczoraj wieczorem.

- Musieliśmy lecieć do Bagley Waters na operację.

- To znaczy, że wczoraj pracowałaś? A ja tu myślałam, że świetnie się bawisz. W końcu poznałaś Blake'a Thompsona, prawda? Czy z miejsca zawrócił ci w głowie?

Cassie uznała, że to nie pora na szczegółowe opowieści.

- To dość wyjątkowy człowiek, prawda? Fiona roześmiała się.

- Można i tak to określić. Powiedz mi, czy przyjęcie było wspaniałe?

Cassie skinęła głową.

- Było cudowne. Nie pamiętam, żebym kiedyś lepiej się bawiła. - I nie pamiętam, żebym kiedyś czuła się bardziej zagubiona, dodała w myślach.

- Tutejsi ludzie są niezwykli.

- Tak, nigdy nie spotkałam nikogo bardziej przyjacielskiego.

- A jak ci się podobał Blake? Podejrzewam, że kiedy tylko cię zobaczył, od razu zaczął cię uwodzić. Tak było?

- Chcesz powiedzieć, że ma opinię uwodziciela? - Cassie poczuła, że serce w niej zamiera.

- Och, kochana, wszyscy wiedzą, że jeśli w okolicy pojawia się nowa dziewczyna, zwłaszcza ładna, Blake ma pierwszeństwo przed innymi mężczyznami.

- A potem?

Fiona wzruszyła ramionami.

- Potem inni mogą próbować swoich sił, ale dopiero jak Blake skończy. To zwykle nie trwa zbyt długo.

Właśnie tego się bała. Nie chodziło mu o nią. Traktował tak każdą nową dziewczyną, każdą kobietę, której jeszcze nie poznał. Nie mogę powiedzieć, żeby mnie nie ostrzegano, pomyślała.

- Czy to znaczy, że nie można mu ufać? Fiona wstała i umyła filiżankę.

- Myślę, że to jeden z najbardziej szanowanych mężczyzn w tym rejonie kraju. Z pewnością jest ogromnie lubiany, nie tylko przez kobiety. Umie postępować ze wszystkimi. Powierzyłabym mu swoje pieniądze, ale nie serce.

- Czy przemawia przez ciebie osobiste doświadczenie? -zapytała Cassie.

Fiona stała odwrócona do niej plecami.

- Nie jestem taka głupia.

Później, leżąc w łóżku, Cassie myślała, jak bardzo będzie jej brakowało przyjaciółki. Cztery do sześciu miesięcy. To bardzo długo.

Zamknęła oczy i przypomniała sobie dotyk ust Blake'a. Poczowała wokół siebie jego ramiona. Żar, z jakim odpowiedziała na jego pieszczoty, napawał ją niesmakiem, jednak nawet teraz, dwadzieścia cztery godziny później, na myśl o nim serce biło jej szybciej. Jeśli jeszcze raz go spotka, będzie ostrożniej szła.

Przypomniała sobie, jak Sam oświadczył jej, że jest przyzwoitą kobietą i objęła się ramionami.

Czasami wydawało się jej, że pilot wcale tak nie myśli, że uważa ją za dobrą lekarkę, ale nie prawdziwą kobietę. Uśmiechała się, dopóki nie przypomniała sobie jego stwierdzenia, że ma również wiele wad...

Usiadła w pościeli. Co on właściwie miał na myśli?

Rozdział osiemnasty

W pokoju pachniało śmiercią.

Zaciśnięte w pięści dłonie Izabeli wyglądały jak kule przyczepione do patykowatych ramion.

Cassie zamknęła „Rebeke”. Popołudniowe wizyty w tym domu stały się nużącym obowiązkiem.

- Tak się cieszę, że Maxim ją kochał - powiedziała Grace. - Ta Rebeka to była okropna kobieta, prawda?

- Izabelo, pozwól, żeby Grace podała ci morfinę - poprosiła Cassie. - Nie ma powodu, żeby tak cierpieć.

Izabela otworzyła oczy i potrząsnęła głową.

- Nie - oznajmiła Grace. - Izabela powiedziała mi, że chce umrzeć nic nikomu ani niczemu nie zawdzięczając.

Cassie nie wiedziała, czy podziwiać takie postępowanie, czy uznać za głupotę. Spojrzała na kobietę, tak wychudzoną, że poduszka, na której się opierała, nie ugiwała się pod jej ciężarem. Skóra na ramionach chorej zdawała się luźno zwisać.

Cassie wstała.

- Jutro wyjeżdżamy w teren, więc nie będę mogła przyjść, chyba że wcześniej wrócimy, w co wątpię. Przynajmniej nie będziemy musieli spędzić całej nocy poza domem. - W zasadzie lubiła nocować w obcych miejscach. Ludzie byli tacy

gościnni. - Może następnym razem zaczniemy czytać coś Agaty Christie? Grace skinęła głową.
- Uwielbiam tajemnice. A Izie wszystko się podoba. W ten sposób może zająć czymś myśli.
Izabela nie odezwała się przez całe popołudnie. Leżała z zamkniętymi oczami na kanapie albo patrzyła w sufit.

Cassie wcisnęła książkę pod ramię i zbiegła po trzech stopniach werandy. Upał dnia nie zelżał i pociła się idąc do domu. Szła do swojej części miasta główną ulicą, mijając sklepy i zajazd Addiego. Była zła na siebie.

Jeden wspólny wieczór, kilka pocałunków, trochę słodkich słówek i już ją wzięło. Doszła do wniosku, że nie ma charakteru ani silnej woli. Fiona i Don ostrzegali ją, że Blake na pęczki łamie kobiece serca. Nie chciała takiego mężczyzny. Nie chciała żadnego mężczyzny. Dlaczego tak na niego zareagowała? Dlaczego nie mogła wyrzucić go z pamięci? Minęło już dziesięć dni, a ona wciąż myślała tylko o Blake'u.

Była pewna, że znów go spotka, tylko nie wiedziała, czy tego chce, czy nie. Kiedy nocą zamykała oczy, pojawiała się przed nią jego twarz. Widziała ją odbitą w szybie samolotu, kiedy leciała nad czerwonym sercem kontynentu.

Tęskniła za przyjaciółką. Brakowało jej kogoś, z kim mogłaby się dzielić przeżyciami minionego dnia. Nie było z kim się śmiać ani dla kogo gotować. Dom stał się pusty. Nie zdawała sobie sprawy, ile znaczy dla niej przyjaźń z Fiona. Nie tylko dom wydawał się pusty, ale całe jej życie.

Praca lekarska nabrała rutynowego rytmu. We wtorki i czwartki wylatywali w teren z kliniką wyjazdową. Zwykle przynajmniej jedna z tych wizyt przeciągała się, więc środę i piątek również spędzała poza domem. W pozostałe dni przeważnie nie musieli nigdzie lecieć, ponieważ większość problemów medycznych można było rozwiązać przez radio.

Raz czy dwa razy w tygodniu zdarzały się pilne wezwania, na przykład do pacjenta, którego trzeba było przewieźć do szpitala na operację wyrostka. W takich przypadkach, rzecz jasna, operował Chris. Był teraz uprzejmiejszy i zawsze proponował Cassie, żeby mu asystowała jako anestezjolog, jeśli chodziło o jej pacjenta. Prosił ją również o pomoc, kiedy doktor Edwards był „niezdolny do wykonywania swoich obowiązków”, szczególnie w środku nocy, przy pilnych zabiegach.

Cassie nie powiedziała, że Chris stał się przyjazny, ponieważ stale istniało między nimi napięcie, którego nie potrafiła określić. Ciągle się spierali.. Nie o zagadnienia medyczne. Jedynie w tej dziedzinie się zgadzali, tylko to ich łączyło.

Jednak nawet w sprawach zawodowych postawa Chrisa często oburzała Cassie. Zawsze troszczył się o pacjentów, ale rzadko traktował ich delikatnie, unikał wszelkiej bliskości.

Nie tolerował nikogo, kto nie był, jak on, białym protestantem brytyjskiego pochodzenia. Nie znosił aborygenów. „Śmierdzą na kilometr. Nie mają żadnej etyki pracy, moralności ani poczucia odpowiedzialności. To poganie.”

Nie przepadał również za takimi ludźmi jak Thompsonowie. „Wydaje im się, że cały świat do nich należy, bo mają miliony akrów ziemi i mogą kupić wszystko, co zechcą.”

Życie z dala od wielkich miast podobało mu się między innymi dlatego, że nie było tutaj Żydów.

Cassie zapytała, co ma przeciwko nim. „Przecież ukrzyżowali Chrystusa, prawda?” Taka odpowiedź wydawała jej się zupełnie pozbawiona sensu. Chris co prawda uważał, że Hitler, zamykając Żydów w gettach i wysyłając ich do obozów koncentracyjnych, posuwa się za daleko. Takich metod nie uznawał, ale twierdził, że Żydzi są za sprytni. W akademiach medycznych

zawsze zdobywają najlepsze wyniki. Są chciwi, wybierają tylko bardzo intratne zawody. Popierał politykę rządu Australii, który zezwalał na przyjazd wyłącznie białym imigrantom. Uważał jednak, że jeśli kogoś nie stać na opiekę medyczną, nie powinien być skazany na cierpienia lub śmierć. Leczył ludzi, którzy nie byli w stanie mu zapłacić, ale bez entuzjazmu. Zawsze uprzejmie odnosił się do żony, chociaż Cassie nigdy nie dostrzegła między nimi żadnego ciepła. Tłumaczyła sobie, że patrząc na umieranie kogoś, kogo kocha się od dawna, człowiek musi się jakoś bronić. Niezmiennie bardzo dbał o Izabelę, a w sobotnie popołudnia i niedziele, kiedy Grace zajmowała się własną rodziną, sam przejmował wszystkie obowiązki. Cassie nie twierdziła, że go lubi, ale zawarli przymierze. Chris nie mógł nic jej zarzucić jako lekarzowi, chociaż była kobietą. Nawet osobiście to przyznał. No, może nie wprost. Nie należał do ludzi, którzy przyznają się do błędów. Mimo to dał jej do zrozumienia, że docenia jej wyczucie medyczne. Widział rezultaty jej operacji w buszu, kiedy przywoziła pacjentów do szpitala na rekonwalescencję. Zastanawiała się, gdzie jest Blake. O czymkolwiek myślała, zawsze wracało do niej wspomnienie o nim. Rozmyślała o Chrisie i nagle jego miejsce zajmował Blake. Przechodziła obok sklepu rymarskiego, a w jej myślach pojawiał się pędzący stado Blake. Konno przemierzał tysiące kilometrów, żeby przegnać niezliczone sztuki bydła przez pustynie i góry. Żył z dala od cywilizacji, spał pod gołym niebem i być może razem z aborygenami „zaklinał” bydło na noc do snu. Po kolacji usiadła na werandzie, popijała mrożoną herbatę i wspominała jego pocałunki. Nocą leżała w łóżku i zastanawiała się, jak by to było, gdyby pieścił jej ciało.

Zdjęła nocną koszulę i w ciemnościach podeszła do okna. Chris szedł ulicą. Nie patrząc na prawo ani na lewo maszerował rytmicznie, jakby w gniewie. Nakryła piersi dłońmi. Ogarnęła ją dojmująca tęsknota. Dobiegający z oddali gwizd pociągu zabrzmiał jak jęk.

W piątek, podczas przedpołudniowej sesji radiowej, usłyszeli kobiecy głos.

- Mój syn bardzo cierpi. Cassie przysunęła się bliżej mikrofonu.

- Jakie są objawy?

- Krwawienie z odbytnicy.

Jej głos brzmiał beznamiętnie, nie było w nim słyhać zdenerwowania.

- Ile syn ma lat?

- Sześć.

Małomówna kobieta.

- Czy występują jakieś inne objawy?

- Bardzo boli go brzuch.

- Czy dziecko wymiotuje?

- Nie.

- Czy ma biegunkę?

- Nie.

- Czy dostało wysypki?

- Nie.

- Ma gorączkę?

- Nie mamy tu termometru, ale syn nie jest rozpalony.

- Jak długo to trwa?

- Od dzisiejszej nocy.

Cassie potrząsnęła głową. Nie miała pojęcia, co to może być.

- Lepiej dowiedz się, gdzie oni mieszkają - zwróciła się do Sama. - Dziecko trzeba zbadać.

Sam przejął mikrofon.

- Powiedz jej, żeby spakowała walizkę - poleciła Cassie. - Być może chłopca trzeba będzie zabrać do szpitala. Ona pewnie zechce z nim pojechać.

Sam rozłączył się.

- Lepiej ruszajmy od razu, jeśli chcemy wrócić przed zmrokiem. Będziesz gotowa za pół godziny?

- Za trzy minuty! - odparła Cassie.

Półtorej godziny później dotarli do niewielkiej chałupy, w której na skotłowanym łóżku leżał mały chłopczyk. Niski, chudy mężczyzna w brudnych dżinsach i starej koszuli powitał ich na ubitym klepisku podwórka. Płot domagał się naprawy, tak samo jak chałupa. W środku były tylko dwa pokoje. Dom z trzech stron otaczała typowa australijska weranda. Cassie nie dostrzegła w pobliżu żadnych zwierząt ani ogrodu. Wokół roztaczała się równina. Nie było nawet garażu.

- To chyba nic groźnego - odezwał się mężczyzna piskliwym głosem. - Takie tam małe krwawienie.

Ale mojej żonie się wydaje, że chłopak umiera.

- Tego nie można wykluczyć - odparła Cassie. Ten człowiek jej się nie spodobał. Może sprawił to haczykowaty nos albo małe, paciorkowate oczka. Zastanawiała się, co mogło skłonić jakąkolwiek kobietę do zamieszkania z nim na tym pustkowiu i do dzielenia z nim życia.

W pokoju zobaczyła pogrążonego w apatii małego chłopca. Spojrzał na nią pustym wzrokiem, ale kiedy do pokoju wszedł Sam, w oczach dziecka pojawił się strach. Malec kurczowo zacisnął ręce na prześcieradle. Siedząca tyłem do nich matka dziecka wstała z krzesła, ale się nie odwróciła. Podniosła dłoń do prawego policzka. Cassie widziała tylko

jej lewy profil. Podeszła do łóżka i usiadła obok chłopca. Dopiero wtedy podniosła wzrok na matkę. Prawą stronę twarzy pokrywały fioletowe plamy, pod nabiegłym krwią okiem widać było czarny siniec, a nos był napuchnięty.

Cassie nic nie powiedziała, tylko poprosiła malca, żeby się odwrócił. Dziecko zaczęło płakać. Już wiedziała, co się stało, chociaż nigdy dotychczas nie miała do czynienia z takim przypadkiem.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała do chłopca i zwróciła się do matki: - Trzeba go zabrać do szpitala. Czy spakowała pani walizkę? Lepiej, żeby pani też poleciała z nami, bo mały będzie się bał. - Chciała zabrać stąd tę kobietę.

- Ona nie musi jechać - odezwał się spod drzwi mężczyzna o ptasim nosie. - Możecie sami odwieźć nam chłopaka, kiedy poczuje się lepiej.

- Nie. - Cassie spojrzała mu w twarz. - Być może konieczna będzie operacja i dziecko będzie mniej wystraszone, jeśli matka przy nim zostanie.

- Operacja? Jaka operacja? Ile to będzie kosztowało?

- Nie wiem. Ale to poważna sprawa. Sam, pomóż pani Higgins zanieść walizkę. Ja wezmę dziecko. - Odwróciła się do małego pacjenta. - Nie zrobię ci nic złego. Wszystko będzie dobrze. Założ mi rączki na szyję. Wiesz, co zrobimy? Polecimy samolotem. Wysoko, pod samym niebem. Założę się, że nigdy się tego nie spodziewałeś. Będziesz leciał tak wysoko jak ptaki... - Mówiąc do chłopca ruszyła do drzwi, minęła ojca i wśród tumanów kurzu poszła do samolotu. Za nią podążyli Sam i matka dziecka. Chłopiec położył jej głowę na ramieniu.

- Bardzo boli? - zapytała.

- Nie bardzo - odparł. - Nie tak jak zeszłej nocy. Kiedy weszli do samolotu, posadziła sobie dziecko na kolanach.

- Często ci to robi?

Chłopiec milczał. Łzy napływały mu do oczu. W końcu wybuchnął płaczem. Sam pomógł kobiecie wejść po stopniach do kabiny.

- Nie chciał mi pozwolić was wezwać - powiedziała pani Higgins do Cassie.

Pilot zamknął drzwi. Chłopiec przeniósł się z kolan Cassie na kolana matki. Sam pomógł im zapiąć pasy.

- Jezu Chryste - szepnął, kiedy siedział już za sterami i uruchamiał silniki. - Jak mężczyzna może zrobić coś takiego kobiecie? Widziałaś jej twarz?

- Pewnie bije ją od lat. Założę się, że jej ciało jest całe w sińcach.

Sam skupił się na startowaniu. Kiedy wyrównał lot samolotu, zwrócił się cicho do Cassie.

- Wygląda na to, że dzieciakowi nic nie jest. Myślisz, że użyła go jako pretekstu, żeby nas tam ściągnąć?

Cassie wahała się przez chwilę.

- Podejrzewam, że ojciec wykorzystuje syna seksualnie, i to od długiego czasu. Chłopiec boi się mężczyzn. Nie chciał odwrócić się tyłem. Zdaje się, że nieraz słyszał takie polecenie od ojca. - Niemal sama je słyszała. „Odwróć się, synu”.

Cassie oddała pacjentów w ręce Chrisa.

- Pani Higgins nie może wrócić do męża - powiedziała. - Musimy znaleźć dla niej jakieś inne wyjście. Chris uniósł brew.

- Czy decyzja nie należy do niej?

- Ona nie zechce wrócić. Ojciec rozerwał na strzepy odbytnicę chłopca. I spójrz na tę kobietę. Od lat jest bita. Nie wróci.

- Dziecko przez całe lata się z tego nie otrząśnie. Prawdopodobnie nigdy nie będzie w stanie nawiązać z nikim

normalnych związków międzyludzkich. Seks będzie napawał go strachem. - Chris zdjął okulary i wytarł je krawatem. Cassie zdała sobie sprawę, że robi to dość często, szczególnie wtedy, gdy nie wie, co zrobić. - Czy to pierwszy przypadek maltretowania żony czy dziecka, z jakim się zetknęłaś?

- O co ci chodzi? Jasne, że tak.

- One zawsze wracają.

- Zawsze? To znaczy, że... Och, nie, nie mów tak!

- Jaki mają wybór? Jak utrzymają siebie i swoje dzieci? Sama zobaczysz. Mąż niedługo się tu zjawi, żeby nie wiem ile go to kosztowało i żeby nie wiem jak długo musiał tu jechać. Powie, że bardzo ją przeprasza. Zapewni, że ją kocha i że to się nigdy więcej nie powtórzy. Zaczekaj, a sama się przekonasz.

Cassie nie chciała czekać. Chris na pewno się myli. Na pewno.

- Czy nie można go aresztować?

- Jeśli żona wniesie oskarżenie. Ale ona tego nie zrobi.

- Skąd wiesz? Taki jesteś mądry? Chris westchnął.

- Wolałbym, żebyś to ty miała rację. Kiedy stykam się z takimi sprawami, nie czuję wielkiej dumy z tego, że jestem mężczyzną. Widziałem już wiele takich przypadków. Pani też jeszcze nieraz się na nie natknie, pani doktor. Szczególnie tutaj, z dala od innych ludzi. Zwykle łączą się z alkoholizmem. Przynajmniej bicie żon. Rzadziej kazirodztwo. To raczej sadyzm. Tylko chorzy ludzie wyrządzają takie krzywdy innym. O tych aspektach życia nie uczono nas na studiach. Nie nauczyli nas też księgowości. - Cassie zdała sobie sprawę, że to miał być żart.

- Zobaczysz - powiedziała. - Ona nie wróci. Wezwała nas po to, żeby stamtąd uciec. Sam zobaczysz.

- Znajdź jej pracę. Pomóż jej. Ale cokolwiek zrobisz, ona

i tak do niego wróci. Jest jeszcze jedna możliwość. Znajdzie sobie innego mężczyznę, który też będzie ją bił. Może da spokój chłopcu, ale ją będzie bił. To błędne koło.

- Jesteś taki cholernie cyniczny! Nie masz ani krzty wiary w człowieka?

Uśmiechnął się, co nieczęsto mu się zdarzało, ale w jego uśmiechu kryła się melancholia.

- Żałuję, że nie jestem taki młody jak ty i nie mam w sobie tyle nieskażonego idealizmu. To jedna z przyjemności młodego wieku.

Cassie wcale nie uważała, że dwadzieścia siedem lat to wiek młodzieńczy. Cieszyła się, że nie przekroczyła czterdziestki, tak jak Chris, skoro z wiekiem człowiek staje się pesymistą.

Powiedziała Samowi, żeby na nią nie czekał - ze szpitala wróci do domu piechotą. Wstąpiła do sklepiku i napiła się wody sodowej z sokiem. Jeśli nie nadejdzie jakieś pilne wezwanie, będzie miała cały weekend wolny. Dzięki Bogu.

Kiedy skręciła w swoją ulicę, zobaczyła przed domem zniszczonego, brudnego pick-upa. Z okna wystawała para równie zakurzonych butów. Kiedy podeszła bliżej, spostrzegła mężczyznę wyciągniętego na fotelu kierowcy. Stetson zakrywał mu twarz.

Przez otwarte okno zajrzała do środka i odsunęła kapelusz. Mężczyzna otworzył oczy.

- Blake Thompson! Przyznam, że się ciebie nie spodziewałam.

Uśmiechnął się wolno i leniwie.

- A ja myślałem, że zapytasz, dlaczego tak długo się nie pojawiałem. - Wziął ją za rękę. - Zajęło mi to dwanaście godzin jazdy, ale postanowiłem dotrzeć tutaj wystarczająco wcześnie, żebyś nie zdążyła się umówić na sobotnie tańce z kimś innym.

- Ja nie chodzę na tańce. - Roześmiała się.

Usiadł prosto, otworzył drzwi i wyciągając długie nogi wyszedł z samochodu.

- Mam wrażenie, że nie kłamiesz, chociaż trudno mi w to uwierzyć.

- To prawda - odparła. Patrzyła na niego i czuła się niewiarygodnie szczęśliwa.

- W takim razie czeka cię niespodzianka - powiedział. - Chodźmy do Addiego na kolację.

Cassie skinęła głową.

- Tylko muszę się przebrać. Cały dzień pracowałam.

- Fiona jest w domu? - zapytał podążając za nią do drzwi.

- Jest w Irlandii albo jeszcze w drodze - wyjaśniła Cassie otwierając drzwi. - Napijesz się piwa czy mrożonej herbaty?

Przechylił głowę na bok, otoczył Cassie ramieniem i przyciągnął ją do siebie.

- Najpierw pocałunek - oznajmił, lekko dotykając wargami jej ust. - Teraz piwo.

- Dasz mi czas na prysznic?

- Cassandro, tak długo, jak jesteśmy razem, nie ma powodu, żeby się gdziekolwiek śpieszyć.

Wszystko mi jedno, czy dotrzemy do Addiego czy gdzie indziej.

- Dlaczego tak mnie nazywasz?

- Cassandra? Czy ktoś inny tak się do ciebie zwraca?

- Nie, nigdy.

Pokazał zęby w uśmiechu.

- Więc chyba właśnie dlatego. Sama już wiesz, że będziemy się kochać, jak nikt nigdy się nie kochał.

Wiesz o tym, prawda?

Cassie odwróciła się i poszła do kuchni po piwo. Kiedy wyjmowała butelkę z chłodziarki, Blake stanął za nią. Czuła ciepło jego ciała.

- Wiesz o tym, prawda? - powtórzył. Podała mu piwo

przez ramię, nie odwracając głowy. - Cassandro Ciarke, spójrz na mnie. Usłuchała.

- Już wiesz, prawda? Powiedz mi to.

- Tak, wiem - westchnęła.

- Boisz się tego? Skinęła głową.

- Jestem przerażona.

Uśmiechnął się na swój uwodzicielski sposób, lekko wykrzywiając wargi.

- Powiedz sobie, że dopiero teraz naprawdę zaczynasz żyć.

- W przyszłym miesiącu kończę dwadzieścia osiem lat, a ty mi mówisz, że dopiero zaczynam żyć? -

Chciała, żeby zabrzmiało to lekko i dowcipnie, ale słowa więzły jej w gardle.

- Będzie ci się wydawało, że do tej pory byłaś martwa, tak mocno i szaleńczo będziemy razem żyli.

O, Boże!

- Czy to obietnica? - Znów nie panowała nad głosem.

- Cóż, w pewnej mierze zależy to od ciebie. Teraz weź prysznic. Przyrzekam, że nie będę podglądał.

Kiedy dotrę do tego etapu naszej znajomości, będziemy brać prysznic razem. Czy kąpałaś się kiedyś w czyimś towarzystwie?

Nie. Ale nie przyznała tego głośno.

- Będziemy wolno tworzyć nasz związek, Cassandro. Bez pośpiechu. Nie denerwuj się. Wszystko, co jest coś warte, wymaga ryzyka i powinno być przerażające. Bój się, jeśli musisz, ale nie pozwól, żeby strach cię powstrzymał.

Rozdział dziewiętnasty

Chciałbym, żebyś na tydzień przyjechała do Tookaringi. Wybralibyśmy się na przepędzanie bydła. Pokazałbym ci, jak żyją kowboje.

Cassie uśmiechnęła się. Pewnie użył słowa kowboj, ponieważ wiedział, że ona je łatwo zrozumie, po latach spędzonych w Ameryce. Wciąż jeszcze nie potrafiła rozróżnić, czym różni się poganiacz od pomocnika czy młodego parobka, zwanego jackeroo. Słowem kowboj można było określić ich wszystkich.

- Ta propozycja brzmi kusząco. Ale nie mogę zwolnić się z pracy na cały tydzień. Urlop przysługuje mi dopiero po roku, czyli we wrześniu.

- Jeśli nie na tydzień, to zwolnij się na trzy, cztery dni, dobrze?

- Sama nie wiem.

- Wymyśl coś. Musimy spędzić trochę czasu razem, a ja chciałbym ci pokazać, jakie życie lubię najbardziej. - Wstał i wyciągnął do niej rękę. - Chodźmy na tańce. To jedyny sposób, żebym cię mógł publicznie objąć. Naprawdę nigdy jeszcze nie byłaś na sobotnich tańcach?

Tańce okazały się świetną zabawą, tylko że przez pół wieczora nie widziała Blake'a. Oboje tańczyli ze wszystkimi możliwymi partnerami na sali. Oczy Sama rozszerzyły się ze zdumienia na widok Cassie z Blake'em. Poprosił ją do tańca, kiedy orkiestra zagrała jakiś szybki utwór.

- A więc Mahomet przyszedł do góry? - powiedział, wirując z nią po parkiecie.

- Co to ma znaczyć?

Obrócił Cassie wokół siebie i ponownie chwycił ją za rękę. Tańczyli w zgodnym rytmie, ani razu nie myląc kroku.

- Jeśli mierzyć zainteresowanie odległością, jaką przebywa mężczyzna, żeby się spotkać z kobietą, to Blake musi być tobą bardzo zainteresowany. W dodatku namówił cię na tańce.

Skupili się na tanecznych figurach, jak zwykle wzbudzając sensację swoim żywiołowym jitterbugiem. Kiedy utwór dobiegł końca, Blake czekał na nią na skraju parkietu. Wziął ją pod ramię i wyciągnął rękę do Sama.

- Miło cię znowu widzieć.

- Jesteś wytrwały - uśmiechnął się pilot.

Blake zerknął na Cassie i ścisnął mocniej jej ramię.

W tej chwili jeden z mężczyzn rzucił butelkę, która roztrzaskała się o ścianę. Wyraźnie nikogo to nie oburzyło. Wręcz przeciwnie, inni poszli w jego ślady. Cassie spojrzała na Blake'a.

- Masz. - Wręczył jej butelkę. - Spróbuj. - Przyłączył się do zabawy, ciskając butelką w najbliższą ścianę.

Cassie wahała się przez chwilę.

- Chyba żartujesz.

- To niezła zabawa, - Uśmiechnął się. - Spróbuj. - Popatrzyła na niego, roześmiała się i tak mocno, jak potrafiła, rzuciła butelką w ścianę. Pomyślała, że panują tu męskie obyczaje.

- Chodźmy stąd - odezwał się Blake. - Pojedziemy gdzieś, gdzie będę cię mógł pocałować. Jechali pod atramentowoczarным niebem, połyskującym tysiącami, milionami gwiazd. Blake objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Uwielbiała czuć go tak blisko.

- Marzyłem o tym od dwóch tygodni - wyszeptał i gwałtownie zatrzymał samochód. Pocałował ją w usta i poczuła, że każde włókno jej ciała ożywa. Zarzuciła mu ramiona na szyję i uderzył ją żar jego ciała. Cieszyła się jego siłą, dotykiem języka, oddechem.

- Rzuciłaś na mnie urok - wyszeptał jej prosto w ucho. - Myślę tylko o tobie. Nie znałem jeszcze takiej kobiety.

- Niewiele o mnie wiesz. - Podniosła głowę i pocałowała go w szyję.

- Czy potrzebuję wiedzieć o tobie więcej, niż już wiem? Przy kolacji opowiedział mi o swoim dorastaniu, rodzicach, dziadkach, pobycie w San Francisco i o szkole z internatem w Anglii. Przez chwilę siedzieli w milczeniu trzymając się w objęciach. Potem Blake zapytał:

- Jak długo będziesz się zajmowała leczeniem?

- Podpisałam kontrakt na dwa lata.

Znowu zaczął ją całować. Przez materiał bluzki dotykał jej piersi.

- Wiesz, co teraz zrobię? Odwiozę cię do domu.

- Dopiero północ - odparła.

- Nieważne, która godzina. Już czas, żebyś wróciła do siebie. Przyrzekałem, że nie będę przyśpieszał obrotu spraw, i słowa dotrzymam. A jeśli nadal będziemy się całować, to... Odwiozę cię do domu. Nie mogła go poprosić, żeby u niej przenocował, nawet w sypialni Fiony. Całe miasto by o tym plotkowało. Miała

nadzieję, że Blake'owi nie przyjdzie nawet do głowy, żeby u niej zostać, choćby na kanapie w salonie. Trochę się tego bała. Na jak wiele może mu pozwolić? Na pewno nie na tak wiele, jak by pragnęła.

- Wynająłem pokój u Addiego - wyjaśnił w drodze powrotnej. - Ale przyjdę do ciebie o siódmej i zabiorę cię na śniadanie.

- Pozwól, że ja je przygotuję. Zapraszam cię - odpowiedziała.

Odprowadził ją do drzwi i pocałował na dobranoc. Patrzyła, jak odchodzi alejką, i żałowała, że nie wszedł do środka.

Dziesięć minut po siódmej, kiedy Blake pił kawę, a Cassie smażyła naleśniki, zadzwonił Horrie.

- Zdaje się, że mamy nagły wypadek. Odezwał się łan James. Pamiętasz go? To ten, który się na ciebie wściekał, bo nie poleciałaś do jego aborygena, a człowiek zmarł. Jego żona ma kłopoty. Powiedziałem mu, że połączymy się z nim o siódmej trzydzieści. Zadzwonię do Sama, żeby cię przywiózł.

- Nie - zaprotestowała Cassie. - Mam czym dojechać. Będę tam za dziesięć minut.

Blake spojrzał na nią.

- Czy to jest to, czego się obawiam?

Nie zwlekając zawiózł ją do budynku radiostacji. Przywitali się z Horriem i zaczęli do siódmej trzydzieści na umówione połączenie.

- Doktor Ciarke, tu łan James. - Nastąpiła chwila milczenia. - Jest pani tam?

- Tak, panie James, jestem przy mikrofonie.

- Przepraszam, że zawracam głowę w niedzielę, ale moja żona źle się czuje. Martwię się o nią.

- Proszę dalej.

- Ona... No, to taka delikatna sprawa.

Cassie zastanawiała się, co jest aż tak delikatne, że nie można powiedzieć o tym lekarzowi.

- Słucham, panie Jones.

- Żona jest w trzecim czy czwartym miesiącu ciąży. Wczoraj późnym wieczorem dostała bóli. Dotąd je ma i... i.. zaczęła krwawić.

Miejmy nadzieję, że nie zachowa się tak, jak poprzednim razem, pomyślała Cassie.

- Proszę zbadać jej tętno. Wie pan, jak to się robi?

- Gdzieś na nadgarstku, tak?

- Tak, proszę odnaleźć puls. Czy ma pan w zegarku sekundnik?

- Jasne.

- Proszę liczyć uderzenia przez piętnaście sekund, a potem pomnożyć przez cztery. Zaczekam, aż pan skończy.

Horrie roześmiał się.

- Tym razem się nie awanturuje, co?

- Sto - odezwał się Ian James.

- Niech pan zmierzy jej temperaturę.

- Już to zrobiłem. Jest normalna.

- Teraz musimy ocenić, ile krwi straciła.

- Żona... przemoczyła kilka... podkładek higienicznych. - Brzmiało to tak, jakby wypowiedzenie tych słów sprawiło mu fizyczny ból. - Materac jest nasiąknięty i krew zaczyna już kapać na podłogę. Mnie się wydaje, że to coś poważnego.

- To jest coś bardzo poważnego, panie James. Będziemy u pana tak szybko, jak to tylko możliwe. -

Blake jechał przez dwanaście godzin, żeby spędzić z nią czas, a teraz ona musi go opuścić. Zwróciła się do Horriego: - Zadzwoń do Sama i powiedz, żeby tu przyjechał, i to natychmiast.

- Ostatnie słowo wypowiedziała z naciskiem. Podniosła wzrok i zobaczyła, że Blake stoi w drzwiach.
- Czy to to, czego się spodziewałem? - zapytał spoglądając na nią chmurnie.

Cassie kiwnęła głową.

- Musimy startować.

Blake nie odzywał się przez minutę.

- Ile czasu ci to zajmie? Wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Być może od razu przywieziemy panią James do szpitala, ale możliwe też, że będę w stanie zaradzić coś na miejscu. - Miała ochotę tupnąć nogą albo krzyknąć ze złości, że musi lecieć na farmę Jamesów. - To nie jest zbyt daleko. Droga w obie strony zajmie nam pięć czy sześć godzin. Jeśli będę musiała tam coś robić, wszystko potrwa dłużej.

Blake wyszedł z baraku do samochodu, wzbijając za sobą obłoczki kurzu.

- Sam już jedzie - oznajmił Horrie. - Mówi, że pogoda na północy nie jest najlepsza.

Cassie podeszła do Blake'a i położyła mu rękę na ramieniu.

- Bardzo mi przykro. Wiesz o tym, prawda?

- Tak, wiem - przytaknął. - Wiem. To nie będzie łatwe, prawda? Nasze spotkania zawsze będą utrudnione. - Chociaż Horrie stał w drzwiach i patrzył na nich, Blake otoczył Cassie ramieniem. - We wtorek wyjeżdżam do buszu na pięć, sześć tygodni. Muszę odwiedzić wszystkie siedem naszych gospodarstw i sprawdzić, co się tam dzieje.

Pięć, sześć tygodni? Dwa wydawały się wiecznością.

- Chcę, żebyś wiedziała, że każdej nocy, dokładnie każdej, będziesz ze mną. A to znaczy, że nie uda ci się wyrzucić mnie ze swojego łóżka. Będę cię nawiedzał w snach.

Spojrzała na niego. Boże, jaki on piękny. Uwielbiała na

niego patrzeć. Ostrzegł ją, że będą żyli mocno i szaleńczo. Nigdy jeszcze nic w jej życiu nie dokonało się tak szybko. Kiedy była przy nim, nie próbowała nawet okiełznać swoich uczuć.

- Za dwa tygodnie przyjadę do Tookaringi na badania. Powiedz rodzicom, że pewnie u nich przenocujemy.

- A ja będę wtedy o dwa tygodnie jazdy konno od domu

- odparł. - Cassandro, to nie będzie łatwy związek, prawda?

- Nachylił się i pocałował ją. - Tamtej nocy, kiedy zobaczyłem cię na przyjęciu, jak wirowałaś w tańcu z tym lotnikiem, wiedziałem, że nasze stosunki będą bardzo skomplikowane.

Pick-up Sama nadjechał drogą, wzbijając tumany kurzu jak rozszałała, trąba powietrzna. Pilot wyskoczył z samochodu, skinął głową Blake'owi i Cassie, i pobiegł do budynku radiostacji.

- Otaczają cię sami mężczyźni, co?

- Nie zaczynaj - odparła. - Wiesz, że wcale mi się nie chce odlatywać. Wspaniale się z tobą wczoraj bawiłam. Pochlebia mi, że tak długo jechałeś, żeby się ze mną spotkać.

Blake zerknął na zegarek.

- Przyzwyczaisz się do tego. Jeszcze nieraz przyjadę do Augusta Springs, żeby cię zobaczyć.

Będziemy się spotykali, chociaż nie tak często, jak bym chciał.

Sam wyszedł z baraku, powiewając mapą w nieruchomym powietrzu.

- Wzdłuż linii wzgórz, na północ od Magie Creek, chmury gromadzą się niemal tuż nad ziemią.

Będziemy musieli zboczyć od linii kolejowej na południe aż do Innawarry. Nigdy jeszcze tam nie byliśmy. - Sam mówił do siebie.

- Ale jeśli stamtąd skierujemy się na północny wschód, powinniśmy odnaleźć farmę Jamesa. Chryste, w ciągu ostatnich tygodni spadło tam ponad piętnaście centymetrów

deszczu. James mówi, że jego ciężarówka nie może jeździć na wysokich obrotach i już raz wyciągał ją z trzęsawiska. Lepiej niech się postara nie ugrzęznąć, jeśli chce nas dowieźć do domu. Cholera! - Spojrzał na Cassie. - Wydaje mi się, że nie powinniśmy tak ryzykować, chyba że to kwestia życia i śmierci. Jakie jest twoje zdanie?

- Musimy zaryzykować - odparła. - Straciła tyle krwi, że nie jestem pewna, czy dożyje do wieczora.

- Cóż, czym byłaby niedziela bez odrobiny ryzyka? Blake popatrzył na Cassie.

- Florence Nightingale wyrusza z misją miłosierdzia.

- Florence Nightingale była pielęgniarką. A misja miłosierdzia to właśnie główne zadanie latających doktorów.

- Uznałbym to za szlachetne, gdyby nie to, że przez twoją misję tracę coś, czego pragnę.

- Coś sobie przypomniałam. Podrzucisz mnie do miasta?

- Cassie pobiegła do baraku i zawołała do Horriego:

- Zadzwoń do szpitala i powiedz, żeby mi przygotowali pięć jednostek liofilizowanego osocza. Ma na mnie czekać, jak tam przyjadę. - Szybko wróciła do Blake'a. - No, musisz jechać jak wariat!

Kiedy wypełnili zadanie i wrócili na lotnisko, Blake powiedział:

- Mógłbym tu na ciebie zaczekać.

- Nie mam pojęcia, kiedy wrócę.

- Zaryzykuję. Jeśli nie wrócisz do zmroku, wyjadę.

- Nachylił się i lekko ją pocałował.

Pobiegła do samolotu. Czekają na nią otwarte drzwi. Po niespełna półgodzinie lotu linia kolejowa, „żelazny kompas”, zniknęła pod warstwą chmur.

- Trzeba to ominąć - zdecydował Sam i zwrócił się na zachód, zamiast na północ. - Muszę lecieć nisko, żeby zidentyfikować punkty orientacyjne.

Lecieli blisko ziemi. Kiedy Cassie zapytała, na jakiej są wysokości, Sam odparł:

- Niespełna sto metrów. Nie ma tu mgły, ale przez niską podstawę chmur widoczność jest fatalna. Nie mogę wejść wyżej, bo będziemy lecieli na ślepo.

Minęło czterdzieści minut.

- Tam jest Magie Creek - odezwał się Sam. - Możemy lecieć prosto, aż zobaczymy zabudowania. Potem skreścimy na wschód i przy odrobinie szczęścia po osiemdziesięciu kilometrach dotrzemy do farmy Jamesa. - O szyby samolotu zaczął bębnić deszcz. - Za godzinę to cholerne pudło zacznie przeciekać jak sito.

Trzy kwadranse później odezwał się znowu.

- No, jesteśmy na miejscu. Teraz muszę tylko zdecydować, gdzie jest najbezpieczniejsze miejsce do lądowania. James oznaczył pole do lądowania, ale Chryste, ono wygląda jak bagno. Dzięki Bogu mamy zachodni wiatr.

- Co to za różnica? - Cassie rzadko się denerwowała, kiedy Sam siedział za sterami. Nie odpowiedział jej - skupił się na manewrach. Chociaż nie znosił tego samolotu, musiał przyznać, że w konkurencji bezpiecznego lądowania nie ma sobie równych. Sam leciał z minimalną bezpieczną szybkością i tylko dzięki jego doskonałej lotniczej wprawie trzymali się w powietrzu. Minął lądowisko i leciał jeszcze pięć kilometrów, potem wolno zawrócił pod wiatr. Widać było, że jest- bardzo skupiony. Jeszcze zwolnił lot, aż samolot posuwał się tuż nad ziemią. Szukał wzrokiem najmniej grząskiego miejsca. Minęła sekunda i już toczyli się po kępach trawy. Nagle Cassie poczuła, że samolot się zapada. Sam poniósł ogon maszyny tuż przed całkowitym zatrzymaniem. Zaryli się w trzęsawisko.

- Jesteśmy bezpieczni - oznajmił Sam. - Ale chwilę potrwa, zanim się stąd wydobędziemy.

A Blake na nią czekał.

Łan James zapukał w drzwi samolotu. Sam mu otworzył.

- Nieźle ugrzęźliście - stwierdził James. - Potem się będziemy o to martwić. Wskakujcie.

Sam i Cassie wsiedli do pick-upa.

- **Źle** z nią - powiedział mknąc do domu. - Oczywiście, wiedziała, że nie powinna więcej zachodzić w ciążę. Przy poprzednich dwóch porodach niemal wykrwawiła się na śmierć. Powinna bardziej uważać.

Cassie miała ochotę zapytać: „A ty co?” Do tego trzeba dwojga.

- Ma czterdzieści jeden lat.

Dom był wielki i proporcjonalny. Pomalowano go na biało i ozdobiono czarnymi gzymsami. Wokół, jak zwykle, biegła weranda. Otaczały go kwiaty i różnorodne krzewy. Przed domem rósł niewielki trawnik. Cassie się tu spodobało. Budyńki gospodarcze były równie schludne jak domostwo i świadczyły, że właściciele dbają o nie i kochają tę ziemię.

Leżąca na łóżku kobieta była sinoblada. Cassie dotknęła jej zimnego, ale pokrytego potem czoła.

Pacjentka spojrzała na nią niespokojnym wzrokiem. W pokoju unosił się metaliczny zapach krwi.

- Zdaje się, że pozostałości jaja płodowego zostały w macicy. Krwawienie nie ustanie, jeśli ich nie usuniemy. - Nie dodała, że w takim wypadku kobieta do rana wykrwawi się na śmierć. - Najlepiej byłoby przewieźć ją do szpitala w Augusta Springs. - Spojrzała na Sama. - Ile czasu zajmie wyciągnięcie samolotu z bagna?

Sam popatrzył na łana Jamesa, który powiedział:

- Mój Boże, dzisiaj na pewno nam się to nie uda. Nie zdążycie wrócić do Augusta Springs.

Cassie westchnęła.

- Dobrze. Sam, będziemy operować.
 - Tak właśnie myślałem.
 - On będzie pomagał? - Ian zmarszczył czoło.
 - Jest moim anesteziologiem - wyjaśniła Cassie i otworzyła torbę. - Potrzebuję wrzątku i...
 - Czy on będzie oglądał moją żonę nago? Sam uniósł brew i spojrzał pytająco na Cassie.
 - Zapewniam pana, panie James, że gdybyśmy byli w mieście, pańską żonę oglądałby lekarz mężczyzna. Myślę, że obecność Sama nie powinna pana niepokoić. Poza tym, żona nie będzie całkiem naga. A teraz proszę o wrzącą wodę i czyste ręczniki.
 - I trochę kawy - dodał Sam. Ian James skinął głową. -A teraz idę się umyć.
- W trakcie zabiegu Cassie odkryła u wejścia do macicy pozostałości tkanki.
- Właśnie to podejrzewałam - powiedziała do podającego eter Sama.
 - Jestem pewien, że potrafisz zrobić, co trzeba. Spojrzała na niego.
 - Nikt jeszcze nie okazał mi takiego zaufania. Sam wyszczerzył zęby w uśmiechu.
 - Bo nikt inny nie pracuje z tobą na co dzień.
 - Usunę te pozostałości i wyłyczekuję jamę macicy.
 - Czy to znaczy, że ona straci dziecko?
 - Widzę, że się uczysz. Tak. I to chyba lepiej. **Życie** pacjentki, zwłaszcza ze względu na wiek, jest zagrożone. - Rozszerzyła szyjkę macicy i wyłyczekowała błonę śluzową. - Przez kilka dni będzie trochę krwawiła i może odczuwać bóle w podbrzuszu i plecach. Możesz już nie dawać więcej eteru. Idź i powiedz panu Jamesowi, że jego

żonie nic nie będzie. Jeszcze nie odzyskała przytomności, ale jeśli chce, może tu wejść i ją zobaczyć. Wytarła krew i złożyła narzędzia. Po kilku minutach wrócił Sam.

- James mówi, że przyjdzie, kiedy żona odzyska przytomność. Teraz razem z nim i kilkoma jego ludźmi spróbujemy przeciągnąć samolot na suchy grunt. James ma traktor i Land Rovera. Poszukamy każdej możliwej pomocy. Pewnie będziemy musieli tu zanoćować.

- Wiedziałam - powiedziała głośno Cassie i zaklęła pod nosem.

Rozdział dwudziesty

Przez następne pięć tygodni Cassie regularnie otrzymywała liściki. Jeden z nich został przywieziony przez samotnego jeźdźca. Następnym razem, na lotnisku wylądowała jednosilnikowa awionetka i pilot, nie wyłączając motoru, wyskoczył z kabiny i zaniósł list kontrolerowi lotów, który przyniósł go do budynku radiostacji.

Jeden z liścików zawierał tylko kilka słów. „Do diabła. Potrafię myśleć jedynie o tobie”. Wiadomość podpisano zamaszystym „B”

W następnym liście Blake pisał, że leży pod gwiazdami i myśli o niej, że pierwszy raz pędzenie bytła nie jest dla niego radością, tylko przykrym obowiązkiem, ponieważ odciąga go od Cassie.

Zapowiedział, że nie pozwoli jej żyć spokojnie, więc niech „będzie przygotowana”.

W trzecim tygodniu nieobecności pisał: „Czy zauważyłaś, że dzisiejszej nocy byłem w łóżku razem z tobą? Czy po przebudzeniu czułaś moje pocałunki? Przez cały tydzień byłaś przy mnie. Chciałbym czuć twój zapach, obejmować cię, oddychać tobą. Chciałbym leżeć z tobą pod gwiazdami i pokazać ci ziemię, którą kocham. Chciałbym dzielić z tobą

swoją codzienną pracę, więc błagam, postaraj się przyjechać do Tookaringi przynajmniej na ostatni weekend miesiąca. Nie mów mi, że to się nie da zrobić. Wymyśl coś."

Chciałabym spędzić weekend w Tookarindze - oznajmiła Samowi.

Gwałtownie podniósł głowę i roześmiał się.

- Aha! Śmiem twierdzić, że miłość nawiedziła naszą dobrą panią doktor.

- Tak bym tego nie określiła. - Ale jeśli nie tak, to chyba nie było innego słowa, którym mogłaby opisać to uczucie.

Czasami wydawało się jej, że między nią a Samem nawiązuje się przyjaźń, ale zwykle wtedy pilot robił lub mówił coś, co świadczyło, że nie bardzo ją lubi. Raz nazwał ją „ekonomem w spódnicy”.

Innym razem słyszała, jak do jednego z zarządców farmy mówił coś o kobietach, którym się wydaje, że są mężczyznami. Postanowiła się tym nie przejmować.

Blake'a nie było w domu, kiedy Sam i Cassie przylecieli do Tookaringi. Przeprowadziła zwykle badania, a potem wraz z Jennifer usiadły na werandzie, żeby wypić herbatę. Było późne piątkowe popołudnie i pracujące w domu czarne służące ustawiły się w kolejce po wypłatę.

- Płacę im niewielkie wynagrodzenie i ubieram je - powiedziała Jennifer do Cassie. - Wymagam, żeby co rano przychodziły do pracy umyte i w czystym stroju. Żadnej z nich, z wyjątkiem Ruby, nie pozwalam dotykać jedzenia. Niewiele białych kobiet dopuszcza tubylki do kuchni. Zwykle kolorowa służba zajmuje się ścieleniem łóżek, zamiataniem podłogi i praniem. Robią to z humorem. Często się śmieją i dużo plotkują.

- To śmieszne, ale nigdy nie myślałam o tobie jako o pracującej kobiecie - oświadczyła Cassie. -
Zawsze jesteś taka elegancka i rozluźniona.

- Gdybym tak cię nie lubiła, to bardzo bym się zdenerwowała. Uważam, że ciąży na mnie tyle samo odpowiedzialności, co na Stevenie i Blake'u. Zamawiam dostawy do domu i prowadzę księgowość. Codziennie zaglądam do magazynu i biorę z niego to, co jest potrzebne w gospodarstwie. Upewniam się, jaki jest stan naszych zapasów, między innymi leków. Razem z Ruby planuję codzienne posiłki. Codziennie o jedenastej urządzam tu małą aptekę. Przychodzą do mnie wszyscy aborygeni, którym coś dolega. Tuzinami rozdzielam aspirynę. Decyduję, czy wystarczą domowe środki, czy powinniśmy wezwać ciebie albo poczekać, aż przyjedziesz na badania. Wyleczyłam już wiele zaognionych ran, odebrałam niejedną poród. Dzięki temu nabrałam cierpliwości. Nauczyłam się śmiać z tubylcami, razem z nimi martwić się losem ich dzieci. Wiem, jakie wypadki złamań i zwichnięć należy zgłaszać przez radio. Jednak chyba nigdy nie zrozumieję tubylców. Wiesz, nie potrafię osiągnąć takiego spokoju i bliskości z naturą, jaką oni mają. Nie umiem być tak uduchowiona jak oni i czuć takiej jedności z innymi ludźmi i z tą ziemią. Oni żyją i myślą tak samo jak dwadzieścia pięć tysięcy lat temu. Wielu białych sądzi, że tubylcy są leniwi i brudni. Są brudni, ponieważ woda jest tu taką rzadkością, że nie chcą jej marnować na mycie się. Nie potrzebują myć rąk przed przygotowaniem posiłków, bo odżywiają się larwami i tym, co znajdują na ziemi. Chcemy, żeby myśleli tak jak my, ale przecież my też nie umielibyśmy myśleć tak jak oni.

- Czy to z miłości do nich malujesz swoje obrazy?

- Wątpię - odparła Jennifer, patrząc melancholijnie.— Ci ludzie fascynują mnie, ale chyba ich nie kocham. Nie staram się już nawet ich zrozumieć.

- Nie możesz ich pokochać nie rozumiejąc?

- Może niektórzy to potrafią, ja nie. Według mnie miłość to dzielenie się. Wspólne doświadczenia i nadzieje, wspólne marzenia... pocałunki. Przeżywane razem zachody słońca. Uważam, że miłość musi być wzajemna.

- Całkowicie się z tym zgadzam. - Usłyszały głos, zanim jeszcze Blake w zakurzonej ubrani i w zsuniętym na tył głowy kapeluszu wyłonił się zza rogu domu. Kiedy zobaczył Cassie, uśmiech rozjaśnił mu twarz. - Coś podobnego! Więc jednak ci się udało.

Cassie ogarnęła nagle nieśmiałość, jak na szkolnej zabawie.

Jennifer wstała i wyszła na spotkanie wbiegającemu po schodach synowi Położyła mu ręce na ramionach i nadstawiła się do pocałunku.

- Nie przysuwaj się do mnie - powiedział muskając jej czoło ustami. - Muszę się wykapać. - Nie spuszczał wzroku z Cassie. - Jak długo tu zostaniesz? Ile dni?

- Do niedzieli po południu.

Zniknął we wnętrzu domu. Jennifer zwróciła się do Cassie.

- Jestem zachwycona takim obrotem spraw. Mam nadzieję, że o tym wiesz. Kiedy tylko cię spotkałam, miałam nadzieję, że tak się stanie. - Spojrzała w dal, na ziemię porośniętą niskimi drzewami. - Tutaj samotność może stać się chorobą - powiedziała w końcu.

- Czujesz się taka samotna?

- Z początku myślałam, że tu nie wytrzymam. Steven wyjeżdżał na spędy na całe tygodnie i nie miałam z kim rozmawiać. Do nieprzytomności bałam się tubylców. Byłam przekonana, że mnie zgwałcą albo zamordują we własnym łóżku. Nie mogłam też znieść ciszy. Czułam tak ogromną, przygniatającą samotność, że słyszałam bicie własnego serca. Potem zaczęłam doceniać otaczające mnie dźwięki. Są tu cudowne ptaki, słyhać wiatr w gałęziach drzew,

porykiwanie bydła, brzęczenie komarów, a w nocy wycie psów dingo. Wiem, że dla wielu kobiet życie w interiorze staje się koszmarem. Oprócz pustki i samotności, nękają je najróżniejsze wypadki, a przecież nie mają możliwości dotrzeć do lekarza ani sprowadzić go do siebie. Kobiety często rodzą dzieci bez niczyjej pomocy. Niektóre choroby oznaczają śmierć. Są ludzie, którzy nigdy się nie dostosują do tutejszego życia. Dla nich wszystko tutaj wygląda tak samo.

- Ty najwyraźniej do nich nie należysz.

Jennifer odrzuciła głowę w tył i przesunęła dłonią po włosach.

- Teraz jestem Australijką. Myślę i zachowuję się jak Australijka. Spędziłam w tym kraju, w tej okolicy, prawie trzydzieści lat. Skończyłam pięćdziesiątkę. Gdybym została w Anglii, byłabym wyblakłą, znudzoną na śmierć kobietą. Nigdy nie pragnęłam łatwego życia.

Cassie z uwielbieniem spojrzała na starszą przyjaciółkę.

- Czy niektórzy ludzie się załamują? Wydaje mi się, że trudności wywołują w ludziach dwie reakcje. Jedni padają pod ciężarem i rezygnują, inni stają się silniejsi.

- Oczywiście, nie każdy reaguje pozytywnie. Zdarzają się tu tragiczne historie. Siedmioletnia susza potrafi złamać ducha i wpędzić w rozpacz niemal każdego. Przepadają owoce ciężkiej pracy i marzeń. Umierają dzieci. Wystawiona na próbę miłość okazuje się zbyt słaba. W interiorze spotkasz samotność i przemoc. Nie wszystko ci się tu spodoba.

- Przymykasz na to oczy? Jennifer potrząsnęła głową.

- Nie, to też jest częścią życia. Oczywiście kobiety mają najtrudniejszy los. Zostają same, podczas gdy mężczyźni wyruszają na sześciomiesięczne przepędzanie bydła. Czasami przez całe lata nie widują żadnej nowej twarzy. - Roześmiała się. - Z pewnością jest to kraj dla twardych indywidualistów.

Na werandę weszli Steven i Blake.

- Słońce już zachodzi - odezwał się Steven. - Czego się napijesz, Cassie? - Nachylił się, pocałował żonę w policzek i stanął za nią, kładąc jej rękę na ramieniu.

- O świcie wyjeżdżamy - odezwał się Blake od drzwi.

- Tylko we dwoje?

- Tylko we dwoje. Zabieram Cassie ze sobą, żeby zobaczyła obóz poganiaczy bydła i poznała życie w buszu. Wrócimy na obiad.

Ranek, chociaż upalny, był niczym z bajki. Stada kangurów z łatwością przeskakiwały przez ogrodzenia.

Blake wskazał na zachód, gdzie Cassie zauważyła tuziny emu mknące przez równinę.

- Biegają szybciej niż konie - powiedział. - W świecie ptaków ojcowie tego gatunku stanowią dziwny wyjątek. To oni wysiadują jajka i opiekują się pisklętami. Ale emu są płochliwe.

Wszystkiego się boją. - Cassie nic nie odpowiedziała. Z uwagą obserwowała okolicę. - Wiedziałaś, że Australia to nie tylko najstarsza płyta geologiczna na ziemi, ale i najbardziej płaski ze wszystkich kontynentów?

- Nietrudno w to uwierzyć - odparła. Dalej jechali w milczeniu, więc mogła podziwiać otoczenie. - Nigdy jeszcze nie widziałam tylu ptaków.

- Nie byłaś dalej na północy? Ani w Darwin, ani w Kakadu? Tam dopiero żyje mnóstwo ptactwa. Kiedyś cię tam zabiorę. To miejsca niepodobne do innych. Zapolujemy też na krokodyle.

Cassie uśmiechnęła się.

- Nie widzisz, że to miejsce też nie przypomina żadnego innego?

- Tutaj czujesz dumę z tego, że jesteś Australijką, prawda?

- Moje pochodzenie zawsze wpędzało mnie w lekkie

zakłopotanie. Wydawało mi się, że mój kraj nie ma czym się pochwalić. Kilka małych miast na wybrzeżu, a środek kontynentu to tylko pustynia. Teraz wiem, że się myliłam. To jeden z najwspanialszych krajów, jakie kiedykolwiek widziałam.

Blake spojrział na nią z radosnym uśmiechem.

- A przecież tak naprawdę niewiele tu jeszcze widziałas. Chcę być tym, który ci go pokaże. Na północy, jak mówiłem, ciągną się prawdziwe tropiki. Byłaś w Alice?

- W Alice Springs? Nie, choć to przecież niedaleko.

- Jeśli przedtem tam nie pojedziesz, to zahaczmy o nie w drodze do Darwin. W Darwin nie ma nic ciekawego. Mieszkają tam niemal wyłącznie urzędnicy państwowi. Przez większość roku panuje tam okropny klimat. Jest tak wilgotno, że wszystko ocieka wodą, ale tamtędy prowadzi droga do Ziemi Arnhema i Kakadu.

- Nigdy nawet nie słyszałam o tych miejscach.

- To rezerwaty aborygenów. Są tam malowidła skalne sprzed dwudziestu pięciu tysięcy lat, uważane za najstarsze ślady cywilizacji na tej planecie. Aborygeni to chyba najstarsza rasa, jaka przetrwała na Ziemi w nie zmienionym stanie.

- Odziedziczyłeś po matce sympatię do tubylców. Potrząsnął głową.

- Nie wiem, jak to nazwać. Mam między nimi przyjaciół, ale się nie rozumiemy, bez względu na to, jak wiele czasu razem spędzamy. Mogę z nimi wędrować tysiące kilometrów, jadać z nimi posiłki i jeździć konno, ale ich natura mi umyka. Nie wiem nawet, czy darzę ich sympatią jako grupę. Wielu z nich lubię. Chyba to samo mogę powiedzieć o własnym narodzie. Ale z pewnością mnie fascynują. Szczególnie ci, którzy trzymają się tradycji. Właśnie tacy mieszkają w Ziemi Arnhema i w Kakadu. Można tam jechać

tylko w lipcu lub sierpniu. Teraz jest tam cholernie gorąco. Wilgotność powietrza nie dałaby nam żyć. Wokół widzieli setki, tysiące ptaków.

- Te żółtozielone z czerwonym pasem na skrzydłach to rozelle - wyjaśniał Blake. - Małe, jaskrawozielone z żółtymi policzkami to papużki faliste.

- Myślałam, że to nierozłączki.

- Tak je nazywają w Stanach. Te szare z jasnożółtymi główkami i grzebieniami to oczywiście nimfy, ale to pewnie wiesz, bo można je spotkać w całym kraju. - Cassie skinęła głową. - Spójrz na te błękitne. Mienia się na niebiesko i zielono. To czczony przez tubylców zimorodek. Tak samo jak odmiana o czerwonym grzbiecie, występuje na całym kontynencie.

- A jak się nazywają te szaroróżowe, które tak głośno hałasują?

- To odmiana kakadu.

Teraz Cassie się nie dziwiła, że radiowe plotkarskie sesje kobiet nazywano „papuzią godziną”. Kilka metrów przed nimi przemknęła długa na ponad półtora metra jaszczurka.

- Jaka okropna!

- To goanna. Pewnie zmierza do tamtych drzew. Potrafi wskoczyć na nie jednym skokiem. Nie jest niebezpieczna. Jedyne zwierzęta, których należy się obawiać w tej części świata, to węże, psy dingo i niektóre pająki.

Wkoło nie było widać wielu drzew.

- Nie boisz się, że zgubisz drogę? - zapytała Cassie rozglądając się.

Blake wstrzymał konia, więc Cassie też przystanęła. Położył jej rękę na ramieniu i pocałował ją.

- Nie, nie tutaj - odparł. - Nigdy nie przyszło mi do głowy, że tu mógłbym się zgubić. Natomiast w tej chwili tracę głowę. - Znów ją pocałował. Roześmiał się, kiedy

usłyszał jej westchnienie. - Jesteś najwspanialszą, najpiękniejszą kobietą. Pragnę cię. Boże, Cassandro Ciarke, jak ja cię pragnę. - Znow ruszył przed siebie. Cassie zrównała się z nim, kiedy wjechali na teren, na którym wznosiły się setki szpiczastych kopców.

- Uważaj na kopce termitów - ostrzegł Blake.

- Kopce termitów?

- W całym kraju są ich miliony. A w każdym kopcu mieszka około dwóch milionów termitów. -

Cassie ze zdumienia otworzyła usta. - Miliony kopców. W tych okolicach sięgają zaledwie do metra dwudziestu, ale dalej na północ, w bardziej tropikalnym klimacie, dochodzą do dwóch metrów wysokości. Zdarzają się nawet wyższe. - Wstrzymał konia, żeby jechać równo z Cassie. - Budulec na te kopce przeszedł przez wnętrza miliony termitów; wznoszą je z ziemi zmieszanej z wydzieliną z ich organizmów. Budowle te są tak mocne, że przetrwają każdy tropikalny monsun czy cyklon. Mają twardość betonu. Nie wpadnij na nie.

Nagle usłyszeli tętent kopyt. Blake uniósł ramię, dając znak, żeby się zatrzymać. Przed nimi, w odległości może stu pięćdziesięciu metrów, przegalopował tabun koni z rozwianymi grzywami.

- To dzikie konie - powiedział Blake. - Dawno temu były udomowione, ale udało im się uciec.

Zdziczały i rozmnożyły się. Potrafią biegać szybciej niż wierzchowce i trudno je schwytać.

- Dlaczego ktoś miałby je łapać?

- Stały się zagrożeniem. Jeden koń zjada więcej trawy niż jedna sztuka bydła.

Przejechali kilka kilometrów wśród kopców termitów, kiedy Cassie zauważyła wielką cysternę.

- Co to jest? - zapytała.

- Tutaj magazynuje się wodę z odwiertu.
- Z odwiertu?
- Bydło może odejść od zbiornika z wodą tylko na mniej więcej osiem kilometrów - tłumaczył Blake nie zatrzymując się. - Wiercimy więc studnie artezyjskie, czasami głębokie na setki metrów. Wodę przechowujemy w cysternach. Po jakimś czasie ziemia wokół każdego zbiornika jest niszczone przez kopyta bydła, które przychodzi tu, żeby się napić. Kiedy pasza w promieniu kilku kilometrów zostanie zjedzona, stado trzeba przenieść na nowe pastwisko, żeby ziemia mogła się odrodzić. Gdyby nie studnie, nie wyhodowalibyśmy tutaj nawet jednej sztuki bydła. Pod tą częścią Australii znajdują się niezmiernie głębokie zbiorniki wodne. Są jednak tak głęboko, że ich eksploatacja byłaby zbyt kosztowna. Często też woda jest tak zasolona, że nie nadaje się dla ludzi, tylko dla bydła. - Popędził konia do galopu. - Jesteśmy już prawie na miejscu. - Przez resztę drogi do obozu jechał przed Cassie. Zobaczyła unoszącą się w powietrzu smugę dymu. Kiedy podjechali bliżej, Blake wstrzymał konia i zaczął czekać na swoją towarzyszkę.
- Wiesz coś o znakowaniu bydła?
- Prawie nic - odparła. - Widziałam westerny, w których łapano byczki na lasso, powalano je na ziemię i rozpalonym żelazem wypalano im znaki na czole. To jest okropne.
- Ale konieczne - wyjaśnił Blake. - Mamy tu wielkie, nie ogrodzone przestrzenie i bydło bez znaku właściciela łatwo mogłoby zginąć. I tak tracimy wiele sztuk, ale znakowanie trochę pomaga. Zwierzę nie cierpi zbyt długo.
- Skąd wiesz? - zapytała. Byli już tak blisko, że słyszeli krzyki mężczyzn i porykiwanie bydła zapędzonego do zagrody.

- Każda nasza stacja znakowania była pracuje przez pięć albo sześć tygodni, żeby oznakować wszystkie nowe sztuki - objaśniał Blake, kiedy podjeżdżali do zajętych swoimi zadaniami poganiaczy.

- Widzisz tego tubylca, który zмага się z cielakiem? Zwierzę pierwszy raz ma kontakt z człowiekiem. Boi się. Nie wie, co będzie dalej. - Siedzieli w siodłach i patrzyli. - Najpierw trzeba oddzielić od stada nie oznakowane sztuki. Zwykle chwyta się je na lasso, tak jak to widziałas na filmie. Potem zapędza się je do zagród. To te ogrodzone pola wokół nas. Potem jedna grupa... Chodź, pokażę ci, jak to wygląda, na przykładzie jednego cielaka. - Zeskoczył z konia, podszedł do Cassie i pomógł jej zsiąść. Poprowadził ją do miejsca, gdzie znakowano młode byki. Dwóch ludzi powaliło cielaka. Jeden trzymał go za nogi, drugi przyciskał kolanem jego szyję. Podszedł do nich następny mężczyzna i przyrządem podobnym do dużego zszywacza przyczepił kolczyk do ucha zwierzęcia. Kiedy tylko skończył, czwarty pracownik odciął byczkowi jądra. Zwierzę zaryczało. Natychmiast kolejny człowiek zaczął odcinać mu rogi. Dwóch pomocników mocno trzymało cielaka, który odrzucał łeb w tył. Kolejny pracownik sięgnął do ogniska po rozpalone żelazo, które nawet w jaskrawym słońcu świeciło jasną czerwienią. Ostrożnie przyłożył żelazo do boku byczka i Cassie poczuła swąd palonej skóry. Usłyszała głośny ryk przerażonego i rozwścieczonego cielaka. Mężczyźni puścili go, a zwierzę poderwało się z prychnieniem i zaczęło wojowniczo wierzgać.

Blake zostawił ją samą i poszedł porozmawiać z jednym ze swoich pracowników. Wokół panował hałas, dzwoniły ostrogi, mężczyźni pokrzykiwali do siebie, a było głośno ryczało. Czuć było woń potu i palonej skóry. Nad tym

wszystkim unosiła się gorąca, czerwona kula słońca. Cassie pojęła, dlaczego o australijskim interiorze mówi się jako o krainie mężczyzn. Nie było tu miejsca dla kobiety. Przez ponad godzinę obserwowali pracujących.

- Chodźmy coś zjeść - powiedział w końcu Blake. - Widzę, że kucharz jest już gotowy.

Oprócz kucharza i nadzorca wszyscy pracownicy byli aborygenami. Wykonywali swoją pracę zręcznie i w skupieniu.

Na obiad poczęstowano ich wołowiną, która wolno się piekła na tłących się bierwionach. Dostali też upieczony na miejscu chleb, nie placki, tylko prawdziwy chleb w bochenkach. Znalazła się również herbata. Były też mrówki, muchy i pokrywający wszystko kurz.

Cassie obserwowała Blake'a, który przyłączył się do znakowania.

- **Żaden** z tych ludzi nie dorasta mu do pięt - powiedział kucharz.

O trzeciej Blake zaproponował powrót do domu.

- Lepiej ruszajmy, bo nie zdążymy na kolację.

- Wolałbyś zostać tutaj, z mężczyznami, prawda? Pomógł jej wsiąść na konia i wskoczył na siodło.

- Wcale nie. Robiłem to przez ostatnie sześć tygodni. Przyznaję, że lubię taką pracę, ale teraz mam ochotę na uroki życia towarzyskiego.

Cassie, nie przyzwyczajona do takiego wysiłku i upału, odczuła zmęczenie.

- Jak tylko wrócimy do domu, popływamy w basenie -zapowiedział Blake. - To cię orzeźwi.

- Nie jesteś ani trochę zmęczony? - zdziwiła się Cassie.

- Hej, przecież całymi dniami, i to przez długie tygodnie, wykonuję właśnie taką pracę. Jestem przyzwyczajony do takiego życia.

Jennifer i Steven wychodzili właśnie z basenu. Z początku Cassie miała ochotę paść na łóżko, ale w końcu zdecydowała się na kąpiel. Okazało się, że Blake miał rację. Pływanie orzeźwiło ją i dodało energii. Nurkowała głęboko, w nadziei że woda zmyje kurz z jej włosów. Blake podpłynął do niej i chwycił ją za rękę. Kasztanowate włosy skręciły mu się od wilgoci. Jaskrawoniebieskie oczy połyskiwały. Pocałował ją mokrymi ustami i przyciągnął do siebie tak blisko, że przez kostium czuła twardość jego ciała.

- Wiesz, Cassandro, że nasze kochanie będzie czymś, czego żadne z nas jeszcze nie przeżyło?
- Blake, przestań...
- Kiedy nadejdzie właściwa pora, nie będziesz się bała ani mnie, ani seksu, ani miłości.

Czesc II

Wrzesien 1939 – Luty 1942

Rozdział dwudziesty pierwszy

Cassie zrozumiała, co to znaczy pora deszczowa. Jak zaczynało padać, to już na dobre.

Podczas popołudniowej sesji radiowej zgłosił się szef policji z Marriott, miasteczka położonego czterysta kilometrów na wschód.

- Sześćdziesiąt pięć kilometrów na północ od miasta zdarzył się wypadek - zawiadomił. - Postrzelono człowieka w pierś. Dowiedziałem się, że ranny krwawi i nie odzyskuje przytomności. Nie możemy go przenieść. Według ostatniej wiadomości, która do mnie dotarła, jeszcze żyje.

Cassie wręczyła Samowi mikrofon.

- Dowiedz się, jak tam dotrzeć. Natychmiast wyruszamy. Pilot spojrział na zegarek.

- Chyba uda nam się dolecieć tam przed zmrokiem. Czy musimy wracać jeszcze dzisiaj?

Cassie tylko potrząsnęła głową, więc Sam zaczął wypytywać o trasę lotu.

- Musicie dolecieć do lądowiska poza miastem - tłumaczył policjant. - Zabierzemy was stamtąd samochodem. Na miejscu wypadku teren pokryty jest zaroślami.

- Będziemy tam za dwie do trzech godzin - odparł Sam i zwrócił się do Cassie: - Gotowa?
Już zmierzając do samolotu, skinęła potakująco głową. Wiedziała, że wczesnym popołudniem, kiedy wrócili z badań, pilot zrobił przegląd maszyny.
Chociaż chmury barwiły niebo na ołowiany kolor, to płynęły dość wysoko i można było z łatwością lecieć pod nimi. Sam przez cały czas podążał wzdłuż drogi prowadzącej do Marriott. Cassie spała. Kiedy schodzili do lądowania, deszcz bębnił o samolot.
- Lotnisko w doskonałym stanie - stwierdził Sam.
Byli już tutaj dwa razy i poznali komendanta posterunku, Lewisa. Był wielkim, zwalistym mężczyzną, który rzadko się uśmiechał, ale przemawiał łagodnym głosem. Czekał na nich przy pasie.
- Wiadomość o wypadku dostałem mniej więcej półtorej godziny przed rozmową z wami. Zanim tam dotrzemy, będzie już ciemno.
Wsiedli do samochodu policjanta. Cassie usadowiła się z tyłu. Lewis natychmiast ruszył.
- Zabrałem dla was kanapki - oznajmił. - Bałem się, że zanim wylądujecie, znowu zacznie padać. Cholerna pogoda. W lecie można usmażyć jajko na kamieniu, a wiosną rozpuścić się w deszczu.
- Co się stało? - zapytał Sam.
- Kto to wie? O tej porze roku zawsze mamy więcej zabójstw, wypadków pobicia żon i gwałtów. Szczególnie przy pełni, nawet jeśli księżyc przykrywają chmury.
Droga była pełna dziur i śliska od deszczu.
- To się zdarzyło na farmie, gdzie jest tylko zarządca, ale nie mieszka tam żadna rodzina. Nie ma tam kobiet. Często dostajemy stamtąd wezwania. Poganiacze się nudzą, są rozdrażnieni i działają sobie na nerwy.

Pokonanie sześćdziesięciu pięciu kilometrów w deszczu bębniącym o dach zajęło im godzinę i czterdzieści pięć minut. Kiedy dojechali, zapadły ciemności. Samotne światło wskazywało drogę do domu.

Komendant Lewis pierwszy wbiegł na werandę i wszedł do małego pomieszczenia, oświetlonego jedynie lampą naftową. Dwóch młodych ludzi stało nad mężczyzną, który leżał na podłodze w kałuży krwi.

Cassie uklękła. Rana wyglądała groźnie, pacjent był blady i gwałtownie łapał powietrze. Zbadała mu tętno.

- Sto czterdzieści - powiedziała głośno.

- Czy to źle? - zapytał policjant.

- I wygląda na to, że będzie jeszcze gorzej. Ranny jest w śpiączce. - Spojrzała na stojących w pogotowiu dwóch młodzieńców. - Od jak dawna nie odzyskuje przytomności?

Spojrzeli na siebie. Jeden wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Krzyczeliśmy do niego i szczypaliśmy go, ale nie reagował.

Cassie przyłożyła zgięty kciuk do mostka chorego i mocno nacisnęła.

- Po co to? - zapytał Lewis.

- **Żeby** wywołać ból, jeśli ranny w ogóle coś czuje. Wcale nie zareagował. Jeśli nic nie zrobimy, umrze.

- Co to ma znaczyć? - chciał wiedzieć jeden z młodych poganiaczy.

- Muszę operować - wyjaśniła Cassie.

- Tutaj? - zdziwił się policjant.

- Tutaj.

- No, chłopaki - odezwał się Sam. - Pomóżcie mi uporządkować to pomieszczenie.

- Nie mamy na to czasu - powstrzymała go Cassie. - Muszę od razu zacząć. Możecie zagotować wodę?

Będzie mi potrzebna. Znalazłaby się jeszcze jedna lampa? - Zwróciła

się do Sama. - Muszę to zrobić na podłodze. Moim zdaniem nie należy go przenosić. Sam skinął głową.

- Woda! - rzucił w stronę poganiaczy, którzy nadal stali w miejscu.

- Przed operacją muszę umyć ręce - oświadczyła Cassie, chociaż miała sterylne gumowe rękawiczki.

Nie znosiła operować w takich warunkach, a jednak czuła, że adrenalina już krąży w jej żyłach.

Ogarnęła ją fala energii.

- Nie wiem, gdzie jest druga lampa - powiedział młodzieniec, który został przy chorym.

- W samochodzie mam latarkę — oznajmił komendant Lewis.

Lepsze to niż nic. Sam uklęknął obok niej.

- Jesteś zdenerwowana, prawda? - wyszeptał. Skinęła głową.

- Dasz sobie radę, doktoru. Jestem tego pewien.

- Stracił już tyle krwi.

- Jeśli ktokolwiek może go ocalić, to właśnie ty. Cassie otworzyła torbę z narzędziami i rozpoczęła przygotowania.

Po niespełna piętnastu minutach już operowała. Obaj młodzieńcy wyszli z pokoju, ale Cassie zatrzymała Lewisa.

- Potrzebna mi będzie pańska pomoc. Proszę umyć ręce. Wręczyła Samowi eter i maskę z gazy.

- Nie trzeba go usypiać, chyba że zacznie odzyskiwać przytomność. Będiesz mi potrzebny przy samej operacji.

Wykonała długie nacięcie od mostka aż do pachy i zwróciła się do pilota i policjanta.

- Teraz odciągnijcie żebra na boki. Ciągnijcie bardzo mocno. Muszę zobaczyć, co tam się dzieje.

Popatrzyli na nią zdziwieni, a potem spojrzeli po sobie. Uklękli przy pacjencie, niewiele widząc w mdłym świetle.

- No, dalej! Ciągnijcie! - Pociągnęli i przytrzymali brzegi rany. - Muszę zajrzeć do środka.

Odciągnijcie kości.

W końcu zobaczyła, że jedno z dużych naczyń krwionośnych, aorta, zostało rozerwane przez kulę.

- O, Boże - jęknęła. - Jest tu mnóstwo krwi. Trzeba ją usunąć. Nie puszczajcie żeber! - Chyba nigdy jeszcze nie widziała takiej ilości krwi.

Kiedy już usunęła jej tyle, ile było można, zszyła aortę.

- Dobrze. Możecie puścić. Wydaje mi się, że stracił za dużo krwi. Sam, zmierz mu ciśnienie.

Sam sięgnął po nadmuchiwany mankiet i stetoskop. Umieścił mankiet na właściwym miejscu i napompował go.

- Ciśnienie szybko spada - oznajmił. Cassie kiwnęła głową.

- Tętno jest szybkie i nieregularne - stwierdziła.

Cała trójka klęczała na podłodze, spoglądając na rannego. W końcu Lewis wstał.

- Moje kolana dłużej tego nie wytrzymają.

Cassie zerknęła na niego i nagle zdała sobie sprawę, że serce pacjenta przestało bić.

- O, Chryste - wyszeptała. - Muszę ucisnąć mu serce.

- Ucisnąć? - powtórzył policjant. Wydawało się, że za chwilę zemdleje.

Cassie ujęła w dłoń serce pacjenta i uciskała je rytmicznie niczym piłkę tenisową.

- Muszę wykonać osiemdziesiąt ruchów na minutę. - Z wysiłku jej oddech stał się urywany. - Sam, w mojej torbie znajdziesz jeszcze jedną gumową rękawiczkę. Włóż ją i zmień mnie. Dłużej nie dam rady.

Pilot włożył rękawiczkę i obserwował ruchy Cassie.

- Dobrze - oznajmił w końcu. - Odsuń się.

- Może zaskoczy - powiedziała z nadzieją.

Przez dwadzieścia minut na zmianę reanimowali pacjenta.

- Sam, przestań - poleciała w końcu Cassie. W pokoju panowała cisza.

- Gdybyśmy mieli krew i gdybyśmy byli w szpitalu, być może miałyby szansę. Stracił za dużo krwi.

- To znaczy, że...? - Lewis nie dokończył pytania.

- Tak, już po nim - stwierdził Sam.

Komendant zaoferował im nocleg w swoim domu.

- Będziesz musiał spać na kanapie - uprzedził Sama.

- Nie pierwszy raz.

Podczas jazdy do Marriott przez siąpiący deszcz milczeli. Cassie zamknęła oczy, ale nie mogła zasnąć. Żadne z nich nie ruszyło kanapek, przywiezionych przez Lewisa.

Rano, przed startem, Sam połączył się z Hornem przez radio.

- Lepiej tego posłuchaj - zwrócił się do Cassie.

- Dostałem pilne wezwanie - mówił Horrie. Trzaski w eterze sprawiały, że z trudem rozumieli słowa. - To wam się nie spodoba. - Sam i Cassie spojrzeli na siebie. - Wezwanie nadeszło z Milton Crossing, to jest czterysta do czterystu osiemdziesięciu kilometrów na północny zachód od was. Dziecko jest w bardzo złym stanie. Oto objawy. - Cassie poznała, że radiotelegrafista czyta z kartki. - Wczoraj czuło się dobrze, aż nagle dostało mdłości. Wymiotuje, ma biegunkę i wysoką gorączkę. O północy było już bardzo osłabione i rozdrażnione. Ciągłe płakało i chciało, żeby je nosić na rękach. O trzeciej całkiem osłabło i stało się apatyczne, bez względu na to, czy matka miała je na rękach,

czy nie. Rano usta dziecka stały się żółtawe i pomarszczone. Oczy są zapadnięte, a skóra stała się jakby za luźna.

- Boże, dwa dni w takim stanie, i dziecko umrze, jeśli nie uzupełni mu się płynów w organizmie.

Dobrze, że zawsze wozimy ze sobą sprzęt do transfuzji.

- Dziecko nie przyjmuje żadnych płynów - ciągnął Horrie.

- Mam jeszcze gorsze wiadomości. Wichura zerwała linie elektryczne. Cała okolica jest zalana wodą. Nawet nie wiem, czy dacie radę wylądować gdzieś w pobliżu farmy. Sam, ty wiesz, gdzie jest Milton Crossing, prawda?

- Tak - odparł pilot. - Kilka miesięcy temu przywieźliśmy stamtąd ciężarną kobietę do szpitala.

- Czy w Marriott dostaniesz tyle paliwa, żeby tam dolecieć?

- Na pewno. - Spojrzał na Cassie i zerknął na zegarek.

- Startujemy natychmiast. Połączę się z tobą dokładnie za cztery godziny. Powiedz, żeby tam, na farmie również byli na nasłuchu.

- Czy są jeszcze jakieś wezwania? - zapytała Cassie. Horrie roześmiał się.

- Nawet gdyby były, to co mogłabyś poradzić? Sam odłożył słuchawkę i spojrzął na towarzyszkę.

- Weźmy ze sobą te kanapki, których wczoraj nie zjedliśmy i przygotujmy termos kawy.

Drobna mżawka sprawiła, że przez całe trzy godziny lecieli nisko, ale powyżej stu osiemdziesięciu metrów, więc Sam nie miał trudności ze znalezieniem trasy. Deszcz w końcu ustał, ale widzieli, że teren pod nimi jest zalany.

- Cholera! Nie wiem, gdzie wylądujemy - odezwał się pilot.

Milton Crossing leżało nad rzeką i nawet z wysokości stu osiemdziesięciu metrów widzieli, że jej wzburzone brunatne wody zalewają tereny wokół.

- Nie mamy gdzie lądować - powiedział Sam do mikrofonu, kiedy nastawił radiostację na częstotliwość bazy, w której Horrie już czekał na wiadomość. - Tutaj się nie da - ciągnął pilot. - Najbliższy suchy teren jest chyba w odległości wielu kilometrów.

Horrie zapowiedział, że połączy ich z farmą i razem zdecydują, co robić.

- Jakieś dwadzieścia kilometrów na północny zachód jest wzniesienie - oznajmił Clive Young, właściciel Milton Crossing. - Szczyt jest płaski i chyba można tam lądować. Już posłałem kilku moich aborygenów, żeby na was czekali. Będziecie musieli dojść na piechotę, bo cała okolica wokół farmy jest zalana.

- Dwadzieścia kilometrów! - zawołała Cassie. Sam spojrzał na nią unosząc brwi.

- Ja dam radę. Nie wiem, jak ty. Cassie nic nie odpowiedziała.

- Tam jest to wzniesienie - Sam wskazał przed siebie. Po przeciwnej stronie rzeki niż farma.

- Będziemy musieli nieść sprzęt do transfuzji.

- To niemożliwe.

Cassie wiedziała, że Sam ma rację. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogliby nieść taki bagaż i przybyć na miejsce, po dwudziestu kilometrach marszu przez błoto i zarośla, w stanie umożliwiającym dalszą pracę.

Wzniesienie wyglądało jak stworzone specjalnie na pas do lądowania.

- Mogłoby być trochę dłuższe. Trzymaj się. Będę musiał gwałtownie hamować.

Sam wylądował, jakby od dawna znał to miejsce. Zanim

jeszcze otworzył drzwi, samolot otoczyło kilkunastu tubylców. Wszyscy byli bosi i przemoczeni.

- Zdaje się, że będzie lepiej, jak zostawimy buty w samolocie - wymamrotał Sam. Zdjął obuwie i chwycił lekarską torbę Cassie. Rozpięła sandały. Jak to dobrze, że w tym klimacie nigdy nie nosiła pończoch. Szli za aborygenami, grzęznąc w błocie i przedzierając się przez zarośla. Cassie była nie tylko przemoczona, ale w dodatku cała podrapana. Wilgotne włosy przywarły do skóry. Tubylcy ani na chwilę się nie zatrzymali. Po godzinie Cassie była tak zmęczona, że wątpiła, czy zdoła zrobić następny krok. Jednak nie prosiła ich, żeby przystanęli lub zwolnili.

- Wszystko w porządku? - zapytał Sam, zamykający pochód.

Kiwnęła głową, zbyt wyczerpana, żeby odpowiedzieć. Stopy miała poprzecinane ostrymi gałązkami i wystającymi z ziemi korzeniami. Bluzka i spódnica oblepiały mokre ciało.

- Sam, muszę się zatrzymać - powiedziała pod koniec drugiej godziny marszu. - Chociaż na minutę. Nie przejdę już ani kroku.

- Dobrze - odparł i zawołał do tybylców, żeby się zatrzymali.

Słyszeli szum rzeki, więc domyśliła się, że są już prawie u celu.

- Zobaczą, jak to wygląda - oznajmił Sam. - Zaczekaj tu. Wrócił za dziesięć minut

- Rzeka rozlała na jakieś siedemdziesiąt metrów. Pewnie normalnie ma mniej niż dwa metry szerokości. Wygląda na to, że nie jest tam głębiej niż metr dwadzieścia. Umiesz pływać?

- W basenie, gdzie nie ma prądów, nieźle daję sobie radę. Roześmiał się.

- Oddałem torbę jednemu z tubylców i powiedziałem,

żeby za żadne skarby nie upuścił jej do rzeki. Chodź! - zawołał. Wyciągnął rękę i pomógł jej wstać z pnia, na którym siedziała.

- Są tu krokodyle? - zaniepokoiła się.

- Zapytałem jednego z tych ludzi. Powiedział: „Nie, szefie, bardzo mało”. Doktorku, musimy zdjąć ubranie i przenieść je przez wodę. Tylko mi tu nie zemdlej. Ubranie będzie tylko krępowało nam ruchy, jeśli porwie nas prąd. Szczególnie twoja spódnica byłaby nieporęczna. Nikt nie będzie patrzył.

- Skąd wiesz? A poza tym, jeśli nie będą na mnie patrzeć, to skąd będą wiedzieli, że jestem bezpieczna?

- No, to powiedzmy, że nikt nie będzie miał żadnych zdrożnych myśli, dobrze? Wszyscy się skupią na pokonywaniu trudności, a nie na przyglądaniu się pani doktor.

Jak to się działo, że oglądała tyłu nagich pacjentów, mężczyzn i kobiety, nie postrzegając ich jako nagich istot ludzkich, ale teraz, kiedy sama musiała się rozebrać przed innymi, ogarnęła ją taka nieśmiałość?

- Możesz zostać w bieliźnie - powiedział Sam z uśmiechem. - To nie utrudni ci ruchów.

Cassie spojrzała na wodę. Nurt był tak szybki, że zastanawiała się, jak można w nim zachować równowagę. Połowa aborygenów już przepłynęła się przez rzekę i czekała po drugiej stronie. Sześciu stało na brzegu i wyciągało ręce.

- Utworzymy łańcuch i przejdziemy przez rzekę mocno się trzymając. Posłuchaj doktorku, jestem przy tobie. Nie pozwolę, żeby coś ci się stało.

- Skąd ci przyszło do głowy, że się boję?

- Tylko wariat by się nie bał.

- A ty się boisz? Zdejmował koszulę.

- Nie jestem wariatem. Mam zdrowy szacunek dla natury. Szykuje się niezła zabawa, co? Przecież lubisz wyzwania.

Zacząła rozpinąć bluzkę.

- Być może.

Czuła lekkie podniecenie, dreszczyk emocji. Możliwe, że niebezpieczne życie ma swoje dobre strony. Sam zsunął spodnie, owinał je koszulą i zawiązał w tobołek.

- Udawajmy, że to kostium kąpielowy - powiedział. - Daj mi spódnicę i bluzkę. Zmieszczą się w tym węzélku. Poniosę je. Prąd jest szybki. Chwyć się mnie i tego tubylca przed tobą. Żaden z nas cię nie puści.

Cassie wiedziała, że mimo obietnic Sam się jej przygląda. Nie zamierzała się nad tym zastanawiać. Będzie myślała o dziecku, które umrze, jeśli nie dotrze do niego na czas. Pomyśli o jego szalejących z niepokoju rodzicach, czekających na pomoc. A jeśli chodzi o Sama, to wyglądał tak, jak przewidywała - był o wiele za chudy.

Mimo to poczuła ulgę, kiedy chwycił ją mocno za rękę. Drugą rękę podała stojącemu przed nią tubylcowi. On również trzymał ją mocno. Zaczęli kroczyć przez wartką wodę. Dno było gładkie i piaszczyste. Z trudem utrzymywała równowagę, z wysiłkiem idąc pod prąd. Zadrżała, kiedy obok przepłynął kawałek drewna. Wyglądał jak waż albo krokodyl.

Na przeciwległym brzegu, z parasolem i ręcznikami, czekał na nich w deszczu Clive Young. Kiedy tylko Cassie wyszła z rzeki, owinał ją ręcznikiem, a drugi rzucił Samowi.

- Przepraszam za taką pogodę - powiedział.

- Jak się czuje dziecko? - zapytała Cassie, otulając się ręcznikiem, który ledwie ją przysłaniał.

- Żyje. - To było wszystko, co powiedział. Wziął torbę od jednego ze swoich ludzi i poprowadził ich do domu.

Pani Young siedziała w bujanym fotelu i tuliła dziecko do piersi. Spojrzała na Sama i Cassie.

- Clive, znajdź dla nich jakieś ubranie - poleciła natychmiast.

Sweter i spodnie, które jej przyniósł, były o wiele za duże, ale szybko się w nie przebrała, w nadziei że przestanie dygotać.

Podeszła do małego pacjenta. Oczy dziecka zapadły się, a skóra była wyraźnie odwodniona.

- Nie utrzymuje żadnych płynów - wyjaśniła pani Young.

- To nieżyt żołądka i jelit - stwierdziła Cassie, zbadawszy chłopca. - Musimy podać mu jakieś płyny.

Trzeba go przenieść do samolotu. Mam tam sprzęt do transfuzji. Do tego czasu będziemy mu podawać płyn do ust, po łyżeczce. Jeśli nie zwymiotuje, po dwie łyżeczki. Ale nie obejdzie się bez transfuzji.

Spojrzała na Sama. Spotkali się wzrokiem. Oboje wiedzieli, że oznacza to powtórny przeprawę przez rzekę, tym razem z dzieckiem, i mozolną, dwudziestokilometrową wędrówkę przez zarośla i grzęzawiska.

- Trzeba go przetransportować do szpitala. Youngowie spojrzeli po sobie.

- Jedno z was powinno z nim jechać - poradziła Cassie.

- Spakuję torbę - odparła pani Young i położyła dziecko na kanapie.

- Przeniosę syna przez rzekę - powiedział Clive.

- Przygotuję wam na drogę coś do jedzenia. - Pani Young wychyliła głowę zza drzwi sypialni.

Cassie zastanawiała się, czy zdoła dotrzeć do samolotu bez odpoczynku. Poczła na ramieniu rękę Sama.

- Dasz radę. Jestem pewien - zapewnił ją cicho pilot. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się, odsuwając z czoła

kosmyk mokrych włosów. Flanelowa koszula Clive'a była dla Sama o trzy numery za duża i wisiała na nim jak na kiju. Spod koszuli wystawały nagie, chude nogi.

- To niesprawiedliwe. Ja się z ciebie nie śmiałem.
- Dlatego, że obiecałeś na mnie nie patrzeć.
- Prawdę mówiąc, złamałem obietnicę. Ale nie martw się. Nikomu nie powiem, że jesteś prawdziwą kobietą, choć nie chcesz się do tego przyznać.

Zawstydzona odwróciła wzrok.

Pojawił się Clive w pelerynie przeciwdeszczowej.

- To ci nie pomoże w przejściu przez rzekę - zauważył pilot.
- Sam nie wiem, co się ze mną dzieje - odparł Young i zdjął okrycie.

Po dziesięciu minutach zjawiała się Myrna Young.

- Kanapki gotowe. Przykro mi, że nic innego nie mogę wam zaoferować.
- Ty nie będziesz jadła? - zdziwił się jej mąż.
- Jestem zbyt zdenerwowana, żeby jeść.
- Lepiej ruszajmy - powiedział Sam do Cassie. - Start z tego wzgórza może nam zająć trochę czasu.
- Myślisz, że są łatwiejsze sposoby zarabiania na życie? - zapytała.
- A czy jest coś innego, co wolałabyś teraz robić? - odparł. - Powiedz, czy twoje życie nie jest bardziej interesujące niż życie dziewięćdziesięciu procent innych ludzi? - Kiedy nie odpowiedziała, zapytał: - Czy dziecko będzie żyło?
- Tak, jeśli wystarczająco szybko uzupełnimy mu brak płynów w organizmie.
- Spójrz na to w ten sposób. Jeślibyś teraz tutaj nie stała, półnaga i zmęczona, mając przed sobą dwadzieścia kilometrów drogi w deszczu, przez błoto i zarośla, gdybyś nie... Chodzi mi o to, że dzisiaj ocalisz ludzkie życie. Gdybyś nie robiła tego, co właśnie teraz robisz, dziecko by umarło. Tak powinnaś o tym myśleć.

Dotknęła ręki, którą oparł na jej ramieniu.

- Coś ci powiem, Sam. Z nikim innym nie chciałabym pracować. Jesteś jak opoka.

Milczał przez chwilę.

- No, cóż...

Clive Young przytroczył sobie na plecach owiniętego w chustę syna.

- Jeśli będę musiał płynąć, przynajmniej mały będzie bezpieczny - powiedział.

Wyruszyli, czworo dorosłych ludzi w bieliźnie. Dwoje z nich niosło buty nad głową. Sam wciąż miał ubranie Cassie w tobołku sporządzonym z koszuli. Padał tak ulewny deszcz, że rozróżniali przedmioty zaledwie na odległość metra. W dodatku woda zalewała im oczy, więc wciąż mrugali powiekami.

- Ty pójdziesz pierwsza - Sam polecił Cassie. - Przytrzymasz się ramienia tego aborygena. Za tobą pójdzie Clive, pani Young, a ja na końcu. Będziesz musiała walczyć z prądem, ale już potrafisz to robić.

Cassie prawie nic nie widziała. Clive Young mocno trzymał ją za rękę, a idący przodem tubylec wydawał się mocny i nieugięty jak taran. Wolno, systematycznie szedł pokonując rozszalałą rzekę. Kiedy dotarli do brzegu, zanim jeszcze puściła rękę Clive'a, aborygen wciągnął go razem z dzieckiem na suchą ziemię.

Pani Young straciła grunt pod nogami i Cassie zobaczyła, że Sam szybko pociągnął kobietę za rękę i pomógł jej odzyskać równowagę. Otoczył ją ramieniem, przytrzymał blisko siebie i razem brnęli przez wzburzoną wodę do bezpiecznego brzegu.

Matka dziecka rozplakała się.

- Mój Boże - jęknęła, z wysiłkiem chwytając oddech.
- Przez minutę tak się bałam, że...
- Teraz już wszystko w porządku. Ruszajmy - ponaglił pilot.
- Dziecko jest całe przemoczone. Strasznie się o nie boję
- wyszeptała Cassie do Sama. Kiwnął głową.
- Mamy jeszcze trzy godziny drogi.

Żadne z nich nie wiedziało, jak udało im się dotrzeć do celu. Cassie doszła do wniosku, że chłopiec tylko dlatego nie nabawił się zapalenia płuc, że deszcz był ciepły, a kiedy doszli do kamienistego wzniesienia, zamienił się w mżawkę. Osuszyła dziecko ręcznikiem i natychmiast rozpoczęła transfuzję.

Sam rozwiązał tobolek. Ubrania były mokre, jakby ktoś je wrzucił do rzeki. Znalazł w samolocie dwa koce, którymi okrył Cassie i panią Young, ale sam doleciał do Augusta Springs tylko w bieliźnie. Wszyscy na lotnisku bardzo się zdziwili, kiedy wyszedł z samolotu półnagi, z dwoma kobietami owiniętymi w koce.

W szpitalu też o tym mówiono.

Jednak teraz już mieli pewność, że dziecko przeżyje.

Rozdział dwudziesty drugi

Jennifer Thompson przestała malować - powiadomił Cassie Don McLeod.

- Co to znaczy „przestała”? Przecież nie może malować bez przerwy.

- Nie chodzi mi o to, że skończyła kolejny obraz. Całkiem zarzuciła malowanie. Nie chce nawet wejść do pracowni.

Cassie spojrzała na niego ponad stołem. Siedzieli w jej kuchni i pili kawę. Spośród wszystkich znajomych, Cassie lubiła go najbardziej, może z wyjątkiem Fiony.

- Wiesz dlaczego?

- Nie jestem pewien. Ale mam pewne podejrzenia. Cassie czekała. Don wsypał kolejną łyżeczkę cukru do filiżanki. Uśmiechnął się przepaszajaco.

- Bardzo rzadko miewam cukier, więc jak nadarzy się okazja, słodzę wszystko do przesady.

Nic nie powiedziała.

- Słyszałaś, że odkrył ją pewien handlarz dziełami sztuki, prawda?

Potrząsnęła głową.

- Nie, nic o tym nie wiem. Uśmiechnął się.

- Zawsze mi się wydaje, że wszyscy wszystko wiedzą. Ja przeważnie znam nowiny.
- Ludzie ci tyle mówią.
- Jakiś marszand z Sydney przyjechał aż do Tookaringi, żeby obejrzeć jej obrazy. Przedtem widział kilka z tych, które podarowała przyjaciołom. Znam tę historię z drugiej, może nawet trzeciej ręki, więc niektóre szczegóły mogą się nie zgadzać z rzeczywistością. - Upił łyk kawy.
- Mów dalej.
- zaproponował jej olbrzymią sumę pieniędzy za kilka obrazów. Powiedział, że może zrobić ją sławną.
- To wspaniale! Po tylu latach malowania! Przecież to cudownie!
- Więc dlaczego przestała malować? - McLeod potrząsnął głową. - Ach, to kruche męskie ego... Cassie spojrzała na niego pytająco. Wyciągnął fajkę z kieszeni.
- Nie wiem na pewno, ale z tego co słyszałem, Steven zaczął się z niej naśmiewać. Mówił, że ten handlarz ją wykorzysta. Potem próbował jej narzucać, co ma malować. Chciał ją kontrolować. Przekonywał ją, że zbyt wysoko mierzy i że jeśli chce sprzedawać swoje prace, to on powinien się tym zająć. Dokładnie nie wiem, co jej powiedział. W każdym razie przestała malować.
- Nie wierzę. Był z niej przecież taki dumny.
- Jasne. Dopóki grała drugie skrzypce i przede wszystkim była panią Stevenową Thompson. Dopóki jej talent był tylko czymś, co wypełniało jej czas, kiedy on zajmował się prawdziwą pracą. Cassie przyjrzała się przyjacielowi.
- Don, nie mogę w to uwierzyć. Nigdy by jej czegoś takiego nie zrobił. To przecież wielki, potężny mężczyzna.

Jest najbogatszym posiadaczem ziemskim w tej okolicy. Jennifer nigdy go nie przyćmi.

- To, co ty myślisz, i to, co on czuje, to są dwie różne sprawy.

- Chcesz mi powiedzieć, że on się boi jej sławy?

- Sądzę, że sam sobie tego nie uświadamia. Ale mężczyźni to zabawne stworzenia. Nie są tacy dobrzy jak kobiety. Wiesz, kobiety są o wiele silniejsze. Czy myślisz, że jakikolwiek mężczyzna zniósłby ciężę? - mówił dalej Don. - Ciągłe zdarzają się jakieś nieoczekiwane ciężę. Mówię ci to w zaufaniu, ale sama się natkniesz na takie przypadki, jeśli zostaniesz tu wystarczająco długo. Przytrafiają się nawet pielęgniarcom, pracującym w izbach chorych. Niektóre decydują się na dziecko i nigdy więcej nie mogą już pracować w swoim zawodzie. Są wykluczane ze społeczeństwa. Rodziny się ich wstydzą. Pozostawione same sobie wychowują samotnie nieślubne dziecko, chociaż z trudnością mogą zapewnić mu byt. Kobiety napiętnowane. Mają zrujnowane życie. Inni ludzie nie pozwalają swoim dzieciom bawić się z bękartem! Jednak mimo to postanawiają zatrzymać dziecko i je wychować. Jak myślisz, co zrobiłby mężczyzna, gdyby przez resztę życia był skazany na taką egzystencję tylko za to, że przez pół godziny się zabawił? Bo to pewnie w wielu wypadkach jest właśnie tyle. Pół godziny przyjemności, może nawet mniej. Są też takie, które wybierają nielegalne usunięcie ciąży, żeby nie zmarnować sobie życia, żeby dać coś z siebie światu i żeby ten świat nie traktował ich z pogardą i nie prześladował ich dzieci. Nie chcą być skazane na biedę i życie na marginesie społeczeństwa. Zwracają się do niewykwalifikowanych znachorów. Rzykują nie tylko zdrowie, ale i życie, oddając się w ręce szarlatanów, którzy zarabiają pieniądze na nieszczęściu kobiet. Czasami próbują same przerwać ciężę, posługując się haczykiem od wieszaka. Psychicznie i emocjonalnie muszą się

uporać z sytuacją, w jakiej mężczyzna nigdy się nie znajdzie. Zdaje mi się, że mężczyźni nawet nie potrafią tego zrozumieć. Gdybym nie spotkał tak wielu przypadków tego rodzaju, sam bym niewiele z tego pojmował. Może nadal nie wszystko pojmuję. Te kobiety cierpią. Są o wiele silniejsze od mężczyzn. Może nie fizycznie, ale moralnie i duchowo, a to się bardziej liczy.

- Są silne moralnie? Więc nie uważasz pozamałżeńskiego seksu za grzech?

- Cassie, moja droga, nie można ignorować ludzkiej natury. Gdybyśmy sami nie mieli słabości, to czy potrafilibyśmy zrozumieć innych? Czy umielibyśmy współczuć?

Nie wiedziała, jak to, o czym mówił, ma się do problemu Jennifer, ale teraz zrozumiała, dlaczego ludzie zwierają się Donowi. Jak wielu osobom musiał pomóc. Jakim musi być wspaniałym źródłem pocieszenia, kiedy tak podróżuje przez tysiące kilometrów po tym rozległym terytorium.

Zerknęła na zegarek.

- Don, muszę już iść. Czas na przedpołudniową sesję radiową w bazie.

Oczy Dona zamigotały radośnie.

- Słyszałem, że Blake Thompson został wreszcie poskromiony.

- O, Boże! - zawołała z uśmiechem. - Czy tutaj nie uchowa się żadna tajemnica?

- Chyba nie - odparł wesoło. - Daj mi znać o terminie ceremonii ślubnej.

- Czy to nie trochę przedwczesna prośba?

- Chcę tylko, żebyś wiedziała, że to ja chcę was połączyć węzłem małżeńskim.

- Don, przecież spotkałam go tylko kilka razy.

- Ilość nie ma nic wspólnego z jakością. Ja od razu byłem pewien, kiedy tylko zobaczyłem przed sobą tył głowy Margaret,

te lśniące czarne włosy dwa rzędy ławek przede mną. Zanim się jeszcze odwróciła, wiedziałem, że to będzie moja żona.

- A kiedy to było?

- Pięć lat temu. Pobieramy się jesienią, kiedy Margaret skończy szkołę pielęgniarstwa. Wtedy dołączy do swojego wędrownego kapłana.

- To znaczy, że spędzi resztę życia sypiając w śpiworze i gotując na ognisku?

- Jej się taki plan podoba. Cassie wstała.

- Mam dwanaście minut, żeby dotrzeć do bazy. Idziesz ze mną?

- Oczywiście - odparł. - Chciałbym zobaczyć, jak wygląda wasza praca.

Cassie bez trudu odpowiedziała na wszystkie pytania. Tylko jedno wezwanie było pilne. Nadeszło z owczej farmy, położonej trzysta dwadzieścia kilometrów na południe w tak odosobnionym miejscu, że najbliższe gospodarstwo znajdowało się w odległości stu dziesięciu kilometrów.

- Mówi Gregory Carlton - odezwał się męski głos z suchym, brytyjskim akcentem. - Moja siostra jest bardzo chora. Od dwunastu godzin cierpi ból.

Cassie zastanawiała się, dlaczego nie skontaktował się z nimi o ósmej rano.

- Ma nudności i wysoką gorączkę. Tak cierpi, że nie może się ruszyć. Czuje ból w całym brzuchu, ale najsilniejszy w jego dolnej prawej części. Wygląda mi to na zapalenie wyrostka.

- Chyba tak - odparła Cassie. - Lepiej będzie, jak do was. przylecimy i zabierzemy ją do szpitala tak szybko, jak tylko będzie można. Mój pilot wpyta, jak się do was dostać. - Zwróciła się do Sama: - To bardzo pilne. Ruszamy.

- Choćby zaraz. - Uśmiechnął się. - A od kiedy to jestem twoim pilotem?

Wyszli z pomieszczenia radiostacji i skierowali się do samochodu Sama.

- Chcesz z nami lecieć, Don? - zapytała Cassie, nie zwracając uwagi na docinki pilota.

- Ojej, miałbym tak od razu wystartować? - zdziwił się, podążając za nimi truchtem.

- Właśnie tak - odparł Sam.

- Mój sprzęt medyczny jest stale w samolocie. Uzupełniam braki po każdej wyprawie. Zawsze po powrocie doprowadzamy samolot do takiego stanu, żeby mógł w każdej chwili wystartować, chyba że wrócimy po zmroku. Leć z nami - zachęcała Cassie. - Sam podczas lotu zwykle się do mnie nie odzywa. Drzemię albo czytam. Jak się do nas przyłączysz, będę miała z kim porozmawiać.

- Dobrze - zgodził się McLeod. - Jeszcze nigdy nie byłem u Carltonów, to miejsce leży na zupełnym pustkowiu, z dala od innych farm. Miałbym okazję ich poznać. Słyszałem o nich. To brat i siostra, którzy pięć lat temu przybyli z Anglii. Kupili dobrze prosperującą farmę owczą od kobiety, która właśnie straciła męża. Nikt nie wie o nich zbyt wiele.

- Co może skłonić człowieka do zamieszkania sto dziesięć kilometrów od najbliższej ludzkiej siedziby? - zapytała Cassie, nie pierwszy raz.

- Ta farma, o ile pamiętam, nazywa się Mattaburra-stwierdził Don. - Od lat cieszy się znakomitą opinią. Pewnie musieli zapłacić za nią niezłą sumę, mimo że leży na takim odludziu.

- Dzisiaj jest chyba odpowiedni dzień - powiedział pilot sam do siebie, ale na tyle głośno, że pasażerowie go usłyszeli.

- Jaki dzień? - zapytała Cassie.

- Dzień, w którym można zobaczyć miraż. - Pokazał ręką przed siebie. Cassie rozpięła pasy, wstała i spojrzała przez jego ramię. W oddali połyskiwało olbrzymie jezioro,

na którego środku widać było zielone wyspy, mahometański meczet i palmy.

- Żartujesz - powiedziała. - To nie jest miraż.

- Sama zobaczysz. Będzie cały czas przed nami, nawet jeśli skęcimy. Nigdy do niego nie dolecimy i kiedy dotrzemy do drzew, zniknie. Żeby zobaczyć coś takiego, muszą zaistnieć odpowiednie warunki atmosferyczne. Jednak nikt nie wie dokładnie, jakie one muszą być. Nigdy jeszcze nie widziałem fatamorgany, ale wiele o nich słyszałem, jak każdy pilot w tej części kraju.

McLeod wcisnął się na miejsce obok Cassie i spojrział przed siebie.

- Coś takiego! - wykrzyknął. - Ja też słyszałem o takich zjawiskach. Oczywiście na ziemi nieraz widywałem miraż, ale nigdy takie z wyspami i meczetem.

Ziemia wokół mirażu była pokryta czerwonymi kamieniami i poprzecinana głębokimi pęknięciami. Nigdzie nie było śladu życia. Po godzinie miraż zniknął, kiedy w polu widzenia pojawiły się karłowate drzewka mulga. Ich jasnoniebieskie gałęzie rozciągały się pod samolotem jak morze. Dostrzegli pozostałości po opuszczonych gospodarstwach.

Wielkie stado emu przemknęło po zaroślach krzewiących się na zasolonej ziemi.

- Kiedyś ludzie myśleli, że na zasolonej ziemi nic nie da się hodować - odezwał się Don. - Nie ma tu traw i brakuje wody. Jednak przekonali się, że te zarośla to znakomita pasza. - Kępy drzew stały się gęstsze. Rozdzielały je od siebie połączone czerwonej równiny. Zobaczyli wędrujące stado owiec, które najwyraźniej świetnie się czuło na tej pozornie jałowej ziemi.

- Tam jest droga - powiedział Sam. - I rzeka. - Rzeka przypominała bardziej szereg kałuż; wzdłuż którego rosły olbrzymie eukaliptusy, wznosząc się na dwanaście do pięć-

nastu metrów nad wodą. - O, tam, za tym zagajnikiem, widzę dom.

Za długim, niskim budynkiem i ogrodem otoczonym wysokim ogrodzeniem z falistej blachy znajdował się oczyszczony pas do lądowania.

- Założę się, że nawet nie musieli równać gruntu - stwierdził Sam, kiedy zawrócili i zaczęli podchodzić do lądowania.

Cassie zauważyła, że Don zacisnął dłonie na oparciach fotela.

- Nie denerwuj się - dodała mu otuchy. - Sam tak łagodnie wylądował, że nawet nie poczujesz, kiedy dotkniemy ziemi.

- To dopiero mój drugi lot - wyjaśnił Don.

Z domu wybiegł jeden z najprzystojniejszych mężczyzn, jakich Cassie w życiu widziała, i machał do nich na powitanie. Kiedy Sam otworzył drzwi, Gregory Carlton uścisnął mu rękę i przedstawił się. Miał powyżej metra osiemdziesięciu wzrostu, muskularne, szczupłe ciało, ciemne włosy, czarne jak węgle oczy i cienkie wąsiki.

- Alison czuje się gorzej - zawiadomił ich po wstępnych prezentacjach. - Bardzo się o nią martwię.

Cassie chwyciła torbę i podążyła za nim przez bramę do domu. Ogród cały tonął w różnokolorowych kwiatach, posadzonych w równych rzędach. Był tu też ogródek ziołowy, taki jak Cassie chciała założyć przy domu Fiony.

Chora leżała blada i pokryta potem. Cassie domyśliła się, że jest równie piękna, jak brat przystojny, ale w tej chwili jej czarne włosy leżały w wilgotnych kosmykach na poduszce, a ciemnoniebieskie oczy wypełniał ból. Oboje z bratem byli tak do siebie podobni, że mogliby uchodzić za bliźnięta.

W trakcie badania Cassie stwierdziła, że mięśnie w prawej dolnej części brzucha są napięte i twarde jak drewno. Kiedy je lekko ucisnęła, Alison skrzywiła się z bólu. Lewa część podbrzusza była miękka.

- To rzeczywiście wyrostek. Musimy natychmiast zabrać ją do szpitala.
- Nabiorę paliwa. Don, pomożesz mi? Mam dwustulitrowe beczki. Bez zapasu benzyny nie dolecimy do Augusta Springs.
- Będziesz musiał ją przenieść - powiedziała Cassie do Gregory'ego.
- Lecę z wami.

Siostra wyciągnęła dłoń, którą on natychmiast pochwycił.

- Nic mi nie będzie, Greg - wyszeptała słabym głosem.
- Nie możesz zostawić farmy. Kochany, nawet nie myśl o wyprawie do miasta. Właśnie to chcesz zrobić, prawda? Proszę cię, zostań w domu. Nic złego mi się nie stanie.
- Tego jestem pewna - odezwała się Cassie. - Za dwa tygodnie odwieziemy ją z powrotem. W tym czasie wybieramy się na badania do Burnham Hill i po drodze wstąpimy tutaj. - Równie dobrze można by jechać do Melbourne przez Perth, no, może raczej do Adelajdy.

Przyjęli Alison pasami do noszy.

- Dam ci zastrzyk rozluźniający - powiedziała Cassie.
- Czy leciałaś już kiedyś samolotem? - Alison potrząsnęła głową. - Zapewniam cię, że trudno o lepszego pilota niż Sam. Niczym się nie denerwuj. Zastrzyk pomoże ci zasnąć i złagodzi ból.

Alison zamknęła oczy.

Cassie stwierdziła z zaskoczeniem, że nie oczekuje ich ambulans. Zadzwoiła do szpitala i dowiedziała się, że doktor Edwards wyjechał, a doktor Adams jest w domu. Kazała natychmiast przysłać karetkę i zatelefonowała do Chrisa Adamsa. Dochodziła piąta, więc chyba czuwał przy Izabeli. Pewnie Grace musiała wcześniej wyjść.

- Chris? Tu Cassie - zaczęła zaaferowanym tonem, kiedy

podniósł słuchawkę. - Właśnie wylądowałam. Przywiozłam pacjentkę z zapaleniem wyrostka. Trzeba natychmiast operować. Możesz przyjść do szpitala? Przez chwilę się wahał.

- Próbowałaś ściągnąć Edwardsa?

- Tak, chociaż niechętnie. Na szczęście, nie ma go. Mógłbyś jak najszybciej przyjechać do szpitala? Przygotuję pacjentkę, jeśli sobie życzysz. Wszystko będzie gotowe. - Odłożyła słuchawkę.

Coś było nie tak. Chris zwykle się tak nie zachowywał. Bywał nieuprzejmy, ale... Może powinna go zapytać, czy nie wolałby, żeby operowała samodzielnie. Sam mógłby spełnić obowiązki anestezjologa. Zadzwoiła jeszcze raz.

- Chris, mogę sama operować. Nie musisz przyjeżdżać.

- Już wychodzę z domu, pani doktor.

Czyżby jej nie ufał? A może wciąż jeszcze był tak zazdrosny, że nie chciał, żeby wykonywała operacje w szpitalu? Potrząsnęła głową. Co to za dziwny człowiek.

Horrie i Sam wynieśli nosze z samolotu. Alison odzyskała świadomość, ale wciąż była pod działaniem środka przeciwbólowego. Wysoka gorączka sprawiała, że chora się pociła.

Karetka zjawiała się po dziesięciu minutach.

- Nie musisz jechać - powiedziała Cassie Samowi. - Chris będzie w szpitalu. - Weszła do samochodu i zwróciła się do Dona: - Zapraszam cię na kolację do Addiego. Zamierzałam sama coś ugotować, ale na dzisiaj to byłoby dla mnie trochę za dużo. Może poczekaś na mnie w domu?

- Lepiej będzie, jak zabiorę go do Addiego i razem tam na ciebie zaczekamy - zaproponował Sam.

- Dobrze. - Cassie widziała przez okno, jak Sam zapala papierosa, mówi coś do Horriego i długo patrzy za odjeżdżającym ambulansem.

Rozdział dwudziesty trzeci

Chris, ubrany w zielony fartuch, czekał już na sali operacyjnej. Był jak zwykle małomówny i poważny.

Cassie kazała pielęgniarce przygotować pacjentkę, umyła się przed operacją i włożyła fartuch chirurgiczny.

- W jakim stanie jest pacjentka? - zapytał ją Chris, kiedy weszła na salę.

- Wyrostek może w każdej chwili pęknąć, chociaż wydaje mi się, że mógłby wytrzymać jeszcze jeden dzień.

Wwieziono Alison.

- Gotowa? - Chris zaczął badać chorą, a Cassie podała jej eter. - Miałaś rację - stwierdził. - Ale przecież ty nigdy się nie mylisz.

Wykonał sześciocentymetrowe poziome cięcie po prawej stronie podbrzusza, nad kością łonową.

Cassie patrzyła, jak rozdzielał skalpelem dwie duże wiązki mięśni. Odciągnął je retraktorami, metalowymi narzędziami o długich końcówkach zakrzywionych pod kątem prostym. Pojawiła się następna warstwa. Dotarł do otrzewnej i rozciął ją najpierw skalpelem, potem nożyczkami. Chwycił okrężnicę szczypcami i delikatnie manewrując odsłonił wyrostek, dziesięciocentymetrowy twór odchodzący od jelita ślepego, wypełniony ropą i za-

czerwieniony. Chris lekko przyciągnął jelito do siebie, tak że wyrostek znalazł się bliżej powłok brzucha i można go było dokładniej obejrzeć. Uwolnił wyrostek nacinając tkankę tłuszczową i naczynia, które następnie podwiązał. Zaogniony twór sterczał jak samotny palec. Jego koniec nadal obejmowały szczypce.

Chris umieścił dwa zaciski u nasady wyrostka i przesunął między nimi skalpelem. Wyrostek został wycięty. Nie usuwając zacisku wysterylizował cięcie azotanem srebra. Założył luźny szew, zostawiając pętlę. Zawiązał koniec u podstawy wyrostka, pod zaciskiem, zamknął otwór i wsunął pozostałość do jelita, zacieśniając jednocześnie pętlę szwu i zamykając powłokę jelita. Cassie zauważyła, że przyglądał się uważnie pozostałym częściom okrężnicy i lekko przesuwał je szczypcami upewniał się, czy wszystko jest w porządku. Potem zamknął warstwy otrzewnej i zaszył ranę.

Nie odzywali się do siebie. Kiedy skończył, zdjął rękawiczki i oznajmił:

- Jeszcze kilkanaście godzin, a byłoby za późno. Cassie skinęła głową.
- Dobrze się czujesz? - Wyszła za nim z sali operacyjnej. Chris zaczął myć ręce.
- Izabela dzisiaj umarła, o trzeciej po południu.
- Och, Chris! Tak mi przykro! - Podeszła i dotknęła jego ramienia. - Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? Wiesz, że mogłam operować sama.
- Chciałem zająć czymś myśli.
- Czy mogę ci jakoś pomóc?

Potrząsnęła głową i wyszedł z pokoju, a ona patrzyła za nim w milczeniu. Pomyślała, że Chris doznaje teraz zarówno ulgi jak i rozpacz. Trudno jest stać z boku i patrzeć, jak ktoś ukochany cierpi taki ból, że pragnie śmierci. Cierpienie się skończyło, została tylko rozpacz. Przypomniała sobie, co

czuła, kiedy straciła matkę. Nawet jeśli śmierć jest oczekiwana, z utratą kogoś bliskiego nigdy nie jest łatwo się pogodzić.

U Addiego, razem z Samem i Donem czekała na nią Heather Martin z siostrą Bertie. Bertie szeroko rozwartymi oczyma przyglądała się wszystkiemu i wszystkim. Obie dziewczyny były wysokie, szczupłe i opalone, a lata spędzone pod palącym słońcem sprawiły, że w ich płowych włosach połyskiwały jaśniejsze pasemka. Siostry miały na sobie męskie stroje, ale ich piersi wyraźnie odznaczały się pod flanelowymi koszulami, a obcisłe spodnie podkreślały krągłe pośladki. Nie zdawały sobie sprawy, że wzbudzają u Addiego sensację. Były tak piękne, że i w środku Sydney przyciągałyby spojrzenia przechodniów, a co dopiero w Augusta Springs.

- Ten. - Heather ruchem głowy wskazała na Sama. - On nam się podoba.

Patrząc na rumieniec zalewający policzki Sama, Cassie starała się ukryć uśmiech.

- Przyjechałyśmy tu, żeby sprawdzić, czy są tu inni tacy jak on - wtrąciła Bertie. Zerknęła na Dona, który siedział obok z szerokim uśmiechem na ogorzałej twarzy. - W mieście aż się od nich roi!

- Gdzie się zatrzymałyście? Jeśli chcecie, oddam wam wolny pokój - zaproponowała Cassie.

- Ich bagaże są na ulicy - wyjaśnił Sam. - Przyjechały tu konno.

- To chyba kilkaset kilometrów - powiedział Don, zapalając fajkę. Widać było, że świetnie się bawi.

Uniesiona ręka Bertie z widelcem znieruchomiała w pół gestu.

- To najsmaczniejsza kolacja, jaką kiedykolwiek jadłam.
- Przełknęła ostatni kęs steku i wstała. - Gdzie jest kuchnia? Te dziewczyny wiedzą czego chcą i potrafią to zdobyć, pomyślała Cassie i wskazała na wahadłowe drzwi.
- To miło z twojej strony, że proponujesz nam nocleg
- zwróciła się do niej Heather. - Skorzystamy z zaproszenia i zostaniemy do soboty. Poprzednim razem on nie przyszedł na tańce - wskazała podbródkiem na Sama. - W tym tygodniu się tam wybierasz?
- Jasne. - Pilot otoczył ramieniem Dona. - On też przyjdzie.
- Chciałybyście się przenieść do miasta? - zapytał Don. Jego oczy śmiały się radośnie. Heather uderzyła dłonią w kolano i pochyliła się nad stołem. Wszyscy mężczyźni na sali wpatrywali się w nią z zachwytem.
- Nigdy! Przyjechałyśmy tu tylko po to, żeby obejrzeć sobie mężczyzn.
- Może zatrudnimy kucharza. - Bertie wróciła z Cullym, kucharzem pracującym w kuchni u Addiego. Przerastała go o głowę, ale kiedy przedstawiała go siostrze, uśmiechnęła się triumfująco. - Powiedz mu, jak dobrze gotuje.
- Heather uważnie przyjrzała się kucharzowi, z góry na dół taksując go wzrokiem.
- Bardzo dobrze. To ciasto cytrynowe to była po prostu ambrozja.
- Cully z obojętnym wyrazem twarzy skinął głową i wytarł ręce w biały fartuch.
- Dziękuję pani - wymamrotał, odwrócił się i odszedł. Bertie odprowadziła go wzrokiem.
- Milutki, co?
- Przy tobie wygląda jak krasnal - powiedziała Heather.
- Ale za to jak gotuje!

Jestem zmęczona — oznajmiła Cassie godzinę później. - Mam za sobą długi dzień. Chcę wstąpić na chwilę do szpitala i zobaczyć, czy moja pacjentka odzyskała już przytomność. Pewnie będzie wystraszona, kiedy obudzi się sama, w obcym miejscu.

- Pokażemy paniom, gdzie jest twój dom - zaproponował Sam. Mimo woli uśmiechał się od ucha do ucha.

- Przyprawicie je mniej więcej za godzinę - poprosiła Cassie. - Chcę się wcześniej położyć spać. Ach, coś mi się przypomniało. Izabela Adams nie żyje.

Siostry Martin nie dały Cassie zasnąć. Wypytywały ją, czy Sam mógłby być szczęśliwy nie latając i czy potrafiłby osiąść na farmie.

Cassie obiecała im, że jutro zje z nimi kolację i porozmawia, ale teraz jest na to zbyt zmęczona.

Powiedziała też, że jej zdaniem Sam nie byłby zadowolony prowadząc życie hodowcy, ale przecież nie może się za niego wypowiadać.

Rankiem znów wstąpiła do szpitala i stwierdziła, że Alison Carlton jest równie miła jak piękna. Po południu również odwiedziła pacjentkę. Dowiedziała się, że Alison mieszka sama z bratem i na farmie nie mają żadnej pomocy. Hodowali bez mała dziesięć tysięcy owiec i ludzi widywali tylko w czerwcu, kiedy zjeżdżali się postrzygacze, oraz dwa razy w roku w Augusta Springs, gdzie przyjeżdżali na zakupy.

Kiedy Cassie zapytała, czy Alison nie czuje się samotna, ta odparła:

- Bardziej samotna byłam w Southampton, gdzie dorastałam. Nie nudzi mnie własne towarzystwo ani towarzystwo Grega. Nigdy nigdzie nie pasowałam.

Cassie z niedowierzaniem spojrzała na tę piękną kobietę.

- A twój brat?

Alison uśmiechnęła się.

- Zawsze trzymaliśmy się na uboczu. Tutaj jesteśmy szczęśliwsi niż w mieście, gdzie czuliśmy się obco.

W tej samej chwili drzwi się otworzyły i do sali wpadł brat Alison, z bukietem wędnących kwiatów.

- Dzięki Bogu! Żyjesz!

Alison wyciągnęła ręce po bukiet i spojrzała na Grega spod zmarszczonych brwi.

- Nie powinienesz być tu przyjeżdżać. Zostawiłeś farmę bez opieki.

Mimo tych słów Cassie czuła, że Alison jest zadowolona. W końcu Greg był jedynym bliskim jej człowiekiem na całym kontynencie.

- Ty jesteś ważniejsza niż owce - oznajmił i pocałował siostrę w czoło. Potem przywitał się z Cassie. Miał mocny uścisk dłoni.

Został w Augusta Springs dziesięć dni, aż do czasu, kiedy Alison mogła wrócić do Mattaburry . Cassie co wieczór jadła z nim kolację. Czasami dołączał do nich Sam, ale zwykle jadał z Heather i Bertie, które nieustannie otaczał tłum mężczyzn. Ich śmiech co noc rozbrzmiewał w barze u Ad-diego. Cassie wiedziała, że gdyby w jej życiu nie zjawił się Blake Thompson, Gregory Carlton zrobiłby na niej duże wrażenie.

- Nie lubię takich facetów - stwierdził Sam. - Cały czas cytuję wiersze albo jakieś kawałki z książek.

Ale jego siostra to inna sprawa!

- Ona też cytuję wiersze.

- To co innego. Kobietom wolno.

- Przecież to mężczyźni piszą poezje. Sam podrapał się w głowę.

- O tym nie pomyślałem. Cóż, może on też jest poetą. Cassie uznała, że Sam odczuwa zazdrość, ponieważ Greg

jest taki przystojny, kulturalny i wykształcony, a w dodatku potrafi się uporać z hodowlą dziesięciu tysięcy owiec. No, może nie całkiem sam. Alison wykonuje tę samą pracę.

- Nigdy bym jej o to nie podejrzewał - powiedział z powątpiewaniem pilot. - Z wyglądu jest taka delikatna, jakby zajmowała się wyłącznie smażeniem konfitur i haftowaniem.

- To również robi, kiedy ja wieczorami głośno czytam - wyjaśnił Greg.

Sam uniósł brew.

Widać było, że Cassie jest bardziej zafascynowana Carltonami niż Sam. Bardzo by ich jej brakowało, gdyby nie nagłe wydarzenie, które zmieniło jej najbliższe plany.

Zadzwoił telefon. Cassie modliła się w duchu, żeby to nie było kolejne pilne wezwanie.

- Witaj, księżniczko.

- Blake!

- Właśnie wróciłem do domu. Mam dla ciebie propozycję.

- Ostrzegano mnie przed takimi jak ty.

- Nigdy jeszcze nawet nie widziałaś kogoś takiego jak ja - odparł. - Posłuchaj, mogę zrobić sobie trzy albo cztery tygodnie wakacji, jeśli i ty będziesz wolna. Tylko nie zniósłbym, gdybyś musiała wtedy nagle lecieć do chorego albo wyjeżdżać na badania. Mówiłaś, że po roku pracy należy ci się urlop.

Wiem, że jesteś tu dopiero od jedenastu miesięcy, ale postaraj się chociaż o trzy tygodnie wolnego.

Załatw to jakoś. Chciałbym cię zabrać na północ, do Kakadu.

- Nie wiem, w jaki sposób...

- Po prostu zrób to. Dam ci pięć dni na załatwienie formalności, a potem wyjeżdżamy. Chcę ci pokazać rzeczy, jakich jeszcze nie widziałaś i których nigdy nie zapomnisz.

- Nie jestem pewna...

- Cassandro, żadnych wymówek. W ciągu ostatnich siedmiu miesięcy nigdy nie byliśmy razem dłużej niż jeden dzień, a i to bardzo rzadko. Dwoje ludzi, którzy chcą być razem, musi się lepiej poznać. Sprawdźmy, jak nam ze sobą będzie. Przyjadę w niedzielę. Załatw wszystko tak, żebyśmy mogli wyruszyć we wtorek, słyszysz?

Nawet się nie pożegnał. Cassie siedziała ze słuchawką w ręce i uśmiechała się. Czy uda jej się teraz zwolnić na trzy tygodnie, chociaż urlop należy się jej dopiero za miesiąc?

Poruszyła palcami u stóp. Ach, ten jego głos! Zanim odłożyła słuchawkę na widełki, przytuliła ją do piersi.

Szczęśliwie się złożyło, że następnego dnia miała tylko badania w izbie chorych w Winnamurze. Nie zdarzyło się nic wyjątkowego.

- Co robimy, kiedy chcemy wyjechać na urlop? - zapytała Sama w drodze powrotnej.

Wzruszył ramionami.

- Linie Ouantas przysyłają pilota, żeby mnie zastąpił. Nie wiem, jak to wygląda w twoim przypadku.

- Zwykle, kiedy wzywają nas do chorego, chodzi tylko o przywiezienie go do szpitala. Pomyślałam sobie, że Chris mógłby chwilowo obejść się bez siostry Klary. Latałyby z tobą do pacjentów. Jest niemal tak doświadczona jak lekarz.

- Domyślam się, że chcesz gdzieś wyjechać.

- Jeśli mi się uda.

- Na jak długo?

- Trzy tygodnie.

- Gdzie się wybierasz? Chcesz odwiedzić ojca? Potrząsnęła głową.

- Nie. Jadę na południe, do rezerwatu aborygenów w Kakadu.

Spojrzał na nią dziwnie, ale zaraz odwrócił głowę, tak że widziała tylko jego profil.

- Może siostra Klara zechce latać z tobą do nagłych wypadków. Może nawet zgodzi się na prowadzenie badań wyjazdowych. Rzadko zdarza się nam jakiś trudny przypadek.
- A pamiętasz, jak wyjmowałaś włócznie z pleców tego tubylca?
- To był wyjątek. Ciekawe, czy Chris się na to zgodzi.
- Wybierasz się na pogrzeb Izabeli?
- Oczywiście - odparła. - A może Chris ucieszyłby się z dodatkowego zajęcia. Pozwoliłoby mu to zająć czymś myśli. Może on latałby do poważniejszych wypadków. Zdaje się, że nigdy jeszcze nie leciał samolotem.
- I miałyby zostawić tego pijaka Edwardsa samego w szpitalu? Nie sądzę.
- Zapytam go - powiedziała Cassie, w zasadzie do siebie samej. - Miałyby możliwość zobaczenia z bliska, na czym polega praca latających doktorów. Lepiej by nas rozumiał. Poprosiłabym go, żeby zajmował się tylko najtrudniejszymi przypadkami, z którymi siostra Klara nie dałaby sobie rady.
- Jesteś optymistką. Doktor Adams miałby nas zrozumieć?
- On tylko tak groźnie wygląda. Spotkało go nieszczęście.
- Z tego co słyszałem, zawsze taki był. Zimny jak ryba.
- Mimo to jutro go zapytam. - Od telefonu Blake'a o niczym innym nie myślała. Spać z Blake'em pod gwiazdami. Oglądać krainy, które widziało tak niewielu ludzi. Przygoda. Co noc pocałunki Blake'a. Jego opowieści o tej ziemi. Słuchać jego głosu. Patrzeć, jak się budzi. Widzieć blask ogniska, tańczący na jego twarzy. Nigdy jeszcze nie mieszkała w obozie pod gołym niebem, ale potrafiła sobie wyobrazić, jak to będzie.
- Wiesz, siostra Grace jest dużo ładniejsza niż siostra Klara. Dlaczego o nią nie poprosisz? Słyszałem, że to dobra pielęgniarka.
- Ale siostra Klara jest bardziej zdolna do podejmowania samodzielnych decyzji i doskonale przeprowadza mniej

skomplikowane operacje. Potrafiłaby usunąć wyrostek, nie mówiąc już o odbieraniu porodu... - Z ulgą przypomniała sobie, że żadna z jej ciężarnych pacjentek nie ma terminu porodu w przyszłym miesiącu. - Ale siostra Grace jest ładniejsza.

Chyba wszyscy mieszkańcy miasteczka przyszli na pogrzeb Izabeli Adams. Chris stał jak posąg i co chwila wyciągał rękę, żeby ucisnąć dłoń któregoś z żałobników.

Cassie usiadła w tylnym rzędzie. Wszyscy ci ludzie byli jego pacjentami. Ona знаła ich tylko jako przyjaciół lub znajomych. Przyjaciele? W miasteczku nie miała chyba żadnego. To nie tutaj zawierała nowe znajomości.

Kto jest jej przyjacielem?

Horrie? Chyba tak, chociaż zawsze rozmawiali wyłącznie o sprawach zawodowych. Kilka razy wraz z Samem jedli kolację u Horriego i Betty, w budynku radiostacji. Radiotelegrafista i jego żona byli przyjaźni i pełni werwy, ale chyba raczej należałoby nazwać ich znajomymi, a nie przyjaciółmi.

Czuła, że wiele ją z Horriem łączy, jakaś nieokreślona bliskość - zapewne dlatego, że jej życie było ściśle z nim związane.

Don z pewnością był jej przyjacielem.

Sam. Czy Sam to przyjaciel? Czy utrzymywaliby przyjacielskie kontakty, gdyby razem nie pracowali? Z całą pewnością jako współpracownik był najbardziej godną zaufania osobą na świecie - przeważnie. Nigdy nie odmawiał jej prośbom, nawet kiedy musiał odgrywać rolę anestezjologa albo wyciągać włócznię z pleców aborygena. Kilka razy się spierali, ale wyłącznie o to, czy w danych warunkach pogodowych lot rzeczywiście jest konieczny. Sam raz wcielał się w jej obrońcę i opiekuna, raz w zbuntowanego podwładnego, któremu się nie podoba, że szefem jest kobieta. Chyba nie

potrafiła określić swojego stosunku do Sama, ponieważ nie wiedziała, co on do niej czuje. Może i on sam tego nie wiedział.

Bez wątpienia nie mogła uważać za przyjaciela Chrisa Adamsa. Chyba go nawet nie lubiła, chociaż doceniała jego umiejętności medyczne. Już nie traktował jej z wyższością, chociaż nadal wolałby, żeby lekarzem był mężczyzna. Albo żeby to nie ona była latającą lekarką. Nie, jego z pewnością nie mogła nazwać przyjacielem. Zawarli niepisany pokój, a poza tym Chris był jej wdzięczny za dobre uczynki względem Izabeli.

Rozejrzała się po zatłoczonym prezbiteriańskim kościele. Znała prawie wszystkich. Kiwali jej na powitanie głowami, podchodzili uścisnąć dłoń, niektórzy całowali w policzek. Przynajmniej miała tu wielu znajomych.

Kiedy ceremonia dobiegła końca, a wszyscy zgromadzeni przedefilowali przed trumną i uścisnęli rękę Chrisowi, Cassie szepnęła Samowi do ucha:

- Jeśli będziesz w pobliżu, kiedy umrę, nie pozwól, żeby mnie wystawiono w otwartej trumnie, dobrze?

Podeszła do Chrisa. Chwycił jej rękę i mocno uścisnął.

- Nigdy ci właściwie nie podziękowałem...

- To była dla mnie przyjemność.

- Zaprosiłem kilka osób do domu na kawę. Proszę, przyjdź i ty. Chciałbym przedstawić ci swoją siostrę, Romlę.

Cassie z trudem ukryła zaskoczenie.

- Oczywiście, przyjdę.

Nie idź jeszcze - poprosił Chris, kiedy o jedenastej wyszedł ostatni gość. - Nie chcę zostawać sam.

Romla, którą Cassie polubiła od pierwszego wejrzenia, poszła już do łóżka.

Cassie zdała sobie sprawę, że Chris jest trochę wstawiony. Pił chyba przez całe popołudnie. Mówił niewyraźnie. Poszedł do kuchni, usiadł za stołem, gwałtownie szarpnął kołnierzyk koszuli i rozwiązał krawat.

- Wiesz, że... — zaczął patrząc na Cassie. - No, siadaj tu, proszę. Wiesz, że całe życie byłem samotny?

- Nie jesteś sam - odparła i nalała sobie filiżankę kawy.

- Dużo znaczysz dla tego miasta. Byłeś też wspaniałym mężem. Sam o tym dobrze wiesz.

Zaśmiał się chrapliwie. Nie był to radosny śmiech.

- Dobry mąż? Niezły dowcip. Od tak dawna nie jestem niczym mężem, że zapomniałem, na czym to polega. Wiedziałaś o tym, Cassie? Nie, bo i skąd. Nigdy nie czułem się bardziej samotny, niż...

Nieważne. Co to ma teraz za znaczenie? To już skończone.

Cassie nachyliła się i położyła mu rękę na ramieniu.

- Lepiej będzie, jak sobie pójdę. Potem będziesz żałował, że mi to powiedziałeś. Teraz czujesz się zagubiony i samotny. Spotkało cię nieszczęście. Pewnie nie wiesz, co dalej robić. To nie ja powinnam być teraz przy tobie.

- A czy w ogóle jest ktoś taki? Mieszkam w tym mieście od osiemnastu lat i nie mam żadnego bliskiego przyjaciela.

- Oparł łokcie na stole i ukrył twarz w dłoniach.

- Użalasz się nad sobą, ale w takiej sytuacji to naturalne. Właśnie utraciłeś najważniejszą osobę w życiu.

Chris nalał sobie resztkę whisky do szklanki, a butelką cisnął w ścianę. Odłamki rozprysły się po całej kuchni. Cassie wstała, znalazła szczotkę i szufelkę i zmiotła rozbite szkło.

- Dobranoc, Chris. Jeśli będę mogła coś dla ciebie zrobić... Chciałbyś, żebym jutro zajęła się twoimi pacjentami?

Patrzył na nią. Wpatrywał się tak długo, że w końcu

wyszła. Przez całą drogę do domu prześladowało ją dzikie spojrzenie jego nabiegłych krwią oczu. Obudziła się i natychmiast powrócił do niej wyraz jego oczu, zanim jeszcze przypomniała sobie, że postanowiła poprosić go o zastępstwo na czas wspaniałych wakacji w tropikach u boku Blake'a Thompsona. Na samą myśl o nich czuła miły dreszczyk podniecenia, chociaż nie mogła wyrzucić z pamięci spojrzenia Chrisa Adamsa.

Rozdział dwudziesty czwarty

Od dwóch dni, czyli od czasu wyjazdu z Darwin, gdzie zatrzymali się tylko po to, żeby kupić żywność, nie widzieli żadnego białego człowieka. Dzisiaj obozowali nad rzeką Mary, nazajutrz mieli dotrzeć nad ocean, który w tym miejscu nosił nazwę morze Timor.

Tropiki rozbudziły emocje Cassie. Łagodne powietrze odprężyło.

- Nie możemy się kąpać w tej rzece. Jest pełna krokodyli - powiedział Blake.

Ale wypłynęli na rzekę łodzią. Pływali aż do zmroku. Obserwowali najcudowniejszy na świecie zachód słońca. Czerwone, ogniste płomienie rozświetlały niebo przez pół godziny, po czym zmieniły się w złotawą poświatę.

- Teraz poszukamy krokodyli - oznajmił Blake.

- Czy one potrafią zabijać? Roześmiał się.

- Tak, to mordercy. W okolicznych rzekach aż się od nich roi, ale ty mówiłaś, że jeszcze żadnego nie widziałas.

- I nie muszę.

- Ależ powinnaś.

Cicho wiosłowali po leniwej rzece, kierując się w głąb

lądu, na południe, w stronę obozu. Blake prowadził łódź blisko brzegu wąskiej rzeki, z pomocą latarki szukając prehistorycznych wodnych stworów.

- Przestań wiosłować - wyszeptał. - Będziemy dryfować z prądem.

Cassie zastanawiała się, jak on cokolwiek widzi w tych ciemnościach. Księżyc jeszcze nie wzeszedł, a miliony gwiazd dawały mało światła.

Nigdy jeszcze nie doświadczyła takiego zadowolenia i podekscytowania. Nawet nie wiedziała, jak nazwać te uczucia. Doszła do wniosku, że to więcej niż miłość. To, co czuła do Raya Grahama nie umywało się do głębi emocji, jakie budził w niej Blake. Jego dotyk wywoływał w niej elektryzujący dreszcz. Pocałunki sprawiały, że cała płonęła. Kiedy patrzyła w jego oczy, wiedziała, że jej miejsce jest przy jego boku.

Mówiła mu rzeczy, o których dotychczas rozmawiała tylko z Fioną. Zadawał pytania, słuchał odpowiedzi. Nieoczekiwanie nachylał się, żeby ją pocałować.

To było coś więcej niż zakochanie - chyba jednocześnie odkrywała inny rodzaj miłości. Miłość do kraju, do tej pięknej ziemi, która zawsze była jej ojczyzną, chociaż ona jej wcale nie знаła. Każdy kilometr podróży wypełniały nowe odkrycia. Zwykle przelatywała nad tym lądem, więc teraz jazda samochodem wywoływała w niej zupełnie nowe reakcje.

W Alice Springs zatrzymali się na noc u przyjaciela Blake'a, duchownego kościoła kongregacjonalistów, którego poznał na studiach. Dalej, w Katherine, mieszkali inni jego znajomi, u których również przenocowali. Ludzie tacy jak oni stanowili sól tej ziemi. Cassie natychmiast poczuła się przy nich swobodnie. Nie spotkała nikogo, kto by ją onieśmielał. Przyjaciele Blake'a witali ją jak starą znajomą.

Ale właśnie tutaj, na dalekiej tropikalnej północy, w końcu zostali sami. Blake pokazywał jej ciekawe miejsca, mówił o historii i geografii tego regionu. Jego opowieści ją fascynowały. Miał wspaniałe poczucie humoru. Ze śmiechem opowiadał jej zabawne historyjki. Kiedy mknęli szosą, trzymał ją za rękę i cofał dłoń, tylko kiedy musiał zmienić biegi lub chciał pokazać jej coś godnego zainteresowania. Ze splecionymi rękami przemierzali kilometr za kilometrem.

Zadawał jej tyle osobistych pytań, że pod koniec trzeciego dnia, kiedy wyjechali z Darwin i skierowali się na wschód, nad rzekę Mary, wydawało jej się, że nie ma mu już nic nowego do powiedzenia. Nigdy jeszcze żaden mężczyzna nie koncentrował się tak na jej osobie, nie zmuszał do dzielenia się wszystkimi myślami. Nie spotkała nikogo tak otwartego. Wydawało się, że nic nie jest w stanie go zakłopotać. Przytulał ją w obecności swoich przyjaciół, nic sobie nie robiąc z ich spojrzeń.

Pewnego razu tak ostro zahamował, że niemal uderzyła nosem o przednią szybę. Przed nimi nie było innego samochodu ani żadnej przeszkody, jedynie nie kończąca się prosta droga. Nie wyłączył silnika, tylko przyciągnął ją do siebie.

- Muszę cię pocałować — oznajmił i natychmiast spełnił co zamierzał. Kiedy skończył, ostro ruszyli przed siebie.

Przypominała sobie to zdarzenie siedząc na dziobie łodzi. Westchnęła z zadowoleniem, myśląc o tym, jakie cudowne cztery dni już razem spędzili.

- Cii! - syknął nagle Blake i zsunął się do wody.

- O mój Boże! - jęknęła.

- Cii! - powtórzył i skierował promień światła na trzciny przy brzegu rzeki. Oddał jej latarkę. - Świeć dokładnie w to miejsce. Nie przesuwaj światła. - Sunął przez wodę niemal bezszelestnie. Cassie nagle dostrzegła dwoje czerwonych

oczu, lśniących w promieniu latarki. Patrzyły nieruchomo, bez zmrużenia powiek. Blake wyciągnął rękę i chwycił małego krokodyla. Trzymając go za szyję, podniósł zwierzę do góry. - Świeć prosto w jego oczy. Światło je hipnotyzuje. Waży ze dwadzieścia osiem kilo - dodał.

- Mógłby cię ugryźć? Skinął głową.

- I to jeszcze jak. Ciebie też. - Wyciągnął gada w jej stronę. Chciała odskoczyć, ale opanowała się. - Teraz już nie możesz powiedzieć, że nigdy nie widziałaś krokodyla.

- Ze zwierzęciem w ręku ruszył do łódki. Potem uśmiechnął się, wrzucił je do rzeki i wskoczył do łodzi. Cassie zdziwiła się, że oboje nie wpadli przy tym do wody.

Zastanawiała się, skąd Blake wie, w jakim kierunku płyną. Ona nie widziała nawet brzegu, jednak on bez wahania prowadził łódź przez wąskie, wijące się zakola, aż wreszcie dotarli do obozu.

Blake rozbił namiot, chociaż poprzedniej nocy spali pod gołym niebem.

- W namiocie będziemy trzymać jedzenie - wyjaśnił.

- Nie ma tu niebezpiecznych zwierząt, które mogłyby nas zaatakować podczas snu. Australia to chyba jedyny kontynent, na którym można bezpiecznie spać na łonie przyrody.

- Wczoraj ułożył ich śpiwory obok siebie w odległości pół metra. Zasnęli trzymając się za ręce.

- Jutro zobaczymy uroczystość plemienną aborygenów

- zapowiedział. - Przeniesiemy obóz nad morze. Spodoba ci się to tak jak mnie.

Księżyc świecił mętłym światłem.

- Nie możemy siedzieć obok siebie - powiedział Blake.

- Ty dołączysz do kobiet, ja zostanę z mężczyznami.

Cassie skinęła głową i podeszła do grupy czarnych kobiet, siedzących wokół własnego małego ogniska, które nie umywało się do ogniska mężczyzn. Przybyli tu z Blake'em po zmroku, kiedy plemię wyśpiewywało już modlitwy do ducha deszczu i Wielkiej Matki, bogini płodności. Głosy rozbrzmiewały zgodnym chórem, opadając i unosząc się aż do falsetu, wypełniając nocne powietrze. W ciemnościach rozległ się głęboki, żalony jęk did-geridoo, instrumentu podobnego do oboju. Włączyło się postukiwanie pałeczek gil-gil, przypominające odgłos tysięcy świerszczy. Potem łagodnie dołączyły ludzkie głosy, tworząc niezwykle crescendo. Nagie torsy falowały rytmicznie w takt muzyki. Wyśpiewywano wciąż te same słowa, nieprzerwanie i miarowo. Złożone dłonie klaskały o lśniące uda. W oddali rozległy się głosy bębnów i rytmiczne uderzenia kijami o ziemię. Bumerangi, czerwone od krwi, biły o siebie wydając grzechoczący odgłos. Jakiś starzec na skraju kręgu postukiwał dwoma metalowymi puszkami, aż nagle zaniósł się dzikim, nieopanowanym szlochem, przywodzącym na myśl psa dingo wyjącego do księżyca. Pulsujący rytm nabrał szaleńczego tempa. Nagle, nieoczekiwanie, zapadła cisza. Wszystko umilkło. W uszach Cassie wibrowało echo śpiewu i muzyki. Słyszała własny oddech. Zaczął śpiewać jakiś pojedynczy głos. Wysoki tenor przeszył noc. Znow zadudniła coraz szybsza muzyka. Natarczywie zawodziło didgeridoo. Oczy Cassie przywykły już do ciemności. Zobaczyła wyłaniających się spośród drzew tancerzy. Weszli do kręgu utworzonego przez grupę mężczyzn. Od Blake'a wiedziała, że rozpoczynają taniec wraz z wejściem pewnej gwiazdy. Oblicza tancerzy połyskiwały w blasku ognia. Dziwacznie wymalowane, przerażające twarze wieńczyły srebrnobiałe

papuzie pióra, mieniające się w świetle płomieni. Wielkie pióropusze dodatkowo przyozdobiono brunamóżłtymi witkami. Białe pasy wymalowane na ciałach tancerzy sprawiały, że wyglądali jak szkielety płynące przez ciemność. Zgodnym rytmem uderzali stopami o ziemię i wydawali dźwięki, które Cassie przypominały zgrzyt kredy o tablicę.

Uformowali szereg, który jak wąż wił się między ogniskami palącymi się na obrzeżach kręgu. Stopy dudniły o ziemię, a liście, przyczepione wokół kolan i łokci, szeptały szeleszcząco.

Cassie przebiegł dreszcz, kiedy wniknęły w nią te gardłowe, szorstkie dźwięki prymitywnej muzyki. Tancerze jednocześnie unosili stopy i uderzali nimi o ziemię z taką siłą i rozmachem, że zdawała się pod nimi drzeć. Czarne kobiety siedzące wokół Cassie klaskały dłońmi o uda, a mężczyźni przyłączyli się do śpiewów. Tancerze obeszli wielki krąg zgromadzonych i wrócili do środka. Ich ruchy naśladowały codzienne czynności. Iguana uciekała przed psami, które za wszelką cenę chciały ją dopaść. Rozradowany człowiek znajdował wodę na pustyni. Wąż wił się baletowym ruchem wśród kamieni.

Potem nastąpił szalony taniec, dzika ucieczka ofiary, pogoń, schwytywanie i ostatecznie śmierć. Obce dźwięki przeszywały mrok.

Taniec trwał nadal, w nawracających sekwencjach. Urywane dźwięki, nie kończące się powtórzenia ruchu i muzyki atakowały Cassie, aż poczuła się schwytana w pułapkę, spętana, duchowo niezdolna do ucieczki. Chciała krzyknąć, zerwać się na równe nogi i biec przed siebie. Wydawało się jej, że nie zniesie tego ani chwili dłużej, kiedy tłum zaniósł się wysokim zawodzeniem, a tancerze, których potupywanie zdawało się wprawiać w drżenie cały świat, po raz ostatni uderzyli stopami o ziemię.

Cisza. Tancerze w zwartym szeregu wyśliznęli się z kręgu i pomknęli do lasu, gdzie zniknęli w ciemnościach.

Cassie nie zdawała sobie sprawy, że wstrzymuje oddech, dopóki nie usłyszała głosu Blake'a.

- Chodźmy. - Pomógł jej wstać. Mocno chwycił ją za rękę i poprowadził w mrok. - Uważaj, żeby się nie potknąć o korzenie drzew.

Ciało Cassie nabrało nowego życia, zelektryzowane muzyką, tańcem, widokiem czarnych kobiet uderzających rękami o uda i ich piersi lśniących w blasku. Taneczne ruchy mężczyzn, ubranych tylko w pióropusze zawładnęły jej duszą.

Dźwięki za nimi stawały się coraz cichsze. Między palmami zwolnili kroku i Blake nie szedł już przed nią, tylko obok.

- Dochodzimy do plaży - powiedział. Otoczył ręką jej ramiona i przyciągnął do siebie.

Gaj palmowy się skończył. Przed nimi w nieskończoność ciągnęła się piaszczysta plaża. Nie było słychać rozbijających się o brzeg fal, tylko cichy plusk spokojnej wody.

Blake zatrzymał się i zdjął buty. Cassie poszła w jego ślady. Ciepły piasek piszczał pod stopami.

Przeszli niemal kilometr, zanim dotarli do namiotu rozbitego pod palmami, tuż przy plaży.

- Popływajmy - zaproponował Blake. Zdjął koszulę

i wziął Cassie w objęcia. Pocałowała go w pierś. Jego palce niezdarnie rozpięły guziki i zdjęły jej bluzkę. Otoczyła go ramionami. Kiedy zdjął jej stanik, dotknęła go nagimi piersiami. Ich skóra po raz pierwszy się zetknęła. O, Boże, pomyślała, zamykając oczy. Jak dobrze.

Puścił ją, rozpiął spodnie, poczekał, aż opadną na piasek, i odrzucił je nogą.

- Chcę cię zobaczyć - powiedział. - Pierwszy raz chcę cię zobaczyć właśnie tak, w świetle księżyca.

Zobaczyć cię... - Głos mu się załamał.

Zsunęła majteczki z podziwem patrząc na jego piękne ciało. Cały Blake był piękny. Podeszedł do niej, ale jej nie objął, tylko ucałował jej piersi.

- Jesteś taka piękna, jak sobie wyobrażałem.

Stał patrząc na nią, a po chwili odwrócił się, wbiegł do wody i zanurkował, więc już go nie widziała.

Podeszła do brzegu. Była tak podekscytowana, że miała ochotę krzyczeć.

Zanurzyła się wolno w oceanie. Woda była ciepła niczym w wannie. Głowa Blake'a podskakiwała w oddali na falach. Płynął do niej, długimi, wolnymi ruchami. Jego nogi gładko cięły wodę. Chmura zasłoniła księżyc i Blake zniknął jej z oczu.

- Nie boisz się, prawda? - Jego głos rozległ się tuż obok niej .

Nie. Potrząsnęła głową. Nie.

Pociągnął ją na dół, do wody. Całował ją mokrymi ustami, wsuwając język między jej wargi, jakby tam szukał odpowiedzi. Poczula, że jego ręka znalazła się między jej udami, dotykała jej, otwierała. Rozrzuciła nogi i położyła się w ciepłej wilgoci. Czula na sobie jego pocałunki i dotyk dłoni. Usta Blake'a lekko jak piórko przesunęły się po jej brzuchu. Oplótł nogi Cassie wokół siebie, pochłaniał ją, całował szyję, odnalazł językiem ucho. Oddychał coraz szybciej.

Wziął ją w ramiona i zaniósł na plażę; ukląkł na piasku. Pocałował ją, a ona otoczyła jego szyję ramionami. Woda omywała ich stopy.

- Pragnę cię - powiedziała.

- Wiem. Ja cię pragnąłem już pierwszej nocy, na przyjęciu.

Opierając się na łokciach przykrył swoim ciałem jej ciało. Pochylił się, znowu ją pocałował i stopili się w jedno. Przetoczył się na plecy, wciągnął ją na siebie i odnalazł

wargami jej piersi. Całował je, a ona przytulała się do niego. Ich ciała falowały w rytmie, który przypominał szaleńczy aborygeński taniec. Blake objął dłońmi jej pośladki i kołysali się w tył i w przód naprzeciw siebie.

- Ja zaraz... - wyszeptała.

Znów przykrył ją ciałem. Wszedł w nią, a ona wygięła się w łuk, przytulając się do niego tak mocno, aż wydawało się jej, że stanowią jedność.

- Nie opuszczaj mnie - krzyknęła.

Gwiazdy nad ich głowami lśniły jak sztuczne ognie. Poczuli, że zalewają ją fale oceanu, jakby chciały wtargnąć do jej wnętrza.

- Nie przestawaj - szeptała. - O, dobry Boże! Chyba się w tobie zakochuję.

Pochylił się nad nią.

- Chyba? Chyba? - zapytał łamiącym się głosem. - Powiedz to głośno! Powiedz, że mnie kochasz.

- Kocham cię.

Napał na nią po raz ostatni, a woda opłynęła ich łagodnie. Cassie otworzyła oczy i zobaczyła spadającą gwiazdę.

Rozdział dwudziesty piąty

Z wielkiej skały spoglądała na nich wymalowana czerwienią i ochrą kolczatka. Obok niej widniała żółtobrunatna i biała ryba, przypominająca Cassie jej własne rysunki sprzed wielu lat, z pierwszej klasy. Zobaczyła nakreślone prymitywną kreską wizerunki krokodyli i ciemne odciski dłoni na białym tle.

- Te tereny są stale zamieszkałe od dwudziestu trzech tysięcy lat - mówił Blake. - Te rysunki - wskazał na postacie zwierząt - to najstarsza forma sztuki znaleziona na ziemi. Przedstawiają Czas Snów.

- Czas Snów? - zapytała Cassie. Rozkoszowała się ciepłym dotykiem ramienia Blake'a.

Podprowadził ją bliżej do skał, na których widniały prehistoryczne rysunki.

- W opowieściach aborygenów Czas Snów to początek wszystkiego. Wtedy dano im ziemię. To początek czasu i wszelkiego życia.

- Tak jak Genesis?

Blake uśmiechnął się i ścisnął jej rękę.

- Coś w tym rodzaju. Tylko niewiele się tam mówi o stworzeniu świata. Aborygeni wierzą, że ich przodkowie

powstali z ziemi w ludzkich i zwierzęcych postaciach, i urządzili wszystko tak, jak to dzisiaj widzimy. Nazwa Czas Snów nie ma nic wspólnego z naszym rozumieniem snów. Te rysunki opowiadają całą tę historię. Chcesz jej wysłuchać?

- Oczywiście. - Cassie nie mogła uwierzyć, że patrzy na rysunki, które liczyły sobie niemal dwadzieścia pięć tysięcy lat. Przesunęła lekko ręką po olbrzymiej skale.

- Dawno, dawno temu - zaczął Blake z uśmiechem

- zanim jeszcze zaczęto liczyć czas, świat nie był ukształtowany i mógł przybrać każdą formę. Wtedy z morza wyłoniła się Warramurrungundji. Była to kobieta z ludzkim ciałem. Stworzyła ziemię i zrodziła ludzi. Spójrz. - Wskazał palcem. - Tutaj jest przedstawiona jako biała skała. Wraz z nią pojawiły się inne stworzenia. Ten tutaj, to orzeł morski, który chwyta ludzką duszę, kiedy człowiek umiera. To on przyniósł z morza lilie wodne. Wypuścił je ze szponów i dlatego do dzisiaj rosną na mokradłach. Ten krokodyl to uosobienie Gingi. Poparzył się w ogniu, dlatego jest taki zniekształcony. Ginga stworzył tę skalistą okolicę. Ten rajski ptak to Djuway. Jest patronem świętych obrzędów inicjacji. Wszystkie stworzenia są Jednością - ciągnął Blake, a Cassie wydało się, że jego głos przybrał ton pełen szacunku.

- Drzewo, orzeł, trawa, ziemia, woda, ludzie. Wszyscy jesteśmy Jednością. Kiedy akt tworzenia dobiegł końca, przodkowie powiedzieli ludziom, że stworzyli wszystko co konieczne i teraz ludzie powinni przez całą wieczność opiekować się światem. Zakazali im cokolwiek zmieniać i polecili szanować i czcić ziemię oraz siebie nawzajem.

- A więc ludzie zostali mianowani strażnikami ziemi

- stwierdziła Cassie, zafascynowana tym, co słyszała i widziała.

Blake pocałował ją w policzek.

- Właśnie tak. I nie tylko ziemi. Mają strzec siebie nawzajem i dbać również o zwierzęta. Czas Snów jest jak spoiwo, które łączy przyrodę i człowieka w harmonijną całość. Ten porządek działał tutaj doskonale przez dwa tysiące pokoleń. Aborygeni są częścią tej ziemi, częścią natury, więc nie potrafią nas zrozumieć. Nie wiedzą, dlaczego chcemy wszystko zmieniać, niszczyć.

Cassie spojrzała na niego.

- Wiesz, że masz duszę poety? Blake uśmiechnął się.

- Przeceniasz mnie, ale nie mam nic przeciw temu. To nieprawda. Pomyśl, czym ja się zajmuję.

Wypasam dziesiątki tysięcy sztuk bydła. Codziennie przyczyniam się do nieodwracalnych zmian na tej ziemi.

- Nie można uniknąć postępu, bez względu na to, jak wspaniałe są opowieści z Czasu Snów - usprawiedliwiła go Cassie.

- Postęp? Nie wiem, czy postęp to taka dobra rzecz. Przypomnij sobie, co Hitler wyprawia w Europie. Czy prześladowanie ludzi to postęp? Czy ludobójstwo to postęp? Czy więzienie i zabijanie tych, którzy się z nami nie zgadzają, to też postęp? Moim zdaniem, im bardziej rozwinięta cywilizacja, tym bardziej skażona. Przez całe wieki prowadziliśmy wojny, żeby zmusić innych do wiary w naszego Boga. Wiem, wiem... Nie mogę cofnąć kalendarza o tysiąc lat, ale postęp to chyba niedobre słowo, cokolwiek oznacza. Ja, jak wszyscy inni, nie jestem bez winy. Wyjaławiam i niszczę glebę. Bardziej zależy mi na zdobywaniu ziemi i pieniędzy niż na rozwoju duchowym... - Cassie patrzyła na niego bez słowa. Nigdy jeszcze nie słyszała, żeby ktoś tak mówił. - Chodź. - Pociągnął ją za rękę i poprowadził wyżej na skały. - Musisz uważać, bo tu jest stromo, ale chciałbym, żebyś zobaczyła widok z góry. -

Wskazał na szczyt wzniesienia. - Chcę się z tobą kochać tam, gdzie wzrok biegnie w nieskończoność. Do końca życia nie zapomnisz takiego widoku i tego, cośmy tu robili.

Był czuły i delikatny, ale stanowczy i namiętny. Dotykał każdego zakamarka jej ciała, którego tylko można było dotknąć.

- Będę pił twoje wino - mówił ze śmiechem i obsypywał ją całą pocałunkami. - Zjem cię - mruzczał, lekko ją gryząc. - Chcę wdychać twój zapach - szeptał dotykając jej językiem.

Kochali się przez całe popołudnie na płaskim skalistym cyplu wrzynającym się w zieloną równinę, która ciągnęła się aż po horyzont. Słońce prażyło ich nagie, połączone ciała.

- Jesteśmy jednością - powiedział. Potem, po długich godzinach kochania, dodał: - Jesteśmy połączeni z kosmosem.

Cassie wiedziała, że taka miłość jeszcze nigdy nikomu się nie przydarzyła. Kochała słowa Blake'a i jego pomysły tak samo jak jego dotyk. Podobał się jej cały, a szczególnie jego ręce, nawet ta lewa, poparzona wiele lat temu. Uwielbiała go za znajomość historii tego kraju i jego mieszkańców.

Podobało się jej, że gdziekolwiek pojechali, Blake miał jakichś przyjaciół. Kochała go za to, że tak ją otworzył na świat, przełamał jej rezerwę. Była szczęśliwa, że znów komuś ufa, i kochała jego ramię, którym ją obejmował, kiedy jechali samochodem tysiące kilometrów, przemierzając czerwony kontynent. Kochała jego smak i to, co z jej ciałem robiły jego ręce. Uwielbiała czuć, jak w jej wnętrzu dochodzi do szczytu rozkoszy, i widzieć, jak wstaje i się przeciąga. Kochała jego wesołość i śmiech, który tak łatwo mu przychodził. Kochała go za kocia grację, z którą się poruszał i za promieniującą z niego siłę.

- Kiedyś, kiedy uda mi się przekonać ojca, będziemy wypasać bydło z pomocą helikopterów - mówił jej. - Będziemy przewozić je ciężarówkami, zamiast przepędzać je na odległość dwudziestu tysięcy kilometrów przez sześć miesięcy. Wprowadzimy hodowlę w dwudziesty wiek.

- Twój ojciec nie pochwała tych pomysłów?

- Ojciec sądzi, że wtedy farmerskie życie zamieniłoby się w prowadzenie interesu. Pragnie, żeby wszystko wyglądało tak samo, jak przez ostatnie sto lat. Mawia, że jeśli chcę zająć się interesami, to powinienem przenieść się do Sydney.

- Ale ty uwielbiasz wypasanie bydła i wielotygodniowe spędy. Podoba ci się takie życie.

Skinął głową.

- Nie zamierzam jednak wiecznie robić tego samego. - Uśmiechnął się do niej. - Musisz się czegoś o mnie dowiedzieć. Jestem niespokojnym duchem. Chcę spróbować czegoś nowego i stale wyprzedzać innych. Któregoś dnia będę miał więcej ziemi i bydła niż ktokolwiek inny w Australii.

Naga Cassie usiadła na rozpalonej skale.

- Przed chwilą opowiadałeś mi, że ludzie i przyroda stanowią jedną całość.

- Wiem. I wierzę w to. Ale nie żyjemy w pierwotnej społeczności. W naszych czasach musimy albo iść naprzód, albo zginąć. Przez moje parcie do przodu być może świat stanie się gorszy, ale muszę to robić, bo inaczej przepadnę. I będę szedł do przodu jak burza. Prześcignę innych.

Cassie sięgnęła po stanik i zaczęła się ubierać. Blake pomógł jej wstać, nachylił się i pocałował ją w prawą pierś.

- Dlaczego to dla ciebie takie ważne? - zapytała.

- Tylko wtedy będę miał pewność, że osiągnąłem sukces. Rozejrzyj się. - Zatoczył krąg ramieniem. - Nie chcę kupić tej ziemi, ale wiele podobnych terenów będzie kiedyś do

mnie należało. Kupię tyle ziemi, na tak wielkim obszarze kraju, że kiedy nastanie susza, nie stracę ani jednej sztuki bydła. Będę mógł je przemieszczać przez cały kontynent nie opuszczając własnych posiadłości. Być może będzie to wąski pas, ale chcę, żeby się ciągnął stąd aż do Brisbane albo do Adelajdy. Już przy pierwszych oznakach nadchodzącej suszy będę w stanie przetransportować bydło na inny teren. Nie zostanie uwięzione na małym kawałku wyjąłowanej ziemi. Od Tookaringi do wielkich miast będzie prowadził pas nie wykorzystywanej ziemi, czekającej na moje bydło.

- Mój Boże, Blake! Chcesz powiedzieć, że będziesz miał ziemię ciągnącą się na długości ponad tysiąca pięciuset kilometrów? - Cassie ubrała się i zapięła bluzkę.

- Tak. Właśnie tak. Sama zobaczysz.

To był oszałamiający zamysł, ale Cassie wierzyła, że Blake osiągnie wszystko, jeśli tylko będzie chciał. Objęła go w pasie i przytuliła się do jego piersi.

- Ani trochę w to nie wątpię.

Otoczył ją ramieniem. Stali na szczycie wzniesienia i spoglądali na ciągnące się kilometrami pustkowie.

- To, moja droga, jest ostateczna granica świata. Tutaj marzenia wciąż jeszcze się spełniają. W ciągu nadchodzącej dekady przyjdzie kolejna długotrwała susza. Uśmierci tysiące zwierząt, rozbije rodziny i złamie ludzkiego ducha. Podskoczą ceny mięsa. Ziemia wyschnie, a bydło i owce znajdą się zbyt daleko od studni głębinowych, w których i tak zabraknie wody. Padlina zaściele cały kontynent.

Marzenia, nadzieje, nawet życie tysięcy ludzi zostaną unicestwione. Ale to nie dotknie nas, w Tookarindze. Do tego czasu zdołam wywiercić studnie na całym swoim terenie, aż do wybrzeża. Moje bydło będzie wędrowało nawet nie tracąc na wadze. To, co zniszczy innych, nam przyniesie dochód. Wcale tego nie

pragnę, ale to jest nieuniknione. Historia i pogoda się powtarzają według określonych schematów. A ja będę przygotowany. Jeszcze nie teraz, ale już wkrótce przekonam ojca. Albo przeprowadzę wszystko samodzielnie.

Cassie podniosła na niego oczy. Patrzył w dal i wiedziała, że widzi przyszłość, która już należy do niego.

W obozie nad Alligator River czekał na nich siedząc po turecku przed namiotem jakiś mężczyzna średniego wzrostu o jasnych włosach i wyblakłych niebieskich oczach. Jego twarz pokrywał trzy- lub czterodniowy zarost. Nieznajomy miał na sobie szorty koloru khaki i koszulę z krótkimi rękawami. Traperskie buty nosił na gołych stopach.

Kiedy dojechali do obozu, wstał i zdjął kapelusz.

- Mam nadzieję, że dobrze trafiłem. Słyszałem, że pani jest doktorem. - Wyciągnął rękę. - George Bill. Nazywają mnie Buffalo. - Uśmiechnął się, pokazując szczerbę w górnych zębach.

Cassie uścisnęła mu dłoń.

- Tak, jestem lekarką. Buffalo skinął głową.

- Mamy tu niedaleko problem. Tubylec został zraniony bumerangiem. Nie jest z nim dobrze.

- Nigdzie nie dadzą ci odpocząć, co? - zapytał Blake. Wyjął z rzeki dwie butelki piwa i colę. Podał piwo przybyszowi, a colę wręczył Cassie.

- Ma ogromne sińce na piersi - powiedział Buffalo i zębami otworzył butelkę. - Kiedy go tam dotknąłem, wydało mi się, że kości uginają się pod palcami. Stary bardzo cierpi, nie może oddychać. To znaczy, bardzo go boli, kiedy wciąga powietrze. Tylko że nie chce pozwolić, żeby zbadała go kobieta.

- W takim razie na co miałabym się przydać?

- Pomyślałem sobie, że mogłaby mi pani powiedzieć, co robić. - Pociągnął łyk z butelki i przełknął z głośnym bulgotem.

Cassie usiadła ze skrzyżowanymi nogami, a Buffalo przysiadł obok niej na piętach i zsunął kapelusz na tył głowy.

- Pewnie nie macie tam bandaża - odezwała się. Buffalo nawet nie odpowiedział. Przez chwilę się zastanawiała. - Może mam jakiś bandaż w torbie. - Blake śmiał się, kiedy się upierała, że powinna zabrać ze sobą torbę lekarską. Tłumaczyła mu, że bez niej czułaby się jak naga. - Obwiąże mu pan całą klatkę piersiową pod ramionami. To go unieruchomi niczym gips i ruchy nie będą takie bolesne.

Powinien przez parę dni spokojnie leżeć.

- Co pan tutaj robi? - zapytał Blake. - Mieszka pan gdzieś w tej okolicy?

- Poluję na bawoły - wyjaśnił Buffalo. - Ale tego już się pewnie domyśliliście. Przez ostatnie sto lat cholerni Azjaci sprowadzali tu bawoły wodne. Zwierzęta uciekały i mnożyły się. Teraz wędrują zdziczałe, niszczą uprawy i doprowadzają ludzi do szału. Za każdą upolowaną sztukę wypłacają nagrodę. W dodatku bawole mięso jest bardzo smaczne. Rozbiłem obóz kilka kilometrów stąd w dół rzeki. Niedaleko od obozowiska czarnych. Oddaję im upolowane zwierzęta. Przecież sam nie zjadłbym tyle mięsa. Przyjdźcie wieczorem na kolację, bo pewnie nigdy nie próbowaliście mięsa z bawołu. Przynieście piwo, ja przygotuję resztę.

Cassie popatrzyła na Blake'a. Ich spojrzenia się skrzyżowały.

- Jasne. - Blake skinął głową. - Bardzo nam miło.

Kolacja składała się ze steków z bawołu, smażonych ziemniaków, sadzonych jajek, placków i piwa.

- Tak naprawdę jestem poszukiwaczem wody - powie-

dział Buffalo, wyraźnie zadowolony z towarzystwa gości. - Przez ostatnie sześć lat rząd wysyłał mnie w najróżniejsze miejsca na Ziemi Arnhema, żebym szukał wody. Zauważyliście, że dużo gadam, co? Zawsze tak jest, kiedy spotykam jakichś ludzi. Tylko raz w roku, na miesiąc, gdzieś się stąd ruszam.

- Pierwszy raz jem stek z bawołu - oznajmił Blake. -Całkiem niezły. >

- Co pan tu robi, bez żadnego towarzystwa? - zapytała Cassie. Jej zdaniem steki pozostawiały wiele do życzenia.

- Nie można powiedzieć, żebym był zupełnie pozbawiony towarzystwa. Mam przyjaciół wśród okolicznych plemion. A kiedy wyjeżdżam do Darwin, kupuję tyle książek, żeby co tydzień móc przeczytać nową. - Przypomniał Cassie o Heather Martin i jej siostrach.

- Czyta pan pięćdziesiąt dwie książki w roku? - zdziwiła się. Buffalo wyglądał na takiego, który nigdy nie przeczytał żadnej.

- No! - roześmiał się. - Jestem jednym z najlepiej wykształconych ludzi na tym terytorium. Czytam nie tylko powieści, ale również książki filozoficzne, historyczne i podróżnicze. Założę się, że zwiedziłem więcej miejsc niż większość ludzi, chociaż nigdy nie wyjeżdżałem z kraju. Wiele czasu spędzam na rozmyślaniach. - Podrapał się w nogę, pokrytą bąblami od ukąszeń komarów. - Aborygeni pozwalają mi oglądać swoje obrzędy, inicjacje i różne inne uroczystości. Pewnie jestem pierwszym białym, którego to spotkało. Oczywiście, żadna kobieta nie może tego zobaczyć, a ja przysięgałem dochować tajemnicy. - W jego głosie brzmiała duma. Zwrócił się do Cassie. - Ten tubylec nie pozwoliłby ci się zbadać, bo czarni uważają, że kobiety nie są istotami ludzkimi. Według nich nie mają duszy.

Cassie wyprostowała się mimo woli.

- Nie mamy duszy? Czym, w takim razie, jesteśmy?

- Aborygeni myślą, że kobiety to naczynia.

- Naczynia?

Blake nakrył dłonią rękę Cassie.

- On nie mówi o tobie. Opowiada ci tylko o plemiennych tradycjach i wierzeniach. Nie musisz się z nim spierać.

Buffalo skinął głową.

- Tak. Oni nawet nie wiedzą, że dzieci to rezultat, za przeproszeniem, stosunku płciowego. Myślą, że ciąża to zjawisko nadprzyrodzone. Kobieta to naczynie, które nosi w sobie nasienie Wielkiego Ducha, dzięki któremu powstają inne męskie duchy i żyją w ich plemienu w cielesnej postaci. To, że rodzą się z kobiety, oznacza profanację Czasu Snów. Kobieta jest nieczysta i grzechem jest zrodzić się z nieczystej kobiety. Dlatego mężczyźni muszą zostać oczyszczeni przez rytuał inicjacji. Mężczyźni żyją z dala od kobiet. Mogą się do nich zbliżyć tylko w ściśle określonym czasie. Teraz to się zmieniło, ale kiedyś mężczyzna, a nawet chłopiec, który nie przestrzegał płciowego tabu, był karany śmiercią. Wciąż jeszcze śmierć grozi temu, kto zdradzi kobiecie sekrety plemiennej magii albo obrzędów inicjacji.

- Mój Boże - westchnęła Cassie.

Buffalo wstał, podszedł do ognia i zdjął z niego żelazny dzbanek z kawą. Nalał do trzech metalowych kubków.

- Jednak kobiety są szczęśliwe. O, niewątpliwie.

- Nie muszą wykonywać najtrudniejszych prac, takich jak polowanie. Mężczyźni dostarczają żywności dla całego plemienia, walczą ze złymi duchami, starają się przechytrzyć kangury i krokodyle. Czasami polowanie trwa kilka dni. A złe duchy wiecznie na nich czyhają. Kobiety nie biorą udziału w tym ciężkim życiu.

- A co robią? - zapytała Cassie. Pomyślała, że w cywili-

zacji białych kobiety również nie są żywicielkami. Siedzą w domu i dzień w dzień zmywają, piorą pieluchy, wycierają zasmarkane nosy, gotują i sprzątaj. Może to wcale nie jest takie odmienne. Buffalo, z kubkiem w ręku, usiadł na swoim miejscu.

- Kobiety szukają żywności - larw, małych gadów, robaków. Zbierają opał. Widzi się je zgięte do ziemi jak woły robocze. Wszyscy biali Australijczycy, których spotkałem, litują się nad nimi, bo widzą w nich tylko brudne, ciężko pracujące i prymitywnie rozumujące istoty. Wiecie, czego nie dostrzegają?

- Tak - odparł Blake. Buffalo spojrział na niego.

- Nie dostrzegają magii, religii, harmonii z naturą, nie rozerwanego łańcucha pokoleń, który łączy je z początkiem dziejów.

Blake, kocham cię, pomyślała CaSsie. Blake i Buffalo spoglądali na siebie. Buffalo skinął głową.

- Ma pan rację. Nie dostrzegają też, że te kobiety są wolne. Nie doceniają poczucia bezpieczeństwa, jakie wynika ze znajomości własnej roli w życiu i uświadomienia sobie, jakie trzeba spełnić oczekiwania.

- Sama nie wiem - wtrąciła Cassie. - W cywilizowanym społeczeństwie też znamy przypisane nam role.

Blake roześmiał się.

- Być może tak jest w przypadku większości ludzi, ale ty złamałaś tę zasadę. Nie zgodziłaś się na tradycyjną rolę kobiety.

- Cóż, i tutaj nie wszystkie plemiona mają takie same zwyczaje. W niektórych mężczyźni i kobiety żyją wspólnie, tworzą grupy rodzinne.

- A co się dzieje, jeśli zapragniesz czarnej kobiety? -zapytał Blake.

Buffalo skrzywił się.

- O, nie, nie ja.

- W takim razie co się dzieje, jeśli jakikolwiek biały zapragnie czarnej kobiety?

- Bierze ją. One są do tego przyzwyczajone. Kiedy mężczyzna pragnie kobiety, po prostu ją bierze.

Ona nie ma nic do powiedzenia, czy to czarny, czy to biały. Uważa, że właśnie po to została stworzona. Żeby dać się wykorzystywać. Ja się nie brzydzę tubylkami. Boję się tylko syfilisu. Nie znam plemienia, które by nie było nękane przez tę weneryczną chorobę. Ja co roku spędzam miesiąc w jakimś mieście, gdzie mogę znaleźć białe kobiety. Mam nadzieję, że pani nie uraziłem? - zapytał Cassie.

Chciała powiedzieć, że nie, ale nie potrafiła.

Rozdział dwudziesty szósty

To były cudowne wakacje - powiedziała Cassie. Nie otworzyła jeszcze drzwi samochodu. - Cieszyłam się każdą chwilą.

- Mówisz tak, jakby chodziło tylko o kilka wspólnych tygodni i udany seks - odparł Blake, chwytając ją za przegub ręki. - To przecież bzdura. Dobrze wiesz, że to nie były tylko wakacje. Wielu ludzi przez dwa lata nie przeżyje tyle, co my w te trzy tygodnie. Czy znasz kogoś, kto przeżyłby razem takie chwile, jak my? Nikogo, prawda? A jeśli uważasz, że posuwam się zbyt szybko, to trudno. Taki już jestem. Jeżeli ci się to nie podoba, lepiej ukryj się gdzieś przede mną, bo kiedy czegoś chcę, to sobie to po prostu biorę. Staram się wykazać wrażliwość, ale nie mam zwyczaju owijać niczego w bawełnę. Tak, pragnę cię. Teraz nie masz chyba co do tego żadnych wątpliwości. - Pocałował ją, chociaż ulicą przed domem Cassie szli jacyś ludzie.

- Jak uda mi się wrócić do zwyczajnego, przyziemnego życia?

Uśmiechnął się.

- Przecież twoje życie wcale nie jest przyziemne. Ciągle musisz wzbijać się w przestworza. Ja też nie wiem, jak

wrócić do normalnych zajęć. Ten wyjazd oderwał nas oboje od rzeczywistości, i to bardzo dobrze. Teraz skupmy się na możliwościach. Jeśli nam się to uda, reszta problemów rozwiąże się sama. Cassie nigdy nie czuła tak dojmującej radości. Dał jasno do zrozumienia, a przynajmniej jej się tak wydawało, że nie chce, aby dalej pracowała zawodowo. Pragnął żony, która zadowoliliby się pozycją pani Thompsonowej.

Od lat najważniejszą w jej życiu sprawą była praca lekarza, ale teraz z radością zrezygnowałaby z zawodu, żeby osiąść w Tookarindze jako żona Blake'a i matka jego dzieci. Nic nie miało znaczenia, oprócz tego mężczyzny obok niej.

Jeszcze przez rok musi pracować dla latających doktorów. Zareczyny mogą tyle trwać.

- Słuchaj - powiedział, wodząc palcem po jej szyi. - Mamy wiele czasu. Nie śpieszmy się. Będziemy rozdzieleni, ty w chmurach, ja na ziemi, ale wciąż będziemy myśleć o tym, jak się kochamy.

Będziemy pamiętać swój dotyk rak i tęsknić za sobą. Razem odkryjemy nowe krainy, realne i duchowe.

- Potrafisz uwodzić nawet słowami - odparła z uśmiechem.

Roześmiał się.

- I kto to mówi o uwodzeniu. Pewnie przez dwanaście godzin jazdy do Tookaringi nie będę w stanie myśleć o niczym innym, tylko o twoim ciele. Dzięki Bogu, że na drodze nie będzie dużego ruchu.

Żałuję, że nie mam helikoptera. Co noc przylatywałbym do ciebie.

- Nie wiem, czy dam radę dziś zasnąć.

- Zanim się znowu zobaczymy, wymyślę jakiś sposób, żeby dostać się do twojego domu i łóżka tak, żeby nie gadało o tym całe to cholerne miasteczko.

- Kocham cię. Kocham cię do szaleństwa.

Znów ją pocałował.

- Wiedziałem o tym, kiedy ty jeszcze niczego się nie domyślałaś. - Otworzył drzwi i wysunął długie nogi z ciężarówki. Okrążył samochód, otworzył drzwi przed Cassie i zdjął jej walizki z platformy.

Poszła za nim na werandę.

- Przyjadę, kiedy tylko będę mógł, ale do naszego następnego spotkania może upłynąć kilka tygodni - powiedział zsuwając kapelusz na tył głowy.

Rozłąka miała potrwać o wiele dłużej.

Zadzwoił Horrie.

- Dzięki Bogu, że wróciłaś.

- Jakież kłopoty?

- A kiedy ich nie ma? Twój przyjaciel, Chris Adams, dwa razy latał do nagłych wypadków. Nie jest taki zły, jak myślałem. A siostra Klara to prawdziwy skarb. Mimo to dziękuję Bogu, że wróciłaś. W Yancannie wykryto przypadki choroby Heinego-Medina i siostra Brygida chce, żebyś tam natychmiast przyleciała.

Siostra Marianna podała Cassie więcej szczegółów.

- Mamy tu jedenastoletniego chłopca, u którego choroba wywołała paraliż. W wiosce na wzgórzu choruje sześciu tubylców, ale nie chcą zejść do miasta. - Mimo zdenerwowania Cassie uśmiechnęła się, słysząc, że ktoś może uważać Yancannę za miasto. - Ostatniej nocy przywieziono dwudziestoparoletniego zarządcę farmy. To silny, wysoki mężczyzna, ale ma poważne trudności z oddychaniem.

Trudności z oddychaniem i niemożność przełykania to dwa z głównych problemów w chorobie Heinego-Medina. Cassie zastanawiała się, gdzie znajduje się najbliższe żelazne płuco. Z pewnością nie mogliby przetransportować go do

Yancanny, ale być może udałoby się przywieźć pacjentów do Augusta Springs.

- Czy chory może spać?

- Nie. W dodatku właśnie otrzymaliśmy wiadomość przez radio, że przywiozą nam kolejnego pacjenta, poganiacza, który zachorował na spędzie bydła. Nawet nie mamy dla niego miejsca. Co robić?

- Dzisiaj nie zdążę do was przylecieć, ale wyruszymy z samego rana. Właśnie wróciłam z wakacji i nie widziałam się jeszcze z Samem. Róbcie mokre gorące okłady. Niech chory leży w łóżku. Pewnie same o tym wiecie. - Niemal widziała, jak siostra Marianna skinęła głową. - Zobaczę, czy uda mi się dowiedzieć, gdzie mogłabym zdobyć żelazne płuco i w razie potrzeby sprowadzić je do szpitala.

- Jasne. - Marianna się rozłączyła.

- Gdzie jest Sam? - zapytała Cassie Horriego.

- Wyleciał razem z siostrą Klarą na badania. Powinni wrócić przed zmrokiem.

- Pójdę do doktora Adamsa i zapytam, czy nie wie, skąd moglibyśmy sprowadzić sztuczne płuco.

Cassie zadzwoniła do szpitala i dowiedziała się, że doktor Adams jeszcze tam jest. Całą drogę pokonała biegiem.

Kiedy przybyła na miejsce, brakowało jej tchu, a pot spływał po twarzy. Siostra przełożona uśmiechnęła się.

- Doktor jest w swoim gabinecie - powiedziała, nie czekając na pytanie Cassie. - Miała pani udane wakacje?

- Cudowne. - Cassie przemknęła korytarzem i bez pukania wpadła do gabinetu. Adams siedział za biurkiem i coś pisał. Podniósł wzrok znad papierów.

- Chris, nie wiesz czasem, skąd możemy sprowadzić żelazne płuco?

- Już zamówiłem jedno w Adelajdzie - odparł. - Tam je produkują.

Stała w miejscu i uniosła brew.

- Już to zrobiłeś?

- Wiem, co się dzieje w Yancannie. Nie mogłem stąd wyjechać. Jeśli to epidemia, ktokolwiek tam pojedzie, będzie musiał zostać przez kilka dni. Nie mogę opuścić szpitala.

- Wcale tego nie oczekiwałam. Przecież właśnie po to powołano do życia latających doktorów.

- Horrie prosił, żebym tam leciał, ale nie mogłem. Dowiedziałem się, że zanotowali tam co najmniej trzy przypadki, więc wykonałem kilka telefonów i wczoraj wysłano płuco z Adelajdy. Powinno do nas dotrzeć drogą powietrzną jutro albo jeszcze dzisiaj wieczorem.

Cassie usiadła.

- Dziękuję.

- Na pewno będziesz miała pacjentów z porażeniem mięśni oddechowych. Będę się jeszcze dowiadywał, czy w razie potrzeby moglibyśmy sprowadzić jeszcze jedno płuco. Możemy potrzebować kilku. Czeka nas oboje wiele pracy, ciebie tam w terenie, a mnie tutaj. Będę przygotowany na przyjęcie twoich pacjentów. Już wydzieliłem trzy sale na izolatki. Skontaktowałem się z dwoma pielęgniarkami, które wyszły za mąż i wyprowadziły się do buszu. Jeśli okaże się, że to epidemia, wrócą do pracy.

Cassie ze zdumienia otworzyła usta. Nagle Chris się uśmiechnął. Zdała sobie sprawę, że pierwszy raz widzi na jego twarzy prawdziwy uśmiech.

- Wiesz, te dwie wyprawy samolotem bardzo mi się podobały. Nigdy przedtem nie latałem. To było niezwykle doświadczenie. Chociaż praktykuję od wielu lat, nigdy nie przeprowadzałem operacji usunięcia wyrostka na stole kuchennym.

Czy to ten sam człowiek, którego poznała przed rokiem?

- Nie wiem, jak mam ci dziękować.

- Cóż, cieszę się, że twoje wakacje dobiegły końca. Trudno byłoby jednocześnie zajmować się szpitalem i epidemią polio.

- Czy miałeś kiedyś do czynienia z tą chorobą? - zapytała. Ona miała się z nią spotkać pierwszy raz.

- Od czasu do czasu zdarzały się pojedyncze przypadki. Kilkoro młodych ludzi zostało sparaliżowanych, dwoje dzieci zmarło, jeszcze inni wyszli z choroby bez żadnego uszczerbku. Jednak jeszcze nigdy nie zdarzyło się tyle zachorowań naraz, jak w Yancannie.

- Lecę tam jutro rano. Chris skinął głową.

- Tak się spodziewałem.

- Z tego, co słyszałam, domyślałam się, że jednego z pacjentów trzeba będzie jutro przywieźć do szpitala.

- Tak sobie jutro ułożyłem pracę, że mogę z tobą lecieć i wrócić do Augusta Springs z pacjentem albo pacjentami, ale nie mogę poświęcić na to więcej niż jeden dzień.

Cassie kiwnęła głową. Każde jego słowo wprawiało ją w zdumienie. Nigdy jeszcze nie był tak wylewny i chętny do pomocy. Sam podjął odpowiednie decyzje, przewidział jej potrzeby i wyszedł im naprzeciw. Od tej strony jeszcze go nie znała.

- Chris, jak mam ci dziękować? Podczas mojej nieobecności byłeś do dyspozycji w nagłych wypadkach, a teraz...

- A jak ja mam ci podziękować za to, co zrobiłaś dla Izabeli?

- To nie było wiele.

- Ja też nie zrobiłem wiele. W końcu są to również i moi

pacjenci. Kiedy przybywają do szpitala, przechodzą pod moją opiekę. No, powiedzmy, że naszą wspólną opiekę. - Cassie przysięgłaby, że jego twarz przybrała łagodniejszy wyraz.

Zerwała się na równe nogi, przeszła za biurko i uściskała doktora.

- Chris, takim cię jeszcze nie widziałam. Muszę przyznać, że nawet nie marzyłam, żebyśmy mogli tak dobrze współpracować.

Odwrócił głowę, żeby coś powiedzieć i usta Cassie otarły się o jego policzek. Miała nadzieję, że nie posunęła się zbyt daleko i Chris nie zamknie się znowu w swojej skorupie. Cudownie byłoby współpracować z kolegą lekarzem, a nie walczyć o swoje na każdym kroku.

Adams wycierał krawatem okulary.

- Nigdy nie byłem w Yancannie - powiedział. - Mieszkam tu prawie osiemnaście lat i jeszcze nie widziałem prawdziwego australijskiego interioru. Myślałem, że Augusta Springs to właśnie to. - Mówił coraz ciszej, jakby do siebie. - Z powietrza wszystko wydaje się inne, prawda? A ten Sam, mój Boże! Zastępował pielęgniarkę. Nie musiałem mu nawet wyjaśniać, jak uśpić pacjenta. Nawet nie podejrzewałem, że tak to wszystko wygląda. Cieszę się, że miałem okazję zobaczyć, jak pracujecie. Siostra Klara również była zadowolona. Zdaje mi się, że ona i twój pilot przypadli sobie do gustu. Nie zdziwiłbym się...

To znaczy, że Sam w końcu przekonał się do siostry Klary. Cassie uśmiechnęła się do siebie. To mu udowodni, że wygląd to nie wszystko. Nie można powiedzieć, żeby Klara była brzydka. Po prostu nie taka śliczna jak pozostałe pielęgniarki, za to o wiele bardziej kompetentna. Może Sam wreszcie zaczął dorastać.

Pilot przyjechał do niej po zmierzchu.

- Dobrze się bawiłaś? - zapytał, wchodząc po schodach na werandę. W ustach trzymał źdźbło trawy.

Cassie potaknęła.

- Słyszałam, że ty też.

- W tym mieście nie uchowa się żaden sekret - odparł pogodnie.

- Jutro musimy lecieć do Yancanny. Po ósmej, dobrze?

- Dobra. - Usiadł przy okrągłym stole. - Masz może trochę kawy?

- Jasne. - Cassie poszła do kuchni, postawiła na ogniu pozostałą w dzbanku kawę i wróciła do saloniku. - Możliwe, że będę musiała tam zostać na kilka dni. Doktor Adams na ochotnika zaproponował, że poleci z nami. Wygląda na to, że jednego z pacjentów trzeba będzie przewieźć do szpitala. A tak na marginesie, zrobiłeś na nim wielkie wrażenie.

- Będziemy musieli odwołać kilka stałych wyjazdów na badania.

- Na to się zanosi. Może siostra Klara zgodzi się polecieć, jeśli zajdzie jakaś nagła potrzeba. -

Spojrzała na niego filuternie. - Jeśli Chris, doktor Adams, nie będzie miał jakichś pilnych przypadków, może zgodzi się zająć nagłymi wezwaniami. Ja będę potrzebna w Yancannie. To może być początek epidemii.

- Niewiele wiem o heinemedinie.

Cassie wróciła do kuchni, zakręciła gaz pod dzbankiem, nalała kawy do kubka i przyniosła Samowi.

- Czy zawsze kończy się śmiercią albo paraliżem? Uniosła brwi i wyduła usta.

- Nie zawsze, ale zdarza się to dość często, więc ludzie boją się tej choroby jak dżumy. Największy kłopot polega na tym, że na tym etapie nie ma żadnej metody leczenia.

Zdarzają się przypadki, które nie pozostawiają po sobie paraliżu. Wiele z nich jest tak lekkich, że przechodzą nie zauważone. Jednak podczas epidemii u każdego pacjenta, a szczególnie dziecka, który skarży się na ból gardła, sztywność w karku i bóle mięśni, możemy podejrzewać tę chorobę. O ile sobie dobrze przypominam, istnieją trzy odmiany: łagodna, nie powodująca paraliżu, cięższa, która zwykle kończy się porażeniem mięśni i wreszcie ta najgorsza, zagrażająca życiu. W pierwszych dniach nie sposób stwierdzić, z którą z odmian mamy do czynienia. Zakładamy, że wszyscy pacjenci mogą zarażać innych, więc poddajemy ich kwarantannie. Chris już wydzielił trzy sale i znalazł dwie pielęgniarki, które w razie potrzeby będą w nich dyżurowały. Wykazuje wspaniałą gotowość do współpracy.

- Zupełnie nieźle mi się z nim pracowało. Nie spodziewałem się tego - wyznał Sam. - Nie jest może zbyt wylewny wobec pacjentów, ale też nie okazał się takim zimnym draniem, za jakiego go uważałem.

- Pamiętam, jak Fiona mi mówiła, że dużo szczeka, ale mało gryzie. Może po prostu trzeba go lepiej poznać. Podejrzewam też, że chciał się oderwać od wspomnień o śmierci Izabeli. Spotka się z nami na lotnisku około ósmej czterdzieści pięć.

- Jeśli chcesz, przyjadę po ciebie o siódmej i zjemy śniadanie u Addiego. Opowiem ci, co się tu działo, kiedy ty sobie romansowałaś.

Cassie uśmiechnęła się.

- Kusząca propozycja. A wakacje miałam cudowne. Zwiedziłam część Australii, o której istnieniu nawet nie miałam pojęcia.

- Północny kraniec? Tak, zawsze chciałem tam pojechać. Może któregoś dnia... - Wstał, włożył czapkę baseballową

i otworzył siatkowe drzwi. - Do zobaczenia rano.

W Yancannie wrzało jak w ulu.

- Dzięki Bogu! - zawołała Brygida, która na odgłos silników samolotu wybiegła ze szpitala. - Nie mamy wystarczającej liczby łóżek dla wszystkich chorych. Dwa dni temu przywieziono nam mężczyznę. Chyba nie ma żadnej szansy. Porażenie mięśni jest tak rozległe, że oddychanie przychodzi mu z najwyższym trudem. Mimo to jest pogodny i na nic nie narzeka.

Cassie skinieniem głowy wskazała na Chrisa.

- To jest doktor Adams, ordynator szpitala w Augusta Springs. Przyjechał, żeby pomóc i zabrać pacjentów, którym potrzebne jest sztuczne płuco albo bardziej wszechstronna opieka.

Siostra Brygida wyciągnęła rękę na powitanie.

- To bardzo miło z pana strony. Jesteśmy wdzięczni.

- Ilu macie pacjentów? - zapytał Adams, kiedy szli do szpitala.

- Jest ten, o którym wspominałam. Mamy też młodego chłopaka. Obawiam się, że będzie sparaliżowany, ale niczego nie potrafię stwierdzić na pewno. Jeszcze nigdy nie spotkałam się z polio. Wczoraj wieczorem przywieziono nam jeszcze jednego pacjenta. Jego stan jest beznadziejny. Dziś rano przybyło dwoje dzieci. Widzi pan te niskie wzgórza?... -Chris spojrział w dal, ale nie dostrzegł żadnego wzniesienia. - Znajdują się mniej więcej dwadzieścia trzy kilometry stąd i są nie wyższe niż kopce termitów. Wśród mieszkających tam tubylców wykryto sześć czy siedem zachorowań. Wiadomość przyniósł posłaniec, ale nie miałyśmy czasu, żeby tam pojechać. Musimy zajmować się pacjentami w szpitalu. Marianna wyjechała przed świtem, kiedy wezwano ją do porodu na farmie Cottersów. To około jedenastu kilometrów na południe.

Weszli po schodach do budynku. Pochód zamykał Sam.

Jak zwykle poszedł prosto do kuchni, nalał sobie kawy i wyniósł ją na werandę, gdzie usiadł i podziwiał rozciągające się wokół widoki. Czerwoną ziemię znaczyły rzadkie punkty zielonych drzew. Po lazurowym niebie krążyły ptaki. Rozlegało się rżenie konia i brzęczenie much. Gdzieś płakało dziecko.

Kiedy Cassie i Chris zbadali pacjentów, zgodnie doszli do wniosku, że dwóch mężczyzn należy przewieźć do Augusta Springs. Chris miał nadzieję, że sztuczne płuco już zostało dostarczone.

- Lepiej zadzwonię i postaram się o kilka dodatkowych. Zdaje się, że będziemy ich potrzebować - oznajmił.

- Powiedz Horriemu, żeby osiódmej był na nasłuchu - zwróciła się Cassie do Sama. - O tej porze się z nim połączę, żeby się dowiedzieć, jak dajecie sobie radę i zawiadomić, czy będziesz musiał tu jutro wrócić. Jeśli nie, zajmiesz się innymi wezwaniem. Tylko odwołaj wszystkie kliniki wyjazdowe, do czasu kiedy sytuacja się wyjaśni.

Podczas wieczornej rozmowy z Samem dowiedziała się, że sztuczne płuco już jest.

- Wygląda jak trumna. To wielkie, szczelne pudło, doktórego wkładamy pacjentów, tak że na zewnątrz przez kołnierz z gąbki wystaje głowa. Tylko tyle widać. Reszta ciała jest w pudle. Silnik elektryczny porusza miechy ze skóry kangura, które rytmicznie uciskają pierś pacjenta i pomagają mu oddychać. Cassie wiedziała, jak to wygląda. Kiedy porażenie dotykało mięśnie oddechowe, żelazne płuco było jedynym sposobem na umożliwienie oddychania. W innym wypadku następowała szybka śmierć.

- Doktor Adams dzwonił do Adelajdy. Wysyłają nam

dwa dodatkowe płuca. Zapewniali, że dotrą do nas jutro, specjalnym lotem.

- Dzisiaj przybył nam kolejny pacjent. Mam nadzieję, że jutro uda mi się pojechać do wioski tubylców i zobaczyć, co tam się dzieje. Czy masz dla mnie jeszcze jakieś wiadomości?

Sam przez chwilę się wahał.

- Tak - odezwał się w końcu. - Dzisiaj Anglia wypowiedziała wojnę Niemcom.

Rozdział dwudziesty siódmy

Osiem dni później Cassie wsiadła do samolotu z ciężarną pacjentką. Była wyczerpana, tak samo jak Marianna i Brygida. Wątpiła, czy dałyby sobie radę, gdyby nie wsparcie Szefa. Gotował im posiłki, dbał, żeby chłodziły się przemywaniem ciała gąbką i zastępował je, kiedy w środku nocy siedziały przy pacjentach. Oprócz tego wykonywał wszystkie swoje zwykłe obowiązki.

Sam przylatywał trzy razy i zabierał kolejnych pacjentów. Tylko jednemu z nich sztuczne płuco okazało się konieczne. Z dwóch mężczyzn, których na początku przywieziono do Augusta Springs, jeden zmarł. Zmarło też dziecko w szpitalu w Yancannie. Cassie przeczuwała, że dwoje pozostałych zostanie kalekami. W szpitalu w Augusta Springs dla chorych na polio przeznaczono pięć sal. Jak dotychczas epidemia się nie rozszerzyła na inne okolice.

Poprzedniego dnia pod szpitalik w Yancannie zajechał młody człowiek w zdezelowanej ciężarówce. Wpadł do budynku i krzyknął:

- Moja żona jest chora! Boję się, że umiera.

Marianna, która wybiegła ze szpitala, domyśliła się, że to

kolejny przypadek choroby Heinego-Medina. W dodatku kobieta była w ciąży.

- To połowa ósmego miesiąca - wyjaśnił mąż.

Cassie tylko spojrzała na pacjentkę i już wiedziała, że będzie jej potrzebne żelazne płuco.

- Zawiadom Chrisa, że jutro ją przywiozę - powiedziała Horriemu podczas wieczornej rozmowy przez radio. - Musi mieć respirator w pogotowiu.

Okazało się, że wszystkie cztery sztuczne płuca, które otrzymali, były zajęte.

- Powiedz Samowi, żeby coś wymyślił - nakazała. - Tutaj jest tak upalnie, że chora prawie wcale nie może oddychać. Powinniśmy przewieźć ją do Adelajdy. Tam jest chłodniej. Poza tym musi dostać sztuczne płuco.

Rano Sam przyleciał do Yancanny i razem z Szefem przeniósł młodą kobietę, Rosie Peters, do samolotu.

- Miałem kłopoty z wydziałem zdrowia, ale powiedziałem im, że bierzesz na siebie pełną odpowiedzialność i polecisz z chorą do Adelajdy.

Cassie spojrzała na niego.

- Serdeczne dzięki - odparła uszczypliwie. Nie wiedziała, czy uda się jej wytrzymać taki długi lot. - Dlaczego wmieszał się w to wydział zdrowia?

- Musisz lecieć normalnym samolotem transportowym. Linie Trans Australia przysyłają swój transportowiec, który w południe powinien wylądować w Augusta Springs. Zawiezie cię do Adelajdy. To zakaźna choroba, więc wydział zdrowia niechętnie na to przystał. Doktor Adams skontaktował się ze szpitalem w Adelajdzie. Przygotują tam dla ciebie sztuczne płuco. Ale ponieważ chora musi przekroczyć granice okręgów, wydział zdrowia nalega, żebyś jej towarzyszyła. Zdasz wrócić jutro wieczorem, a najdalej pojutrze rano.

- Już zapomniałam, jak wygląda mój dom - powiedziała

Cassie. Między powrotem z wakacji a wybuchem epidemii spędziła we własnym łóżku tylko jedną noc. Właściwie przez pięć i pół tygodnia nie była w domu.

Przybyli do Augusta Springs tuż po południu i ku ich zaskoczeniu transportowiec Trans Australia już czekał. Sam wraz z pilotem przeniósł chorą na noszach.

- Sam, nie mam nawet pieniędzy. Będę musiała przenocować w hotelu, no i coś zjeść. Mój Boże, jak ja jestem ubrana!

- Daj spokój, doktoru, przecież nie spotkasz tam nikogo znajomego. Zupełnie nieźle wyglądasz. Nie chodź tylko do żadnych eleganckich restauracji. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Nie masz czasu na zmianę stroju. Masz tu pięćdziesiąt dolarów. Powinno wystarczyć. Później mi zwrócisz.

Cassie siedziała na podłodze samolotu, tuż obok pacjentki, która oddychała z coraz większym wysiłkiem. Jej oczy wypełniał strach.

- Czy ja przeżyję? Czy moje dziecko nie umrze?

- Zrobię wszystko, żeby nie umarło - odparła Cassie i ujęła dłoń pacjentki. - Dam ci coś na rozluźnienie. Nie może pan lecieć na większej wysokości niż sto pięćdziesiąt metrów - zwróciła się do pilota. - Stan pacjentki na to nie pozwala.

- Wiem. - Pilot skinął głową. - To znaczy, że lot zabierze nam trochę więcej czasu.

W kabinie nie można było utrzymać stałego ciśnienia, więc nie mieli innej możliwości.

- Jakież nowe wiadomości o wojnie? - zapytała, kiedy wystartowali.

Pilot spojrzał na nią.

- To mój ostatni lot. Potem wyjeżdżam.

- Gdzie?

Popatrzył na nią, jakby miał przed sobą osobę opóźnioną w rozwoju.

- Oczywiście do Anglii. Potrzebują tam pilotów. Zresztą chyba brakuje im wszystkiego.
- Tak samo jak nam tutaj.
- Tam sytuacja jest o wiele gorsza. Wszyscy się zaciągają.
- Jak to wszyscy! - zaprotestowała. - Ja nie.
- Zdaje się, że to jednak dobrze, że kobiety zostają lekarzami. Co by było, gdyby wszyscy doktorzy tam wyjechali.

Tam? No tak, to przecież Wielka Wojna. Wojna Światowa.

- Każdy poniżej czterdziestki zaciąga się do armii - mówił dalej pilot. - Wszyscy wyjeżdżamy, ale pewnie wrócimy na święta. Nikt nie chciałby stracić takiej okazji.

Nikt nie chciałby stracić okazji pojechania na front? Cassie się zdziwiła. Zamknęła oczy. Nie wiedziała nawet, jaki dzisiaj dzień. Na pewno był wrzesień trzydziestego dziewiątego roku. Dokładnie rok temu przybyła do Augusta Springs.

Zapadał zmrok, kiedy przelatywali nad rzeką Cooper, która teraz była tylko wstęgą zielonych drzew, przecinających spękaną równinę, przywodzącą na myśl wyobrażenia o księżycowym krajobrazie.

Pilot wskazał na rozległe, piaszczyste pustkowia.

- To jezioro Eyre - oznajmił ze śmiechem.

- Jezioro?

- Podobno woda pokazuje się w nim tylko kilka razy na sto lat. Wpływają do niego rzeki Cooper i Diamantina, kiedy wiosną zdarzają się powodzie, ale woda nie utrzymuje się długo. Zwykle jest to tylko suche, zasolone łożysko. - Po chwili milczenia zapytał: - Widzi pani te światła? To Maree. Po lewej zaraz zobaczymy kopalnię węgla w Leigh Creek. Potem, jeśli zbytnio się nie ściemni, pokażą się nam najlepsze ziemie uprawne w całym kraju.

Na lotnisku w Adelajdzie czekali na nich lekarz, pielęgniarka i ciężarówka z platformą.

- Mamy na niej sztuczne płuco - wyjaśniła pielęgniarka. - Pomyśleliśmy sobie, że najlepiej będzie od razu umieścić w nim chorą. - Pracowali szybko i sprawnie. Ciężarówka ustawiła się tyłem do luku samolotu.

- Położnik czeka w pogotowiu, na wypadek gdybyśmy go dzisiaj potrzebowali - powiedział lekarz. - Zapraszam na platformę. Pojedziemy razem z pacjentką.

Cassie nie musiała wydawać pieniędzy Sama na hotel. Przespała się w szpitalnym pokoju praktykantów. Spała smacznie, dopóki nie obudzono jej o piątej trzydziści, na samolot do Alice Springs. Stamtąd złapała kolejny lot do Augusta Springs. Droga do domu zajęła jej cały dzień. Marzyła, żeby Blake na nią czekał. Od czasu wyjazdu do Yancanny była tak zajęta, że nawet nie miała wiele czasu, żeby o nim myśleć. Zadzwoi do niego zaraz po powrocie. Pewnie starał się z nią skontaktować i zastanawiał się, gdzie się podziała, chyba że wywołał przez radio Horriego i ten mu powiedział, co się dzieje.

Kiedy stanęła pod domem, zobaczyła przypiętą na drzwiach kartkę.

Przyjechałem się pożegnać, ale cię nie zastałem. Horrie powiedział mi, że wyjechałaś do Yancanny z powodu epidemii polio. Nie mogę czekać. Zaciągnąłem się do RAAF-u i mam nadzieję, że zestrzele kilka faszystów. Prosto z rajy (mam na myśli nasze wakacje) ruszam na wojnę. Nie znaczy to, że uważam ją za nedorzeczną. Zabiorę cię ze sobą w kieszeni na sercu. Wspomnienie twoich pocałunków będzie mi pomagało.

Liścik podpisano wielkim, zamaszystym B.

Blake poszedł na wojnę?

Nie napisał „kocham cię”. Właściwie się z nią nie pożegnał. Nie będzie więcej jego pocałunków ani rozmów z nim. Upłyną nie dwa tygodnie, ale całe miesiące, zanim znowu znajdzie się w jego ramionach, spojrzy w błękit jego oczu, poczuje jego usta. Miesiące? Może nawet lata. Całe lata, zanim jego nagie ciało dotknie jej ciała.

To niemożliwe, żeby już wyjechał z kraju. Przecież wojnę wypowiedziano niewiele ponad dwa tygodnie temu. Na pewno nadal jest w Sydney. Albo Melbourne. Gdzieś w Australii.

Poleci do niego. Z pewnością żaden okręt jeszcze nie zdażył go zabrać. Nie wyjechałby nie zobaczywszy się z nią jeszcze raz. Och, dlaczego Horrie jej nie zawiadomił? Dlaczego Blake nie połączył się z nią przez radio? Przyleciałaby do niego, żeby tę ostatnią noc mogli spędzić razem.

Próbowała dodzwonić się do Tookaringi, ale w słuchawce rozlegały się tylko trzaski.

Odłożyła słuchawkę i pustym wzrokiem patrzyła przed siebie. Po minucie zaczęła płakać.

- Blake - szepnęła. - Wróć do mnie.

Nawet się nie pożegnał. Nie rozumiała, dlaczego ma to dla niej tak wielkie znaczenie.

O szóstej trzydzieści, z zaczerwienionymi od płaczu oczami, odebrała telefon, który wyrwał ją ze snu.

- Cassie? Tu Chris. Ten pijak Edwards zaciągnął się do wojska. Wyjechał wczoraj wieczorem. Mam dziś rano dwie operacje. Mogłabyś mi asystować?

- Wolałabym najpierw odbyć poranną sesję radiową, żeby sprawdzić, czy nie mam jakiegoś pilnego wezwania.

- Może udałoby ci się przedtem dotrzeć do szpitala? Nie potrwa to dłużej niż pół godziny.

- Nawet jeszcze nie jestem ubrana. Obudziłeś mnie. Wyczuła, że skinął głową.
- Właśnie dlatego zadzwoniłem tak wcześnie, żeby nikt przede mną cię nie zajął. Jedną z operacji to usunięcie wyrostka. Nie może czekać. Druga to wycięcie migdałków, i to możemy zrobić, kiedy będziesz miała więcej czasu.

Po tym, co dla niej zrobił, nie mogła mu odmówić.

- Dobrze. Za pół godziny będę gotowa.

- Piętnaście minut musi ci wystarczyć. Kogoś po ciebie przyślę.

Mój Boże, nie mam nawet czasu na smutek, pomyślała idąc do łazienki. Wzięła szczoteczkę i zamierzała umyć zęby, ale nagle poczuła mdłości i zwymiotowała.

Jestem chyba za stary - oznajmił Chris, kiedy myli się po operacji. - Chociaż wiek lekarza pewnie nie ma takiego znaczenia.

- Na co jesteś za stary? - Cassie wrzuciła gumowe rękawiczki do kosza.

- Oczywiście, na wojnę.

- Nie sądzisz, że ludzie tutaj również potrzebują lekarzy? Co zrobimy, jeśli wszyscy wyjadą na wojnę? Kiwnął głową.

- No, tak. Od tygodnia zadaję sobie to pytanie. Gdzie się najbardziej przydam?

- Może powinieneś dać sobie więcej czasu, żeby dojść do siebie po śmierci Izabeli, zanim zaczniesz podejmować takie poważne decyzje. - Zdjęła zielony chirurgiczny czepek i również wrzuciła do kosza.

Chris spojrzał na nią ostro.

- A może zmiana otoczenia dobrze by mi zrobiła?

- Słuchaj, upłynął ponad rok, zanim nauczyłam się dobrze

z tobą współpracować. Czy teraz mam wszystko zaczynać od nowa z kimś innym? Patrzył na nią.

- Możliwe, że z innym lekarzem łatwiej by ci się pracowało.

- Pewnie ktoś nowy byłby bardziej serdeczny wobec pacjentów, ale jestem pewna, że nigdzie nie znajdę lepszego chirurga.

Skończył się myć.

- To chyba miał być komplement, chociaż nie jestem tego zupełnie pewny. Jeśli tak, to zabarwiłaś go odrobiną krytyki.

- Miałam nadzieję, że to zauważysz i przynajmniej się zastanowisz nad tym, jak rozmawiasz z pacjentami. Moja opinia nie ma tu znaczenia. Decyzję musisz podjąć sam, ale uważam, że tutaj jesteś najbardziej potrzebny. Osobiście bardzo bym nie chciała, żebyś wyjechał. - Wyszła z sali i zatelefonowała do Sama. Powiedziała mu, że zaczeka przed szpitalem, żeby ją zabrał po drodze do bazy.

Kiedy udzielała porad przez radio, Sam i Horrie rozmawiali ściszymi głosami. Nie wpłynęły żadne pilne wezwania. W Yancannie nie zanotowano nowych przypadków polio. Wszystkie problemy udało się rozwiązać na odległość.

- Myślę, że za dwa dni możemy znowu zacząć regularne loty - powiedziała do Horriego. - Dajcie mi tylko ze dwa dni na odpoczynek.

Horrie i Sam spojrzeli na nią dziwnie. Sam wziął ją pod ramię i wyprowadził z budynku radiostacji.

- Doktoru, muszę ci coś powiedzieć. Podniosła na niego wzrok.

- Zaciągnąłem się - oznajmił.

Rozdział dwudziesty ósmy

Nie możesz tego zrobić! - krzyknęła. Gniew podszedł jej do gardła.

- Hej, doktorku, jeśli nie przeciwstawimy się Hitlerowi, to i tutaj nie będzie po co żyć.

Przez chwilę patrzyła na niego bez słowa.

- A co mają robić ludzie tutaj? Wszyscy nas opuszczają. - Najpierw Blake, teraz Sam. A Chris również się nad tym zastanawia. Wszystko co mogła zrobić, to powstrzymać łzy.

- Nikt nie opuszcza tutejszych ludzi. Quantas przyśle nowego pilota, ojca rodziny, który jest za stary, żeby iść na wojnę.

- Za stary? W takim razie, jaki ja będę miała z niego pożytek?

- Na miłość boską, Cassie! - Zauważyła, że nie powiedział do niej „doktorku”. - Musisz dalej robić to, co do tej pory robiłaś. To jest konieczne. Pomyśl tylko, jak to dobrze, że są kobiety lekarki, które pozostaną w kraju...

- Nie opowiadaj mi takich bzdur! - Zacisnęła pięść i uderzyła go w ramię.

Na jego twarzy odbiło się zdziwienie.

- Hej, doktorku!

- Nie mów do mnie „doktoru"! Nie znoszę, jak ktoś tak do mnie mówi. Nie znoszę! Wam, mężczyznom, się wydaje, że wojna to taka wspaniała, heroiczna przygoda. A może zostać tutaj i wykonywać codzienne, szare obowiązki wobec zwykłych ludzi to takie samo bohaterstwo. O, nie, to nie jest wystarczająco wspaniałe, tak?

Chwycił ją za ramiona i potrząsnął.

- Wpadasz w histerię. Słuchaj, doktoru... Cassie. Ten koszmar w Europie trzeba powstrzymać. Prowadzimy wojnę z Niemcami. Musimy walczyć. Nie ma mężczyzny, który mógłby chodzić z podniesioną głową, gdyby nie spróbował...

- Co macie zamiar zrobić? Zostawić kraj kobietom?

- Jeśli są takie jak ty, to sobie poradzą. Doktoru... Cassie, ty ze wszystkim dasz sobie radę. Widziałem, jak pracujesz. Kiedyś myślałem, że kobieta lekarz to najgorsza rzecz, jaka może się przytrafić latającym doktorom. Podejrzywałem, że mężczyźni nie dadzą ci się nawet zbadać i że twoja kariera będzie bardzo krótka. Ale mnie przechytryłaś. Chyba większość tutejszych ludzi nie myśli o tobie jak o kobiecie. Traktują cię jak mężczyznę. Udało ci się. Jestem dumny, że z tobą pracuję. - Poklepał ją po ramieniu. - Dostaniesz innego dobrego pilota i będziesz mogła pracować jak dotychczas. Nikt nie opuszcza ani ciebie, ani twoich pacjentów.

Wybuchnęła płaczem. Sam otoczył ją ramionami. Jego bliskość uspokajała ją i napełniała poczuciem bezpieczeństwa, chociaż to właśnie on przed chwilą zburzył jej spokój.

- Och, Sam, co ja bez ciebie zrobię?

- Już ci mówiłem, że będziesz miała innego pilota. Quantas by go nie zatrudnił, gdyby nie był dobry.

- Nie o to mi chodzi - szlochała, ukrywając twarz na jego piersi. - Jak sobie bez ciebie poradzę?

Przecież jesteś moją pielęgniarką i anestezjologiem, a kiedy czuję się niepewna

albo wystraszona, zawsze powtarzasz „Dasz sobie radę. Potrafisz to zrobić”.

- Tak mówię? - Uśmiechnął się. Wciąż mocno przytulał Cassie. - Przecież zawsze jakoś sobie radzisz.

- W roztargnieniu pocałował ją w czubek głowy. - Jesteś świetnym kumplem, doktorcu. Tego dnia, kiedy wysiadłaś z pociągu, nawet sobie nie wyobrażałem, żeby to mogło kiedyś nastąpić. Jesteś trochę zadziorna, ale nie chciałbym pracować z nikim innym. Nie przyzwyczajaj się za bardzo do tego nowego pilota, bo ja wrócę. Znowu będziemy razem latać. Zaczekaj, a się przekonasz.

- Sam, jeśli dasz się zabić, to nigdy ci tego nie wybaczę. Roześmiał się i przytulił ją jeszcze mocniej.

- Nie ma mowy. - Odsunął się i położył jej ręce na ramionach. - Przez jakiś czas zostaniesz bez pilota. Wyjeżdżam za dwa tygodnie, a Quantas przyśle stałego zastępcę dopiero po paru dniach. Wszystko będzie w porządku.

- A skąd, u diabła, możesz wiedzieć? Uśmiechnął się.

- Wiesz, co w tobie lubię? Nie usiłujesz niczego udawać. Jesteś śliczna, ale nie starasz się nikomu przypodobać. Mówisz, co myślisz. Walisz prosto z mostu, jak mężczyzna.

Cassie znalazła chusteczkę w kieszeni spodni i otarła łzy. W ciągu ostatnich czterdziestu godzin płakała częściej niż kiedykolwiek od czasu... rozstania z Rayem Grahamem. Obecne przeżycia sprawiły, że jej rozpacz po stracie Raya wydawała się płytka. Blake. Na litość boską, przecież Ray nie dorastał do pięt nawet Samowi Vernonowi. Zrozumiała, że bardziej będzie tęskniła za Samem i Blake'em, niż kiedykolwiek tęskniła za Rayem Grahamem. Przekonała się, że nie wszyscy mężczyźni to zimni dranie, jak pewien

neurochirurg z Melbourne. Kiedy tylko to odkryła, dwóch najmilszych mężczyzn zostało wyrwanych z jej życia.

- Cholera - powiedziała głośno.

- O, właśnie o to mi chodziło. Nigdy jeszcze nie słyszałem, żeby kobieta tak się wyrażała.

- Więc mężczyźni mogą tak mówić, a kobiety nie? Roześmiał się.

- Ależ doktorku, chyba wiesz, że kobiety powinny być słodkie i niewinne.

- Czy to nie jest trochę nudne? - zapytała. - Nie mam pojęcia, co tak pociąga mężczyzn w dziewczicach. Przecież one nawet nie wiedzą, co robić. Mężczyźni mają spaczone wyobrażenia o kobietach^ Sam popatrzył na nią dziwnie. Zauważyła, że na jego policzki wpełza rumieniec. Odwróciła głowę, zawstydzona, że wprawiała go w zakłopotanie. Co ją podkusiło, żeby tak do niego powiedzieć? Takie tematy rozmów powinna zachować dla Fiony.

Och, Fiono, gdzie jesteś? Najlepsza przyjaciółka i ukochany wyjechali. Znow zaczęła płakać.

Wzruszenie wytrącało ją z równowagi. Chciała zamknąć okiennice, wejść do łóżka, leżeć w ciemnościach z zimnym okładem na głowie i o niczym nie myśleć - zamknąć oczy i zapomnieć, niczym się już nie przejmować, z niczym się nie borykać.

- Został nam jeszcze tylko tydzień wspólnej pracy - odezwał się Sam. - Może postaralibyśmy się zorganizować jak najwięcej wylotów na badania. To zapobiegłoby nagłym wezwaniom w przyszłości. Wyczuła, że od tej chwili jej życie się odmieni. Cała jego treść ulegnie zmianie. Coś nieodwołalnie odchodziło w przeszłość, już nic nie będzie takie, jak do tej pory. Nawet jeśli Blake, Fiona i Sam powrócą, coś się zmieni. Wiedziała to.

I wcale jej się to nie podobało. Od dzisiaj świat będzie inny, cały świat, nie tylko jej własny. Była tak samo pewna, jak nie miała wątpliwości, że za chwilę zwymiotuje, tutaj na oczach Sama i na oczach Horriego, który stał w drzwiach baraku radiostacji obejmując Betty, która była w zaawansowanej ciąży.

W ciąży? O, cholera jasna! Może dlatego ciągle ma mdłości, że zaszła w ciążę? Popatrzyła na Sama.

- Muszę iść do domu - oznajmiła. - Niedobrze się czuję.

- Daj spokój, doktoru - odparł z cieniem irytacji w głosie. - Nie rób tak. Nie możesz niczego zmienić.

Musisz stawić temu czoło. To do ciebie takie niepodobne.

Do diabła z tobą, Sam. Nic nie rozumiesz. Wcale nie o to chodzi.

Wsunęła mu dłoń pod ramię.

- Nic mi nie będzie. Daj mi tylko trochę czasu. Ostatnie dziesięć dni bardzo mnie wyczerpało. - Nie chciała tutaj wymiotować. Czowała zawroty głowy. Ostre słońce sprawiało oczom ból.

- Dobrze. Odwiozę cię do domu. - Ruszył do ciężarówki, otworzył przed nią drzwi po stronie pasażera, ale nie czekał, aż wsiądzie.

Jechali w milczeniu. Cassie zamknęła oczy. Nawet nie rozmawiali z Blake'em o prawdopodobieństwie zajścia w ciążę. Pewnie myśleli, że w takim wypadku się pobiorą, chociaż żadne z nich nawet nie wspomniało o małżeństwie. Jak ma teraz się z nim skontaktować? Jak mu powiedzieć? Nawet gdyby jakoś zdołała przesłać mu wiadomość, nie mógłby dostać urlopu i przyjechać na ślub do Australii. Nie było takiej możliwości.

A może wcale nie zaszła w ciążę. Pewnie to tylko wyczerpanie po walce z epidemią polio, długi lot do

Adelajdy i przeżycia związane z wyjazdem Blake'a i Sama. Całe jej życie stanęło na głowie. Przecież ciąża nie jest jedyną przyczyną złego samopoczucia, wymiotów i ciągłego zmęczenia.

Poczuła na dłoni rękę Sama i otworzyła oczy. Uśmiechnął się.

- Twoje towarzystwo, doktora, sprawia, że ta praca wydaje mi się najwspanialszym zajęciem na świecie. Chyba nigdy bym z niej nie zrezygnował, gdyby nie wojna. Wiesz, że jeśli nie zgłosiłbym się na ochotnika, i tak zostałbym powołany. Brakuje wyszkolonych pilotów. Blake również wyjechał.

Przykro mi, Cassie. Jesteś w nim zakochana?

Skinęła głową.

- Zamierzasz wyjść za niego za męża? Potaknęła.

- Nie rozmawialiśmy o tym, ale tak.

- Chodź tutaj. - Przyciągnął ją do siebie i mocno objął. Oparła mu głowę na ramieniu, a łzy znowu napłynęły jej do oczu. Objął ją jeszcze mocniej. - Kobietom chyba będzie ciężiej. Czekać zawsze jest trudniejsze.

- Nawet się z nim nie pożegnałam. - Wybuchnęła płaczem na dobre.

Nie odzywał się, dopóki nie podjechali pod dom.

- Jutro pojedziemy na zwykłe badania, dobrze? Tuż po porannej sesji radiowej.

Rano Cassie czuła się dobrze. Nie, chyba jednak nie jest w ciąży.

Tego dnia przeprowadzili badania w dwóch miejscowościach i jeszcze zostało im trochę czasu.

- Zatrzymajmy się w Yancannie w powrotnej drodze

- zaproponowała. - Nie musimy bardzo zbaczać. Sprawdzilibyśmy, jak sobie radzą Brygida i Marianna.

Zabrali do Augusta Springs jednego z pacjentów cierpiących na polio. Cassie przez cały dzień niemal nie rozmawiała z Samem. Była na niego zła, że tak ją zostawia. Wiedziała, że to irracjonalne, ale nie mogła stłumić tej reakcji.

- Powiem Horriemu, żeby przez ten czas, kiedy jeszcze tu jestem, zaplanował codzienne wyloty na badania. Zgadzasz się?

- Rób, co chcesz - warknęła.

Spojrzał na nią przeciągle, ale nic nie zauważyła.

Trzy dni później ledwie mogła wstać z łóżka. Tak bardzo kręciło jej się w głowie, że upadła i na czworakach doszła do łazienki, gdzie wymiotowała.

Cholera.

Przecież nie może być w ciąży. Po prostu nie. Kiedy Sam po nią przyjechał, czuła się już lepiej.

Przynajmniej nie miała zawrotów głowy.

- Nie wyglądasz dobrze - zauważył.

- Nic mi nie jest - odparła oschle.

Przez całą drogę do Kypundy, gdzie tego dnia zapowiedzieli wizytę, siedziała w fotelu zaciskając pięści i zastanawiając się, co robić.

Jaki miała wybór? Urodzić dziecko, stracić pracę, być wyrzutkiem każdej społeczności, w jakiej zdecydowałaby się zamieszkać. Musiałaby opuścić Augusta Springs. Jak utrzymałaby dziecko? Czy ktoś przyszedłby do lekarki naznaczonej piętnem hańby? Skończyłoby się jej życie i możliwości niesienia pomocy innym. Jej ojciec wpadłby w rozpacz. Wywołałaby skandal. Przez następne dwadzieścia lat albo dłużej byłaby uwiązana przy tym dziecku, bez żadnej pomocy, bez środków do życia. Wiedziała, że nie

znalazłaby miejsca, gdzie mogłaby praktykować i gdzie ludzie, odkrywszy j^eJ sekret, nie przepędziliby jej. Boże, co robić?

Spróbować porozumieć się z Blake'em? I co by to dało? Nie poleci przecież na front, żeby wziąć z nim ślub. A może on wcale nie zechciałby się z nią żenić. Nie, wiedziała, że tak by nie było. Na pewno by się z nią ożenił.

Teraz, kiedy Blake wyjechał na wojnę, nie mogli się pobrać. Nie było możliwości, żeby wyjść za niego za mąż ani nawet spotkać się z nim przed urodzeniem dziecka, chyba że wojna szybko by się skończyła. Boże, jakie to niesprawiedliwe. Za dwa tygodnie szczęścia do końca życia będzie musiała dźwigać ten krzyż, a mężczyzna ujdzie bez kary, nawet nie wiedząc, że ona nosi w sobie owoc z jego nasienia.

Nie mogła jeść.

Nie mogła spać. Nie myślała o niczym innym. Jeszcze nigdy w życiu tak się nie bała. W dodatku nie miała do kogo się zwrócić. Och, Fiono, gdzie jesteś? Nie mogła powiedzieć ojcu; wstydziłby się jej. Nie było nikogo innego.

Żołądek nie chciał przyjmować żadnego pożywienia. Zaczęła nastawiać budzik na czwartą rano, tak że poranne mdłości mijały, kiedy przyjeżdżał Sam i zabierał ją na lotnisko. Stwierdził, że mizernie wygląda.

Oczywiście, że mizernie. Gdyby on nosił w sobie dziecko, też wyglądałby mizernie.

Chciała z kimś porozmawiać. A może rozważyć usunięcie ciąży? Są sposoby, żeby to załatwić, chociaż zabieg jest nielegalny. Nie wiedziała, gdzie to zrobić. Oczyma duszy widziała ciemne ulice, szarlatana z brudem pod paznokciami i śmierć na skutek zapalenia otrzewnej, zatrucia krwi albo wykrwawienia. Myślała o kobietach, które próbowały same

pozbyć się ciąży za pomocą drutów do robótek ręcznych i pozbawiały się szansy na urodzenie dziecka w przyszłości albo umierały z powodu niehigienicznych warunków lub czyjegoś partactwa.

Jak znaleźć godnego zaufania lekarza, który podjąłby się wykonania zabiegu?

Don McLeod przybył do miasta właśnie wtedy, gdy najbardziej go potrzebowała.

- Cassie, wyglądasz okropnie - stwierdził. Stał w drzwiach jej domu, kiedy wróciła po popołudniowej sesji radiowej. - Czy to przez Blake'a?

Wybuchnęła płaczem.

- No, spokojnie. Zrób mi herbaty i wypłacz się na moim ramieniu. Widzę, że się zakochałaś, tak?

Gotując wodę powtarzała sobie, że nie może wyjawić Donowi swojego problemu. Straciłby dla niej szacunek, byłby rozczarowany, powiedziałby jej, że nie nadaje się na...

- Don, jestem w ciąży. Cisza.

- Jesteś pewna? - zapytał wreszcie.

- Nie - wyszłochała, niezdolna powstrzymać łez. - Ale mam wszystkie objawy.

Usiadła i ukryła twarz w dłoniach. Don wstał, zgasił płomień, znalazł herbatę i zaparzył ją w imbryku.

- Nie ma sposobu, że się skontaktować z Blake'em?

- Właśnie. - Wydmuchnęła nos i otarła łzy. - Nie mogę urodzić tego dziecka. Po prostu nie mogę.

Wiem, że zrujnowałabym sobie życie. Nie mogłabym nadal tu pracować...

Nalał herbaty i postawił przed nią filiżankę. Podniosła na niego wzrok, kiedy usiadł po drugiej stronie stołu.

- Pewnie czujesz teraz do mnie wstręt? Wziął ją za rękę.

- Nawet o tym nie myśl, moja droga. Miałbym czuć do ciebie wstręt tylko dlatego, że masz ludzkie słabości? Nic takiego nie czuję. Wybacz, Cassie, ale nie czuję do ciebie wstrętu.

- Powinnam wykazać się większym rozsądkiem. W końcu jestem lekarką.

W milczeniu pili herbatę.

- Nie wiem, do kogo się zwrócić. Nie znam nikogo, kto wykonuje zabiegi usunięcia ciąży.

- Jesteś pewna, że właśnie tego chcesz?

- A powiedz mi, czy mam inny wybór? - zapytała wojowniczo. - Czy każda inna decyzja nie zrujnuje mi życia?

Po chwili Don znowu się odezwał.

- Proponuję, żebyś porozmawiała z Chrisem Adamsem. Na pewno spotkał się już z takim problemem, miał pacjentki, które nie chciały urodzić dziecka...

- Chris? Porozmawiać z Chrisem Adamsem? To ostatni człowiek...

Don potrząsnął głową.

- Przecież nie jest potworem. Czuję, że potrafiłby ci pomóc. Musiał już mieć do czynienia z niechcianymi ciążami. Pra! 'ykuje tyle lat. Może nawet on sam podjąłby się zabiegu w higienicznych, bezpiecznych warunkach.

O zmroku, na dwa dni przed wyjazdem Sama, poszła do domu Chrisa. Miała poczucie, że robi coś niebezpiecznego. Ze wszystkich ludzi na świecie Chris wydawał się najmniej odpowiedni. A jednak Don zachęcił ją do tej rozmowy, a poza tym nie знаła nikogo innego i nie wiedziała, gdzie indziej mogłaby się zwrócić.

Chris siedział na werandzie, palił papierosa i popijał kawę. Uświadomiła sobie, że nigdy jeszcze nie widziała go

inaczej jak w sztywnym garniturze albo w stroju chirurga. Teraz miał na sobie koszulę z podwiniętymi rękawami i rozpiętym kołnierzykiem. Kiedy zobaczył, że skręciła do jego domu, wstał.

- Co za niespodzianka.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

- Właśnie skończyłem kolację. Napijesz się kawy? Cassie potrząsnęła głową.

- Nie, dziękuję. Ale chciałabym porozmawiać. Wskazał jej krzesło i sam usiadł.

Milczał.

- To już chyba koniec epidemii w Yancannie - zagaiła. Skinął głową.

- Dzięki za pomoc.

Znowu w milczeniu kiwnął głową.

- I dziękuję za zastępstwo w nagłych wypadkach, kiedy wyjechałam na północ.

- Robiłem to z przyjemnością. Już zapomniałem, że praca lekarza potrafi być taka emocjonująca.

Znów zapadła cisza. Chris zdusił papierosa w popielniczce.

- Sam się zaciągnął - oznajmiła Cassie z westchnieniem.

- Tak jak wszyscy młodzi ludzie - odparł Chris.

- Ktoś musi zająć się ludźmi, którzy zostają w domu. Za przesłaniającą werandę siatką bzycały komary.

- Chciałabym z tobą porozmawiać o poufnej sprawie. Podniósł brew, sięgnął po paczkę papierosów i wolno

wyjął jednego. Czekał.

- Spotkałeś się pewnie z kobietami, które zaszły w nie chcianą ciążę.

Jedyną odpowiedzią był trzask zapałki. Chris wciągnął dym zapalając papierosa.

Cassie spojrzała na niego, ale patrzył gdzieś w dal, na drzewa. W końcu spojrzał jej w oczy i zapytał:

- Pytasz mnie, czy wykonuję zabiegi przerwania ciąży?
- A wykonujesz? - zapytała po chwili milczenia. Patrzył na nią uważnie.
- Czasami bym chciał, Cassie. Widziałem już tyle zrozpaczonych kobiet, których życie zostało złamane, ponieważ musiały urodzić nieślubne dziecko. Żałowałem, że nie mam odwagi złamać prawa, które uważam za niemoralne, ale jestem tchórzem. Nie chciałem im pomóc w strachu o własną praktykę, nie miałem zamiaru narażać się na odebranie mi praw do wykonywania zawodu. Stać mnie tylko na załatwianie adopcji. Często wysyłam te kobiety do Townsville, do siostry. Ona się nimi opiekuje aż do porodu. Tylko na tyle się odważałem. Jestem pewien, że Romla pomoże i twojej pacjentce.

Zakołysał się na skrzypiącym fotelu.

- Tu nie chodzi o moją pacjentkę, tylko o mnie. Przewidywała, jak Chris zareaguje. Spojrzy na nią znad

okularów, zgromi ją wzrokiem, zaciśnie wargi w cienką linię i będzie patrzył na nią bez słowa.

Nic takiego nie zrobił. Kiedy nic nie odpowiedział, odezwała się pierwsza.

- Nie wiem, co robić.

- Chcesz mojej rady, tak?

- Sama nie wiem. Nie znam nikogo innego, z kim mogłabym porozmawiać.

- Dlaczego ja? Wzruszyła ramionami.

- Jesteś lekarzem. Mam zaufanie do twojej wiedzy medycznej.

- Nie jestem ekspertem od dylematów moralnych.

- A więc to jest mój problem? - zapytała. - Chyba jednak napiję się kawy albo herbaty, jeśli masz.

Chris wstał i wszedł do domu. Cassie przez blisko dziesięć

minut siedziała sama, słuchając ćwierkania kurcząt i piania kogutów na zachód słońca. Usłyszała cykady wśród drzew i pokrzykiwania dzieci bawiących się kilka domów dalej.

W końcu pojawił się Chris z dwiema filiżankami. Jedną postawił przed Cassie.

- Co mam robić? - Wypiła łyk gorącej herbaty. Parzyła ją w język.

- A co chcesz zrobić?

- Nie wiem. Dziecko zrujnuje mi życie. Tutaj plotki szybko się rozchodzą, zwłaszcza jeśli dotyczą lekarki. Urodzenie dziecka wywoła skandal...

- Jak na wykształconą osobę, zachowałeś się bardzo nieostrożnie. - Głos Chrisa brzmiał sucho i chłodno.

- Sama o tym wiem najlepiej. Ale żadne z nas nie przewidziało wojny.

- Nie ma szans na ślub? Cassie potrząsnęła głową.

- Nie w tej chwili.

- Czy on wie o ciąży?

- Nie.

- Aha. - Chris domyślił się wszystkiego. - Więc wyjechał na wojnę. To ten młody Thompson, z którym byłaś na wakacjach, tak?

Cassie przytaknęła. Zastanawiała się, czy kiedyś w życiu czuła się gorzej. Siedzieli w ciszy, a ona czekała, chociaż sama nie wiedziała na co.

- Pochlebia mi, że przyszedłeś z tym do mnie. Mówię szczerze. Ale ja nie wykonam zabiegu, chociaż uważam, że to niemoralne, żeby kobiety rodziły nie chciane dzieci i ponosiły całą karę za zakazany związek.

Zakazany.

- Potępiasz mnie?

Po krótkim zastanowieniu uśmiechnął się powściągliwie.

- Bardziej cię potępiałem pierwszego dnia naszej znajomości niż teraz. Kim ja jestem, żeby kogoś pochwalać lub potępiać? Niech ten, kto jest bez winy, pierwszy rzuci kamieniem.
- Nie chcę zostać wyrzutkiem społeczeństwa. Nie chcę, żeby nieślubne dziecko zrujnowało mi życie. W ogóle jeszcze nie jestem gotowa, żeby mieć dziecko.
- Czy tak samo byś czuła, gdyby Thompson mógł się z tobą ożenić?
- Łzy wypełniły jej oczy.
- Chyba nie. Ale jego tu nie ma i nie mogę wyjść za męża. Nie mam też zamiaru rezygnować z pracy w Powietrznej Służbie Medycznej.
- Czy to pewne, że jesteś w ciąży?
- Raczej tak. - Skinęła głową.
- Pozwól, żebym cię jutro zbadał i wziął próbkę moczu do analizy.
- Ale to oznacza, że jeszcze przez tydzień nic nie będę wiedziała.
- Tyle możesz poczekać. Nie będzie za późno, nawet jeśli zdecydujesz się na aborcję. Mam przyjaciela w Townsville. Jest zdecydowanym zwolennikiem poglądu, że kobieta powinna mieć prawo do decydowania o swoim losie, więc wykonuje zabiegi bez względu na obowiązujące prawo. Dla swoich przekonań gotów jest ryzykować karierę zawodową. Nie byłabyś pierwszą pacjentką, którą do niego skierowałem. Wszystko odbyłoby się w higienicznych, bezpiecznych warunkach. Nie naraziłabyś się na niebezpieczeństwo.
- A więc zalecałbyś usunięcie ciąży? Spojrzał na nią z cieniem uśmiechu w oczach.
- Czyżbym nagle został twoim lekarzem? Kiwnęła głową.

- Chyba tak, jeśli tylko się zgadzasz, żebym była twoją pacjentką.

- Zadzwoń do niego, kiedy podejmiesz decyzję.

Dwa dni później, kiedy wyjeżdżał Sam, Cassie niecierpliwie czekała, czy wykorzystany do testu królik padnie. Padnie? Sam mógł paść na froncie. Może i ona umrze gdzieś w brudnym pokoiku na zapleczu...

- Hej, doktorku... Cassie, nie płacz. Ja wrócę. Znowu będziemy razem pracować.

- Och, Sam - szlochała, nie mogąc powstrzymać łez. Zarzuciła mu ramiona na szyję. - Nie wiem, co ja tu bez ciebie zrobię.

- Nic ci nie będzie - wyszeptał. - Zawsze ze wszystkim dajesz sobie radę.

Nic nie wiesz, zawodziła w duchu. O niczym nie masz pojęcia.

- No, doktorku. Uśmiechnij się do mnie. Nie chcę cię zapamiętać takiej zapłakanej. Jeden uśmiech, specjalnie dla mnie.

Niestety, nie potrafiła. Nie było w niej sił do uśmiechów, tylko nie chciane dziecko, spłodzone na dzikiej ziemi Kakadu.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Przez całopółtoradniową drogę trzęsącym się autobusem, który jeszcze potęgował jej mdłości, Cassie rozmyślała o Blake'u. Zastanawiała się, jak zareaguje, kiedy wróci z wojny, a ona mu powie, że usunęła ciążę. W tej chwili nie czuła do niego niechęci. Równa część winy leżała po jej stronie. Była nie tylko inteligentną kobietą, ale w dodatku lekarką, która powinna wykazać więcej rozsądku. Powinni byli przynajmniej porozmawiać o takiej możliwości. Ale to zniszczyłoby całą spontaniczność, poczucie przygody i romantyzmu.

Przewidywała, że będą się kochać. Dlaczego nie zabrała ze sobą krażka? Przepisywała je przecież swoim pacjentkom. Ani razu nie wspomnieli, że skutkiem ich miłości może być ciąża. Zdaniem Cassie postąpili tak, ponieważ nie przyszło im do głowy, że czeka ich rozstanie. Zakładali, że w przypadku ciąży pobiorą się. A teraz została sama i dźwigała całą odpowiedzialność. Nie była gotowa na urodzenie dziecka, szczególnie nieślubnego. Nie potrafiła też stawić czoła oskarżeniom o niemoralność.

Wiedziała, że musi zrobić tak, jak postanowiła. I wiedziała,

że kiedy Blake wróci, trzeba będzie mu powiedzieć. Czy zrozumie? Och, dlaczego nie ma Fiony? Mogłaby wszystko z nią omówić. Może Fiona wybrałaby się w tę podróż razem z nią, trzymałaby ją za rękę, dodawałaby otuchy. Tak bardzo tęskniła za przyjaciółką.

Znów pomyślała o Blake'u. Och, Blake, wróć do mnie. Nie miała wątpliwości, że zrezygnowałaby z zawodu i dotychczasowego życia. Dla niego mogłaby zrezygnować ze wszystkiego. Byłaby szczęśliwa jako pani Thompson. Cassandra Thompson.

Będą mieli inne dzieci. Troje, czworo, cały tuzin. Ile tylko Blake zechce.

lownsville było sennym, tropikalnym miasteczkiem, którego łagodne, ciepłe powietrze omywało Cassie jak balsam. Zapach kwiatów wypełniał powietrze, a różnorodne barwy atakowały ze wszystkich stron. Wszędzie kwitły bugenwille, hibiskusy i migdałowce. Królewskie palmy wyrastały wysoko, a ich liście powiewały na ciągnącej od oceanu bryzie.

Samo miasto przypominało czasy kolonialne. Kiedy Cassie stanęła na stacji autobusowej i rozejrzała się wokół, uznała je za bardzo ładne. Kobieta średniego wzrostu, o ciemnych, prostych, opadających na ramiona włosach pomachała do niej z wesołym okrzykiem. Z daleka odznaczały się pociągnięte czerwoną szminką usta i wielkie zielone oczy z radosnymi, pełnymi życia błyskami. Podeszła do Cassie i energicznie uściśnęła jej rękę. Jej uroda nie była słodka, ale zwracała uwagę, a wesoły sposób bycia łatwo się udzielał. Cassie nie była pewna, czy sama by ją rozpoznała.

- Pamiętasz mnie? Jestem Romla Peters - oznajmiła

siostra Chrisa biorąc ją pod ramię. - Chodź, zostawiłam samochód przed stacją. - Szybkim krokiem poprowadziła Cassie na ulicę, gdzie jej samochód blokował ruch. Już ustawił się za nim sznur głośno trąbiących pojazdów.

- Cieszę się, że mnie rozpoznałaś. - Cassie usiadła na fotelu pasażera.

Romla uruchomiła silnik i poprowadziła samochód sprawnie i szybko. Wiele domów zbudowano na drewnianych palach.

- Stoją tak wysoko, żeby docierała do nich oceaniczna bryza - wyjaśniła, pokazując je gościowi. - W ten sposób powietrze przepływa pod budynkiem i chłodzi go również od spodu.

- Tak tu uroczo. - Cassie nigdy jeszcze nie widziała nadmorskiego tropikalnego miasta.

- Raczej staroświecko-poprawiła ją Romla, skręcając na podjazd małego, kwadratowego domu, podobnego do innych przy tej ulicy. - To prowincja.

- Tęsknisz za wielkim miastem?

Romla potrząsnęła głową i otworzyła drzwi.

- Wcale nie. Jednak chciałabym prowadzić bardziej emocjonujące życie, mieć więcej zajęć. -

Odrzuciła głowę. - Ale to pewnie musi wynikać z charakteru człowieka. Trzeba samemu się dowiedzieć, czego się pragnie. Wyglądasz mizernie - stwierdziła, podobnie jak kiedyś Sam. Wyjęła z samochodu torbę Cassie. - Chciałabyś zjeść kolację w łóżku?

- Och, nie. Po południu i wieczorami czuję się najlepiej.

- Jutro o dziewiątej rano zamówiłam ci wizytę u doktora Hatfielda. Czy to nie za wcześnie?

- Nie, bardzo dobrze.

- To wspaniały człowiek. Chodzę do niego na coroczne kontrole. Odbierał Terry'ego. Pamela urodziła się, jeszcze

zanim się tu sprowadziliśmy. - Romla włożyła klucz do zamka. Weszły do małego pokoju, który urządono w bieli i pastelowych kolorach. Był tak mały, że robiłby przygnębiające wrażenie, gdyby gospodyni nie nadała mu tak osobistego, wesołego charakteru. - Za godzinę zjemy podwieczorek. Roger wróci z pracy, a Terry i Pam przyjdą ze szkoły. Terry ma dopiero sześć lat, więc przygotuj się na hałas. Pam jest cicha, skończyła jedenasty rok. Pewnie po takiej długiej podróży chcesz się wykapać. Tutaj jest łazienka. Daliśmy ci pokój tuż obok. Nasz znajduje się po drugiej stronie. Po tych wszystkich zabawkach możesz się domyślić, że to pokój Terry'ego, ale on jest zachwycony, że będzie spał na kanapie.

- Nie chciałam ci sprawiać kłopotu.

- Bzdura. - Romla potrząsnęła głową. Rzuciła torbę Cassie na łóżko. - Nie śpiesz się. Kiedy odpoczniesz, zejdź na lemoniadę. Czeka w lodówce. - Wyszła z pokoju, ale po chwili jej głowa pojawiła się w uchylonych drzwiach. - Mój mąż myśli, że przyjechałaś tu na badania z powodu jakiegoś problemu ginekologicznego. Nie musisz czuć się zawstydzona.

- Cóż, to właściwie prawda. - Cassie rozpakowała się i poszła do łazienki. Moczyła się w wannie, dopóki nie usłyszała męskiego głosu. Domyśliła się, że to wrócił mąż Romli. Chris powiedział jej, że jest policjantem i dowodzi również miejscową obroną cywilną. Z pewnością nikt nie miał zamiaru atakować Townsville. W czasie wojny ludzie wpadają w histerię. Kto miałby napaść na Australię? Niektórzy pewnie chcieli wytworzyć w kraju wojenną atmosferę, chociaż prawdziwe walki toczyły się kilkanaście tysięcy kilometrów stąd.

Po kąpieli włożyła granatową lnianą spódnicę i jasno-

niebieską bluzkę z bawełny i poszła do salonu. W wielkim fotelu, opierając stopy o podnózek, siedział Roger Peters i popijał piwo. Nie wstał, kiedy weszła do pokoju, ale zauważyła, że jest bardzo przystojny, wysoki, o czarnych włosach i przystrzyżonym wąsiku. Ciemne oczy uśmiechnęły się do niej, kiedy skinął głową na powitanie.

- Słyszałem, że jesteś pacjentką Chrisa. Jak on się miewa od czasu śmierci Izy?

Cassie usiadła na kanapie.

- Chyba jakoś się trzyma. Wydaje mi się, że bardzo to przeżywa, chociaż nic nie daje po sobie poznać.

- Nigdy nie wiadomo, co Chris naprawdę myśli - odezwała się Romla z kuchni. - Nigdy nie był skłonny do zwierzeń. - Spojrzała na męża. - Ale to chyba cecha wszystkich mężczyzn. Chris jest po prostu jeszcze bardziej skryty niż inni.

- Tak, wszystko w sobie chowa. Romla roześmiała się.

- Taka już męska natura. Czasami się zastanawiam, czy oni w ogóle mają jakieś życie wewnętrzne. Napijesz się lemoniady?

- Jasne. - Cassie coraz bardziej lubiła siostrę Chrisa. Poszła do niej do kuchni.

- Podziwiam ludzi takich jak ty - oznajmiła Romla. - Jesteś kobietą, która znalazła sobie miejsce w życiu inne od tradycyjnie przewidzianej roli żony i matki. Mam już serdecznie dosyć życia ograniczonego tymi czterema ścianami. Codziennie słyszę tylko opowieści z pracy Rogera.

Chciałabym mieć odwagę wziąć życie za rogi, rzucić się na głęboką wodę, spróbować własnych sił. Być kimś innym niż żoną pana Petersa. A może postrzegam twoją pracę zbyt romantycznie?

- Uważam się za szczęściarę — odparła Cassie i wzięła

szklanę lemoniady. - Chociaż oczywiście kiedyś w przyszłości wyjdę za mąż i będę miała dzieci.

- Zrezygnujesz z pracy?

- Cóż, miłość sprawia, że chcemy sobie uwić ciche gniazdko, prawda? - Cassie przypomniała sobie, jak bardzo zmieniły się jej odczucia, jaki wpływ wywarł na nie Blake.

- Chyba tak - zgodziła się Romla. Otworzyła drzwiczki piekarnika i zajrzała do środka. - Ale kiedy wszystko się uspokoi i minie romantyczne oczarowanie, zostaje ci tylko gotowanie, sprzątanie i towarzystwo mężczyzny, który niewiele mówi, a jeśli już, to o swojej pracy i wyścigach konnych. Wtedy zaczynasz się zastanawiać, czy to jest wszystko, co życie ma do zaoferowania. - W głosie Romli nie było skargi. Zdawało się raczej, że głośno myśli. - Ale nie powinniśmy tak zaczynać twojej wizyty. Chciałam tylko powiedzieć, że podziwiam to, co robisz.

- Dzięki. I dziękuję za pomoc.

- Od lat pomagam w ten sposób Chrisowi. Zawsze tak wszystko urządzaliśmy, żeby ani Roger, ani Iza niczego się nie domyślali. Potępiliby nas. Ale ja z Chrisem zawsze doskonale się rozumieliśmy, chociaż kiedy dorastałam, jego przy mnie nie było.

Cassie słuchała zaskoczona. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że Chris Adams jakiego znała i jego siostra mają ze sobą cokolwiek wspólnego.

- Kiedy byłam mała, traktował mnie tak łagodnie i wyrozumiale jak nikt na świecie - ciągnęła Romla.

- Jako nastolatka traktowałam go jak bóstwo. Byłam bardzo załamana, kiedy ożenił się z Izą i wyprowadził tak daleko. Jednak co miesiąc do siebie pisujemy. - Czy to ten sam Chris, którego znała?

- Kiedyś często się zastanawiałam,

dlaczego zamieszkali tak daleko, z dala od cywilizacji i ode mnie. Ale Chris lubi być grubą rybą w małym stawie. Wiesz, że to on stworzył ten szpital. Sam zebrał potrzebną sumę pieniędzy. Zajęło mu to pięć lat. Oczywiście, Izabela nigdy nie była zadowolona, że mieszkają tak daleko od świata.

Odwiedziłam ich tylko kilka razy. Ale teraz być może jeszcze się tam wybiorę.

- Nie lubiłyście się z Izabelą? - zapytała Cassie, chociaż wiedziała, że to nie jej sprawa.

- Nie. - Głos Romli zabrzmiał sucho. Otworzyła piekarnik i wyjęła babeczki. Pachniały cudownie. - Masz.

- Podała Cassie trzepaczkę. - Ubij śmietanę w tej misce, dobrze? Będą też truskawki. Czy dla takiego posiłku nie warto było przejechać ponad półtora tysiąca kilometrów?

- Oj, tak!

Romla sprawnie poruszała się po małej kuchni. Jej ruchy były precyzyjne i szybkie, tak samo jak głos. Nie pasowały jednak do promieniującego z niej ciepła. Cassie czuła, że ta kobieta otoczyła się jakimś ochronnym kokonem.

- Widać, że lubisz gotować - stwierdziła, ubijając śmietanę.

Romla roześmiała się.

- Nienawidzę tego. Wolałabym robić coś bardziej ekscytującego, niż trudzić się przez całe popołudnie i potem patrzeć, jak moja rodzina pożera wszystko w piętnaście minut. Chciałabym znaleźć jakieś dające satysfakcję zajęcie poza domem. - Wyjrzała przez małe okienko nad zlewem.

- Terry powinien zaraz być w domu. Pam może się trochę spóźnić. Gra w dziewczęcej drużynie piłki nożnej. Jeśli będziemy na nią czekać, Roger się zdenerwuje, że się spóźniam zjedzeniem. Muszę podawać mu podwieczorek na

czas, bo inaczej idzie do pubu i siedzi tam do szóstej. Kiedy potem wraca do domu, jest mu już wszystko jedno, czy coś zje, czy nie. Dlatego do niego dopasowuję godzinę posiłku. Chociaż później i tak wychodzi. Chyba gra w rzutki. Zresztą nie wiem, co robi.

W uszach Cassie nie zabrzmiało to jak opis idealnego małżeństwa. Wiedziała, że Blake nigdy by taki nie był. Steven się tak nie zachowywał ani jej ojciec.

Sześćcioletni Terry, jasnowłosy synek Romli wpadł do domu z szerokim uśmiechem na piegowatej buzi. Spodenki miał całe wybrudzone błotem. Matka nachyliła się i uściskała go na przywitanie, nie wymawiając mu, że pobrudził ubranie. Pocałowała syna w ucho, kiedy zarzucił jej ręce na szyję.

Potem wyprostowała się i powiedziała pogodnie:

- Umyj ręce, skarbie.

Nakryła kuchenny stół i podeszła do drzwi salonu.

- Roger, podwieczorek gotowy.

Na stole pojawiły się kanapki, dzbanek mleka, bułeczki i truskawki, a do nich bita śmietana.

- Roger przychodzi na obiad w południe, tak samo jak dzieci - wyjaśniła. - Mam nadzieję, że się najesz.

Cassie od wielu dni nie potrafiła nawet patrzeć na obfite posiłki. Widok jedzenia wywoływał u niej mdłości. Zakryła usta dłonią.

- Przepraszam - wydusiła i pobiegła do łazienki. Romla przysła do niej minutę później.

- Może położysz się do łóżka? Potem przyniosę ci filiżankę herbaty.

Po godzinie zjawiła się z herbatą i bułeczkami, już bez truskawek i śmietany. Usiadła na brzegu łóżka.

- To nie jest przyjemne, co? - zapytała. Cassie z wdzięcznością wypila łyk gorącego płynu. Romla odezwała się po

chwili. - Co czujesz w tej sytuacji, wobec tego, że pozbywasz się dziecka? Cassie zastanowiła się.
- Nie potrafię myśleć o tym jako o dziecku. To dla mnie kłopot, który może zamienić się w tragedię. Nie jest istotą ludzką, dopóki się nie urodzi. Równie dobrze mógłby to być guz. Nie mam poczucia winy, jeśli o to pytasz.

Romla usiadła wygodniej w nogach łóżka.

- Nie wiem dokładnie, o co pytam. Może chcę się dowiedzieć, jaki jest twój stosunek do mężczyzny, który wpędził cię w ten stan.

- Obwiniam o to również siebie. Ale chyba czuję do niego jakąś niechęć, bo on nawet nie wie, przez co muszę przejść i to właśnie ja ponoszę wszystkie koszty. Oczywiście, to nie jego wina, że jest tak daleko.

- Chciałabyś wyjść za niego za męża?

- Och, tak. Kocham go.

- Więc dlaczego to robisz? To, rzecz jasna, nie moja sprawa. Pytam z ciekawości. Czy on cię nie kocha?

- Wszystko przez wojnę. Wyjechał, kiedy jeszcze nie wiedziałam, że jestem w ciąży. Ożeniłby się ze mną. Kochamy się. Ale musiał wyjechać, zanim poczyniliśmy jakiegokolwiek plany. Nawet nie wiem, gdzie teraz jest. Nie mogę się z nim skontaktować.

- I to cię tak bardzo zasmuca, nawet bardziej niż ciąża?

- To widać, że jestem smutna? Serce mi pęka, że wyjechał. Nawet się nie pożegnaliśmy. Nie mam żadnych wyrzutów sumienia z powodu tej decyzji. - Przypomniała sobie zabieg, który przeprowadziła w Bagley Waters, gdzie rodzice dziewczyny nigdy się nie dowiedzieli, że córka była w ciąży. Kiedyś musi z nią porozmawiać i ostrzec ją, żeby więcej tak nie ryzykowała, żeby się zabezpieczyła. Ona sama następnym razem zachowa się rozsądniej. - Może

podświadomie nie mam nic przeciwko tej ciąży. Połączyłaby nas. Bardzo chciałabym urodzić jego dziecko, i to nie jedno. Ale nie teraz, kiedy jestem sama i niezamężna. Nie...

- zamilkła.

- W zeszłym roku też usunęłam ciążę - wyznała Romla.

- Nawet Chris o tym nie wie. A Roger nie ma najmniejszego pojęcia. Nie planowałam kolejnego dziecka. Chociaż uwielbiam Terry'ego i Pam, za żadne skarby nie chciałabym być jeszcze bardziej uwiązana w domu. Ciągłe mi się wydaje, że życie to coś więcej niż gotowanie i sprzątanie, więc po prostu nie chciałam... Nie doznałam wyrzutów sumienia. Czułam tylko ulgę, że już nie jestem w ciąży. Wydawało mi się, że byłam ostrożna. Nie wiem, jak to się stało. Niektóre młode kobiety, które przysyła mi tu Chris, mają ogromne poczucie winy. Rodzice wbili im do głowy, że seks przed ślubem to najgorszy grzech, jaki może popełnić kobieta. Płakały przez cały czas pobytu w moim domu. Roger nie mógł tego zrozumieć. Ale z natury nie jest ciekawski.

Przez chwilę siedziały w milczeniu. Cassie spróbowała babeczek i dokończyła herbatę.

- Czy przyjaźnicie się z moim bratem? - zapytała w końcu Romla.

Cassie spojrzała na nią.

- Tak nie mogę powiedzieć. Prawdę mówiąc, uważałam go za ostatniego człowieka, któremu chciałabym się zwierzyć. Ale moja najlepsza przyjaciółka jest w Irlandii. Mój pilot i zarazem dobry przyjaciel wyjechał na wojnę, a poza tym, gdyby się dowiedział, byłby mną rozczarowany. A ojciec dziecka... sama wiesz. Nie miałam do kogo się zwrócić. Już przedtem pomagaliśmy sobie nawzajem, ale nigdy nie byliśmy bliskimi przyjaciółmi.

- Mieliśmy nieudanych rodziców - wyznała Romla. - Nie

wiem, jak to się stało, że wyrośliśmy na normalnych ludzi. A potem Iza tak krótko go trzymała. Dziwię się, że wytrwali tam tyle lat, bo wiem, że jej się to wcale nie podobało. To chyba jedyna rzecz, jaką Chris kiedykolwiek świadomie zrobił jej na złość.

- Wszyscy, których znam, bardzo ją lubili. Romla spojrzała na nią ponuro.

- No to spójrz na mnie. Ja jej nie lubiłam.

Rozdział trzydziesty

Cassie doszła do wniosku, że każdy lekarz powinien choć raz sam na sobie doświadczyć, co to znaczy być poddanym operacji chirurgicznej. Ona wiedziała, że zabieg łyżeczkowania macicy jest prosy, więc się nie denerwowała. Doktor Hatfield odnosił się do niej bardzo formalnie, ale ze zrozumieniem. Romla zapisała ją do niego jako panią Mary Stewart. Hatfield nie kwestionował jej decyzji, nie zadawał osobistych pytań. Chciał tylko wiedzieć, czy jest pewna swojej decyzji. Nie wahała się ani chwili.

- Na tym etapie życia nie chcę dziecka.
- Teraz panią zbadam, żeby sprawdzić, który to tydzień.
- Między trzecim i połową a piątym - odparła.
- Jest pani pewna?
- Najzupełniej. - Wynik testu był pozytywny.
- Wytlumaczę pani, co będę robił.

Już chciała powiedzieć, że wie, że sama z różnych powodów wykonywała łyżeczkowanie, tylko nie dla usunięcia ciąży. Jednak zachowała się tak, jakby wszystko to było dla niej nowe i uważnie go wysłuchiwała. Podobały się jej wyjaśnienia lekarza. Zastanawiała się, czy nie powinna

dokładniej tłumaczyć swoim pacjentom, co ma zamiar robić. Może to złagodziłoby trochę ich strach.

- Czy mogę przepisać pani krążek? - zapytał po udzieleniu wyjaśnień. - Przecież nie chce pani drugi raz przechodzić przez to samo.

Miała tuziny krążków w swojej szafce w Augusta Springs, ale zgodziła się i przyznała, że rzeczywiście, chciałyby w przyszłości uniknąć podobnych przejść.

Jeszcze nigdy nie usypiano jej eterem. Starła się zachować przytomność tak długo, jak tylko możliwe, żeby wszystko zapamiętać i lepiej rozumieć odczucia pacjentów. Jednak wkrótce straciła świadomość i pamiętała tylko, że czuła złość na Blake'a. Może on dzielnie walczy na wojnie, ale to ona płaci za ich wspólne przeżycia. Wiedziała, że tak jest od początku dziejów. Głośno powiedziała tylko: „Do diabła z wszystkimi mężczyznami”. Kiedy się obudziła, zobaczyła na ścianie zegar, ale chociaż wyteżała wzrok, nie potrafiła odczytać godziny..

- Przez kilka godzin będzie się pani czuła słabo, więc proszę nie wstawać - powiedział jakiś łagodny głos. - Pani przyjaciółka przyjdzie po panią około czwartej.

Lekarz przyszedł do niej tuż przed czwartą.

- Romla już tu jest. Istnieje niebezpieczeństwo krwotoku, więc proszę przez dwa dni leżeć w łóżku. Jeśli w ciągu dwudziestu czterech godzin nic się nie zdarzy, może pani spokojnie wracać do domu.

- Nie wiem, jak panu dziękować. - Przynajmniej zniknęły mdłości.

- Gdyby coś przydarzyło się któremuś z moich dzieci, to byłaby dla mnie najgorsza tragedia. Za niemal równe nieszczęście uważałbym sprowadzenie na świat nie chcianego i nie kochanego dziecka. Podobnie tragiczne jest unieszczęśliwienie kobiety na całe życie z powodu chwilowej namięt-

ności. Cieszę się, że mogłem pani pomóc. W przyszłości proszę uważać. Krażek jest w tym pudełku. Niech pani z niego korzysta. - Uśmiechnął się życzliwie. - I proszę pozdrowić doktora Adamsa. To dobry człowiek. Romla już na nią czekała.

- Chodź, położymy cię do łóżka. Mam dla ciebie dobrą książkę. Wkrótce dojdiesz do siebie. Jak się czujesz?

- Trochę słabo, ale poza tym nic mi nie jest. Nie czuję bólu. I wreszcie nie mam mdłości. To było rzeczywiście łatwe.

Rano Cassie czuła się niemal tak jak dawniej. Nawet wstała na śniadanie. Roger wyszedł już do pracy, ale Romla zostawiła dla niej herbatę, owsiankę i świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy. Pam i Terry poszli do szkoły. Cassie ani razu nie widziała Pameli, być może dlatego, że Romla sobie wcale tego nie życzyła.

Kiedy jadła śniadanie, Romla siedziała z nią za stołem i popijała kawę, od czasu do czasu zrywając się z miejsca, żeby podnieść jakąś zabawkę czy przesunąć jakiś przedmiot.

- Chciałabym mieć duży dom. W większych pokojach bałagan nie rzuca się tak w oczy.

- Czy myślałaś kiedyś o tym, żeby zacząć pracować? -zapytała Cassie. - Wtedy byłoby was stać na większy dom. Wiem, że policjant nie zarabia zbyt dużo.

- Praca? - zdziwiła się Romla. — Co mogłabym robić? A Roger wpadłby w szal.

- Dlaczego? Woli, żebyś siedziała w domu, sprzątała i narzekała?

Romla roześmiała się.

- Wpadłby w szal - powtórzyła. - A poza tym, ja nic nie potrafię.

Cassie popatrzyła na nią.

- Pomyśl o tym.

- Nie chcę wywoływać awantury. Na pewno bym się poddała i nie potrafiła przekonać Rogera.

- Zawsze wydawało mi się, że niesprawiedliwie jest oskarżać mężczyznę, że za mało zarabia. Kobieta jest w stanie sama zarobić na to, czego pragnie. Roger jest policjantem. Chce nim być. Jeśli czuje się winny, że tak mało zarabia, to będzie miał ci za złe, jeśli dasz mu do zrozumienia, że powinien zmienić pracę.

Romla spojrzała przeciągle na Cassie. Potem wstała i uporządkowała jakieś drobiazgi na niskim stoliku.

- Wiesz, jakie to nudne nie mieć nic innego do roboty poza wycieraniem kurzu, praniem, zmywaniem i planowaniem posiłków? Słucham opowieści swoich dzieci i opowieści męża. Z tego składa się moje życie.

- A kto wysłuchuje twoich opowieści?

- Ty - odparła z uśmiechem.

- Masz wiele drobnych obowiązków, które wypełniają ci dzień, ale mnie się wydaje, że jesteś osobą, która potrzebuje jakiegoś wyzwania, zajęcia dla umysłu.

- Mój Boże. - Romla znowu usiadła i na moment ujęła dłoń Cassie. - Znamy się niewiele ponad dwadzieścia cztery godziny, a jesteś pierwszą osobą, która zajrzała do wnętrza mojej duszy i zobaczyła, co się tam kryje.

- Położyła rękę na piersi. Przez minutę panowała cisza.

- Czasami czuję ból - odezwała się wreszcie Romla.

- Zastanawiam się, czy coś jest ze mną nie w porządku. Dlaczego nie czuję się szczęśliwsza? Mam dwoje ukochanych dzieci i męża, który mnie nie zdradza. Wychowano mnie w przekonaniu, że małżeństwo i macierzyństwo to wszystko, czego potrzeba do szczęścia, ale ja czuję taką rozdzierającą tęsknotę. Chyba nie chodzi

tu tylko o pieniądze, chociaż one też się liczą. Chcę coś osiągnąć, chociaż sama nie wiem co. I odkryłam, że mężczyzna nie jest lekiem na wszelkie choroby.

- No, tak - odparła Cassie, dopijając herbatę. - Przynajmniej nie taki jak twój mąż.

Romla gwałtownie uniosła głowę. Cassie zagryzła wargę.

- Och, przepraszam cię. Wcale nie to zamierzałam powiedzieć. Chodzi mi o to, że... - Oblała się rumieńcem zakłopotania. Jak mogła powiedzieć coś takiego komuś, kogo ledwie znała.

- Nic nie szkodzi. Mówisz głośno to, o czym ja staram się nie myśleć. Tak. Roger wraca do domu i siedzi w fotelu albo wychodzi i gra w rzutki z sąsiadem, albo... Nigdy nie rozmawiamy, chyba że o dzieciach lub... Nigdy o moich prawdziwych odczuciach. Wiesz, w czym się zakochałam? W jego mundurze. Miałam wtedy siedemnaście lat, a Roger dwadzieścia trzy. Zobaczyłam go na skrzyżowaniu ulic, jak kierował ruchem, i wydał mi się najprzystojniejszym mężczyzną pod słońcem. Postanowiłam, że musi mnie zauważyć. Nie wiedziałam, że pod tym mundurem nie ma nic. Boże, czuję się taka winna, kiedy to mówię. Dotąd nie pozwalałam sobie nawet tak pomyśleć.

- Lepiej, żebyś o tym myślała - poradziła Cassie. W tej chwili zadzwonił telefon.

Romla przez kilka minut rozmawiała z ożywieniem, a potem wróciła do saloniku.

- Chris prosi cię do telefonu.

Sztywnemu tonowi jego głosu towarzyszyły trzaski na linii.

- Pomyślałem sobie, że Sprawdzę, czy wszystko w porządku.

- Czuję się dobrze. Chyba pojutrze złapię autobus do domu.

- Świetnie. Chciałem się tylko upewnić, że nie ma żadnych komplikacji.
- Dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. Twoja siostra jest cudowna.
- Spodziewałem się, że przypadniecie sobie do gustu. Połączenie przerwano.
- Powinnaś spędzić dzień w łóżku - powiedziała Romla, kiedy Cassie skończyła rozmowę. - Dzieci wrócą późnym popołudniem, a ja mam zakupy do zrobienia. Będziesz miała ciszę i spokój.

Cassie była wdzięczna za taką propozycję.

Romla, gotowa do wyjścia, z torbą na zakupy w ręku, zatrzymała się i odrzuciła głowę w bok, tak że włosy spadły jej na twarz.

- Chyba ty i mój brat nie... Cassie uciszyła ją ruchem ręki.
- Nawet o tym nie wspominaj. Prawie nie znam twojego brata. Jesteśmy kolegami po fachu, i tyle. Poza tym, kocham kogo innego.

- Zapytałam, bo byłabym bardzo zadowolona, gdyby... - wyjaśniła niepewnie. Głośno zamknęła za sobą drzwi.

Na myśl o Chrisie jako kochanku Cassie się skrzywiła. Stary ponurak. Ostatnio trochę mięknie, ale nie wyobrażała sobie, żeby którejś ze swoich koleżanek życzyła takiego partnera. Zimny. Beznamiętny.

Nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby Chris Adams dotykał z czułością jakiegokolwiek kobiety.

Współczuła Izabeli i zastanawiała się, jak zniosła długoletnie życie z Chrisem. Mimo to uświadomiła sobie, że za każdym razem, kiedy widziała go z żoną, zawsze odnosił się do niej z troską, cierpliwością i oddaniem. Usługiwał jej i spełniał wszystkie życzenia, kiedy ona powoli ginęła w oczach.

Dwa dni później Cassie wsiadła do autobusu do Augusta Springs. Miała nadzieję, że w domu będzie na nią czekał list od Blake'a. Po jakimś czasie krajobraz stał się monotony. Miasta, w których się zatrzymywali dla odpoczynku, były mało interesujące i rzadko rozsiane. Po kilkuset kilometrach jazdy na zachód coraz więcej miast należałoby raczej nazwać osadami. Przypominały Yancannę. Kilka budynków i nic więcej. Czasami szkoła i sklep, przeważnie taki jak skład Teakle'a i Robbinsa. Pomyślała, że słusznie nazywa się tę część kontynentu krańcem świata. Tutaj kończy się cywilizacja. Chociaż już znajdowała się w domu, wydawało się jej, że tam jest centrum całego wszechświata. Po raz pierwszy od czasu, kiedy rok temu tutaj przyjechała, zdała sobie sprawę, że żyje odizolowana od cywilizacji.

Nocą drzemała, rzadko zapadając w głębszy, niespokojny sen. Gdzie jest Blake? Nie miał pojęcia, że ona jedzie przez pustkowie, wraca do domu po usunięciu ciąży. Kiedy o niej myślał, pewnie widział ją w samolocie albo na kolacji u Addiego, albo na badaniach w Tookarindze. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że znalazła się w takiej sytuacji.

Pewnie wciąż był w obozie szkoleniowym, w jakiejś bazie lotniczej w Szkocji albo w Irlandii...

Irlandia, Fiona. Czy Fiona ugrzęzła tam na dobre? Czy już nigdy nie wróci? O, Boże - Blake, Sam, Fiona... wszyscy odeszli? Czy nikt jej nie został? Jasne, jest jeszcze Horrie i Chris. Cóż, może uda jej się zaprzyjaźnić z Betty i z pielęgniarkami, szczególnie z Klarą, która być może kiedyś zostanie żoną Sama. Nie potrzebowała mężczyzn. W sercu nosiła Blake'a.

O czym w tej chwili myśli? Może w koszarach pisze do niej list? A może pije z kumplami, żeby zabawić się przed bitwą? Nie, z pewnością nie wysyłają go jeszcze na loty. Przecież wyjechał niewiele ponad miesiąc temu. Dlaczego

nie szkolili go w Australii, żeby dopiero potem wysłać do Anglii, skąd ruszały naloty na Niemcy? Może Blake wcale nie jest w Anglii. Boże, nie miała pojęcia, gdzie jest mężczyzna, którego kochała bardziej niż kogokolwiek na świecie. Nie wiedziała nawet, pod jaki adres do niego pisać.

Po powrocie zacznie co wieczór pisać do niego, a kiedy dowie się, jak się z nim skontaktować, wyśle wszystkie listy naraz. Potem będzie pisała codziennie i wysyłała mu wiadomości co tydzień. „Blake, czekam na ciebie. Będę czekała, żeby nie wiem jak długo miało to trwać. Kocham cię. Cokolwiek robisz, zawsze jesteś przy mnie, we mnie. Stałeś się częścią mojej duszy.” Zastanawiała się, jakim cudem jeszcze daje sobie bez niego radę. Miała wrażenie, że zanim go poznała, nie żyła naprawdę. Zamknęła oczy i przypominała sobie dotyk rąk Blake'a, jego usta na swoich. Wyobrażała sobie, że ich ciała się dotykają, że leżą nago obok siebie, on wodzi dłonią po jej ramieniu, wtula się ustami w jej szyję. Przywoływała słowa, które szeptał, słowa miłości... Nagle usiadła prosto i otworzyła oczy. Czy kiedykolwiek powiedział „kocham cię”? Nie mogła sobie przypomnieć. Ale na pewno powiedział. Wszystkie jego słowa, czyny, sposób, w jaki jej dotykał... jak patrzył. Nikt jeszcze tak na nią nie patrzył, jakby znał każdą jej myśl, jakby wniknął w duszę. Kiedy w nią wchodził, stawali się jednością. To nie było tylko romantyczne wyobrażenie, to była rzeczywistość. Stanowili jedność. Nikogo na całym świecie nie łączyło to, co ich dwoje. On myślał tak samo jak ona, niczym w zaczarowanej krainie.

Znowu zamknęła oczy.

Na pewno jej powiedział, że ją kocha.

Chociaż bardzo się starała, nie potrafiła sobie tej chwili

przypomnieć. Ale to nie miało znaczenia. Jego czyny świadczyły o uczuciu. Jednak wolałaby to usłyszeć, żeby mieć co wspominać. Te słowa dodawałyby jej otuchy i pewności. Rano, kiedy dotarli do Augusta Springs, nie potrafiła stwierdzić, czy jej depresja została wywołana ostatnimi ciężkimi przejściami, czy tym, że nie mogła sobie przypomnieć, żeby Blake kiedykolwiek wyznał jej miłość.

Rozdział trzydziesty pierwszy

W Augusta Springs czekał na Cassie nowy pilot oraz list od Fiony.

Warren Plummer przybył tydzień wcześniej. Był to sympatycznie wyglądający mężczyzna po czterdziestce, który niczym szczególnym się nie wyróżniał. Miał brązowe oczy, ciemne włosy i jasną skórę. Często się uśmiechał i za dużo palił, ani razu nie pytając Cassie, czy nie przeszkadza jej dym. Był chudy i przedwcześnie przygarbiony.

Razem z żoną Mary zajął dawną kwaterę Sama.

Mary, ładna kobieta o ciemnych oczach i włosach, ale jasnej cerze oznajmiła już pierwszego dnia:

- Nie wiem, gdzie pomieścimy dzieci, kiedy przyjadą do nas na święta. - Ich troje nastoletnich dzieci uczyło się w szkołach. - Mieszkają z moją rodziną w Melbourne - wyjaśniła żona pilota.

Przy pierwszym spotkaniu z nimi Cassie nie odniosła zbyt korzystnego wrażenia, ale tłumaczyła sobie, że każdy, kto usiłuje zająć miejsce Sama, budzi w niej odruchową niechęć.

- Jeśli jutro podczas porannej sesji nie dostaniemy jakiegoś pilnego wezwania, wylecimy na zwykłe badania do

Witham Downs. To jest na południu, na terenach, gdzie hoduje się owce. Znajduje się tam izba chorych.

Warren skinął głową.

- Przystudiuję mapę.

Cassie zaczęła z lekturą listu od Fiony do czasu, aż została sama. Kiedy czytała pierwsze zdanie, coś ścisnęło ją za gardło.

Mój ojciec zmarł w zeszłym miesiącu. Chociaż bardzo nam go brakuje, czujemy ulgę. Przez ostatnie tygodnie bardzo cierpiał. Moja matka dzielnie się trzyma. Kiedy dostaniesz ten list, ja być może będę już w drodze do domu. Z powodu toczącej się wojny i zagrożenia nalotami moja matka chce, żebym wyjechała. Błagałam ją, by przeniosła się do Australii razem ze mną, ale ona twierdzi, że tutaj jest jej dom. Żyje tu w otoczeniu reszty rodziny i legionu przyjaciół. Rozumie, że muszę żyć własnym życiem i że moim domem jest teraz inny kraj.

A teraz nowina. Spotkała Blake'a Thompsona. Stacjonuje pod Dublinem w bazie sił powietrznych. Wpadliśmy na siebie przez czysty przypadek. Pojechałam do Dublina, gdzie co tydzień zwijam bandażę dla Czerwonego Krzyża. Mają tam ośrodek dla żołnierzy przebywających z dala od domu, gdzie można napić się kawy i coś zjeść. Właśnie tam zobaczyłam nagle jego znajomą twarz. Był równie zaskoczony jak ja. Ogarnęło nas takie dziwne uczucie. Sama nie wiem, jak je nazwać, ale było nam przyjemnie. W końcu tego dnia zjedliśmy razem kolację, a kilka dni później wybraliśmy się do kina i na tańce razem z jego trzema kolegami. To niezła zabawa być jedyną kobietą w grupie czterech mężczyzn. Blake w mundurze wydaje się jeszcze przystojniejszy. On i jego koledzy zachowują się tak, jakby

to oni osobiście mieli wygrać wojnę. Cudownie było zobaczyć znajomego. Przed moim wyjazdem zamierzamy jeszcze raz się spotkać.

W każdym razie, najdroższa Cassie, wracam do domu... i muszę ci powiedzieć, że bardzo się z tego cieszę. Wydaje mi się, że minęły całe wieki od czasu, kiedy ostatni raz siedziałyśmy razem do białego rana, rozmawiając o życiu.

Cassie podniosła wzrok znad listu. Miotają ją sprzeczne emocje. Fiona wraca do domu. Dzięki Bogu. Blake jest w Irlandii, śmieje się, chodzi do kina i na tańce? Blake bawi się z kumplami, podczas gdy ona boryka się tu z takimi problemami?

Jak to się stało, że dotarł do niej list od Fiony, ale nie od niego? Dlaczego nic nie napisał?

Minęło dziesięć dni, a list od Blake'a wciąż nie nadchodził. Dni zamieniły się w tygodnie. Życie Cassie znów nabrało rutynowego rytmu, tylko loty z Warrenem nie były tak przyjemne jak z Samem. Warren z pewnością był dobrym pilotem. Nauczył się odnajdować domostwa i odległe farmy. Chętnie pomagał jej w nagłych wypadkach, ale brakowało mu pewnych cech Sama. Jakich? Może jego śmiałości i brawury? Może zdolności do wynajdywania śmiesznych stron w codziennych sprawach? Sam zawsze dodawał jej otuchy i w trudnych chwilach pokrzepiająco kładł dłoń na ramieniu.

Nowy pilot był ostrożniejszy niż Sam. Nie, tak nie można powiedzieć, bo przecież Sam był doskonałym lotnikiem. Może po prostu Sam chętniej podejmował ryzyko. Potrafiłby wylądować na znaczku pocztowym. Latał pod warstwą

chmur, na wysokości stu pięćdziesięciu metrów, jak gdyby nigdy nic. Kiedy widział, że nadchodzi burza, wręcz cieszył się z wyzwania, jakie niesła potrzeba jej wyminięcia lub zmierzenia się z nią. On nigdy nie ryzykował głupio, a Warren nie ryzykował wcale.

Minęło kilka tygodni, zanim Cassie zrozumiała, co jej się w Plummerach nie podoba. Warren i Mary byli tacy... nudni. Mary pracowała kiedyś jako pielęgniarka, więc chętnie pomagała w szpitalu, a nawet zgadzała się latać z nimi na badania. Cassie wydawało się, że Mary wykonuje te obowiązki z przyjemnością, ale kobieta nigdy nie dała tego po sobie znać. Ona i Warren byli bardzo podobni. Konkretni i zrównoważeni. Wykonywali swoją pracę, nie podnosili głosu, nie mówili wiele. Starannie rozważali każde posunięcie.

Cassie podobało się, że nie robią różnicy między aborygenami i białymi pacjentami, więc zaczęła coraz częściej zapraszać Mary, żeby towarzyszyła im w regularnych wyjazdach. Pozwalała jej wyrywać zęby i szczepić dzieci, a sama zajmowała się bardziej skomplikowanymi przypadkami. W ten sposób byli w stanie odwiedzić więcej miejscowości albo o połowę skrócić czas pracy. Mary nie wylatywała do nagłych wezwań, ponieważ w samolocie nie było miejsca dla dodatkowego pasażera, kiedy trzeba było zabierać pacjentów i butle z tlenem. Jednak po jakimś czasie zawsze brała udział w rutynowych badaniach.

Cała radość zniknęła z życia Cassie, Sam wyjechał i nie dzielił już z nią codziennej pracy, zmartwień i sukcesów. Nie mogła omawiać z nim problemów. A Blake... Cassie zaczęła cierpieć na bezsenność. Wciąż nie miała żadnej wiadomości od ukochanego.

Do Tookaringi przyszedł tylko jeden list, w którym znajdował się numer poczty polowej Blake'a. Cassie czuła, że coraz bardziej upodabnia się do Mary. Podchodzi do życia z rozsądkiem, spełnia swoje obowiązki, ale nie czerpie z niego żadnej radości. Może właśnie tak się dzieje podczas wojny. Nie martwiła się o Blake'a, raczej czuła na niego gniew. Och, wróć do domu, Fi. Muszę z tobą porozmawiać. A może Fiona przywiezie od niego list. Uśmiechnie się, schowa go za plecami i będzie się z nią przekomarzać. Powie: „Zgadnij, co dla ciebie mam!”

Pewnego wieczora Cassie właśnie położyła się do łóżka, kiedy tuż po dziesiątej zadzwonił telefon.

Tak niewiele domów w interiorze miało linie telefoniczne, że dzwonek zawsze ją zaskakiwał.

Dzwonił Steven Thompson. Kiedy tylko się odezwał, Cassie usłyszała w jego głosie panikę.

- Cassie? Chodzi o Jennifer. Naprawiała lodówkę na naftę, kiedy wszystko nagle wybuchło!

Cassie natychmiast oprzytomniała.

- O, mój Boże!

- Jennifer nic nie widzi. Oślepla! Rozcięła sobie głowę i mocno krwawi. Cassie!

Nie mogła od razu tam lecieć^ Trzeba było zaczekać do świtu. Sam dobrze znał drogę i gdyby tu był...

Mój Boże, stracili dzieci, bo nie było pod rękę lekarza, a teraz Jennifer...

- Steven, wystartujemy przed świtem. Zaraz ci powiem, co masz tymczasem robić.

- Chryste, Cassie, ona nie może umrzeć!

- Oczywiście, że nie.

Nie mogła zasnąć. Myślała tylko o Jennifer, oślepionej, krwawiącej, poparzonej. O czwartej trzydziści zadzwoniła do Warrena.

- Musimy natychmiast wyruszyć - oznajmiła mu. Kiedy wzbiją się w powietrze, już zaczną się rozjaśniać.

Z bazy zatelefonowała do Chrisa, chociaż wiedziała, że go obudzi. On jednak natychmiast podniósł słuchawkę i odezwał się przytomnym głosem.

- Chris, przepraszam, że dzwonię tak wcześnie. Jennifer Thompson jest ciężko poparzona. - Powiedziała mu, czego dowiedziała się od Stevena. - Właśnie tam lecę. Jeśli jest tak źle, jak mówił Steven, sami tutaj nie damy sobie rady, prawda? Szczególnie, jeśli okaże się, że to poparzenia trzeciego stopnia.

Oczywiście widziała, jak skinął głową.

- Najlepsza klinika leczenia poparzeń jest aż w Adelajdzie,

- Tego się obawiałam. Jeśli uznam, że Jennifer jest w bardzo złym stanie, polecimy od razu tam, chociaż pewnie zabierze nam to osiem albo dziesięć godzin. Zadzwońisz do nich i uprzedzisz, że przywieziemy pacjentkę?

- Oczywiście. - Przez chwilę się wahał. - Chciałabyś, żebym poleciał z wami?

- Nie musisz tego robić. Jeśli jeden lekarz nic nie poradzi, to i dwóch nie zda się na wiele.

- Podtrzymam cię na duchu. Wiem, że ta kobieta jest ci bardzo bliska.

Mój Boże, Chris stawał się coraz bardziej ludzki. Czy chciałaby, żeby z nimi poleciał?

- Za dziesięć minut startujemy.

- Będę tam za kwadrans. Zaczekajcie na mnie. Uświadomiła sobie, że to niedziela, jego wolny dzień.

Warren już poleciał do Tookaringi, miesiąc przedtem, więc znał lądowisko. Kilku ludzi machając rękami naprowadziło go na pas. Cassie wyskoczyła z samolotu, chwyciła torbę

i pobiegła do domu. Chris podążył tuż za nią. Jeszcze nigdy tu nie był.

Jennifer leżała w łóżku. Miała tak zniekształconą twarz, że Cassie z trudem ją rozpoznała. Oddychała z trudem. Steven, z nabiegłymi krwią oczyma, siedział obok żony i trzymał ją za rękę.

- Jest nieprzytomna - powiedział głosem równie zmienionym jak twarz Jennifer.

Dzięki Bogu, pomyślała Cassie, pochylając się nad przyjaciółką.

Chris stanął po drugiej stronie łóżka i również nachylił się nad pacjentką.

- Mój Boże - wyszeptał.

Jakkolwiek to się skończy, Jennifer nigdy już nie będzie piękna, pomyślała Cassie. Ale to nie miało znaczenia. Czy kiedykolwiek odzyska wzrok? Czy w ogóle przeżyje?

Jennifer drżała, jej ramiona pokrywała gęsia skórka.

- Zapalenie płuc - orzekł Chris.

Cassie też już to stwierdziła. Spojrzała pytająco na Adamsa.

- Adelajda?

- Tak.

Wcale nie był jej tu potrzebny. Nie potrafił uspokoić łomoczącego serca ani złagodzić ucisku z żołądka.

- Natychmiast zabieramy ją do kliniki leczenia poparzeń w Adelajdzie - powiedziała do Stevena.

Boże, czy Jennifer przeżyje lot? - Dam jej zastrzyk nasenny, żeby nic nie czuła. Pośpiech ma tu podstawowe znaczenie.

Steven spojrzał na Chrisa, który potakująco skinął głową.

- Lecę z wami - powiedział Steven.

- Oczywiście. - Cassie położyła mu rękę na ramieniu. Odwrócił się, objął ją i wybuchnął płaczem.

- Cassie, ja nie potrafię bez niej żyć.

- Ruszajmy - ponaglił ich Chris.

Cassie zakłęła w duchu. Chris nie umie rozmawiać z rodzinami pacjentów. Nie wie, jak zachować się przy umierających. Po co go tu przywiozła?

Ale Chris już wziął Jennifer na ręce i niósł do samolotu. Trzymał ją, jakby nic nie ważyła, jakby jej zwęglona, poparzona skóra nie wydzielala okropnej woni, a zdeformowana twarz nie napelniała odrazą. Moze to dobrze, ze z nią tu przyleciał. Ani ona, ani Steven nie potrafiliby odnieść się do Jennifer tak beznamietnie.

Warren napelnil zbiorniki benzyną. Po drodze do Adelajdy będą musieli przynajmniej dwa razy się zatrzymać, żeby uzupełnić paliwo. Cassie modliła się w duchu o dobrą pogodę.

Jej błagania zostały spełnione. Kiedy tylko wzbili się w powietrze i wyrównali lot, wyjęła z torby bandaż.

- Ja to zrobię - zaproponował Chris.

Delikatnie opatrzył twarz i ramiona Jennifer, żeby ochronić uszkodzoną skórę. Nie musieli już patrzeć na potworne oparzenie, chociaż cały czas czuli woń spalenizny.

Cassie zastanawiała się, dlaczego jest tak gorąco. Temperatura dochodziła chyba do czterdziestu stopni. Jennifer na przemian pokrywała się gęsią skórka i potem, a im dalej na południe, jej oddech stawał się coraz cięższy.

To było siedem najdłuższych godzin w życiu Cassie. Przez cały czas Steven nie odezwał się ani słowem. Siedział przy noszach żony, dotykał jej i bezgłośnie poruszał ustami.

Kiedy przelatywali nad jeziorem Eyre, sześćset czterdzieści kilometrów na północ od Adelajdy, oddech Jennifer stał się urywany, a pierś unosiła się z wysiłkiem. Z półotwartych ust wydobywało się rzeżenie.

Steven spojrzal na Cassie przerażonym wzrokiem, a ona z kolei popatrzyła na Chrisa. Adams potrzaskał głową. Cassie wstała, podeszła do Stevena, otoczyła go ramieniem i razem z nim nachyliła się na Jennifer.

Śmiertelne drgawki.

Zaskoczona spostrzegła, że Chris przygląda się Stevenowi i nie jest w stanie oderwać oczu od zrozpaczonego człowieka.

Nagle ucichł świszczący oddech i zduszone, przypominające łkanie jęki. Pierś Jennifer przestała się unosić.

Steven rzucił się na nosze i chwycił żonę za rękę.

- Nie, nie, nie!

Rozdział trzydziesty drugi

Nikt nie potrafił pocieszyć Stevena. Po powrocie do domu zupełnie wycofał się z życia. Zrezygnował z udziału w radzie Powietrznej Służby Medycznej. Kiedy odwiedził go Don McLeod, przyjął gościa bardzo oschle. Nie pokazywał się, kiedy Cassie przyjechała do Tookaringi na zwykłe comiesięczne badania. Zamierzała jak zwykle zostać na noc i zjeść ze Stevenem kolację, w nadziei że oderwie go od rozmyślań o tragedii. Ale gospodarz się nie pojawił, więc tego samego dnia wrócili z Warrenem i Mary do Augusta Springs.

Następnym razem, gdy pojechała tam na badania, Steven czekał na nią. Włożył jej w ręce list od Blake'a. Kiedy przeczytała, zabrał go i wrócił do swojego gabinetu. Tego dnia więcej już go nie widziała. List był pełen żalu po stracie matki i wspomnień o niej. Były w nim wyrazy współczucia dla ojca, ale ani słowa o nim samym, o wojnie i nic o Cassie.

Od trzech miesięcy nie dostała żadnej wiadomości od Fiony, ale za to przyszedł list od Sama.

Kochany Doktoru,

Zaskoczyłem Cię, prawda? Założą się, że nie oczekiwałaś ode mnie żadnej wiadomości.

Codziennie się zastanawiam, co się tam dzieje, komu urodziło się dziecko, kto umarł i w ogóle co słychać. Mam nadzieję, że nowy pilot jest dobry (jeśli pracuje dla Quantas, to musi być dobry), ale bez przesady. Jak Ci mówiłem, mam zamiar wrócić i znów pracować dla latających doktorów.

U mnie jest szaro i zimno. Wszyscy tu pragną tylko polecieć na drugą stronę Kanału i zabić tylu Niemców, ilu się da, nawet niewinnych starców, kobiety i dzieci. Chyba nie mogą być tacy niewinni, skoro godzą się z maniackimi planami tego szaleńca.

Większość czasu spędzam jako instruktor. Mamy niewielu wyszkolonych pilotów, więc musimy uczyć innych, chociaż wolelibyśmy walczyć. Tak, chcę być bohaterem. Chcę mieć pierś obwieszoną medalami. Chciałbym kiedyś wrócić do domu i zobaczyć, że patrzysz na mnie jak na bohatera.

Chciałbym latać ze strzelcem, który strąciłby z nieba wszystkie hitlerowskie Messerschmitty.

To przemówił przede mną mały chłopiec. A dorośli mężczyzna obawia się, że wojna tak szybko się nie skończy. Może trwać jeszcze parę lat. Dźwięk syren alarmowych złowrogo przeszywa powietrze nad Anglią. Zaczynamy się do tego przyzwyczajać. W głębokich schronach przeciwlotniczych panuje prawdziwie braterski duch. Przyjaźnie szybko się nawiązują i ludzie zbliżają się do siebie łatwiej niż gdziekolwiek indziej. Spotykasz tam ładną dziewczynę i zanim jeszcze wieczór dobiegnie końca, już się z nią całujesz, chociaż nawet nie wiesz, jak się nazywa. W normalnych czasach takie rzeczy się nie zdarzają.

Uznaj to za swój patriotyczny obowiązek i napisz do

samotnego lotnika, żeby nie upadał na duchu i nie tracił kontaktu z domem. Myślę o was wszystkich i niecierpliwie czekam na wiadomość.

Pozdrowienia Szczerze oddany Uściski Sam

List od Sama nadszedł w siedem miesięcy po jego wyjeździe i w osiem miesięcy po wyjeździe Blake'a. Cassie miała całą stertę notatek, które zapisywała z nadzieją, że kiedyś wyśle ukochanemu. Były to listy pisane w samotne wieczory. Przejrzała je i wyrzuciła wszystkie, które mówiły o miłości. Resztę włożyła w dużą kopertę i wysłała do Sama.

Bertie Martin i jej siostra Andy przyjechały do miasta. W sobotnie popołudnie zaparkowały zniszczony samochód przed domem Cassie, weszły do salonu i zawołały ją po imieniu. Usłyszała je z kuchni.

Bertie uściskała Cassie i ruchem głowy wskazała na siostrę. Mogły być bliźniaczkami, obie miały jednakowe figury i jasne włosy. Uwagę zwracały ich zgrabne, wysokie sylwetki, sprężyste, koci chód i emanująca z nich siła. Zarazem była w nich jakaś słodycz, niewinność i nieodparta pogoda ducha.

- Przywiozłam Andy, żeby sobie obejrzała miasto. Cassie ucieszyła się na ich widok.
- Zdaje się, że specjalnie przyjechałyście w sobotę, żeby się wybrać na tańce. - Bertie kiwnęła głową.
- Boję się, że będziecie rozczarowane. Zostało tu niewielu mężczyzn.

Bertie rozsiadła się na kanapie i wytarła chusteczką kurz z twarzy.

- Dlaczego? - zapytała.

- Wszyscy poszli na wojnę. Bertie i Andy popatrzyły po sobie.

- Nie bujasz? - zapytała młodsza. - Wszyscy?

- No, niezupełnie, ale prawie. Tańce się odbywają, ale nie są takie, jak dawniej.

- A ten kucharz? - zaciekawiała się Bertie. - Jest czy też wyjechał?

- Cully? Wciąż tu jest. Chyba ma płaskostopie czy coś takiego. Słyszałam, że nie przyjęli go do wojska.

- Pewnie za chudy - stwierdziła Bertie. - Ale za to jak gotuje.

Wyjechały dwa dni później, rozczarowane miastem, które wyglądało zupełnie inaczej niż podczas poprzedniej wizyty Bertie.

- Zaproponowałam Cully'emu pracę - powiedziała Bertie. - Ale on nie chce mieszkać tak daleko od miasta. Nie jest zbyt gadatliwy, co?

W następnym tygodniu przyjechał Don McLeod z Margaret, która okazała się śliczną dziewczyną z kruczoczarnymi, spiętymi w kok włosami i oczami tak jaskrawoniebieskimi jak skorupka jajka drozda.

Cassie zaproponowała, żeby zatrzymali się u niej i przenocowali w pokoju Fiony. Zaprosiła też na obiad Horriego i Betty wraz z niedawno urodzonym dzieckiem. Zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy zaprasza gości, od czasu gdy dwa lata temu, w drugim tygodniu jej pobytu w mieście, wydały razem z Fioną proszoną kolację. Cóż, może powinna urządzić prawdziwe przyjęcie. Zaprosi Warren'a i Mary, może również

Chrisa. Czula, że ma wobec niego zobowiązania. Podejrzewała, że po śmierci Izabeli dokucza mu samotność. Widywała go, tylko kiedy pomagali sobie nawzajem albo w szpitalu.

Bardzo cieszyła ją umowa, którą zawarli bez słów. Dzięki niej jej praca stała się o wiele bardziej interesująca. Bez pomocy doktora Edwardsa, Chris był zbyt zajęty, żeby zajmować się pacjentami PSM, więc pozwalał jej ich operować. Była też w stanie otoczyć ich opieką po operacji i w ten sposób, jak nigdy przedtem, poznawała lepiej coraz to nowych mieszkańców interioru. Chociaż Chris był jak dawniej pełen uprzedzeń i ciasno pojmował świat, co doprowadzało ją do szału, lubiła z nim pracować. Poza szpitalem nie bardzo się zgadzali, ale jedno polegało na fachowych opiniach drugiego i doceniali swoje umiejętności chirurgiczne. Chris przeszkolił siostrę Klarę w anestezjologii, dziewczyna jednak miała wkrótce wyjechać i przyłączyć się do sił zbrojnych.

Cassie zaplanowała przyjęcie na sobotnie popołudnie, wiedząc, że przedtem czeka ją cały dzień pracy w kuchni. Ale była to dla niej miła odmiana.

Potrzebowała takiej odmiany. Tygodniowo spędzała piętnaście do dwudziestu godzin w powietrzu. Zwykle zamykała wtedy oczy i myślała o Blake'u. Narastała w niej gorycz. Blake zdobył jej serce, zburzył mur, który tak pracowicie wokół siebie zbudowała, uwiódł ją - no, może to nie całkiem prawda. Kochał się z nią - szaleńczo i namiętnie - przez dwa i pół tygodnia. Zdobył nie tylko jej ciało, uwiódł też umysł i duszę. Pokazał jej dziką krainę, o której istnieniu nie miała pojęcia, dzięki niemu usłyszała prymitywne rytmy pulsujące nad nie znaną jej ziemią. Oddała mu całą siebie. Wciąż jeszcze czuła, że nie odzyskała jakiejś części swojej istoty. Może serca? Nad stratą Blake'a bolała równie mocno

jak nad stratą Jennifer. Chandra nie opuszczała jej ani na krok. Czyżby te tygodnie spędzone w Kakadu tak niewiele dla niego znaczyły? Czy tak szybko zapomniał o magicznych chwilach, które razem przeżyli?

W głębi serca nie wierzyła, że zapomniał. Wciąż czekała na wiadomość od niego. Wystarczy pomyśleć o liście, który napisał do rodziny w odpowiedzi na śmierć matki. Nie było tam żadnych wiadomości o nim samym. Chyba po prostu nie znosił pisania listów. Może rzeczywiście, jak obiecał, nosi ją w kieszeni na sercu.

Była tak zła, że zacięła się w palec, krojąc pomidory na sałatkę.

Właśnie wtedy rozległ się klakson. Wyjrzała przez okno i zobaczyła jedną z miejskich teksówek wyłaniającą się zza rogu- Samochód zatrzymał się przed jej domem. Wyszła z niego elegancko ubrana kobieta, a kierowca zaczął wyjmować walizki.

Cassie przyłożyła dłonie do piersi. Łzy zakłuły ją pod powiekami. Stała jak wmurowana, aż wreszcie poderwała się i z otwartymi ramionami, szlochając ze szczęścia wybiegła przed dom.

Twarz Fiony wykrzywił płacz, kiedy wyciągnęła ręce do Cassie. Raz po raz wypowiadając szeptem swoje imiona przywarły do siebie w uścisku.

- Wróciłaś do domu! Wróciłaś! - wołała Cassie. - Tak bardzo mi cię brakowało!

Potem ze śmiechem odstąpiły o krok, żeby się sobie przyjrzeć. Ucałowały się w policzki. Cassie miała wrażenie, że serce jej pęknie z radości. Fiona wróciła. Wreszcie będzie mogła zrzucić ciężar z duszy, opowiedzieć przyjaciółce, co się zdarzyło od jej wyjazdu. Przecież Fiona nawet nie wiedziała, że Cassie jest zakochana, nie mówiąc już o wszystkich późniejszych wydarzeniach. Tyle muszą sobie opowie-

dzieć. Będzie tak cudownie. Zwierzy się Fionie ze wszystkiego.

- Najpierw muszę przekazać wiadomość do Tookaringi

- oznajmiła Fiona.

- Coś się stało? - Cassie była pewna, że Fiona nie wie jeszcze o śmierci Jennifer.

Przyjaciółka roześmiała się. Jej twarz promieniała szczęściem.

- Nic złego. Muszę obwieścić im nowinę.

- Jaką nowinę? - Czy z Blake'em wszystko w porządku?

- Mają synową. - Z uśmiechem spojrzała na Cassie.

- Jestem nową panią Thompson. - Wyciągnęła rękę i pokazała szeroką, złotą obrączkę ślubną.

Cassie biła pięściami w mokrą od łez poduszkę. Starła się stłumić łkanie, ale nie mogła powstrzymać głośnego, spazmatycznego szlochu. Ból rozrywał jej pierś i szarpał zębra. Trzęsła się niepoohamowanie.

Blake i Fiona.

Kolejny szloch wydobył się z jej piersi.

To było trzydzieści najtrudniejszych godzin w jej życiu. Nie miała czasu na rozpacz ani nawet na rozmyślanie.

Dopiero kiedy Don i Margaret się wynieśli, zostały z Fioną same. Nie wiedziała, czy będzie w stanie spojrzeć w oczy przyjaciółce. Fiona chciała jej opowiadać o ślubie, ale Cassie nie mogła tego słuchać.

- Pamiętasz, jak ci mówiłam, że kiedyś byłam nieszczęśliwie zakochana? Że właśnie wtedy, lecąc się z miłości, zrobiłam tę narzutę na łóżko? Cóż, chyba nigdy całkowicie się nie wyleczyłam. Kiedy spotkałam go w Irlandii, znowu poczułam to samo. Przekonałam się, że cały czas go kocham.

Wiedziałam, że źle robię powtórnie angażując się w ten

związek, ale nic nie mogłam poradzić. Kiedy pocałował mnie po raz pierwszy od wielu lat, mój opór zniknął. Powtarzałam sobie, że wszystko skończy się tak jak za pierwszym razem, ale nie potrafiłam odmówić. Dwa dni po tym, jak zarezerwowałam bilet powrotny, jego jednostka dostała rozkaz przeniesienia. Nawet nie wiem dokąd. Blake powiedział: „Kochanie, kto wie, czy przeżyję i czy jeszcze się zobaczymy, ale chciałbym wiedzieć, że na mnie czekasz. Chcę mieć dla kogo wrócić do domu. Chciałbym żyć z nadzieją, że być może nosisz w sobie moje dziecko. Pobierzmy się.” Tak zrobiliśmy. Och, Cassie, po tym jak mnie kiedyś bez słowa porzucił, a ja marzyłam o nim dniami i nocami, nie podejrzewałam, że kiedyś zechce jeszcze na mnie spojrzeć. Chociaż nie jesteśmy razem, chociaż martwię się o niego, bo lata nad Niemcami i nie wiem, czy coś mu się nie stało, jestem taka szczęśliwa, że mogłabym tańczyć i śpiewać.

Blake i Fiona? To jego tak nieszczęśliwie kochała? To on wiele lat temu złamał jej serce?

Cassie jęknęła głośno i znów uderzyła pięściami w poduszkę. Potem usiadła, przytuliła ją do siebie i zaczęła szlochać, jakby świat miał się za chwilę skończyć.

Fiona zawsze kochała Blake'a. Nawet kiedy ona, Cassie, spędzała z nim noce, on był w sercu przyjaciółki. A teraz Fiona wyszła za niego za mąż, a Cassie wciąż jest w nim zakochana.

Mówiła sobie, że tak naprawdę nie kochała prawdziwego Blake'a. Zakochała się w wytworze własnej wyobraźni, w kimś, za kogo go brała.

Przypomniała sobie, że nigdy nie wyznał jej miłości. Jednak kiedy czuła jego ręce na piersiach, kiedy stapiały się ich nagie ciała, kiedy wchodził w nią i wykrzykiwał jej imię, była pewna, że on czuje to samo co ona: wieczną

miłość. Do diabła z nim. Pewnie zaspokajał tylko swoje pożądanie. Czy w ogóle miało dla niego znaczenie, z kim to robił? Do diabła z nim!

„Nigdy więcej!” krzychała bez słów. Nigdy więcej nie pozwoli, żeby mężczyzna doprowadził ją do takiego stanu, jak to zrobili Blake Thompson i Ray Graham. Nigdy już się nie zakocha. Następnym razem, jeśli w ogóle będzie następny raz, to ona przejmie kontrolę nad sytuacją. Już nigdy, przenigdy nie da z siebie zrobić ofiary. Nie będzie więcej ofiarą miłości. Nigdy!

Rozdział trzydziesty trzeci

Dzięki Bogu. Fiona wyjechała do Tookaringi, żeby jakiś czas spędzić ze Stevenem.

- Zostanę tam tydzień albo dziesięć dni - zapowiedziała, całując Cassie na pożegnanie.

Cassie, chociaż wiedziała, że przyjaciółka nie ponosi żadnej winy, z trudem zmuszała się, żeby zachowywać się wobec niej uprzejmie. Przecież Fiona nie miała pojęcia, że Cassie zakochała się w Blake'u. Nie wiedziała, że Cassie zaszła z nim w ciążę i że teraz serce jej pęka.

Cassie musiała sobie o tym przypominać z tuzin razy dziennie.

Pojechała do budynku radiostacji używanym samochodem, który wreszcie zakupiła dla niej PSM. Nie wyobrażała sobie, jak Betty, Horrie i nowo narodzone dziecko dają sobie radę w takiej ciasnocie.

Weranda, którą przed ślubem obiecał zbudować Horrie, wciąż jeszcze nie powstała, .i wszyscy mieszkali w dwóch małych pokoikach, latem przypominających rozgrzany piec. Pomimo to, Betty zawsze okazywała dobry humor. Czasami zastępowała męża przy radiostacji. Potrafiła miło rozmawiać z mieszkańcami interioru i dodawać

im otuchy. Tak samo jak Horrie, traktowała ich niczym znanych od dawna przyjaciół.

Tego dnia nie było pilnych wezwań, ale inne prośby spowodowały zmianę ich planu lotu na okresowe badania do Medumcook, na północy. Mieszkańcy Stockton Wells i Mt. Everett dowiedzieli się, że Cassie leci na północ, więc poprosili ją, żeby do nich również wstąpiła.

- Myślę, że moglibyśmy wrócić dopiero za dwa dni - powiedziała przez telefon Warrenowi. - Czy Mary zechce z nami polecieć? Trzeba będzie zaszczepić mnóstwo dzieci i pewnie wyrwać kilka zębów. Przydałaby mi się jej pomoc.

Wyjazdy na badania nie należały do obowiązków Mary, ale ona nigdy nie odmawiała. Cassie zastanawiała się, czy kiedykolwiek poczuje większą sympatię do Warrena i jego żony. Byli to z pewnością bardzo mili ludzie. Zawsze chętni do współpracy. Może nie potrafiła się do nich przekonać, bo zawsze byli tacy sami. Nic nie zmieniało ich nastroju. Nic ich nie cieszyło. Do wszystkiego w życiu podchodzili jednakowo - z poczuciem obowiązku.

Cała trójka wystartowała po dziesiątej trzydzieści. Mary najpierw czytała gazetę, a potem zaczęła robić na drutach. Podczas lotów prawie się nie odzywała. Cassie przyglądała się jej przez chwilę, a potem wyjrzała przez okno. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie przyjazd Fiony do Tookaringi. Steven pewnie przyjął ją z otwartymi ramionami, jak nowy powiew życia po śmierci Jennifer. Niemal słyszała, jak Fiona mówi: „Witaj, tato”, widziała, jak chodzi po posiadłości i myśli sobie: „Kiedyś tu zamieszkać i zostanę panią Tookaringi”. Potem przyszło Cassie na myśl, że dzieci Fiony odziedziczą całą tę posiadłość.

Może Fiona przeprowadzi się tam, żeby dotrzymać Stevenowi towarzystwa. Zamieszka tam, gdzie jej miejsce. Ten dom był teraz jej domem. Cassie zastanawiała się, czy nie

byłoby lepiej, gdyby Fiona zeszła jej z oczu i z myśli. Mój Boże, przecież tak czekała na powrót przyjaciółki.... Nie mogła się doczekać, kiedy ich przyjaźń znowu odżyje i będzie mogła podzielić się z kimś sprawami, które leżały jej na sercu.

Spojrzała w dół na coraz bardziej zielony krajobraz, na tropikalną roślinność - bananowce, palmy, pola trzciny cukrowej i wyobraziła sobie, jak Blake dotyka ciała Fiony, pochyla się, żeby ją pocałować i wyznaje jej miłość. Zacisnęła pięści. Blake nigdy już nie pomyśli o niej, o Cassie. Zapomni o namiętności, jaką przeżyli w Kakadu. Nie będzie nawet pamiętał, jak Cassie wygląda.

Co dziwne, jedyną osobą wyczuwającą jej stan ducha okazał się Chris. Pewnego ranka, krótko po przyjeździe Fiony, zapukał - a raczej lekko zachrobotał - do jej drzwi. Cassie otworzyła mu ubrana w szlafrok. Chociaż Chris nic takiego nie zrobił, przysięgłaby, że skłonił się głęboko aż do pasa.

Pomyślała, że jego oficjalny sposób bycia jest chyba wrodzony. Chris pewnie zachowuje się formalnie od momentu, kiedy rano otwiera oczy.

- Przyszedłem tak wcześnie, żeby cię zaprosić na śniadanie - wyjaśnił.

- Na śniadanie? - Odsunęła z oczu kosmyki włosów. Rozejrzał się, jakby chciał sprawdzić, czy nikt nie znajduje

się w zasięgu jego głosu.

- Tak. Przyszło mi do głowy, że miałabyś ochotę z kimś porozmawiać.

Oczywiście wiedział, że Fiona wróciła do domu jako żona mężczyzny, którego kochała Cassie.

Chociaż uznała jego gest za miły, Chris z pewnością nie był osobą, której chciałaby się zwierzyć.

Mogła opowiedzieć o swoich kłopotach komuś, kto zareagowałby ze współczuciem, a do tego Chris Adams nie był zdolny. Mimo to

poczuła do niego przyływ sympatii, tak jak wtedy, gdy zorganizował jej wyjazd do Townsville. Nie mieściło jej się w głowie, że mogłaby się rozpląkać w jego obecności, a on by to zrozumiał. Pewnie do czasu śmierci Izabeli nie doświadczył cierpienia. Przez długie lata był mężem tej samej kobiety. Nikt nigdy go nie porzucił. Nie potrafił zrozumieć, jak łamie serce nie odwzajemniona miłość. Nie wiedział, co znaczy zdrada. Nie pojąłby psychicznego cierpienia, otchłani rozpacz tak głębokiej jak dusza.

Przesunęła dłonią po splątanych włosach i popatrzyła na niego przez siatkowe drzwi. Uświadomiła sobie, że musi okropnie wyglądać.

- Z kimś porozmawiać? - powtórzyła. - O czym? - Nie, nie chciała, żeby odpowiadał. - Nie wiem, o co ci chodzi.

Patrzył na nią przez chwilę, jakby nie wiedział, co zrobić.

- Wygląda na to, że wybrałem się tu nie w porę. Tego się właśnie obawiałem. - Odwrócił się i zaczął schodzić po schodach, ale Cassie, zawstydzona swoją opryskliwością, zawołała za nim.

- Poczekaj minutkę. Z przyjemnością zjem z tobą śniadanie. Od dawna nie dostałam miłszego zaproszenia.

- Wątpię - wymamrotał Chris.

- Wejdz i usiądź. Włożę coś na siebie. To nie potrwa dłużej niż dziesięć minut.

Chociaż nawet nie wspomnieli o Blake'u i Cassie nie przyznała się, że cierpi duchowe męki, udało im się miło spędzić razem czas. Spierali się, ale to odciągnęło jej myśli od Blake'a. Zresztą spierali się z Chrisem niemal bez przerwy. Tym razem poszło im o aborygenów. Jego twierdzenie, że mózgi tubylców są mniejsze, a oni sami nie wyszli jeszcze poza stadium prymitywnego bytowania, wprawiło Cassie we wściekłość. Chris nie uważał tubylców za istoty w pełni ludzkie.

- Spójrz tylko na ich wystające szczęki. Są bardziej podobni do małp niż do ludzi - dowodził. - Pomyśl o ich zwyczajach, prosto z epoki kamienia łupanego. Wiesz przecież, że nie potrafią przejąć naszych nawyków higienicznych, etyki pracy i wiary w jednego Boga.

W końcu Cassie potrząsnęła głową i uznała, że nie ma o co się kłócić. Poglądy Chrisa więcej mówiły o nim samym niż o przedmiocie ich rozmowy. Mimo że jego opinie były dla niej denerwujące i niepojęte, była mu wdzięczna, że okazał jej troskę. Dwa lata temu nie przyszłoby jej do głowy, że potrafiłby to zrobić. Ale dwa lata temu Sam i Fiona byli jej przyjaciółmi, a Blake'a miała dopiero poznać. Nie uwierzyłaby, że Blake wywoła w niej tak głębokie uczucie i nawet nie wyobrażała sobie, że mogłaby usunąć ciężę. Na pewno nie była w stanie przewidzieć, że przydarzą się jej takie rzeczy.

Teraz, w samolocie, ciężko westchnęła.

- Coś się stało? - zapytała Mary, nachylając się do niej przez przejście między fotelami.

Cassie spojrzała na nią pytająco.

- Wzdychasz, jakbyś dźwigała na ramionach problemy całego świata.

Potrząsnęła głową.

- Przepraszam, zrobiłam to nieświadomie - odparła. Mary skinęła głową i wróciła do swojej robótki.

Samolot zaczął podchodzić do lądowania, więc Cassie

wyrzała przez okno. Zbliżali się do Medumcook. Była tu już trzy razy. Musieli lądować trzy kilometry za miastem, ponieważ wokół Medumcook rosły palmy, a środkiem przepływała leniwa rzeczka. Cassie nigdy nie widziała tego miejsca w porze deszczowej, kiedy rzeka wylewała jak Nil, stawała się bardzo głęboka i szeroka na kilkanaście kilometrów. Teraz zamieniła się w wąski strumyk, wokół którego

rozlewały się niewielkie kałuże. W poprzek ustawiono skrzynki po whisky, po których można było przejść na drugi brzeg.

Głównym budynkiem miasteczka był stojący na brzegu rzeki pub. Właściciel powiedział jej, że musi go odbudowywać po każdej powodzi. Warren wręczył listy barmanowi, który był zarazem tutejszym kierownikiem poczty. W Medumcook mieszkało ośmiu ludzi: policjant, który sam nadzorował obszar ponad tysiąca pięciuset kilometrów kwadratowych; barman - kierownik poczty; właściciel pubu, do którego należał również miejscowy sklep, przylegający do krytego blachą budynku baru. Półtora kilometra za miastem znajdowała się farma hodowli bydła, która niedługo już miała zostać jedną z największych na świecie. Już teraz co roku produkowała piętnaście tysięcy wysokiej jakości sztuk rasy Santa Gertrudis.

Fred, brodaty barman, zapowiedział, że wkrótce pojawi się tu tłum ludzi. Muszą tylko poczekać do zmroku, bo w taki straszny upał o tej porze roku w dzień nic się tu nie porusza, nawet węże.

Wypili herbatę na ganku pubu, o którego blaszany dach raz po raz uderzały jakieś insekty.

Okolo piątej ludzie zaczęli się schodzić. Jakaś rodzina przyjechała ciężarówką z farmy oddalonej o sto dwadzieścia kilometrów. Matka była znowu w ciąży, a jej troje małych dzieci miało zażawione oczy, wokół których kłębiły się roje much. Jedna z dziewczynek rozcięła nogę i rana zaropiała.

Z równiny przybyło konno sześciu mężczyzn. Dwóch cierpiało na okropny ból zęba a jeden miał wrzód. Inni przyjechali, żeby spędzić noc pijąc na świeżym powietrzu.

Trzech jeźdźców przybyło z obozu leżącego trzydzieści dwa kilometry na wschód. Jeden z nich kasłał tak brzydko, że Cassie, podejrzewając gruźlicę, zaproponowała mu, żeby wrócił z nimi do Augusta Springs i prześwietlił płuca.

Mężczyzna nie chciał się na to zgodzić. Cała grupa została w miasteczku na noc, żeby pić i rozmawiać z innymi mężczyznami, których nie widzieli po kilka lat albo w ogóle nie znali.

Czterech mężczyzn zjawili się ze śpiworami. Naprawiali w pobliżu płoty i kiedy jeden z nich zaczął się uskarżać na ból zęba, koledzy postanowili jechać razem z nim i spędzić wieczór w pubie. O dziesiątej w barze było chyba ponad stu gości.

- Założę się, że żaden z nich od trzydziestu lat nie spał w łóżku - powiedział Fred do Cassie.

- Chyba mógłbyś zrobić dobry interes. Otwórz tu hotel - poradziła.

Potrząsnął głową.

- Nic z tego. Jestem pewien, że oni nie chcą spać w łóżkach. Lubią życie, które wybrali. Spanie w łóżku oznacza powrót do społeczeństwa, a oni przed nim uciekają.

- A ty? - zapytała. Z przyjemnością stwierdziła, że znowu jest w stanie dobrze się bawić.

- Ja? Nie wiedziałbym, co robić w wielkim mieście. Tęskniłbym za porą deszczową. Wtedy najbardziej mi się tu podoba. Nigdy nie chciałbym stracie widoku powodzi. Dzięki deszczom na północy ta mała rzeka wzbiera, woda przepływa z jednej kałuży do drugiej i nurt staje się coraz silniejszy. Ze wszystkich stron spływają strumienie deszczówki, tworząc wiry i rozlewiska. Rzeka wygląda tak, jakby się złościła. Niesie ze sobą zwierzęta, żywe i martwe, połamane gałęzie drzew porywają wszystko, mkną przed siebie jak szalone. Jednej nocy rzeka potrafiła wezbrać na dziesięć metrów! To dopiero była noc.

Minęła północ, kiedy pierwsi goście zaczęli wychodzić. Niektórzy odjeżdżali w ciemność, inni rzucali śpiwory gdziekolwiek po gęstym, tropikalnym drzewami.

- Przenocuję w pubie - oznajmił Fred. - Dzisiaj zmieniłem pościel, mam też kanapę, więc we trójkę możecie się u mnie przespać.

Mieszkał w krytym blachą baraku, rozgrzanym jak piec. Cassie przez całą noc rzucała się niespokojnie. Rano Fred podał im naleśniki, największe kotlety baranie, jakie Cassie kiedykolwiek widziała, i kawę, od której włosy na głowie stawały dęba.

- Teraz nadejdą tubylcy. Mieszkają wzdłuż rzeki. Cassie wyjrzała przed dom i zobaczyła, że pięciu aborygenów już czeka.

Dopiero wczesnym popołudniem wyruszyli do Stockton Wells, o wiele większego miasta, w którym była nawet pięciołóżkowa izba chorych. Cassie spędziła popołudnie omawiając plan comiesięcznych wizyt z miejscową pielęgniarką, Maureen. Potem zajęła się pacjentami ze szpitala. Był wśród nich mężczyzna z pękniętymi żebrami, niemowlę z kolką, dziecko z kokluszem i ciężarna kobieta chora na cukrzycę. Cassie zaproponowała jej, by na ostatnie trzy miesiące ciąży przyjechała do Augusta Springs, żeby „na wszelki wypadek” być bliżej większego szpitala.

Poza tym pielęgniarka poprosiła ją, by zbadała kilku ludzi z miasta.

Kiedy skończyła, zapadał już zmrok. Maureen nalegała, żeby zatrzymali się na noc u niej w domu; ona sama prześpi się w szpitalu. Niemal do północy siedzieli pijąc piwo i rozmawiając.

Ledwie Cassie zmrużyła oczy, rozległo się walenie do drzwi. Tak się przestraszyła, że natychmiast usiadła w pościeli. Jakiś głos natarczywie wołał doktora.

Chwyciła szlafrok i otworzyła drzwi. Przed nią stał wysoki, przystojny mężczyzna i patrzył wystraszonem wzrokiem.

- To nagły wypadek.

- Proszę zaczekać. Zaraz się ubiorę. - Była tak zaspana, że ledwie cokolwiek widziała.

Ubrana, z torbą pod pachą, wróciła do drzwi. Mężczyzna chwycił ją za rękę i pobiegł w stronę hotelu, oddalonego o trzy posesje od domu pielęgniarki.

- Ona jest tam z tyłu - wyjaśnił nie zwalniając kroku. - Boję się, że się wykrwawi na śmierć. Nie można na to pozwolić. Nie można. - Cassie miała wrażenie, że mężczyzna zaraz się rozpłacze.

Za hotelem stała stajnia. W jednym z boksów leżał na boku wielki koń i obficie krwawił. Na jego piersi widniały dwie głębokie rany. Trzech mężczyzn stało wokół zwierzęcia. Jeden klepał je uspokajająco i czule przemawiał. Pozostali przytrzymywali klacz na ziemi, chociaż nawet nie starała się poruszyć. Kałuża krwi rozszerzała się z każdą chwilą.

Cassie stanęła jak wryta.

- Nie jestem weterynarzem - zaprotestowała. Mężczyzna, nie wypuszczając jej dłoni, spojrzał na nią błagalnie.

- Pani doktor, musi pani ocalić Cleo. Tylko dzięki niej będę miał szansę na zdobycie pucharu.

Wszyscy czterej mężczyźni patrzyli na nią wyczekująco. Westchnęła i wolno podeszła do rannej klaczy.

- Około północy usłyszałem strzały. Myślę, że to nie do niej strzelali, tylko pewnie do kangurów. Ale musiała się wystraszyć, spłoszyła się i wpadła na ogrodzenie z drutu kolczastego. Pani doktor, niech ją pani zaszyje. Musi pani.

Cassie uklękła obok zwierzęcia, w którego oczach odbijał się strach.

- Potrzebuję więcej światła.

Po chwili w dłoniach mężczyzn kołysały się cztery lampy.

- Postawcie dwie z nich na tej belce - poleciła Cassie.

- Niech dwóch z was tu ukłęknie i przytrzyma klacz. Dałam jej zastrzyk. - Zastanawiała się, jaka ilość środka usypiającego jest konieczna dla takiego wielkiego zwierzęcia.

Po dziesięciu minutach Cleo zaczęła zasypiać. Środek podziałał. Cassie podwiązała krwawiące naczynia i zaszyła ranę. Zabrało jej to ponad godzinę.

- Przez kilka dni jej nie ruszajcie, dopiero potem zabierzcie ją do domu, jeśli możliwe, to ciężarówką. Niech wypocznie. Upłynie przynajmniej miesiąc, może dłużej, zanim będzie można na niej jeździć. Ale nawet wtedy trzeba uważać. - Nie wiedziała, dlaczego to mówi. Przecież nie znała się na koniach. Ale takie postępowanie z chorym zwierzęciem wydało jej się logiczne.

Wróciła do łóżka przed drugą.

Przed południem wylądowali w Mt. Everett, małym, zakurczonym miasteczku, położonym na południe od regionów tropikalnych, po drodze do Augusta Springs, Powietrze było czerwone od pyłu. Kiedy Cassie zajmowała się pacjentami w pokoju na zapleczu pubu - w jednym z trzech budynków w mieście - właściciel powiadomił ich, że na farmie Templeton ktoś zachorował i mieszkańcy mają nadzieję, że lekarz tam dotrze i zbada chorą. Farma leżała tylko sześćdziesiąt pięć kilometrów na południowy zachód od miasta.

Wyruszyli tuż po drugiej. Powietrze było ciemne od pyłu, tak że Warren prawie nic nie widział.

Połączył się z radiostacją, żeby zapytać o pogodę.

- Z północnego zachodu nadchodzi zimny front - oznajmił.

Cassie nie wiedziała, co to oznacza.

Wyjrzała przez okno. Prawie nie widziała ziemi. Lecieli dopiero od trzydziestu minut. Otaczający ich kurz ograniczał bardzo widoczność, chociaż unosili się tak nisko, że Cassie widziała drzewa i stado kangurów.

- Chcesz zawrócić? - zapytała Warrena. Potrząsnął głową.

- Farma powinna być tuż przed nami. Na pewno jest tu tak płasko, że mogę wszędzie wylądować. - W tym momencie kurz zniknął. Wylecieli z obłoku pyłu i przed sobą, trochę na lewo, zobaczyli farmę. Fioletowe bugenwille jaskrawo błyszcząły w słońcu.

Warren miękko wylądował, mimo porywistego przeciwnego wiatru.

Cassie stwierdziła, że chora cierpi na zapalenie wyrostka, który trzeba natychmiast usunąć, więc ułożyli ją na noszach i zanieśli do samolotu.

- Może usiądziesz z przodu? - zwróciła się Cassie do Mary, pokazując jej fotel za Warrenem, który zwykle zajmowała. - Ja zostanę z tyłu, żeby być bliżej pacjentki.

Mary kiwnęła głową i przypięła się pasami.

Warren ruszył wzdłuż pasa lądowiska. Na pełnych obrotach zwolnił hamulce i odchylił prawą lotkę.

Ogon podnosił się wolno, kiedy sunęli kilkaset metrów prowizorycznym pasem. Przyciągnął do siebie drążek i samolot leniwie zatoczył się w lewo. Widać było, że pilot nie potrafi wyrównać tego skrętu i wrócić na prostą. Wyłączył silniki i gwałtownie zatrzymał samolot.

Zawrócił na początek pasa. Wysunął głowę z kabiny i przywołał Cassie do przodu.

- Ten silny dolny ciąg powietrza zarzucił nas, zanim zdołałem nabrać odpowiedniej szybkości. Zdaje się, że samolot nie może podnieść ogona. Może staniesz w drzwiach kabiny i przesuniesz nosze trochę do przodu? Kiedy wystartujemy, wrócisz na swoje miejsce.

Cassie z łatwością przesunęła nosze na przód samolotu. Wraz z Mary przywiązały je do przedniego fotela, żeby się nie przesunęły podczas startu. Warren aprobująco skinął głową.

- Dobrze.

Znów ruszył pełną mocą i samolot zaczął się toczyć. Chociaż ogon wciąż unosił się z trudem, nie rzucało ich na boki, kiedy maszyna oderwała się od ziemi.

Cassie nachyliła się i spojrzała w przód. Zobaczyła tuż przed samolotem rzędy drzew. Maszyna nie wzbiła się ponad ich wierzchołki. Zerknęła na tył głowy Warrena. Siedział sztywno za sterami.

- Samolot nie wznosi się prawidłowo - powiedział, jakby do siebie. - To cholerstwo nie chce się wznosić.

Przelecieli tuż nad drzewami. Przed nimi rozciągała się równina, pokryta niskimi krzakami.

- Zanim wejść na kurs, muszę chyba zatoczyć pełne koło dla nabrania wysokości - odezwał się pilot normalnym

, głosem. Z niewielką prędkością zaczął lekko skręcać w lewo, kierując się do punktu startu.

- Chcesz ustawić się z wiatrem, żeby nabrać prędkości? - zapytała Cassie.

Pilot nie odpowiadał. Cassie zerknęła na wysokościomierz. Latała już wystarczająco długo, żeby umieć odczytywać wskazania niektórych przyrządów. Lecieli na wysokości mniejszej niż dziewięćdziesiąt metrów.

Z przerażeniem zauważyła, że knykcie Warrena zbieleły, tak mocno ścisnął manetkę. O, mój Boże, pomyślała. Tracimy prędkość nawet na pełnej mocy.

- Nie wznosimy się? Warren potrząsnął głową.

- Przez ten zwrot straciliśmy trochę wysokości. - Odwrócił się i spojrzał Cassie prosto w oczy.

- Mój Boże! - jęknęła głośno, kiedy dotarła do niej prawda. Nie było dobrze.

- Teraz dziób jest za ciężki. Wracaj na tył - powiedział zdenerwowanym głosem.

Cassie nie traciła czasu. Przepchnęła się między noszami i fotelem Mary, rzuciła się na tył samolotu i usiadła na podłodze.

Wciąż jeszcze miała widok przez okno i spostrzegła, że dziób samolotu celuje prosto w dół.

Maszyna wpadła w korkociąg. Cassie chwyciła nogi tylnego fotela. Uderzyli w ziemię i wszystko pochłonęła ciemność.

Rozdział trzydziesty czwarty

Zobaczyła nad sobą twarz jakiegoś mężczyzny. - Jak się czujesz? - zapytał.

Sama nie wiedziała. Pomyślała, że chyba ma wstrząśnienie mózgu. Mężczyzna wyciągnął rękę i pomógł jej wstać z podłogi wraku samolotu. Podparł ją ramieniem i wyprowadził przez oderwaną boczną ścianę. Ktoś inny pomógł jej stanąć na ziemi.

Boże, co się stało? Spojrzała na samolot. Wnętrze pozostało nienaruszone. Całe szczęście. To znaczy, że Warren, Mary i pacjentka przeżyli. Jak to się stało, że cały bok samolotu się oderwał? Stała tuż przy szczątkach ściany.

Pod powyginaną masą żelaza, która kiedyś była oknem, twarzą do góry leżała Mary. Nie ruszała się. Cassie podbiegła do niej. Na jej ciele nie spostrzegła nawet zadrapania, tylko rozdarta bluzka odsłaniała lewą pierś. Cassie nachyliła się i przykryła ją strzępem materiału. Uklękła, żeby pocieszyć Mary, ale zauważyła, że kobieta spogląda pustymi oczami prosto w oślepiające słońce.

O, mój Boże.

Spojrzała na samolot. Chciała być przy Warrenie, kiedy

ten odkryje, że żona zginęła. W tej samej chwili zobaczyła, że dwóch mężczyzn wyciąga go z kabiny. Był w niej mocno zaklinowany, więc odgadła, że siła uderzenia musiała go zmiażdżyć.

Krew wypływała mu z nosa, ust, a nawet uszu. Oddychał z trudem, boleśnie.

- Zanieście go do cienia - poleciła Cassie. Dotknęła tyłu głowy, gdzie nagle poczuła straszny ból.

Mężczyźni podnieśli Warrena i położyli go w cieniu lewego skrzydła. Cassie przyklękła obok niego.

Ból na chwilę ją obezwładnił tak, że prawie nie widziała pilota. Patrząc na niego odgadła, że uchodzi z niego życie. Nic nie mogła zrobić.

Wstała i poszukała wzrokiem pacjentki. Z przerażeniem zobaczyła, że ciało kobiety jest dziwnie skrzycone. Wbiły się w nie fragmenty noszy.

Wpadła w rozpacz. Na nic się już nie mogła przydać; więc wróciła do Warrena* usiadła i trzymała go za rękę, aż do czasu, kiedy pół godziny później przestał oddychać.

Położyła głowę na jego piersi i zapłakała.

Na miejscu katastrofy zebrał się z tuzin ludzi.

Podszedł do niej mężczyzna, którego nigdy przedtem nie widziała.

- Połączyłem się z waszą bazą radiową - powiedział, kładąc jej rękę na ramieniu. - Zaraz przyślą tu kogoś ambulansem z Highcastle. To jakieś sto sześćdziesiąt kilometrów stąd, więc powinni tu być za trzy, cztery godziny.

Cassie podniosła na niego wzrok, ale dostrzegła jedynie mglisty zarys postaci. Głosy zebranych wokół niej ludzi ucichły i widziała już tylko oślepiające promienie słońca. Kiedy ból w tyle głowy zdawał się rozłupywać jej czaszkę, pomyślała, że ona też umiera.

Otworzenie oczu było ponad jej siły, ale słyszała niewyraźne odgłosy - szuranie gumowych podeszew butów na wykładanej kafelkami podłodze i cichy, suchy szelest nakrochmalonych fartuchów. Czowała charakterystyczny zapach szpitala. Znow osunęła się w nieświadomość.

Kiedy ocknęła się ponownie, pierwszą rzeczą, jaką poczuła, był dotyk czyjejś dłoni. Próbowwała otworzyć oczy, ale powieki tylko lekko zadrgały.

- Masz wstrząśnienie mózgu - odezwał się znajomy, spokojny głos. - Coś uderzyło cię w tył głowy, tuż nad linią włosów. Czaszka jest pęknięta. Rana ma tylko dwa i pół centymetra długości, ale pewnie przez kilka dni będziesz miała trudności z utrzymaniem równowagi.

Zmusiła się do otworzenia oczu. Chris Adams siedział obok łóżka i trzymał ją za rękę.

- Coś ostrego niemal przebiło ci lewe ramię na wylot. - Na jego twarzy odbijała się troska. - Tuż nad łokciem. Szczęśliwie, żadne nerwy nie zostały uszkodzone. Za kilka tygodni dojdiesz do siebie. - Mocno ścisnął jej rękę.

- Jestem w domu? - zapytała.

- Nie. W szpitalu w Highcastle. Leżysz już prawie dwadzieścia godzin.

Chciała zapytać, co on tutaj robi, ale nie starczyło jej energii.

Kiedy następnym razem się obudziła, Chris stał przy oknie i spoglądał w zapadający mrok.

- Co się dzieje z twoimi pacjentami? - zapytała. Nawet się z nim nie przywitała ani nie powiedziała, że się cieszy na jego widok.

- Ty też jesteś moją pacjentką.

- W Augusta Springs nie ma lekarza?

- Tak, w tej chwili w Augusta Springs nie ma lekarza.
- Nie wyglądał na zmartwionego tym faktem.
- A co z Warrenem? Co z Mary? - Musiała usłyszeć to z jego ust.
- Oboje nie żyją. Ciała zabrano już do Augusta Springs. Zamknęła oczy. Nie chciała teraz o tym myśleć. Troje ludzi zginęło, a ona przeżyła. Dlaczego?
- Nie rób tego - dotarł do niej głos Chrisa. Znów rozwarła powieki.
- Czego mam nie robić?
- Nie obwiniaj się. Nie myśl, że to ty powinnaś była zginąć. To głupota. - Stał na skrzyżowanych nogach i opierając się ramieniem o ścianę spoglądał na nią z drugiego końca pokoju.
- Wcale tak nie myślałam.
- Może nie, ale mogłaś. To się często zdarza. Śmierć nie kieruje się ani sprawiedliwością, ani logiką, Cassie.

Jej westchnienie rozległo się w całym pokoju. Oczy wypełniły się łzami.

- To już koniec - oświadczyła.

Chris podszedł i usiadł na twardym krześle przy łóżku. Podniosła na niego wzrok.

- Tak się pewnie czuleś, kiedy umarła Izabela.
- Nie, ani przez chwilę. - **Jego** oczy na chwilę zalśniły.
- A twoje życie wcale się nie skończyło. Słowa przychodziły jej z takim trudem.
- Wcale nie mówiłam o swoim życiu. Chodziło mi o latających doktorów. Nie ma samolotu, nie ma pilota. Gdzie ich znaleźć podczas wojny...

Przez chwilę panowała cisza.

- Zawsze możesz zostać w Augusta Springs. Potrzebuję

wspólnika, a ty jesteś o niebo lepsza niż Edwards. - Po drugiej stronie siatki zasłaniającej okno zabrzęczała mucha. - Albo jeśli nie chcesz być moim wspólnikiem, możesz otworzyć własną praktykę i tylko współpracować ze mną podczas operacji w szpitalu. - Cassie miała ochotę na sen, ale wciąż, chociaż coraz ciszej, docierał do niej głos Chrisa: - Zostanę tu, dopóki nie będzie można zabrać cię do domu.

Dwa dni później wypisano ją ze szpitala pod opiekę Chrisa. Ułożył ją na tylnym siedzeniu swojego samochodu i przez półtora dnia jechali do Augusta Springs. W drodze prawie wcale się nie odzywał. Cassie patrzyła na tył głowy Chrisa i zastanawiała się, czy się co do niego nie pomyliła. Traktował ją tak troskliwie i delikatnie. Dowiódł, że jest prawdziwym przyjacielem. Wiedział o niej więcej niż ktokolwiek inny. Śmieszne, nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że Chris Adams stanie się jej powiernikiem - właśnie on, a nie Fiona albo Sam. Kochała Fionę... A może już nie? Fiona zajęła miejsce, które Cassie uznała kiedyś za swoje. Czyżby zawiść i zazdrość zabiły uczucie do przyjaciółki? Wiedzieć, że Fiona dzieli łóżko z Blake'em, że Blake kochał się z nią... Miała wrażenie, że ktoś wbił jej nóż w serce i obraca go w krwawiącej ranie. Zaszłochała.

Chris odwrócił głowę.

- Nic ci nie jest?

Cassie potrząsnęła głową. Łza spłynęła jej po policzku. Nigdy więcej nie zaznać miłości Blake'a, nie poczuć jego dotyku, nigdy...

Nie mogła powstrzymać płaczu.

Kiedy dotarli do Augusta Springs, dochodziła piąta. Chris pomógł jej wysiąść z samochodu, ale Cassie uparła się, że sama wejdzie na schody.

- Przez kilka dni będziesz słaba i odczujesz trudności z utrzymaniem równowagi - wyjaśnił. - Lepiej będzie, jak znajdę kogoś, kto by się tobą opiekował.

- Nie - zaprotestowała. - Nie chcę w domu nikogo obcego. Obiecuję, że będę leżała w łóżku. Wstanę tylko po to, żeby zrobić sobie herbatę, grzanekę czy coś w tym rodzaju.

Upewnił się, że bezpiecznie dotarła do sypialni.

- Pójdę do sklepu po chleb, jajka, mleko i tak dalej - powiedział.

Wrócił po pół godzinie, kiedy już przebrała się w nocną koszulę i weszła do łóżka.

Stanął w drzwiach sypialni, trzymając torbę z zakupami.

- Robię zupełnie niezłą jajecznicę - pochwalił się. - Miałabyś ochotę? Zrobiłbym jeszcze bekon na grzance i herbatę.

Okulary miał przekrzywione, a kosmyk włosów opadał mu na czoło. Wyglądał trochę jak mały chłopiec i Cassie uśmiechnęła się.

- Skorzystam z propozycji, tylko jeśli zostaniesz i zjesz razem ze mną. Możesz usiąść przy biurku!

- Zaraz wracam - odparł z rzadkim u niego szerokim uśmiechem.

Wrócił z tacą, na której oprócz jedzenia stał w szklance bukietek stokrotek.

- Tylko takie kwiaty znalazłem - powiedział z uśmiechem.

- Wszystko wygląda wspaniale, Chris.

Przyniósł sobie talerz i filiżankę kawy. Postawił je na biurku i usiadł bokiem, żeby widzieć Cassie.

- Zadzwoń do Horriego i powiem, że wróciłaś.

- Może on będzie miał jakiś pomysł na dalszą działalność.

Muszę się skontaktować z pastorem Flynnem i może Donem McLeodem. Na tym terenie latający doktorzy są niezbędni.

- Jesteś piękna - powiedział nagle Chris, jakby te słowa same wyleciały mu z ust. Cassie umilkła zaskoczona i patrzyła na niego bez słowa. - Światło lampy odbija się od twoich włosów. - Przełknął łyk kawy, nie odrywając wzroku od jej oczu.

Pomyślała, że nigdy nie mogłaby się w nim zakochać. Jest nietolerancyjnym, pełnym uprzedzeń zimnym arogantem.

Kiedy tak popijała herbatę patrząc mu w oczy, czuła, że coś się w niej budzi. Musiała przyznać, że jest przystojny, na chłodny, arystokratyczny sposób. Tak jak Sam, trochę za chudy i za kościsty. Nie miał zbyt męsko zarysowanego podbródka, ale to nie jego wina, to cecha wrodzona. Po raz pierwszy dostrzegła jego usta. Były szerokie i zmysłowe. Stworzone do pocałunków. Zastanawiała się, jak by to było, gdyby pozwoliła mu się pocałować.

Ręce trzymające filiżankę wydawały się mocne. Miały długie i szczupłe palce. Ręce chirurga. Co by czuła, gdyby jej dotknął? Jak by zareagowała, gdyby nakrył ją swoim ciałem, leżał nagi obok niej? Wstał, podszedł do łóżka, zabrał tacę i wyszedł z pokoju. Słyszała, że zmywa w kuchni naczynia, i uśmiechnęła się, zaskoczona swoimi myślami. Byłby zaszokowany, gdyby je poznał. Nie wiadomo dlaczego, przy nim czuła się bezpiecznie. Nie mogłaby go pokochać, ale chciała, żeby ktoś jej pragnął, choćby tylko na tę dzisiejszą noc.

Wrócił, stanął w drzwiach i nie patrząc jej w oczy powiedział:

- Jeśli będziesz mnie potrzebowała, to cały wieczór jestem w domu. Pewnie nic się nie stanie. Ale gdyby...

- Proszę, jeszcze nie odchodź.

Zawahał się.

- W szafce nad kuchenką jest wino. Może nalejesz nam po kieliszku?

- Cassie...

Chwilę stał bez ruchu.

- Proszę - powtórzyła jeszcze raz.

Poszedł do kuchni i przyniósł dwa małe kieliszki napełnione czerwonym winem. Kiedy podawał jej wino, odsunęła się na środek łóżka i poklepała wolną przestrzeń obok siebie.

- Usiądź tutaj - zachęciła go. - Nie chcę być sama. - Usiadł niezręcznie i zauważyła, że się zaczerwienił. - Nie wiem, jak ci dziękować za wszystko, co zrobiłeś. Zaopiekowałeś się mną tak troskliwie.

Wypił wino jednym łykiem i odstawił kieliszek na nocny stolik.

Wzięła go za rękę. Nie przestawał patrzeć jej w oczy.

- Teraz, kiedy Izabela odeszła, jak sobie radzisz z miłością?

- O, Boże. Cassie... - odparł łamiącym się głosem. Nachyliła się, przyciągnęła go do siebie, dotknęła ustami jego ust.

Wyswobodził się i wstał z dziwnym wyrazem twarzy.

- Pójdę już.

Jednak nawet kiedy wyszedł i dom stał się cichy i ciemny, a jedynym dźwiękiem było szczekanie psów w oddali, Cassie wiedziała, że Chris jej pragnie.

Kiedy obudziła się następnego ranka, odruchowo chciała natychmiast wstać z łóżka. Słońce zaglądało do okna i pomyślała, że pewnie jest już spóźniona na poranną sesję radiową. Oparła się na łokciu.

Wtedy wszystko do niej wróciło: katastrofa, Warren, Mary, pobyt w szpitalu, powrót do Augusta Springs, wreszcie Chris.

Spędziła większość dnia leniwie siedząc na werandzie. Jak postanowiła, wczesnym popołudniem zatelefonowała do pastora Johna Flynna i powiedziała mu, że w Augusta Springs nie ma już pilota ani samolotu.

- Zobaczą, co da się zrobić - powiedział pod koniec rozmowy pastor. Nie poddawaj się. Minie jednak trochę czasu, zanim coś załatwię. Załatwienie samolotu może być łatwiejsze niż znalezienie pilota, bo wszyscy lotnicy poszli na wojnę. Nie denerwuj się, zrobię co w mojej mocy. Wiem, że Quantas jest w trudnej sytuacji, większość zatrudnianych przez nich pilotów przeszła do sił zbrojnych. Być może sami będziemy musieli poszukać kogoś nowego.

Oboje wiedzieli, że to nie będzie łatwe. Wszyscy chcieli walczyć z faszystami i lotnicy byli bardzo poszukiwani. Horrie i Bertie odwiedzili ją późnym popołudniem.

- Doktor Adams zadzwonił i powiedział, że musisz się oszczędzać - powiedziała Betty. Znowu była w ciąży. - Przyniosłam ci zapiekanekę.

Cassie podziękowała. Horrie zapalił papierosa.

- Powiadomiłem Fionę o tym, co się stało. Zdecydowała się od razu wrócić do domu. Chciałbym wymyślić jakieś urządzenie, żebyś nie musiała jeździć do bazy, tylko mogła rozmawiać stąd z pacjentami.

- Myślę, że za kilka dni poczuję się na tyle dobrze, żeby znów zacząć sesje radiowe. Mam teraz samochód, więc łatwo do was dojadę. Nie muszę czekać na niczyją pomoc. W zasadzie chciałabym zacząć już jutro.

- Doktor Adams zabronił cię poganiać.

- Ja też jestem doktorem. - Cassie wzruszyła się na myśl, że Chris starał się nią opiekować. - Dobrze, umówmy się na pojutrze. Chociaż nie możemy latać, będziemy udzielać porad przez radio. Pastor Flynn obiecał, że sprawdzi, co da się zrobić, ale to zabierze trochę czasu.

- Co zrobimy z pilnymi wezwaniemiami? - Horrie podrapał się w głowę.

- Nic. Nie możemy dotrzeć w teren. Jedyne samoloty, które dostają przydział benzyny, to samoloty pocztowe. Może w nagłym wypadku będziemy mogli sygnałami ściągnąć na ziemię pana Brocka. Nie wiem, co jeszcze możemy zrobić.

Betty spojrzała na męża z błyskiem w oku.

- Będziesz miał teraz dużo wolnego czasu. Może dobudowałbyś jeden pokój i werandę na tyle domu, żebyśmy mogli siedzieć na świeżym powietrzu i trochę się przewietrzyć.

Podniósł brew.

- Nic nie obiecuję, ale to brzmi całkiem rozsądnie.

- Nieźle radzę sobie z młotkiem - odezwała się Cassie.

- To nie jest praca dla kobiety - oświadczył Horrie wstając. - Chodź, kochanie. Nie męczmy Cassie.

Ledwie wyszli, zjawił się Chris, ściskając torbę z zakupami. Szedł ścieżką nie patrząc na Cassie.

Pomyślałem sobie, że dobrze ci zrobi mało wysmażony stek i pieczony ziemniak.

Cassie od rana jeszcze się nie ubrała i siedziała na werandzie w szlafroku. Nagle poczuła się trochę niezręcznie. Pewnie jest potargana. Przeczesała włosy palcami.

- Chyba dam radę przyrządzić kolację, zwłaszcza taką prostą. Czy mam jeść sama?

Spojrzał na nią, ale nie mogła odczytać, co kryje się w jego oczach.

- Nie wiedziałem, czy pragniesz mojego towarzystwa. -Rumieniec wypełził mu na szyję, zalał policzki i czoło. Chris podał jej torbę. Wstała i wzięła od niego zakupy. - Nie wydaje ci się, że byłoby miło, gdybyś pocałował mnie na dzień dobry?

Zdziwienie przebiegło mu przez twarz, ale nachylił się i niezgrabnie cmoknął ją w policzek.

- Przygotujesz nam drinka? Mam wino do steków, ale na początek napijmy się czegoś innego. Ja poproszę odrobinę szkockiej z mnóstwem wody. Alkohole stoją w szafce nad kuchenką - powiedziała idąc przed nim do kuchni. - Minie godzina, zanim upieką się ziemniaki, więc mamy czas na uroczą pogawędkę.

Chris znalazł w szafce butelkę, poszukał szklanek i wymieszał drinki.

- Jutro wieczorem jest pogrzeb Mary i Warrena - oznajmił. - Oczywiście, nie znałem ich zbyt blisko, ale jeśli chcesz, mogę ci towarzyszyć.

Cassie umyła ziemniaki, zapaliła gaz w piekarniku i wzięła od Chrisa szklaneczkę z drinkiem. Oparta o blat wpatrzyła się w bursztynowy płyn.

- To miło z twojej strony, Chris. Dziękuję. Ale wiesz co? Coś tu nie gra. - Przechylił głowę na bok i czekał. - Ja nic nie czuję. Nie rozpaczam nad ich śmiercią. Nie przechodzę okresu żałoby. Nie jestem załamana, a jeśli już, to tym, że nie wiem, jaka przyszłość czeka latających doktorów. Co ze mnie za człowiek?

- Och, to zupełnie normalne - odparł z ulgą Chris. -Przechodzisz przez etap negacji. Twój umysł nie przyjął jeszcze do wiadomości katastrofy i śmierci tych ludzi. Kiedy je emocjonalnie zaakceptujesz, przyjdzie cierpienie. Wiesz, to chyba dobrze, że nie możesz pracować, że nie masz samolotu i pilota. Będziesz potrzebowała czasu, żeby dojść do siebie. Czy nie boisz się znowu latać?

- Wcale nie. - Potrząsnęła głową. - Denerwuję się, że tylu ludzi potrzebuje mojej pomocy, a ja nie mogę im jej dać. Chętnie od razu wsiadłabym do samolotu i odleciała.

- Nie rozumiesz, przez jakie emocjonalne problemy teraz przechodzisz. Kiedy to pojmiesz nie tylko powierzchownie, będziesz załamana. Znam cię, więc wiem.

Podeszła do niego i wzięła go za rękę.

- Naprawdę mnie znasz? Zacisnął palce na jej dłoni.

- Nie wiem, Cassie. Nie wiem, czy kiedykolwiek dobrze kogoś znałem, włącznie z sobą samym.

Chciałbym cię poznać. Chcę tego już od dawna.

Patrzyli na siebie. Pocałowała go w policzek.

- Przebiorę się w coś przyzwoitszego i ułożę włosy, dobrze? Nie byłam przygotowana na męską wizytę.

- Powinnaś to przewidzieć. - Cień uśmiechu przesunął się po jego twarzy.

- Może. Ale nie przewidziałam, że tak się zmienisz.

- Ja się nie zmieniłem, tylko sytuacja.

- Być może. - Uśmiechnęła się do niego. - Pozwól, że postaram się wyglądać bardziej uwodzicielsko.

- I tak wyglądasz wspaniale. - Usiadł w jednym z wielkich foteli. - Ja będę cierpliwy. Przecież czekałem na to... Jak długo? Chyba dwa lata. Uczesz włosy, jeśli chcesz, ale i tak wyglądają bardzo ładnie i pociągająco. - Spodobało się jej, że tak się do niej uśmiechał. Po raz pierwszy odkryła w nim poczucie humoru.

Przesunęła grzebieniem po włosach, umyła zęby, włożyła spodnie i beżową bluzkę z jedwabiu. Nie nałożyła butów. Albo zje z nim kolację boso, albo w ogóle nie.

- Tak lepiej? - zapytała. Flirtowała z nim świadomie. Nigdy nie bawiła się w takie damsko-męskie gry.

Zawsze

podchodziła do tych spraw poważnie. Teraz zacznij robić to, co wszystkie dziewczęta wokół niej robią od dawna.

Chris spojrzał jej w oczy, opuścił wzrok na szklaneczkę, dokończył drinka i wstał. Wyszedł na werandę i Cassie zobaczyła, że patrzy w gęstniejącą ciemność.

Wrócił do pokoju i stanął w mroku. Dopiero po chwili wszedł w krąg światła, zdjął okulary i popatrzył w skupieniu na Cassie.

- Przerażasz mnie, Cassie. Jakie to wspaniałe. Przerażała go.

- Dlaczego?

- Mam prawie czterdzieści pięć lat, a jeszcze nie wiem, co to znaczy być zakochanym.

Rozdział trzydziesty piaty

Jak to się dziwnie złożyło, myślała Cassie. Ze wszystkich ludzi w Augusta Springs, ze wszystkich ludzi na świecie, właśnie Chris Adams... Nawet po powrocie Fiony Chris trzy albo cztery razy w tygodniu przychodził do niej na kolację, przynosząc butelkę wina albo bukiet kwiatów.

Obie przyjaciółki nie miały zbyt wiele do roboty. Posadę Fiony już dawno zajęła młoda kobieta z Charters Towers. A pastor Flynn zawiadomił Cassie, że być może uda mu się zdobyć stary samolot, który można będzie przystosować do potrzeb latających doktorów, ale w całym kraju nie ma pilota, który nie służyłby w armii lub nie pracował dla linii lotniczych.

Cassie nadal prowadziła trzy sesje radiowe dziennie, ale nie mogła wylatywać na regularne badania i do nagłych wypadków. Asystowała Chrisowi przy operacjach, a kiedy był bardzo zajęty, przyjmowała pacjentów. Mimo to dni mijały jej wolno. Fiona również nie zajmowała się niczym ważnym.

- Czyżbyś miała romans z naszym kochanym doktorkiem? - zapytała pewnego dnia.

Cassie potrząsnęła głową. Nie potrafiła już zwierzać się Fionie z najskrytszych myśli.

- Tak bym tego nie nazwała. Chris jest chyba samotny po śmierci Izabeli. Łączy nas wspólny zawód, a poza tym Chris wreszcie zrozumiał, że latający doktorzy nie są dla niego zagrożeniem. Był mi bardzo przyjazny, zastępował mnie w pracy, kiedy... kiedy wyjechałam. Przejechał taki szmat drogi, żeby się mną zaopiekować po katastrofie. Wiele rozmawiamy o medycynie.

- Wydaje mi się, że się w tobie kocha do szaleństwa. Zmienił się, nie jest już taki sztywny i napięty jak sprężyna.

- Jeśli chodzi ci o to, że już nie zachowuje się tak szorstko, to się zgadzam. Zmienił podejście nie tylko do nas, ale i do pacjentów. Może z wiekiem staje się łagodniejszy.

- Bardzo odmłodził od śmierci Izabeli.

- Pewnie wyglądał staro, bo codziennie patrzył, jak ukochana kobieta ginie w oczach. A teraz, cóż, ten olbrzymi stres minął.

- Zauważyłam, że nie macie sobie wiele do powiedzenia, kiedy Chris przychodzi tu na kolację.

Wyglądacie jak para dalekich znajomych, którzy z trudem znajdują temat do rozmowy. Zastanawiam się, czy gdyby mnie z wami nie było, w ogóle otworzylibyście usta. Miasto nazywa was niedobraną parą.

Cassie niecierpliwie potrząsnęła głową.

- Nie jesteśmy parą.

- Być może, ale gdybyście byli, to tak można by było was nazwać.

Czytała Cassie fragmenty listów od Blake'a. Nie dostawała ich wiele, ale kiedy list wreszcie przychodził, Fiona chodziła szczęśliwa przez długie dni, odczytując go raz po raz, aż niemal rozpadał się jej w rękach.

- Już lata na bombardowania - oznajmiła wystraszonym

głosem. Oczy jej płonęły. - Wylatuje za Kanał. - Cassie nic nie odpowiedziała. - Boże, tak bardzo bym chciała być w ciąży - ciągnęła przyjaciółka. - Chciałabym urodzić mu dziecko.

Pewnego wieczora Chris powiadomił je, że ma pacjentkę, która pilnie musi być poddana operacji oka, a nie ma pieniędzy na bilet lotniczy ani kolejowy do Adelajdy. Zasugerował kobiecie, żeby pojechała samochodem. Ona jednak nie potrafi prowadzić, więc musi ją odwieźć mąż. Nie stać ich na zabranie ze sobą trójki małych dzieci, w związku z tym Chris zastanawiał się, czy Cassie i Fiona nie zechciałyby pojechać na tydzień na farmę tych ludzi i zaopiekować się dziećmi. Tymczasem mąż odwiezie żonę do Adelajdy. Fiona nawykła do pracy z małymi dziećmi, więc być może obie zdecydują się na takie krótkie wakacje na wsi. Zmieniają trochę otoczenie. Znowu poczują się potrzebne, co im dobrze zrobi, bo od trzech tygodni nie robią prawie nic. Sam podjął się zastąpić Cassie i trzy razy dziennie udzielać porad przez radio.

- Farma znajduje się około siedemdziesięciu kilometrów na południowy wschód stąd. Musiałybyście doić krowę, ale to małe gospodarstwo, więc nie trzeba tam wiele robić. Główną pracą byłaby opieka nad dziećmi.

Cassie i Fiona spojrzały po sobie. Lubię się czuć potrzebna - odezwała się Fiona. - I taka odmiana może być przyjemna.

- Zawiozę was tam w niedzielę i przyjadę po was za tydzień, w następną niedzielę - powiedział Chris.

- Prowadzi tam raczej gościniec, niż droga. W pobliżu nie ma innych gospodarstw.

- Będziemy się czuły jak pionierzy na dzikim zachodzie

- stwierdziła Cassie. Pomyślała, że dzięki takiemu doświadczeniu lepiej pozna życie swoich pacjentów. - Jasne, że się zgadzam.

- Tak właśnie myślałem. Serdeczne dzięki. - Ruszył do wyjścia. Cassie odprowadziła go do furtki. Wziął ją za rękę.

- Nie mogę w nocy spać, bo ciągle myślę o tobie. Objęła go w pasie ramionami i pocałowała. Nie czuła zmysłowego napięcia, ale pocałunek był przyjemny.

. **Fiona** ze śmiechem wyszła ze stodoły, niosąc koszyk pełen brązowych jajek. Towarzyszyło jej dwoje starszych dzieci, Laurie i Phil.

- Wspaniały zapach - zawołała do Cassie, która smażyła bekon.

Cassie właśnie nakarmiła najmłodsze dziecko. Całe wysokie, dziecięce krzeselko ubrudzone było jedzeniem. Nie podejrzewała, żeby takie życie odpowiadało jej na stało, ale tydzień odmiany uznała za przyjemność. Dzieci były bardzo grzeczne, szczególnie najstarszy chłopiec, Phil. Stał właśnie w drzwiach i pokazywał palcem na wschód.

- Zobaczcie, coś tam się świeci - powiedział. Fiona obejrzała się. Podeszła do drzwi.

- Hej, Cassie, spójrz na to.

Pośrodku linii horyzontu, na tej równinie ciągnącego się w nieskończoność, za niskimi krzakami jaśniała srebrna poświata. Wydawało się, że płaskim, wydłużonym jęzorem posuwa się w ich stronę.

- Chryste, to pożar - stwierdziła Cassie. - Ma z pięćdziesiąt kilometrów szerokości.

Spojrzały na siebie znacząco.

- Nie zdążymy przed nim uciec - odezwała się Fiona.

- Jasne, że nie. Przecież nie mamy żadnego środka transportu. - Cassie poczuła ucisk w piersi.

Rozejrzała się. - Jest jeszcze daleko. Zjedźmy śniadanie.

- **Śniadanie?** - Głos Fiony się łamał.

- Tak. Czeka nas ciężki dzień, - Serce biło jej w piersi jak szalone. Przewróciła bekon na patelni i sięgnęła po jaja, które Fiona wciąż trzymała w koszyku. - Zachowuj się normalnie, jakby to miała być zabawa.

Fiona popatrzyła na nią, a potem zwróciła się do dzieci.

- Spójrzcie tylko, jakie pyszne śniadanie. Jedźmy. - Posadziła Laurie przy sobie i poklepała stojące obok krzesło, dając znak Philowi, żeby usiadł.

Cassie usadowiła się za stołem. Zastanawiała się, co robić.

- Ile macie owiec? - zapytała Phila.

- Dziewięć. Tatuś niedawno je kupił. Długo na nie oszczędzał. Nazywają się...

- Dziewięć - powtórzyła w zadumie Cassie.

- O czym myślisz? - chciała wiedzieć Fiona. Zmuszała się do jedzenia.

- Wiesz co? Ogień nie zajmie już wypalonego gruntu. Gdybyśmy same wywołały pożar, posuwający się w stronę tego głównego, ogień by zawrócił, sam by się ugasił. Albo przynajmniej ominąłby ziemię, którą wypaliłybyśmy wokół domu. Rozumiesz, zwalczyłybyśmy ogień ogniem.

- Jak to zrobić? - Głos Fiony drżał ze strachu.

- Nie wiem. Niech no chwilę pomyślę. Pozmywaj. Phil i Laurie ci pomogą. Ja tymczasem trochę się rozejrzę. Może wpadnę na jakiś pomysł.

Kiedy wyszła z domu, pies, wierny stróż obejścia, podbiegł i polizał jej rękę. **Żalowała**, że nie przyniosła mu trochę bekonu. Zwierzę biegało dokoła Cassie. Poczuła, że w żołądku zaciska się jej jakiś węzeł. Owce stały w zagrodzie nie opodal domu i pasły się zadowolone. Wiedziała, że owce

podążają za przewodnikiem stada, za każdym, kto idzie przodem. Potrafią nawet skoczyć z wysokiej skały na pewną śmierć, jeśli przywódca to zrobi. Czy potrafi je opanować? W jej głowie zaczął się rodzić niejasny plan.

Zatrzymała się przy pompie i napełniła kubek wodą. Z wysiłkiem zaniosiła go do zagrody owiec. Wlała wodę do koryta, a owce natychmiast podbiegły i w kilka sekund je opróżniły. Patrzyła na nie, zastanawiając się, czy jej pomysł ma jakikolwiek sens. Wróciła do pompy. Trzy razy napełniała koryto.

- Wystarczy - powiedziała w końcu. - Teraz odpoczywajcie, bo czeka was cały dzień ciężkiej pracy. Horyzont płonął. Ogień pozornie się nie przybliżał, ale Cassie wiedziała, że pożera kolejne kilometry. Nie potrafiła dokładnie oszacować odległości, domyślała się jednak, że minie kilka godzin, zanim dojdzie do ich domu. Zastanawiała się, jak długo trwa straszliwa śmierć w płomieniach.

Czy powinny próbować ucieczki? Może uciekać w bok, żeby zejść pożarowi z drogi? Czy uda im się dzisiaj przebiec dwadzieścia trzy kilometry, może nawet więcej? Oczywiście, że nie. Nie z małymi dziećmi. Ich rodzice zabrali ciężarówkę a na farmie nie było nawet traktora.

Na progu domu spotkała Fionę z najmłodszym dzieckiem na rękach.

- Wpadłaś na jakiś wspaniały pomysł? - zapytała przyjaciółka.

- Nie wiem, czy jest wspaniały, ale jeśli ty nie masz lepszego...

- Nie mam żadnego pomysłu. Chciałabym uciekać, ale wiem, że to by nic nie dało. Nie prześcigniemy ognia, zwłaszcza z małymi dziećmi. - A więc Fiona doszła do tego samego wniosku.

Cassie zawahała się chwilę i głęboko wciągnęła powietrze.

- Pomyślałam sobie, że zbierzemy te owce, wszystkie dziewięć, i będziemy z nimi chodzić wokół domu, zataczając coraz większy krąg. Ja poprowadzę. Ty, razem z dziećmi, będziesz szła za nimi. W ten sposób być może uda nam się zdeptać trawę, przygnieść ją do ziemi, tak że...

- Zdeptać trawę? - Fiona spojrzała na Cassie jakby przyjaciółka postradała zmysły. - Nie widzisz, jaka jest wysoka?

- Widzę. - Przez chwilę Cassie miała ochotę się poddać i uciekać, z nadzieją że prześcigną ogień. - Będziemy musieli chodzić w kółko, aż całkiem wdcpczemy ją w ziemię. Nie przejdziemy więcej niż dziesięć kilometrów, bo tyle są w stanie dziennie pokonać owce.

- Wiele się nauczyłaś.

Cassie grzbietem dłoni odsunęła włosy z oczu.

- Nie podejrzywałam, że ta wiadomość kiedykolwiek mi się przyda. I co ty na to?

- Wiem tylko, że jestem nieprzytomna ze strachu. - Fiona weszła do domu i ułożyła dziecko w łóżeczku. - Ale jeśli nic nie zrobimy, nie będziemy miały żadnych szans. Co będzie, jeśli owce uciekną?

- Nie wiem. Myślisz, że lepiej by było związać je wszystkie razem?

- I prowadzić je na sznurku? Wydaje ci się, że dasz radę je zatrzymać, jeśli się spłoszą? Każda waży ponad dwadzieścia pięć kilo, a jest ich dziewięć.

- Cóż... - Cassie roześmiała się, chociaż strach ścisnął ją za gardło. - Zobaczymy, co da się zrobić.

Wy tłumacz dzieciom, o co chodzi. Masz do nich lepsze podejście niż ja. Pomożecie mi zebrać owce. Może pies potrafi nam pomóc. Trzymaj go przy sobie, za owcami, żeby je poganiał.

Łatwo było zebrać owce i kiedy Cassie poprowadziła je wokół małego domu, zwierzęta podążyły za nią, jakby szły

na pastwisko. Ich racice z trudem udeptywały trawę. Cała grupa przez godzinę zataczała jednakowe koło, aż Laurie zaczęła płakać. Cassie postanowiła dać jej odpocząć, ale tylko przez chwilę. Potrzebna była każda para nóg.

- Napoję owce - powiedziała Fionie. - Naszykuj coś do picia dla dzieci. I dla nas też. - Czuła, że na pięcie robi jej się pęcherz.

Fiona zajrzała do najmłodszego dziecka.

- Nie podoba mi się to. Jestem zmęczona - oznajmiła Laurie.

Cassie spojrzała na przyjaciółkę.

- Zaśpiewamy coś. Nauczę was piosenek, które się świetnie nadają do maszerowania. - Fiona uśmiechnęła się, chociaż na pewno wcale nie było jej do śmiechu. - Znajdźmy kawałek sznurka.

Przywiążemy cię nim do owieczki i ona będzie cię prowadziła. To dopiero będzie zabawa, co?

Druga godzina upłynęła podobnie jak pierwsza, tylko Cassie czuła, że pęcherz na pięcie pękł i teraz każdy krok sprawiał jej ból. Wiedziała, że dzieci są w jeszcze gorszej formie, chociaż Phil cały czas powtarzał, że jest mężczyzną, a mężczyźni nie narzekają. Mówił to przez zaciśnięte zęby.

Po południu Fiona zrobiła kanapki.

- Cy dzieci nie mogłyby się zdrzemnąć? - zapytała po skończonym posiłku.

- Chcę, żeby jak najbardziej się zmęczyły i wieczorem zasnęły jak kamień. - Cassie spojrzała na horyzont. Srebrna poświata zmieniła się w jasnopomarańczową. Stawała się coraz rozleglejsza i podchodziła bliżej domu. - Pożar wciąż jeszcze jest daleko - oznajmiła z nadzieją, że Fiona przytaknie.

Przyjaciółka nie odpowiedziała.

Chodziły cały dzień, dając dzieciom często odpoczywać. Pies, podążający za owcami, nie okazywał zmęczenia. Cassie

dbała, żeby zwierzęta dostawały dużo wody. Pęcherze na stopach zaczęły jej tak bardzo dokuczać, że zdjęła buty i szła bosą po pobrużdżonej ziemi. O szóstej owce ledwie zipsyły.

- Zrób coś do jedzenia - poprosiła Cassie Fionę. - Cokolwiek. Sprawdź, czy jest jeszcze kawa, dobrze? Chętnie bym się napiła. - Wyczuwała już woń pożaru. Znajdował się pewnie nie więcej niż dwadzieścia kilometrów od nich. Gryzący dym unosił się w powietrzu. - Zabierz psa i owce do domu - nakazała Philowi.

- Owce też? - zachichotał chłopiec.

- Twój ojciec ich potrzebuje do założenia hodowli, prawda? Zamknij je w kuchni.

- Powąchaj tylko, jak pachnie ogień - powiedziała Fiona. Otoczyła Laurie ramieniem.

- Posłuchaj, jak strzela - odezwał się Phil. Pokrzykiwał na psa, który pomagał mu zapędzić owce do domu.

Laurie wybuchnęła płaczem.

- Spalimy się - szlochała.

- Cicho - upomniała ją Cassie. Wiedziała, że dzieci są równie zmęczone jak ona i zasną, kiedy tylko napełnią żołądki. Dziękowała Bogu za obecność Fiony, ponieważ bez jej opieki dzieci byłyby śmiertelnie wystraszone.

Laurie zasnęła na stole.

- Jestem tak zmęczona, że chyba zaraz umrę - stwierdziła Fiona. - Myślisz, że to nas może spotkać? - Zniosła Laurie do sypialni. Najmłodsze dziecko już usnęło. Phil usiadł na łóżku tuląc psa, któremu nigdy przedtem nie pozwolono wejść do domu. Łapy psa były całe zakrwawione i biedne zwierzę skomlało lizało rany. Zapędzone do kuchni owce jadły siano, które Cassie przyniosła im ze stodoły.

- Boisz się? - zapytała Cassie, kiedy została sama z Fioną.

- A ty nie?

- Jak cholera.

- Myślę o Blake'u. Żałuję, że tak krótko ze sobą byliśmy. Cały dzień o nim myślałam.

Blake.

Cassie wstała i bosą podeszła do drzwi.

- Spójrz tylko - wyszeptała. - Trudno byłoby to komuś opisać. Posłuchaj, jak syczy, chociaż jest jeszcze daleko.

- Jak daleko? - Fiona stanęła obok niej i objęła ją w płu. Cassie wzruszyła ramionami.

- Jak dla nas, to niezbyt daleko. Czuję się taka bezużyteczna, jakby wszystko, co zrobiłam, nie miało sensu.

- Zrobiłaś, co tylko mogłaś. Ja tylko wypełniałam twoje polecenia. To ja czuję się bezużyteczna.

- Może obie jesteście do niczego. Teraz już nic więcej nie możemy zrobić.

- Ależ możemy - odparła Fiona. - Podpalić trawę. Czy nie do tego przez cały dzień zmierzałaś?

Cassie spojrziała na przyjaciółkę.

- Jeśli nie zabije nas ogień, to ja na pewno umrę z wyczerpania. - Fiona przytaknęła. - A co będzie, jeśli to nie pomoże?

Fiona pocałowała Cassie w policzek.

- Wierzę w ciebie. Ale jeśli nic nie pomoże i będę musiała niedługo zginąć, to wolę umierać z tobą niż z kimkolwiek innym na świecie.

- Ja też cię kocham. - Cassie objęła przyjaciółkę. - Tylko strasznie się boję. Nie chcę umierać. Nie chcę, żeby te dzieci zginęły.

- Cassie, jesteś mocna jak skała. Nie byłabym taka spokojna, gdybyś przy mnie nie stała. Wierzę, że nas z tego wyciągniesz. Jestem tego pewna. Nie umrzemy, tylko bardzo się boimy, ale też nie bez powodu. Idź, zapal ten ogień, a ja przygotuję kawę.

Cassie otworzyła drzwi i zobaczyła siedzącego na progu kurczaka. Podniosła go, wrzuciła do środka, wzięła od Fiony zapalki i ruszyła w stronę pożaru, który gwałtownie się przybliżał. Słyszała szeleszczący poszum gorącego powietrza, kiedy płomienie ryczały w gałęziach, przeskakując z jednego drzewa na drugie. Ogień syczał i płonął tak jasno, że oślepił Cassie.

Idąc po zdeptanej trawie, zastanawiała się, czy nadpeł-zający potwór ich pochłonie. Czuła woń ognia w pojedynczych podmuchach wiatru. Chociaż był ponad półtora kilometra od domu, wokół panował taki żar, że Cassie sprawdzała, czy jej ubranie już nie płonie.

Stanęła na skraju udeptanej trawy, którą tak pracowicie tratowali przez cały dzień. Uklękła i zapaliła zapalkę. Zgasił ją wir powietrza wywołany pożarem. Następną zapalkę ochroniła złożonymi dłońmi i delikatnie dmuchając podsycała płomień. Zauważyła śmieszność tej sytuacji. Ona tu stara się rozpaść ogień, podczas gdy z rykiem zbliża się do niej szalejące piekło pożaru. Trawa się zajeła i płonęła coraz szybciej. Cassie pobiegła w inne miejsce i podpaliła kolejną kępę traw. Nie chciała się zastanawiać, czy wywołany przez nią pożar ruszy naprzeciw rozszalałym płomieniom, które chciały ich pochłonać, czy też cofnie się i wypali zdeptaną trawę.

Ostre, wściekłe podmuchy gorącego powietrza pokierowały ogniem. Ruszył w stronę ryczącego, szalejącego nie opodal piekła.

- Nic więcej nie mogę zrobić - powiedziała głośno Cassie. Ruszyła do domu. Czuła, że trzęsą jej się ręce.

Fiona obserwowała ją z progu.

- Kawa stoi na kuchence - oznajmiła. - Jest bardzo gorąca.

- Jak wszystko dokoła. - Strach ścisnął Cassie żołądek.

Usiadły za stołem naprzeciw siebie, trzymając w dłoniach filiżanki. Fiona dotknęła ręki Cassie.

- Będziemy wyspą w morzu ognia.

- Chciałabym też w to wierzyć. Fiona poklepała Cassie po ramieniu.

- Wiesz, o czym ostatnio myślałam? Żadna z nas nie robi nic pożytecznego, bo kto inny pracuje na moim miejscu, a ty nie masz pilota. Pamiętasz, że Sam uczył mnie latać? Doprowadził mnie prawie do etapu, kiedy mogłam już latać samodzielnie. Potem musiałam wyjechać do Irlandii. Może pojechałabym do Adelajdy i wzięła kilka lekcji? Chciałabyś, żebym została twoim pilotem? Mogłybyśmy pracować razem.

Cassie patrzyła na nią z rozwartymi ustami. Fiona ścisnęła jej ramię.

- Nie wspominałam o tym ze strachu, że się nie zgodzisz. Nie chciałam, żebyś mi odmówiła. Ale Cassie, naprawdę myślę, że byłabym dobrym pilotem. No i musisz jeszcze jedno wziąć pod uwagę. Albo zgodzisz się na mnie, albo latający doktorzy w Augusta Springs przestaną istnieć.

Cassie zerwała się z miejsca i podbiegła do przyjaciółki. Zarzuciła jej ręce na szyję.

- To wspaniały pomysł. Cudowny. To najlepsze, co mogło mnie spotkać w życiu.

No, z wyjątkiem ślubu z Blake'em. Trzaskanie ognia stało się tak głośne, że zagłuszało nawet wycie psa.

Rozdział trzydziesty szósty

Rankiem, kiedy perłowoszary świt rozjaśnił wschodni horyzont tam, skąd pojawił się ogień, wokół widać było tylko wypaloną ziemię i powalone drzewa. Dym unosił się z żarzącej się ziemi. Wszędzie panowała śmiertelna cisza. Nie śpiewał żaden ptak, powietrze stało nieruchome.

Cassie i Fiona nie spały całą noc. Otworzyły drzwi, żeby wypuścić owce na podwórze, ale zwierzęta zbiły się w kącie i nie chciały się ruszyć. Cassie wyszła przed dom, licząc na to, że podążą za nią, jednak ziemia była tak gorąca, że musiała szybko wrócić do środka. Wokół nie widziała żadnego żywego stworzenia.

Z bladym uśmiechem spojrzała od drzwi na Fionę.

- Chyba nam się udało.

Na to wyglądało. Zastanawiała się, dlaczego nie odczuwa większej radości.

- Nakarmię niemowlaka. Zajmij się starszymi dziećmi, dobrze?

- Wiesz co? Cała się trzęsę - stwierdziła Fiona z zaskoczeniem. Wyciągnęła ręce przed siebie. - O, spójrz na mnie. A przecież już po wszystkim. Powinnam tak reagować wczoraj, a nie teraz, kiedy jesteśmy bezpieczne.

- Wcale nie - odparła Cassie zasadniczym tonem. - Ludzie często w dramatycznych sytuacjach zachowują się przytomnie i dzielnie dają sobie radę, a potem, kiedy zagrożenie minie, załamują się i czasem nie są w stanie normalnie działać.

- U mnie jeszcze do tego nie doszło. Jestem tylko trochę roztrzęsiona. - Fiona poszła do dzieciennego pokoju, gdzie najmłodsze dziecko stało w łóżeczku, śliniąc się i uśmiechając radośnie na jej widok. Phil przytulił się do psa, który lizał mu łokieć. Laurie czekała przez sen.

Cassie zaczęła parzyć kawę. Zastanawiała się, jak przejdą po rozgrzanej ziemi do budynków gospodarczych. Będzie musiała coś wymyślić.

Dzisiaj kury nie dadzą jajek. Składzik z żywnością został zniszczony. Czy starczy im jedzenia do końca tygodnia? Zostało chyba jeszcze cztery dni. Nie, trzy. Cóż, jakoś wytrzymają. Ale czy do niedzieli ziemia wystygnie na tyle, żeby mógł po nie przyjechać samochód? Gdziekolwiek spojrzała, widziała obłoki dymu unoszące się z wypalanej ziemi.

Jednak dwa dni później półtonowa ciężarówka przejechała przez dwudziestoczerokilometrowy pas spalonej ziemi. Chris Adams i Steven Thompson przyjechali do nich, chociaż po gościńcu prowadzącym do farmy nie został prawie żaden ślad.

Steven chwycił w objęcia Fionę, a Chris tylko spoglądał na Cassie.

- O, Boże - powiedział. - Kiedy usłyszałem o pożarze, próbowałem się do was dostać, ale nie było sposobu. Od wczoraj czekaliśmy, aż ziemia wystygnie na tyle, żeby nie zapaliły się opony samochodu. Powtarzaliśmy sobie ze Stevenem, że nic wam się nie stało, ale...

- Chyba żaden z nas w to nie wierzył - przerwał mu Steven. - Czy wiecie, co czuliśmy, kiedy zobaczyliśmy, że dom stoi i ktoś przed nim chodzi? Powiedziałem Chrisowi, że jeśli jakiegokolwiek kobiety potrafiłyby przetrwać taki pożar, to właśnie wy dwie. - Wypuścił Fionę, podszedł do Cassie i zamknął ją w niedźwiedzim uścisku. - Boże Wszechmogący, nigdy jeszcze nie ucieszyłem się tak na czyjś widok. - Łzy napłynęły mu do oczu.

- Jak to zrobiliście? - zapytał Chris. - Jak udało się wam ocalić ten kawałek ziemi? Wygląda jak wyspa w samym środku piekła.

Zaskoczył Cassie kładąc jej ręce na ramionach. Przyciągnął ją do siebie.

- Boże, myślałem, że życie dla mnie się skończyło - powiedział niskim głosem. Przytulał ją do siebie i nie chciał puścić.

Po powrocie do Augusta Springs Cassie od razu poszła do łóżka. Leżała w zaciemnionym pokoju, przy zamkniętych okiennicach i nieopanowanie drżała. Zęby jej szczękały. Fiona nakarmiła dzieci i położyła je do łóżka.

- Prześpię się na kanapie - powiedział Steven. - Nie zostawię was, dziewczyny, samych.

Chris również został i co piętnaście minut zaglądał do pokoju Cassie. W końcu usiadł na brzegu łóżka i głaskał ją po czole. Odepchnęła go.

- Po prostu zostaw mnie w spokoju. Nic mi nie będzie.

Kiedy wyszedł, zaniósł się płaczem. Nie mogła powstrzymać łkania. Fiona, Steven i Chris stanęli w drzwiach. Cassie chciała, żeby wyszli i zostawili ją samą. Nawet nie wiedziała, dlaczego płacze. W końcu zasnęła.

Rankiem wyrwały ją ze snu krzyki dzieci. Malcy śmiechem

i bieganiem po **domu** obudzili Stevena. Kiedy Cassie weszła do kuchni, już zaparzył kawę i właśnie smażył jajecznicę.

- Nie wiedziałam, że masz takie ukryte **talenty** - powiedziała. Usiłowała się do niego uśmiechnąć, ale pragnęła tylko wrócić do łóżka. Nie mogła jednak zostawić Fiony z trójką dzieci na głowie. Poza tym, nie było już powodów do zdenerwowania. Dlaczego więc czuje się tak okropnie słabo, jakby była chora?

Kiedy Steven nalał jej kawy i podał filiżankę, zemdląła. Ocknąwszy się, zobaczyła nad sobą Chrisa.

- Zabiorę cię stąd gdzieś, gdzie nie ma hałasu i biegających dzieci. Ojciec przyjedzie po nie dzisiaj po południu. Do tego czasu Fiona się nimi zajmie. Ty pojedziesz do mnie. Potrzebujesz ciszy i spokoju. Cassie była zbyt słaba, żeby się spierać. Wziął ją na ręce i zaniósł do samochodu.

- Potem przyślę kogoś po twoje rzeczy - zdecydował. Z ulgą opadła na fotel samochodu.

Ułożył ją w łóżku i zaciągnął zasłony.

- Muszę iść do szpitala, ale wrócę w południe i przygotuję ci coś do jedzenia. Tymczasem dam ci zastrzyk na uspokojenie. To ci pozwoli zasnąć.

Spała aż do wieczora. Obudził ją zapach gotowanego jedzenia. Pomyślała, że powinna wstać i pójść do salonu, żeby Chris nie musiał jej przynosić kolacji do łóżka, ale nie miała siły się ruszyć.

Do sypialni wszedł Chris i włączył światło.

- Może poszłabyś do łazienki? Nie byłaś tam od wczoraj. Cassie skinęła głową. Jasne, że da radę sama wstać.

Jednak nie miała nawet siły odrzucić pościeli. Chris wziął ją na ręce i zaniósł do łazienki.

- Zaczekam na zewnątrz - oznajmił. - Ale nie wstydź się i zawołaj mnie, jeśli ci będę potrzebny. W końcu oboje jesteście lekarzami.

Kiedy znów ułożył ją w łóżku, powiedział:

- Ugotowałem rosół z kurczaka. - Poprawił jej poduszki pod głową.

- Stale musisz się opiekować chorymi kobietami, co? Chwycił ją mocno za nadgarstek i ścisnął.

- Nigdy tak nie mów. To nie to samo. Nie jesteś Izabelą. - W jego głosie usłyszała gniew.

Zaczęła drżeć tak gwałtownie, że zęby uderzały jej o zęby. Chris usiadł obok, otoczył ją ramionami, mocno przytulił i przesunął ręką po jej włosach.

- No, już. Spokojnie - szeptał. - Wszystko w porządku. Ciepło jego ciała w końcu ją uspokoiło.

Zasnęła blisko

niego. Całą noc siedział na jej łóżku i trzymał ją w ramionach, drzemiąc na siedząco.

Wychodząc następnego ranka do pracy dał jej jeszcze jeden zastrzyk. Tym razem obudziła się, zanim wrócił do domu. Leżała sztywna w łóżku. Wydawało się jej, że dłużej nie wytrzyma. Dlaczego zginęli Warren i Mary, a nie ona? Dlaczego żyje? Dlaczego Blake nie chciał się z nią ożenić? Dlaczego wybrał jej najlepszą przyjaciółkę? Rozdzielił je

i teraz nie miała komu zwierzyć się z trosk. Nie były już tak blisko jak kiedyś. Dlaczego umarła Jennifer, ta piękna kobieta w kwiecie wieku? Poparzona i zmieniona nie do poznania.

Płakała bezgłośnie, łzy spływały jej po policzkach.

Po powrocie do domu Chris znalazł Cassie zwiniętą w pozycji embrionalnej, z twarzą mokrą od łez. Szeroko otwartymi oczami spoglądała w przestrzeń. Nie odezwała się

do niego ani nie zareagowała na jego obecność. Kiedy jakiś czas później zjawił się Steven, Cassie patrzyła na niego pustym wzrokiem i obaj mężczyźni zrozumieli, że wcale ich nie widzi.

- Jest w szoku - wyjaśnił Stevenowi Chris. - Chyba nie potrafiła dać sobie rady z tym wszystkim, co ją spotkało. Wojna, odejście przyjaciół, śmierć Jennifer, a potem katastrofa samolotowa. Pożar zadziałał jak katalizator. Taki stan letargu występuje czasami, kiedy ktoś nie chce zaakceptować rzeczywistości. To rodzaj ucieczki.

Steven pogładził ją po czole.

- Myślałem, że zostanie moją synową - powiedział cicho. - Już ją pokochałem jak członka rodziny. -

Odwrócił się do Chrisa. - Co można zrobić?

- Trzeba dać jej trochę czasu. Musi odpocząć.

- Cóż, dzieci jutro wyjadą. Wtedy Fiona będzie mogła się nią opiekować.

- Nie. Ja to zrobię. Steven spojrzał na niego.

- Daj mi znać, jeśli będę mógł w czymś pomóc. Zatrzymałem się u Fiony.

Cassie słyszała ich słowa jakby z końca długiego tunelu, przytłumione. A więc Steven też sądził, że Blake się z nią ożeni. Łzy nie chciały płynąć. Nic nie czuła.

Kiedy trzy dni później otworzyła oczy i uświadomiła sobie, gdzie jest, zobaczyła, że Chris siedzi obok łóżka i czyta. Natychmiast zamknął książkę, wstał i usiadł na łóżku.

- Ugotowałem zupę. Zjesz trochę?

- Napiałabym się soku pomarańczowego - odparła siadając w pościeli. - Poproszę jeszcze o szczoteczkę do zębów. Mam okropny niesmak w ustach. Jak długo tu jestem?

- Pięć dni. - Ruszył do drzwi. - Zaraz wracam.

Cassie wstała i poszła do łazienki. Napuściła sobie wody do wanny. Chris wrócił i zapukał do drzwi. Otworzyła mu i zobaczyła, że stoi z szerokim uśmiechem, trzymając w ręku nową szczoteczkę w ręku. Odpowiedziała mu uśmiechem. Zrobił się z niego taki miły człowiek.

- Nie chcę zupy. Wolę jajko na miękko, grzanki i herbatę. Przyniósł jej tacę z jedzeniem do łóżka.

Obok talerza

stała róża.

- Martwię się, że już ci lepiej - powiedział. Uniosła pytająco brew.

- To znaczy, że niedługo stąd odejdziesz. Dotknęła jego ramienia.

- Mam nadzieję, że bardziej ci się spodoba, kiedy odzyskam nieco energii. Czuję się tak, jakbym spała w tej samej pozycji przez dwadzieścia lat.

- Cała zeszywniałaś. Pomasować cię? Jeszcze nigdy nie był taki miły.

- Zaczekaj, aż skończę kolację. Wtedy z przyjemnością skorzystam z twojej oferty.

Usiadł obok i patrzył, jak je. Położyła się na brzuchu.

- Nie jestem fachowcem od masażu.

- Nic nie szkodzi. - Ułożyła dłonie pod głowę.

- Masz piękne ciało.

- Przecież nigdy go nie widziałeś. - Po chwili dodała: - Mocniej, jeszcze mocniej. To takie wspaniałe uczucie.

- Wciąż jeszcze kochasz Blake'a Thompsona? - zapytał po jakimś czasie.

Serce przestało jej bić. Z piersi wyrwało się urywane westchnienie. Upłynęło kilka minut, zanim odpowiedziała. Leżała na łóżku, a dłonie Chrisa rozmasowywały zeszywniałe mięśnie na jej ramionach. Mimo; bolesnego pytania czuła, że się rozluźnia.

- Nie wiem. Podaj mi definicję miłości.

Roześmiał się gorzko. Wbił mocniej palce w jej ramiona.

- Nie jestem ekspertem w tych sprawach.

- Och, daj spokój. - Odwróciła głowę na bok, żeby go lepiej widzieć. - Byłeś żonaty z Izabelą przez ponad dwadzieścia lat.

Milczał. Nadal masował jej ciało, chociaż zauważyła, że dłonie ma teraz bardziej napięte. Nagle pocałował ją w plecy między łopatkami.

- Na pewno nie interesuje cię historia mojego małżeństwa z Izabelą.

Cassie usłyszała w jego głosie jakiś dziwny ton. Nie potrafiła go rozszyfrować. Chris gładził ją po łydkach i udach, usuwając z nich sztywność i napięcie.

- Mmm, to miłe - zamruczała. Chris jednocześnie rozluźniał jej ciało i pobudzał ciekawość.

- Odwróć się - polecił.

Zmieniła pozycję i zobaczyła w jego oczach czułość, jakiej nigdy jeszcze u niego nie widziała.

Łagodnie masował jej ramiona. Usuwał z żołądka twarde supeł, który uformował się tam pięć dni przedtem. Przesuwał dłońmi po nogach, rozmasowując stwardniałe mięśnie ud. Zamknęła oczy i poddała się jego dotykowi.

Kiedy skończył masować wewnętrzną stronę jej ud, wypełniła ją jakaś dziwna tęsknota. Cassie otworzyła oczy i zobaczyła, że Chris stoi nad nią i patrzy. Zapragnęła się z nim kochać.

Spoglądał na nią przez długą chwilę.

- Zaczekaj - odezwał się w końcu. Wyszedł i wrócił z dwoma kieliszkami wina.

Cassie usiadła na łóżku. Kiedy podawał jej kieliszek, przytrzymała jego dłoń; odwróciła grzbietem do dołu i pocałowała.

Usłyszała, jak gwałtownie wciągnął powietrze.

- Kochaj się ze mną, Chris.

Patrzył bez słowa, potem ukląkł przy łóżku, trzymając ją za rękę. Położyła sobie jego dłoń na piersi.

Wyczuł, że sutki jej twardnieją.

- Zaraz. Tutaj.

Nie odrywał wzroku od jej oczu. Pocałował ją głodnymi wargami. Otoczyła ramionami jego szyję i szeptałam

- Chodź do mnie, Chris.

Wstał, rozwiązał krawat, rozpiął koszulę... W końcu stanął przed nią nagi. Miał szczupłe, umięśnione ciało, takie jak powinien mieć mężczyzna. Odrzuciła pościel i otworzyła ramiona.

Kochali się gwałtownie i szaleńczo. Wniknął w nią, a kiedy miała wrażenie, że chce się wycofać, bezwiednie krzyknęła:

- Nie, jeszcze nie!

Jednak on wcale nie miał zamiaru się wycofać. Pieścił ją tak długo, aż liczyło się dla niej tylko to, żeby jej nie opuszczał. Unosiła biodra, żeby uprzedzić jego ruchy. Poruszali się w zgodnym, dzikim rytmie.

Nie panowali już nad sobą.

Słyszeć było tylko jęki Cassie, głębokie westchnienia wydobywające się z samego dna duszy. Jej ciało drżało pod Chrisem, unosząc się i opadając. Chciała go całego w siebie wciągnąć. Zacisnęła się wokół niego i usłyszała, że zaszlochał i głośno krzyknął.

Kiedy skończył, odsunął się, oparł na łokciu i spojrzał na nią. Oddychała ciężko i urywanie.

- Zapomniałem już, że może być tak dobrze.

Opadł na poduszkę, podłożył ręce pod głowę i patrzył w sufit, ale Cassie wyczuła, że widzi co innego.

- Często o tym myślałem - odezwał się wreszcie. - Boże,

marzyłem o tym od dnia, w którym pierwszy raz cię zobaczyłem.

- Od samego początku? Przytaknął.

- Od początku naszej znajomości miałem ochotę cię zerznąć tak, żebyś poczuła.

Cassie jeszcze nie słyszała, żeby ktoś się tak wyrażał.

- Myślałam, że mnie nie znosisz.

- Bo nie znosiłem. Ale cię pragnąłem. Robiłem wszystko, żeby zapomnieć o twoim ciele. Nie przypuszczałem, że coś takiego się wydarzy.

Przesunęła mu dłońią po brzuchu.

- Ja nigdy o tym nie myślałam.

- Wiem. - Uśmiechnął się. - Rób tak dalej. To bardzo przyjemne.

Pocałowała go w pierś, przesunęła językiem po sutkach. Zadrżał, kiedy lekko go ugryzła. Chwyił ją w objęcia, spojrzał głęboko w oczy, przyciągnął do siebie i zaczął od nowa.

Opowiedz mi o sobie i o Izabeli - poprosiła, kiedy leżeli już obok siebie.

- Na pewno wcale nie jesteś tego ciekawa.

- Ależ tak - wyszeptała, przytulając się do niego. Westchnął.

- Przyniosę jeszcze wina - odparł i wyszedł do kuchni,

- Ty też masz piękne ciało - powiedziała Cassie, kiedy wrócił.

Popatrzył po sobie i roześmiał się.

- Chyba nikt jeszcze tak o mnie nie myślał. Wrócił do łóżka i oparł poduszkę o zagłówek.

- Naprawdę chcesz tego słuchać? - Cassie skinęła głową. - Nigdy jeszcze nikomu nie opowiadałem o sobie i Izabeli.

Izabela wydawała mi się najładniejszą dziewczyną, jaką w życiu widziałem. Przedtem tak naprawdę nigdy jeszcze nie miałem dziewczyny. Spotkałem ją na wieczorku towarzyskim w parafii. Była najbardziej nieśmiałą osobą w całej grupie. Siedziała na uboczu, podczas gdy wszyscy flirtowali i tańczyli. To mi się spodobało. Zaczęliśmy się umawiać. Robiliśmy zwykłe rzeczy, chodziliśmy do kina, na ślizgawkę, na plażę. Zapraszano mnie na niedzielne popołudniowe herbatki do jej domu. Rodzice Izabeli zachowywali się jeszcze bardziej sztywno niż ja w późniejszym wieku. Rzadko się uśmiechali, ale jej ojcu podobało się, że zostanę lekarzem.

Izabela powiedziała mi, że nie znosi miast, że ją przerażają. Twierdziła, że kocha dzieci i pragnie je mieć. Oszalałem z pożądania. Ale prawie się nie dotykaliśmy. To znaczy ona mnie nie dotykała i bardzo rzadko pozwalała mi dotykać siebie. Jednak to mi nie przeszkadzało. Uznałem, że jest słodka i niewinna i pewnie chce tradycyjnie poczekać do ślubu. Nie mogłem w nocy spać, tak bardzo chciałem się z nią kochać.

Jak wielu ludzi w moim wieku, a może w każdym wieku, myliłem uczucia z hormonami. Wydaje mi się, że wiele małżeństw jest skutkiem takiej pomyłki. My też tak zrobiliśmy. Ożeniłem się z Izabelą w dzień po uzyskaniu dyplomu lekarza, przez rok odbywałem praktykę, a potem wyjechaliśmy do Augusta Springs. Wtedy już wiedziałem, że popełniłem ogromną pomyłkę.

Cassie patrzyła na niego bez słowa.

- Cassie, ja nigdy nie kochałem Izabeli. Ani przez chwilę. Ożeniłem się z nią, ponieważ chciałem pójść z nią do łóżka, a ona tego nie znosiła. Kiedy próbowałem ją pocałować, odsuwała się i mówiła: „Nie cierpię tych mokrych pocałunków. To obrzydliwe.” Kiedy nieśmiało jej dotykałem,

odpychała moją rękę ze słowami: „Nie rób tak. Nie mogę tego znieść”. Leżała w łóżku sztywno i bez ruchu. „Na litość boską, kończ już!”, wołała. Co mogłem zrobić?

Mijały tygodnie i miesiące, a my się nie dotykaliśmy, nawet w łóżku. Spaliśmy tak daleko od siebie, jak to tylko było możliwe. W końcu oszalałem z pożądania, nie dla niej, ale w ogóle pragnąłem kobiety, jakiegokolwiek ciała. Pewnej nocy wziąłem Izabelę siłą. Sprawilem jej ból, ale nic mnie to nie obchodziło. Przecież od naszego ślubu upłynął już prawie rok. - Głos mu się trząsnął i Cassie miała wrażenie, że Chris zaraz się rozpłaczę. Wzięła go za rękę. - Spojrzała na mnie z nienawiścią, bo chyba tylko tak można nazwać to uczucie, i powiedziała: „Nigdy więcej nie chciałabym przeżyć czegoś takiego!” To był nasz ostatni stosunek. Nigdy więcej, przez dwadzieścia dwa lata, nie uprawialiśmy miłości.

Cassie usiadła na łóżku z otwartymi ze zdumienia ustami.

- Nigdy więcej? Ani razu przez te wszystkie lata? Potrząsnął głową.

- Nigdy. A ty byś chciała? Pragnęłabyś kogoś, kto tak by cię potraktował? Mimo takiego podejścia, Izabela zachowywała się tak, jakbym rzucał się na każdą poznaną kobietę. Była strasznie zazdrosna. Kilka razy w roku urządzała mi piekielne awantury, rzucała we mnie przedmiotami, oskarżała o romanse.

- Chris, chcesz powiedzieć, że z nikim się nie kochałeś przez dwadzieścia dwa albo trzy lata?

- Czy się nie kochałem? Chodzi ci chyba o uprawianie seksu. Cóż, Cassie, nie jestem przecież skończonym neurotykiem. Jasne, że kiedy wyjeżdżałem na konferencje, zawsze sobie kogoś znajdowałem. Zwykle były to prostytutki. Muszę przyznać, że niezbyt dobrze wpływało to na moje ego. Musiałem płacić kobietom, żeby ze mną sypiały, bo moja żona nie chciała tego ze mną robić.

- Dlaczego tak długo pozostawałeś w tym związku? Wzruszył ramionami.
- Brakowało mi odwagi. Rozwody nie są dobrze widziane. Przyzwoity lekarz się nie rozwodzi. Myślałem też, że ja ponoszę część winy. Boże, jak ja się starałem. Rok po roku dawałem z siebie wszystko, aż dłużej już nie mogłem.
- Och, Chris...
- A kiedy ty... Chryste, Cassie, nawet nie wiesz, co się ze mną działo tego dnia, kiedy Fiona przyprowadziła cię do mojego biura. Nie pochwalałem ani ciebie, ani działalności latających doktorów. Uważałem, że nie mieli prawa przysyłać kobiety do Augusta Springs. Wiesz, co się stało, kiedy wyszłyście? Zacząłem się cały trząść. Musiałem usiąść, bo nie mogłem się opanować. Zacząłem wieczorami spacerować, żeby wybić sobie ciebie z głowy. Jednak za każdym razem trafiałem pod twój dom, w nadziei że powiesz mi „dobry wieczór”. Marzyłem, żebyś zaprosiła mnie do środka, przesunęła palcami po mojej ręce, otarła się o ramię.
- Naprawdę? Nie podejrzewałam...
- Oczywiście, że nie. Ale Izabela wszystko wiedziała. Kiedy wracałem do domu po twoich wizytach, mawiała: „Pewnie o kimś takim marzyłeś, o młodej kobiecie, która interesowałaby się tym samym, co ty. Chciałbyś się jej dobrać do majtek. Chyba wiesz, że ona ci na to nie pozwoli, tak samo jak ja. Jest damą, a damy nie robią takich rzeczy. Przychodzi tu, czyta mi, a ja patrząc na nią wiem, że wcale ciebie nie pragnie ani twoich męskich zachcianek. Przekonasz się. Ja umrę, ty będziesz próbował ją zdobyć, ale ona cię wyśmiej. Zapamiętaj moje słowa. Damy nie lubią takich rzeczy* a ona jest damą. Nie zbliżysz się do niej, nawet po mojej śmierci.”
- Przecież byłeś lekarzem wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że to nieprawda. Dlaczego na to pozwalałeś?

- Sam sobie zadawałem to pytanie - odparł wzruszając ramionami.
- Cassie uśmiechnęła się do niego.
- Potrafisz wspaniale się kochać. Chcę, żebyś to wiedział.
- Oparła się o poduszkę i patrzyła na niego uważnie.
- Biedny Chris. Izabela nie miała racji. Chcę, żebyś się ze mną kochał, i to często. Bardzo mi się podobało to, co przed chwilą robiliśmy.
- Jezu, Cassie... Roześmiała się.
- Nic dziwnego, że byłeś takim sztywnym dupkiem. Przez chwilę miał taką minę, jakby nie wiedział, jak zareagować na taką uwagę. W końcu wybuchnął śmiechem.
- Przy tobie więcej się śmieję niż przez ostatnie dwadzieścia trzy lata.
- Nie tylko to będziesz przy mnie robił - oznajmiła i wsunęła się na niego.
- Ja chyba już umarłem i poszedłem do nieba - odparł, obejmując dłońmi jej piersi.
- Bzdura - wyszeptała, przyglądając mu się z góry.
- Dopiero teraz zaczynasz żyć.

Rozdział trzydziesty siódmy

Półtora roku od powrotu Fiony upłynęło szybko. Cassie wiedziała, że Fiona nigdy nie będzie takim pilotem jak Sam. Podobnie jak Warren była o wiele za ostrożna i niechętnie podejmowała ryzyko. Jednak bardzo dobrze im się razem pracowało. Łyżką dziegciu w beczce miodu był jedynie Blake, mimo że Cassie podtrzymywała swój związek z Chrisem. Nie mogła znieść, kiedy Fiona odczytywała jej fragmenty listów od męża. Tak wyznaczały wizyty w Tookarindze, żeby zostać tam na weekend, i Cassie odczuwała zazdrość, kiedy Fiona i Steven otwarcie okazywali sobie ciepłe uczucia, jakie łączą teścia z żoną ukochanego syna. Mijając go, Fiona nachylała się i całowała go w czubek głowy, a on chwycił ją za rękę. W nieskończoność rozmawiali o Blake'u. Nic, tylko Blake.

Cassie wstawiała wtedy od stołu i szła nad staw. Tam patrzyła na łabędzie, żabiru i ibisy, na zwisające głową w dół na gałęziach nietoperze. Powtarzała sobie, że ten rozdział jej życia jest już zamknięty.

Blake należy do przeszłości.

Dlaczego więc Chris nie potrafił usunąć go z jej myśli?

Już nie wtrącał się do spraw jej pacjentów. Należeli wyłącznie do niej. Była mu wdzięczna za taką zmianę

postawy. Czowała się przy Chrisie bezpieczna, chociaż nadal często się kłócili, nie tylko na stały już temat aborygenów, ale także na temat religii, polityki, stosunku lekarza do pacjenta i roli kobiety w życiu. Zdaniem Cassie, kobiety nie powinny mieć z góry przypisanej roli, tylko same wybierać, co pragną robić. Chris twierdził, że jednym z problemów współczesnego życia jest to, że kobiety nie są zadowolone z pozycji jedynie żony i matki, a to narusza równowagę w społeczeństwie.

„I co z tego?” - pytała zwykle Cassie. Niech i tak będzie, bo przecież dotychczas równowaga polegała na tym, że to mężczyźni byli górą.

W kilka miesięcy po tym, jak Fiona zdobyła licencję pilota, Cassie przeprowadziła się do własnego domu. Powiedziała Fionie, że ona i Chris potrzebują trochę prywatności, i to była prawda. Kiedy mieszkała z nią Fiona, Chris nie mógł zakradać się do jej sypialni. Miasteczko wiedziało, że się spotykają. Wszyscy nazywali ich „stałą parą” i zastanawiali się, dlaczego się nie pobierają. Mimo to nie mogli publicznie przyznać, że łączy ich związek cielesny.

Chociaż Chris dawał Cassie nie tylko seks, z czego doskonale zdawała sobie sprawę, nie bała się, że go pokocha. Kiedy przeprowadziła się do swojego domu, oddalonego o pięć ulic od domu Fiony, powiedział jej:

- Wiem, że nigdy się we mnie nie zakochasz, ale pozwól mi być ze sobą, dopóki nie zjawi się jakiś królewicz z bajki.

Uwielbiał jej dotykać i kiedy zostawali sami, często ją przytulał i obejmował. Spał otaczając ją ramieniem.

- Izabela nigdy mnie nie dotykała - mówił. - Bardzo lubię, kiedy przesuwasz palcami po moim ramieniu. Nawet nie zdawałaś sobie sprawy, że to robisz, prawda? U ciebie to takie naturalne. Nawet nie dostrzegasz, że tak często bierzesz mnie za fękę,

W szpitalu zachowywał się bardzo oficjalnie i jak dawniej sztywno, nawet zwracał się do niej „pani doktor”. Oczywiście wszyscy w szpitalu i mieście wiedzieli, że się spotykają, więc śmieszyły ich takie formalne pozory. Mimo to Chris nie potrafił zburzyć muru, który przez te wszystkie lata wokół siebie zbudował.

Widywały się z Fioną codziennie, więc przyjaciółce nie było smutno, że Cassie się wyprowadziła. Zaadoptowała dwie aborygeńskie dziewczynki z Mundoory, które zamieszkały w dawnym pokoju Cassie. Ich matka zmarła, a ojciec poszedł na włóczęgę. Fiona dobudowała jeszcze jeden pokój na tyle domu i zatrudniła gospodynię, która również opiekowała się dziewczynkami. Wysłała Annę, starszą podopieczną, do szkoły, a w wolnych chwilach przygotowywała Mariannę do pierwszej klasy i uczyła ją, jak żyją biali ludzie.

- Nie chcę, żeby odrzuciły swoje dziedzictwo - powiedziała, kiedy Cassie i Chris przyszli do niej na kolację, co zwykle zdarzało się kilka razy w tygodniu. - Ale chciałabym, żeby potrafiły żyć w naszej kulturze, nie na obrzeżach społeczeństwa. Mogą wrócić do swojego plemienia i dawnych zwyczajów, jeśli tylko zechcą, ale przynajmniej dam im szansę na jakąś zmianę.

Nie zdawała sobie sprawy, że to niemożliwe. Dzieci w szkole wyśmiewały się z nich, nie włączały ich do swoich zabaw i nie przyjaźniły się z nimi. W tej sytuacji Anna poświęciła się całkowicie nauce i zdobywała lepsze stopnie niż większość koleżanek z klasy. Fiona poświęcała cały wolny czas na zabawy i nauczanie dziewczynek. Zastępowała im matkę.

- Fiono, jesteś matką doskonałą. Mogłabyś adoptować wszystkie dzieci świata - powiedziała Cassie.

- A ty nie chciałabyś mieć dzieci? - zapytała przyjaciółka. - Ja cały czas o tym myślę. Oczywiściej chodzi mi o dziecko

z Blake'em. - Spojrzała na Cassie badawczo. - Dlaczego nie chcesz wyjść za Chrisa i urodzić dziecka?

- Nie kocham go.

- Spędzacie razem więcej czasu niż niejedno małżeństwo. Widać, że Chris za tobą szaleje.

Być może, ale Chris, tak jak Blake, nigdy nie powiedział, że ją kocha.

- Nie chcę wychodzić ani za niego, ani za kogokolwiek innego. Czuję się przy nim bezpiecznie i swobodnie. Jest dobry w łóżku.

- Czego więcej można wymagać?

- Fiono, sama nie wierzysz w to, co mówisz. Byłaś tak zakochana w Blake'u, chociaż sobie tego nie uświadamiałaś, że mimo pozorów nie potrafiłaś otworzyć serca przed innym mężczyzną. Dobrze wiesz, że nie należy wychodzić za mąż tylko dla zaspokojenia pożądania.

- Zdaje się, że większość ludzi się pobiera właśnie z tego powodu - odparła z uśmiechem. - A ty przecież nie jesteś w nikim innym zakochana.

Cassie nie odpowiedziała.

- O, mój Boże! - zawołała Fiona patrząc w oczy przyjaciółce. - Chodzi o Sama, prawda? Kochasz Sama.

Cassie potrząsnęła głową i odgarnęła z oczu włosy.

- Nie, wcale nie.

- Ależ tak! Przedemną nie musisz udawać. Przecież pisuje do ciebie te ciepłe, ale braterskie listy. Nie chcesz, żeby się dowiedział, tak? Och, Cassie. Niczego się nie domyślałam. - Podeszła i serdecznie ją objęła. - Co zrobisz z Chrisem, kiedy Sam wróci z wojny?

Och, Fiono, ty nic nie wiesz.

- Może nic nie będę musiała robić.

- Bardzo go zranisz.

- Chris wie, że go nie kocham.

- Złamiesz mu serce, kiedy Sam wróci do domu.

- Sam nie ma z tym nic wspólnego.

Daj spokój, Fiono. Przestań. Tak bardzo się mylisz, że chciałoby mi się śmiać, gdyby to nie było dla mnie takie bolesne. Nie wiesz, że byłam z twoim mężem w ciąży. To ja nie mogę wyleczyć się z miłości do niego. Zajął miejsce, które ja chciałam zdobyć. Steven jest twoim teściem, chociaż miałam nadzieję, że będzie moim.

- Cóż, Chris w każdym razie spełnił dobry uczynek. Jesteś teraz o wiele miłsza dla mężczyzn w ogóle. Złagodniałaś tak, że miło patrzeć.

Dzieje się tak, ponieważ wiem, że nie potrafi mnie zranić, bo nie bardzo mi na nim zależy. Gdyby dzisiaj odszedł, brakowałoby mi jedynie seksu. I to wszystko.

Wiedziała, że to nie jest cała prawda. Lubiła jego towarzystwo i rozmowy o problemach medycznych. Z przyjemnością widziała, że się rozluźnił, stał się bardziej wyrozumiały i otwarty. Nie tylko w stosunku do niej, ale i do pacjentów.

Dziewiętnastego lutego czterdziestego drugiego roku lotnictwo japońskie zrównało z ziemią Darwin. Setki przerażonych ludzi uciekały z niemal doszczętnie zniszczonego miasta, zostawiając w popielniczkach palące się papierosy, nie dokończone prace, posiłki gotujące się na kuchni.

Po ataku na Pearl Harbor większość kobiet i dzieci opuściła Darwin. Japończycy podeszli zbyt blisko. Tego tragicznego dnia w mieście zostało zaledwie dwa tysiące ludzi. Zginęło dwustu pięćdziesięciu. Spadające bomby zatopiły okręty, unieruchomiły samoloty, zburzyły domy. Amerykańskie, brytyjskie i australijskie krążowniki oraz niszczyciele, cumujące w porcie, zostały zdziesiątkowane. Wybuchaly brytyjskie tankowce, amerykańskie i australijskie

samoloty wojskowe stawały w płomieniach, tonęły tankowce, okręty z amunicją eksplodowały. Z nieba zestrzelono większość myśliwców. Zniszczony został system łączności i wybuchła panika. Ludzie uciekali rowerami, ciężarówkami, nawet walcem drogowym i wózkiem do lodów, wszystkim, co jechało.

W pół godziny, przed dziesiątą trzydzieści, zniszczenie zostało dokonane i japońskie samoloty odleciały na północ, na czekające na nie lotniskowce, zostawiając za sobą zniszczone Darwin, stolicę północnej części Australii, kiedyś senne tropikalne miasteczko, pełne kwitnących bugenwilli, obfitej zieleni, palm i bananowców, którego mieszkańcy słynęli z buntowniczości, nadużywania alkoholu i pogardy dla wszelkiej władzy.

W południe japońskie samoloty wróciły i doszczętnie zbombardowały bazę RAAF-u, niszcząc pasy startowe i budynki. Huk wybuchów rozbrzmiewał w gęstym od dymu powietrzu, czerwone i żółte płomienie strzelały pod niebo.

Miesiąc wcześniej w Darwin otworzono nowoczesny, doskonale wyposażony szpital. W ciągu dwudziestu minut w jego pobliżu spadło sześć bomb i chociaż nie uderzyły bezpośrednio w budynek, spowodowały wielkie zniszczenia. Odłamki przebijały dach, stłuczone szkło sypało się na łóżka i do sal operacyjnych. Żaden oddział nie nadawał się do użytku. Wszyscy pacjenci uciekli, oprócz jednego, który o własnych siłach nie mógł się wydostać z osobnego oddziału dla aborygenów.

Nie było łączności, więc reszta kraju dowiedziała się o zniszczeniu wiele godzin później. Przez następne trzy i pół roku Australia nieustannie spodziewała się ponownego ataku Japończyków. I rzeczywiście, między czterdziestym drugim a czterdziestym trzecim rokiem północne wybrzeże było bombardowane trzydzieści trzy razy. Na szczęście naloty

ograniczały się do tropikalnego krańca kontynentu. Nigdy już nie spowodowały takich zniszczeń i śmierci tylu ludzi, jak ten pierwszy atak.

Prawie wszyscy młodzi mężczyźni zostali wysłani do Europy lub Afryki Północnej i pozostali tam przez długie lata.

Podczas porannej sesji radiowej, trzy dni po zbombardowaniu Darwin, baza latających doktorów w Augusta Springs otrzymała wezwanie od Heather Martin.

- Cully został postrzelony - powiedziała.

- Czy to śmiertelna rana?

- Nie. Dostał w nogę. Bardzo krwawi. Nie możemy zatamować krwi.

- Co się stało?

Po drugiej stronie linii zapadło milczenie. Cassie czekała, ale kiedy nie otrzymała odpowiedzi, kazała ułożyć rannego z nogą uniesioną do góry, żeby powstrzymać krwotok.

- Uciśnijcie tętnicę udową, żeby zahamować upływ krwi. Gdzie jest tętnica udowa? Znajdźcie ją między wystającą kością biodrową a kością łonową, w pachwinie, mniej więcej w połowie. Kiedy ją tam wyczujecie, mocno uciśnijcie. Zaraz tam będziemy. Startujemy natychmiast.

- Co tam się mogło stać? - zapytała Fiona, kiedy szły do samolotu.

Cassie wzruszyła ramionami.

- Wiem tyle, co ty. Myślisz, że to któraś z dziewcząt go postrzeliła?

Fiona wyciągnęła blokadę spod kół samolotu.

- Może zaatakował jedną z nich?

- Cully? Zresztą, kto wie. Nie wydaje mi się to prawdopodobne, zwłaszcza że wszystkie panny Martin potrafią doskonale dbać o siebie.

Wsiadły do samolotu i Fiona uruchomiła silniki.

- Ostatni raz je widziałyśmy, kiedy odwiozłyśmy Cully'ego do nich na farmę.

- Długo musiały go namawiać, żeby przyjął u nich pracę. Restauracja Addiego bardzo na tym straciła. Cully nie jest przystojny, ale świetnie gotuje.

- Zawsze mi się wydawało, że Bertie ma na niego oko, niezależnie od jego zdolności kulinarnych. Słyszałam, jak Estelle mówiła podczas jednej z tych plotkarskich sesji, tuż po tym, jak zaczął u nich pracować, że teraz wszystkie dziewczęta zawsze przyjeżdżają do domu na obiad, nawet jeśli gdzieś daleko naprawiają płoty albo przepędzają bydło. Bardzo się cieszyły z jego obecności, chociaż nie jest zbyt przystojny. Chudy i niski, o wiele niższy od każdej z nich.

- Dziwiłam się, dlaczego jeszcze nie wzywają Dona, żeby udzielił ślubu jednej z nich. Byłam pewna, że któraś go zdobędzie. Przecież mieszka tam już od sześciu miesięcy.

Po godzinie lotu Fiona zatoczyła krąg nad farmą i wylądowała na jak zwykle starannie oczyszczonym pasie.

- Chciałabym, żeby wszystkie lądowiska były w takim stanie - powiedziała.

Nikt nie wyszedł im na spotkanie. Cassie chwyciła torbę i przebiegła kilkaset metrów dzielące ją od domu. Minęła drewniany płot i wbiegła na werandę.

Wszystkie dziewczęta stały przed drzwiami.

- Mama jest w środku, przy Cullym - wyjaśniła Bertie. - Krwawienie ustało.

Cassie skinęła głową na powitanie. Żadna z dziewcząt się nie poruszyła.

- Są w pokoju mamy - oznajmiła głucho Billie.

Fiona zatrzymała się na ganku, a Cassie zamknęła za sobą siatkowe drzwi i poszła do pokoju Estelle na parterze. Zasłony były zaciągnięte. Cully leżał na łóżku, przykryty

prześcieradłem. Jedna noga wspierała się na poduszce. Na czole miał zimny okład. Estelle siedziała na krześle przy łóżku.

- Cassie, dzięki Bogu, że jesteś. - Wstała i wyciągnęła ramiona. Cassie ją uścisnęła i spojrzała na Cully'ego. Miał zamknięte oczy.

- Bardzo cierpi, ale kula czysto przeszła na wylot - powiedziała Estelle, wskazując na nasiąkniętą krwią pościel.

- Potrzebuję więcej światła - oświadczyła Cassie. Estelle odsłoniła okna i do pokoju wtargnęły promienie słońca.

- Tak, to czysta rana - z ulgą stwierdziła Cassie. Sięgnęła do torby. - Cully, teraz dam ci coś na sen. Kiedy się obudzisz, rana będzie już zaszyta, ale przez jakiś czas musisz się oszczędzać. Teraz odwróć cię na bok i... O, on nie ma spodni!

Wbiła igłę w pośladek rannego.

- Co tu się stało? - zapytała.

- Boże, Cassie, nie wiem, czy śmiać się, czy płakać. Wszystkie dziewczęta się w nim podkochiwały już od pierwszego posiłku, właściwie kiedy tylko przekroczył nasz próg. Chociaż nie jest zbyt rozmowny, wszystkie się w nim zakochałyśmy. Zdaje się, że moje córki czekały, którą z nich wybierze. Każda się do niego zalecała. Wiesz, w niewinny sposób. Jednak stało się coś najdziwniejszego pod słońcem. To my zostaliśmy parą. Jestem od niego o dobre siedemnaście lat starsza, ale stało się. Od miesiący co noc zakrada się do mojej sypialni. Nie chciałam, żeby córki się dowiedziały. Bałam się, że będą mną rozczarowane. Sypiam z mężczyzną niewiele starszym od nich. Do diabła, on ma dopierd dwadzieścia dziewięć lat. A spójrz na mnie. Ja mam czterdzieści sześć. Myślałam, że będą złe, bo zabrałam im jedyne go mężczyznę, jakiego znają. Jakoś by się pogodziły, gdyby wybrał jedną z nich, ale matkę!

Cassie wyjęła sterylne gumowe rękawiczki, środek odkażający, nici, igłę i nachyliła się nad pacjentem.

- Cóż, dzisiaj Cully obudził się wcześniej i nachylił się nade mną, żeby mnie pocałować - ciągnęła Estelle. - Najbardziej lubi seks z rana. Właśnie to robiliśmy, kiedy wpadła Bertie, zobaczyła skotłowaną pościel i goły tyłek Cully'ego. Pomyślała, że on mnie gwałci. Pobiegła po strzelbę i wycełowała mu w nogę. Dobrze strzela, więc trafiła, gdzie zamierzała. Nie chciała go zabić, tylko zranić, żeby trafił do więzienia. Osłupiała ze zdziwienia, kiedy się dowiedziała, jak bardzo się myliła. Pewnie wszystkie są teraz wstrząśnięte, że od tyłu miesiące robiliśmy to z Cullym tuż pod ich nosami.

Nachylona nad pacjentem Cassie uśmiechnęła się do siebie. W życiu trudno cokolwiek przewidzieć. Estelle położyła jej rękę na ramieniu.

- Nie chcę, żeby czuły do mnie niechęć. Znajdź jakichś mężczyzn, Cassie, i przyślij ich do nas.

- W mieście nie ma żadnych mężczyzn. Wszyscy poszli na wojnę - odparła Cassie. Przyjrzała się założonym szwom i z zadowoleniem kiwnęła głową.

- W każdym razie, gdybyś o jakimś usłyszała, pamiętaj o nas. Może kiedy wojna się skończy...

Przysyłaj ich tu pojedynczo albo wszystkich razem. Jeśli będziesz mogła, sprawdź, czy to przyzwoici ludzie. Po wojnie wielu będzie szukało pracy. Mamy tu dla nich pracę.

- I ciepłe łóżko - dodała bez zastanowienia Cassie. Zaraz spojrzała zawstydzona na Estelle.

- Nic nie szkodzi - uśmiechnęła się gospodyni. - To przecież natura. Zapomniałam już, jakie to w życiu ważne. Od tak dawna obywałam się bez mężczyzny. Wiesz, po dobrym seksie cały dzień czuję się wspaniale i zdrowo. Ach, przepraszam, zapomniałam. - Tym razem Estelle się zawstydziła. - Ty jeszcze tego nie wiesz. Wyjdź za męża,

Cassie. Kiedy chłopcy wrócą do domu, znajdź sobie kogoś i pobierzcie się. Albo wyjdź za Sama. Byłoby wam dobrze. Pracowalibyście razem.

Chyba nie, pomyślała Cassie. Nie byłoby jej dobrze z Samem. I nie wierzyła, że seks jest wart cierpienia, które ze sobą niesie. Przynajmniej jej przyniósł tylko ból, i w przypadku Raya, i w przypadku Blake'a. Po krótkich, intensywnych seksualnych przygodach trzeba długo leczyć boleśnie złamane serce. Zastanawiała się, czy nie powinna od tej chwili żyć bez seksu. I bez miłości.

Dopiero kiedy leciały z Fioną z powrotem do Augusta Springs, przyszło jej do głowy, że być może seks i miłość nie zawsze są nierozdzielne.

Część III

Lipiec 1944 - styczeń 1947

Rozdział trzydziesty ósmy

Wyjdź za mnie - poprosił Chris po raz setny w ciągu ostatnich czterech lat.

- Nie jesteś zadowolony z naszego związku? - zapytała, odgryzając kęs kanapki z kurczakiem. Był wczesny niedzielny wieczór i jedli kolację na werandzie w domu Fiony. Fiona wyjechała na weekend do Tookaringi, do teścia, i Cassie podjęła się opieki nad Marianną i Anną. Nakarmiła dziewczynki wcześniej i teraz obie bawiły się na tyłach domu, przy huśtawce, którą Steven zawiesił im na gałęzi wysokiego srebrnego gumowca.

- Jestem zadowolony, tylko cały czas czuję się niepewnie, jakbym w każdej chwili mógł cię stracić. Nasz związek nie daje mi spokoju.

Cassie pogładziła go po rękę.

- Myślisz, że kawałek papieru tak wiele zmieni?

- Owszem, tak właśnie myślę.

- A czego ci brakuje?

- Nie chcę wykradać się od ciebie przed świtem. Wolałbym spać przy tobie przez wszystkie siedem nocy w tygodniu. Chciałbym wracać do domu wiedząc, że to nasz wspólny dom.

- A chciałbyś mieć dzieci? Potrząsnął głową.

- Chyba jestem za stary i nie miałbym do nich cierpliwości. Chcę tylko ciebie. Ale jeśli ty chciałabyś mieć dzieci, byłbym szczęśliwy - dokończył łagodnie.

Cassie wstała.

- Jeszcze mrożonej herbaty?

- Nie.

- A ja się napiję. - Zniknęła w kuchni.

Żałowała, że nie potrafi go pokochać. Chciałaby mu powiedzieć, że ją ekscytuje, ale to byłaby nieprawda. Cóż, od czasu do czasu, w łóżku, potrafił ją podniecić. Lubiała się z nim kochać. Nie budził w niej takiej ekstazy jak Blake, ale nauczył się, jak ją pobudzić i zadowolić. Mimo to czegoś mu brakowało - nie umiała nawet tego opisać. Zwykle lubiała jego towarzystwo, ale nie chciałaby spędzić z nim reszty życia. Czasami czuła ulgę, kiedy nie mógł odwiedzić jej w nocy i cieszyła się samotnością. Niekiedy, nawet w jego obecności, ogarniało ją okropne poczucie samotności. Zastanawiała się wtedy, co się z nią dzieje.

Wróciła na werandę, stanęła w drzwiach i spojrzała na Chrisa.

- Jesteś taki dobry - powiedziała.

- Nie wiem, dlaczego tak się zmieniłem - odparł. Jego oczy uśmiechały się zza szkieł okularów. - To głównie dzięki tobie. Przez ostatnie cztery lata zaznałem więcej szczęścia niż kiedykolwiek przedtem.

- Niech ci się tylko nie przewróci w głowie - roześmiała się Cassie. - Wciąż masz kilka wad.

Spojrzała przez siatkowe drzwi na ulicę i zobaczyła wysokiego, chudego mężczyznę w mundurze.

Szedł utykając, a jego prawe ramię było wyraźnie uniesione wyżej niż prawe. Nigdy dotąd nie widziała go w mieście.

- Nie wiesz czasem, kto to jest? - zapytała Chrisa, wskazując na wolno zbliżającego się nieznajomego. Chris odwrócił się mrużąc oczy w słońcu. Wstał i pochylił się naprzód.

- O, Boże! - zawołał.

- Co takiego? - Nie widziała twarzy mężczyzny, ale była pewna, że nie zna nikogo, kto chodziłby tak jak ten żołnierz.

- To jest Blake Thompson - powiedział Chris łamiącym się głosem.

Cassie znów spojrzała na żołnierza, który właśnie skręcał w ścieżkę prowadzącą do domu Fiony. To niemożliwe. Jest za chudy, zbyt przygarbiony, zbyt... Boże. Zastygła bez ruchu. To rzeczywiście był Blake.

- Fiona! - zawołał przybysz, nie widząc ich sylwetek przez siatkę na werandzie.

Cassie nie mogła wydobyć głosu. Próbowала, ale z jej gardła nie wydobywał się żaden dźwięk.

Chris położył jej rękę na ramieniu, a potem otworzył siatkowe drzwi.

- Fiony nie ma, ale witaj w domu.

Blake spojrzał na niego i przez chwilę nie mógł go rozpoznać.

- Doktor Adams, prawda? - powiedział w końcu i wyciągnął rękę na przywitanie.

- Jestem tu z Cassie - dodał Chris i wskazał na nią ruchem głowy.

Blake pokonał schody i stał w obramowaniu drzwi. Cassie z trudem go rozpoznała. Uśmiechnął się do niej, ale jego oczy pozostały poważne.

- Nie będzie uścisku dla powracającego bohatera? - zapytał.

Podeszła do niego, a on przyciągnął ją do siebie prawym ramieniem. Uścisnęła go i z przerażeniem wyczuła, że jego

lewy rękaw jest w części pusty. Odsunęła się i popatrzyła na lewe ramię Blake'a.

- Blake, ty straciłeś...

- Tak, do łokcia. Tego już nie da się naprawić, ale lekarze mówią, że z nogą będzie wszystko w porządku. Niedługo przestanę kuleć.

Patrzyły na nią oczy nieznajomego.

- Wejdz, wejdz. - Chris wciągnął go na werandę i wskazał krzesło. - Właśnie jemy kolację.

Przyłączysz się do nas?

Blake rozejrzał się.

- Fiona. Gdzie jest Fiona? Cassie z trudem dobierała słowa.

- Wyjechała na weekend do Tookaringi. - Serce biło jej tak szybko. Miała wrażenie, że zaraz zemdleje.

Blake usiadł.

- Kiedy wróci?

Nie przywitał się z Cassie. Nie powiedział, że cieszy się na jej widok, tylko dopytywał się o Fionę.

- Jestem pewna, że wróci przed zmrokiem. Pewnie nie dłużej niż za godzinę.

- Napijesz się czegoś? - zaproponował Chris.

- Tak, dziękuję. - Blake kiwnął głową. - Chętnie.

- Co ci podać? Spoglądał pustym wzrokiem.

- Brakowało mi australijskiego piwa. Masz trochę?

- Jasne - odparła Cassie. - Zjesz kanapkę?

- Bardzo chętnie.

Dłonie Cassie zwilgotniały. Nie mogła przełknąć śliny. Poszła do kuchni z trudem odmierzając kroki. Jak w transie ukroiła kawałek kurczaka, rozsmarowała na chlebie majonez i położyła liść sałaty. Nagle poczuła, że ktoś ją objął.

- Dobrze się czujesz? - usłyszała tuż przy uchu szept Chrisa.

Nie, nie czuła się dobrze. Czuła się bardzo źle. Jednak nie załamywała się. Wyprostowała plecy, z uśmiechem odwróciła się do Chrisa i pocałowała go w policzek.

- Nic mi nie jest. Wszystko między mną i Blake'em skończyło się dawno temu.

- Chciałbym w to wierzyć - odparł Chris, jakby sam do siebie.

- Zanieś mu piwo. Wiesz, gdzie je znaleźć. - Głos Cassie brzmiał chłodno i bezosobowo, nawet w jej własnych uszach. Powinni mi przyznać Oscara, pomyślała. Czy dają Oscary za takie przedstawienia, jak ja teraz odgrywam i jakie jeszcze odegram, kiedy zobaczę, jak Blake obejmuje Fionę?

Zaczekała, aż Chris otworzy butelkę. Nie chciała być z Blake'em sama. Chociaż starała się opanować, nogi zaczęły jej się trząść. Modliła się, żeby nie płakać. Gwałtownie zamrugła powiekami.

Wróciła na werandę tuż przed Chrisem. Zobaczyła, że Blake siedzi w tej samej pozycji.

- Fiona mi pisała, że mieszkasz teraz we własnym domu - odezwał się.

Starał się nawiązać niezobowiązującą, towarzyską pogawędkę.

Cassie położyła przed nim talerz z kanapką, wzięła piwo od Chrisa i postawiła obok talerza.

- Czy to dlatego tak długo do niej nie pisałeś? - zapytała, spoglądając na pusty rękaw.

- No, tak. - Ugryzł kęs kanapki i przechylił butelkę. Jęknął cicho. - Już zapomniałem, jak smakuje dobre piwo;

- Rozumiem, że wróciłeś na dobre - powiedział Chris. Usiadł na krześle obok Cassie i wyciągnął nogi.

Mówił do Blake'a, ale patrzył na nią.

- Powiedziałbym, że raczej na złe - odparł Blake gorzkim

tonem. Jego oczy spoglądały bez wyrazu. Pociągnął z butelki. - Cholera, jakie dobre.

Cassie z wysiłkiem łapała oddech. Musiała świadomie pracować przeponą, żeby wciągnąć powietrze.

Blake zerknął na nią.

- Ślicznie wyglądasz, Cassie.

Bała się, że jej głos się załamie, ale zapytała:

- Jak to się stało? Spojrzał na lewe ramię.

- Chodzi ci o to, jak straciłem rękę? Trafili mój samolot nad Dusseldorfem, ale udało mi się wrócić do bazy. Oberwałem odłamkiem szrapnela. Strzelec pokładowy i nawigator nie przeżyli.

Cassie patrzyła na niego bez słowa.

- Fiona będzie najszczęśliwszą kobietą pod słońcem -stwierdził Chris.

Blake milczał przez chwilę.

- Mając za męża kalekę? - powiedział w końcu. - Wątpię.

To dlatego nie pisał. Nie był pewien, czy Fiona go zechce. Głupiec. Co utrata ręki ma wspólnego z miłością? Cassie chciała go objąć, pocieszyć.

- Fiona będzie cię kochała bez względu na wszystko -zapewniła.

Blake roześmiał się dziwnym, szorstkim śmiechem.

- Słyszałem, że pracuje teraz dla latających doktorów. Coś podobnego!

- Będiesz z niej dumny. Jest wspaniała. Doskonale nam się razem pracuje.

Po raz pierwszy spojrział jej prosto w oczy. Żadne z nich nic nie powiedziało,

- Nie potrafię jej sobie wyobrazić za sterami samolotu - oznajmił po chwili.

Cassie zamrugała powiekami i spojrzała w dal.

- Jest nie tylko pilotem, ale i anesteziologiem. Wyrwała już kilka zębów. Zaadoptowała też dwie aborygeńskie dziewczynki...

W tym samym momencie zza rogu wybiegły Anna i Marianna. Marianna płakała, wyciągając przed siebie rękę.

- Anna mnie ugryzła! - krzyknęła. Łzy spływały po jej zakurzonej twarzy.

- Nie chciałam - tłumaczyła się siostra z nieszczęśliwą miną. - Myśmy się tylko bawiły.

Marianna podbiegła do Cassie, ale zatrzymała się jak wryta na widok nieznanego.

- Wybaczcie - powiedziała Cassie. Wstała i wzięła dziewczynkę za rękę. - Lepiej to przemyję i czymś posmaruję.

Oczy małej rozszerzyły się ze strachu.

- Będzie bolało? - zapytała. Cassie wzięła ją na ręce i przytuliła.

- Tylko troszeczkę i przez krótką chwilę. Daj, pocałuję. Anno, ty też chodź z nami.

Zajmowała się dziećmi, jak długo mogła. Obandażowała rękę, która była tylko lekko zadrapana, a potem dała dziewczynkom mleko i ciasteczka. Zostawiła je w kuchni, pogrążone w rozmowie. Poszła do łazienki i usiadła na brzegu wanny. Och, biedny Blake. Nie czuł się w pełni mężczyzną, bo stracił rękę. Biedny Blake... wychudzony, zraniony. W jego oczach nie było życia. Leciał przez Kanał samolotem z dwoma martwymi kolegami na pokładzie. Patrzył na nią, jakby nigdy nic ich nie łączyło, jakby była daleką znajomą, i to wszystko. Na jej miejscu mogła siedzieć jakakolwiek inna kobieta.

Litość zastąpił gniew. Ona też cierpiała, ona też została zraniona.

Wzięła trzy głębokie oddechy i wróciła na werandę.

- Bez ręki nie na wiele przydam się ojcu - mówił Blake. - Nie wiem, co robić.

Nagle zza rogu ulicy wyłonił się mały, zielony samochód Fiony. Fiona obiecywała sobie, że zaraz po wojnie kupi sobie nowe auto, nie zniszczone i nie odrapane; takie, w którym biegi łatwo wchodzą i którego nie słyhać z drugiego końca miasta.

Blake rozpoznał stary samochód. Wstał i podszedł do drzwi. Cassie pomyślała, że powinni z Chrisem gdzieś zniknąć i zostawić Blake'a i Fionę samych, ale nie mogła się poruszyć. Zauważyła, że Chris również pozostał na swoim miejscu.

Zapadał zmrok. Werandę spowijał cień, ale twarz Fiony była jasna i widoczna. Szła różnym krokiem, niosąc małą podręczną torbę.

- Hej! - zawołała radosnym głosem. - Gdzie są moje dziewczynki?

Wtem zatrzymała się. Upuściła torbę i przez minutę stała bez ruchu, spoglądając na męża. Twarz jej się zmarszczyła, usta zadrżały. Z jękiem chwyciła się za gardło. Łzy spłynęły po policzkach.

Wyciągając ramiona ruszyła biegiem, wprost w objęcia Blake'a. Ukryła twarz na jego piersi, a po chwili odstąpiła o krok i spojrzała na niego z wyrazem szczęścia, miłości i radości na mokrej od łez twarzy.

Objęła go i pocałowała w usta. Cassie musiała odwrócić głowę. Zdała sobie sprawę, że Chris nie patrzy na rozgrywającą się przed nimi scenę, ale na nią.

- Nie powinniśmy tu być - powiedział cicho. Zgodziła się z nim bez słów.

- O, mój Boże. - W głosie Fiony słyhać było nieopisaną radość. Rude włosy tańczyły wokół jej głowy. - To najpiękniejsza chwila... Och, kochany, twoje ramię... To nie ma znaczenia. Och, najdroższy... - W tym momencie spostrzegła

Chrisa i Cassie. - Czy to nie najwspanialsza chwila w moim zyciu? - Jeszcze raz ucalowała męża, jednocześnie śmiejąc się i płacząc.

Blake nic nie mówił, tylko przyciągał ją mocno do siebie i nie dawał odejść. Lodowate ostrze przebiło serce Cassie. Chwyła Chrisa za rękę.

- Idziemy.

Fiona i Blake nie zwrócili uwagi na ich zniknięcie. Przez gęstniejący mrok szli do domu Cassie.

- Chcesz zostać sama? - zapytał Chris, kiedy dotarli na miejsce.

Cassie czuła, że cała drży. Sama nie wiedziała, czego chce. Przypomniała sobie, jak Blake obejmował Fionę. Zamknęła oczy i zobaczyła, jak się całują.

- Nie - odparła. - I nie myśl, Chris, że tak bardzo to przeżywam. - Kłamczucha. - Ostatni raz widziałam Blake'a prawie pięć lat temu. Wejdz do środka. Napijmy się czegoś.

Chris poszedł do kuchni.

- Co ci podać? - zapytał.

- Szkocką. Podwójną.

- Cassie, może...

- Tylko nie odchodź. Nawet o tym nie myśl. Zostań tu. Zostań na całą noc. Nie obchodzi mnie, co sobie ludzie pomyślą, kiedy zobaczą, że wychodzisz ode mnie nad ranem. Na miłość boską, nie zostawiaj mnie samej.

Dotknął kosmyka jej włosów.

- Cassie, nigdy cię nie zostawię. Odsunęła jego rękę.

Czekała, aż przyniesie drinki, niecierpliwie stukając paznokciami o blat stolika. Nerwowo kołysała stopą. Wypiła whisky trzema łykami i zwróciła się do Chrisa.

- Kochaj się ze mną.

Spojrzał na nią z westchnieniem.

- Podejź do mnie. - Chciał dotknąć jej ramienia.

- Nie. Chodźmy do łóżka - warknęła ze złością. Wstała i poszła do sypialni.

- Moje biedactwo - wyszeptał potrząsając głową. Mimo to podążył za nią, po drodze rozwiązując krawat

i rozpinając koszulę.

Jej rzeczy leżały w nieładzie na podłodze. Ona już na niego czekała. Stała naga, a jej szczupła sylwetka odcinała się na tle okna w świetle dobiegającym z ulicy. Była napięta jak struna. Zaczekała, aż się rozebrał, obserwując go w półmroku.

Położył się na łóżku i popatrzył na nią. Podbiegła i wskoczyła wprost na niego, przytulając się ciasno i mocno go całując.

- Chcę, żebyś sprawił mi ból. Kochaj mnie tak szaleńczo, żebym zapomniała o całym świecie.

- Mam ci sprawić ból. Mój Boże, Cassie...

Wbiła mu paznokcie w ramiona i jeszcze mocniej do niego przywarła. Uklękła nad nim, otarła się piersiami o jego usta.

- Ugryź mnie!

Zrobił to, ale delikatnie. Objął ją i pieścił jej pośladki. Kołysała się nad nim, uderzając ciałem o jego ciało. Posuwała się w dół, całowała piersi, przejechała językiem po brzuchu i niżej, po wewnętrznej stronie ud. Przeszła na koniec łóżka i po kolei brała w usta każdy palec u stóp. Pocałowała go w wygięcie stopy i sunęła ustami wyżej po nogach, aż dotarła do najczulszego miejsca. Usłyszała jęk Chrisa.

- Cassie, błagam, nie tak mocno.

Stoczyła się na bok i wciągnęła go na siebie. Ich ciała falowały szybciej i szybciej. Ocierała się o niego, aż oboje ogarnęło szaleństwo. Poruszali się w zgodnym rytmie.

- Teraz - nakazała i uniosła ciało, tak że łatwo w nią wniknął. Napierał na nią, aż wszystko inne przestało istnieć. To nie była miłość. Nawet Chris to poznał. Wiedział dokładnie, o co jej chodzi. Cassie oplotła go nogami, przytrzymując w sobie, napierając całym ciałem. Wygięła się w łuk i paznokciami orała jego plecy, oddychając ciężko i spazmatycznie. Pragnęła, żeby wymazał Blake'a z jej umysłu. Z jej pamięci i serca. Chciała, żeby ją wchłonął, dał zapomnienie, sprawił, żeby nie pragnęła nikogo, tylko jego.

- Chris! - krzyknęła głośno, kiedy raz po raz zalewała ją cudowna, ciepła fala. - Nie przestawaj! Proszę, nie!

Nie miał zamiaru przestać. Doprowadził ją do szczytu jeszcze raz, i jeszcze raz. Kiedy już nie starczyło mu sił, językiem wywoływał w niej nowy dreszcz ekstazy.

Przez całą noc nie pozwoliła mu zasnąć. Tuż przed świtem wstał i ubrał się. Nie chciał, żeby go widziano, jak rankiem wychodzi z jej domu. Nie pożegnała się z nim.

Po jego wyjściu zasnęła. Nic jej się nie śniło.

On natomiast nie mógł spać. Chodził po domu, wziął prysznic, umył zęby i poszedł do szpitala, gdzie pielęgniarka podała mu gorącą herbatę.

Nieźle, jak na człowieka w moim wieku, pomyślał. A głośno tylko zaklął kilka razy.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Cassie obudził dzwonek telefonu. W słuchawce usłyszała głos Fiony.

- Cassie, czy możemy odwołać dzisiejsze badania wyjazdowe?
- Nie wiem, czy to możliwe - odparła, wiedząc, że nie mówi prawdy.
- Powiedz Horriemu, żeby przekazał wiadomość. Nic na świecie nie oderwie mnie dzisiaj od Blake'a, chyba że będzie chodziło o życie ludzkie.

Cassie rozłączyła się bez pożegnania. Wróciła do łóżka i patrzyła na firankę powiewającą na wietrze. Minęło pięć lat od dnia, kiedy wyjechali z Blake'em do Kakadu. Pięć lat, dwa miesiące i dwa tygodnie temu jechała do Townsville, żeby usunąć ciążę. Jak to dobrze, że tak postąpiła. Jak wyglądałoby teraz jej życie, gdyby zrobiła inaczej? Nie chciała nawet o tym myśleć.

Wstała, poszła do łazienki i odkręciła prysznic, żeby spuścić zimną wodę. Tymczasem umyła zęby. Popatrzyła na siebie w lustrze. Nie spodobał jej się ten widok. Pewnie Blake'owi również się nie spodobała.

Umyła włosy i wyszorowała się pod prysznicem. Na

koniec zakręciła gorącą wodę i stanęła pod zimnym strumieniem, który kłuł jak lodowate igiełki. Pięć lat, powtarzała w myślach, wycierając się do sucha. Czy nie czas już wyleczyć się z uczucia do Blake'a i uporządkować własne sprawy? Przez pięć lat pozostawała w emocjonalnej stagnacji. Już chyba najwyższa pora zrobić coś ze swoim życiem osobistym.

Jeszcze naga, zatelefonowała do Horriego.

- Połącz się z Winnamurą - poleciła. - Odwołaj dzisiejsze badania. Wczoraj wrócił Blake i Fiona nie chce dzisiaj latać. Przyjadę na poranną sesję. - Nie czekając na odpowiedź odłożyła słuchawkę.

Otworzyła szafę i wyjęła żółtą, odcinaną w talii sukienkę. Znalazła eleganckie buty na wysokim obcasie. Włożyła jedwabne pończochy. Pomyślała, że nikt w mieście jej nie pozna, takiej wystrojonej o wczesnej godzinie.

Zadzwoiła do Chrisa, ale nikt nie odpowiadał. Domyśliła się, że już poszedł do szpitala.

Zerknęła na zegarek. Do sesji radiowej zostało jeszcze pół godziny. Wstąpi do szpitala i zaskoczy go. Dziesięć minut później wkroczyła do budynku i poszła wprost do jego gabinetu. Siedziały pijąc trzecią tego ranka filiżankę herbaty. Kiedy wpadła do środka, twarz mu się rozjaśniła.

- Co za miła niespodzianka. - Wstał, o mało nie strącając filiżanki.

Podeszła i pocałowała go w policzek. Uniósł pytająco brwi.

- Jeśli się dowiem, gdzie jest Don McLeod, to czy polecisz ze mną do niego, żeby dał nam ślub?

Patrzył na nią w milczeniu.

- No, co? W ciągu ostatnich lat tyle razy mi się oświadczałeś, a teraz potrzebujesz czasu do namysłu?

- Jej głos brzmiał ostro.

Potrząsnął głową.

- Nie o to chodzi. Oczywiście, że się z tobą ożenię, kiedy i gdzie tylko zechcesz.

- Powiem Horriemu, żeby odnalazł Dona. - Odwróciła się na pięcie i wybiegła z gabinetu. Szybko wyszła z budynku i poszła na parking, gdzie czekał jej samochód. Pojechała do radiostacji. Nic nie czuła. Nie była ani szczęśliwa, ani zła, ani smutna. Nic. Tak jakby nie żyła.

Wiedziała, że postępuje niesprawiedliwie wobec Chrisa.

- Nigdy nie dopuszczę, żeby żałował, że się ze mną ożenił - przysięgła na głos. - Przysięgam. - Kostki zaciśniętych na kierownicy rąk zbieleły.

Podczas sesji radiowej wypytywała rozmówców, czy nie wiedzą, gdzie jest Don McLeod. Okazało się, że był w Yancannie. Brygida i Marianna już od dawna nie pracowały w szpitalu. Ich dwuletni kontrakt dobiegł końca. Od tego czasu przewinęły się tam trzy pary pielęgniarek. Jednak Marianna, która wyszła za mąż za Szefa, została w osadzie, wychowywała dwóch synów i zawsze dyżurowała w szpitalu, kiedy zdarzył się jakiś wypadek.

Cassie nie chciała, żeby wszyscy w okolicy poznali jej plany. Poprosiła więc tylko, żeby powiadomić Dona, że niedługo do niego przyleci. Niech nigdzie nie wyjeżdża, przedtem jej nie powiadamiając.

- Co się dzieje? - zapytał Horrie.

- Przysięgnij, że nic nikomu nie powiesz.

- Nawet Betty?

- No, niech będzie. Ale niech ci obieca, że nikomu nie powie. Wychodzę za mąż i chcę, żeby Don udzielił nam ślubu.

- Cassie! Więc nareszcie zrobisz z doktora Adamsa uczciwego człowieka?

Potaknęła. Czuła ucisk w piersi. Dlaczego miałyby tego nie zrobić? Chris był dobry w łóżku, kochał ją, ostatnio stał

się bardzo miły i od lat ją błagał, żeby za niego wyszła. Będzie miała z kim spędzać czas, chodzić do kina i rozmawiać - przynajmniej o medycynie. Zwykle zaczynali się kłócić, kiedy rozmawiali na inny ważny temat. W takim razie najwyżej nie będzie z nim dyskutowała na poważne tematy. Wystarczą im plotki z miasta.

Znów pojechała do szpitala i zaczęła, aż Chris skończy obchód.

- Don jest w Yancannie. Chcesz tam polecieć? Zamiast szczęścia w oczach Chrisa pojawił się ból.

- Romla nigdy mi nie wybaczy, jeśli nie poczekam na nią ze ślubem. Muszę to zrobić, Cassie. Oprócz ciebie, to jedyna osoba pod słońcem, którą naprawdę kocham.

Nic nie jest proste.

- Dobrze - zgodziła się. Usiadł za biurkiem i połączył się z centralą. Kiedy Romla podniosła słuchawkę, wyjaśnił jej, w jakiej sprawie dzwoni.

- Kiedy najszybciej możesz tu dotrzeć? - zapytał. Rozmawiali przez kilka minut. W końcu spojrzał na zegarek.

- W takim razie jutro po południu. Wyjdę po ciebie na przystanek.

Odłożył słuchawkę i popatrzył na Cassie.

- Jeśli nic się nie wydarzy, cały dzień będę w domu

- powiedziała. - Pojadę tylko na sesję radiowe. Przyjdiesz na obiad?

Wstąpiła do Fiony, żeby jej powiedzieć, że jutro wieczorem musi zawieźć ich wszystkich do Yancanny.

- Ślub! - wykrzyknęła przyjaciółka. - Och, Cassie, to cudownie! Ale czy to nie dzieje się trochę za szybko?

- Jak wszystko w życiu. - Usłyszała w swoim głosie twardy ton i wcale się jej to nie spodobało.

Było wczesne przedpołudnie, a Blake siedział w piżamie za kuchennym stołem. Cassie prawie na niego nie patrzyła.

- Poczęstuję cię herbatą - zaproponowała Fiona.
 - Nie, dzięki.
 - Lepiej usiądź, Cassie. Może wolisz kawę? Ja też mam dla ciebie nowinę.
- Odgadła, o co chodzi, i zdziwiła się, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślała.
- Wyjeżdżasz. - Jej głos brzmiał teraz głucho. Oczywiście. Powinna od razu się domyślić.
 - Blake chce, żebym zamieszkała w Tookarindze.
 - Tam jest jej miejsce - odezwał się Blake. - Nie powinna rozbijać się po całej okolicy.
- Jasne. Fiona zostanie panią największej farmy hodowlanej w tej części świata. Taka jest jej rola, jako żony Blake'a.
- Cassie usiadła.
- Jak znajdę innego pilota?
 - Ja również o tym myślałam. Ale Cassie, najdroższa, rozumiesz mnie, prawda?
 - Oczywiście. - A jednak czuła zamęt w głowie. Nie wiedziała, czy nie trzeba będzie zawiesić działalności latających doktorów w Augusta Springs do czasu zakończenia wojny. - Powinnam wcześniej o tym pomyśleć. Nie, dziękuję za kawę.
 - Kiedy ślub?
 - Chris chce poczekać na Romlę. Przyjeżdża jutro po południu. Chciałabym, żeby ślubu udzielił nam Don, więc mam nadzieję, że zawieziesz nas do Yancanny.
- Fiona i Blake spojrzeli na siebie.
- Mój ojciec jutro przyjeżdża - powiedział Blake.
 - To potrwa tylko parę godzin - wyjaśniła Cassie.
 - Steven tak cię lubi ^ wtrąciła Fiona. - Jestem pewna, że chciałby być na ślubie. Ale przecież wszyscy nie zmieścimy się do samolotu.

My? Cassie nie wyobrażała sobie, żeby i Blake miał być obecny.

- Nie. Nie przewiduję żadnych gości. Tylko Romla i ty jako mój świadek. Nie chcę nikogo więcej.

Fiona roześmiała się i objęła przyjaciółkę.

- Naprawdę ci się wydaje, że miasto pozwoli ci się tak wykręcić? Tyle osób kocha ciebie i Chrisa.

Wszyscy będą zdruzgotani, jeśli ich nie zaprosisz. Obrażą się.

- Cholera! - Nie prosiłaby Fionę o pomoc, gdyby wiedziała, że sprawy przybiorą taki obrót. Chciała uciec stąd i wziąć ślub. Przede wszystkim uciec. Bo przecież to właśnie robiła.

Fiona wciąż otaczała ją ramieniem.

- Daj spokój. Mogę polecić z Blake'em i przywieźć Dona tutaj. Jeśli nie chcesz uroczystej ceremonii w kościele, możemy zorganizować ją tutaj, w ogrodzie. A potem przyjęcie. Romla pomoże. Posłuchaj mnie, Cassie. Nie możesz urządzić skromnego ślubu bez żadnych gości. Miasto by ci tego nigdy nie wybaczyło.

Cassie zaczęła płakać.

Blake przez cały czas patrzył na nią bez wyrazu.

- Nic nie będziesz musiała robić - uspokajała ją Fiona. - Ja się wszystkim zajmę.

- Nie. Powinnaś teraz być z Blake'em.

- Będziemy cały czas razem. Poleci ze mną do Yancanny po Dona. Cassie, musisz zrozumieć, że jesteś osobą publiczną, tak samo jak Chris. Powiedz wszystkim przez radio, że wychodzisz za mąż, przecież wiele osób będzie chciało przyjechać na tę uroczystość.

Dlaczego w ogóle to wszystko rozpętała?

- Nie chciałabym żadnego zamieszania. Chcę tylko mieć cichy ślub. Wolałabym zrobić to szybko i wszystko mieć za sobą...

Fiona ze śmiechem potrząsnęła głową.

- To będzie huczna i ważna uroczystość dla wszystkich okolicznych ludzi, podobnie jak Tydzień Wyścigów. No, może nie aż tak, ale...

Kochana Fiona. Cassie nie cieszyła się, że przyjaciółka dla niej przerywa drugi miodowy miesiąc z Blake'em.

- Zapraszamy ciebie i Chrisa dzisiaj na kolację. Omówimy plany - ciągnęła Fiona.

- Chris nie będzie tym zainteresowany. Po prostu chce się ze mną ożenić.

- Wydaje mi się, że Chris ucieszy się perspektywą wielkiego przyjęcia.

- Przecież go znasz - przekonywała Cassie. - Nie jest zbyt towarzyski.

- Sama zobaczysz. Mówię ci, że Chris wolałby huczną uroczystość. Przecież oboje znacie prawie wszystkich ludzi na obszarze sześciuset pięćdziesięciu kilometrów kwadratowych.

Blake prawie się nie odzywał. Wstał i wyszedł z pokoju.

- Nie chciałam psuć ci szczęścia - powiedziała Cassie do Fiony.

Przyjaciółka roześmiała się.

- Psuć mi szczęścia? Moje szczęście dopiero się zaczyna. Jestem taka szczęśliwa, że mogłabym unieść się w powietrze. Nie wiedziałam, że można być tak szczęśliwym. Cassie, to cudownie, że wychodzisz za męża. A ja myślałam, że czekasz na Sama.

Cassie wstała.

- To ja zapraszam was na kolację. Lepiej gotuję. A poza tym, na pewno nie chcesz spędzić całego popołudnia w kuchni pierwszego dnia pobytu Blake'a w domu.

- Dobrze. - Fiona pocałowała ją w policzek. - Tak się cieszę z tego ślubu, kochana. Wiem, że i ty cieszysz się z mojego szczęścia.

Jadąc do domu, Cassie powtarzała w myślach: „Cieszę się z jej szczęścia. Naprawdę. Zależy mi na tym, żeby była szczęśliwa. Zależy mi.”

Mylila się co do Chrisa. Był zachwycony planami Fiony.

- Romla z przyjemnością pomoże w przygotowaniach, jeśli w ogóle nie zechce przejąć całego nadzoru. Bardzo lubi takie imprezy.

- Bardzo bym chciała, żeby to ona wszystkim się zajęła - odparła Fiona. - Jeśli chcemy urządzić wielkie przyjęcie, lepiej odłóżmy je do soboty. Więcej ludzi zdąży przyjechać do miasta. Na pewno każdy przywiezie domowe ciasto albo jakąś potrawę. Przecież to będzie ślub roku.

A tego właśnie Cassie wcale nie pragnęła. Przez cały wieczór Blake nie wypowiedział więcej niż dziesięć słów. Oboje z Fioną wyszli wcześniej. Po ich odejściu Cassie zmywała naczynia, a Chris wycierał.

- Gdzie chciałabyś zamieszkać? - zapytał. - W twoim domu, czy w moim?

- Nie mam ochoty teraz o tym myśleć. Pocałował ją w szyję.

- To tylko drobiazgi. Ale chyba nie chcę zaczynać naszego wspólnego życia w domu, gdzie spędziłem tyle nieszczęśliwych lat z Izabelą.

Cassie umyła ostatni talerz.

- Dlaczego wciąż tam mieszkasz?

- Jakoś nigdy nie myślałem o przeprowadzce - odparł wzruszając ramionami.

- Ja też nie przepadam za swoim domem.

~ Może kupimy dom Fiony? Zawsze go lubiłaś, a ona wkrótce go opuści.

- Chris, to świetny pomysł. - Uśmiechnęła się do niego.

Po raz pierwszy, odkąd Blake pojawił się na ścieżce domu przyjaciółki, miała ochotę się uśmiechnąć.

- Nigdzie wygodniej mi się nie mieszkało. Tak, porozmawiajmy z nią. Bardzo mi się ten pomysł podoba.

- Idę do domu - oznajmił Chris, kiedy ustawili naczynia na miejsce.

- Idziesz? Dlaczego? Teraz już nikt nie będzie oburzony widząc, jak wychodzisz ode mnie nad ranem. Pocałował ją lekko w policzek.

- Nie. Chcę, żebyśmy ostatnie noce przed ślubem spędzili osobno. To tylko pięć nocy, kochanie. Nigdy jeszcze jej tak nie nazywał.

- Od kiedy jesteśmy razem, nie zdarzyło się nam spędzić osobno pięciu nocy pod rząd.

- Dzięki temu w sobotę będzie nam jeszcze lepiej. -Roześmiał się.

- Chcesz powiedzieć, że ostatnia noc nie była najwspanialsza z możliwych?

- W sobotę będzie lepiej.

Romla rzeczywiście przejęła kierowanie przygotowaniem do ślubu i wesela. Zdobyła tyle płyt, żeby goście mogli tańczyć i bez orkiestry, która w tym czasie była nieosiągalna. Powiedziała Cassie, jak bardzo się cieszy, że zostaną szwagierkami i jaka jest szczęśliwa ze względu na brata, o takim obrocie spraw marzyła od czasu, kiedy dawno temu poznała Cassie w Townsville.

- Od pierwszej chwili cię pokochałam - wyznała.

Ślub był głównym wydarzeniem zimy czterdziestego czwartego roku. Ludzie jechali dziesięć i dwanaście godzin, żeby wziąć w nim udział. Wszystkie brudne pokoje hotelu, wszystkie miejsca u Addiego i wszystkie kwatery gościnne

zostały zajęte. Nie sposób było urządzić ani samego ślubu, ani wesela w domu Fiony. Ceremonia miała się odbyć w kościele prezbiteriańskim, a przyjęcie w szkolnej sali gimnastycznej. Steven zgłosił się do Cassie w dzień przed ślubem.

- Potrzebujesz kogoś, kto podprowadziłby cię do ołtarza - powiedział. - Byłbym zaszczycony, gdybyś pozwoliła mi to zrobić.

Co za ironia losu.

Don i Margaret zatrzymali się w gościnnym pokoju u Cassie. Pastor był bardzo zadowolony, że Fiona przyleciała po niego aż do Yancanny. Powiadomił ją, że Margaret spodziewa się dziecka, wobec czego zgodził się objąć parafię w Alice Springs, żeby nie zostawiać żony samej z noworodkiem.

- Już nie będę wędrującym duchownym. Osiadę w mieście i zostanę zwykłym proboszczem - dodał z uśmiechem.

- Czy ci się to spodoba? - zapytała Cassie. - Wielu ludziom będzie cię brakowało.

- I ja będę za nimi tęsknił. Ale tak musi być. Jednak nie zamierzam tracić z nimi kontaktu. - Położył ręce na ramionach Cassie. - Będiesz szczęśliwa, moja droga?

- A co to jest szczęście?

- Chyba wiem, dlaczego to robisz, ale Chris Adams to dobry człowiek. Od kiedy jesteście razem, jeszcze zmienił się na lepsze. Ma za sobą nieszczęśliwe małżeństwo. Mówił ci o tym? Ja wiedziałem od początku. Postaraj się go więcej nie unieszczęśliwiać.

- Za kogo ty mnie masz? - Cassie czuła się urażona. — Myślałam, że mnie lubisz.

- Lubię? Ja cię kocham. Zaraz po mojej Meg właśnie ciebie najbardziej pragnąłbym mieć za żonę. Wiesz o tym. Myślę, że zawsze wiedziałaś. To nie znaczy, że uważam cię za doskonałość.

- Jasne, zbyt dużo o mnie wiesz.
- Nie to miałem na myśli. - Potrząsnął głową. - Mówię tu o motywach twojego postępowania. Zdaje się, że nie wychodzisz za mąż z właściwego powodu, ale kto potrafi stwierdzić, jaki jest najważniejszy powód do małżeństwa? Chcę tylko powiedzieć, że jeśli jesteś kobietą, za jaką cię uważam, to nie unieszczęśliwisz Chrisa Adamsa tylko po to, żeby udowodnić Blake'owi Thompsonowi, że on już się nie liczy.
- Czy to właśnie chcę zrobić? - wyszeptwała patrząc mu prosto w oczy.
- Tak podejrzewam. — Otoczył ją ramieniem. - Ale to nie znaczy, że wasze małżeństwo będzie nieudane. Musisz pogodzić się z faktem, że Blake należy do Fiony i nigdy już nie będzie twój. Pozornie wiedziałaś o tym od dawna, ale teraz, kiedy zobaczyłaś na własne oczy, trudno ci to zaakceptować i żyć dalej własnym życiem.
- Och, Don, właśnie to sobie powtarzałam. Przecież mam własne życie i nim muszę się zająć.
- Miejmy nadzieję, że postępujesz właściwie. Następnego dnia znów rozmawiali.
- Lubisz latać? - zapytał ją.
- O co ci chodzi? Połowę życia spędzam w powietrzu.
- Chodzi mi o to, czy chciałabyś zostać pilotem.
- O, nie!
- Pomyślałem, że zapytam pastora Flynna, co by powiedział, gdybyś nauczyła się pilotować samolot. Nie ma teraz pilotów, a przecież nie chcesz, żeby na tym skończyła się działalność PSM, prawda? Przechyliła głowę w bok.
- Znasz zasady. Lekarzom nie wolno pilotować samolotów.
- Tak. - Don skinął głową. - Ale to jest zasada, która nie

uwzględnia warunków wojennych. Albo nauczysz się pilotażu, albo PSM zawiesi działalność do końca wojny.

- Daj mi czas do namysłu. Nie wiem, czy potrafiłabym to robić.

Don uśmiechnął się.

- Cassie, znam cię, jeśli czegoś bardzo chcesz, na pewno to osiągniesz.

- Naprawdę tak myślisz?

- Uwielbiasz stawiać czoło nowym wyzwaniom. W trudnych sytuacjach rozkwitasz. Znam cię i wiem. Widziałem, jak zdawałaś w życiu niejednego egzamin. Może właśnie tego ci potrzeba. Powiedziałbym, że potrzebujesz nowych gór do zdobycia.

Na ślub przybyli wszyscy mieszkańcy miasta i ponad sto osób z okolicy. Nawet połowa nie zmieściła się w kościele, więc na ulicy stał spory tłum.

Wesele trwało niemal do trzeciej nad ranem, ale Chrisa o dziewiątej wezwano do porodu. Po północy Don i Margaret odprowadzili pannę młodą do domu.

Cassie czekała na męża. Denerwowała się, więc w końcu spędziła noc poślubną pisząc list do Sama, w którym opowiedziała o najnowszych wydarzeniach.

Chris zjawił się o piątej trzydzieści, bardzo zmęczony, bo musiał wykonać cesarskie, cięcie.

Padł na łóżko i po niecałej minucie już spał.

Cassie położyła się obok niego i słuchała piania kogutów

i poszczekiwania psów. Zastanawiała się, czy Fiona i Blakę śpią. A może niedługo się obudzą, Blake przysunie się do żony i zaczną się kochać. A potem jeszcze raz.

Zdenerwowana? - zapytał instruktor. Cassie usiadła na fotelu pilota, gotowa do pierwszego lotu za sterami. Instruktor usiadł po jej prawej stronie.

- Nie musimy rozgrzewać silnika - powiedział. Rob Wright był wysokim, szczupłym mężczyzną dobiegającym pięćdziesiątki, który palił jednego papierosa za drugim. - Dzisiaj jest ciepło. Gdyby silnik był zimny, musiałabyś parę razy zastrzyknąć paliwo, włączyć go i potrzymać trochę na jałowych obrotach. Ale dzisiaj jest wystarczająco ciepło. - Dlaczego dzisiaj czuła się w samolocie zupełnie inaczej niż kiedyś? - W tym typie samolotu koło ogonowe jest nisko. To znaczy, że silnik jest umieszczony z przodu i zasłania obiekty tuż przed tobą. Będziemy kołować poruszając się po linii litery S. Posuwając się wzdłuż pasa, nakreślisz taką linię. To ważne, kiedy będziesz odchodziła od rampy. Tylko w ten sposób sprawdzisz, czy nie stoją tam inne samoloty. Skręcając w prawo, widzisz, co masz po lewej stronie. Dobrze, kołujemy na koniec pasa.

Uczyła się pilnie, więc wiedziała, o czym mówi instruktor. Lekcje w klasie odbywały się od dwóch tygodni.

- A teraz sprawdzimy kwit - oznajmił szczerząc zęby w uśmiechu.

Cassie spojrzała na niego zdziwiona. Kwit? Chyba źle go usłyszała.

- Tak - przytaknął rozbawiony. - KWIT. Wymyśliłem taki skrót. K oznacza kontrolę sterowności. Ta Cessna ma kierownicę zamiast drążka. Porusz nią w tył i w przód, żeby sprawdzić, czy działają stery poziome. Stopami naciśnij pedały sterowania kierunkowego. Przekręć kierownicę w prawo i w lewo, żeby zobaczyć, czy lotki reagują. - Zaczekał, aż wykona jego polecenia. - Teraz W i ł . Wskazania instrumentów pokładowych. Cessna 140 nie jest wyposażona w wiele przyrządów. Tutaj masz kompas, wskaźnik temperatury i ciśnienia oleju, a tutaj obrotomierz. Sprawdzamy, czy wysokościomierz jest odpowiednio ustawiony. Nastawia się go według ciśnienia atmosferycznego. Jeśli nie możesz uzyskać tej informacji od stacji meteo, musisz się dowiedzieć, na jakiej wysokości znajduje się lotnisko. Powiedzmy, że jesteśmy na wysokości sześćdziesięciu metrów nad poziomem morza. Ustawiamy odpowiednio wysokościomierz. To jest bardzo ważne. - Cassie skinęła głową. Miała nadzieję, że wszystko zapamięta. - Dobrze - ciągnął Rob. - T oznacza tankowanie paliwa. Sprawdzamy, czy zbiorniki są pełne. Pamiętasz, jak przy rampie wspinałaś się po drabince, odkręciłaś korek wlewu i sprawdziłaś palcem, czy zbiornik został napełniony? Musisz sprawdzać w ten sposób oba zbiorniki, na obu skrzydłach - tłumaczył. - Po tym wszystkim możemy sprawdzić obroty na minutę. Kiedy rozgrzewasz silnik, patrz na obrotomierz. Dojdź mniej więcej do tysiąca pięciuset obrotów na minutę. Samolot ma dwa komplety świec zapłonowych, więc kiedy jeden komplet nawali, nie tracisz całkowicie mocy. Masz też dwie igły magnetyczne, tak jak w rozdzielaczu samochodu, ale o wiele bezpieczniejsze i bardziej wydajne. - Wy tłumaczył jej resztę zawiłości, które już przerabiała na zajęciach teoretycznych.

- No, dobrze - powiedział i klepnął ją w ramię. - Gotowa do startu? Ja wystartuję, ale ty, pod moją kontrolą, będziesz trzymała stery. Przyciągnij kierownicę do siebie i połóż nogi na pedałach sterowania kierunkowego. Ten samolot ma dziwacznie ustawione hamulce. Jeśli przyciśniesz jednocześnie prawy i lewy pedał, zatrzyma się.

Rozejrzeli się uważnie na wszystkie strony i wytoczyli się na pas. Przepustnica dała się otworzyć łatwo i szybko, jednym gładkim ruchem i teraz sunęli po pasie.

- Popchnij kierownicę lekko do przodu, aż poczujesz, że ogon się unosi, i tak trzymaj. Naciskając na pedały, utrzymuj samolot na prostej lirii. Kiedy osiągniemy prędkość między dziewięćdziesiąt a sto, lekko odciągnij kierownicę. Właśnie tak! Dzielna dziewczyna. - Kazał jej ustawić ogon trochę bardziej w dół, żeby dziób poszedł do góry. Samolot zaczął się wznosić. - Zostawimy przepustnicę otwartą, aż wzniesiemy się na wysokość stu dwudziestu metrów i nabierzemy przyzwoitej szybkości, powiedzmy sto czterdzieści pięć kilometrów na godzinę, i potem zrobimy kilka manewrów. Popatrz, co robię. - Skręcił w prawo. - Teraz wzbijam się na odpowiednią do manewrów wysokość. Gdybyśmy poniżej nie mieli plaży, jak tutaj, znaleźlibyśmy jakąś prostą linię, szyny kolejowe albo drogę. Pierwszy manewr to prosty, równy lot. Zademonstruję ci, jak to się robi, bo przy porywistym wietrze wcale nie jest to łatwe.

Wzniósł się na siedemset sześćdziesiąt metrów.

- W porządku - powiedział. - Teraz razem ze mną jesteś przy sterach i czujesz, co się dzieje ze sterami pionowymi i kierownicą. Spójrz na horyzont, który musi znajdować w odpowiednim położeniu względem osłony silnika. To tak, jakbyś patrzyła przez przednią szybę samochodu. Odległość między pokrywą a horyzontem zmienia się, w zależności od tego, czy się wznosisz, schodzisz w dół czy skręcasz. Teraz

wiesz, o co chodzi, więc wykonamy lekki przechył. Zakręcanie z lekkim przechyłem. Kiedy wykonujesz zwrot samolotem, musisz lekko się przechylić, jak na torze wyścigowym. Ruchy sterami muszą być skoordynowane, żeby utrzymać odpowiednią wysokość i nie wytracić szybkości.

Mimo że przeleciała już tyle tysięcy kilometrów, było to dla niej całkiem nowe doświadczenie. Nigdy dotąd nie zwracała tak bacznej uwagi na położenie samolotu względem ziemi, jego szybkość i ruchy. Ćwiczyli przechyły i zwroty.

- A teraz przećwiczmy wytracanie prędkości - odezwał się pilot. - Samolot nie nabiera szybkości, ale nie spada, chyba że skierujesz nos samolotu prosto w ziemię, co byłoby wyjątkową głupotą. Samolot będzie się ześlizgiwał w dół w stosunku dziesięć do jednego. Inaczej mówiąc, jeśli jesteś na wysokości jednego kilometra, zdołasz przelecieć dziesięć. No, proszę. Wytracamy szybkość, przymykamy trochę przepustnicę, zwalniamy. Przyciągnij do siebie koło, aż do końca. Nos trochę się opuścił.

Serce podjechało Cassie do gardła. Dopiero teraz w pełni doceniła umiejętności Sama i Fiony.

- Samolot będzie opadał jak liść, nie zwali się na ziemię. Trzymaj kierownicę przy sobie i naciskaj na pedały, tak żeby powoli opadał, coraz niżej i niżej. - Właśnie to robili. Gardło Cassie zacisnęło się i nie mogła oddychać.

Rob spojrział na nią i roześmiał się.

- Wyjdiesz z tego po prostu odpychając od siebie kierownicę. Nigdy nie wykonuj żadnych gwałtownych ruchów. Powoli opuszczaj nos. Kiedy odpychasz kierownicę, samolot nabiera prędkości i znowu leci.

Cassie zerknęła na niego i głęboko wciągnęła powietrze. Kiedy wróciła po miesięcznym kursie w Brisbane i wybrała się na badania do Tookaringi, Fiona już była w ciąży.

- Dlaczego nie jesteś bardziej szczęśliwa? - zapytała ją Cassie. - Wydawało mi się, że właśnie tego pragnęłaś.

- Bardzo się z tego cieszę. I Steven też. Przez chwilę panowała cisza.

- A Blake?

Oczy Fiony wypełniły się łzami.

- Nic go nie cieszy. Prawie w ogóle się nie odzywa. Siedzi w pokoju i czyta albo patrzy przez okno.

- To się często zdarza mężczyznom, którzy byli na wojnie, widzieli straszne rzeczy, przeżyli śmierć przyjaciół. Może Blake się zastanawia, dlaczego on przeżył, a inni nie.

- Jestem pewna, że tak też jest, ale przede wszystkim gryzie się tym, że już do niczego się nie nadaje. Myśli, że jego życie się skończyło.

Cassie dopiła herbatę.

- Chcesz powiedzieć, że to wszystko przez stratę ręki?

- Tak - potwierdziła Fiona. - Uważa, że nie jest w pełni człowiekiem. Nie może jeździć konno i wydaje mu się, że nie ma z niego żadnego pożytku, skoro nie potrafi już pędzić bydła czy znakować młodych sztuk. Nie może się zajmować tym, co robił przedtem. Nie może nawet wskoczyć na siodło.

Cassie nie znajdowała odpowiedzi.

- Przecież nadal jest mężem i ojcem.

- Bał się, że nie zechcę dzielić z nim łóżka, bo stracił rękę. Myślał, że taki widok sprawi, że nie będę go pragnęła. Och, Cassie! - Łzy toczyły się po policzkach przyjaciółki. - Musiałam zrobić wszystko, co tylko potrafiłam, żeby... żeby go uwieść! Nawet nie wiem, czy tego chciał.

- Mój Boże, Fi, przecież to wciąż jest mężczyzna.

- Ale on sam chyba w to nie wierzy. Jak możemy, staramy się razem ze Stevenem wydobyć go z letargu, ale nic nie skutkuje. Nic go nie interesuje. Kiedy dowiedział się, że jestem w ciąży, na sekundę coś błysnęło w jego oczach.

Powiedział: „Może Bóg da, że to będzie dziewczynka”. Chyba chodziło mi o to, że dziewczynki nie pójdą na wojnę.

- Przecież nie może spędzić reszty życia użalając się nad sobą. - Cassie wypowiedziała to zdanie i uświadomiła sobie, że większą część ostatnich pięciu lat życia zmarnowała właśnie na użalanie się nad sobą, bo Blake ją porzucił. Być może człowiek nie potrafi panować nad swoimi emocjami i nikt nie wydobędzie Blake'a z załamania. To musi przyjść z czasem. - Z wiekiem nauczyłam się tylko tego, że to przeminie. Wszystko przemija.

Fiona uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Kiedy jestem szczęśliwa, wierzę, że to prawda, że moje szczęście zaraz się skończy. Ale kiedy cierpię, jestem pewna, że to będzie trwało wiecznie.

- Cóż, nie zapominaj, że naprawdę wszystko mija. Fiona otoczyła Cassie ramieniem.

- Masz rację. Będę o tym myślała co noc. A tymczasem chciałabym jakoś mu pomóc. Nie mogę patrzeć, jak się męczy. Był taki wspaniały, a teraz...

- Blake Thompson znowu będzie wspaniały, zobaczysz. Coś wymyślimy. To trochę wina tego wilgotnego klimatu. Każdemu odbiera energię. Zanim odlecę, zapytam Horriego, czy nie ma dla mnie jakiegoś wezwania. Skorzystam z waszej radiostacji, dobrze?

Horrie połączył ją z żoną Iana Jamesa. Z jej opisu wynikało, że mąż cierpi na zapalenie płuc.

- Zaraz tam przylecę - powiedziała Cassie. Ponieważ nie było innych nagłych przypadków, zabrała torbę i pożegnała się z Fioną. - Zobaczymy się za kilka tygodni. Teraz lecę do Jamesów.

Fiona odprowadziła ją do samolotu.

- Liczę na to, że ty odbierzesz poród mojego dziecka, ale nie muszę chyba tego mówić.

- Jasne. - Cassie pocałowała przyjaciółkę na do widzenia. Czterdzieści minut później dotarła do farmy Jamesów, łan

leżał na łóżku i w wilgotnym upale z trudem łapał oddech. Cassie usiadła obok i wyliczyła, że chory oddycha czterdzieści razy na minutę. Wciągał powietrze, ale nie sprawiało mu to ulgi. Najwyraźniej płuca były wypełnione płynem i ropą i nie spełniały swojego zadania.

- Dużo kaszle?

Pani James skinęła głową. W jej oczach widać było strach.

- Odpluwa żółtozieloną plwocinę ze śladami krwi. Cassie namacała puls.

- Dlaczego jest taki siny? - zapytała żona.

- Ponieważ nie ma wystarczającej ilości tlenu we krwi.

- To zapalenie płuc, tak?

Cassie skinęła głową. Musiała położyć go pod maską tlenową i zawieźć do szpitala. Pocił się i miał napięte mięśnie. Wyglądał jak bokser po kilku rundach ciężkiej walki, dyszący ze zmęczenia.

- Trzeba go zabrać do szpitala. Wieczorem prześlę pani wiadomość przez radio z Augusta Springs.

Maskę tlenową mam w samolocie, ale jeśli nie trafi do szpitala... - Rozejrzała się. - Zaraz przyniosę nosze. Może pani poprosić któregoś z pracowników, żeby mi pomógł.

- Ja pomogę.

Razem ułożyły łana Jamesa na noszach i umieściły w samolocie. Cassie nachyliła się nad pacjentem i założyła mu maskę tlenową. Tętno stało się wolniejsze, ciśnienie spadało, łan rzadziej łapał powietrze. Widać było, że traci siły jak tonący pływak.

Uruchomiła silnik i wystartowała. Piąty raz leciała sama. Musiała się koncentrować na pilotowaniu samolotu, zawirowaniach przedniego wiatru, który uderzał nagle w samolot, ale część jej świadomości zajmowała się pacjentem, leżącym

na tyle samolotu, gdzie nie mogła go widzieć. Walczyła z wiatrem, zastanawiając się, czy nie przepowiada on zbliżania się tropikalnej burzy. Modliła się, żeby dotrzeć do Augusta Springs, zanim pogoda się załamie.

Kiedy posunęła się bardziej na południe, wiatr ucichł i leciała przez spokojne niebo. Bardzo chciała zajrzeć do pacjenta i sprawdzić, co jeszcze można zrobić. Czy maska tlenowa jest na swoim miejscu? Czy oddycha? Odwróciła się i spojrzała przez ramię. Usłyszała bulgoczący dźwięk i odgadła, że to powietrze przepływa przez płyny zebrane w górnej części płuc.

Miała okropne przeczucie, że nie zdążą na czas. Gdyby była cały czas przy chorym, być może jakoś by mu pomogła. Zrozumiała, dlaczego John Flynn zarządził, że latający doktorzy nie mogą sami pilotować swoich samolotów. Powinna właśnie być w kabinie, przy pacjencie. Teraz mu nie pomagała. Równie dobrze mógł leżeć w domu, we własnym łóżku. Pewnie wolałby umrzeć tam niż w drodze do Augusta Springs.

Ale tak właśnie umarł. Piętnaście minut przed lądowaniem, Ian James ostatni raz wciągnął z wysiłkiem powietrze i przestał oddychać. Wszystko umilkło.

Kiedy Cassie dotarła do domu, Chris nalał jej szklaneczkę whisky. Wypiła ją jednym haustem i opowiedziała, co się wydarzyło z Ianem. Powiedziała mu też o ciąży Fiony.

- A mówią, że lekarze przyzwyczajają się do śmierci -powiedziała.
- Tak chyba jest, że po pewnym czasie nie robi już na nas takiego wrażenia.
- A czy ty wciąż jeszcze bardzo to przeżywasz?
- Jeśli nie znałem pacjenta, to nie. Ale bardzo mnie boli, jeśli umiera ktoś, kogo znam od dawna, albo małe dziecko.
- Najgorsze jest powiadamianie rodziny. O śmierci męża

musiałam powiedzieć pani James przez radio. To takie bezosobowe. Chris nic nie odpowiedział.

- Wezmę prysznic. - Cassie wstała i poszła do ich sypialni. Był to ten sam pokój, który zajmowała zaraz po przyjeździe do miasta.

- Chyba nie masz nastroju do gotowania kolacji? - zapytał Chris, kiedy wyszła z łazienki. - Chcesz iść do Addiego?

- Pewnie. - Potrząsnęła głową i spojrzała w lustro. -Chris, podobałoby ci się, gdybym zapuściła włosy? Podszedł do niej i popatrzył na odbicie.

- Chybaby mi się podobało. Zawsze chciałem ci to zasugerować.

- No to dlaczego tego nie zrobiłeś?

- Och, Cassie. Nie mam śmiałości czegokolwiek ci proponować. Gdybym powiedział, że podobałabyś mi się z dłuższymi włosami, nigdy byś ich nie zapuściła. Nie przyjmujesz żadnych sugestii. Wydaje ci się, że to polecenia, a ty nie znosisz, żeby ktoś tobą dyrygował.

- Kiedy tak tego słucham, wydaje mi się, że jestem okropna.

Uśmiechnął się.

- Tak, czasami.

Czy rzeczywiście? Nigdy sobie tego nie uświadamiała.

Rozdział czterdziesty pierwszy

W dniu, w którym Stany Zjednoczone rzuciły bombę atomową, co doprowadziło do zakończenia wojny, Cassie asystowała przy porodzie. Fiona urodziła córeczkę, ważącą ponad cztery kilogramy, którą nazwano Jenny. Fiona nie chciała przyjeżdżać do szpitala, wolałaby urodzić dziecko w domu. Steven nie chciał o tym słyszeć. Stracił zbyt wiele dzieci tylko dlatego, że mieszkał daleko od szpitala. Cassie zaproponowała przyjaciółce, żeby przyjechała do miasta na trzy tygodnie przed przewidzianym terminem porodu i zamieszkała u nich, w swoim byłym pokoju.

- Blake również mógłby się wybrać. Mamy dużo miejsca - dodała.

Kiedy powiedziała mężowi, że ich zaprosiła, ten zapytał:

- Jak się będziesz czuła, mając Blake'a pod bokiem, w naszym domu?

- Mógłbyś już przestać wałkować ten temat. Nic nie będę czuła. Fiona to moja najbliższa przyjaciółka i chcę ją uchronić przed wszelkimi przykrymi niespodziankami. Gdyby poród zaczął się nagle, musiałaby jechać do szpitala dwanaście godzin. Wszystkim przyszłym matkom zalecam, żeby przyjechały do miasta kilka tygodni wcześniej.

- Wiem, ale po tym, co zrobiłaś z dzieckiem Blake'a... Oczy Cassie rozbłysły gniewem.
- Nie potrafisz o tym zapomnieć? Ja już zapomniałam. Ty była najrozsądniejsza decyzja w moim życiu. A do Blake'a już nic nie czuję. Mówię szczerze. Ale zależy mi na Fionie. Na miłość boską, Blake to nieudacznik. Od kiedy wrócił z wojny, snuje się po domu jak cień, nic nie robi i prawie wcale się nie odzywa. Wpędza wszystkich mieszkańców Tookaringi w przygnębienie. Naprawdę myślisz, że wolałabym jego niż ciebie?
- Pytam, bo czasami wydaje mi się, że jesteś gdzieś daleko.
- To normalne u kobiety, która pracuje zawodowo. Nie mogę się bez przerwy koncentrować na tobie. Mam własne problemy i zmartwienia. Muszę myśleć o pacjentach i o pracy. Myślałam, że to wiesz.
- Oczywiście. Przepraszam, że o tym wspomniałem. Jeśli tobie nie będzie przeszkadzała obecność Blake'a, to i ja jakoś sobie poradzę.
- Mam nadzieję! Przecież to w twoim łóżku śpiam.
- Cassie, związek dwojga ludzi nie polega jedynie na tym.
- Doprawdy? - Odwróciła się i spojrzała przez okno.
- Myślałam, że właśnie przez to twoje małżeństwo z Izabelą było takie okropne.
- Czasami mi się wydaje, że nigdy się nie zrozumiemy
- odparł z westchnieniem.
- Co jeszcze wymyślisz? - wybuchnęła Cassie. - Mam wrażenie, że rozumiemy się bardzo dobrze. Godzę się z tym, że jesteś nietolerancyjnym sztywnym formalistą o wstecznych poglądach. Mówisz mi, że mam wady. Straszne by było ich nie mieć. Dzięki nim zachowujemy pokorę, nie sądzisz? Wiesz o mojej ciemnej przeszłości i myślałam, że mi wybaczyłeś. Zdaje się, że jednak nie, bo ciągle mi ją wypominasz...

Chris wyrzucił w górę ramiona.

- Cassie, wcale nie o to chodzi. Wiem, że nie kochasz mnie tak, jak kochałaś Blake'a. Nawet o to nie proszę. Jestem wdzięczny za to, co nas łączy, chociaż ja czuję do ciebie o wiele więcej niż ty do mnie. Głos Cassie był napięty i ostry.

- Kocham cię, jak potrafię. Przysięgałam, że będę cię kochać i dbać o ciebie, i wydaje mi się, że właśnie to, u diabła, robię. Przynajmniej się staram. Staram się jak mogę, żeby cię uszczęśliwić.

- Wiem, kochanie, wiem. - Podszedł i położył jej ręce na ramionach. - Smuci mnie tylko, że tak ciężko musisz nad tym pracować.

Spojrzała na niego i zarzuciła mu ramiona na szyję. Pocałowała go, przesuwając językiem po jego wargach. Pochyliła mu głowę w dół i wsunęła język do ucha.

- Nie jesteś szczęśliwy? Czy nie tego pragnąłeś? Przytulił ją mocno w talii.

- Dostałem więcej, niż kiedykolwiek się spodziewałem.

- Więc przestań już gadać o Blake'u. Nacieszmy się sobą. Ty przynajmniej ze mną rozmawiasz, a Blake prawie się nie odzywa ani do Fiony, ani do Stevena.

Miesiąc później, dokładnie w południe, na świat przyszła Jennifer Stephanie Thompson.

W godzinę po tym Cassie została wezwana do wypadku, któremu uległ poganiacz łapiący krowę na lasso. Zwierzę zaczęło uciekać. Przeskoczyło przez ogrodzenie z drutu kolczastego i ciągnąc za sobą nieszczęśnika uderzyło nim o pień drzewa, miażdżąc mu ramię.

Kiedy Cassie przybyła na miejsce, ocalałe fragmenty ramienia przybrały żółtoszarą barwę. Poganiacz nie mógł już

nimi poruszać. Koledzy napoili go whisky, ale biedak nadal straszliwie cierpiał. Połamane kości przebiły skórę a zdruzgotany fragment sterczał pod nienaturalnym kątem. Mężczyzna był blady z powodu utraty krwi, chociaż koledzy zawiązali opaskę uciskową nad łokciem, żeby zatrzymać krwotok.

Cassie spojrzała na brygadzystę.

- Muszę na miejscu amputować rękę - powiedziała. Żaden lekarz chyba nigdy nie godzi się łatwo z amputacją. - Prawie całe ramię jest zmiążdżone. - Sięgnęła do torby, wyjęła skalpel i podała jednemu z poganiaczy. - Wysterylizuj go w ogniu albo we wrzącej wodzie. Szybko.

Kiedy skalpel był gotowy, Cassie przecięła pozostałe mięśnie i skórę, podwiązała naczynia krwionośne, założyła klamrę, naciągnęła trochę skórę i na zakończeniu kończyny zawiązała pętlę z czterema czy pięcioma węzłami. Zacisnęła mocno, żeby zapobiec krwotokowi. Przemyła kikut przegotowaną wodą, żeby zmniejszyć niebezpieczeństwo zakażenia, posmarowała maścią z antybiotykiem i założyła opatrunek.

- Zanieście go do samolotu. Zabieram go do szpitala na dalszą operację.

Kiedy wracała do Augusta Springs, chmury kładły się czerwonymi cieniami na spękanej ziemi.

Zastanawiała się, od jak dawna już nie padało.

Nieprzytomny człowiek leżący za nią w kabinie wydał cichy jęk. Pomyślała o okaleczonym Blake'u i o tym, jak się czuje człowiek, który stracił część własnego ciała.

Masz rację - powiedział Chris, kiedy Fiona, Blake i ich nowo narodzone dziecko wrócili do

Tookaringi. - Blake prawie się nie odzywa, a jeśli już, to pojedynczymi słowami. Strasznie się nad sobą użala.

Cassie rozsmarowała na grzance dżem malinowy. Nie leciała dzisiaj na badania, więc jeśli nie zdarzy się jakiś wypadek, oprócz trzech sesji radiowych nie będzie miała nic więcej do roboty. Kiedy patrzyła na Blake'a, który tak odciął się od świata, w jej głowie zaczął kiełkować pomysł.

- Podejrzewam, że nie cierpi wyłącznie z powodu utraty ramienia. Chodzi mu o to, że nie może wrócić do dawnego trybu życia. Zmieniłby się, gdyby znów mógł pracować, jeździć konno, prowadzić samochód i robić inne rzeczy, które kiedyś tak łatwo mu przychodziły.

- Czuję, że wpadłaś na jakiś pomysł - powiedział Chris. Oparł się wygodniej i wypił ostatni łyk kawy. Za chwilę miał wyjść do szpitala.

- Czytałeś ten artykuł w najnowszym magazynie medycznym, ten o nowych urządzeniach dla okaleczonych weteranów wojny? Wynaleziono tyle wspaniałych rzeczy. Widziałeś to elektryczne ramię?

Chris potrząsnął głową.

- Jeszcze nie czytałem tego artykułu. Zainteresował mnie inny, na temat malarii. Wiesz, że to był jeden z głównych problemów medycznych tej wojny?

Cassie prawie go nie słyszała.

- Zadzwoń do Norma Castora i sprawdź, co on wie na ten temat. Może z kimś mnie skontaktuje.

Kiedy następnym razem poleciała do Tookaringi, zapowiedziała, że zostanie na noc, żeby zjeść kolację z Blake'em, Fioną i Stevenem. Zaczekała, aż podano główne danie, i powiedziała:

- Blake, chciałabym, żebyś poleciał ze mną do Melbourne i spotkał się z moim dobrym przyjacielem.

W zasadzie jest to przyjaciel mojego ojca. Doktor Norman Castor. Pewien

lekarz z jego zespołu wspólnie pomaga weteranom, którzy stracili kończyny.

Zapadła cisza jak makiem zasiał. Dotychczas nikt w domu nie wspominał o ułomności Blake'a.

Wszyscy udawali, że nic się nie stało. Fiona i Steven spoglądali na niego, czekając, jak zareaguje.

- I co by to dało? - zapytał. - Nie chcę nosić kawałka drewna z hakami na końcu.

- Teraz już się takich nie stosuje - brnęła dalej Cassie. - Robi się protezy, które wyglądają jak prawdziwe, mają ukształtowane palce z paznokciami, ścięgna, a nawet niebieskie linie imitujące żyły. Trudno poznać, że to proteza.

Znowu cisza.

- Ja bym poznał.

- Cóż, bardzo bym chciała, żebyś spróbował. Przecież nic ci to nie zaszkodzi. Zabierze ci tylko kilka tygodni z życia, a zdaje mi się, że dotychczas zmarnowałeś ich o wiele więcej.

- Co to ma znaczyć?

Fiona uspokajająco dotknęła jego dłoni.

- Och, Cassie nic takiego nie chciała powiedzieć...

- Właśnie, że chciałam.

Jeszcze raz zrobiło się cicho, tylko teraz wszyscy patrzyli na nią.

- Tak bardzo rozczulasz się nad sobą, że nawet nie widzisz, co się dzieje z twoją żoną i z ojcem. Wcale cię to zresztą nie obchodzi - ciągnęła Cassie. - Co dzień od nowa łamiesz im serce. Nic nie robisz.

Siedzisz na ganku i patrzysz przed siebie. Założę się, że nawet nie myślisz, chyba że o sobie i o tym, jak to już nie jesteś prawdziwym mężczyzną, bo straciłeś na wojnie rękę. A czy pomyślałeś o ludziach, którzy oddali życie? Tobie wcale nie powiodło się tak źle. Nie możesz jeździć konno, pędzić bydła i strzelać, więc sądzisz, że to już koniec. A jak myślisz, co robią ludzie,

którzy nie mieszkają w interiorze? Mógłbyś stworzyć sobie nowe życie, tylko nie chcesz. Zmuszasz żonę, żeby chodziła wokół ciebie na paluszkach, nie interesujesz się dzieckiem, a twój ojciec nie robi nic innego, tylko stara ci się dogodzić.

- Przerwała, ciężko łapiąc oddech. Bała się, że wszystkich do siebie zraziła. - Oczywiście, to w części ich wina

- mówiła dalej, kiedy nikt się nie odezwał. - Pozwalają, żebyś rozporządzał ich życiem, zamiast zająć się własnymi sprawami i cieszyć się tym, co niesie ze sobą każdy nowy dzień. Godzą się na to, żebyś marnował również ich życie.

Fiona uniosła rękę do piersi.

- Cassie!

- To prawda, Fiono, i w głębi serca o tym wiesz. Gdyby Blake chociaż trochę kochał ciebie i Stevena, gdyby choć trochę zależało mu na dziecku, pojechałby do Melbourne i dobrał sobie odpowiednią protezę. Doktor Castor twierdzi, że taka proteza przywraca równowagę. Mówi, że mógłbyś z nią znowu jeździć konno i robić wszystko to, co przedtem, może z wyjątkiem wiązania sznurowadeł, ale nigdy nie widziałam, żebyś nosił buty ze sznurowadłami!

- Czy to prawda, Cassie? - zapytał Steven.

- Potrzeba do tego czasu, silnej woli i dyscypliny wewnętrznej. Ale doktor Castor mówi, że efekty są zdumiewające. Nie jesteś jedynym człowiekiem na świecie, który stracił ramię. Pomyśl o tych, którzy utracili wzrok, zostali sparaliżowani, amputowano im nogi. Pomyśl o tych, którzy w ogóle nie mogą się poruszać. Twoja męskość nie przepadła wraz z ramieniem. Sam ją odrzuciłeś. Masz szansę wrócić do normalnego życia i zacząć działać, znowu stać się człowiekiem, którego kochali twój ojciec i Fiona. - Specjalnie użyła czasu przeszłego.

Fiona wybuchnęła płaczem i uciekła od stołu.

Cassie miała nadzieję, że nie zraziła jej do siebie na

dobrze. Wiedziała, że posunęła się do ostateczności, żeby przemówić Blake'owi do rozumu. Zastanawiała się, czy nie porozmawiać z nim sam na sam, ale doszła do wniosku, że jeśli zwróci się do niego przy całej rodzinie, jej słowa będą miały większą wagę.

Nie wypowiedziała do niego tylu słów podczas całego roku, jaki upłynął od jego powrotu. Traktował ją jak powietrze, ale przecież tak samo odnosił się do ojca i żony. I do wszystkich innych.

Jakiś czas później Fiona przysłała do pokoju Cassie.

- Nie chcę, żebyś myślała, że jestem na ciebie zła. Wiesz, Cassie, wyraziłaś to, co ja od dawna chciałam mu powiedzieć. Czasami nie mogę już tego znieść. Czuję się tak, jakbym mieszkała z ciałem bez duszy. Steven myśli podobnie. Z naszego życia całkiem zniknęła radość, ale żadne z nas nie miało odwagi tego powiedzieć. Chociaż nie sądzę, żeby twoje słowa na niego podziałały. Cassie, jestem taka przybita, a przecież powinnam być szczęśliwa. Mam męża i małe dziecko.

Cassie objęła przyjaciółkę.

- Gdybyś mieszkała w mieście, zaleciłabym ci wizytę u psychiatry, który zajmuje się wpływem wojny na ludzką psychikę. Może nawet w tej sytuacji nie byłby to taki zły pomysł. Ale uwierz mi, Fiono, te nowoczesne protezy potrafią zdziałać cuda. Nie widziałam ich jeszcze, ale wiele o nich słyszałam.

- On nigdy się na to nie zdecyduje. Nie przyjmie żadnej pomocy. Uważa, że jeśli nie potrafi wszystkiego zrobić sam, to do niczego się nie nadaje. Mimo to dziękuję, że próbowałaś mu pomóc. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że się na ciebie nie gniewam.

- Dzięki Bogu. Bardzo się tego bałam, ale musiałam powiedzieć, co myślę.

Rano Blake czekał na nią samotnie przy nakrytym do śniadania stole.

- Umówisz mnie na wizytę? - zapytał. - Pojadę do Melbourne i porozmawiam z tym twoim doktorem.

Zostawiła samolot na lotnisku i pojechała do budynku radiostacji. Jeśli się pośpieszy, nie spóźni się na popołudniową sesję radiową. Jak zwykle zastanawiała się, kiedy Horrie wreszcie zbuduje obiecaną Betty werandę. Dobudowali do krytego blachą baraku dwa małe pokoje, bo mieli już trójkę dzieci. Cassie nie mogła się nadziwić, że Betty jest zawsze taka pogodna, chociaż przynajmniej raz na miesiąc od sześciu lat bezskutecznie nagabywała męża o werandę. Chciała mieć miejsce, gdzie mogłaby odpocząć w cieniu.

Przed barakiem stała nowa, błyszcząca niebieskim lakierem półcieżarówka. Prawie nikt tutaj nie przyjeżdżał, więc zastanowiło ją, kto mógł odwiedzić Horriego i Betty.

Podeszła pylistą ścieżką do drzwi, weszła do domu i pomachała Horriemu, który już siedział przy radiostacji. Kiedy zamykała drzwi, ktoś od tyłu zakrył jej oczy rękami.

- Zgadnij, kto przyjechał? - zapytał wesoło Horrie. Przez chwilę stała bez ruchu. Nagle doznała olśnienia i już

wiedziała. Zanim jeszcze wypowiedziała jego imię, poczuła pod powiekami łzy.

- Sam? Czy to ty, Sam?

Odsłonił jej oczy, odwrócił ją do siebie. Ujrzała jego roześmianą twarz. Objęła go mocno i przez ściśnięte od płaczu gardło raz po raz powtarzała jego imię. Nigdy jeszcze nie cieszyła się tak na czyjś widok. A jednak nie była pewna, czy na ulicy by go rozpoznała.

Nie był już chudy, tylko dobrze zbudowany. Zapuścił krzaczaste wąsy, a w kąciakach powiek pojawiły się drobne zmarszczki, kurze łapki. Był blady, a baseballową czapkę zastąpił kapelusz z szerokim rondem. Tylko w oczach czaiły się te same iskierki śmiechu.

- Dlaczego nas nie uprzedziłeś? - zapytała.

- Miałem zepsuć niespodziankę?

- Kiedy przyjechałeś?

- Przyjechaliśmy około południa. - Położył jej ręce na ramionach i odstąpił o krok, patrząc prosto w oczy. - Wspaniale wyglądasz. Podoba mi się ta nowa fryzura.

Zawstydzona przesunęła rękę po spływających na ramiona falach.

- Tak cudownie znowu cię widzieć.

- Przyjechałem tu z założeniem, że potrzebujesz pilota. W ostatnim liście napisałaś, że sama pilotujesz samolot. Nie mogłem przestać się śmiać. Zdaje się, że ty wszystko potrafisz. Mimo to mam nadzieję, że pilot ci się przyda.

- Czy mi się przyda? Przecież nie mogę wykonywać dwóch zajęć naraz.

Jak dobrze było znowu mieć go obok siebie, patrzeć w roześmiane oczy, przypomnieć sobie, jak razem pracowali.

- Gdzie będziesz mieszkał?

- Licho wie. U Addiego nie ma miejsca, a hotel to zapchlona nora. Zjadłem śniadanie z Hornem i z Betty. Hej... - Podszedł do drzwi prowadzących do kuchni i otworzył je. - Skarbie, chodź tutaj.

Poznasz najwspanialszą lekarzkę pod słońcem.

W progu stanęła uśmiechnięta, ładna młoda kobieta o jasnoblond włosach. Cassie poznała, że jest w piątym lub szóstym miesiącu ciąży.

- Liv, to jest doktorek, o którym ci tyle opowiadałem. Cassie, oto moja żona, Olivia.

Jego żona?

- Możecie zamieszkać z nami, dopóki nie znajdziecie czegoś na stałe - powiedziała, zanim zdążyła pomyśleć. - Mieszkam teraz znowu w domu Fiony. Odkupiliśmy go od niej. Możecie zająć jej dawny pokój.

Sam zdjął kapelusz.

- Trudno mi uwierzyć, że zostałam panią Adams. Ten list mnie zaskoczył.

Dlaczego tak nią wstrząsnął fakt, że Sam ożenił się z tą blondyneczką? Olivia wyglądała jak uosobienie głupiotki blondynki. Przecież zawsze przewidywała, że Sam kogoś takiego wybierze.

Cassie domyślała się, że Olivia chichocze jak mała dziewczynka i słodko trzepocze rzęsami.

- No, tak. Wszyscy dorastamy - z namysłem ciągnął Sam. Już chyba najwyższy czas, pomyślała Cassie. Dorastamy

i mamy obowiązki, które nie zawsze sami sobie wybieramy.

Rozdział czterdziesty drugi

To niewiarygodne! - zawołała Cassie do Chrisa. - Ona ma całkiem pusto w głowie. Jakim cudem Sam się nią zainteresował?

- Już chyba zapomniałaś, jaki jest Sam - stwierdził Chris, unosząc filiżankę z kawą. - Zawsze pociągała go najładniejsza dziewczyna w towarzystwie i nie miało dla niego znaczenia, czy w jej głowie kołacze się chociaż jedna szara komórka. Mam nawet wrażenie, że wołał, żeby tak nie było. Cassie z powątpiewaniem potrząsnęła głową.

- Wydawało mi się, że przed wyjazdem interesował się siostrą Klarą, a to bardzo inteligentna dziewczyna.

- To było pięć lat temu.

- Pewnie masz rację. Ale Olivia wydaje się taka... Cóż, jestem zaskoczona, że Sam potrafi być z kimś takim szczęśliwy.

- Jest tak ładna, że może być z niej dumny, ale nie tak piękna, żeby musiał się o nią obawiać.

Widziałaś, jak na niego patrzy?

Cassie złożyła serwetkę i kiwnęła głową.

- Tak, z rozanielonym uśmiechem wdzięczącej się małej dziewczynki, jakby wszystko, co Sam zrobi albo powie, było doskonałe.

- Wiesz, to ma swoje uroki - odparł ze śmiechem Chris. Oczy Cassie zapłonęły.
- Pewnie wolałbyś mieć żonę, która we wszystkim by się z tobą zgadzała i patrzyła na ciebie cielecym wzrokiem...
- To byłaby odświeżająca zmiana. Ale nie, kochana. - Wziął ją za rękę. - Zanudziłbym się na śmierć. Lubię zadziorne kobiety...
- To i dobrze. - Cassie uspokoiła się i spojrzała na niego z uśmiechem.
- Cieszysz się, że tak szybko znaleźli dom, prawda?
- Boże, ledwie wytrzymałam przez te dziesięć dni. Ona chichocze ze wszystkiego, co Sam powie, a on z zadowoleniem szczyrzy zęby i napawa się jej uwielbieniem.
- Nie myśl już o Samie i Olivii - powiedział Chris wstając. - Nie myśl o Romli.
- O Romli? Nie myślałam o niej od wieków.
- Och, zapomniałem. Zadzwoiła wczoraj i powiedziała, że w czwartek przyjeżdża tu z całą rodziną. Potem ci wyjaśnię dlaczego. To szalony pomysł. Ale teraz nie zawracaj sobie tym głowy.
- Nie. - Cassie pociągnęła go za rękaw. - Teraz mi powiedz.
- Rogera znudziła praca policjanta w Townsville. Myślę też, że Romla, chociaż się do tego nie przyznaje, ma już dość dotychczasowego życia.
- Kiedy tam byłam, widziałam to wyraźnie.
- Roger ma ochotę zmienić zawód, a Romla chętnie podjęłaby się jakiegoś nowego zadania. Odpowiedziała na ogłoszenie o posadzie dla kierownika hotelu. Zgadnij, co to za hotel? Królewskie Palmy w Augusta Springs.
- Królewskie Palmy? Sam mówi, że to zapchlona nora.
- Wiem, wiem. Mimo to chcą z Rogerem spróbować czegoś nowego. Kiedy Romla dowiedziała się, że hotel

znajduje się w Augusta Springs, postanowiła, że przyjadą tu i zobaczą, czy coś się da z niego zrobić. Wiesz, bardzo cię polubiła.

- Ja ją też.

- W każdym razie, przyjeżdżają w czwartek.

- Chyba będzie miło. Cieszę się, że znowu ją zobaczę. Ty też dawno jej nie widziałeś. Ostatni raz wstąpiłeś do niej w drodze na konferencję w Brisbane. Oczywiście, Roger zrobił na mnie wrażenie okropnego nudziarza. - Zastanawiała się, czy nie powinni zmienić domu w pensjonat.

- To rzeczywiście okropny nudziarz - zgodził się Chris.

Następnego dnia Sam pierwszy raz od powrotu z wojny poleciał z Cassie na badania.

. - Ziemia jest strasznie wysuszona, a przecież to pora deszczowa - zauważył w drodze do Tookaringi. Cassie przez cały ostatni rok słyszała, że mężczyźni rozmawiają o suszy, ale dotychczas nikomu jeszcze nie zabrakło wody i zwierzęta nie zaczęły padać z pragnienia.

- Jeśli wkrótce nie spadnie deszcze, będzie źle. Widziałaś kiedy suszę?

- Chyba nie - odparła. Uświadomiła sobie, że ziemia pod nimi rzeczywiście jest bardzo wysuszona. Była tak przyzwyczajona do widoku wielkich pęknięć rozdzierających grunt, że wcześniej nie zwróciła na to uwagi.

- Susza w tym rejonie kraju niszczy wszystkie owoce pracy ludzkiej. Pamiętam, jak osiemnaście lat temu przyszła powódź po pięciu latach suszy, która zrujnowała rodziny i zabiła wiele zwierząt. Ludzie umierali z głodu, zostawiali domy i przenosili się do miasta, rezygnowali z marzeń.

- Sam, jak to dobrze, że wróciłeś. Nie masz pojęcia, jaka to dla mnie ulga. Nie muszę wykonywać dwóch prac naraz.

- Już się bałem, że porzucisz medycynę dla latania.

- W zasadzie nigdy nie lubiłam pilotować samolotu. W przeciwieństwie do ciebie nie mam tego szóstego zmysłu, który podpowiada, co robić w powietrzu.

Nic jej nie powiedział i nigdy by się nie dowiedziała -pewnie tak jak inni w mieście - o jego wyczynach wojennych, gdyby nie Olivia. Pokazała jej artykuł z gazety, w którym opisano go jako „żywą legendę, asa lotnictwa, który stracił z nieba więcej niemieckich samolotów niż jakikolwiek inny australijski pilot". W artykule napisano, że latał niżej i szybciej niż inni, jakby rzucał wyzwanie artylerii przeciwlotniczej.

Był w nim teraz jakiś niepokój. Nie mógł spokojnie usiedzieć w czasie towarzyskich spotkań i Cassie zauważyła, że oczy często zachodziły mu mgłą i patrzył gdzieś w dal, kiedy ktoś z nim rozmawiał. Nie chciał tracić czasu na przystosowanie się do nowego trybu życia i od razu wrócił do pracy.

- Zdziwiłem się, że ty i Chris jesteście razem - powiedział jej. - Myślałem, że Blake... W każdy razie, zaniemówiłem z wrażenia, kiedy o tym przeczytałem.

Cassie popatrzyła w dół, na suchą, zapyloną ziemię, na której rosły setki drzew gumowych. Między nimi skakało stado kangurów.

- To należy do przeszłości.

- Wydaje mi się, że wszystko należy do przeszłości. Chyba już nic nie będzie takie jak kiedyś. Kiedyś marzyłem, że jak wrócę, zastanę wszystko nie zmienione, takie jak znałem i kochałem. Teraz wróciłem i wszystko jest inne.

- Tak bardzo się tu zmieniło?

- Tak. Cały świat jest odmieniony.

- Czy ktoś cię uprzedził, że Blake stracił ramię?

- Tak. - Skinął głową. - Pisałaś o tym.

- Kilka tygodni temu pojechał do Melbourne. Już wrócił. Ma elektryczną protezę. Nie mogę się doczekać, kiedy ją

zobaczę. Przechodził kryzys. Ale zdaje się, że teraz, z nową ręką, może robić to co przedtem.

- Tylko nie ma w niej czucia - odparł Sam. Wskazał przed siebie. - Spójrz, Tookaringa! Wciąż jeszcze nie widziałem równie wspaniałej posiadłości. I pomyśleć, że Fiona jest jej panią. Bardzo się cieszę, że ją zobaczę.

Fiona i Sam uściskali się na powitanie. Oczy Fiony błyszczały.

- Cassie, to zupełnie inne życie! Przekonasz się, jak go zobaczysz. Nie wiem, jak mam ci dziękować. - Zwróciła się do Sama. - Nasza wspaniała przyjaciółka ocaliła mnie i mojego męża. Pacjenci przyjdą dopiero za godzinę. Przygotowałam poczęstunek. Ciasto kawowe i herbatę. Dzisiaj jest święto. Blake nawet się uśmiecha.

- To prawda - odezwał się za nimi męski głos. - Rzeczywiście się uśmiecham. Witaj w domu, Sam. Świetnie, że jesteś. Dawno się nie widzieliśmy.

Sam wstał i uściśnął mu dłoń. Spojrzał na lewe ramię Blake'a.

- Wciąż jeszcze jestem trochę niezdarny - wyznał Blake, ale głos miał pogodny. Wyciągnął sztuczną rękę do Cassie. - Dotknij.

Dotknęła jej niepewnie i poczuła jedynie martwy plastik. Blake był rozradowany jak dziecko, które dostało nową zabawkę.

- Wewnątrz są urządzenia elektryczne, dźwignie, przekładnie. Wyłącznik znajduje się pod kciukiem. Mogę ją włączać i wyłączać. Potrafię nią przenosić różne przedmioty. Chwytam je i przekręcam wyłącznik. Cholerna ręka się zaciska i może trzymać ten przedmiot bez końca. Czy to nie zadziwiające?

Zadziwiająca była przede wszystkim zmiana, jaka w nim zaszła.

- Powiedzieli mi, żebym chwycił jajka i w ten sposób nabierał wprawy. Cóż...
- Stuknę kilka tuzinów jajek - wtrąciła Fiona, wnosząc na werandę ciasto, kawę i herbatę.
- Widzicie? Działa na baterię. - Podwinął rękaw koszuli.
- Największy kłopot, że pracuje we własnym tempie, nie tak szybko jak impulsy z mózgu. Mimo to, Cassie, w przyszłym tygodniu mam zamiar wsiąść na konia po... Boże! Czy to rzeczywiście już sześć lat?

Spojrzał Cassie prosto w oczy pierwszy raz od długiego czasu. Głos mu zmiękł.

- Nie wiem, jak ci dziękować. Wyświadczyłaś mnie i mojej rodzinie ogromną przysługę. Był już najwyższy czas, żeby ktoś mi wszystko wygarnął.

Obaj z Samem siedzieli na werandzie, gdy Cassie badała pacjentów. Słyszała strzępki ich rozmowy, głównie rozentuzjasmowany głos Blake'a. Mówił pilotowi, że kupi „wąski pas ziemi, sięgający aż do wybrzeża, długi na ponad półtora tysiąca kilometrów”.

- Ponad półtora tysiąca kilometrów ziemi? - z niedowierzaniem zapytał Sam.
- No, może nie aż tyle - odparł ze śmiechem Blake.
- Jeśli ta susza dłużej się przeciągnie, coraz więcej ludzi będzie wysprzedawało ziemię. Kupię ją od nich bardzo tanio. Nie znaczy to, że zamierzam ich wykorzystywać, ale dzięki takiej sytuacji nieosiągalne teraz połacie ziemi zostaną wystawione na sprzedaż. Moje bydło będzie miało gdzie uciec przed suszą. Najpierw kłopoty zaczną się tutaj, w środku kraju. Przepędzę stada w stronę wybrzeża. Będę miał tyle nie wykorzystanych pastwisk, że mojemu bydłu nie zagrozi głód. Co roku przepędzę stado tą samą trasą, żeby

było tłuste i zdrowe. W wypadku suszy będę się mógł pozbyć bydła, zanim jeszcze padnie z głodu albo będzie zbyt wychudzone, żeby mieć jakąkolwiek wartość. Wyślę je na rynek, kiedy cena podskoczy... Fiona uśmiechnęła się do Blake'a.

- To jedyny znany mi człowiek, którego marzenia się spełniają.

- To dlatego, że on się sam o to stara - odparła Cassie.

- Ale z olbrzymią pomocą kobiet, które spotkałem na swojej drodze życia. - Blake podniósł plastikowe ramię i zsalutował nie tylko Fionie, ale i Cassie. Zwrócił się do Sama. - Gdyby nie Cassie, nadal snułbym się po domu i użalał nad sobą. Ostro wzięła mnie do galopu. A kiedy spotkamy twoją panią? - zapytał.

Fiona badawczo spojrzała przyjaciółce w oczy. Czy nadal sądziła, że Cassie podkochuje się w Samie?

Nie rozmawiali o wojnie. Wydawało się, że te lata wyparowały, a życie wcale się nie zmieniło.

Między Blake'em i Samem pojawił się jakiś nowy duch braterstwa.

W drodze powrotnej Sam wziął Cassie za rękę.

- Przykro mi, doktorku. Z początku udało ci się mnie oszukać.

- Dlaczego ci przykro? - zapytała zdziwiona Cassie.

- Wciąż jeszcze jesteś zakochana. Może on tego nie widzi i Fiona pewnie też nie, ale dla mnie to oczywiste.

Cassie wyprostowała się w fotelu.

- Mylisz się, Sam. Nie masz racji.

- Bardzo bym chciał, żeby tak było. Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności. Skoro tak twierdzisz, nie będę się spierał. Ale jeśli kiedykolwiek będziesz miała ochotę wypłakać się na czyimś ramieniu...

- Idź do diabła, Sam. Roześmiał się.

- Nareszcie słyszę dawną Cassie. Już myślałem, że coś się popsuło i zaczęłaś mięknać.

- Ja? Mięknać? Wybij to sobie z głowy.

Uścisnął jej dłoń. Jak to dobrze, że już wrócił. To dziwne, ale czuła, że przez ten czas, kiedy go nie było, jakoś się do siebie zbliżyli. Może połączyły ich listy. Pomyślała, że to dobrze, że Sam się ożenił. Żałowała tylko, że nie potrafi polubić jego ukochanej.

Pierwsze nagłe wezwanie od powrotu Sama do pracy nadeszło z Mataburry. Męski głos z trudem przebijał się przez trzaski w eterze.

- Mówi Gregory Carlton... - Mówił z trudem. - Moja siostra została postrzelona!

Horrie zamarł.

- Postrzelona?

- W jakim jest stanie? - zapytała Cassie.

- Jeszcze żyje. Przyjeżdżajcie. O, Boże! Cisza.

- Zadzwoń do Sama i sprowadź go tutaj - poleciła Cassie Horriemu. - Odwołaj badania.

Wyjęła z torby okulary przeciwsłoneczne i wyczyściła szkła. Horrie tymczasem łączył się z centralą.

- Sam jest już w drodze.

Pilot wszedł do baraku pięć minut później.

- Alison Carlton została postrzelona. Lecimy - oznajmiła Cassie. Pomknęli na lotnisko. Po drodze Cassie opowiadała Samowi: - Jedyłą jej pomocą podczas wojny było małżeństwo starych aborygenów. Alison praktycznie sama prowadziła farmę. Kiedy przyjeżdżała do miasta, zatrzymywała się u mnie. Boże, co za okropność.

Czy Greg znalazł ranną siostrę zaraz po powrocie do

domu z Europy? Jak długo tam leżała? Cassie nie potrafiła się domyślić, co mogło się tam wydarzyć. Po dziesięciu minutach byli już w powietrzu, a za półtorej godziny dotarli do Mattaburry. Kiedy krążyli nad farmą, Greg wybiegł przed dom i pomachał do nich. Sam posadził samolot na pasie, który jak zawsze był w doskonałym stanie. Wyłączył silnik, otworzył drzwi i zaraz podjechała do nich zniszczona ciężarówka, 'wzbijając w powietrze tumany pyłu.

Cassie nie poznałaby Grega. Miał rozbiegane, przekrwione oczy, włosy w nieładzie i wyglądał jak szaleniec. Tylko takim słowem mogła go trafnie opisać. Po pięciu latach nawet się z nimi nie przywitał. Gdyby nie to, że prowadził ciężarówkę, Cassie uznałaby, że zapadł w letarg. Zawrócił i ruszył w stronę domu.

- To moja wina. Boże, to moja wina - powtarzał raz za razem.

- Czy Alison żyje? - zapytała.

Myślała, że jej nie usłyszał, ale po minucie odpowiedział:

- Jeszcze żyje.

Greg został za kierownicą, nawet kiedy samochód zatrzymał się przed domem. Cassie wzięła torbę i wyskoczyła z szoferki. Nie pobiegł za nią, kiedy wskoczyła po trzech stopniach na werandę i z rozmachem otworzyła drzwi do kuchni.

Krew spryskała zwykle czyste żółte ściany. Na tle czerwonych plam widać było kawałki ciała. Na podłodze leżało ciało kobiety, wiele niższej i drobniejszej niż Alison. Pierś nieznajomej była rozerwana na strzępy. Na drewnianej podłodze rozlała się kałuża krwi.

Greg powiedział, że to siostra została postrzelona. Nic nie wspomniał o tej nieznajomej. Cassie skierowała się właśnie do sypialni Alison, kiedy Sam wszedł do kuchni.

- O, Boże! - jęknął.

Alison leżała na łóżku. Tam, gdzie kiedyś była lewa pierś, ziała otwarta rana. Krew zaplamiła bluzkę. Kobieta ścisnęła w rękę pistolet. Cassie usłyszała za sobą kroki i zanim zdążyła się odwrócić, do sypialni wpadł Greg i rzucił się na ciało siostry. Potem objął głowę rękami i zaczął płakać.

- Powinienem wiedzieć, że tak będzie. Myślałem, że to wszystko rozwiąże. Boże, co ja zrobiłem?

Cassie podeszła do niego i położyła mu rękę na ramieniu.

- Nie ty to zrobiłeś. Pistolet jest w jej ręku. Spojrzały na nią zaczerwienione oczy.

- Równie dobrze sam mogłem pociągnąć za cyngiel. O, Boże! - szlochał.

- Zbadam ją - powiedziała Cassie, chociaż wiedziała, że Alison ma przed sobą najwyżej kilka minut życia.

Greg odsunął się od siostry. Płakał, zasłaniając twarz rękami.

- Kim jest ta druga kobieta? - zapytała Cassie.

Greg popatrzył na nią i wydawało się, że oczy zapadły mu się jeszcze głębiej.

- To moja żona. - Z trudem wymówił to słowo. Przerażona tragedią Cassie badała Alison.

- Nic nie mogę zrobić. Nikt by tu nic nie poradził. Otoczyła Grega ramionami. Bieg wydarzeń wydał jej się

oczywisty. Alison nie mogła pogodzić się z faktem, że brat wrócił do domu z żoną. To oznaczało, że dla niej nie ma już tu miejsca.

Sam stanął w drzwiach.

- Boże, przyjechaliśmy do domu niecałą godzinę przedtem - powiedział Greg i znowu zaczął płakać. -

Powinienem być napisać, uprzedzić ją.

Tak, powinieneś, pomyślała Cassie. Napotkała wzrok Sama.

- Na pewno przyjedzie tu policja. Będą zadawać pytania.

Patrzyła, jak Alison wydaje ostatnie tchnienie. Przyszło jej do głowy, że może to i lepiej, że nie będzie musiała przechodzić przez śledztwo, proces i więzienie. Tymczasem Sam musi przynieść z samolotu torby na ciała. Trzeba też tu posprzątać. Greg z pewnością nie będzie w stanie im pomóc.

- Chcesz mi opowiedzieć, jak to się stało? - Policja pewnie będzie wdzięczna za każdą informację.

Greg milczał tak długo, że Cassie wróciła do kuchni, przeszła nad ciałem jego martwej żony i postawiła na ogniu czajnik z wodą. W składziku znalazła ścierki i wyszorowała ścianę. Kawałki skóry przywierały do mokrego materiału. Czowała, że robi jej się niedobrze. Powtarzała sobie, że Greg nie mógł tego wszystkiego przewidzieć. To nie była jego wina. Przecież Alison musiała się liczyć z tym, że pewnego dnia... W końcu Greg był ledwie po trzydziestce. Powinna się była spodziewać, że zechce mieć żonę, rodzinę.

W szafie w korytarzu znalazła koc i nakryła nim ciało żony. Woda się zagotowała. Odnalazła herbatę, zalała wrzątkiem i zaniósła filiżankę Gregowi, który wciąż siedział przy ciele siostry i patrzył w jej puste oczy. Machnął ręką, dając znak, że nie chce herbaty.

- Wypij, nawet jeśli nie masz ochoty - poleciła. Podniósł na nią wzrok i wziął od niej herbatę. Usiadła obok niego i wypila łyk z filiżanki, którą przyniosła też dla siebie.

- Od początku wiedziałem, że krzywdzę Susan. - Głos mu się trząsnął, ręce dygotały. - Ale myślałem, że to rozwiąże nasze problemy, przetnie kłamstwo, w którym żyliśmy.

Nie chciała tego słuchać. Sam stanął obok niej i oparł rękę na jej ramieniu. Siedziała wyprostowana na twardym krześle i patrzyła na Grega. Słyszała ćwierkającego za oknem ptaka. Lekki wietrzyk kołysał organdy nową zasłoną. Cassie bała się tego, co zaraz miała usłyszeć.

- Myślałem, że jeśli Susan tu ze mną przyjedzie, jeśli zaprzyjaźnią się z Alison, to wszyscy razem... - mówił Greg. - O, Chryste! W głębi duszy wiedziałem, że to niemożliwe. Chciałem tylko zmienić to wszystko, zatrzymać błędne koło, w którym żyliśmy razem z Alison. Nie kochałem Susan. Nigdy nie kochałem żadnej kobiety, oprócz Alison. - Upuścił filiżankę na podłogę, podparł głowę rękami i łkał urywanie. Jego szloch rozrywał Cassie serce.

Jednocześnie czuła mdłości.

- Myślałem, że to nas uchroni od piekła - z płaczem ciągnął Greg.

Cassie wstała, podeszła do okna i przesunęła palcami po falującej zasłonie. W oddali zobaczyła czarno-białą krowę, jedzącą coś ze żłobu.

- Nie chcę tego słuchać - wyszeptała. Greg chyba jej nie słyszał.

- Przyjechaliśmy tu po śmierci rodziców, chcąc uciec przed ludzkim potępieniem. Mieliśmy nadzieję, że znajdziemy miejsce, w którym panują mniej surowe zasady, dotyczące dobra i zła.

W ciszy, która zaległa, Cassie spoglądała przez okno. Usłyszała głos Sama.

- Ale nie mogliście uciec sami przed sobą?

- Próbowaliśmy się powstrzymać, i to od dawna. - Głos Grega był ledwo słyszalny. - Alison przez prawie rok podróżowała po Europie. Mieliśmy nadzieję, że każde z nas kogoś pozna. Ale rozłąka doprowadzała nas do obłędu. Kiedy ona skończyła trzynaście lat, a ja czternaście, znaleźliśmy sposób, żeby uciec przed nadzorem rodziców. Odkryliśmy pokój na poddaszu, gdzie nikt nie wchodził, nawet służba. Spędzaliśmy tam całe godziny, pod belkami dachu. Wiedzieliśmy, że to, co robimy, jest złe, grzeszne, że pójdziemy przez to do piekła, ale nie mogliśmy się po-

wstrzymać. Kochaliśmy się tak bardzo, że nic innego się nie liczyło.

Cassie bała się, że za chwilę zwymiotuje. Zarazem było jej bardzo żal Grega.

Stanął za jej plecami i wskazał na drzewo, rosnące tuż przy ogrodzeniu.

- Tam pochowaliśmy nasze dziecko - powiedział. - Ja odebrałem poród i razem je udusiliśmy, żeby ten grzech rozdzielił się na dwoje. Nawet to nas nie powstrzymało. Pomyślałem sobie, że jeśli wrócę tu z żoną, dłużej już nie będziemy mogli z Alison tak żyć. Boże, w głębi serca wiedziałem, że to wszystko na nic. Rozumiałem, że krzywdzę Susan, chcę za jej pomocą wypędzić demony z siebie i z Alison. Wiedziałem, że źle robię, ale przecież nie chciałem, żeby zginęła.

Cassie nie mogła spojrzeć mu w twarz.

- To ja ją zabiłem, tak jak naszego syna. Równie dobrze własnoręcznie mogłem zabić Alison.

Zamordowałem wszystkich troje. - Nagle dodał z gorzkim śmiechem: -I pomyśleć, że nie potrafiłem zabić niemieckiego żołnierza w Afryce Północnej, którego twarz zobaczyłem po drugiej stronie zasieków!

Kiedy wyjedziemy, on się zabije, pomyślała Cassie. Wiedziała, że nigdy nie zdradzi policji tego, co jej wyznał. Powie, że Alison z zazdrości zabiła żonę Grega, i to wszystko.

Objęła go i pozwoliła mu wypłakać się na swoim ramieniu. Łkanie wstrząsało jego ciałem. Sam popatrzył na nią uważnie i wolno pokręcił głową.

Wyszedł z pokoju i wrócił z dwoma workami na ciała.

- Poleć z nami - powiedziała do Grega. - i tak będziesz musiał porozmawiać z policją. Łatwiej ci będzie, jeśli od razu to zrobisz.

- Nie - zaprotestował. Był sztywny i napięty.

Sam dotknął jej ręki.

- Przestań - powiedział. - Zostaw go.

Spojrzała na niego i odgadła, że on również wie, co Greg zamierza zrobić. Mówił jej, żeby go nie powstrzymywała. Tak pewnie będzie najlepiej. Znowu ogarnęły ją mdłości.

- Jutro przyślemy tu policję.

- Dobrze. - Greg skinął głową.

W samolocie prawie nie rozmawiali. Cassie zapytała tylko pilota:

- Wiesz, co on zamierza, prawda?

- Oczywiście - odparł głucho Sam.

Kiedy nazajutrz, późnym rankiem, policjanci przybyli na miejsce, zastali tam to, czego spodziewał się i Sam, i Cassie.

Rozdział czterdziesty trzeci

A mnie się wydaje, że to bardzo ekscytujące - powiedziała Romla. Stała przed lustrem i poprawiała kolczyk.

- Hotel jest okropny - odparła Cassie, wciągając przez głowę sukienkę. - Nigdy przedtem tam nie byłam. Wygląda strasznie. Tapety łuszczą się ze ścian. Pokoje są zrujnowane, materace się zapadają. Bar cuchnie. Wszędzie ogromny bałagan.

- Właśnie - zgodziła się Romla z promiennym uśmiechem. - Pomyśl, co za wspaniałe wyzwanie. Augusta Springs się rozrasta, a oprócz zajazdu Addiego, który, powiedzmy sobie szczerze, jest bardzo plebejski, nie ma tu żadnego przyzwoitego lokalu.

- Jestem pewna, że z Królewskich Palm nie da się czegoś takiego zrobić. Zapnij mi suwak, proszę.

- Ależ da się - upierała się Romla, zapinając sukienkę z zielonej mory, którą miała na sobie Cassie. - Wyglądasz absolutnie wspaniale. Oczyma wyobraźni już widzę, jaki mógłby być ten hotel.

- Romla, nikt w mieście nawet się nie pofatyguje, żeby tam zajrzeć, a nie ma tu wielu przejezdnych.

- Podaj mi nazwę naprawdę dobrej restauracji w Augusta Springs.

Cassie skinęła głową, przeczesując włosy grzebieniem.

- Tylko u Addiego można przyzwoicie zjeść.

- I panuje tam miła atmosfera, prawda? Ale czy to elegancka restauracja? Czy jest tam romantyczny nastrój? A czy można zamówić koktajle, takie jak martini, sloe gin fizz czy whisky sour? Tutaj nikt nawet nie wie, jak się je przyrządza. A tańce?

- Chodzi ci o takie zabawy, jak ta dzisiejsza albo u Addiego?

- Tak. Tylko te nie mają odpowiedniej atmosfery. Pomyśl o dzisiejszej zabawie. Tańce w sali gimnastycznej! Nie tęsknisz za czymś z większą klasą?

- Już zapomniałam, co to znaczy klasa. A jeśli chodzi o tańce, dzisiaj zdarza się pierwszy raz, od kiedy jesteśmy razem z twoim bratem, żeby Chris miał ochotę na taką zabawę. Robi to tylko dlatego, że ty tutaj jesteś i chce ci pokazać miasto.

- Och, Cassie, mogłabym odmienić życie towarzyskie w Augusta Springs!

Cassie spojrzała na Romlę, ubraną w płomiennoczerwoną suknię, i zobaczyła, że jej zielone oczy płoną. Łatwo było zapomnieć, że Romla nie jest piękna. Jej entuzjazm pobudzał Cassie do życia. Jednak wiedziała, że nikt nie potrafi odmienić życia towarzyskiego w Augusta Springs. Było to zakurzone miasteczko, zajmujące się handlem bydłem, położone na końcu linii kolejowej. To prawda, że wielu ludzi ostatnio się tu sprowadziło i brakowało już domów, ale nie wyobrażała sobie, żeby Augusta Springs zostało kiedyś ośrodkiem turystycznym albo miejscem, które przyciągałoby tłumy nowych mieszkańców. Musiała przyznać, że się rozrastało. Steven właśnie zrobił miastu prezent i ufundował nowe skrzydło szpitala, więc teraz Chris prowadzi rozmowy z lekarzami w poszukiwaniu nowego personelu. Od czasów

przedwojennych niemal samodzielnie prowadził cały szpital. Ponieważ cały czas był przepracowany i zmęczony, wreszcie zgodził się na przyjęcie partnera. Stwierdził, że nie byłby zazdrosny, gdyby w mieście pojawił się nowy doktor. Potrzebowali tu jeszcze jednego chirurga i być może pediatry.

- Może warto by było sprowadzić psychiatrę? - zaproponowała Cassie.

- Tutaj nie byłoby zapotrzebowania na takiego specjalistę - odparł Chris.

Czy Królewskie Palmy zapewnią utrzymanie Romli i jej rodzinie?

- Roger mógłby prowadzić bar, a ja zajmowałabym się restauracją i pokojami. Ludzie, którzy chcą kupić hotel, są zdecydowani włożyć w niego dużo pieniędzy. Jest na sprzedaż za bardzo niską cenę.

- A co sądzi twój mąż o przeprowadzce?

- Mówi, że przeniesie się tam, gdzie ja zechcę. On również ma ochotę na zmiany. Pewnie wolałby jechać do Sydney albo Brisbane, ale zdecydował się spróbować szczęścia tutaj. Oczywiście, Pamela i tak jest w szkole z internatem, a Terry będzie mógł uczęszczać do tutejszej jeszcze tylko przez dwa lata, ale tak samo byłoby w Townsville. Też musiałby wyjechać do internatu. Na razie bardzo się cieszy z tej przeprowadzki. Może za dwa lata tutejsza szkoła się rozrośnie i nie będzie musiał nigdzie wyjeżdżać? Oczywiście, Chris i Roger nigdy się nie lubili, ale to właśnie dzięki wam obojgu tak się zapaliłam do tego pomysłu. Od wielu lat tak naprawdę nie widuję brata. Małżeństwo z tobą to najlepsza rzecz, jak mu się mogła w życiu przytrafić. - Uściskała Cassie.

- Dobrze by było mieć cię pod bokiem.

- W takim razie, postanowione. - Romla pociągnęła szminką wargi. - Idziemy. Jestem gotowa.

Szkolną salę gimnastyczną udekorowano jaskrawoniebieską i białą krepiną. Pod sufitem kręcił się pulsujący reflektor i rzucał błyski na tańczących. Ponieważ w sali nie można było pić alkoholu, bar urządzono na zewnątrz, ale w środku, w rogu sali, ustawiono długi stół, na którym stała lemoniada i woda sodowa. Był to pierwszy bal zorganizowany przez latających doktorów. Dochód z niego miał być przeznaczony na zakup nowego sprzętu medycznego. Ludzie zjechali do miasta z odległości wielu kilometrów i wszystkie pokoje gościnne były zajęte. Zajazd Addiego i hotel też zostały wypełnione. Nazajutrz rano miało się odbyć śniadanie na świeżym powietrzu, pod wielkimi gumowcami rosnącymi na brzegu rzeki, która teraz zmieniała się w mały strumyczek.

- Roger nie oderwie się od baru — powiedziała Romla. - Nie namówię go na taniec, nawet gdyby od tego zależało jego życie.

W sali, jak wszędzie w tej części kraju, roilo się od mężczyzn. Żadna kobieta nie podpierała ścian. A Romla, chociaż miała już trzydzieści trzy lata, budziła wielkie zainteresowanie, gdziekolwiek się pojawiała.

Miała rację. Roger nawet nie zajrzał do sali gimnastycznej. Wolał stać na zewnątrz, pić i rozmawiać. Chociaż Blake i Fiona zostali w domu, Steven pojawił się na tańcach i kiedy tylko zobaczył Cassie, natychmiast do niej podszedł.

- Zatańczysz pierwszy taniec ze staruszką?

- Nie widzę tu żadnego staruszka - odparła Cassie, udając, że się rozgląda.

- Pochlebstwem daleko nie zajdziesz. - Wziął ją za rękę, kiedy orkiestra zaczęła grać „Nigdy już się nie uśmiechnę”. - Ja też tak myślałem - powiedział i objął ją w tańcu.

- Co myślałeś? - Cassie już zapomniała, że taniec może sprawiać taką przyjemność.
 - Myślałem, że się już nie uśmiechnę. Codziennie bardzo tęsknię za Jenny, ale udaje mi się czerpać z życia małe przyjemności.
 - Czas naprawdę leczy rany - wyszeptała Cassie. Ostry nóż już nie przeszywał jej serca za każdym razem, kiedy widziała Blake'a.
 - Na przykład taniec z tobą to wielka przyjemność. -Przyciągnął ją bliżej. Z gracją poruszali się po parkiecie, na którym panował coraz większy tłok.
 - Świetnie tańczysz, Steven.
 - A ty jesteś coraz piękniejsza. Podoba mi się twoja nowa fryzura.
 - Dzięki. Zauważyłam, że bardzo się cieszysz, że zostałeś dziadkiem.
 - Jestem uszczęśliwiony! - Roześmiał się. - Fiona i mała Jenny to nasze największe szczęście od czasu... Cóż, Jennifer na pewno kochałaby Fionę i wnuczkę. Zawsze myślała, że to ty zostaniesz żoną Blake'a. Ja też byłem o tym przekonany. Pewnie było to nasze pobożne życzenie. Nie spodziewałem się, że ty i Chris...
- Kątem oka Cassie zauważyła w drzwiach Sama i Olivię. Olivia wyglądała tak, jakby za chwilę miała zacząć rodzić. Uczepiona ramienia męża rozglądała się po sali. Cassie nie mogła dostrzec, czy na jej twarzy odbija się strach czy przyjemność.
- Sam napotkał jej spojrzenie i pomachał ręką.
- Steven podążył za jej wzrokiem.
- Słodkie stworzonko, prawda?
- Stworzonko? Cóż, może tak właśnie należało określić Olivię. Cassie nie potrafiła nabrać do niej sympatii. Zaprosili ich raz na kolację. Żona Sama umiała rozmawiać tylko

o dolegliwościach i trudach ciąży, porównywać brązową i wysuszoną Australię z zielonym Suffolk i narzekać na upał w Augusta Springs. Skarżyła się, że Sam nocuje poza domem ze względu na wyjazdowe badania i że musi tak często gdzieś lecieć bez uprzedzenia.

Cassie zatańczyła z kilkoma mężczyznami, którzy przyjechali do miasta specjalnie na zabawę, a potem podeszła do męża.

- Czy muszę cię prosić o taniec?

- Moja droga, nie tańczyłem od dwudziestu pięciu lat.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś? Nauczyłabym cię. Po prostu rytmicznie przebieraj nogami. - Wzięła go za rękę i poprowadziła na parkiet. Zaczęła nucić melodię, którą grała orkiestra. - Hej, wcale nie jest z tobą tak źle. Nie doceniasz własnych umiejętności - wyszeptała. Przytulił ją mocniej.

Zobaczyła, że Sam podszedł do kierownika orkiestry i o czymś z nim rozmawia. Potem odszukał ją wzrokiem i zaczął, aż taniec się skończy. Wtedy podszedł.

- Teraz moja kolej, Chris - oświadczył i podał Cassie ramię. - Zagrają tak, jak lubimy - wyszeptał. - Gotowa?

- Ostatni raz tańczyłam jitterbuga z tobą, wiele lat temu. Wokalista zaczął śpiewać „Chattanooga Choo Choo”.

Sam obrócił Cassie, odpychając ją od siebie i natychmiast złapała rytm piosenki, chociaż bała się, że nic już nie pamięta. Sam przyciągał ją do siebie i odpychał, kiedy wirowała w tańcu i obracała się wokół niego. Ich stopy odmierzały krok, którego Cassie nie tańczyła od sześciu lat. Lekkie dotknięcie ręki Sama na plecach mówiło jej, czego od niej oczekuje. Zapomniała się w tańcu i radości chwili.

- Sam - wyszeptała, kiedy tańczyli blisko siebie. - Tak się cieszę, że znowu tu jesteś.

- Zmieniłaś się, doktorku - odparł. - Jesteś trochę

łagodniejsza. Nie kłócisz się tak często, ale nadal jesteś zadziorna. Bardzo bym się martwił, gdybyś całkiem zmiękła. Ja też się cieszę, że znowu razem pracujemy. Cieszę się, że znowu z tobą tańczę. To dobrze, że świat jest znów normalny.

Jednak kiedy orkiestra zagrała wolny taniec, Sam uśmiechnął się, uklonił się lekko i wrócił do Olivii, która siedziała na twardym krześle pod ścianą.

Cassie zauważyła, że Romla stoi przy wazie z ponczem i rozmawia z Peterem Teakle'em.

Uświadomiła sobie, że podczas tego wieczora kilka razy widziała ich tańczących razem. Znała Petera, ale nie widywała go często. Większość czasu spędzał podróżując w rodzinnych interesach z jednego miasteczka do drugiego.

Później, kiedy Romla zapytała ją o Petera, Cassie odpowiedziała:

- Jeśli w jakimś miasteczku jest tylko jeden sklep i stacja benzynowa, to możesz być pewna, że to sklep Teakle'a i Robbinsa. Cały interior kupuje od nich towary. Można u nich zamówić wszystko, od nowego łóżka, umywalki czy pieca, po żywność. Dwa albo trzy razy w roku wyrusza karawana - kiedyś były to wielbłądy, teraz ciężarówki - i zatrzymuje się na każdej farmie, dostarczając zamówione towary. Chyba właśnie tę część ich działalności nadzoruje Peter, dlatego tak rzadko go widuję. Rzecz jasna, był na wojnie. Zdaje się, że wrócił dopiero niedawno. Dzisiaj spotkałam go pierwszy raz od wielu lat. Przed wojną każda młoda dziewczyna starała się go zdobyć, ale on żadnej się nie poddał, chociaż, o ile pamiętam, prowadził bardzo bujne życie towarzyskie. Bardzo rzadko bywa w mieście. Pilnie ci dzisiaj asystował, prawda?

- Tak - przyznała Romla. - To było bardzo miłe. Powiedziałam mu, że jestem mężatką, ale to go wcale nie spłoszyło. Zachowywał się bardzo uprzejmie. Kiedy wy-

szliśmy na zewnątrz, przedstawiłam go Rogerowi i powiedziałam, że oboje chcemy się sprowadzić do miasta. Peter stwierdził, że będziemy wspaniałym nabytkiem dla Augusta Springs.

- Więc już się zdecydowaliście? Lubisz trudne zadania, prawda?

Romla objęła szwagierkę.

- Owszem. A poza tym będę mogła zamieszkać blisko ciebie i Chrisa. W życiu nie wystarcza mi jedynie Roger. Chciałabym coś osiągnąć i żyć w pobliżu ludzi, których kocham. Chcę się tu przeprowadzić. Cały dzień myślałam, co mogę zrobić dla Królewskich Palm i dla Augusta Springs. Wprowadzę tu wielkie zmiany, Cassie.

Rozdział czterdziesty czwarty

Mogę wylądować, tylko jeśli oświetlicie lotnisko - mówił Sam do mikrofonu. Horrie powiadomił ich, że nadeszło pilne wezwanie. W budynku radiostacji pojawili się jednocześnie. Strój Cassie był w nieładzie, ponieważ telefon Horriego wyrwał ją ze snu. Była dopiero dziesiąta, ale ona tego wieczora położyła się wcześniej spać.

- Musicie ustawić samochody i ciężarówki tak, żeby oświetlały lądowisko. Na jego obrzeżach ustawcie latarnie. Nie wyląduję, jeśli nie będę widział, na czym siadam.

Niecałe dwieście czterdzieści kilometrów na zachód wydarzył się wypadek. Ciężarówka z bydłem wpadła na samochód osobowy. Kierowca ciężarówki i troje ludzi z samochodu było ciężko rannych.

- Boimy się ich ruszyć - powiedział Cassie rozmówca. Spojrzała na Sama i oddała mu mikrofon.

- Znam te okolice i chyba mogę tam trafić w ciemnościach, ale nie wyląduję, jeśli nie oświetlicie dobrze pasa. - Skinął głową, słuchając rozmówcy. - Wypatrujcie nas mniej więcej za półtorej godziny

- zakończył i odłożył mikrofon. - Gotowa do nocnego lotu? - zapytał Cassie.

- Nie mamy wyboru.

- Zadzwoń tylko do Liv - oznajmił i ruszył do telefonu. Poród się opóźniał. - Jak znam swoje szczęście, dziecko urodzi się właśnie tej nocy.

- Chris jest w domu. Wrócił szybko.

- Wszystko w porządku. Liv czuje, że to jeszcze nie dzisiaj, a poza tym, zna na pamięć numer Chrisa. Do diabła, Cassie, wolałbym, żebyś to ty była przy urodzeniu mojego dziecka.

Wiedziała, że Chris by jej na to pozwolił, ale nie prosiła go o to. Od początku nie było wątpliwości, kto przyjmie dziecko Fiony, chociaż przyjaciółka zgłosiła się na poród do szpitala. Cassie się domyślała, że Olivia woli, żeby to Chris się nią zajął. Kiedyś słyszała, jak żona Sama, nie wiedząc, że ona ją słyszy, mówiła: „Kobiety nie powinny być lekarzami. Nie chcę, żeby jakaś baba wtykała we mnie palce.”

Srebrne światło księżyca odbijało się od samolotu. Gwiazdy błyszczały na atramentowym niebie, ale poniżej nie było żadnego światła. Cassie przypięła się pasem do fotela. Cieszyła się, że nie musi ruszać w tę podróż sama. Zamknęła oczy i usnęła. Obudziła się dopiero, kiedy Sam zawołał.

- Jesteśmy na miejscu. Dobrze oświetlili lądowisko. Świetnie się spisali.

Wyjrzała przez okno i zobaczyła sto pięćdziesiąt metrów niżej jasno oświetlony prostokąt.

- Kilka razy nad nim przelece, żeby się zorientować w sytuacji - powiedział Sam, jakby do siebie.

Spojrzała na niego i zauważyła, że pilot nie ma na głowie kapelusza. Prawdę mówiąc, nowy kapelusz bardziej jej się podobał niż dawna czapeczka baseballowa. Uznała też, że Samowi do twarzy z wąsami.

- Trzymaj się - zawołał.

Podskoczyli kilka razy, ale biorąc pod uwagę warunki,

Cassie stwierdziła, że lądowanie było niemal doskonałe. Trzej mężczyźni stanęli przy samolocie. Jeden z nich wyciągnął rękę do Sama.

- Jestem Bob Mason. To ja was wezwałem. Musicie przesiąść się do mojej ciężarówki. Wypadek zdarzył się ponad trzydzieści kilometrów stąd, ale bliżej nie ma płaskiego terenu.

W pół godziny dotarli do miejsca wypadku. Bydło uciekło z platformy i krążyło po okolicy, tarasując drogę. Wielka ciężarówka przewróciła się na bok. Cassie najpierw podbiegła do niej. Kierowca leżał skulony na fotelu i już nie żył.

Podeszła do samochodu. Przednia szyba i boczne okna były rozbite, a cały przód zmiażdżony w harmonijkę. Kobieta wyrzuciła z fotela dla pasażera. Leżała nieruchomo. Na jej głowie zakrzepła krew. Jeszcze przed zbadaniem tętna, Cassie odgadła, że kobieta nie żyje. Za kierownicą samochodu zobaczyła ciało kierowcy ze skrzyżnym karkiem.

Na ziemi leżała pojękując najwyżej dwunastoletnia dziewczynka. Cassie uklękła obok nieprzytomnego dziecka. Stwierdziła, że tętno spadło do sześćdziesięciu. Dziewczynka zapadła w głęboką śpiączkę. Tempo oddychania wzrosło z normalnej liczby dwudziestu oddechów na minutę do trzydziestu.

- Potrzebuję neurochirurga - powiedziała Cassie. - Sama nic nie poradzę.

Sam dotknął jej ramienia.

- Oczywiście, że poradzisz. Tylko musimy się zastanowić, co robić.

- Trzeba ją zawieźć do szpitala, ale boję się ją poruszyć.

- Jaki mamy wybór? - Sam przyklękł obok, lecz nie patrzył na dziecko, tylko na nią.

- Potrzebna mi porada neurochirurga. Podejrzewam, że to krwiak.

Zamilkli. Skąd wziąć neurochirurga w środku pustkowia, o tysiące kilometrów od wielkiego miasta?

- W ciężarówce mam radiostację na pedał - odezwał się Bob.

- Co to nam da, jeśli w szpitalu nikt nie wie, że chcemy się z nimi połączyć? - zapytał Sam.

Bob podrapał się w głowę.

- Mógłbym pojechać do domu i zadzwonić do szpitala. Powiem im, na jakiej jesteśmy częstotliwości i poproszę doktora, żeby czekał na wasze zgłoszenie.

Sam uniósł pytająco brew.

- I co ty na to?

- Nic lepszego nie wymyślimy - odparła. Pilot zwrócił się do Boba.

- Masz w domu radiostację? Bob skinął głową.

- Dobrze, lekarka ci powie, do kogo zadzwonić. Kiedy dodzwonisz się do neurochirurga, połącz się z nami przez radio. Będziemy na nasłuchu. Będziesz słuchał naszych rozmów, w razie gdybyśmy czegoś potrzebowali, dobrze?

Bob przytaknął.

- Z jakim szpitalem mamy się połączyć, żeby znaleźć odpowiedniego lekarza? - zapytał Sam Cassie.

Jedynym znanym jej osobiście neurochirurgiem był Ray Graham. Podała Bobowi jego nazwisko i nazwę szpitala, w którym pracował.

Zanim Bob skontaktował się z nimi ponownie, upłynęła godzina. W tym czasie Cassie siedziała przy dziewczynce, trzymała ją za rękę i kontrolowała tętno oraz oddychanie.

- Co to jest krwiał? - zapytał Sam.

- Najprościej mówiąc, wynaczyniona krew zbierająca się w jamach ciała.

- A jak to opisać mniej prosto?

Uśmiechnęła się w ciemnościach. Takie opisy nic Samowi nie mówiły. Zastanawiała się, dlaczego w ogóle pyta ją o takie sprawy, ale przez to czuła, że wspólna praca jeszcze bardziej ich łączy.

- Sądzę, że to krwiał podtwardówkowy, połączony z uszkodzeniem mózgu, spowodowany upadkiem lub uderzeniem w głowę. Leczenie polega na usunięciu skrzepu.

Sam skinął głową. Potem nie rozmawiali o niczym ważnym, aż w pewnej chwili pilot powiedział:

- Przez cały czas w Anglii myślałem o tobie i o Augusta Springs. Najgorsze było to, że nie miałem nic do roboty. Budziłem się rano i wiedziałem, że nic się nie wydarzy, chyba że nadejdzie rozkaz wylotu.

Całymi dniami przesiadywaliśmy grając w karty, rozmawiając o domu albo gapiąc się na mgłę i czekając na rozkazy. Olivia to była pierwsza dziewczyna, jaką spotkałem, kiedy dostałem od ciebie list, w którym napisałaś, że wyszłaś za męża za Chrisa. Ona mi go dostarczyła. Pracowała jako ochotniczka Czerwonego Krzyża. To był dla mnie wstrząs. Dopiero po kilku dniach... Liv to ładna dziewczyna, w dodatku spoglądała na mnie tak zalotnie spod tych długich rzęs. Dała mi paczkę gumy i powiedziała: „Kapitanie, my chyba jesteśmy dla siebie stworzeni”. Ledwie się powstrzymałem, żeby od razu się na nią nie rzucić. - Przez chwilę nic nie mówił. Gdzieś w oddali zawył pies dingo. - Karmiła mnie przez następne trzy tygodnie, a potem się pobraliśmy.

Cassie uniosła brew.

- Znałeś ją przed ślubem tylko trzy tygodnie? Skinął głową.

- Byłem wtedy w Dorset, szkoliłem pilotów, tak jak na samym początku wojny. Potem już bardziej mi się to podobało. - Po chwili milczenia zapytał: - Kochasz go, doktorku?

W tej samej chwili usłyszeli trzaski z radiostacji, którą Sam i Bob przynieśli tu uprzednio z ciężarówki. Sam zaczął nastawiać pokrętła, zadowolony, że Bob zostawił im latarkę. Słyszeli wokół porykiwanie krów, ale samych zwierząt nie widzieli.

Rozległ się głos Boba.

- Mam na linii doktora Grahama. Jest przy telefonie. Przyłożę słuchawkę do mikrofonu. Mam nadzieję, że go usłyszycie.

- Doktorze Graham, mówi Cassandra Ciarke z Augusta Springs. - Zaczekała, żeby jej nazwisko dotarło do rozmówcy. Na pewno będzie zaskoczony, słysząc ją po tylu latach, i to w samym środku nocy.

- Słucham, koleżanko? - Głos miał zaspany.

- Jestem tu na pustkowiu - wyjaśniła. Opowiedziała mu o wypadku i opisała stan dziewczynki.

- Wygląda to na krwiak podtwardówkowy - stwierdził Graham.

- Tak też mi się wydaje, ale nie wiem dokładnie, co należy robić.

- Trzeba wywiercić otwór w czaszce, żeby zmniejszyć ucisk i umożliwić odpływ płynu.

- Nie mam tu odpowiednich narzędzi chirurgicznych. Na moment zapanowała cisza, aż wreszcie głos Grahama

dotarł do nich z samego Melbourne.

- Musi tam być jakieś wiertło. Poszukajcie w garażu albo w stodole. Wysterylizujcie je we wrzącej wodzie. Oczywiście, nie może być zbyt duże.

- To chwilę potrwa.

Milczenie przedłużało się. W końcu odezwał się Bob.

- Zaraz przywiozę wiertło, ale zabierze mi to pół godziny. Moja żona znów zadzwoni do doktora Grahama i podłączy go pod radiostację. Zaraz tam będę.

- Wiertło stolarskie? - zawołała Cassie do Sama. Dreszcz przebiegł jej po plecach. Ma wywiercić otwór w czaszce dziecka? - Och, Sam, nigdy czegoś takiego nie robiłam.
 - Spojrzała na ranną dziewczynkę. Jej twarz lśniła bielą w świetle księżyca. Oddech był teraz płytszy i szybszy.
 - Pewnie umrze, zanim Bob tu wróci. Do tego czasu miną już dwie godziny od naszego przybycia.
 - Zrobisz, co będziesz mogła, i to wystarczy. Więcej nie możesz z siebie dać.
- Siedzieli w ciszy, dopóki nie zjawił się Bob z dwoma wysterylizowanymi wiertłami, każdym innego rozmiaru.
- Znów połączyli się z Rayem Grahamem przez radio. Bob poruszał pedałem, a Cassie rozmawiała.
- Krwiaki podtwardówkowe są zwykle obustronne - powiedział Graham.
 - Wiem - odparła. - Ale po której stronie mam wywiercić otwór?
- Niemal zapomniany głos Raya Grahama dobiegał z odległości setek kilometrów.
- To nie ma znaczenia. Jeżeli czegoś się nie zrobi, chora i tak umrze. Niech pani spróbuje wywiercić otwór z jednej strony, a jeśli nie pokaże się krew, to z drugiej.
- Cassie spojrzała na Sama, który unieruchomił latarkę, żeby mieć wolne ręce.
- Przytrzymaj mocno jej głowę - poleciła. Wzięła głęboki oddech i słuchając wskazówek Grahama zaczęła operację.
 - Trzeba wykonać małe nacięcie skóry. Zrobiła to.
 - Ma pani retraktory?
 - Tak.
 - Proszę odciągać skórę, aż ukaze się kość. Powinna połyskiwać na białą.

Nawet w ciemności nocy dostrzegła lśniąca powierzchnię kości czaszki. Latarka świeciła wprost na nią.

- Teraz proszę wziąć wiertło i wolno przewiercić otwór głębokości około jednego centymetra.

Z głębi gardła Sama wydobył się zduszony dźwięk. Głos Grahama przedzierał się przez trzaski.

- Spod wiertła będą się wydobywały wióry, tak jak przy wierceniu otworu w drewnie. Będą wymieszane z białą, wodnistą substancją, pi^ominającą gęstą galaretę.

- Właśnie to widzę - wymamrotała Cassie. - Trzymaj jej głowę nieruchomo, Sam.

Pilot mocno trzymał dziecko, ale spoglądał na twarz Cassie.

- Dotarłam do krwiaka! - krzyknęła nagle. - Czuję się, jakbym natrafiła na żyłę złota!

- Wygrała pani - powiedział Graham. - Ucisk się zmniejszy i za kilka minut poprawi się oddech i tętno rannej. Wtedy będzie można ją ruszyć i przewieźć do szpitala.

- Dziękuję, doktorze - odparła Cassie. Płyn nadal wypływał przez nawiercony otwór.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Jeśli będzie pani kiedyś w Melbourne, proszę do mnie wpaść.

Dobra robota, koleżanko.

Nie poznał jej. Jej imię nic mu nie mówiło.

- Możesz się rozłączyć - powiedziała Bobowi. - Teraz możemy przewieźć ją do samolotu i zabrać do szpitala.

- Co zrobimy z tamtymi, z ciałami? - zapytał Bob.

- Zabierzemy je ze sobą - odparł Sam, wstając. - Mają dokumenty? Wiemy, kogo zawiadomić?

Bob podał mu jakieś papiery.

- Znaleźliśmy to przy kierowcy ciężarówki. Ten portfel należał do właściciela samochodu. Ci dwoje to pewnie rodzice dziewczynki. Biedne dziecko.

Sam wziął papiery i spojrzał pytająco na Cassie. Skinęła głową. Przyklęknął, podniósł ranną i ułożył na kocu na tyle ciężarówki. Cassie usiadła obok niej i położyła sobie głowę dziewczynki na kolanach.

- Ciekawe, czy ma krewnych. Pomyśl tylko, co to dziecko przeżyje, kiedy się obudzi i dowie, że jej rodzice nie żyją. Przejrzyj te dokumenty i dowiedz się, skąd pochodzili.

Sam zerknął na prawo jazdy.

- Z Alice Springs. Trzeba zawiadomić tamtejszą policję. Może posterunkowy Melby to zrobi.

Kiedy Sam połączył się z Horriem, żeby zamówić ambulans, dowiedział się, że Olivia poszła do szpitala i jest z nią doktor Adams.

- Może ja przejmę stery - zażartowała Cassie. - Ty będziesz się trząść z nerwów.

Jednak Sam leciał prosto jak strzała i miękko wylądował na jasno oświetlonym pasie. Jasnoróżowa zorza znaczyła niebo na wschodzie.

- Pojadę za ambulansem ciężarówką - zapowiedział, jednak zaraz wyprzedził karetkę.

Cassie dopilnowała, żeby odpowiednio zajęto się pacjentką, i poszła do poczekalni, gdzie krążył niespokojnie Sam.

- Pomyślałam sobie, że przyda ci się towarzystwo.

- Mogłabyś sprawdzić, jak ona się czuje? Czy już coś się dzieje?

Cassie poszła do sali operacyjnej. Zajrzała przez małe okienko i zobaczyła siostrę Frances z noworodkiem na rękach. Pielęgniarka owinęła dziecko w kocyk i podała Olivii.

Cassie wróciła do poczekalni.

- Wygląda na to, że Olivia dobrze to zniosła. A ty masz już dziecko, tylko nie wiem, czy to chłopiec, czy dziewczynka.

Sam wydał głośny okrzyk, chwycił Cassie i nie wypuszczając jej z uścisku wirował dokoła wołając:
- Jestem ojcem!

Ranna dziewczynka fizycznie szybko wracała do zdrowia, ale załamała się emocjonalnie. Kiedy usłyszała o śmierci rodziców, przestała jeść i po czterech dniach trzeba było karmić ją dożylnie. Nie odzywała się, tylko pustym wzrokiem patrzyła w przestrzeń.

Jej wuj i ciotka mieszkali w Tennant Creek i kiedy dziewczynkę można już było wypisać ze szpitala, jej wuj

- chudy ja tyka - przyjechał do Augusta Springs. Popatrzył na milczące dziecko.

- Mam ośmioro własnych - powiedział. W zębach trzymał wykałaczkę. - Nie wiem, jak wykarnię jeszcze jedno.

- Jednak pochylił się i czule ucałował dziecko w czoło. Dziewczynka uśmiechnęła się blado.

- Dzień dobry, wujku - wyszeptała.

Wziął ją na ręce i zaniósł do ciężarówki, gdzie Cassie przykryła ją kocem i podłożyła poduszkę pod głowę.

Oczami pełnymi łez patrzyła na odjeżdżający samochód.

Sam, który oderwał się od nowo narodzonego syna, zobaczył ją, jak stała na szpitalnych schodach i ocierała łzy. Chciał podejść i ją pocieszyć, ale zanim doszedł do drzwi, Cassie zniknęła.

Tydzień później, na adres bazy latających doktorów przyszedł do niej list. *

kiedy obudziłem się rano, po tej operacji na odległość w środku nocy, wciąż brzmiało mi w głowie „Cassandra Ciarke”. Wiedziałem, że znam to nazwisko. To nie możliwe,

żeby w Australii istniały dwie tak samo się nazywające lekarki. I wtedy przyszły do mnie wspomnienia. Minęło już tyle czasu, ale mam nadzieję, że przyjmiesz moje przeprosiny. Wcale nie jestem dumny z tego, jak wtedy wobec Ciebie postąpiłem. Bałem się, że urządzisz scenę, a nigdy nie umiałem zachować się w takich sytuacjach.

W końcu rozwiodłem się z żoną i ożeniłem się powtórnie. Mam dwuletniego syna, który jest radością mojego średniego wieku. Moja wnuczka również ma dwa lata.

Często się zastanawiałem, co się z Tobą stało.

Teraz przynajmniej wiem, że wciąż pracujesz zawodowo. Tamtej nocy wykonała Pani wspaniałą robotę, Pani Doktor. Zawsze wiedziałem, że jesteś materiałem na doskonałego lekarza.

Jeśli będziesz w Melbourne, zadzwoń do mnie. Umówimy się na drinka.

Raymond J. Graham

Tak, wypijemy za dawne czasy.

Cassie podarła list na strzępy i wyrzuciła wysoko w powietrze. Z uśmiechem zdała sobie sprawę, że wreszcie pogrzebała wspomnienie o Rayu Grahamie.

Rozdział czterdziesty piąty

Czuję się tak, jakby w życiu nie czekało mnie nic więcej, oprócz typowych kobiecych zadań - powiedziała Fiona.

- I cóż w tym złego? Masz dwoje dzieci... i to ślicznych.

- Cassie, kochana, nie oceniasz ich obiektywnie. Zresztą ja też je uwielbiam. Wyszłam za mąż za jedyne go człowieka, jakiego kiedykolwiek kochałam, i jestem niebywale szczęśliwa. Ale czy to wszystko? Czy mam żyć wyłącznie życiem męża i dzieci?

Cassie przyglądała się uważnie przyjaciółce. Siedziały na werandzie w Tookarindze i popijały mrożoną herbatę. Badania już skończyły i Sam zapowiedział odlot za pół godziny. Jeśli nie było to absolutnie konieczne, nie zostawali po badaniach na noc, ponieważ Olivia życzyła sobie, żeby Sam spędzał wszystkie noce w domu. Cassie podejrzewała, że bardzo się o to pokłócili. Sam niemal ją przeproszał, kiedy prosił, żeby jak najrzadziej przedłużali wyjazdy.

- Pewnie jesteś cały czas zajęta, masz pod opieką dzieci, Blake'a...

- ...i Stevena. Blake połowę czasu spędza poza domem, kupuje ziemię i bydło, dogląda innych farm, realizuje swoje

marzenie. Od kiedy kupił helikopter, prawie go nie widuję. Teraz zaczął mówić o kupnie awionetki. Nie chodzi o to, że czuję się samotna, bo mam czym się zająć. Nie zrozum mnie źle. Lubię swoje zajęcia, cieszę się życiem, ale mam wrażenie, że zgubiłam gdzieś część siebie samej. Już nie robię nic dla siebie. Zawsze tylko dogadzam innym, pracuję dla nich.

- To się chyba nazywa opieka nad rodziną - powiedziała z uśmiechem Cassie. - Zawsze byłaś bardzo opiekuńcza, jeszcze kiedy pracowałaś jako nauczycielka.

- Chciałabym znowu uczyć. To mi sprawiało wielką przyjemność. Latanie też, ale nawet się nie umywało do nauczania. Tak bardzo się cieszyłam, kiedy widziałam, jak oczy dziecka się rozjaśniają, bo przyszedł mu do głowy jakiś pomysł albo pytanie. Tęsknię za tamtymi czasami. Bardzo chciałabym pomagać aborygenom. Nie mam czasu ani energii, ale pragnęłabym założyć dla nich szkoły przy misjach. Marzę o tym.

- Ale pamiętaj, co się stało z Marianną i Anną - odparła Cassie. - Wykształciłaś je, nauczyłaś, jak żyć w świecie białych ludzi, i co zrobiły, kiedy skończyły szkołę? Wróciły do swojego plemienia. Widuję je kilka razy w roku. Nic nie robią, noszą zniszczone ubrania i wyglądają na całkiem zadowolone. Fiona westchnęła.

- Wiem. Podejrzewam, że życie wśród białych dało im popalić.

- Nie tylko o to chodzi - zaprotestowała Cassie, nalewając sobie herbaty z dzbanka. - Odziedziczyły wiele przyzwyczajień. Aborygeni nie znoszą mieszkać w domach, które dla nich budujemy. Dewastują je. W przeciwieństwie do nas nie przykładają wagi do własności. Wolą mieszkać pod drzewami, na świeżym powietrzu, być częścią wszechświata. Nie rozumieją, dlaczego zamykamy się w ciasnych klatkach...

- A my nie rozumiemy, dlaczego nie chcą naszych wygod.
- Nie mają też takiej wolności jak my. Na przykład nie mogą kupować alkoholu.
- Jesteś temu przeciwna? - zapytała Fiona, przeczesując dłonią przycięte modnie włosy.
- W zasadzie nie mam sprecyzowanego zdania na temat alkoholu. Ale przecież sama go używam i wierzę, że każdy powinien mieć prawo wyboru, nawet jeśli sobie w ten sposób szkodzi. Traktujemy aborygenów jak trochę opóźnione w rozwoju dzieci, które nie są w stanie za siebie odpowiadać. Nie powinniśmy zabraniać im pić tylko dlatego, że niektórzy z nich mają skłonność do upijania się do nieprzytomności. Wielu białych robi to samo. Osobiście uważam, że przyczyny są raczej fizyczne, a nie psychologiczne. Nie chcę przez to powiedzieć, że ludzie nie piją, kiedy są przygnębieni, chociaż to też jest argument w tym sporze. Zresztą ja także jestem przeciwna szkodom, jakie wyrządza alkohol. Jednak głosowałabym za prawem aborygenów do picia, jeśli tego chcą.
- Pozostaje pytanie, dlaczego aborygeni mieliby chcieć osiedlać się w naszych miastach, skoro są tam spychani na margines, wyśmiewani i pogardzani?
- Więc dlaczego chcesz ich kształcić?
- Żeby zmienić nastawienie społeczeństwa. Któregoś dnia niektórzy z nich dowiodą wątpliwym, że też są inteligentni i potrafią odnieść sukces.
- Ale czy oni tego chcą?
- Chociaż i nam, i im samym może się to nie podobać, oni również muszą się zmieniać, bo inaczej przepadną. A ja bym chciała im w tych zmianach pomóc.
- Jesteś urodzoną nauczycielką - powiedziała Cassie wstając, - Wydaje ci się, że kształcenie ludzi może ocalić świat.

Fiona uśmiechnęła się.

- Żałuję, że nie widzimy się częściej. Dwa razy w miesiącu to za mało. Brakuje mi ciebie i zazdrozczę twojej nowej przyjaciółce, Romli. Nie tylko tego, że spotykacie się, kiedy tylko chcecie, ale również tego, że ona jest taka jak ty, robi coś na własny rachunek i spełnia się.

- Pomaga jej w tym mąż. Przecież to wspólne przedsięwzięcie.

- Kogo chcesz oszukać? Byłam w mieście i widziałam, czego dokonała. Hotel stał się taki elegancki. A ta cielęcina w sosie koperkowym! Nie przesadzam! Czegoś takiego jeszcze u nas nie było.

- Nie wyobrażam sobie, żeby taka restauracja mogła się utrzymać w Augusta Springs.

- W takim razie korzystaj z okazji, póki czas.

- Sprowadziła szefa kuchni z San Francisco! - zawołała Cassie. - Wyobrażasz sobie! Każdy pokój urządziła inaczej. Pokój jej i Rogera jest w drugim skrzydle, a po przeciwnej stronie korytarza są dwa pokoje dzieci. Romla uwielbia swoją nową pracę i mówi, że już nigdy nie ugotuje żadnego posiłku. Rzecz jasna, najwięcej pieniędzy przynosi im bar.

- Tak zawsze bywa. Jej mąż nic innego nie robi, tylko zajmuje się barem. I zdaje się, że przepija tam wszelkie profity.

- Lepiej, żeby się opanował. Hotel nie należy do nich. Oni tylko nim kierują.

- Cóż, pomysł jest Romli, a ja jej go zazdrozczę. Nie zazdrozczę jej tylko męża. Ale za to ma udanego syna.

Wizyty u Fiony sprawiały Cassie większą przyjemność, kiedy Blake'a nie było w domu i nie musiała go spotykać. Kilka razy, kiedy już chciał zrezygnować z ćwiczeń ze sztucznym ramieniem, Fiona wezwała ją telefonicznie; Cassie przylatywała do Tookaringi i awanturowała się z Blake'em.

To się już skończyło, ale pozostało nieprzyjemne wspomnienie.

Objęły się z Fioną ramionami i poszły do samolotu, który stał na tyłach zabudowań gospodarczych. Cassie była ubrana w swój zwykły strój roboczy - gabardynowe spodnie, bawełnianą bluzkę, buty na podwyższonym obcasie i kapelusz. Pod szyją zawiązała chustkę, która wchłaniała pot.

Fiona, podobnie, miała na sobie spodnie, ale na nogach nosiła sandały, a jej bluzka była uszyta z lejącego się jedwabiu. Nawet w spodniach, drogich i szytych na miarę, wyglądała bardzo kobieco.

- Chyba żadna żona farmera nie wygląda tak elegancko jak ty - powiedziała Cassie.

- Blake lubi, jak się tak ubieram. Przyzwyczaiałam się i noszę eleganckie stroje, nawet kiedy jego nie ma w domu. Chociaż muszę przyznać, że kiedy wyjeżdża, nie zawsze przebieram się do kolacji w sukienkę.

Cassie pomyślała, że jest jeszcze jeden powód, dla którego Fiona może codziennie wyglądać tak pięknie. Zatrudniała dwie nianie do opieki nad dziećmi. Zawsze po porodzie szybko odzyskiwała szczupłą figurę i Cassie rozumiała, dlaczego Blake jest z niej taki dumny.

Sam nadszedł z przeciwnej strony.

- Właśnie rozmawiałem z Hornem - oznajmił. - Wzywają nas.

- Jestem gotowa. - Pocałowała Fionę w policzek.

- Ambrose Pulham został zabity.

Cassie doskonale pamiętała podbite oczy jego żony, Sylwii. Widziała je nieraz, kiedy na krótko zatrzymywali się u nich w drodze na badania, a Sylwia była w ciąży. Wszystkie pięcioro dzieci wpadało w przerażenie; kiedy zbliżał się ojciec. Ostatnim razem wezwano ich do Pulhamów, ponieważ

najmłodsze dziecko spadło z krzesła, złamało sobie nos i nabawiło się wstrząsu mózgu. Musieli odwieźć malca do szpitala. Pozostałe dzieci zaczęły głośno płakać, kiedy zobaczyły, że matka wsiada z ośmiomiesięcznym braciszkiem do samolotu. Cassie nie uwierzyła ani na chwilę, że dziecko spadło z krzesła.

Kiedy rozmawiała o tym przypadku z Chrisem, mówił to samo, co wiele lat przedtem.

- Nic na to nie poradzimy, Cassie. Nie możemy się wtrącać do spraw rodzinnych. - Po namyśle dodał:

- W czasie pokoju jest tyle samo ofiar, co na wojnie.

Kiedy Cassie próbowała rozmawiać z Sylwią, kobieta w kółko powtarzała, że dziecko upadło, a ona ma podbite oko, ponieważ wpadła na drzwi, czy to nie śmieszne? Albo potknęła się w ciemnościach stodoły. Taka z niej niezdara. Nie, dzieci wcale nie bały się ojca, tylko nie są przyzwyczajone do obcych i były nieco onieśmiałe obecnością Cassie.

A teraz najstarszy syn, Dan, zabił ojca.

Zapadał fioletoworóżowy zmrok, kiedy wylądowali na farmie Pulhamów, podskakując na kamienistym gruncie. Pulham nigdy nie utrzymywał pasa do lądowania w dobrym stanie. Żaden samochód nie wyjechał, żeby ich przywitać. Sam wziął torbę Cassie i przeszli piechotą niemal kilometr dzielący ich od domu.

- Tutaj wszystko zawsze wygląda i brzmi tak samo -powiedziała Cassie, słuchając porykiwania bydła i szczebiotu ptaków, szykujących się do snu w gałęziach drzew.

- Spodziewałaś się, że przyroda okryje się żałobą?

- Chyba tak. - Cassie musiała biec, żeby nadążyć za długimi krokami Sama.

Sylwia czekała na nich na werandzie, obejmując ramieniem słupek. Na sukience miała czysty fartuch. Do oka przykładała kawałek krwistego mięsa. Otworzyła siatkowe drzwi i ruchem głowy pokazała na pokój.

- On jest tam. - Nie poszła za nimi do sypialni. Ambrose'owi Pulhamowi strzelono prosto w głowę.

Jeden

strzał z bliskiej odległości całkowicie rozstrzaskał mu czaszkę. Ciało leżało na łóżku, mózg rozprysnął się na zagłówek.

Żona stała nad kuchnią. Jej lewy policzek napuchł i zsiniał. Smażyła na patelni bekon i ziemniaki.

- Dzieci zbierają jajka. Za chwilę przyjdą. Zjecie z nami kolację?

Sam usiadł za stołem, ale Cassie nadal stała w drzwiach, zdumiona postawą Sylwii.

Kobieta spojrzała na Sama, sięgnęła po kubek i naląła mu herbaty.

- Cukru?

- Nie, dziękuję. Usiadła naprzeciw niego.

- Postawię jeszcze dwa nakrycia.

- Co się stało? - zapytała Cassie z wysiłkiem. Miała wrażenie, że to wszystko jej się śni. '

- Ja wam powiem - odezwał się chłopięcy głos. Dan wszedł tylnymi drzwiami, niosąc koszyk jaj. Za nim podążały młodsze dzieci. Żadne nie wydawało się zmartwione. - To ja go zabiłem.

Dał koszyk matce i spojrzał na Sama. - Umyjcie ręce - poleciła Sylwia. Dzieci stłoczyły się wokół zlewu.

- Opowiesz nam wszystko? - zapytał Sam. - Będziemy musieli powiadomić policję w Augusta Springs.

- Ojciec kazał mi oczyścić broń, tamtą strzelbę w sypialni.

Potem miałem ją załadować. Wypaliła, kiedy... - Zaciął się i umilkł. Sylwia ponagliła go wzrokiem. - Wypaliła, kiedy ją ładowałem - ciągnął chłopiec. - Nie wiedziałem, że nie można pociągać za spust. Sam spojrzał znacząco na Cassie. Czternastoletni chłopak z farmy w środku Australii nie umiałby obchodzić się z bronią? Pilot odchylił się w tył, tak że przednie nogi krzesła zawisły w powietrzu. - Lepiej będzie, jeśli powiesz, że to w samoobronie. Łyżka wypadła Sylwii z ręki i z brzękiem spadła na podłogę.

- Zaczekajcie, zaraz dam dzieciom kolację. Kiedy będą jadły, pójdziemy do pokoju i porozmawiamy.

- Ja też z wami pójdę, mamó - odezwał się Dan. Kiwnęła głową. Jej spuchnięte oko zaczynało fioletowieć. Kiedy we czwórkę usiedli w pokoju, Sylwia zapytała:

- Myślicie, że policja w to nie uwierzy, tak?

- Ani przez chwilę - odparł Sam.

Cassie przysiadła na brzegu kanapy. Miała ochotę otoczyć ramieniem i matkę, i syna.

- Pani wiedziała, prawda? - zwróciła się Sylwia do Cassie. - Domyśliła się pani, kiedy musiałam odwieźć małego do szpitala. Wiedziała pani, że wcale nie spadł z krzesła.

- Tak podejrzewałam - przyznała Cassie. - Często też widywałam panią z podbitym okiem.

- Zdejmij koszulę - poleciła Sylwia synowi. - Pokaż im plecy.

Całe plecy chłopca były poznaczone białymi bliznami. Niektóre pochodziły sprzed wielu lat, a z jednej wciąż jeszcze sączyła się krew.

- O, mój Boże - szepnęła Cassie. - Daj, zdezynfekuję ci to.

- Robił to, tylko kiedy pił - wyjaśniła Sylwia prze

praszającym tonem. - Chowaliśmy mu alkohol albo wylewaliśmy od zlewu. Wściekał się, ale nas nie bił. Bił nas tylko po pijanemu.

- Jak często się to działo? Sylwia wzruszyła ramionami.

- Za każdym razem, kiedy wypił.

- Bił mamę, aż zalewała się krwią - powiedział Dan. Głos zaczął mu się łamać. - A potem ją gwałcił. Sylwia zgromiła go wzrokiem.

- Skąd ty w ogóle wiesz, co to znaczy?

- Mamo, nie jestem głupi. Wiedziałem, co ci robi, kiedy płakałaś i krzyczałaś. Rano widziałem krew na prześcieradle. Słyszałem, jak skomlesz jak mały piesek. W takie noce musiałem uciekać z domu. Spałem w stodole.

Sylwia wstała z kanapy i podeszła do syna. Ukłękła przy nim i przytuliła jego głowę do piersi.

- Och, synu, myślałam, że nic nie wiesz. Wyrwał się z uścisku.

- Mamo, ty nigdy nie starałaś się go powstrzymać. Nawet kiedy bił mnie. Nawet dzisiaj, kiedy zaczął bić Susie. Nigdy, ani razu nie starałaś się mu przeszkodzić.

Sylwia zaczęła płakać.

- Zaczął się awanturować zaraz po obiedzie - mówił Dan do Sama. - Pomyślałem sobie, że więcej mu na to nie pozwolę. To nie jest sprawiedliwe. Mama przez całą zeszłą noc płakała i krzyczała, żeby jej tego nie robił. Poszedłem do stodoły, ale nie mogłem spać, tak się trząsałem. Powiedziałem sobie, że więcej na to nie pozwolę. Więc kiedy usłyszałem, że znowu krzyczy, zdjąłem strzelbę ze ściany, otworzyłem drzwi do sypialni i zobaczyłem, że to nie mamę bije, tylko Susie. - Susie miała dopiero sześć lat. - Nie obchodzi mnie, co ze mną zrobią. Zastrzeliłem go i cieszę się z tego.

Sylwia zaczęła nieopanowanie szlochać.

- Ja też się cieszę - wyznała i powiedziała do Sama: - Chyba nie wyślą go do więzienia, prawda? Nie ma jeszcze szesnastu lat. Nie wyślą go do więzienia, co?

- Postaram się coś na to zaradzić - odparł Sam. - Ale wydaje mi się, chłopcze, że musimy jeszcze raz przemyśleć tę twoją historyjkę. Powiedzmy, że to twój ojciec czyścił strzelbę. Każ przysiąc wszystkim dzieciom, że tak będą mówiły. Wtedy policja nic nie udowodni. Pewnie nawet nie będą chcieli wokół tego węszyć. Kiedy wrócimy, powiem, że wasz ojciec sam się zabił, czyszcząc broń. To się często zdarza. Przyniosę tu specjalny worek i zabierzemy ciało ze sobą. Może nawet nikt tu nie przyjedzie i nie będzie was wypytywać. - Spojrzał na Cassie. - Zgadzasz się?

- Oczywiście.

Sam, jesteś wspaniały, pomyślała ciepło.

- Nie wyślą takiego młodego chłopca do więzienia, prawda? - zapytała znowu Sylwia. - Potrzebuję go tutaj, do pomocy w gospodarstwie. To teraz jedyny mężczyzna w rodzinie.

Przecież on jeszcze nie jest mężczyzną, pomyślała Cassie. To chłopiec. Chłopiec, któremu na całe życie zostaną blizny z dzieciństwa, i to nie tylko te na plecach.

Sam przyniósł worek na ciało i włożył do niego zwłoki Ambrose'a Pulhama.

- Czy przysłać wam tu kogoś, żeby pobyl z wami kilka dni? - zapytała Cassie.

- Nie. - Sylwia potrząsnęła głową. - Nie potrzebujemy nikogo.

Sam odciągnął Cassie na bok.

- Chcesz tu zostać na noc, czy wracać? Pamiętaj, że teraz mamy światła na lotnisku.

- Zostawmy ich w spokoju.

Sam zaniósł zwłoki do samolotu. Zapadły ciemności. Gwiazdy migotały na aksamitnym niebie.

- Jest tak zimno, czy ja mam dreszcze?

- Jest chłodno - odpowiedział. Chciał już wsiąść do samolotu, ale zobaczył, że Cassie przystanęła i spogląda na niego, więc się cofnął.

Cassie z zaskoczeniem usłyszała własny cichy szloch. Sam otoczył ją ramieniem i przytulił do piersi.

- Co się z nimi stanie? Sam pachniał tak miło.

- Może wreszcie zaczną żyć - powiedział. Wyjął z kieszeni chusteczkę i podał ją Cassie.

Część IV
1948 -1950

Rozdział czterdziesty szósty

W czterdziestym ósmym roku Cassie asystowała przy porodach czterech sióstr Martin, które powiły synów. W zeszłym roku siostronom urodziły się dwie córki, więc teraz wszystkie już były matkami.

Susza ciągnęła się czwarty rok.

Wielu farmerów straciło bydło i domy, przeprowadziło się do miast i miasteczek, podjęło inną pracę, która da im utrzymanie do czasu, kiedy będą mogli wrócić na swoją ziemię.

Olivia, w asyście Chrisa, urodziła drugie dziecko, córkę. A Cassie pomogła przyjść na świat kolejnemu dziecku Fiony. W ciągu ostatnich czterech lat przyjaciółka urodziła troje dzieci, w tym dwie córki. Cassie nie wiedziała, że Sam zaproponował Olivii, żeby ochrzcili córkę jej imieniem.

- Nazywalibyśmy ją Sandy - namawiał żonę.

- Po moim trupie - zaprotestowała Olivia.

- Dobrze - uległ pilot.

W końcu nazwali dziecko Samantha. Natomiast córka Fiony otrzymała imię Cassie.

Augusta Springs stało się ponadtrzytysięcznym miastem. Przybył kościół metodystów i dwie nauczycielki. Rozkwitło

życie towarzyskie, którego królową została Romla. Zyskała opinię arbitra etykiety. Dla miejscowych dam urządzała herbatki, na których podawano kanapeczki z ogórkiem i słuchano kwartetu smyczkowego. Kobiety spotykały się w eleganckiej restauracji hotelu Królewskie Palmy. Zajazd u Addiego nadal przyciągał tłumy gości, ale restauracja Romli zasłynęła z delikatnych kotletów cielecych, kurczaków przyrządzanych według francuskich przepisów, jagnięciny z curry i wołowiny a la Stroganow. Był to lokal drogi i elegancki. Kelnerki nosiły schludne, perłowszmare suknie, które jednak miały głębokie dekolty, ciasno opinały biusty, a wszystkie pracujące tu kobiety miały je dość wydatne, i podkreślały zgrabne biodra.

- Każda z twoich kelnerek wygląda jak gwiazda filmowa - mówiła zdumiona Cassie. - Gdzie ty je znajdujesz?

Romla tylko się uśmiechała.

Sprowadziła mistrza cukierniczego, który przyrządzał doskonale desery. W Augusta Springs nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziano. Romla nie podawała żadnych smażonych potraw. Była zbyt inteligentna, żeby usunąć z menu steki, lecz jej posiłki były zawsze ucztą nie tylko dla żołądka, ale i dla oka.

Wyłożona ciemnozielonymi dywanami sala urządzona była we fiołkowej tonacji i oświetlona na różowo. Wszyscy goście wyglądali tu bardzo korzystnie. Nawet przy śniadaniu, kiedy nie paliły się światła, ludzie prezentowali się lepiej niż w ostrym słońcu australijskiego interioru.

Romla wydawała przyjęcia. Otwierała podwoje hotelu dla balów podczas tygodnia wyścigów i wynajmowała sale na różne imprezy. Podjęła się zbiórki pieniędzy dla wiecznie cierpiących na ich niedostatek latających doktorów. Organizowała zawody sportowe i bale kostiumowe, pikniki i przejażdżki wielbłądem, wyjazdy na kolacje pod księżycem

na okoliczne wzgórza. Wprowadziła radość do Augusta Springs, rozbudziła życie nocne i wpoila miejscowym paniom zasady życia towarzyskiego.

Jednak tkwił w jej boku pewien cień.

Mąż.

Narzekał na brak rozrywek w Augusta Springs, więc w końcu wymyślił własne. Żaden wieczór nie obył się bez poważnej gry w pokera na tyłach baru w Królewskich Palmach. Trzy albo cztery razy w tygodniu za zielonym stolikiem zasiadali tam najbogatsi ludzie w mieście. Przychodził tam sędzia, ilekroć zjawiał się w mieście. Ludzie tacy jak ojciec Jamesa Teakle czy stary Stanley, którego farma była jedną z największych w kraju, przyjeżdżali do Augusta Springs przynajmniej dwa razy w tygodniu, żeby dołączyć do gry. Dla większości miejscowych stawki były zbyt wysokie, więc woleli grać w rzutki u Addiego. Mężczyźni odwiedzający bar w Królewskich Palmach zawsze płacili rachunki. Należeli do tych, których stać na nałogi. Jedynym, który zasiadał regularnie za stolikiem, chociaż zupełnie nie było go na to stać, był Roger.

- Bar to jedyne miejsce, które przynosi dochód - mówiła Romla do Cassie. - Po dwóch latach wyrówna wszystkie straty, tak przynajmniej twierdzą właściciele. Bar to nasze koło ratunkowe. Ale chociaż przynosi dochody, a w dodatku nic nie wydajemy na jedzenie, bo dostajemy je tu za darmo w ramach zapłaty, nie mamy ani centa na inne wydatki.

Cassie rozmawiała o tym z Chrisem.

- Nic z tego nie rozumiem. Bar jest zawsze pełny. W restauracji roi się od gości.

- Może Roger przepija cały zysk — powiedział Chris. - Zawsze wydaje się trzeźwy, ale wiem, że nie tylko uprawia hazard, ale również ostro pije.

Cassie i Chris kilka razy w tygodniu jadali kolacje

w hotelu, nie tylko dlatego, że jedzenie było wyśmienite, ale również dla spotkań z Romlą i Terryem. Roger przeważnie nie chciał opuszczać baru, więc tym bardziej cieszyli się towarzystwem jego żony. W poniedziałki, kiedy Romla powierzała kontrolę nad restauracją szefowi sali, razem z synem przychodziła na kolację do brata. A w sobotnie popołudnia, jeśli Cassie nie wezwano do nagłego wypadku, zabierała Terry'ego do kina, grała z nim w domino albo zabierała go na piesze wycieczki wzdłuż wyschniętej rzeki.

Coraz częściej jednak Terry spędzał niedziele z Jimem Teakle'em. Jim przyjeżdżał do miasta częściej niż przedtem i, co bardzo zaskoczyło Cassie, zaprzyjaźnił się z Chrisem, ku jego radości. Chris znów zaczął strzelać do rzutków i spędzał z nowym przyjacielem niedzielne przedpołudnia. Zabierali ze sobą Terry'ego i uczyli go tego sportu. Potem Jim doszedł do wniosku, że wszyscy chłopcy powinni umieć żyć pod gołym niebem i urządził Terry'emu wyprawy na biwak. Kupił mu śpiwór i podczas weekendów w buszu uczył go, jak smażyć placki nad ogniskiem, parzyć mocną kawę i odczytywać ślady na piasku. Chris często im towarzyszył.

- To pierwszorzędny kumpel - zachwycił się po powrocie. - Nie pamiętam już, kiedy miałem prawdziwego przyjaciela. Chyba jeszcze w szkole.

Jim Teakle był nie tylko pierwszorzędnym kumplem. Romla nauczyła go, jak być dżentelmenem. Sama przyznawała, że od lat nie widziała prawdziwego dżentelmena.

Zaczął się pojawiać na poniedziałkowych kolacjach u Adamsów, bez względu na to, czy przychodził na nie Roger. Zresztą mąż Romli zwykle wybierał bar. Widać było, że Romla stara się go nakłonić do wizyt u brata, ale nawet kiedy dał się na nie zaciągnąć, szybko zjadał

i biegł z powrotem do hotelu, nie starając się ukryć znudzenia toczącą się przy stole rozmową i rozbrzmiewającym wokół śmiechem.

Cassie wiedziała, że Romla z czasem przestała namawiać męża do tych odwiedzin, bo całkiem przestał przychodzić. Stałymi uczestnikami poniedziałkowych spotkań stali się ona, Chris, Romla i Jim Teakle, który teraz pojawiał się regularnie. Sam zaczął nawet przyrządzać kolacje w kuchni Cassie, kiedy ta później wracała z badań w terenie albo była nagle wzywana do chorego. Terry uwielbiał Jima, który rozmawiał z chłopcem jak z dorosłym, zadawał mu pytania i z powagą słuchał odpowiedzi.

- To dobrze, że Terry ma w otoczeniu mężczyznę, na którym może się wzorować - powiedziała pewnego poniedziałku Romla, obserwując, jak Cassie obiera ziemniaki. - Roger chyba całkiem zrezygnował z roli ojca. Prawie nie rozmawia z Pam, kiedy córka przyjeżdża do nas na święta. W ogóle nie dba o dzieci.

- Tylko o dzieci? - zapytała Cassie, soląc wodę na ziemniaki.

Romla przez chwilę milczała. Potem w kącikach jej powiek ukazały się łzy.

- Nie. O mnie też wcale nie dba. Zachowuje się tak, jakbym nie istniała. Nigdy razem nie jadały. Kładzie się tak późno spać, że nigdy nie wstaje na wspólne śniadanie. Wydaje mi się, że codziennie ma kaca. Ale nigdy nie widziałam go pijanego. Ten bar to dla niego całe życie.

- Żałujesz, że przyjęłaś tę posadę?

Romla powstrzymała płacz i otarła z oczu łzy, zanim popłynęły po policzkach.

- Nie. Może nasze małżeństwo było już skończone, zanim tu przyjechaliśmy, i niesłusznie szukam przyczyny w pracy Rogera w barze czyjego skłonności do picia. Winą należało

by raczej obarczyć nas oboje. Czy wiesz, że teraz mamy mniej pieniędzy niż w Townsville, kiedy Roger pracował jako policjant? - Romla wybuchnęła płaczem. - Każde z nas dostaje osobną wypłatę od właścicieli, Roger za pracę w barze, ja za kierowanie hotelem i restauracją. Zawsze oddawałam mu swój czek, żeby wpłacił pieniądze do banku. Cassie, wyobraź sobie, właśnie odkryłam, że nic nie mamy! Na koncie nie ma ani centa!

- Mój Boże, gdzie to wszystko przepadło? Romla wytarła łzy.

- Roger przepił i przegrał pieniądze w karty.

- Myślałaś o separacji?

Romla nagle podniosła głowę, spojrzała na Cassie i wybuchnęła gwałtowniejszym płaczem.

- Cały czas o tym myślę. Dzisiaj postawiłam mu ultimatum: albo przestanie grać w pokera i pić, albo między nami koniec.

Cassie zaczęła łuskać zielony groszek. Zerknęła na Romlę. Postanowiła dać jej się wypłakać.

Odezwała się dopiero po paru minutach.

- Boisz się, prawda? Dlaczego?

- W naszej rodzinie nigdy nie było rozwodów - szlochała. Poszukała na lodówce chusteczki higienicznej. - Od lat już ze sobą nie rozmawiamy. Ostatni raz poszliśmy do łóżka o jednej porze chyba z rok temu. Nie znaczy to, że chciałabym, żeby mnie dotykał, ale to jest jakby symbol stanu naszego związku. Może Roger kogoś ma, jak myślisz?

- Jeśli pije, to by wiele wyjaśniało. Jakakolwiek jest przyczyna jego zachowania, w waszym małżeństwie dzieje się bardzo źle.

- W naszym małżeństwie działa się źle od samego początku. - Romla pociągnęła nosem. - Ale jeśli się rozwiodę, Chris będzie się mnie wstydził. I co z dziećmi? Nie chcę, żeby dorastały w rozbitym domu.

- W rozbitym domu? A jaki jest teraz? Roger nie zwraca żadnej uwagi na dzieci. Dba tylko o bar.
- Zanim tu przyjechaliśmy, wracał po pracy do domu, rozsiadał się na kanapie, opierał nogi na stołku i zasypiał. Nigdy nic nie robił. To było najnudniejsze małżeństwo, jakie można sobie wyobrazić, ale przecież ludzie się nie rozwodzą z powodu nudy.
- Jak długo jesteś mężatką? - Cassie wrzuciła groszek do gotującej się wody i sięgnęła do lodówki po sałatę, pomidory i paprykę.
- Od osiemnastu lat. - Romla przestała płakać.
- Osiemnaście lat nudy? A teraz wszystko, na co pracowałaś, przepadło. Naprawdę nie zostały wam żadne oszczędności?
- Ani centa.
- Pewien pisarz, nie pamiętam jego nazwiska, chyba właśnie taką sytuację miał na myśli, kiedy powiedział, że większość ludzi żyje w cichej rozpacz. Ile masz lat?
- Trzydzieści sześć. - Romla urwała i popatrzyła na Cassie. - Boję się też, bo wydaje mi się, że kocham Jima. On byłby wspaniałym ojcem dla moich dzieci, zupełnie innym niż Roger. Kiedy Pam przyjeżdża do domu, Jim poświęca jej więcej uwagi niż własny ojciec. Mimo to nigdy nie próbował się do mnie zbliżyć, nigdy mnie nie pocałował, nie dotknął, chyba że w tańcu.
- Dobrze wiesz, że zawsze pojawia się w mieście, kiedy jest jakaś zabawa, i tańczy tylko z tobą. To tylko kilka tańców, ale...
- Wiem. - Romla nieśmiało uśmiechnęła się przez łzy. - Nie wiem, czy to prawda, czy tylko moja wyobraźnia. Nigdy nie powiedział mi nic osobistego, nie przytulił... ale jest taki dobry, taki troskliwy. I Terry go uwielbia.
- Zaprzyjaźnił się również z Chrisem.
- Myślę o tym co noc i boję się, że jeśli nawet się rozwiodę, Jim nadal się nie zadeklaruje.

- Nie rozwódź się dla innego mężczyzny - poradziła Cassie. Wymieszała sałatkę, dodała cebulę i oliwę. - Jeśli masz się rozwodzić, to dla siebie samej i dla dzieci. Potem, jeśli coś się wydarzy między tobą a Jimem, to tym lepiej.

Romla wstała i zaczęła krążyć po kuchni. Z salonu dobiegał śmiech.

- Wychowano mnie w przekonaniu, że małżeństwo jest na całe życie. Jeśli Chris uznałby moją decyzję o rozwodzie za niemoralną, nie zniosłabym tego.

Cassie otoczyła Romlę ramieniem. Szwagierka na chwilę przystanęła.

- W głębi duszy każdy uważa rozwód za zło. Ale nie można żyć w takim cierpieniu. Opinia Chrisa też nie powinna mieć dla ciebie znaczenia. On przecież nie przestanie cię kochać, nie odrzuci cię. Będzie mu przykro, ale stanie po twojej stronie. Niewątpliwie nigdy się z Rogerem nie lubili.

- To śmieszne, ale żadne z nas nie znosiło współmałżonka drugiego.

- Gdyby Chris miał odwagę rozwieść się z Izabelą, nie przeżyłby tylu nieszczęśliwych lat. Lepiej to przemyśl. Bardzo mnie boli, że jesteś tak nieszczęśliwa jak kiedyś Chris z Izabelą.

- Wiedziałam! Zawsze podejrzewałam, że nie jest z nią szczęśliwy. Nigdy nic mi nie powiedział.

Cassie podała jej sztućce.

- Nakryj do stołu i powiedz wszystkim, żeby za dziesięć minut byli gotowi.

Później tego samego wieczora, kiedy rozbierali się do snu, Cassie zapytała męża:

- Czy bardzo byś się zmartwił, gdyby Romla rozwiodła się z Rogerem?

Chris spojrział na nią przenikliwie.

- Czy to tylko twoje pobożne życzenie?

- Ona jest strasznie nieszczęśliwa, i to od dawna. Teraz odkryła, że Roger przegrał w karty wszystkie ich wspólne pieniądze. Albo przepił.

- A to drań. W zasadzie tego się spodziewałem. - Włożył piżamę.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Byłbym tym zachwycony. Jeśli potrzeba jej mojego wsparcia, to je ma.

- Powiedz jej to. - Cassie poszła do łóżka. Chris położył jej rękę na piersi. - I pocałuj mnie właśnie tam, gdzie trzymasz rękę - poprosiła. Kiedy spełnił jej prośbę, zamruczała: - Och, jeszcze raz. Nie przestawaj. - Było jej tak dobrze. Z rozkoszą wyprężyła ciało.

Zanim usnęli, wyszeptala:

- Chciałabym, żeby w moim życiu nic już się nie zmieniło. Nie zapomnij nastawić budzika.

Chris sięgnął po budzik.

- Nic nigdy nie jest wiecznie takie samo - odparł. Rano Romla zadzwoniła do Cassie.

- Roger zniknął. Spakował się i wyjechał autobusem o ósmej. Coś mi mówi, że jest winien pieniądze tym panom, z którymi grywał w pokera.

- Co masz zamiar zrobić?

- Przede wszystkim spłacę jego długi, co do centa, żeby mogła chodzić po mieście z podniesioną głową.

Wczesnym popołudniem, kiedy wracali do domu po badaniach, Sam zapytał Cassie:

- Czy wojna odmieniła twoje życie?

Zastanowiła się. Gdyby wojna nie wybuchła, Blake nie

wyjechały do Europy. Ona nie musiałaby usuwać ciąży. Teraz byłaby jego żoną. Nie poznałaby Romli. Nie dzieliłaby łóżka z Chrisem.

- Oczywiście - odparła w końcu.

Wielkie stado owiec pasło się na czerwonej ziemi pod nimi.

- Nic nie potoczyło się tak, jak myślałem - powiedział Sam. - Przewidywałem, że wyjdiesz za Blake'a. Przecież zanim wyjechałem, byliście razem na wakacjach na północy.

- A ja myślałam, że ożenisz się z siostrą Klarą.

- Pewnie bym tak zrobił, gdybyś ty wyszła za Blake'a. Nie wiedziała, co jedno z drugim ma wspólnego. Cisza

przeciągała się. W oddali połyskiwał w słońcu jakiś srebrzysty punkt. Inny samolot.

- Czy ty kiedykolwiek czujesz się samotna, doktoru? Wiedziała, że nie wszystko układa się gładko między nim

i Olivią. Słyszała, jak Liv nieustannie narzeka na upał, muchy, suszę lub zbytnią wilgoć. Lubiła chodzić na tańce, bo tam każdy mężczyzna chciał zatańczyć z drobną blondynką, która wyglądała tak, jak powinna wyglądać słodka dziewczyna, cała w pastelach i falbankach. Śmiała się do adoratorów, spoglądała na nich szeroko rozwartymi błękitnymi oczami i zachowywała się tak, jakby wszystko, co mówili, było niesłychanie interesujące. Zresztą było to dla niej rzeczywiście interesujące, bo zwykle słyszała, jaka to jest śliczna, jaki szczęściarz z tego Sama i jak doskonale tańczy.

- Czy Harry i Samantha nie uprzyjemniają ci życia?

- Jasne. Oddałbym za nich życie. Serce zaczyna mi szybciej bić, kiedy siadają mi na kolanach, kiedy biorę ich na ręce, czytam bajki, układam do snu albo odpowiadam im na pytania. Patrzę na nich i jestem szczęśliwy. Czuję się wtedy nieśmiertelny i wiem, że są dla mnie najważniejsi na świecie.

Znowu zapadła cisza.

- Tylko chyba nie wiem, co to jest szczęście - ciągnął po chwili Sam. - Ty nie wydajesz się nieszczęśliwa. Poznałaś jakiś sekret?

Zastanowiła się.

- Ja też nie wiem, co to jest szczęście, ale masz rację, nie jestem nieszczęśliwa.

- I nigdy nie czujesz się samotna?

- Samotna? Nie mam czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Kiedyś byłam samotna, ale teraz nie. - To zabawne. Kiedyś jej się wydawało, że stale nosi w sobie samotność.

- Można być samotnym w tłumie ludzi. Niedawno to odkryłem.

Podniosła wzrok i spostrzegła, że Sam na nią patrzy.

- Przed wojną wszystko było jak zabawa, a teraz... -powiedział.

Poczuła ucisk strachu w piersi.

- Chcesz odejść? Wyjechać stąd? Zrezygnować z pracy dla latających doktorów?

- Nie - zawołał pośpiesznie. - Nie o to chodzi. Tylko... Nieważne. Przepraszam, że zacząłem o tym mówić. Porozmawiajmy o czym innym.

Cassie miała wrażenie, że nie sprostała sytuacji. Chciała go jakoś pocieszyć, ale nie wiedziała, o czym mówić. Miała ochotę pogłodzić go po ramieniu.

- Jak ci się podoba nowy dom Blake'a i Fiony? - zagadnęła. - Widziałeś kiedyś coś podobnego?

- Nigdy. Dziesięć sypialni, każda z osobną łazienką. Bardzo rozległy dom, parterowy. Fiona mówi, że kiedy tylko sprowadzą meble, urządzą przyjęcie. Może będzie to w Sylwestra. - Poznała Blake'a w Tookarindze na sylwestrowej zabawie. Sylwester, trzydziestego ósmego roku. Prawie dziesięć lat temu. - Steven będzie samotny,

kiedy cała gromadka przeprowadzi się o te kilka kilometrów dalej. Zastanawiam się, dlaczego Blake zbudował ten dom. Przecież stary mógł wygodnie ich wszystkich pomieścić. Cassie wzruszyła ramionami.

- To było dla niego nowe wyzwanie. Uwielbia wyzwania. Urodził się i wychował w starym domu, więc może zapragnął czegoś nowego.

- Ale dwadzieścia pokoi! Komu tyle potrzeba?

- Jemu nie chodzi o potrzeby - odparła Cassie. - Chce domu, którym mógłby się chwalić.

- Może teraz, kiedy został sam, Steven powtórnie się ożeni.

- Trudno będzie mu znaleźć kogoś, kto dorównałby Jennifer.

- Umarła już siedem lat temu.

Na lotnisku w Augusta Springs czekał na nich Horrie. Nigdy tego nie robił.

Kiedy tylko Cassie wyszła z samolotu, wziął ją pod ramię. Twarz miał zatroskaną.

- Cassie, zdarzył się wypadek. Jedź zaraz do szpitala.

- A Chris albo Mel nie mogą tam jechać? - Mel Delano był nowym wspólnikiem Chrisa.

Twarz Horriego zbieleła.

- Tutaj właśnie chodzi o Chrisa.

Spojrzała na niego. Poczowała na łokciu dłoń Sama.

- Co to ma znaczyć, że chodzi o Chrisa?

- Jest ciężko ranny. Dzwoniła Romla. To był wypadek samochodowy. Romla chce, żebyś tam natychmiast przyjechała. Mój samochód czeka.

Chris ranny w wypadku samochodowym? Drżąc wsiadła do ciężarówki Horriego. W oknie ukazała się głowa Sama.

- Pojadę za wami.

- Pojechał na farmę starego Curtina - mówi Horrie, jadąc

do szpitala. - Tam prawie nic nie jeździ. Wielka cysterna nadjechała niespodziewanie i zepchnęła go z drogi. Samochód przekoziołkował...

- Na miłość boską, dlaczego nie wezwałeś samolotu?

- To się stało niecałe dwie godziny temu. Byliście już w drodze. I tak nie przylecielibyście szybciej. Pomyślałem sobie, że będzie lepiej, jeśli powiem ci o tym osobiście, a nie przez radio.

- Miałeś rację.

- Doktor Delano pojechał do niego ambulansem, jak tylko usłyszał o wypadku.

- Zastanawiam się, jak długo tam leżał, zanim ktoś go znalazł? - Nie rozumiała jeszcze do końca, co się stało. Mówiła o Chrisie jak o każdym innym pacjencie, nie o mężu.

- Kierowca cysterny zadzwonił do szpitala z najbliższego miasta. Potem wrócił na miejsce wypadku i czekał na karetkę.

- Nie wiesz, jak ciężko jest ranny? Horrie potrząsnął głową.

- Nie wiem. Romla powiedziała tylko, że ciężko.

Pięć minut później zatrzymali się na szpitalnym parkingu. Cassie wbiegła do budynku. Romla czekała w holu.

- Dostał środek znieczulający i jest nieprzytomny. Doktor Delano... O, już tu idzie.

Doktor Delano, niski, szczupły, cherubinkowaty Irlandczyk, zbliżał się do nich. Cassie natychmiast odgadła, że Chris umiera. Delano pokiwał głową i otoczył Cassie ramieniem.

- Możesz go zobaczyć, ale nie zostało mu dużo czasu. Przykro mi, Cassie.

Romla wybuchnęła płaczem.

- Och, Chris.

- Chodźmy - odparła Cassie. - Nie stójmy tak. Weszli do sali szpitalnej, w której czuć było ostrą woń

środka dezynfekcyjnego. Chris miał zamknięte oczy, ale Cassie dostrzegła, że jego pierś lekko się porusza, co znaczyło, że jeszcze oddycha. Był zabandażowany, a od ucha przez policzek biegła głęboka rana, wokół której zakrzepła krew. Cassie wzięła jego lodowatą dłoń. Powieki Chrisa się otworzyły.

- Dzięki Bogu - wyszeptał tak cicho, że musiała pochylić się bliżej. - Chciałem, żebyś tu była.

Czekałem, aż przyjdiesz.

Pocałowała go.

- Przeżyłem z tobą swoje najszcześniejsze lata - powiedział.

Cassie skinęła głową. Miała wrażenie, że jakaś ręka chwyta ją za serce.

- Ja też... - odparła.

- Nigdy nie czuj się winna - ciągnął Chris. Czowała, że krew odpływa z jego żył. Kiedy trzymała jego dłoń, zdawało się jej, że wyczuwa to wręcz fizycznie. - Wiem, dlaczego za mnie wyszłaś. Nigdy mnie nie kochałaś...

- To nieprawda!

- Nigdy mnie nie kochałaś tak jak ja ciebie, ale nie obwiniaj się. Uczyniłaś mnie szczęśliwszym niż ktokolwiek inny. Taka miłość, jaką do ciebie czułem, jest warta całego życia. Ważniejsze jest, żeby kochać, niż być kochanym.

Stojąca po drugiej stronie łóżka Romla chwyciła go za rękę. Chris spojrzał na siostrę.

- Chris, kochany, oczywiście, że Cassie cię kocha. Ja też cię kocham. Jesteś najdroższym, najwspanialszym człowiekiem... Och, kocham cię bardziej niż kogokolwiek pod słońcem, z wyjątkiem dzieci.

Błady uśmiech przemknął przez twarz Chrisa.

- Jedynie wy dwie dałyście mi szczęście w życiu - wyszeptał. Zamknął oczy i odszedł. Jego ciało leżało na białym,

zimnym prześcieradle, lewa dłoń wczepiła się w skraj koca, ale Chris już nie oddychał, nie było już Chrisa Adamsa.

Cassie patrzyła na męża i myślała, że już nigdy nie zobaczy, jak czyści krawatem okulary, nigdy już się z nim nie pokłóci, nigdy... nigdy już nie będzie razem z nim. Słyszała łkanie Romli. Podeszła do szwagierki, objęła ją i przytuliła. Nad jej ramieniem zobaczyła stojącego w drzwiach Sama. Patrzył, jak Cassie, z suchymi oczami, obejmuje jedyną kobietę, która naprawdę kochała Chrisa.

Rozdział czterdziesty siódmy

Przez pierwsze miesiące po śmierci Chrisa największe poczucie winy w Cassie budziło to, że jej życie tak mało się zmieniło. Jak dawniej, najważniejsza była dla niej praca. Nadal kilka razy w tygodniu jadała kolację w Królewskich Palmach, a w poniedziałki Romla, Terry i Jim przychodzili do niej na przyjacielskie spotkania. Jeszcze bardziej zbliżyły się z Romlą. Romla złożyła pozew o rozwód i miała wrażenie, że wielki ciężar spadł jej z serca.

- Wiesz, że każdy z tych panów - sędzia, ojciec Jima, stary Stanley - wszyscy mówią, że Roger nie był im nic winien? - powiedziała do Cassie. - Wiem, że chcą być dla mnie mili i nie mówią prawdy. Są tacy wspaniali. Już nigdy nie zapłacą w hotelu za żadnego drinka, dopóki ja tam pracuję.

Terry przychodził do Cassie w sobotnie popołudnia, kiedy jego matka była zajęta w pracy. Razem chodzili do kina, a potem na kolację do Addiego. Po formalnej atmosferze Królewskich Palm zajazd Addiego wydawał się chłopcu bardzo ciekawym miejscem. Zwykle zostawał u Cassie na noc. W niedzielę, po późnym śniadaniu, przychodził Jim i zabierał go do kościoła.

Cassie rzadko jadła sama. Nie wracała też do pustego domu, ponieważ dwa tygodnie po pogrzebie Chrisa Sam podarował jej szczeniaka, czarno-białą puszystą kulkę. Pies od razu podbił serce Cassie. Bawiła się z nim godzinami, a kiedy jej samochód pojawiał się na podjeździe, szczekanie Bree słychać było w całej okolicy. Zwierzę z radości szaleńczo machało ogonem. W trzecim tygodniu pies zaczął sypiać w jej łóżku i Cassie musiała się przyzwyczaić do wstawania w nocy, żeby wypuścić go na dwór. Kiedy miał dwanaście miesięcy, nauczył się już panować nad swoimi potrzebami. Mimo obecności Bree, Cassie bardzo brakowało ciepła ludzkiego ciała.

Pewnego niedzielnego ranka pojawił się Sam z rolką drutu. Wszedł bez pukania i od progu zawołał:

- Znajdzie się dla mnie kawa?

Cassie i Terry właśnie skończyli śniadanie.

- Przyszedłem, żeby zrobić zagrodę dla Bree - wyjaśnił. - Pies nie powinien zostawać zamknięty w domu, kiedy ty wyjeżdżasz na długie godziny. W zeszłym tygodniu zrobiłem mu budę, a teraz kolej na ogrodzenie.

W tej samej chwili wszedł Jim, w ciemnym garniturze i jaskrawym krawacie w tureckie wzory. Kiedy usłyszał o zamiarach Sama, spojrzał na Terry'ego i powiedział:

- Będziesz miał z tym drutem trochę roboty. Chyba dzisiaj możemy sobie darować wizytę w kościele i pomóc Samowi, prawda, Terry? - Chłopiec skinął głową, a Jim dodał: - Zaczekajcie na mnie. Muszę się przebrać.

Sam uśmiechnął się, doceniając gest Jima.

- To miło z waszej strony. Poczekam, a Cassie tymczasem zabawi mnie rozmową.

- Mogę zabrać Bree na spacer? - zapytał Terry i nie czekając na odpowiedź zdjął z haczyka na kuchennych drzwiach smycz i obrozę.

Cassie uświadomiła sobie, że ostatnio Sam zwraca się do niej po imieniu. Nalała mu kawy, a on wygodnie rozparł się na kuchennym krześle.

- Zdaje się, że przejąłeś po Chrisie sympatię Jima -powiedziała.
- Miły człowiek - odparł Sam popijając kawę. - Ciekawe, kiedy się z Romlą pobiorą.
- Doceniam, co dla mnie robisz, odkąd Chris...
- Zrobiłbym więcej, gdybym mógł. Ale wszyscy w mieście się tobą opiekują. Założę się, że nie jadłaś samotnie kolacji, od czasu...

To prawda. Jeśli nie szła do Królewskich Palm, ktoś zawsze zapraszał ją do siebie. A kiedy przylatywała późno z wypraw do nagłych wypadków albo z przedłużających się badań, Betty zawsze miała coś dla niej. Na każdy weekend ktoś przynosił jej ciasto własnej roboty i zostawiał na progu. Don McLeod przyleciał z Alice Springs, żeby odprawić nabożeństwo żałobne i teraz znajdował czas, żeby pisać do niej ciepłe, pełne słów otuchy listy. Przychodziły co tydzień, z dopiskiem od Margaret, która spodziewała się drugiego dziecka.

- Wybierasz się na ten bal u Thompsonów? - zapytał Sam.
- Nie wiem, czy powinnam. Wiesz, tak niewiele czasu minęło...
- Blake pyta, czy nie moglibyśmy przyjechać w środę i zostać do niedzieli. Proponuje, żebyśmy w środę przeprowadzili zwykle badania. Odbędą się wyścigi, więc prawdopodobieństwo wypadków wzrośnie. A poza tym na balu może dojść do jakiejś bójki. Uważa, że przydamy się tam przez te kilka dni. Ponieważ Liv nie chce nigdzie się ruszać bez dzieci, Fiona powiedziała, żebyśmy przywieźli je ze sobą. Będą się mogły bawić z ich dziećmi. Zjadą tam całe rodziny.

- Ujmę to tak: jeśli rzeczywiście potrzebny im będzie lekarz...
- Nie ma powodu, żebyś przy okazji nie mogła zatańczyć i trochę się zabawić.
- Co ludzie pomyślą?
- Hej, doktorku, nie chodzi o to, co pomyślą ludzie, tylko czy ty masz na to ochotę. Nie ma przecież sensu, żebyś i ty też odchodziła ze świata żywych.

Cassie dotknęła jego ręki.

- Zawsze mogę na ciebie liczyć, Sam. Jesteś dobrym przyjacielem. Dziękuję. Dlaczego nie przychodzicie z Liv do mnie na kolację w poniedziałki? Są tu Romla i Jim. Dobrze byście się bawili.
- Liv by się to nie podobało. Już i tak uważa, że spędzam z tobą zbyt wiele czasu. Zaczekałem, aż wyjdzie do kościoła, zanim wyszedłem budować to ogrodzenie.

Cassie doszła do wniosku, że Liv należy do tych kobiet, które inne kobiety uznają za zagrożenie. Przecież z Samem łączyła ją tylko przyjaźń i praca. Nigdy jej nie pocałował, nawet nie patrzył na nią jak na kobietę. Ona czuła dla niego tylko szacunek i podziw. Przez ostatnie lata, od jego powrotu z wojny, ich przyjaźń jeszcze się umocniła i stała się dla Cassie jedną z najcenniejszych rzeczy w życiu.

- To dziwne, nigdy bym nie przypuszczała...
- Czego? - zapytał Sam. Wstał i dolał sobie kawy.
- Och, nic, nic.

Z góry wyglądało to tak, jakby w Tookarindze. wyrosło nagle miasto. Setki namiotów stanęły na równinie dziesięć kilometrów na północ od nowego domu Blake'a, w samym środku Tookaringi, a w zasadzie w środku ziem otaczających główną posiadłość. Blake miał teraz pas ziemi ciągnący się

aż do Adelajdy. Jego stada mogły wędrować setkami kilometrów, nie wchodząc na cudze grunty. Cassie słyszała plotki, że stał się jednym z największych posiadaczy ziemskich w Australii. Podczas suszy, tak jak przewidywał, kupił tanio olbrzymie tereny.

Blake postanowił nie tylko urządzić przyjęcie na otwarcie nowego domu, ale również zorganizować imprezę, która, jak miał nadzieję, przekształci się w coroczne wydarzenie: tańce, pikniki i wyścigi konne, przyciągające właścicieli koni z całego kontynentu. Przewidziano tak wysokie nagrody, że nawet najdalsza podróż stała się opłacalna. Przybyli mieszkańcy większych farm położonych w promieniu co najmniej tysiąca kilometrów i zbudowali swoje małe miasteczka namiotów.

- To dopiero będzie wydarzenie - powiedział Sam, wskazując na kipiące życiem namioty. - Spójrzcie. Założę się, że wybudowanie tego toru i trybun kosztowało sporo pieniędzy.

Z pewnością.

- Wydali tyle pieniędzy, żeby zbudować coś, co będzie używane tylko raz do roku? - zdziwiła się głośno Olivia, siedząca w tyle samolotu.

- Cóż, hodowcy owiec też tak robią - odparł Sam, jakby się usprawiedliwiał. - Budują szopy i baraki dla postrzygaczy. One też są używane tylko raz na rok.

Te inwestycje były jednak konieczne dla hodowli owiec. Tutaj wydawano pieniądze dla czystej rozrywki.

- Mam nadzieję, że nie nadejdzie żadne wezwanie i nie będziemy musieli stąd wyjeżdżać - ciągnął Sam, lądując na pasie. - Trochę zabawy bardzo by mi się przydało.

Rzeczywiście, potrzebuje trochę zabawy, pomyślała Cassie.

- Nie wiem, czy zabrałam odpowiednie stroje - odezwała się Olivia.

- Zawsze wyglądasz ślicznie - zapewniła ją Cassie. Olivia nie miała co do tego wątpliwości.

- Ale nigdy jeszcze nie byłam na takim przyjęciu.

- Żadne z nas nie było - odpowiedziała Cassie. Wzięła torbę lekarską i walizkę. Była ciekawa, czy umieszczą ich w starym domu, ze Stevenem, czy dadzą im pokoje w nowym. Dwa wielkie domostwa w tej samej posiadłości, i to z dala od siebie!

Przy pasie stały już cztery samoloty, jednosilnikowe Cessny, i dwa helikoptery. Coraz więcej farmerów z interioru kupowało samoloty. Świat stawał się mniejszy.

Cassie i Sam od roku oglądali postępy w budowie nowego domu, ale przez ostatnie dwa miesiące Fiona nie chciała wpuścić ich do środka.

- Jeszcze nie jest umeblowany - mówiła. - Zaczekajcie, chcę was zadziwić.

Zadziwić to nie było odpowiednie słowo.

Na niskim wzniesieniu, pośrodku wielkiego trawnika, nad wąską rzeką, która nigdy nie wysychała, stał dom. Był raczej rozległy, niż wysoki. Młode, chude palmy rosły na trawie, wciąż jeszcze przywiązane do palików, żeby nie połamał ich wiatr. Gęsi i łabędzie pływały po jeziorku, utworzonym przez spiętrzone tamą wody rzeki. Dwa psy biegły przez trawnik, za nimi podążał kucyk, ciągnąc wózek, na którym siedziało sześcioro dzieci. Obok szła młoda kobieta, bez wątpienia niania albo nowa guwernantka, zatrudniona niedawno do dwojga najstarszych dzieci, które osiągnęły wiek szkolny. W powietrzu rozbrzmiewał śmiech i Cassie zauważyła, że oczy Olivii zabłysły.

- O, Boże, nie wiedziałam, że ludzie tak mieszkają - powiedziała za zdumieniem.

- Nie wiem, czy oprócz Thompsonów ktoś tak kiedyś mieszkał - odparł Sam. Podniósł Samanthę, posadził ją sobie na ramionach i ruszył w stronę domu. - Chodźmy. Torby zabierzemy później.

Fiona, w granatowych lnianych spodniach i białej jedwabnej bluzce, zbiegła ze schodów werandy. - Czekałam na was. - Objęła Cassie i mocno ją uściskała. - Nie mogę się doczekać, kiedy wam wszystko pokażę. Spędzimy wspaniały weekend. - Pocałowała Sama w policzek, przywitała się z Oliwią, otoczyła ją ramieniem i uśmiechnęła się do dzieci. - Cieszę się, że zdecydowałaś się przyjechać, Liv. Mamy tu pomoc do dzieci, więc nie musisz o nic się martwić. Będziemy się wszyscy dobrze bawili. - Wprowadziła ich do domu. - Umieściłam was w zachodnim skrzydle, w przeciwnej części domu niż nasza. - Zwróciła się do Sama i jego żony. - Wy i dzieci macie przylegające pokoje, ale dziećmi zajmie się Linda. Poda im kolację, będzie się z nimi bawić, wykąpie je i dopilnuje, żeby na czas poszły do łóżek.

- Mój Boże - zadziwiła się Olivia. Sam wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- A nie mówiłem?

- Tu jest cudownie - powiedziała Liv, patrząc wokół roziskrzonym wzrokiem. Cassie nabrała nadziei, że ich małżeństwo nie przechodzi takich trudności, jak podejrzewała. W tej chwili Olivia wydawała się szczęśliwa.

Fiona wzięła Cassie pod ramię.

- Oprowadzę cię po domu.

- Bardzo mi się podoba - pochwaliła Cassie, ale w głębi duszy uznała, że jest zbyt nowoczesny na jej gust.

Salon miał na pewno ponad sto metrów kwadratowych. Podłogę przykrywały perskie dywany, a wszystkie wyściełane meble były białe. Całość w oczach Cassie wyglądała jak reklama czasopisma architektonicznego. Wszystko tu było doskonałe, nawet poduszki, pozornie niedbale rozrzucone. Nie mogła sobie wyobrazić, jak Fiona i dzieci żyją w takim wnętrzu. Salon nie odzwierciedlał ciepłej osobowości Fiony i nie pasował do Thompsonów. Był zbyt sterylny. Oczywiście-

cie, meble w starym domu osobiście wybierała Jennifer. Cassie wciąż uważała dawny dom Fiony za najbardziej urocze miejsce pod słońcem i zawsze żałowała, że nie ma zdolności przyjaciółki.

Wiedziała, że nowy dom na polecenie Blake'a urządzili dekoratorzy wnętrz z Sydney.

Wspaniała kuchnia była równie nowoczesna i przypominająca hotel jak salon, ale czuło się tu więcej ciepła. Lśniące miedziane rondle zwisały z mosiężnych łańcuchów pod szerokimi, ciemnymi belkami, przecinającymi sufit. Przy kuchennych blatach mogło pracować pół tuzina ludzi. Drewniany stół i krzesła stały w końcu pomieszczenia, przy atrium, którego ozdobą były nie tylko fikusy i drzewka pomarańczowe, ale również ptaki, śpiewające na drażkach. Olbrzymi różowożółty lotos unosił się na sadzawce o kształcie ryby. Atrium przykryto siatką, żeby ptaki nie uciekły.

- To robi wrażenie - wyszeptała Cassie.

- Prawda? - Fiona mocniej przytuliła jej ramię. - Nigdy nawet nie marzyłam, że będę tak mieszkała.

- Mnie by brakowało starego domu.

- Ja też będę za nim tęskniła, ale to jest marzenie Blake'a. Tylko martwię się o Stevena. Dotychczas mieszkał w takim gwarze, a teraz nagle został sam.

- Ale chyba nie będzie całkiem sam? Przecież tam są budynki dla personelu, biuro księgowego...

- Wiesz przecież, o co mi chodzi. Wieczorami będzie tam smutno. Żadnego towarzystwa. Bardzo kocham Stevena. Nie mogłabym być jego żoną, bo zawsze stara się być taki męski, apodyktyczny, ale uwielbiam go jako teścia i przyjaciela. Częściej go widuję niż własnego męża.

- Podobno częste rozłąki pomagają w małżeństwie. Fiona roześmiała się.

- Jeśli tak, to się zgadzam. Nie narzekam, ale Blake ciągle nie jest zadowolony. Stale potrzebuje nowego wy-

zwania, chce walczyć. Chyba urodził się jako niespokojna dusza. - Prowadziła Cassie do sypialni w głębi korytarza. - W każdym skrzydle jest pięć pokoi. Oczywiście, my sami zajmujemy całe jedno skrzydło. Oto twój pokój.

Sypialnia była dwa razy większa od jej własnej, urządzonej na szmaragdowo i biało, co dawało dramatyczny efekt.

- Nie wiem, czy Blake się na mnie nie gniewa - oznajmiła Fiona. - Wczoraj powiedziałam mu, że nie chcę mieć więcej dzieci. Troje wystarczy. Chciałabym zająć się w życiu jeszcze czymś innym.

Cassie popatrzyła na nią. Co miała odpowiedzieć?

- Chcę dać aborygeńskim dzieciom szansę właściwej edukacji - ciągnęła przyjaciółka. -1 chciałabym, żeby dzieci z odległych farm też miały kontakt ze szkołą, a nie tylko uczyły się od rodziców. Moje dzieci mają dobrze. Ich matka jest nauczycielką, ale ma tysiące innych spraw. Nie cieszy mnie, że nasze dzieci będą się uczyły tylko od guwernantki, która jest całkiem niezła w niektórych przedmiotach, ale nie we wszystkich. Poza tym, nie ma u nas jednolitego programu nauczania.

Wszystko zależy od wiedzy i pedagogicznych zdolności guwernantki. Mam pewien pomysł i chcę o nim z tobą później porozmawiać. Słyszałam o wspaniałej akcji w Alice Springs. - Ścisnęła ramię Cassie. - A jak ty się miewasz? Wyglądasz dobrze, ale czy tak się czujesz?

- U mnie wszystko w porządku - odparła Cassie. - Lepiej, niż powinno być. Mam trochę poczucia winy, że nie jestem bardziej zrozpaczona. Bardzo go lubiłam, wiesz. - Nawet w jej własnych uszach takie zdanie brzmiało dziwnie. Bardzo lubiłam swojego męża.

- Kochanie, jesteś taka dzielna i silna. Teraz wyślę Henry'ego do samolotu, żeby przyniósł wasze bagaże. Badania przeprowadzicie na tyłach domu. Wszystko ci przygotowałam pod rozłożystym drzewem. Następnym razem

będzie wam wygodniej w starym domu, na werandzie, ale dzisiaj sytuacja jest wyjątkowa.

- Oczywiście. Mnie to nie przeszkadza - odparła Cassie.

- Zaczekaj, aż wszystko zobaczysz - mówiła dalej Fiona. - Przy torze wyścigowym Blake postawił pawilon, w którym na trzy zmiany pracują kucharze. Uważa, że wielu ludzi w ogóle nie położy się spać. Bar zaopatrzone w sześć tysięcy butelek piwa, szampana, rumu, czego tylko zapragniesz!

- Sześć tysięcy butelek! To będzie pijacka orgia.

- Musi nam to starczyć na cztery i pół dnia, a przyjedzie ponad tysiąc ludzi. Niektórzy zjawili się już we wtorek, rozbili namioty, organizują zabawy, zainstalowali agregat, pilnują, żeby starczyło drewna i wody. Pomyśleć, że tylu ludzi przyjedzie z tak daleka, żeby się bawić na tygodniowym przyjęciu.

- Wiesz, że Australijczycy przyjadą na wyścigi z końca świata. Chodźmy. Im szybciej zbadam ludzi, tym wcześniej będę mogła odpocząć i zacząć się bawić.

Badania przebiegały rutynowo, oprócz jednego przypadku zmiażdżonej ręki. Ranna aborygenka, która wyraźnie bardzo cierpiała, ale znosiła to nadzwyczaj spokojnie, oparła dłoń na stole przed Cassie.

- Jak to się stało? - zapytała Cassie, przyglądając się palcowi.

Kobieta nie odpowiedziała.

- Pewnie w bójce na kije? - Takie bójki często były przyczyną groźnych okaleczeń. W ciągu lat wiele razy spotkała się z takimi przypadkami.

Aborygenka skinęła głową.

Dwa ostatnie człony palca wskazującego zostały zmiażdżone. Cassie przyjrzała się uważnie.

- Muszę to odciąć - powiedziała kobiecie.

Zobaczyła puste spojrzenie pacjentki i domyśliła się, że kobieta nie rozumiała.

- Spójrz na ten drugi staw. Jest tak zmiążdżony, że już nic nie da się z nim zrobić. Będzie tylko sprawiał ból, a koniec palca będzie zwisał bezwładnie i przeszkadzał. Najlepiej to odciąć.

Kobieta znowu skinęła głową.

- Zaczekaj chwilę - powiedziała Cassie. Musiała poprosić Sama, żeby podawał eter.

Znalazła go w domu. Pił drinka w towarzystwie Olivii i Fiony.

- Wiedziałem, że powinienem gdzieś uciec - stwierdził ze śmiechem. - Szkoda, że nie ukryłem się w którymś namiocie. - Zwrócił się do żony. - Hej, skarbie, chcesz popatrzeć? Zawsze pytasz, co robimy w pracy.

- Ty też pójdziesz? - zapytała Olivia Fionę.

- Widziałam to już dziesiątki razy - odparła gospodyni. - Nie chcę więcej patrzeć. Amputacje mnie nie interesują.

- Zrobi mi się niedobrze? - Olivia spojrzała pytająco na męża. Sam wzruszył ramionami.

- Ja za pierwszym razem o mało nie zwymiotowałem.

- W takim razie bardzo dziękuję, ale nie pójde. Zostanę tutaj.

- To nie potrwa długo - zapewniła ją Cassie. Wróciła z Samem na miejsce badań za domem. Kobieta wciąż siedziała z ręką opartą na stole.

- Połóżmy ją na leżance, a potem podasz eter. Nie za dużo. To będzie krótki zabieg. Użyłabym nowokainy, ale wolę, żeby spała.

Sam przystąpił do działania.

Cassie odcięła fragment palca przy drugim stawie, zostawiając trochę zewnętrznej, mocnej warstwy skóry. Naciągnęła ją na kikut i założyła szwy.

- Czysta robota - stwierdził Sam.

- Prawda? - Cassie spojrzała na pacjentkę i stwierdziła, że kobieta zaraz się obudzi. - Możesz wracać do żony. Ja niedługo do was dołączę.

- Zaczekam - odparł Sam. - Fiona mówiła, że Blake i Steven przyjadą na obiad. Na tor pojedziemy dopiero jutro.

Kiedy wrócili do domu, Blake i Steven już byli. Blake objął Sama i powiedział coś, czego Cassie nie usłyszała. Podeszła do Stevena i pocałowała go w policzek, a on zamknął ją w niedźwiedzim uścisku.

- Cassie, jesteś coraz piękniejsza - powiedział i również ją pocałował.

- Ja też tak uważam - odezwał się Blake tuż przy jej boku. Objął ją ramieniem i zapytał cicho: - Jak się czujesz? Dajesz sobie radę?

- Czuję się dobrze - odparła. Czowała aż nazbyt wyraźnie dotyk jego ramienia. Przez te wszystkie lata nauczyła się witać go jak przyjaciela. Już nie pozwalała sercu, żeby na jego widok lub na dźwięk jego głosu łomotało jak szalone. Jednak cały czas musiała się na tym koncentrować, wysilać wolę. - Zdaje mi się, że po tej imprezie staniesz się jednym z najsławniejszych ludzi w kraju - powiedziała. - Dom jest wspaniały, a na dodatek jeszcze wyścigi. Słyszałam, że konie sprowadzono nawet z odległości tysiąca pięciuset kilometrów.

Uśmiechnął się szeroko. Kiedy stał, górował nad wszystkimi w pokoju, oprócz ojca.

- Właśnie na to liczę. Ufundowaliśmy nagrodę, która skusiła niejednego. A czy Fiona oprowadziła cię już po domu?

- Tak, i jestem oszołomiona.

- W takim razie otwierajmy bar i zacznijmy się bawić.

Jutro dołączymy do tłumu gości. Wyścigi zaczynają się po południu, a wieczorem są tańce, więc zostaniemy tam na kolację. Impreza potrwa cały dzień.

- W co mam się ubrać? - zapytała Olivia. Odpowiedziała jej Fiona.

- Na jutro wystarczy jakaś ładna sukienka. Dopiero w sobotę wszyscy wystąpią w najładniejszych wieczorowych strojach, bo odbędą się dwa prawdziwe bale, jeden z nich właśnie tutaj.

Wyścigi zaczęły się w czwartek o pierwszej trzydzieści. Bukmacherzy przyjmowali zakłady pod kolorowymi parasolami, które chroniły ich przed słońcem. Gonitwy obserwowało mnóstwo kobiet i wiele z nich miało na sobie spodnie, dzinsy i kapelusze, tak jak mężczyźni. Wojna wiele zmieniła. Trybuny były przepełnione, a tłum robił tyle hałasu, że Cassie jeszcze takiego nie słyszała. Najpierw odbył się otwarty dla wszystkich bieg poganiaczy. Mógł do niego przystąpić każdy, kto uważał, że ma dobrego konia. Ostatnie gonitwy dnia, dla aborygeńskich poganiaczy, wzbudziły najwięcej emocji. Aborygeni zdawali się zupełnie nie dbać o własne bezpieczeństwo i każdy bieg był pełen groźnych, dramatycznych sytuacji.

Późnym popołudniem, wśród wiwatu tłumów, odbył się wyścig o nową nagrodę, Puchar Tookaringi. Wielki pawilon jadalny, dziesięć na dwadzieścia metrów, z kuchnią w jednej części, był otwarty bez przerwy. Fiona

i Blake rozbili specjalny namiot, w którym goście mogli się przebrać i odświeżyć. W równych rzędach stały namioty rozbite przez przyjezdnych z innych farm. Cassie tańczyła tego wieczora chyba z połową gości, ale nie z Blake'em, a kiedy grano szybką melodię, nawet Steven nie śpieszył się,

żeby ją zapraszać. Zresztą szybkie melodie grano teraz coraz rzadziej, a jitterbug wychodził z mody. I bardzo dobrze, pomyślała Cassie. Nie jestem już taka zwinna jak dawniej.

Raz podczas tańca Cassie odwołano do dwóch poganiaczy, którzy za dużo wypili i wdali się w bójkę. Trzeba było opatrzyć im rany, a jednemu założyć szwy. Innym razem wezwano ją do mężczyzny, który poważnie zranił się w nogę, również podczas bójki.

- Trzeba go zawieźć do szpitala - zdecydowała Cassie.

- Najbliższy jest w Yancannie. Sprowadźcie Sama.

- Przynajmniej nie musisz czuć się winna, że przyjechałaś się bawić - powiedział Sam, rozgrzewając silnik przed startem. - Wiedziałem, że czeka cię tu praca.

Polecieli do Yancanny i z powrotem, zanim tańce się skończyły. Lądowali, kiedy księżyc w pełni wstawał na samym końcu jasno oświetlonego pasa. Jeszcze przez chwilę siedzieli w samolocie, przyglądając się temu widokowi.

- Wiesz, być może jesteśmy dwojgiem największych szczęściarzy pod słońcem - odezwał się Sam.

- Wydawało mi się, że jesteś ostatnio niezbyt zadowolony.

- A nawet nieszczęśliwy, dodała w myślach.

- Nie w tej chwili - powiedział cicho. - Teraz mam wszystko, czego pragnę - szepnął, spoglądając na nią.

Rozdział czterdziesty ósmy

Następnego dnia w zagrodach zaroilo się od koni i byczków. Najpierw odbyły się zawody w rozbijaniu obozowiska, potem konkurs jazdy na młodych bykach.

Wszyscy świetnie się bawili.

Właśnie skończyli kolację i przebrali się w stroje balowe. Sufit pawilonu był wesoło udekorowany girlandami z krepiny. W jednym końcu pomieszczenia wzniesiono podest, na którym zespół muzyczny stroił instrumenty.

- Znamy tu prawie każdego - powiedziała Cassie do Sama.

Pilot rozejrzał się wokół.

- To znaczy, że znamy niemal wszystkich w promieniu ośmiuset kilometrów.

- To robi wrażenie, prawda? - Cassie roześmiała się. Stali przed namiotem czekając, aż Fiona i Olivia skończą się przebierać. - Wydaje mi się, że Olivia dobrze się bawi.

- Dzięki Bogu. Tak, jest zadowolona. W Augusta Springs nie dostarczam jej zbyt wielu rozrywek. Zawsze wołała duże miasta.

- Tak jak mąż Romli. Niektórzy ludzie nudzą się w interiorze. Czy na tym polega problem twojej żony?

- Sam nie wiem, czego ona by chciała. Tęskni za zielonymi lasami, za łąkami, rodziną i miejskim życiem... może po prostu tęskni za Anglią. Chciałaby, żebyśmy się tam przenieśli. - Zobaczył przerażenie w oczach Cassie i dodał: - Nie wyjedziemy, doktoru. Na pewno nie ja. Ale Liv właśnie tego by pragnęła albo przynajmniej męża, który miałby regularne godziny pracy, siedziałby w weekendy w domu i zawsze wracał na kolację.

Cassie chciała poklepać go po ramieniu, ale ich dłonie się zetknęły. Przez chwilę trzymał ją za rękę. Kiedy Fiona wyłoniła się z namiotu, prowadząc za sobą Olivie, opuścił ramię.

- Czy ktoś widział Blake'a? - zapytała Fiona.

- Widziałem go kilka minut temu razem ze Stevenem. Każdy z nich poszedł w przeciwną stronę - odparł Sam.

Dzisiejszego wieczora nie widziało się wysokich butów, kapeluszy i dżinsów. Mężczyźni mieli na sobie starannie wyprasowane spodnie i rozpięte pod szyją koszule, a kobiety suknie i buty na wysokich obcasach. Nie były to stroje formalne - te zachowano na jutrzejszy wieczór - ale świąteczne suknie wizytowe, uzupełnione naszyjnikami z pereł albo kolczykami z kryształu górskiego.

Ludzie wolno schodzili się do pawilonu, a dźwięki skrzypiec płynęły w powietrzu.

- Spójrz tylko na te gwiazdy - powiedziała Fiona. - Nigdy mi nie spowszednieją.

- Tobie nigdy nic nie powszednieje, Fiono - odparł Sam. - Wszystkim się cieszysz, jak dziecko.

- Uznam to za komplement. - Uśmiechnęła się do niego.

- Bo to właśnie miał być komplement. - Samowi sprawiało przyjemność, że otaczają go trzy najpiękniejsze kobiety na przyjęciu.

Blake czekał przy wejściu do pawilonu. Wydał się Cassie

jeszcze przystojniejszy niż zwykle. Był w niebieskiej koszuli odbijającej błękit oczu, miał krótko przycięte kręcone włosy i regularną twarz o zdecydowanych rysach, zbrązowiałą od długich dni spędzonych w słońcu. Trudno było zauważyć, że nie ma jednego ramienia.

- Pierwszy taniec należy do mnie - powiedział z uśmiechem. Nie tańczyła z nim od dziewięciu lat. Ostatni raz robili to jesienią trzydziestego dziewiątego roku, kiedy jechał przez dwanaście godzin do Augusta Springs, żeby zabrać ją na sobotnią zabawę. Od tego czasu nie tańczyli.

Orkiestra zaczęła grać stary, romantyczny przebój „Gwiezdny pył”. Blake wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie. Czowała jego ciało tuż przy swoim. Przytulił ją mocniej.

- Pamiętam, jak tańczyliśmy pierwszy raz - wyszeptał wtulając usta w jej włosy.

- W sylwestra trzydziestego ósmego roku.

- Więc ty też to pamiętasz? - Odchylił głowę i spojrzał jej w oczy.

- Oczywiście. Wydaje mi się, że to było całe wieki temu.

- Bo tak jest. To było, zanim świat się zmienił, kiedy nie utraciliśmy niewinności i jeszcze nie wiedzieliśmy, że życie może być takie trudne. Nigdy nie zapomniałem tych tygodni, które razem spędziliśmy. A czy ty czasami o nich myślisz?

- Nie. Nigdy.

Przytulił ją jeszcze mocniej.

- Kłamiesz. Byłem tchórzem, Cassie. Śmiertelnie mnie wystraszyłaś. Nikt przedtem nie podzielał na mnie tak jak ty. Bałem się do ciebie odezwać, chociaż napisałem chyba z tuzin listów. Wszystkie podarłem.

Podniosła na niego wzrok.

- Dlaczego teraz mi to mówisz?

- Ponieważ wczoraj na ciebie spojrzałem, tak jak nieraz w ciągu ostatnich lat, i zapragnąłem, żebyś się o tym

dowiedziała. Uciekłem od ciebie, Cassie. Nie wiem, co by się stało, gdyby nie wybuchła wojna. Zatrzymała się w pół tanecznego kroku.

- Blake, nie powinieneś tak do mnie mówić. Przestań. - Wyswobodziła się z jego objęć i zeszła z parkietu. Serce biło jej nierówno. Co on, u diabła, próbuje zrobić?

Mac Hamilton chwycił ją za rękę.

- Chodźmy, Cass. Wczoraj nie miałem szansy, ale dzisiaj nie przegapię okazji.

Godzinę później podszedł do niej Steven.

- Bałem się, że znikniesz, zanim poproszę cię do tańca. Uśmiechnęła się do niego.

- Wczoraj ani razu ze mną nie zatańczyłeś.

- Pani doktor, przysiągłbym, że pani ze mną flirtuje. Podczas tańca zapytał: - **Jak** ci się żyje samej?

- Spokojnie, bardzo spokojnie - odparła i zaczęła nucić w takt muzyki.

Następnego wieczora, w sobotę, kiedy setki ludzi w eleganckich strojach tańczyły w pawilonie przy muzyce granej przez dwudziestoosobową orkiestrę, sześćdziesięciu wybranych gości, właścicieli farm, zarządców i bliskich przyjaciół zostało zaproszonych na kolację do nowej siedziby Thompsonów. Sprowadzono zespół muzyczny z Sydney, a stoliki rozstawiono pomiędzy palmami, pod rozwieszonymi wśród drzew japońskimi lampionami. Każda z obecnych kobiet przez całe tygodnie poszukiwała odpowiedniego stroju na to największe w tej części kraju wydarzenie towarzyskie. Żadna jednak nie dorównała Fionie. Razem z Blake'em polecili do Sydney, gdzie Blake wytłumaczył projektantowi mody, o jaką kreację mu chodzi. Wszystko dokładnie opisał, włącznie ze specjalnie do tego stroju ufarbowanymi butami.

Teraz Fiona miała na sobie elegancką, ale prostą suknię ze szkarłatnego jedwabiu z tak głęboko wyciętym dekoltem, że Cassie wstydziłaby się tak wystąpić. W jej uszach i wokół szyi skrzyły się brylanty, jakich z pewnością nikt tu jeszcze nie widział.

Kiedy Cassie zdecydowała się przyjechać na bal, odnalazła na dnie szafy indyjskie sari, którego nigdy jeszcze nie nosiła. Było zrobione ze szmaragdowozielonego, delikatnego jak mgiełka jedwabiu, przetykanego złotą nitką. W Australii nikt nie nosi takich strojów. Cassie uśmiechnęła się na myśl o wrażeniu, jakie wywoła. I rzeczywiście wszyscy patrzyli na nią z zachwytem, chociaż nie mogła równać się z Fiona.

- Ty i Fiona wzbudzacie sensację - oznajmił Steven. Przy kolacji siedział po jej prawej stronie. - Zmieniłaś się, Cassie.

- Tak? W jaki sposób?

- Kiedy tu przyjechałaś, byłaś twarda jak kamień. Oschła, zdecydowana, rozsądna.

- A teraz? - zapytała z olśniewającym uśmiechem.

- Być może to dlatego, że nie musisz już nic udowadniać. Wszyscy wiemy, że jesteś doskonałą lekarką. A dzięki małżeństwu złagodniałaś. Teraz kobieca strona twojego charakteru jest bardziej widoczna. Byłaś dobra dla Chrisa. Dzięki tobie stał się innym człowiekiem. Dałaś mu nowe życie. Tak chyba byłoby z każdym mężczyzną.

- Steven, jak miło mi to słyszeć. Bardzo lubię być kobietą. Trio zaczęło grać i dźwięki melodii rozeszły się po całej okolicy.

- Chodź, Zatańczymy przy tej czarodziejskiej muzyce. - Wstał i podał jej rękę. Razem poszli do domu. Ledwie zaczęli tańczyć, ktoś odbił mu Cassie. Kilkanaście razy zmieniła partnerów, kiedy nagle obok niej pojawił się Blake.

- Teraz moja kolej. Jeśli cię komuś nie odbiję, nigdy nie doczekam się tańca albo w ogóle uciekniesz mi do jakiegoś chorego.

Otoczył ją ramieniem i poczuła to samo, co zeszłego wieczora. Miała wrażenie, że przez te wszystkie lata się oszukiwała i dotyk Chrisa nigdy na nią tak nie działał, jak dotyk Blake'a.

- Pięknie wyglądasz - wyszeptał.

- W tym indyjskim stroju mam prezentować się egzotycznie. - Bardzo chciała zachować niezobowiązujący, lekki ton rozmowy, a jednocześnie pragnęła, żeby Blake był blisko. Przez kilka minut tańczyli w milczeniu.

- Pamiętasz Kakadu? - odezwał się w końcu.

Serce jej przystało. Z wysiłkiem chwyciła powietrze i zaczęło znowu bić. Ale to nie było jej serce, tylko Blake'a. Czowała jego uderzenia tuż przy swojej prawej piersi.

- To było tak dawno temu. Zapomnij o tym.

- A ty potrafisz?

Zatrzymała się, popatrzyła na niego i odeszła. Nie zrobiła nawet kilku kroków, kiedy Sam chwycił ją za rękę.

- Hej, zdaje mi się, że tańczyłem z tobą tylko jitter-buga. Chodźmy, doktorku. Zatańczymy jakiś prawdziwy taniec.

Zrobiłaby wszystko, byle uciec przed Blake'em. Pilot nie przytulał jej tak mocno jak Blake. Łatwo wpasowała się w jego ramiona i razem sunęli po parkiecie.

- Z nikim nie tańczy mi się tak dobrze jak z tobą, Sam. To czysta przyjemność.

- Dla mnie też, doktorku.

- Olivia chyba świetnie się bawi. Spójrz tylko!

- Wspaniale wyglądasz w tym stroju - powiedział i objął ją ciaśniej.

Kiedy tańczyła z Samem, nie musiała nawet myśleć. Jej

ciało odgadywało, co za chwilę zrobi partner, zanim on sam jeszcze to wiedział.

Steven odbił ją, zanim jeszcze piosenka dobiegła końca.

- Zbyt długo już cię nie widziałem - oświadczył.

Ale kiedy zaczęła się następna wiązanka utworów, u jej boku wyrósł Blake.

- Moja kolej, tato. Nie możesz mieć Cassie wyłącznie dla siebie. - Gdy tylko znalazła się w jego ramionach, powiedział: - Jeśli chcesz przede mną uciec, Cassandro, to będziesz musiała bardzo się starać. A więc pamiętasz Kakadu? Nie byłem tego pewien.

- Blake, co ty chcesz zrobić?

- Tylko wspominać - szepnął prosto w jej włosy. - Wspominać jedno z najwspanialszych doświadczeń mojego życia. Jak to było, kiedy leżeliśmy pod gwiazdami, kochaliśmy się. Pamiętasz te aborygeńskie tańce? Boże, to była dla mnie najbardziej zmysłowa noc w życiu. - Odchylił głowę i spojrzał na nią. - Dla ciebie też, prawda?

Wszystko zniknęło. Wokół niej nie było już ludzi. Istniały tylko ramiona Blake'a i jego słowa.

- Och, Blake, tak bardzo cię kochałam. Kiedy odszedłeś, myślałam, że umrę.

Przytulił ją mocno.

- Nie kochałaś Chrisa, tak? Nie mogłaś pokochać tego sztywniaka po tym, co nas łączyło.

Wyrwała mu się. Kiedyś może by się z nim zgodziła, ale teraz Chris był dla niej kimś bardzo drogim.

- Ty wcześniej się ożeniłaś, nie pamiętasz? Nie mówmy o tym. Nie wracajmy do przeszłości.

- Ja nie potrafię zapomnieć.

- Nie bądź głupcem! - warknęła. - Żadne z nas o tym nie zapomni. Ale już do tego nie wracajmy, dobrze?

Otoczył ją ramionami.

- Często o tobie myślę - powiedział, kiedy zaczęli poruszać się w rytm muzyki.
 - Nie wiem, co zamierzasz, ale nie rób tego. - Jej ciało stało się sztywne. - Fiona to moja najbliższa przyjaciółka.
 - Moja też - odparł cicho. - To nie ma nic wspólnego ze wspomnieniami.
 - Schowaj je do pudełka i zamknij na klucz. Raz złamałeś mi serce i więcej na to nie pozwolę.
- Zatrzymał się na samym środku parkietu i wbił w nią wzrok.
- Co takiego zrobiłem? - Spostrzegł, że inni się im przyglądają, i znowu zaczął tańczyć.
 - Przestań, Blake. Po prostu skończ z tym. Proszę cię. Nie chcę z tobą tańczyć.
 - Cassie, ja...

Uciekła. Z wymuszonym uśmiechem zeszła z parkietu i wyszła przed dom, gdzie ludzie siedzieli przy stolikach pod rozkołysanymi lampionami. Minęła ich i poszła nad staw.

Oparła się o pień wielkiego gumowca, który zwieszał gałęzie nad wodą. Starła się uspokoić oddech.

- A więc teraz jest nas trzech. - W ciemnościach rozległ się głos Sama. Pilot wyszedł spod drzewa. Widziała tylko jego sylwetkę.

- Trzech?

Włożył ręce do kieszeni i oparł się o pień. Twarz miał ukrytą w cieniu.

- Tak. Blake, stary Thompson i ja. - Potem odwrócił się i zniknął w ciemnościach wśród drzew.

Cassie wpatrywała się w mrok, ale Sama już nie było. Chyba źle go usłyszała. Na pewno tak nie powiedział. Blake, stary Thompson i... i on?

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Susza ciągnęła się **tak** długo, że ludzie zaczęli nazywać cały australijski interior pustynią.

Sam codziennie narzekał na burze piaskowe.

Wylecieli z Cassie na dwudniowe badania do Kypundy i miejscowości położonych jeszcze dalej. Na noc zatrzymali się w Burnham Hill i po śniadaniu ruszyli na farmę Oliverów, wysuniętą pięćdziesiąt kilometrów dalej na zachód.

- Widoczność nieograniczona - z radością stwierdził Sam. - Pył osiadł, nie widzę ani ziarenka. Dzisiaj pójdzie nam gładko jak po maśle.

Cassie spojrzała przez okno. Już od miesiący nie widziała tak jaskrawoniebieskiego nieba. Srebrne skrzydła samolotu połyskiwały oślepiająco w słońcu. Pod nimi wysuszoną ziemię orały głębokie pęknięcia. Wszystkim źle się wiodło. Niektóre farmy stały opuszczone. W innych padły wszystkie zwierzęta. Wszędzie widziało się szczątki zwierząt i zbielełe kości milionów owiec i tysięcy sztuk bydła. Bydło nie ucierpiało tak bardzo jak owce, gdyż hodowano je głównie na północy, w tropikach, gdzie susza nie dała się tak we znaki jak w środku kontynentu.

Na farmie Cassie zbadła panią Oliver, która była w szóstym miesiącu ciąży, i dała zastrzyki z witamin jej dwojgu małym dzieciom. Zjedli razem z Oliverami posiłek, zachwycając się świeżo usmażonymi przez kucharza pączkami.

- Gotowa? - zapytał Sam.

Oliverowie odprowadzili ich do Land Rovera. Fred miał odwieźć Cassie i Sama na lądowisko, kilometr od domu. Kiedy jechali, Cassie na tylnym siedzeniu, a pilot obok Freda, Sam nagle wstał i spojrzał uważnie na zachód. Cassie podążyła za jego wzrokiem. Wielka ciemna chmura majaczyła na niebie.

- Cholera - zaklął Sam. - To chmura pyłu. - Usiadł i zwrócił się do Freda. - Będzie mi potrzebny toporek i liny. Trzeba przywiązać samolot.

Fred zawrócił i pomknął do budynku gospodarczego. Razem z Samem wybiegli z samochodu i po kilku minutach wrócili. Na siedzenie obok Cassie rzucili liny, narzędzia, maty i stare koce. Szybko ruszyli do samolotu.

- Doktoro, będziesz tylko przeszkadzała. Zostań na miejscu.

Patrzyła, jak mężczyźni uwijają się jak szale, wbijają kołki w ziemię i wiążą do nich samolot, używając do tego wszystkich przywiezionych lin.

- Musimy zakryć wloty powietrza - zawołał Sam. - Inaczej piach je zasypie i zablokuje na dobre.

Po wyrazie twarzy Freda poznała, że mężczyzna nie ma pojęcia, gdzie są wloty powietrza. Sam chwycił maty i koce i upchnął je w otworach. Odstąpił kilka kroków i przyjrzał się samolotowi.

Uderzyły ich pierwsze wściekłe podmuchy. Pilot podbiegł do Cassie.

- Wsiadajcie razem z Fredem do samolotu - polecił. Wskoczył do Land Rovera i ustawił go przed nosem

samolotu. Zaciągnął hamulce, wbiegł do maszyny i zatrzasnął za sobą drzwi.

- To żeby złamać siłę wiatru - wyjaśnił ciężko dysząc. - Nie wiem, co jeszcze można zrobić.

O jedenastej przed południem wokół zrobiło się ciemno jak w nocy. Słyszeli dochodzący z zewnątrz ryk wiatru, czuli jego siłę. W ciemnościach rozległ się niespokojny głos Freda.

- Chryste, mam nadzieję, że dzieci są w domu.

Po półtorej godzinie zaczęło się przejaśniać, ale samolot wciąż kołysał się w tył i w przód. Cassie spojrzała przez okno i ze zdziwieniem zobaczyła, że Land Rover się nie przewrócił.

- Spójrzcie tylko na ten piach - powiedział Sam, kiedy burza ucichła.

Samolot otaczały piaszczyste wydmy.

- Wrócę, żeby wam pomóc, ale najpierw muszę sprawdzić, czy Laurze i dzieciom nic się nie stało - oznajmił Fred.

- Jasne - zgodził się Sam i poklepał go po ramieniu. Otworzył drzwi i już miał zeskoczyć na ziemię, ale nagle się roześmiał. - Zobaczcie, piaskowa zjeżdżalnia. Możemy się po niej stoczyć. Natychmiast to zrobił, śmiejąc się i podskakując jak dziecko. - Fred, kiedy będziesz wracał, zabierz ze sobą kilka szufli, dobrze?

Fred pomógł Cassie wyjść z samolotu.

- Chodź ze mną - zaproponował. - Możesz przecież poczekać w domu, aż odkopimy samolot i Land Rovera.

Laurze nic się nie stało. Na widok męża i Cassie brnących przez piach, wybuchnęła płaczem ulgi.

- Dzięki Bogu - zawołała. - Bałam się, że porwał was wiatr.

Chrząszący pył pokrywał wszystko - krzesła, dywaniki, kuchenkę, lodówkę, kominek, parapety, obrazki na ścianach, nawet pościel.

Dwie godziny później, kiedy mężczyźni odkopali pojazdy i oczyścili pas, Sam połączył się z Horriem.
- Wracajcie do Burnham Downs - polecił radiotelegrafista. - Podczas burzy zdarzył się tam wypadek.
U nas nie było żadnego wiatru.

Tuż przed zmrokiem dotarli do Burnham Downs, gdzie brygadzysta złamał lewą nogę i rękę, kiedy wichura rzuciła go o drzewo. Przyniesiono go do domu, chociaż musiał krzyczeć z bólu. Leżał teraz z poszarzałą twarzą na podłodze w salonie. Ręka i ramię sterczały pod tak nienaturalnym kątem, że trudno było na to patrzeć.

Cassie przyklękła przy rannym i zbadala mu tętno.

- Masz czucie w palcach? - zapytała.

Homer, brygadzysta, skinął głową. W oczach miał dojmujący ból.

- To będzie bolało, ale muszę nastawić ramię. - Z tymi słowami pociągnęła go gwałtownie za rękę, tak że ramię się wyprostowało. Homer zawył, ale zaraz ucichł. - Przepraszam - powiedziała łagodnie. - Teraz muszę zrobić to samo z nogą, ale tym razem nie pójdzie nam tak szybko. - Podniosła wzrok na Sama. - Że też wcześniej o tym nie pomyślałam. Podaj mi torbę. - Wyjęła z niej buteleczkę przezroczystego płynu i strzykawkę. - Włóż ją na pięć minut do wrzącej wody - poleciła Danowi Elliotowi. Spojrzała na Homera. - Za chwilę nie będziesz czuł żadnego bólu - obiecała. Chłodną ręką pogładziła go po czole.

Potem, kiedy Homer jeszcze nie odzyskał przytomności, a ona już nastawiła mu nogę, Dan znalazł kilka deszczulek i razem z Samem przycięli je według wskazówek Cassie.

- Posłużą nam za tymczasowe łubki. - Umieściła je po obu stronach ramienia i przywiązała bandażem. To samo zrobiła z nogą.

- Wygląda jak kanapka - stwierdził Dan, nie mogąc stłumić uśmiechu.

Weszła Nancy i oznajmiła, że kolacja gotowa. zaproponowała im nocleg. Nie mieli wyboru.

Jak nie urok, to przemarsz wojska - powiedział Horrie następnego ranka, kiedy Sam się z nim połączył.

- Co się stało?

- W okolicach Oodnadatty zaginął samolot. Potrzebna każda pomoc.

- Mój Boże, to daleko.

- Nie mamy żadnych pilnych wezwań. Proszę, żeby wszystkie samoloty w promieniu ośmiuset kilometrów przyłączyły się do poszukiwań. Pamiętasz wypadek koło Kooka-burry? Samoloty przyleciały z całego kraju.

- To było prawie dwadzieścia lat temu, a do dzisiaj nie odnaleziono wraku.

- Wiem. Ale przynajmniej można powiedzieć, że zrobiono wszystko, co było możliwe.

- Dobrze. Na jakiej częstotliwości mamy czekać na polecenia?

Horrie podał mu dane.

Kiedy Sam wytłumaczył Cassie, co ich dzisiaj czeka, przede wszystkim pomyślała o Homerze.

- Możesz podać mu środek znieczulający - powiedział Sam. - W szpitalu i tak tylko położyliby go do łóżka, prawda? Złożyłaś mu nogę i rękę jak należało.

- Jeśli nic więcej nie trzeba robić, to może lepiej zostawcie go tutaj i lećcie do Oodnadatty sami. Ja się nim zajmę - zaproponowała Nancy.

- Byłabym spokojniejsza, gdybym odwiozła go do szpitala i upewniła się, że nie ma żadnych komplikacji.

- Lecicie na południe. Zostawcie go tutaj i wstąpcie po niego w drodze powrotnej. I tak będziecie musieli zatankować. Możecie to zrobić tutaj.

Cassie i Sam spojrzeli po sobie. Cassie skinęła głową.

- Dobrze - zgodził się pilot. - Dzięki, Nancy.

Kiedy dotarli w okolice Oodnadatty, dostali instrukcje przez radio.

- Dostaniecie wyznaczony kwadrat. Co pięćdziesiąt kilometrów będziecie nawracać i badać kolejny fragment terenu, szerokości mniej więcej trzech czwartych kilometra. Czy na pokładzie jest obserwator z lornetką?

Sam wręczył Cassie lornetkę.

- Wychodzą z założenia, że ta mała Cessna nie wylądowała w punkcie przeznaczenia, tylko zniosło ją dalej do przodu - oznajmił z irytacją w głosie. - Przy przednim wietrze to niemożliwe. Jeśli już, to zniosło ją gdzieś na bok.

Jednak przez dwie godziny postępował według polecenia. Potem połączył się z punktem dowodzenia.

- Proszę o zezwolenie zwiększenia obszaru poszukiwań i patrolowanie pasa szerokości dwóch kilometrów. W ten sposób szybciej przeczeszemy teren.

- Muszę zapytać dowódcy poszukiwań - odpowiedział radiotelegrafista. Po kilku minutach odezwał się znowu. Jego głos biegł z odległości tysiąca kilometrów. - Nie ma zezwolenia.

- Cholera - warknął Sam. - To, co teraz robimy, to strata czasu i paliwa.

Przemierzali kolejne odcinki, zawracając co pięćdziesiąt kilometrów. Cassie wypatrywała rozbitków w jaskrawych promieniach słońca. Widziała tylko brązową, niezmierną równinę, poraną pęknięciami. Nie było na niej śladu życia, a już z pewnością żadnego samolotu,

O piątej radiotelegrafista zawiadomił ich, że akcja jest

odwołana. Znalezione Cessnę trzysta dwadzieścia kilometrów na wschód od miejsca, które przeszukiwali Sam i Cassie. Pilot i pasażer byli zdrowi i cali, ale samolot rozbił się na kawałki.

- Musimy zatankować. Nie mam w zbiornikach wystarczającej ilości paliwa, żeby dolecieć do Burnham Downs. Wylądujemy i przeleję paliwo z beczek.

Wszędzie wokół było płasko, więc bez trudności mogli wylądować gdziekolwiek. Sam gładko usiadł na ubitej ziemi.

- Może coś zjemy? - zaproponował.

Nancy Elliot zapakowała im kanapki z wołowiną na zimno.

- Kochana kobieta - powiedziała Cassie, wyjmując prowiant z papierowej torby. - Dała nam nawet sałatkę z ziemniaków i pikle.

Sam przelał paliwo z dwustulitrowej beczki do zbiorników i przeciągnął się. Dobrze było znaleźć się wreszcie na świeżym powietrzu. Niebo na zachodzie stawało się fiołkowe a złote promienie otaczały zachodzące słońce.

- Nie możemy wylądować w Burnham Downs w ciemnościach - powiedziała Cassie.

Sam skinął głową i ugryzł kęs kanapki.

- Zawiadomię Horriego. Możemy albo lecieć na oświetlone lotnisko do Augusta Springs i jutro wrócić po pacjenta, albo zostać tu na noc, zaoszczędzić benzynę i przespać się pod gwiazdami.

Przez chwilę milczeli, jedząc kanapki. Na wschodniej części nieba, nad horyzontem, Cassie dostrzegła pierwszą gwiazdę. Czowała się spokojna i pogodzona ze światem.

- No to jak? - rzucił Sam, patrząc na nią pytająco.

- Jak chcesz.

- A ty co wolisz?

- Mnie wszystko jedno.

- Czy wystarczy nam kawy na śniadanie?

- Jeśli dzisiaj będziemy pić tylko wodę, to tak - odparła. W ciszy skończyli kanapki. Sam wstał.

- Połączę się z Horriem. Pewnie jest ciekaw, gdzie jesteśmy.

Cassie siedziała w gęstniejącym mroku. Niebo na zachodzie ciemniało od fioletu, przez krwistą czerwień do czerni. Nie rozległ się żaden dźwięk.

Nie zamienili z Samem ani słowa na osobiste tematy od balu w Tookarindze. Żadne z nich nie wspomniało o słowach Sama, że „teraz jest ich trzech”.

Cassie bała się nawet myśleć o tym, co Sam chciał powiedzieć. Przez tyle lat czuła się przy nim bezpieczna. Pilot miał żonę, w dodatku był jej przyjacielem i współpracownikiem. Nie chciała, żeby jej praca - i życie - zostały zaburzone.

Sam długo nie wychodził z kabiny. W końcu pojawił się niosąc koce. Rozłożył je obok samolotu.

- A może czułabyś się bezpieczniej śpiąc w środku? - zapytał.

Uśmiechnęła się, chociaż było zbyt ciemno, żeby to zauważył.

- Pewnie czułabym się bezpieczniej, ale to nie oyloby takie ekscytujące. Od lat nie spałam pod gwiazdami.

- Pamiętasz, jak wylecieliśmy pierwszy raz? Do tego poganiacza z pękniętym pęcherzem?

Operowałaś go w środku pustkowia.

- Myślałam, że trafiłam na koniec świata. Wtedy pierwszy raz słyszałam, jak się zaklina bydło. Wciąż mi się to wydaje niesamowite, chociaż słyszałam te śpiewy już wielokrotnie.

Usiadł obok niej, opierając się plecami o koło samolotu.

- Nawet nie przypuszczaliśmy, że po dziesięciu latach nadal będziemy ze sobą pracowali.

Roześmiała się.

- Myślałam, że mnie nie lubisz. Przewidywałam, że czeka mnie ciężka walka.

- Ja też tak myślałem. Byłaś twarda jak kamień. Bardziej przypominałaś mężczyznę niż kobietę.

Nosiłaś spodnie, klęłaś, zachowywałaś się stanowczo i sądziłem, że jesteś zimna jak ryba.

- Wciąż noszę spodnie.

- Tak, i nadal klniesz. Ale nie jesteś twarda jak kamień.

- Nie?

- Nie.

Cassie zadrżała od nocnego chłodu.

- Wtedy nawet nie myślałem o tobie jako o kobiecie.

- Właśnie, że tak - zaprotestowała. - Uważałeś przecież, że kobiety nie powinny być lekarzami.

Potępiałeś mnie.

- Może i tak - zgodził się. Spoglądał w atramentowe niebo. Gwiazdy wydawały się tak blisko, że chciało się ich dotknąć. - Brakuje ci Chrisa? - zapytał po chwili.

Cassie dla rozgrzewki objęła się ramionami.

- Czasami - przyznała.

Po minucie milczenia Sam zapytał:

- Od dawna się nad tym zastanawiam, chociaż to nie moja sprawa. Nie musisz odpowiadać. Kochałaś go, doktoru?

Cassie spojrzała w ciemność. Gwiazdy znaczyły niebo aż po horyzont.

- Kiedyś tak nie sądziłam, ale chyba go kochałam. Natomiast nigdy nie byłam w nim zakochana. Nie czułam tej magicznej siły, tej iskry elektrycznej. Nie znosiłam u niego wielu rzeczy. Ale chyba mogę powiedzieć, że w końcu go pokochałam. - Sam nic nie odpowiadał. - Uznawałam jego obecność za coś oczywistego, zbyt oczywistego. Irytowała mnie jego sztywność i uprzedzenia.

Ale był bardzo dobrym mężem. Chyba nawet polubił te dwie aborygeńskie dziewczynki, które adoptowała Fiona. Może nawet czegoś go nauczyły. Przekonał się, że Anna jest inteligentna. A wiesz, że kilka tygodni temu zgłosiła się do Fiony i zapytała, czy może wrócić do szkoły? Po tylu latach!

- Naprawdę?

Szczekanie psów dingo rozniosło się echem w oddali. Księżyc wzeszedł i zalał okolicę srebrną poświatą.

- Przekonałam się, że kocham Chrisa, dopiero kiedy umarł. To jest najsmutniejsze.

- Wielu rzeczy w życiu dowiadujemy się zbyt późno - odparł po chwili Sam. - Przynajmniej dałaś Chrisowi szczęście. Kiedy wróciłem z wojny, był zupełnie innym człowiekiem.

Przez minutę milczeli. W końcu Sam wstał i rozłożył ich śpiwory w odległości metra od siebie. Ułożył się do snu.

- Zaniemówiłem ze zdumienia, kiedy przeczytałem w twoim liście, że wyszłaś za niego za męża.

Wydawało mi się, że jeśli bylibyście jedynymi ludźmi na bezludnej wyspie, to i tak żylibyście osobno. Byłem pewien, że wyjdiesz za Blake'a.

- Ja też byłam tego pewna - przyznała Cassie. Weszła do śpiwora, ciesząc się jego ciepłem. Podłożyła ręce pod głowę i spojrzała w niebo. - To jest jak z bajki.

Sam oparł się na łokciu i spojrzał na Cassie.

- Co takiego?

- Niebo. Noc. Pustynia. To, że tutaj jesteśmy.

Miała ochotę wziąć Sama za rękę, ale się powstrzymała. Pragnęła zasnąć tutaj, daleko od świata, czując przy sobie jego bezpieczne ciepło. Kiedy zapadała w sen, wydawało jej się, że zapytał:

- Jeśli go nie kochałaś, to dlaczego za niego wyszłaś?
- Kto to wie? - odparła. - A czy ty wiesz, dlaczego się ożeniłeś?

Z dala doszedł do niej ledwie słyszalny głos.

- Dlatego, że ty wyszłaś za Chrisa.

Kiedy zbudziła się przed świtem, Sam jeszcze spał. Przyglądała mu się i nie wiedziała, czy to naprawdę był sen.

Rozdział pięćdziesiąty

Ta myśl mnie nie opuszczała od czasu, kiedy z tobą latałam i widziałam wszystkie te dzieci, którym potrzebna była nauka - mówiła Fiona. - Teraz zdecydowałam, że muszę znaleźć na to czas. Od lat się zastanawiam, co można zrobić, żeby umożliwić naukę wszystkim dzieciom w interiorze. Chyba znalazłam rozwiązanie, ale będzie mi potrzebna współpraca latających doktorów. W Alice już to robią.

- Co takiego? - zapytała Cassie.

Fiona przyleciała do miasta własną Cessną. Zrobiła to pierwszy raz.

- Prowadzą nauczanie przez radio - wyjaśniła. Jej oczy błyszczały entuzjastycznie. - Byłam w Alice i rozmawiałam tam z różnymi osobami. Wszyscy są tak podekscytowani, że aż przyjemnie popatrzeć. Cassie, to niewiarygodne. Wnoszą nowe życie do zagubionych w interiorze farm, pokazują świat dzieciom, które znają tylko własne podwórko. Nauczyciel opowiada im najróżniejsze historie, czyta książki, uczy rachunków, pobudza ich wyobraźnię! Przed tymi dziećmi otwiera się nowy świat! Oczywiście, mam też na myśli własne dzieci.

Cassie uśmiechnęła się do przyjaciółki. Od dawna już jej takiej nie widziała.

- Sądziłam, że nauka korespondencyjna jest dla wszystkich obowiązkowa.

- Oczywiście - potwierdziła Fiona, przeczesując ręką włosy. - Nie mam zamiaru odrzucać tej metody, chociaż daleko jej do doskonałości, jeśli czymś się jej nie uzupełni. Dziecko pracuje samo, chyba że pomaga mu matka, a ona nie zawsze ma odpowiednią wiedzę i czas. Dziecko próbuje uczyć się czytać, dodawać, odejmować i wypełnia formularze, które potem są wysyłane do jakiejś anonimowej postaci i po sprawdzeniu wracają do ucznia. Ale przez radio! Och, Cassie, każde dziecko miałoby kontakt z nauczycielką i z innymi uczniami. Życie stałoby się tak wesołe i urozmaicone, na ile tylko pozwalałaby wyobraźnia. Uczeń mógłby rozmawiać z kolegami, słyszeć ich głosy.

- Zawsze się zastanawiałam, co się dzieje, jeśli dziecko uczące się korespondencyjnie ma jakieś pytanie. Jak można mu odpowiedzieć?

Fiona klasnęła w ręce.

- No, właśnie! Rozmawiałam z Grahamem Pittem, dyrektorem PSM w Alice. To wspaniały radiotechnik. Powiedział, że to dałoby się zrobić przy przedłużonej transmisji radiowej. Potrzebny by był nowy sprzęt, ale może Romla zorganizowałaby jakiś bal dobroczynny, na którym zebrałabym fundusze. Ona się na tym zna.

- Kiedy skończysz, przypomnij mi, żebym ci coś o niej opowiedziała.

Zdawało się, że Fiona jej nie słyszy.

- Oczywiście, to oznacza, że nauczyciele musieliby opanować zupełnie nowe techniki nauczania - ciągnęła.

- To naprawdę trudne zadanie. - Cassie poszła do kuchni po nowy dzbanek herbaty. Znalazła właśnie u Teakle'a

i Robbinsa zupełnie nowy gatunek, o smaku czarnych jagód. Fiona bardzo w nim zasmakowała. -
Chciałabyś wrócić do nauczania?

- Bardzo bym chciała, ale nie mogę. Blake mi nie pozwoli. Musiałam go zapewnić, że moje zaangażowanie w te sprawy nie odciągnie mnie od domu, dzieci, wspólnych posiłków. Nie zrozum mnie źle, on też jest tym planem zafascynowany i cieszy się, że odegram choćby małą rolę w zmianie systemu kształcenia w naszym kraju. Jednak mogę mieć tylko nadzieję, że pomogę w uruchomieniu całego projektu. W Alice Springs nazywają to Szkołą w Eterze. Cassie, pomyśl tylko! Taka szkoła mogłaby działać przy każdej bazie latających doktorów. Wiesz, jak to odmieni życie wszystkich tych dzieci?

- Więc chcesz, żebym się dowiedziała, czy oddział w Augusta Springs zechce sponsorować tę akcję?

- Niezupełnie. Sama się tym zajmę. Chciałabym tylko, żebyś umożliwiła mi wygłoszenie przemówienia na następnym zebraniu rady. Zawsze bierzesz w nich udział.

- Dobrze. Zwołam posiedzenie albo poproszę Stevena, żeby to zrobił. Znow jest przewodniczącym, po ośmiu latach przerwy.

- Cieszę się, że znowu zaczął działać. - Fiona pokiwała głową. - Wnuki przywróciły go do czynnego życia, a teraz, kiedy znowu został sam, nie zamknął się w sobie. Żałuję tylko, że nia ma przy nim żadnej wspaniałej kobiety. - Fiona roześmiała się. - Nawet jeśli nie wspaniałej, to chociaż dobrej. Nie mógłby to być ktokolwiek. Steven ma tyle energii. Jennifer potrafiła dotrzymać mu kroku. Tak mi się wydaje, chociaż widziałam ją tylko dwa razy. Czasami kłóć się z Blake'em i Blake nie zawsze stawia na swoim.

Cassie poczekała, aż herbata się zaparzy i napełniła filiżankę przyjaciółki.

- Jak sobie wyobrażasz tę działalność?

Fiona wstała i gestykując zaczęła krążyć po pokoju.

- Pomyślałam sobie, że moglibyśmy znaleźć odpowiedniego nauczyciela, a potem porozmawiać z ludźmi z Alice. Pierwsza na ten pomysł wpadła niejaka Adelajda Miethke i wprowadziła go w życie. Mieszka w Adelajdzie. Śmieszny zbieg okoliczności: Adelajda z Adelajdy. Chciałabym ją odwiedzić i poradzić się. Może przyjechałaby do Alice albo nawet tutaj. Wiesz, Cassie, często leżę w nocy, kiedy Blake już zaśnie, i rozmyślam o tym wszystkim. Lekcje radiowe musiałyby się odbywać na kilku poziomach. Najpierw bajki i rymowanki dla dzieci, potem rachunki, język angielski i ortografia dla starszych, nauka o społeczeństwie, nauka o kraju, a później nauka o świecie.

- A muzyka? Czy możliwe byłyby lekcje muzyki?

- Pan Pitt twierdzi, że tak. Uczniowie mogliby razem śpiewać, słuchać muzyki i rozmawiać o niej. To byłoby cudowne!

Patrząc na Fionę, Cassie pomyślała, jak wspaniale nowy pomysł podziałał na Fionę. Chociaż przyjaciółka od czasu małżeństwa z Blake'em zawsze wydawała się szczęśliwa, ale teraz rozkwitała jak kwiat na pustyni. Jej entuzjazm udzielił się Cassie.

- No, dobrze! - roześmiała się Fiona. - Już skończyłam. Przyjechałam do miasta specjalnie po to, żeby zobaczyć, jak na to zareagujesz.

- Wspaniały plan. Zrobimy wszystko, żeby ci pomóc. Jestem pewna, że Horrie również się przyłączy.

- To dobrze, bo będzie nam potrzebny. Musimy dobudować od baraku radiostacji jeszcze jedno pomieszczenie.

- Tym lepiej. Już się nie mieścimy w tym małym pokoiku. Potrzebujemy nowocześniejszego sprzętu i więcej personelu do pracy w bazie. Teraz, kiedy można nas

wzywać dwadzieścia cztery godziny na dobę, Horrie sam nie daje rady. Przecież są jeszcze godziny plotek dla kobiet i trzeba odbierać telegramy. To za dużo pracy dla jednej osoby, chociaż Berty czasem mu pomaga. Ale ona jest zajęta dziećmi. Słyszałaś już nowinę? - Cassie roześmiała się. - W końcu przejęła inicjatywę i sama buduje werandę! Mówi, że ma już dosyć prażenia się latem na słońcu, w dodatku dom jest mały, więc buduje werandę samodzielnie! Fiona zachichotała.

- Czekala, żeby Horrie dotrzymał słowa przez... Ile to już czasu? Chyba z dziewięć lat!

- Nie jest głupia. Zamiast ciosać mu kołki na głowie, zrozumiała, że jego i jej potrzeby wcale nie muszą być takie same i jeśli chce mieć werandę, sama powinna ją sobie zbudować.

- My też mogłybyśmy się czegoś od niej nauczyć. Ale chciałaś mi coś powiedzieć o Romli.

Cassie pochylila się do Fiony.

- Jim Teakle w końcu się jej oświadczył!

- Najwyższy czas!

- I wiesz co? Tylko nie mów tego nikomu. Dopiero w tym roku pierwszy raz ją pocałował! Przez te wszystkie lata towarzyszył jej na tańcach, zabierał ją i dzieci na pikniki, co poniedziałek jadał z nią kolacje w naszym domu... Byłam pewna, że doszło między nimi co najmniej do pocałunków. Założył tutaj drużynę harcerską, tylko po to, żeby Terry mógł się do niej przyłączyć. Oczywiście, Terry jest teraz w szkole w Adelajdzie, ale kiedy przyjeżdża na wakacje, Jim traktuje go jak własnego syna. Zabiera go na polowania, spędza z nim wiele czasu, jakby był jego ojcem.

- A co z Rogerem? Odzywa się do Romli? Cassie potrząsnęła głową.

- Rzadko. Przysyła dzieciom prezenty na urodziny i na święta, ale nigdy ich nie odwiedza. Mieszka w Brisbane, a dzieci chodzą do szkoły w Adelajdzie. Wyobraź sobie, że Pam studiuje inżynierię na uniwersytecie.

Fiona usiadła.

- Kiedy ślub? - zapytała. Cassie wzruszyła ramionami.

- Myślę, że wkrótce. Romla mówi, że to będzie wydarzenie roku. Jej pierwszy ślub był bardzo skromny, więc teraz chce zaszaleć. Uważa, że kobieta nie powinna wychodzić za mąż bez odpowiedniej wyprawy. Martwi ją, że w Augusta Springs nie można kupić eleganckiej bielizny.

- Masz na myśli coś, w czym wygląda się pikantnie?

- Właśnie. Zdecydowała więc, że otworzy tu własny sklep z bielizną. Wyobrażasz to sobie!

- Gdyby to było jej jedyne przedsięwzięcie, zbankrutowałyby. Tutejsze kobiety nie mają pieniędzy na takie rzeczy. Poza tym, czy wyobrażasz sobie, żeby któraś z tych kobiet na odległych farmach spała w takiej ekstrawaganckiej bieliźnie? To się Romli nie uda.

- Wiem - zgodziła się Cassie. - Ale chyba stać ją na taki eksperyment. Królewskie Palmy to jeden wielki sukces. Właściciele zaproponowali jej, żeby została współniczką. Nie musi nawet wносить wkładu pieniężnego. W planach jest rozbudowa hotelu.

- A więc dwudziesty wiek dotarł nawet do naszej części świata. Ale przecież teraz, kiedy Romla wychodzi za mąż, chyba przestanie pracować w hotelu?

Cassie przyjrzała się uważnie Fionie.

- Dlaczego? Ona kocha tę pracę. Fiona bezradnie wyrzuciła do góry ręce.

- No, tak. Ale praca zawodowa i życie małżeńskie...

- Ależ, Fi, ta praca ją ekscytuje. Chcesz powiedzieć, że powinna z niej zrezygnować, żeby zająć się sprzątaniami i gotowaniem?

Fiona zrobiła zakłopotaną minę.

- Przecież zwykle tak bywa. Cassie uśmiechnęła się.

- Pomyśl tylko o sobie i o twoim nowym zamierzeniu. Nie pamiętam, żebyś z takim zapałem mówiła o prowadzeniu domu i zmienianiu pieluch.

- To się robi z miłości, nie dla przyjemności.

- A gdzie jest napisane, że kobieta nie może z pracy czerpać przyjemności?

Fiona nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- No... Ale, Cassie, gdybym się upierała, że sama poprowadzę tę Szkołę w Eterze, Blake by się wściekł. Nigdy by mi na to nie pozwolił.

- Nie pozwoliłby ci? - zawołała Cassie. - Fiona, przecież nie jesteś jego dzieckiem!

- Wiem, wiem. Ale przecież moim zadaniem jest prowadzenie domu.

- I bardzo dobrze - przytaknęła Cassie. - Jeśli tylko tego chcesz. Ale Romla jest w innej sytuacji. Czy wszyscy musimy żyć tak samo?

- Łatwo ci mówić. Nie jesteś mężatką, nie odpowiadasz za męża, dzieci, wielki dom i służbę. Och, kochanie, przepraszam. Nie chciałam... No, wiesz...

Cassie machnęła ręką.

- Wydaje mi się, że czasem ja zazdroszczę tobie, a czasem ty mnie. Ale wróćmy do twojego pomysłu, który chcesz przedstawić PSM. Ta instytucja bardzo się rozrosła i działa teraz w ośmiu bazach w całym kraju. Zatrudnia dwunastu lekarzy. W przyszłym tygodniu odbędzie się ogólna konferencja w Sydney. Wybieram się na nią. Steven też jedzie.

Porozmawiam z nim o Szkole w Eterze, ale uważam, że i ty mogłabyś zamienić z nim słowo.

- Już to zrobiłam. Jego nie muszę przekonywać, tylko innych przewodniczących rad.

- Wszystko chyba sprowadza się do pieniędzy. Zrzucę to na ramiona Romli, chociaż na razie będzie zbyt zajęta przygotowaniem do ślubu.

- Tylko jej o tym wspomnij i zaczekaj, aż wróci z podróży poślubnej. Założę się, że natychmiast przystąpi do działania. Czeka nas wiele pracy od podstaw i pewnie upłynie rok, zanim projekt ruszy.

- Fi, dlaczego częściej nie przyjeżdżasz do miasta? Uwielbiam te nasze rozmowy w cztery oczy.

- Teraz, kiedy zajęłam się szkołą, pewnie będę tu przylatywała kilka razy w miesiącu. Mamy już samolot i helikopter, więc nie będzie to trudne. Jednak myślę, że powinnam wyjeżdżać z domu tylko wtedy, kiedy Blake też wyjeżdża. Kiedy wraca, lubi, żebym przy nim była. - Fiona usiadła wygodniej i spojrzała na przyjaciółkę. - Myślałaś o tym, żeby powtórnie wyjść za mąż? Masz przed sobą całe życie. Skończyłaś dopiero trzydzieści siedem lat. Jesteś jeszcze młoda.

- Wcale nie czuję się stara, ale małżeństwo? Chyba nie.

- Ja uważam, że jestem w kwiecie wieku. I ty też. Podziel się życiem z jakimś wspaniałym mężczyzną. Nie chciałabyś mieć dzieci?

- Jeśli byłyby takie śliczne i grzeczne jak twoje dzieci, to owszem. - Cassie nie mogła odegnać od siebie pytania, czy dziecko jej i Blake'a byłoby podobne do dzieci Fiony.

- Nie jesteś za stara na dziecko, jeśli tylko tego pragniesz. Ja nie mogę się doczekać, kiedy wyjdę z tego wieku. Nie chcę więcej dzieci. Troje wystarczy. Rozejrzyj się, Cassie. Jestem przekonana, że zdobyłabyś każdego mężczyznę. Znajdźmy dla ciebie męża, przyszłego ojca twoich dzieci!

- Fiono, proszę, nie mów tak. - Cassie potrząsnęła głową. - Poza tym, znam wszystkich w okolicy i nie widzę odpowiedniego kandydata.

- Nikogo?

- Jeśli, to jest już zajęty.

Może powinna się przeprowadzić, gdzieś wyjechać i założyć prywatną praktykę. Rozpocząć nowe życie. Przecież mieszka w Augusta Springs już od dziesięciu lat.

W przyszłym tygodniu rozejrzy się po Sydney.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Bardzo się cieszyłem na nasz wspólny wyjazd. - Steven zajął miejsce obok Cassie. - Tak rzadko cię widuję. Cassie też cieszyła się z wyjazdu.

- Kiedy ostatni raz wyjeżdżałaś gdzieś z Augusta Springs? - zapytał, zapinając pasy.

Przez bez mała jedenaście lat pobytu w tym mieście Cassie nieczęsto je opuszczała. Była w Kakadu z Blake'em. W Townsville. Spędziła miesiąc w Brisbane na kursie dla pilotów. Trzy lata temu zmarł ojciec, więc pojechała na pogrzeb od Sydney.

- Trzy lata temu - odpowiedziała Stevenowi.

- Ja jeszcze dawniej. Blake krąży po całym kraju, ale mnie nie kusi, żeby gdzieś się ruszyć z Tookaringi. W każdym razie nie dalej niż do Augusta Springs.

Stewardesa zapytała, czy nie schować mu kapelusza. Steven uśmiechnął się.

- Już się czuję jak na wakacjach. Żebym tylko nie zapomniał opowiedzieć ci pewnej zdumiewającej historii. Fiona mnie o to prosiła. To się wydarzyło w zeszłym tygodniu.

Cassie rozejrzała się. Duży samolot rejsowy tak bardzo się różnił od tego, do którego była przyzwyczajona.

- Kiedy pierwszy raz jechałam do Augusta Springs, trwało to trzy i pół dnia - powiedziała. - Teraz lot zabierze nam zaledwie kilka godzin.

Steven kiwnął głową. Widać było, że bardzo chce opowiedzieć jej tę historię.

- W zeszłą środę siedzieliśmy z Fioną na werandzie. A może to był czwartek? Nieważne. To było u mnie. Piliśmy lemoniadę. Dochodziła czwarta, kiedy na drodze zobaczyliśmy kobietę w długiej sukni. Niosła płócienną torbę. Nie przerwaliśmy rozmowy, ale oboje na nią patrzyliśmy. Była coraz bliżej. Zastanawialiśmy się, czy to nie fatamorgana. Rozgrzane powietrze nad samą ziemią lekko drgało, sama wiesz, jak to wygląda, więc przyszło nam do głowy, że kobieta tylko nam się przywidziała. Przecież nikt tutaj nie chodzi na piechotę po drogach. Wkrótce przestaliśmy rozmawiać i patrzyliśmy na tę zjawę. Ubrana była w wiktoriański strój, a nad głową, dla ochrony przed słońcem, niosła parasolkę w tym samym kolorze co kostium, czyli szarym. POd zakietem miała białą bluzkę z falbaniastą wysoką stójką, a na głowie wielki kapelusz z kokardą pod brodą, z takich jakie się nosiło w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Miałem wrażenie, że ta zjawka zaraz zacznie śpiewać - roześmiał się. - Wiesz, tak jak na starych filmach.

Wzbili się już w powietrze, więc stewardesa podeszła i zaproponowała im coś do picia.

- Kiedy już byliśmy pewni, że idzie właśnie do nas, spojrzeliśmy na siebie, wstaliśmy i poszliśmy jej na spotkanie - ciągnął Steven. - Zobaczyliśmy, że kobieta ma jasne włosy, ukryte pod kapeluszem, i najbardziej błękitne oczy, jakie w życiu widziałem. Ale nie ma co, wyglądała dziwnie w tych ciuchach, które pewnie były modne z pięćdziesiąt lat temu.

Cassie podejrzewała, że Steven zmyśla, ale opowiadał

z takim entuzjazmem i tak dokładnie, że musiała mu uwierzyć.

- Ile miała lat? - zapytała. Steven uniósł brwi.

- Mniej więcej czterdzieści pięć. Skinęła nam głową i wyjęła z rękawa zakietu chusteczkę, którą wytarła pot z czoła. Zapytała Fionę, czy to ona jest panią Thompson. Fiona powiedziała, że tak, i zaproponowała jej lemoniadę. Kobieta odpowiedziała, że to cudowna propozycja. Wziąłem od niej torbę i poszliśmy wszyscy na werandę. Wydawało się, że wszyscy przenieśliśmy się do wiktoriańskiej powieści. Nieznajoma miała cichy, łagodny głos, taki co to trzeba natężyć ucho, żeby coś usłyszeć. Powiedziała, że nazywa się Lucy Martin i właśnie przyjechała z Anglii.

Mówię ci, Cassie, to zadziwiająca historia. Opowiedziała nam, że przestudiowała mapy, żeby sprawdzić, gdzie leżą aborygeńskie wioski. Trzy z nich zobaczyła w północnej części naszej posiadłości. Zawsze tam były rozrzucone na planie trójkąta, w odległości mniej więcej trzydziestu kilometrów jedna od drugiej. Chciała dostać nasze pozwolenie na rozbicie tam namiotu i zamieszkanie na stałe. Jej celem jest nauczanie aborygenów. Wyobrażasz to sobie?

- Fiona od lat próbuje to robić - odparła Cassie. Steven przytaknął.

- Lucy Martin słyszała, nie mam pojęcia gdzie, że Fiona się tym interesuje, i dlatego właśnie wybrała nasze ziemie. Wyznała, że aborygeni fascynują ją od czasu, kiedy studiowała archeologię na uniwersytecie. Przez długie lata pracowała, oszczędzała pieniądze i nauczala, żeby zamieszkać między, jak to określiła, rdzennymi mieszkańcami tego kontynentu. Chce badać ich zwyczaje. Dasz wiarę? Twierdzi, że zmierzała do tego celu od dziewiętnastego roku życia, choć po drodze zboczyła, bo wyszła za męża. Jej małżonek zmarł dwa lata temu.

- Jak się dostała do waszego domu?

- Przyjechała autobusem. Wiesz, autobus przejeżdża główną drogą, jakieś jednaście czy dwanaście kilometrów od domu. Resztę trasy przebyła piechotą.

Stewardesa przyniosła im napoje.

- I co powiedziała Fiona? - zapytała Cassie.

- Znasz naszą Fi. Od razu zerwała się na równe nogi i uściskała tę kobietę. Powiedziałem, że powinna ją tam odwieźć Land Roverem, ale Fiona zdecydowała, że wygodniej będzie helikopterem. Widzisz, ja jeszcze nie nawykłem do tych nowych cudów techniki. Zadałem jej też kilka konkretnych pytań, na przykład, jak będzie sprowadzała konieczne do życia sprzęty i co będzie jadła. Powiedziała, że będzie jadła to samo co „rdzenni mieszkańcy kontynentu” i wyjaśniła, że zostawiła namiot pod drzewem, przy przystanku autobusowym, bo był zbyt ciężki, żeby go nieść aż do domu.

- A co z jej ubraniem? Jak to wytłumaczyła? Roześmiał się.

- Fiona ją o to zapytała. Odpowiedziała: „Doszłam do wniosku, że skoro zaczynam nowe życie, powinnam się ubierać tak, jak chcę, a epoka wiktoriańska zawsze była mi bliska. Poprosiłam krawcową, żeby mi uszyła dwa stroje. Bardzo dobrze się w nich czuję, tylko trochę mi gorąco.” Fiona, jak pewnie się domyślasz, miała na sobie szorty.

- Jak sądzisz, jak ją przyjmą aborygeni? - zapytała Cassie ze śmiechem.

Steven wydał wargi i zmrużył oczy,

- Kto to może wiedzieć? Nie chciała naszej pomocy. Pragnie rozpocząć nowe życie, tak jak to sobie wymarzyła. Fiona dała jej kilka książek. Udało nam się ją namówić, żeby została u nas dwa dni, zanim odleci na północny zachód naszych ziem, na tereny zamieszkane wyłącznie przez

aborygenów. Raz na dwa czy trzy lata pasiemy tam bydło, ale nie za często.

- Spodobała ci się?

- To ekscentryczka, ale czy właśnie nie tacy jak ona sprawiają, że nasza część świata jest taka interesująca? Ilu znasz tu miłych, normalnych, dobrze przystosowanych ludzi?

- To prawda - zgodziła się Cassie. - Wszyscy tu są trochę dziwni; inaczej na pewno mieszkaliby w miastach, gdzie żyje się łatwiej. John Flynn powiedział mi kiedyś, że w interiorze mieszkają dwa rodzaje ludzi: tacy, którzy przed czymś uciekają, i tacy, którzy czegoś poszukują.

- Być może. - Steven ułożył się wygodnie w fotelu. - Mam nadzieję, że pozwolisz mi zaprosić się do restauracji, kiedy już zacznie się nasza przygoda w wielkim mieście. Bardzo na to liczę. Tymczasem trochę się zdrzemnę. - Zamknął oczy i natychmiast zasnął.

Cassie wyglądała przez okno i uśmiechała się na wspomnienie historyjki, którą jej opowiedział.

Kobieta w stroju sprzed pięćdziesięciu lat, pojawiająca się jak fatamorgana, w samym środku tego wielkiego, niemal pustego kontynentu.

Trzydniowe spotkanie, oprócz tego, że dało Cassie wspaniałą okazję do odnowienia znajomości z Johnem Flynnem, okazało się bardzo stymulujące. Z każdej z baz przyjechał jeden lekarz i jeden członek rady. Wszyscy dzielili się pomysłami, jak zdobyć pieniądze na dalszą działalność i wymieniali nowe, bardziej skuteczne metody działania. Przedyskutowali też ogólnokrajowe zasady działalności latających doktorów i zdecydowali, że każdy ośrodek powinien zachować samodzielność. Wśród obecnych były tylko dwie kobiety: Cassie i człon-

kini rady z Australii Południowej. Mimo to w przeciwieństwie do tego, co zapamiętała z akademii medycznej i okresu praktyki, wszyscy koledzy traktowali ją z szacunkiem. Dłużej od niej dla latających doktorów pracował tylko Allan Vickers, który już przeszedł do legendy. Z radością zobaczyła wśród zebranych Dona McLeoda.

- John mnie prosił, żebym nie tracił z nim kontaktu -wyjaśnił Cassie. - Chociaż już nie jestem wędrującym duchownym, od czasu do czasu odwiedzam swoje dawne okręgi i wspieram pracujących tam obecnie pastorów. Alice Springs to oczywiście punkt centralny, chociaż leży w samym środku pustkowia. To również jedyna baza w północnej części kraju. Darwin ma już własne pogotowie ratunkowe. Oczywiście, wiem, że czasami w nagłych wypadkach przylatujesz w nasze strony. Wydaje mi się, że nigdy nie będzie u nas wystarczająco gęstego zaludnienia, żebyśmy zostali oddzielnym stanem.

- Trudno mi w to uwierzyć. Zobacz, ilu ludzi osiedla się w buszu w Australii Południowej i w Queenslandzie. Myślę, że i to terytorium się zaludni. Z pewnością za dwadzieścia lat zostanie samodzielnym stanem.

Dan potrząsnął głową i uciszył ją ruchem ręki.

- Brak wody hamuje osadnictwo. A wilgotność w okolicach Darwin, Kakadu i Ziemi Arnhema jest tak duża, że przez wiele miesięcy w roku trudno tam żyć. W porze deszczowej, od stycznia do marca, mieszkańcy popadają w letarg.

- Tak słyszałam. Bardzo się cieszę, że nie opuściłeś naszej organizacji. Nie wspominałeś o tym w swoich listach. A jak rodzina? - Don nie pisał już do niej co tydzień, ale nadal znajdował czas, żeby przynajmniej raz na miesiąc przesałać jej krótki liścik. Jednak nigdy nie pisał nic o sobie.

- Rozrasta się - powiedział z uśmiechem. - Numer cztery jest już w drodze.

- Mój Boże, kiedy to mówisz, czuję się taka stara. Don objął ją i pocałował w policzek.
- Chcesz, żebym znalazł ci męża? - zapytał. Nie był to tylko żart.
- Nie, dziękuję. Jestem naprawdę zadowolona z życia, jakie teraz prowadzę. - Jednak w głębi duszy czuła niepokój. Przypomniała sobie, że miała rozejrzeć się po Sydney i zobaczyć, czy podoba jej się tu na tyle, żeby opuścić Augusta Springs.

I rzeczywiście, miasto jej się podobało. Prawdę mówiąc, zakochała się w nim na nowo. Przypomniała sobie, że gdziekolwiek mieszkała, w San Francisco, Londynie czy Waszyngtonie, uważała dom dziadków za swoje gniazdo rodzinne. Stary dom stał nad rzeką wpadającą do oceanu przy porcie i Cassie powiedziała Stevenowi, że chciałaby go zobaczyć.

Nie tylko obejrzeliby stare domostwo, świeżo odmalowane i tak ładne, jak je Cassie zapamiętała z dzieciństwa, ale nawet zapukali do drzwi. Wytłumaczyła nowym właścicielom, że spędziła tu część swojej młodości, i zapytała, czy może zajrzeć do środka. Właściciele poczęstowali ją i Stevena herbatą.

We trójkę, razem z Donem, obejrzeliby port z pokładu promu i spędzili popołudnie w zoo. W dzień po zakończeniu konferencji popłynęli promem do Manly i przez godzinę spacerowali po plaży.

- Zróbmy coś szalonego - zaproponował Steven, więc Cassie poddała mu myśl, żeby odwiedzić nocny klub w King's Cross. Kiedy tam szli, minęły dwie dziewczyny, ubrane w krótkie, obcisłe spódnice. Stały oparte o latarnię i uśmiechały się do przechodzących mężczyzn.

- Myślisz, że to prostytutki? - zapytała Cassie.

- Chyba tak. Ale nie sądziłem, że taka miła młoda dama jak ty wie coś na ten temat.

- Mam nadzieję, że żartujesz. Czy tylko dlatego, że jestem kobietą, mam nic nie wiedzieć o mrocznej stronie życia?

Nocny klub okazał się miejscem przyzwoitym, chociaż hałaśliwszym, barwniejszym i wypełnionym bardziej ekstrawagancko ubranymi ludźmi niż jakikolwiek lokal w Augusta Springs. Cassie i Steven tańczyli do muzyki tak głośnej, że nie dało się prowadzić rozmowy. Pili szkocką z lodem i dużo się śmiali.

Odprowadzając ją do pokoju hotelowego, Steven zaproponował:

- Spotkajmy się rano przy śniadaniu, jeszcze przed wyjazdem, o siódmej, w hotelowej restauracji.

Rano, kiedy zeszła na dół, powiedział:

- Nie pamiętam, kiedy się tak dobrze bawiłem. Ostatniej nocy nie zmrużyłem oka, Cassie. Dlaczego się nie pobierzemy? Razem mielibyśmy wspaniałe życie. Wydaje mi się, że przez te ostatnie lata, z roku na rok, coraz bardziej się w tobie zakochuję. Przy tobie czuję, że żyję. Zamieszkaj ze mną w Tookarindze.

Cassie była bardzo zaskoczona.

- Steven, nie psujmy wspaniałej przyjaźni. Ja cię bardzo kocham, ale jako najdroższego przyjaciela, kogoś, na kim zawsze mogę polegać i na kim bardzo mi zależy. Ale nigdy nie pokocham cię w inny sposób. I chcę, żebyś był obecny w moim życiu. Nie wyobrażam sobie, że mogłoby w nim zabraknąć Stevena Thompsona.

- Tego się właśnie obawiałem. Wiem, wiem. Jestem od ciebie o dwadzieścia pięć lat starszy.

Myślałem... Teraz, kiedy Chris... że ty...

- Nie byłabym zadowolona mieszkając w Tookarindze. Czułabym się tam jak w klatce, a ty nie zniósłbyś żony, która chciałaby nadal pracować, wylatywałaby do chorych

na każde wezwanie i nie interesowała się prowadzeniem domu.

W uśmiechu Stevena widać było żal.

- Dobrze, dobrze. Masz rację. Sądziłem tylko, że jesteś już gotowa, żeby zacząć prowadzić spokojne, rodzinne życie.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek będę do tego gotowa. - Przypomniała sobie, jak Jennifer przestała malować, kiedy pojawiła się szansa, że stanie się bardziej znana niż mąż.

Kiedy samolot lądował w Augusta Springs, Cassie uświadomiła sobie, że zapomniała rozejrzeć się po Sydney i sprawdzić, czy mogłaby się tam przeprowadzić.

Doszła do wniosku, że to jest odpowiedź na jej pytanie.

Rozdział pięćdziesiąty drugi

W zeszłym tygodniu krzyczał na mnie jak szaleniec! Zachowywał się tak, jakby mnie nie poznawał! Postawiłam przed nim talerz zupy, a on nim rzucił przez cały pokój! Nie mam zamiaru tego znosić.

To, że dostał dreszczy, nie powstrzyma mnie przed wyjazdem - oświadczyła Olivia.

- Liv, on cierpi na malarię - tłumaczyła Cassie. - Tacy chorzy często dziwnie się zachowują.

- Wiem, sama widziałam. Można by pomyśleć, że się upił. Wyśpiewywał jakieś piosenki, a potem wybuchał płaczem. I przeklinał. Nigdy, przenigdy nie słyszałam, żeby przedtem tak się wyrażał.

Cassie skinęła głową.

- To typowe objawy. Chorzy na malarię czują się dobrze przez kilkanaście godzin, a następnie dostają zimnych dreszczy i zlewają się potem. Dziwnie reagują, mają halucynacje...

- Tak, wmawiał mi, że widzi różne rzeczy...

- Często atakują tych, którzy się nimi opiekują.

- Nie mam zamiaru tego znosić!

Olivia stała wśród walizek. Naciągnęła białe rękawiczki i skinęła na dzieci.

- Wracam tam, gdzie ludzie wkładają takie rękawiczki, kiedy udają się gdzieś z wizytą. Tam, gdzie jadę, jest dużo trawy i drzew, które tracą liście na zimę, a mgła unosi się nad wrzosowiskami... - Głos miała napięty. - Ludzie nie umierają na malarię, prawda?

- Zwykle nie.

- Nie mam pojęcia, dlaczego zachorował akurat teraz. Chyba, żeby mnie zatrzymać. Nie przypuszczałam, że mu na tym zależy. Zawsze gdzieś razem latacie w tym okropnym samolocie. Już przedtem mi się to nie podobało, ale od kiedy Sam nie pracuje dla Quantas, tylko bezpośrednio dla latających doktorów, można by pomyśleć, że ten samolot to jego własność.

- Bo tak też jest.

Był to piękny, trójsilnikowy Drover, który w porównaniu ze starym samolotem latał jak marzenie, chociaż miał swoje wady. Trudno o samolot lepiej dostosowany do potrzeb latających doktorów. Miał radiokompas o dużym zasięgu, który automatycznie podawał położenie i kierunek lotu. Maszyna miała wspaniałe możliwości nawet poniżej prędkości przeciągnięcia. Ale brakowało jej stabilności i za sterami trzeba było bardzo uważać, bo inaczej zaczynało ją rzucać. Nie można było czytać gazety ani robić notatek, gdyż wtedy samolot mógł zawrócić na lotnisko. Był zbyt ciężki jak na tak małe silniki, które jednak o wiele mniej paliły.

Mimo że trzeba było bardzo na niego uważać, samolot stał się wielką radością Sama i Cassie, szczególnie po kłopotach ze starym.

- Praca jest dla ciebie taka ważna, bo nie masz w życiu nic innego, ani męża, ani dzieci, nikogo. A Sam ma rodzinę. Powtarzałam mu, żeby wrócił do Quantas, zatrudnił się na liniach międzynarodowych. Moglibyśmy wtedy mieszkać gdzieś na przedmieściach Sydney, chodzić na koncerty i do

kina. Dzieci miałyby miłe otoczenie, bo tutaj wkoło tylko konie i piasek. Okropna prowincja! Cassie często słyszała takie narzekania, szczególnie od kobiet. Jej wydawało się to śmieszne... Wychowała się w trzech wielkich miastach, ośrodkach światowej kultury, a jednak tutaj znalazła esencję życia. W małym mieście nie można było mieć sekretów, ale ludzie naprawdę troszczyli się o siebie nawzajem. Augusta Springs było nie tylko sercem kontynentu, ale i centralnym punktem całego świata Cassie.

Olivia przestała niespokojnie krążyć po pokoju i spojrzała na Cassie.

- Powiedz mi coś o malarii. - Zerknęła na zegarek.
- Wywołują ją nieskończenie małe jednokomórkowe pasożyty, przenoszone przez komara widliszka.
- Nie możesz mówić prostszym językiem? - zniecierpliwiła się Olivia.
- Malaria stała się wielkim problemem medycznym podczas wojny. Mężczyźni nie uodpornieni na tę chorobę trafiali do stref tropikalnych i zarażali się całymi tysiącami.
- Czy tak właśnie nabawił jej się Sam?
- Tego nie wiem, ale my często latamy do strefy tropikalnej. Malaria występuje endemicznie wśród aborygenów. Nie mają gwałtownych objawów, ale wielkie ilości pasożytów krążą w ich krwi. Ucieka z nich energia, ale żyją tak wiele lat, nieświadomi choroby. Czasami to, co bierzemy za lenistwo, jest skutkiem malarii. Biali, którzy nie nabyli odporności, dostają ostrych objawów choroby, nawet jeśli niewielka ilość pasożytów przedostanie się do krwi.

Olivia się skrzywiła.

- To znaczy, że jakieś małe stworzenia krążą we krwi Sama? Czy to jest zaraźliwe?

- Nie. Można się *zarazić* tylko przez ukąszenie komara. Na początku nie ma żadnych objawów. Czy Sam ostatnio narzekał na bóle głowy? Komar mógł go ugryźć od tygodnia do miesiąca przed tymi dolegliwościami. Teraz mamy do czynienia z typowym stadium zaburzeń psychicznych. Drgawki, nagle uczucie zimna, a zaraz potem wysoka gorączka, przyśpieszony oddech, obfite zlanie potem przy gwałtownym spadku temperatury, halucynacje...

- A potem wszystko mija?

- Niekoniecznie. Te same objawy mogą powracać, kiedy więcej pasożytów znajdzie się we krwi, co dwa albo trzy dni. Zawiozę go do szpitala, żeby miał stałą opiekę. Będzie się pocił, więc pielęgniarki muszą zmieniać pościel kilka razy na dobę. Prawdopodobnie trzeba też będzie pilnować, żeby fizycznie nie zrobił sobie krzywdy.

- Dlaczego Sam? Dlaczego teraz?

Cassie z niedowierzaniem patrzyła na żonę Sama. Olivia zapaliła papierosa i dmuchnęła jej dymem prosto w twarz.

- Gdzie jest ta taksówka? Dzieci, wyjdźcie na ganek. Zawołajcie mnie, kiedy taksówka wyjedzie z za rogu. To właśnie cały Sam! Rozchorował się akurat wtedy, kiedy ja muszę jechać na stację.

Cassie chciała powiedzieć jej więcej o chorobie, na którą cierpiał mąż, ale Liv najwyraźniej nie była tym zainteresowana.

- Więc będzie miał powtarzające się ataki - powiedziała Olivia. - Chcesz powiedzieć, że tak już do końca życia?

- Jeśli zaraził się szczególnie groźną odmianą, a u człowieka występują cztery odmiany, wtedy wszystkie pasożyty naraz uwalniają się z wątroby i występuje tylko jeden atak, ale bardzo ostry.

- Jak poznać, która to odmiana?

Cassie miała wrażenie, że Liv wcale jej nie słucha.

- Tego nie wiadomo. Ale jeśli choroby się nie leczy, ataki powracają całymi latami. Oczywiście, pacjent powoli zyskuje odporność i nawroty są coraz rzadsze, lecz mogą się powtarzać nawet przez czterdzieści lat i trwać od dwóch do trzech dni.

- Wspaniale! - Cassie chciała zapytać: „Dla ciebie, czy dla Sama?” - Jak można temu zaradzić?
Wzruszyła ramionami.

- Podaje się chininę, ale nie jestem pewna jej skuteczności. Może pomaga na krótko, ale nie na dłuższą metę. U dzieci wysoka gorączka może powodować uszkodzenia mózgu, utratę przytomności, konwulsje. Naukowcy pracują nad bardziej efektywnymi metodami leczenia, ale tymczasem nie wymyślono nic lepszego od cliininy i atabryny. Mamy szczęście, że Sam jest już w stadium obfitego pocenia się. To znaczy, że minął etap zimnych dreszczy i podwyższonej temperatury. Niedługo poczuje się lepiej.

- Ostatnie dni były mało zabawne. On tylko leżał i jęczał, a ja przecież musiałam się pakować.

- Mamo, taksówka przyjechała! - zawołały dzieci. Razem z dziećmi Olivia w podnieceniu zaczęła przenosić

walizki na werandę. Kierowca otworzył siatkowe drzwi.

- Pomogę pani - zaproponował.

Olivia nie zajrzała nawet do sypialni, żeby pożegnać się z mężem.

Kiedy Cassie do niego poszła, leżał z zamkniętymi oczami a krople potu znaczyły mu czoło. Usiadła na brzegu łóżka. Otworzył powieki.

- Zawiozę cię do szpitala, Sam.

- Czy to konieczne? Skinęła głową.

- Przez kilka dni będzie ci potrzebna stała opieka.

Przez następne trzy tygodnie Sam dostawał ataków dreszczy przeplatanych wysoką gorączką, które trwały czterdzieści osiem godzin. Potem, przez następne czterdzieści osiem godzin był bardzo osłabiony. Ataki powtarzały się jak w zegarku. Cassie co wieczór czuwała przy jego łóżku.

Kiedy nawroty choroby ustąpiły, pilot był tak słaby, że prawie nie mógł utrzymać się na nogach.

Mimo to zapytał:

- Kiedy stąd wyjdę?

- Puściłabym cię, gdyby w domu była Liv i mogła się tobą zaopiekować.

Spojrzał na nią błagalnie.

- Dobrze - zgodziła się z uśmiechem. - Jak myślisz, czy całe miasto będzie plotkowało? Zabiorę cię do siebie, ale musisz obiecać, że kiedy zostaniesz sam, nie będziesz nic robił ani nigdzie chodził.

Uśmiechnął się słabo.

- To chyba najlepsza propozycja, na jaką mogę liczyć. Bardzo ci dziękuję, doktoru. Mam dosyć szpitala. Poza tym, gotujesz lepiej niż Liv.

- Trzeba cię będzie trochę podtuczyć. Jesteś teraz taki chudy jak w czasach, kiedy cię poznałam.

- Ty wtedy też nie byłaś zbyt pulchna.

Podczas badań Cassie brakowało towarzystwa Sama. Szczęśliwie nie zdarzyły się żadne nagłe wypadki, z którymi samodzielnie nie dałaby sobie rady. Uświadomiła sobie, że z radością wraca wieczorem do domu. Pierwszy raz od śmierci Chrisa planowanie posiłków sprawiało jej przyjemność. Czasem nawet zaglądała do książki kucharskiej, żeby ugotować coś wyjątkowego.

Sam interesował się każdym szczegółem jej dnia. Chciał wiedzieć, z jakimi przypadkami się spotkała i co się dzieje

na każdej odwiedzonej przez nią farmie. Cieszył się, że ludzie dopytują się o stan jego zdrowia. Przypominał Cassie, żeby codziennie robiła przegląd samolotu, chociaż teraz mieli już swojego mechanika i zadaniem pilota było tylko latanie.

Leżał na ogrodowym łóżku na werandzie i popołudniami przyjmował wizyty. Wydawało się, że w ciągu tego tygodnia odwiedzili go wszyscy mieszkańcy Augusta Springs. Czasem Cassie w ogóle nie musiała gotować i była nawet trochę rozczarowana, kiedy przed drzwiami znajdowała garnki z zupą, zapiekanki, duszone mięso, ciasta, a nawet kwiaty zostawione tam dla Sama.

- Czuję się jak król - mówił uszczęśliwiony pilot. Stopniowo przybierał na wadze i odzyskiwał energię, ale

działo się to powoli. Nawet kiedy się zdawało, że całkiem doszedł do siebie, czuł, że nie ma połowy tej żywotności, co dawniej.

Oboje lubili w długie wieczory siadywać na werandzie. Goście odchodzili dopiero po dziewiątej i wtedy zaczynali rozmawiać na tematy, o których nigdy nie mówili przez długie lata znajomości.

- Wiesz, co było dla mnie największym zaskoczeniem, kiedy pojechałem na wojnę? - zapytał pewnego razu Sam.

Cassie siedziała z głową opartą o poduszkę i zamkniętymi oczami. Potrząsnęła głową.

- Nie, nie wiem.

- Ty.

Otworzyła oczy i spojrzała na jego postać, majaczącą w mroku.

- A co ja miałam wspólnego z wojną?

- Ciągle o tobie myślałem, a wcale się tego nie spodziewałem. Do diabła, przecież w tamtych czasach nawet nie postrzegalem cię jako kobiety, a jednak za tobą tęskniłem.

- Pewnie brakowało ci naszej wspólnej pracy - odparła.

Jego wyznanie sprawiło jej przyjemność. - Tak dobrze nam się razem pracowało. Ja też nie myślałam o tobie jak o mężczyźnie. No, wiesz, nie w ten szczególny sposób. - W takim razie, dlaczego teraz ma do niego inny stosunek?

Sam milczał. Wstał i zszedł z werandy. Usiadł na schodach i popatrzył w niebo.

- Chodź tutaj. Powinnaś zobaczyć te gwiazdy. Jeszcze nigdy tak wyraźnie nie widziałem Krzyża Południa.

Cassie nie poruszyła się. Miała przeczucie, że zaraz coś się zmieni, a nie chciała żadnych zmian w stosunkach z Samem.

- Sam, jesteś jednym z niewielu stałych punktów odniesienia w moim życiu.

Wciąż spoglądał w niebo.

- Czy to znaczy, że nie możesz popatrzeć na gwiazdy?

- Czujesz się teraz samotny, kiedy Liv wyjechała. Westchnął.

- Cassie, kiedy mieszkałem z Liv, czułem się o wiele bardziej samotny, niż bez niczyjego towarzystwa.

- Dlaczego się z nią ożeniłeś?

- Z bardzo głupiego powodu. Kiedyś ci to powiedziałem. To była pierwsza dziewczyna, jaką poznałem, po tym jak się dowiedziałem z twojego listu, że wyszłaś za Chrisa.

- Przecież przed wyjazdem i tak się spodziewałaś, że wyjdę za Blake'a.

- To prawda. - Przez chwilę milczał. - I wtedy mnie to nie obchodziło. Zacząłem się tym przejmować dopiero po wyjeździe do Anglii, ale się z tym pogodziłem. Jak idiota nie rozumiałem, co do ciebie czuję. Ale ty mnie odstraszałaś swoją zawodową kompetencją, zadziornością, stanowczym sposobem bycia. Dopiero na wojnie przestałem zwracać uwagę na te zewnętrzne pozory. Wyrzucałem to sobie, ale wiedziałem, że i tak nie mogę równać się z Blake'em

Thompsonem. Nie potrafiłem wtedy docenić kogoś takiego jak ty. Byłem młody i uważałem, że dziewczyna powinna być ładna i słodka. Ty byłaś ładna, ale nie słodka. Wiesz, co zrobiłem, kiedy się dowiedziałem, że nie wyszłaś za Blake'a tylko za Chrisa? - Roześmiał się. - Nigdy ci tego nie mówiłem, co? Uderzyłem pięścią w okno. Rozbiłem szybę i niemal złamałem sobie rękę. Cały się zakrwawiłem. Cassie patrzyła na ciemny zarys sylwetki Sama.

- Nie, nigdy mi tego nie powiedziałaś - odparła ledwo słyszalnym szeptem.

- To nieważne, już minęło. I tak wtedy nie byłem gotowy. Wciąż jeszcze myślałem, że kobieta musi prowadzić dom, gotować, wychowywać dzieci i zgadzać się z każdym moim słowem.

- Czyż Liv właśnie tego nie robiła?

- Ależ tak. Nie pogodziła się tylko z faktem, że mieszkamy w kraju, który ja kocham. A poza tym, nudziłem się z nią do granic wytrzymałości. Oczywiście, nic ją nie obchodzi ludzi, których spotykamy w buszu. Nie chce wiedzieć, co robimy cały dzień. Nie martwią ją nagłe wezwania, nie interesują sprawy, które my uważamy za ważne i wartościowe. Nie, Cassie. Nie czuję się samotny bez Liv. Dolega mi co innego.

Cassie zeszła z werandy i usiadła obok Sama. Wzięła go za rękę.

- Przykro mi, Sam. Wiem, że jesteś przygnębiony, bo tyle wycierpiałeś podczas choroby. Wiesz, że na niczym szczęściu bardziej mi nie zależy niż na twoim. Stałeś się dla mnie najlepszym przyjacielem. Uścisnął jej dłoń.

- To zabawne, prawda? Jak dziwnie układa się ludzkie życie. Czy gdybyś mogła przeżyć wszystko jeszcze raz, coś byś zmieniła?

Weschnęła i zastanowiła się przez moment.

- Nie pojechałabym wtedy z Blake'em do Kakadu.

- Ach, więc miałaś złamane serce. Przez te wszystkie lata się zastanawiałem, kto komu powiedział żegnaj.

- Właściwie żadne z nas tego nie powiedziało.

- Więc jego ślub z Fioną był dla ciebie wielkim wstrząsem?

Skinęła głową.

- Fiona nie wie, że jej mężem jest człowiek, którego kiedyś kochałam.

- Czas przeszły?

- Nie sądzisz, że miłość musi być wzajemna, bo inaczej przeradza się w masochistyczną torturę? Od tak dawna nic mnie z Blake'em nie łączy, że nawet nie wiem, o czym z nim rozmawiać.

Nagle Sam odwrócił się do niej. W ciemności widziała białka jego oczu.

- A więc tak to było! - Uderzył się w czoło. - A ja przez cały czas myślałem... Cassie, ty wyszłaś za Chrisa, kiedy się dowiedziałaś, że Blake ożenił się z Fioną. Mam rację?

- Wtedy mi się wydawało, że to jedyne, co mogę zrobić.

- Och, Cassie, kochana Cassie. A ja nawet nie wiedziałem, że ty cierpisz. - Objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie. - Więc ty też nie zaznałaś prawdziwej miłości.

- Wygląda na to, że oboje jesteśmy postaciami z tragedii, co? Ale ja nie jestem nieszczęśliwa.

- Żałuję, że nie mogę tak powiedzieć. Mam wrażenie, że wpadłem w pułapkę. Wiem, czego chcę, ale nie mogę po to sięgnąć. Wierzysz w te stare zasady... Honor? Obowiązek?

- Nie wiem, w co wierzę. Uważam, że nie należy nikogo ranić, jeśli tylko można temu zapobiec, ale też nie wydaje mi się, że trzeba cierpieć przez całe życie, żeby uszczęśliwić kogoś innego. Miałaś na myśli Liv, prawda? Ją i dzieci.

- Oczywiście.

Siedzieli patrząc w mrok. Sam otaczał ją ramieniem.

- W tej chwili jestem szczęśliwa - odezwała się Cassie.

- Ja też. Ale coś ci powiem. Teraz wrócę do domu. Wyprostowała się gwałtownie.

- O tej porze? Sam, dochodzi północ. Przynajmniej zaczekaj do jutra.

Wstał.

- Nie. Idę do domu, i to zaraz. Przejdę się, nie trzeba mnie odwozić. Daj mi jeszcze trzy dni, a będę znowu latał. Zaczynam się niecierpliwić.

- To niemądre.

- Nie chciałbym, żeby kiedyś ktoś powiedział, że nigdy w życiu nie zrobiłem niczego niemądrego.

Kolacja była wspaniała. Do twojej kuchni łatwo się przyzwyczać. I bardzo ci dziękuję za gościnę, ale na mnie już czas.

Patrzyła, jak odchodzi i wtapia się w ciemność nocy. Uświadomiła sobie, że przez cały wieczór nie nazwał jej doktorkiem. Ze splecionymi ramionami stała na schodach. Nagle zrobiło jej się chłodno.

Spoglądała w mrok długo po tym, jak Sam zniknął. Pierwszy raz od długiego czasu ogarnęła ją samotność. Ze zdziwieniem poczuła, że po jej policzku toczy się łza.

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

Nie mogła spać. Nie, to nie całkiem prawda. Zasypiała łatwo, ale budziła się o drugiej w nocy i do czwartej niespokojnie rzucała się w pościeli. Sam.

Przez długie lata znajomości przyjmowała bliskość Sama jako coś naturalnego. Ile to czasu minęło? Dziesięć lat? Nie, jednaście. Przez sześć lat go nie było, ale cztery lata temu wrócił i od tego momentu widywali się niemal codziennie.

Pracowali razem jak doskonały mechanizm. Wystarczyło, że na siebie spojrzeli, a już wiedzieli, co za chwilę zrobi drugie i czego oczekuje. Teraz, kiedy Cassie sama potrafiła pilotować samolot, patrzyła na warunki atmosferyczne, teren pod samolotem, chmury na horyzoncie i przewidywała, co zdecyduje Sam. Nie znaczy to, że ona zrobiłaby to samo, ale wiedziała, jaka będzie jego decyzja. Sam ją rozśmieszał, dawał pocieszenie. Dzięki niemu miała lepszy kontakt z miejscową społecznością. Kiedy opatrywała rany albo badała pacjentów, Sam stał w grupie ludzi i słuchał opowieści o najnowszych wydarzeniach. To od niego się dowiedziała, że Szkoła w Eterze odniosła prawdziwy sukces. To on zbierał listy i rozwoził korespondencyjne lekcje po interiorze, czasami pomagając dzieciom

w ich odrabianiu. Często zbierał wokół siebie grupkę słuchaczy i Cassie słyszała, jak żywiołowo gestykułując opowiadał im ostatni widziany film. Rok temu kupił starą gitarę i nauczył się grać. Woził ją w samolocie i kiedy tylko gromadziły się wokół niego dzieci, śpiewał im piosenki i uczył słów. Po kilku miesiącach dzieci śpiewały razem z nim i z niecierpliwością czekały na jego wizyty. Powiedział Cassie, że Liv nie znosi jego śpiewania, więc bardzo lubi tych małych, wdzięcznych słuchaczy. Chociaż nigdy nie zrobiłby kariery piosenkarskiej, Cassie uważała, że ma miły głos i też lubiła go słuchać. Nawet kiedy niedbale uderzał w struny i nucił półgłosem, melodia dawała jej relaks. Poprosił, żeby go nauczyła szczepić dzieci i zwalniał ją z tego obowiązku. Miała więcej czasu na trudniejsze przypadki. Zawsze pytał, czy nie może w czymś pomóc i właściciele farm często go prosili, żeby znalazł im nową guwernantkę, poganiacza, kucharza, księgowego, a nawet, ostatnio, pilota. Co prawda, większość właścicieli i zarządców farm samodzielnie pilotowała swoje jednosilnikowe samoloty i helikoptery. Blake zapoczątkował rewolucję komunikacyjną w tej części kraju.

Sam był tak naturalną częścią codziennego życia Cassie jak oddychanie. Jednak o drugiej w nocy zdała sobie sprawę, że nigdy naprawdę na niego nie patrzyła. Nigdy nie poszli razem do kina. Nie zdarzyło się też, żeby kiedykolwiek jadła kolację w towarzystwie Sama i jego żony. Chociaż przed wojną często jadali razem, nie pamiętała, żeby siedziała za wspólnym stołem z nim i z Liv, z wyjątkiem tego wielkiego przyjęcia w Tookarindze.

Powiedział jej, że się ożenił, ponieważ ona wyszła za Chrisa. Ale przecież wtedy, w trzydziestym dziewiątym roku, nie było żadnych szans na jakikolwiek romantyczny związek z Samem. A teraz, oczywiście... Co? Przede

wszystkim był żonaty. Poza tym, przy nim czuła się swobodnie, stał się częścią jej życia. Pewnie przez to nie mogłaby zaistnieć między nimi ta tajemnicza iskra. Ale przecież u boku Chrisa też nie czuła tego elektryzującego napięcia, a ich związek był udany - może nie ekscytujący, ale udany.

O czym ona w ogóle rozmyśla. Sam nagle poczuł się samotny, a w dodatku spędził prawie miesiąc w jej gościnnym pokoju. Przeżyli tyle wspólnych wieczorów, rozmawiając i dzieląc się myślami. Ale przecież od lat spędzali razem dużo czasu i nie wprowadzało to żadnych zmian.

A może jednak? Czy nie ich bliskość sprawiała, że życie i praca wydawały się jej cudowne? Czy była szczęśliwa latając z Warrenem, czy nawet z Fioną? Na pewno najgorzej latało jej się samej. Nie, przyczyną był Sam. To jego obecność wносиła szczęście.

Zwlokła się z łóżka o szóstej trzydzieści. Wyszła właśnie spod prysznic, kiedy zadzwonił telefon. Usłyszała głos Sama.

- Chciałbym dzisiaj polecieć. Jeśli opadnę z sił, ty przejmiesz stery. Za długo już nic nie robię.

Siedziała obok niego w kabinie. Uświadomiła sobie, że nigdy dotąd nie zauważyła żyłki pulsującej na jego skroni, nie przyglądała się długim, szczupłym, budzącym zaufanie dłoniom, spoczywającym na sterach.

- Na co patrzysz? - zapytał z uśmiechem.

- Na ciebie. Roześmiał się.

- Przecież widzisz mnie codziennie od lat. Pokręciła głową.

- Nie sędzę.

- Ależ tak.

- Zmieniłeś się.

- W jaki sposób?

Zamknęła oczy. Ciekawiło ją, czyjego wąsy by łaskotały.

Oboje mieli na sobie szorty. Zauważyła, że Sam ma kształtne nogi. Jak to się stało, że dawniej tego nie dostrzegała? Usłyszała, że nuci coś pod nosem.

- Cieszę się, że znowu latasz.

- A ja jak się cieszę! Zdaje mi się, że mógłbym wzbić się w powietrze nawet bez samolotu. Od lat nie czułem się tak dobrze. - Zaczął głośno śpiewać „Zaczarowany wieczór”. Cassie nie mogła się opanować i wybuchnęła śmiechem.

Najtrudniejszym zadaniem tego dnia było usunięcie zęba wielkiemu aborygenowi. Cassie oparła zwalistego mężczyznę o drzewo i pociągnęła za chory ząb. Jednak za każdym razem tubylec przechylał głowę i ząb nie wychodził. Nie miała punktu oparcia i nie mogła dać sobie rady.

Sam zawołał trzech mężczyzn i we czwórkę przygwoździli olbrzyma, a Cassie mogła wreszcie wyrwać mu ząb. Potem bardzo się z tego śmiali.

Otrzymali wiadomość, że w małej miejscowości na północy, Armbruster, gdzie dopiero od niedawna latali na badania, pojawiła się higienistka o specjalności stomatologicznej. Armbruster było niewielką osadą i odwiedzili ją dopiero dwa razy. Znajdowała się tam sześcioklasowa szkoła, chociaż uczyło się w niej tylko siedemnastu uczniów. Jeśli dostarczą narzędzia dentystyczne, higienistka będzie mogła zająć się zębami dzieci i innych mieszkańców. Nadłożyli trzysta dwadzieścia kilometrów, żeby wstąpić do miasteczka.

Armbruster leżało nad leniwą rzeką, której brzegi porastały wysokie drzewa. Cassie uznała, że to najbardziej idylliczne miejsce pod słońcem. Skały nadrzeczne mieniły się kolorowymi pasami. Dzieci pluskały się w wodzie, a kobiety robiły przy brzegu pranie. Środkiem biegła nie utwardzona droga,

ale miasteczko liczyło dwanaście domów. Wszystkie wyglądały tak samo i różniły się tylko kwiatami w ogródkach. Podwórka zdobiły bananowce, papaje, mango i drzewa grapefruitowe. Na polach za domami rosła bawełna. Znajdował się tam jeden sklep, prowadzony przez bezzębnego mężczyznę. Chociaż nie należał do sieci Teakle'a i Robbinsa, sklepikarz przyznał, że zaopatruje się głównie u nich. Kto inny był właścicielem znajdującej się obok stacji benzynowej, na której stał tylko jeden dystrybutor. Naprzeciw był pub, bez którego nie obeszłoby się żadne australijskie miasteczko.

- Higienistka przyjedzie w południe - powiedział im właściciel pubu, Terrence Quirk. Musi dojechać konno, a to prawie dwadzieścia kilometrów.

Tymczasem zaprosił ich do pubu „na herbatkę”. Ledwie postawił przed nimi filiżanki, w drzwiach stanęła najpiękniejsza kobieta, jaką Cassie w życiu widziała. Drobna, z długimi czarnymi włosami, miała na sobie dzinsy, dużą męską koszulę, kapelusz i buty na podwyższonym obcasie, które pewnie podwyższały ją do metra sześćdziesięciu wzrostu. Oliwkowa cera podkreślała migdałowy kształt oczu.

- To ona - powiedział Quirk.

Orientalna piękność podeszła do Sama i Cassie i wyciągnęła rękę.

- Jestem Tina O'Keefe. - Uśmiechnęła się. Biel zębów na tle złotawej skóry biła w oczy. Dziewczyna usiadła i zamówiła kawę. - To bardzo miło z waszej strony, że przyjechaliście tu specjalnie, żeby mi dostarczyć narzędzia. - Otworzyła pudełko i zajrzała do środka. W jej angielszczyźnie nie słyszało się obcego akcentu. Cassie nie wiedziała, dlaczego ją to zdziwiło.

- Mieszkasz tu od niedawna? - zapytał Sam.

- Tak - odparła. - Wychowałam się w Darwin. - Do-

strzegła zaskoczenie na twarzy Cassie i roześmiała się.

- Wiem, wiem. Zapomniałaś, że w Darwin mieszka duża społeczność chińska. Mój pradziadek przyjechał tam podczas gorączki złota w latach osiemdziesiątych. Jestem Australijką w czwartym pokoleniu.

- Ale Tina to nie jest orientalne imię, prawda?

- Nie - potwierdziła pijąc kawę. - Mężowi trudno wymówić moje chińskie imię, więc uzgodniliśmy, że zostanę Tiną.

- O'Keefe - z zastanowieniem powiedział Sam. - Czy twoim mężem nie jest czasem Irish O'Keefe?

- I to od roku - odparła Tina. - Znasz go?

- Latałem z nim w czasie wojny. Nazywam się Sam Vernon.

Twarz jej się rozjaśniła.

- Znam cię. To wy, we dwójkę, wygraliście tę wojnę!

- To właśnie my. - Sam uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Nigdy nie spotkałem takiego śmiałka jak twój mąż.

- On to samo mówi o tobie. Szkoda, że wyjechał, bo zaprosiłabym was na obiad.

- A gdzie on teraz jest?

- Cóż, zarabia na życie. Pojechał na spęd bydła, teraz pewnie jest gdzieś na wyżynie Kimberley.

Bierze każdą pracę, jaka się nawinie. Wyjechał prawie miesiąc temu i chyba wróci dopiero za dwa, trzy tygodnie.

- Zostawia cię samą? - zapytała Cassie.

- Nie ma wyboru. Inaczej stracimy gospodarstwo, które staramy się założyć. Chciałby zostać hodowcą bydła. Jest prawdziwym specjalistą w tej dziedzinie. Ma własny helikopter, zatrudnia dwóch innych pilotów i trzech łapaczy byków.

- Kto to jest łapacz byków? - przerwała jej Cassie. Tina spojrzała na nią.

- Wiecie coś o przepędzaniu bydła z pomocą samolotów?

- Coś tam słyszałem. - Sam skinął głową.
- Opowiem wam, jak to się robi - powiedziała Tina z entuzjazmem. Oczy jej zaślniły. - Irish jest w tym najlepszy.
- Nigdy nie spotkałem lepszego pilota - zgodził się Sam.
- Na każdej wielkiej farmie jest wiele zbłąkanego bydła...
- To taki sztuki, które uciekły ze stada, zdziczałe i nie oznakowane - wyjaśnił Cassie Sam.
- Zeby hodowla na tym nie traciła, trzeba te sztuki wyłapać - ciągnęła Tina. - Wygania się je z kanionów i wąwozów i łapie. Bydło ucieka przed człowiekiem i wtedy właśnie wkracza Irish ze swoimi ludźmi... Przybywa z pilotami, trzema łapaczami ze sprzętem, ma też poganiaczy, kucharza i mechanika na wypadek awarii, które stale się zdarzają.
- To dużo ludzi i maszyn.
- Nie musisz mi mówić. - Tina skinęła głową. - Łapacze jadą ciężarówkami z olbrzymimi zderzakami na masce, które mogą zawrócić byka i wszędzie go dopędzić. Zwierzę nie ma ucieczki. Robi się rozpoznanie z powietrza, żeby zobaczyć, gdzie ukryły się wielkie grupy bydła i dokąd zmierzają, może na przykład do wodopoju. Wtedy Irish wysyła tam poganiaczy i ciężarówki, a piloci naganiają bydło. Rozłożenie przenośnej zagrody zabiera więcej niż jeden dzień. Jest bardzo duża, podobna do normalnej zagrody, ma oddzielne sektory i bramki do załadunku na ciężarówki. Mężczyźni ustawiają ogrodzenie z juty, długie na osiemset metrów i szerokie na sześćset, i zapędzają bydło do środka. Juta nie jest zbyt mocna i wydyma się na wietrze, bydło łatwo mogłoby zniszczyć ogrodzenie, ale jakoś nigdy nawet nie próbuje. W każdym razie, to wielka sztuka je tam zapędzić. Trzeba to zrobić tak, żeby nie wystraszyć zwierząt. Czasami poganiacz musi wyskoczyć z helikoptera, przewrócić byka i spętać mu tylne nogi.

Chociaż Cassie mieszkała w interiorze od ponad dziesięciu lat, jeszcze nie słyszała o takiej metodzie spędzania bydła.

- Brzmi to bardzo groźnie.

Tina rozciągnęła usta w uśmiechu.

- Mężczyźni to uwielbiają. Przynajmniej ci, którzy się decydują na taki tryb życia. Nie chcą zmieniać zajęcia. Pracują długo i ciężko, ale dobrze zarabiają. Trwa to sześć razy krócej, niż tradycyjne spędzanie bydła, bez samolotów i helikopterów. Nie trzeba też do tego tylu ludzi.

- Co zrobią aborygeni, kiedy nie starczy dla nich pracy przy bydle?

- Kiedy ludzi zastępuje się maszynami, koszty są mniejsze, ale niektórzy na tym tracą - powiedział Sam. - Tak zwany postęp nie zawsze polepsza wszystkim życie.

- A ty zostajesz w domu, kiedy on wyjeżdża? - zapytała Cassie.

- Ostatnio tak - odparła z uśmiechem Tina. - Zatrudnił mnie jako chińskiego kucharza. Nie spodziewałam się, że kucharz okaże się kobietą. Dwa lata pracowałam w jego zespole. Ale po sześciu tygodniach znajomości pobraliśmy się i od tego czasu był to nasz zespół. Gotowałam, ale również pomagałam zaganiać bydło. Jednak naszym celem jest własna farma i stado. Zaoszczędziliśmy już pieniądze na kupno ziemi, ale Irish nadal musi pracować na zakup większego stada i utrzymanie. Ja zostaję w domu i zajmuję się tym bydlęm, które teraz mamy. Rozbudowuję farmę. Nie ma go tylko przez pół roku.

- Mieszkasz sama przez pół roku?

- Właśnie dlatego sprowadziłam te narzędzia. W Darwin skończyłam kurs dla higienistek dentystycznych i pracowałam w tym zawodzie prawie przez rok. To było takie nudne, że

postanowiłam rozpocząć ciekawsze życie. Ale tutaj, kiedy czekam na Irisha, przyda mi się jakieś towarzystwo, a poza tym, przy okazji, mogę zajmować się problemami z uzębieniem. Dzieci w szkole będą leczyła za darmo. Uznaję to za swój wkład dla społeczeństwa. Ale jeśli ktoś będzie chciał usunąć ząb albo założyć plombę, da mi to możliwość dodatkowego zarobku. Wykorzystam przy tym swoje wykształcenie i może poznam więcej ludzi.

- Nasz przyjaciel też zajmuje się przepędzaniem bydła z pomocą helikoptera - powiedziała Cassie. - Ciekawe, czy zna wasze metody.

- Kto to jest? - zapytała Tina.

- Blake Thompson.

Sam zmrużył oczy i spojrzał na Cassie.

- Och, zawarliśmy umowę z Tookaringą, na pracę w północnych sektorach posiadłości. Inne sektory Blake obsługuje sam. Irish go tego nauczył. Często tam jeździmy. Ja też czasami odwiedzam tamte strony i zostaję w każdym sektorze przez trzy, cztery tygodnie. Przynajmniej raz przyjeżdża tam do nas Fiona i urządzamy wielkie barbecue. Uwielbiam tę kobietę.

- Wszyscy ją uwielbiają - przytaknął Sam. Rozmawiali z Tiną do późnego popołudnia.

- Chciałabym ją lepiej poznać - powiedziała Cassie, kiedy wsiedli już do samolotu.

Sam uruchomił silniki.

- Szkoda, że nie spotkałaś jej męża. Irish to niezwykły człowiek.

Cassie zamknęła oczy. Zwykle drzemała, kiedy po południu wracali do domu. Głos Sama nie dał jej zasnąć.

- Może wybrałabyś się dzisiaj do kina?

Otworzyła oczy i spojrzała na pilota. Uśmiechał się szeroko.

- Nie chcesz spędzić miło czasu z żonatym mężczyzną, z którym łączy cię niewinna, platoniczna przyjaźń?

- W twoich ustach ta propozycja brzmi trochę niebezpiecznie.

Trzymał ręce na sterach, ale nie odrywał od niej wzroku.

- Doktorku, już dawno weszliśmy w niebezpieczne stadium znajomości. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Rozdział pięćdziesiąty czwarty

Ostatni raz Cassie była równie szczęśliwa, kiedy wyjechała z Blake'em na wakacje do Kakadu. Czuła się tak, jakby uwolniły się w niej wszystkie uczucia i zdała sobie sprawę, że przez ostatnie lata tłumiła je w sobie. Przysięgła sobie przecież, że już nigdy nie da się zranić za cenę chwilowej radości.

Tym razem jednak było inaczej. Nie miała już wielu złudzeń co do życia. Sam był żonaty. Ich związek do niczego nie prowadził. Jednak każdego dnia budziła się z poczuciem szczęścia. Nie mogła się doczekać, kiedy dotrze do baraku radiostacji, w którym zajmowali wszystkie pięć pokoi. Horrie i Berty mieli teraz osobny dom tuż obok, otoczony werandą. Miasto się rozrastało i dom Betty nie stał już na uboczu. Miała w pobliżu wielu sąsiadów.

Dni stały się szczęśliwsze, ponieważ w jej stosunkach z Samem nastąpiła subtelna odmiana. Żadne z nich nie wyraziło tego słowami, ale ich spojrzenia często się spotykały. Podczas lotu patrzyli na siebie i uśmiechali się w milczeniu.

W poniedziałkowe wieczory na kolacjach z Romlą i Jimem zaczął pojawiać się również Sam. Nie zapraszała go, ale

zawsze chętnie witała. Potem grywali w karty albo szli do kina. Kiedy siedzieli obok siebie w ciemnościach, ich ramiona się stykały. Pewnego razu Sam wziął Cassie za rękę i nie wypuścił jej do końca seansu. Nie pamiętała, o czym był film, ale przez długie dni wspominała ciepło dotyku pilota. Po raz pierwszy od dziesięciu lat przestała myśleć o Blake'u Thompsonie. Nie znaczyło to, że wierzyła w przyszłość u boku Sama. Dla niej liczyła się tylko teraźniejszość i za nią była mu wdzięczna. Wątpiła, czy Sam kiedykolwiek tak na nią podziała jak Blake w czasach młodości, ale cieszyła się każdą wspólną chwilą.

Nawet kolory jej dni się zmieniły. Niebo stało się bardziej błękitne, kwiaty barwniejsze, a ziemia czerwiejsza.

- W końcu otrząsnęłaś się po śmierci Chrisa - powiedziała jej Romla. - Miałam wyrzuty sumienia, że jestem taka szczęśliwa, a ty nosisz w sobie tyle smutku. - Romla wyznała, co w sobie nosi. Była w ciąży. Oczy błyszczały jej z radości, kiedy wołała: - Wyobraź sobie! W moim wieku!

Była dwa lata starsza od Cassie.

- Więc znowu zaczniesz prowadzić życie domowe. Romla roześmiała się.

- Przecież mnie znasz. Dlaczego miałabym rezygnować z rzeczy, które kocham. Nadal będziemy mieszkać w hotelu. Wszyscy ci mądrale, którzy śmiali się z mojego sklepu z bielizną, powinni odszczekać swoje słowa. Za sam dochód z tego sklepu mogłabym żyć, i to bardzo wygodnie. Wiesz, że dziewięćdziesiąt procent klienteli to mężczyźni? No, może trochę przesadziłam. Przychodzą tam tacy zawstydzeni i skrepowani. Ale teraz w interiorze jest więcej drogiej, uwodzicielskiej bielizny, niżbyś przypuszczała. Często się zastanawiam, czy oni kupują ją dla swoich żon. Ale wiem,

że nieźle na tym zarabiam. Teraz, kiedy ojciec Jima wycofał się z interesów, Jim sam prowadzi firmę. Wiesz, Cassie, razem zbudowaliśmy prawdziwe imperium i jeszcze mamy plany na przyszłość. Nie mam zamiaru z nich rezygnować. Potrafię je osiągnąć. A dzieckiem też się zajmę.

Pewnego wrześnieowego dnia polecili do Kypundy, żeby zabrać guwernantkę do szpitala na operację woreczka żółciowego. Cassie wyszła ze szpitala dopiero po dziesiątej wieczorem i na ulicy, w mroku wiosennej nocy, spotkała Sama.

- Wiedziałem, że nie zabrałaś samochodu, a nie chcę, żebyś sama chodziła po nocy.

Roześmiała się.

- Robię to od lat.

- Wiem. Wiele rzeczy robisz sama od lat.

- Cieszę się, że po mnie przyszedłeś. - Wsunęła mu rękę pod ramię i ruszyli.

- Nie przyjechałem samochodem, bo chciałem się z tobą przespacerować - oznajmił. - Wstąpimy do Addiego napić się czegoś przed snem?

- Mam ochotę na piwo.

- Ja też.

Wieczorem u Addiego zawsze było tłoczno. W tylnej części sali mężczyźni grali w rzutki. Sam i Cassie wybrali mały stolik w rogu, gdzie panował półmrok.

- Zawsze po operacji bolą mnie plecy - powiedziała Cassie, kiedy kelnerka już podała im piwo. - To chyba z napięcia. A myślałam, że po tylu latach powinnam się do tego przyzwyczać.

- Ja też myślałem, że się do ciebie przyzwyczaję, ale co

dzień znajduję w tobie coś nowego - odparł spoglądając ponad jej głową na mężczyzn rzucających do tarczy.

Nie po raz pierwszy Cassie zastanawiała się, czy jego wąsy łaskoczą.

- Nie chcę, żeby Liv do mnie wróciła - powiedział, patrząc jej w oczy.

Cassie westchnęła.

- Ja też tego nie chcę, ale tylko się oszukujemy. A co z Harrym i Samanthą? Nie potrafiłbyś bez nich żyć.

Nie odpowiedział, tylko dopił piwo.

- Chodźmy. To nie był dobry pomysł.

Kiedy skręcili z głównej ulicy i dochodzili do domu Cassie, Sam wziął ją za rękę. Nic nie mówili, aż doszli pod jej drzwi.

- Wiesz, że jeśli zaczniemy coś, czego nie da się zakończyć, to nie będziemy już mogli razem pracować?

Cassie oparła się o siatkowe drzwi i popatrzyła na Sama.

- Wiem tylko, że już dawno nie byłam taka szczęśliwa. Przysunął się do niej, przyciągnął do siebie i pocałował.

Zarzuciła mu ręce na szyję i wchłaniała smak jego ust, czuła jego głód. Jej ciało dawno nie było tak napełnione życiem, bo dawno już niczyje pocałunki nie pobudziły każdego jej nerwu.

- Z czego się śmiejesz? - wyszeptał, wtulając usta w jej szyję.

- Bo twoje wąsy wcale nie łaskoczą. - Miała nadzieję, że nie przestanie jej całować.

On jednak się odsunął, ale nadal otaczał ją w talii ramionami i przyciskał jej ciało do siebie.

- Muszę spalić za sobą pewne mosty, zanim zrobię to, czego pragnę, Cassie.

Pogwizdując odszedł ścieżką, a ona stała spoglądając w ciemność długo po jego zniknięciu. Chyba nigdy nie była szczęśliwsza.

Dwa dni później, w drodze na badania w Stockton Wells, oznajmił z uśmiechem:

- Mam ci coś do powiedzenia. - Spojrzała na niego pytająco. - Nie. - Potrząsnął głową. - Dopiero wieczorem. Może wybierzemy się na kolację do hotelu?

- To musi być coś ważnego - odparła. - Nie wystarczy kolacja u Addiego?

- To rzeczywiście ważne. I chcę, żeby to się odbyło uroczyście. Ubierz się elegancko.

- A czy będę wiedziała, jak się zachować? - zapytała ze śmiechem. - Czy powinnam przestrzegać wszystkich zasad etykiety?

- To nie będzie konieczne.

W tej samej chwili przez radio odezwał się Horrie.

- W Tookarindze zdarzył się wypadek. Zawróćcie z drogi i jak najszybciej tam lećcie. Koń zrzucił Fionę.

Właśnie minęła dziesiąta.

Sam dla dodania otuchy wziął Cassie za rękę.

Przez następne dwie godziny ze zdenerwowania miała serce w gardle.

Przybyli do Tookaringi i kiedy tylko Sam otworzył drzwi samolotu, Cassie pobiegła do domu. Blake siedział obok wielkiego łoża, na którym spoczywała pobladła Fiona.

- Boże, Cassie - zawołał, kiedy wpadła do sypialni. - Nie ma na niej nawet jednego zadrapania, ale wciąż traci przytomność. Popręg się rozluźnił, siodło zaczęło się zsuwać i koń stanął dęba. Fiona spadła na ziemię, a zwierzę zważyło się prosto na nią.

Usiadła przy Fionie. Przyjaciółka otworzyła oczy. Cassie była pewna, że to krwotok wewnętrzny.

Głos Fiony był ledwo słyszalny.

- Cassie, najdroższa Cassie.

Cassie wzięła ją za rękę. Po pięciominutowym badaniu wiedziała, że Fionie zostało niewiele życia.

- Powiedz, że potrafisz coś zrobić - odezwał się ostro Blake.

Spojrzała na niego bezradnie.

- Nie wiem, Blake. Nie mam nawet aparatu rentgenowskiego... - Ale nawet gdyby go miała, i tak nic nie mogłaby poradzić.

Znów usiadła obok Fiony. Przyjaciółka wzięła ją za rękę i wyszeptała coś tak cicho, że Cassie musiała się nad nią pochylić.

- Cassie, moja najdroższa. Moja ukochana przyjaciółko. Wiesz, czym się najbardziej martwię? Że zostawiam dzieci. Kto się nimi zaopiekuje? Kto je obdarzy miłością, jakiej potrzeba wszystkim dzieciom? - Cassie oczyma duszy ujrzała trójkę dzieci Fiony. Miały sześć, pięć i trzy lata. - Zaopiekujesz się nimi? Będziesz im matką? - Fiona patrzyła na nią błagalnie. - Zajmij się też Blake'em. On tego nie wie, ale potrzebuje opieki. Nigdy nawet nie wie, gdzie leżą jego skarpetki. Błagam, Cassie. Umrę w spokoju, jeśli mi to obiecasz...

- Ciii, Fiono, nie umrzesz - skłamała Cassie. Bała się, że zaraz zacznie płakać.

- Błagam, obiecaj mi, że jeśli umrę, to się nimi zaopiekujesz...

- Oczywiście, Fi. Zaopiekuję się.

- Ty nie umrzesz, Fiono - uparcie mówił Blake. - Wiesz, że nie potrafię bez ciebie żyć.

Fiona z wysiłkiem odwróciła głowę i spojrzała na męża.

- Nie zapomnij co wieczór całować dzieci na dobranoc - powiedziała. - I nie pozwól, żeby wychowywała je guwernantka. Ty masz to robić. Razem z Cassie. Włącz Cassie w swoje życie. Ona wychowa nasze dzieci, tak jak

wychowałyby swoje własne, gdyby... - Nie dokończone zdanie zawisło w powietrzu. Fiona westchnęła, gwałtownie wciągnęła powietrze i przestała oddychać.

Cassie zwróciła przerażoną twarz na Blake'a, który padł na kolana, wybuchnął płaczem i objął ciało żony. Podeszła do niego, uklękła obok i otoczyła go ramionami. Zmoczyła łzami tył jego koszuli.

Sam obserwował tę scenę stojąc w drzwiach.

Przez resztę dnia razem z Samem starali się pocieszyć Blake'a i dzieci. Blake zdecydował, że ciało zostanie poddane kremacji, a Sam zgodził się je zabrać do zakładu pogrzebowego w Augusta Springs. Nabożeństwo żałobne miało się odbyć za tydzień, żeby wszyscy zdążyli przyjechać do miasta. Steven wszystko zaplanował, ponieważ Blake był zbyt zdruzgotany, żeby logicznie myśleć.

- Zostanę tutaj - powiedział Steven. - Nie zostawię go samego. - Łzy zbierały mu się pod powiekami. - Kochałem ją jak córkę - powtarzał.

Cassie czuła się tak, jakby utraciła część siebie samej, ale dopiero wieczorem, kiedy lecieli do miasta z ciałem Fiony na pokładzie, pozwoliła sobie na płacz. Zanosiła się urywanym szlochem. Nigdy już nie zobaczy przyjaciółki. Nie usłyszy jej śmiechu. Nie znajdzie się w jej uścisku. Nigdy... Nigdy...

Karawan czekał na lotnisku i wniesiono do niego ciało Fiony, zanim jeszcze oboje wyszli z samolotu. Sam objął Cassie ramieniem. Czekwały na nich oba samochody, ale Sam zaproponował, że odwiezie ją do domu swoim.

- Nie. - Strząsnęła jego dłoń z ramienia. - Chcę zostać sama.

Kiedy wsiadła do samochodu, przypomniała sobie, że pilot miał dla niej jakąś wiadomość.

- Co chciałeś mi powiedzieć? - zapytała.

- To może poczekać. - Zamknął za nią drzwi.

W domu wypła dwie szklaneczki niczym nie rozcieńczonej szkockiej i położyła się do łóżka.

Zasypiając słyszała szept Fiony. „Zaopiekuj się moimi dziećmi. Bądź im matką, Cassie.”

Rozdział pięćdziesiąty piaty

Następnego ranka, podczas sesji radiowej, Cassie powiedziała Blake'owi, że jeśli przyjedzie po nią do Augusta Springs, to ona chętnie zostanie z nimi w Tookarindze przez weekend, żeby zająć się dziećmi i być blisko niego i Stevena, na wypadek, gdyby była im potrzebna.

Blake przyjął jej ofertę.

Sam prawie się nie odzywał. Tego dnia nie mieli żadnych badań w planie, a wszystkie problemy udało się Cassie rozwiązać przez radio. Robiła wszystko mechanicznie i niemal nie słyszała, co się do niej mówi. Romla zaprosiła Cassie na kolację, żeby ją pocieszyć. Ale Cassie mogła tylko płakać. Fiona odeszła.

Życie Fiony i Jennifer zgasło tak szybko na skutek wybryku losu. Tym, którzy zostali, trudno było się pogodzić z takim nagłym, nieodwracalnym odejściem.

- Co zrobią te biedne dzieci? - zapytała Cassie.

- Nie wiem, kochanie. - Romla pokręciła głową. - Co dzieje się z dziećmi, które tracą matkę? Blake ma tyle pieniędzy, że stać go na zatrudnienie dobrych niań i guwernantek. Jego dzieci z pewnością będą miały lepszą opiekę niż inne w takiej samej sytuacji.

- Mężczyźni nie wiedzą, co zrobić ze stłuczonym kolanem albo bolącym gardłem.
- Myślę, że Blake się znowu ożeni. Ile on ma lat? Chyba dopiero czterdzieści.
- Trzydzieści dziewięć.

Romla objęła Cassie i uśmiechnęła się.

- A może ty... Jesteście oboje...

Cassie podniosła głowę i zgromiła ją wzrokiem.

- Jak możesz tak mówić, i to teraz!

- Niezręcznie się zachowałam - przyznała Romla ze skrucą. - Przepraszam. To mi tak nagle przyszło do głowy.

Cassie przypomniała sobie, że obudziła się rano słysząc ten sam szept. „Zaopiekuj się moimi dziećmi. Bądź im matką, Cassie.”

Jeśli nawet nie matką, to ukochaną ciotką. Do dwojga młodszych dzieci jeszcze nie dotarło, że nigdy nie zobaczą mamy, ale cała trójka była rozdrażniona i trudno było ją opanować.

Blake zostawił dzieci pod opieką innych i samotnie wyjechał na konną przejażdżkę. Wyruszył o świcie w sobotę i wrócił dopiero na obiad. Steven chwilowo przeniósł się do domu Blake'a.

- Pamiętam, jak się czułem, kiedy Jenny odeszła. Myślałem, że nie potrafię dłużej żyć. Życie nigdy już nie było takie samo. Nic nie pomoże, jeśli powiem Blake'owi, że czas goi rany.

- Nie - potwierdziła Cassie. - Musi to przecierpieć. Jak sobie poradzicie, kiedy wyjadę?

- Damy sobie radę - zapewnił Steven.

W niedzielę Blake usiadł na werandzie i patrzył przed siebie na szeroką równinę, jaką w Australii widywało się

wszędzie. Jednak o czwartej, kiedy Cassie powiedziała, że naprawdę musi już wracać, wstał i razem poszli do jego Cessny. Przez całą drogę do Augusta Springs rozmawiali o Fionie.

- Byłaś prawdziwą podporą, Cassandro - oświadczył. - Jestem ci bardzo wdzięczny, że przy nas byłaś. Wiesz, że Fiona kochała cię bardziej niż siostrę?

- Wiem.

Blake wysiadł z samolotu w Augusta Springs tylko po to, żeby dopełnić zbiorniki paliwa. Zanim dotrze do Tookaringi, zapadną ciemności, ale ich lotnisko było teraz oświetlone.

- Zadzwoń do mnie, jeśli będziesz czegoś potrzebował?

Skinął głową. Za trzy dni mieli spotkać się w mieście na pogrzebie.

- Zostańcie u mnie przez kilka dni.

- Nie zmieścimy się w twoim domu.

- Steven i mała Jenny mogą zamieszkać u Sama. U niego są trzy sypialnie. Zapytam, czy się zgodzi.

Kiedy zadała mu to pytanie, zgodził się natychmiast, ale dziwnie na nią patrzył, jakby wszystko nagle się zmieniło.

Po nabożeństwie żałobnym Cassie bardzo chciała lecieć do Tookaringi i zaopiekować się dziećmi, Stevenem i Bla-ke'em. Nie mogła jednak porzucić obowiązków. Ledwie ceremonia dobiegła końca, wezwano ją i Sama na daleko wysuniętą na południowy zachód część terytorium. Nigdy tam jeszcze nie byli i wiedzieli, że nie ma tam żadnych farm.

Poganiacz wielbłądów zachorował podczas prowadzenia karawany. Jego syn przejechał pięćdziesiąt kilometrów do najbliższego miasta, które było zaledwie maleńkim punktem na mapie, i wezwał ich przez radio. Miał na nich czekać

w mieście, bo nie potrafił opisać, jak z powietrza znaleźć karawanę.

Lecieli nad płaskim terenem. Jak okiem sięgnąć, nie było nic, tylko czerwona, bezdrzewna równina, nawet nie poprzecinana szczelinami. Gładki piach.

Jedyna ulica miasteczka prażyła się w słońcu. Najbliższa osada ludzka znajdowała się w odległości dwustu pięćdziesięciu kilometrów. Kiedy samolot podchodził do lądowania, nie było widać żywej duszy, ale gdy Sam otworzył drzwi, zobaczyli młodego Afgańczyka. Fala gorąca wdarła się do samolotu.

Potem Cassie zobaczyła innych Afgańczyków siedzących przed chatami. Jeden pędził stado kóz na brzegu wioski. Kilkoro dzieci bawiło się na piaszczystej wydmie. Po drugiej stronie miasta, gdzie stało kilka domów, nic się nie poruszało. Przed budynkiem, służącym za hotel, stał samochód, chociaż trudno było odgadnąć, skąd mógł przyjechać i gdzie się wybierał. Nie było tu dróg, a jeśli były, to zasypane piachem. W małej zagrodzie porykiwało bydło. Samotny wiatrak do wytwarzania prądu stał nieruchomo.

- Mój ojciec zachorował - oznajmił brodaty młodzieniec. Nosił turban i szerokie spodnie, jakich Cassie nigdy nie widziała. Niewiele wiedziała o tych ludziach, którzy przybyli tu z Azji wiele lat temu. Myślała, że karawany można spotkać dalej na południu. Stojący przed nią młodzieniec był pewnie poganiaczem wielbłądów w trzecim pokoleniu. Zrozumiała, dlaczego wielbłądy są potrzebne w tej pustynnej okolicy, gdzie nie ma dróg i linii kolejowych. Afgańczyk wyjaśnił, że ojciec jest chory i nie może się ruszać. Ułożyli go w cieniu drzew, a on przyjechał do miasta, żeby policjant sprowadził latających doktorów.

Zza jednej z chat wyszedł chłopak prowadząc trzy wielbłądy. Sam i Cassie spojrzeli po sobie. Sam uśmiechnął się.

- Jechałaś kiedy na wielbłądzie?

- Nigdy żadnego nawet nie widziałam.

Zwierzęta zbliżały się wolno. Frędzle ozdobnych siodeł podskakiwały wesoło. Tylne nogi wydawały się zbyt chude, żeby utrzymać ciężki korpus, ale wielbłądy stapały lekko i rytmicznie, z gracją dotykając kopytami ziemi jak baletnice i kołysząc się z boku na bok.

Cassie spojrzała przed siebie i nie dostrzegła żadnych drzew.

- Nie prościej byłoby tam polecieć?

- Daj spokój - powiedział Sam. - To będzie przygoda. Cassie przechyliła głowę.

- Dobrze. Wezmę tylko torbę.

Posuwali się kilometr za kilometrem po błyszczącym piachu. Przez pierwsze dwie godziny od horyzontu do horyzontu nie było na czym zaczepić wzroku. Cassie nie miała pojęcia, skąd młody człowiek wie, gdzie się kierować. Słońce pochyliło się na zachód i to był jedyny drogowskaz. Nie było tu traw, tylko wyschnięte łożyska, które nawet jeśli napełniały się wodą, to i tak pozostawały wąskimi strumieniami.

- Jakie to wszystko jałowe i martwe - wyszeptała Cassie po godzinie.

Sam odwrócił głowę.

- Spójrz tylko dokoła! Czy nie czujesz się jak drobny pyłek? Z powietrza pewnie wyglądamy jak mrówki.

- Dlaczego to cię tak zachwyca?

- Popatrz na te kolory. Czerwony, żółty! Zobacz, jak rozświetla je słońce. A widziałaś ten szarozielony solny busz w oddali? - Otaczali właśnie niskie wzgórza. - Jak możesz mówić, że to martwa ziemia?

Widzisz te oliwkowozielone krzewy mulga?

W tym krajobrazie wzrok dawał się łatwo oszukać. Dalekie

obiekty, choć nieliczne, rysowały się bardzo wyraźnie. Na horyzoncie tańczyły niebieskie jeziora - miraż. Na północy wznosiły się wzgórza z piaskowca, odbijające się rubinem i brązem w jaskrawym słońcu. Jedno ze wzgórz wyglądało jak olbrzymia góra. Ostre promienie słońca odbitego od kamieni mieszały rzeczywistość z halucynacją. Przejechali już kilometr czy dziesięć? Świat stał się dwuwymiarowy, nic nie przesłaniało pola widzenia, nie przyciągało wzroku. Wokół ciągnęła się płaska, nie kończąca się, niezmierna pustynia.

Nigdy jeszcze Cassie nie otaczała taka doskonała cisza. Każda myśl stawała się nieważna, zanim zdołała ją wypowiedzieć.

Jechali przez trzy godziny. Cassie stale się bała, że spadnie z rozkołysanego grzbietu wielbłąda. W oddali pojawiło się trzech mężczyzn i karawana wielbłądów. Miraż uzupełniało kilka palm. Młody człowiek pokazał jej tę grupę, ale nie potrafiła ocenić, czy znajduje się w odległości pięciu, czy piętnastu kilometrów. Wydawało się, że obraz tkwi w tym samym miejscu, aż nagle znaleźli się tuż przy nim. To nie był miraż. Gaj palm daktylowych okazał się prawdziwy.

- Czuję się jak w Maroku - powiedziała.

- A byłaś kiedy w Maroku? - zapytał z uśmiechem Sam. Musiała się roześmiać.

Czekał na nich prawie nieprzytomny pacjent w otoczeniu trzech przyjaciół, ubranych podobnie jak młodzieniec, który przeprowadził ich przez pustynię.

Żaden z nich nie chciał się zgodzić, żeby kobieta zbadała chorego. Pacjent, spoglądając na Cassie, szepnął coś do jednego z mężczyzn, który przekazał jego słowa.

- On prędzej umrze, niż pozwoli, żeby kobieta dotknęła jego ciała.

Cassie i Sam spojrzeli na siebie.

- Sądząc z objawów może to być kamica moczowa - powiedziała. - Musisz zastąpić moje palce. - Wytłumaczyła Samowi, jak ma badać i na co zwracać uwagę.

Afgańczycy nie chcieli jej pozwolić nawet na obserwowanie badania. Cassie odwróciła się tyłem i mówiła do Sama, który przyklęknął przy pacjencie.

- Pewnie ma kłujący, ostry ból, który przychodzi falami. Czuje go w boku, pod żebrami i trochę z tyłu. Promieniuje na brzuch, aż do pachwiny, a nawet jąder. Sprawdź, czy się nie myłę.

- Mam obmacać mu jądra? - zapytał Sam.

Cassie uśmiechnęła się, ale żaden z mężczyzn tego nie widział.

- Musisz się z nim jakoś porozumieć. Pewnie nie pozwolą mi z nim nawet porozmawiać.

Wszyscy rozumieli po angielsku, więc wiedzieli, co Cassie mówi. Pacjent jęknął.

- Jeśli to kamienie, to on naprawdę bardzo cierpi. To są bóle podobne do porodowych. Mogą się łączyć z występowaniem krwi w moczu. Zapytaj go, czy tak jest.

Chory potwierdził przypuszczenie. Cassie westchnęła.

- Mogę tylko zmniejszyć ból zastrzykami z morfiny. Pewnie trzeba je będzie często powtarzać.

Pozwolą mi zrobić mu zastrzyk?

Sam i trzej mężczyźni przez chwilę cicho rozmawiali.

- Nie.

- Cóż, nieraz robiłeś zastrzyki. Ból ustanie na dobre, dopiero kiedy kamień wypadnie z moczowodu do pęcherza.

- Co to jest moczowód? - Sam stanął obok niej.

- Moczowody to kanały, prowadzące od nerek do pęche-

rza. Jeśli kamień wydostanie się z moczowodu, ból spowodowany skurczem mięśni nagle ustaje.

Trochę później chory wydali wraz z moczem mały, szorstki kamyczek.

- A jeśli tak się nie stanie?

- Nadal będzie cierpieć ból i trzeba przeprowadzić operację. Teraz możemy mu tylko ulżyć w bólu. -

Mówiąc to, Cassie wyjęła z torby fiolkę morfiny i strzykawkę. Skinęła na Sama. - Weź kawałek waty i alkohol. Przetrzyj miejsce, gdzie zrobisz zastrzyk. - Zresztą, nie musiała mu tego mówić. Przez te wszystkie lata zrobił setki zastrzyków.

Słońce chowało się za horyzontem. Cynobrowe promienie bieły aż na środek nieba.

- A teraz co? - zapytał Sam.

- Chyba musimy tu zostać na noc. Na pewno nie możemy wracać do samolotu. O świcie razem z tym młodym człowiekiem pojedziesz do miasteczka. Będziesz wiedział, jak tu dolecieć, prawda?

Sam uśmiechnął się, włożył rękę do kieszeni spodni i wyjął kompas.

- Czy będę wiedział? Co za pytanie! Cassie się rozejrzała.

- Tutaj jest tak płasko, że można wszędzie lądować.

- Chcesz go zabrać do szpitala?

- Jeśli kamień dziś nie wyjdzie, tak.

- Kiedy mnie tu nie będzie, nie pozwolą ci zrobić mu zastrzyku z morfiny. Nie dopuszczą cię do niego.

- Zobaczymy. Już wie, jaką ulgę daje morfina, więc jeśli jutro ból nie ustanie, to będzie mnie błagał o zastrzyk.

- Zaryzykujesz i spróbujesz ich jedzenia? Cassie skrzywiła się lekko.

- Dlaczego nie.

Nie żalowali. Zjedli białą fasolę, kuskus, tabbouli i jogurt z koziego mleka. Potrawy były niezwykle i smaczne.

- Droga do samolotu zabierze trzy godziny - powiedziała Cassie. - Ile czasu potrwa lot?

- Trochę ponad pół godziny.

Kiedy tylko słońce się schowało, temperatura spadła i Cassie zrobiło się zimno. Jeden z poganiaczy dał jej derkę.

- Przepraszam, mamy tylko jedną - wyjaśnił.

- Będzie przytulniej - oświadczył Sam.

Siedzieli blisko siebie, owinięci wielbłądzią derką i patrzyli na gwiazdy połyskujące gęsto na niebie.

- Myślisz, że Fiona jest jedną z nich? Nie odpowiedział.

- Co chciałeś mi powiedzieć tego dnia, kiedy umarła?

- To już teraz nie ma znaczenia.

- Ale o co chodziło? Wtedy wydawało się ważne.

- Liv i ja postanowiliśmy się rozwieść.

To zdanie zawisło między nimi, równie przytłaczające jak niebo.

- Och, Sam - westchnęła Cassie, a potem dodała: - A co z dziećmi? Czy będziesz potrafił bez nich żyć?

- Mamy jeszcze dużo rzeczy do ustalenia, ale Liv chce zostać w Anglii. Chyba będę je widywał podczas wakacji. To i tak lepsze, niż dorastanie w pełnym awantur domu.

- Jak na to zareagowałeś? - W ciemnościach nie widziała jego oczu.

- Sam to zaproponowałem.

- A Liv?

- Ona też tego chciała. A jaka jest twoja reakcja? -zapytał.

- Dlaczego powiedziałaś, że teraz to nie ma już znaczenia? Zawahał się.

- Wszystko jest jakoś inaczej niż tydzień temu.

Wiedziała, o co mu chodzi. „Zaopiekuj się moimi dziećmi, Cassie. Bądź im matką.”

- A jaka jest twoja reakcja? - powtórzył pytanie.

- Nie wiem. Jestem zaskoczona.

- Zaskoczona? Naprawdę, Cassie? Przykryła się derką i zamknęła oczy. Naprawdę była zaskoczona?

Rozdział pięćdziesiąty szósty

Coś się zmieniło.

Kiedy Cassie **to** sobie uświadomiła, nie była w stanie określić, kiedy to się stało i dlaczego.

Gdzieś zniknęło zadowolenie, które czuła przez kilka miesięcy, zanim wydarzył się wypadek Fiony.

Jednak była zbyt pochłonięta troską o mieszkańców Tookaringi, żeby zauważyć, że szczęście uleciało.

Kiedy sobie to uświadomiła, doszła do wniosku, że to oczywisty skutek śmierci przyjaciółki.

Potem zdała sobie sprawę, że już nie przekomarza się z Samem jak dawniej. Podczas wspólnych lotów

pilot milczał. Jak zwykle był życzliwy. Nie zmienił się jego przyjazny stosunek do ludzi, których

spotykali w pracy. Pomagał przy zabiegach i wyczuwał, kiedy jest potrzebny - nigdy nie musiała go

prosić. Stał przy jej boku, gotowy na każde skinienie. Jednak kiedy go nie potrzebowała, zniknął.

Czytał z niej jak z otwartej księgi. Ale przepadła gdzieś jego radość życia. I pogłębiająca się bliskość

też gdzieś się rozplynęła.

W każde piątkowe popołudnie Blake zabierał ją helikopterem do Tookaringi. W sobotę rano zgłaszała

się przez

radio do Horriego, żeby sprawdzić, czy nikt jej nie potrzebuje. Radiostacja w Tookarindze działała cały czas, nastawiona na odbiór nagłych wezwań. Cassie bawiła się z dziećmi, gawędziła ze Stevenem i Blake'em, jeździła z nimi konno i starała się wywołać uśmiech na ich ustach. To było trudne. Bez Fiony nie znajdowali w sobie ochoty do śmiechu. Blake odwoził ją do domu w niedzielę po południu.

- Nie wiem, co byśmy bez ciebie zrobili - mawiał Steven. Po całym tygodniu pracy i emocjonalnie wyczerpujących

weekendach Cassie nie miała ochoty przygotowywać tradycyjnych poniedziałkowych kolacji dla przyjaciół. Romla to rozumiała i zapraszała ją do siebie do hotelu, ale Cassie odmawiała, twierdząc, że ma tylko ochotę na małą przekąskę i zaraz kładzie się do łóżka. Pewnego poniedziałku, kiedy znowu odwołała kolację, Sam zaproponował, że kupi coś do jedzenia i wpadnie z wizytą. Cassie potrząsnęła głową.

- Chcę wcześniej położyć się spać - odpowiedziała. Zasnęła przed dziewiątą.

Cassie spędzała wszystkie weekendy w Tookarindze, a jej znajomość z Samem stawała się bardziej formalna niż na samym początku. Kiedy miała wolną chwilę, zastanawiała się, dlaczego tak jest.

Pewnego piątku, kiedy wracali z nagłego wyjazdu do izby chorych w Birdsville, Sam zapytał:

- Wybierasz się dzisiaj do Thompsonów?

- Tak. - Cassie nigdy nie była jeszcze tak zmęczona, jak przez te dwa miesiące, które upłynęły od śmierci Fiony. Sam kiwnął głową i zacisnął wargi w wąską linię.

- Dlaczego pytasz?

- Och, tak tylko... Od śmierci Fiony nie spędziłaś żadnego weekendu w mieście.

- Te dzieci mnie potrzebują.

- Tak. Jasne.

- Co ma oznaczać ten ton?

- Nic.

Uwierzyła, bo chciała w to uwierzyć.

- Bardzo bym chciała mieć trochę czasu dla siebie. Jestem taka zajęta, że nie zostaje mi ani jedna wolna chwila. We wtorki wieczorami układam włosy, w środę robię pranie, w czwartek...

Podniósł rękę, jakby chciał uciszyć jej skargi.

- Robisz to z własnego wyboru.

- Obiecałam Fionie...

- Nie musisz się przede mną tłumaczyć.

- Myślisz, że się tłumaczę? - zapytała. Spojrzała mu prosto w oczy. - Sądysz, że jeżdżę tam dla Blake'a?

Patrząc prosto przed siebie skinął głową i uniósł brew.

- Trafiłaś w samo sedno.

Nie odpowiedziała. Nie chciała zaczynać dyskusji na ten temat w piątkowe popołudnie, kiedy Blake za dwie godziny zabierze ją do Tookaringi.

Blake. Powtarzała sobie, że robi tylko to, o co prosiła ją Fiona - zastępuje matkę dzieciom najlepszej przyjaciółki. Ale te dzieci były również dziećmi Blake'a. Nie pozwalała sobie na żadne marzenia przed wyjazdem do Tookaringi. Zdecydowała, że to zbyt wcześnie. W sercu Blake'a nie było jeszcze miejsca dla innej kobiety.

Czy właśnie na to miejsce liczyła? Może najwyższy czas zastanowić się nad motywami, jakie kierowały jej postępowaniem.

Zrobiłaś wielkie wrażenie na kucharzu - powiedział Blake, kiedy dolatywali do Tookaringi. -

Zapowiedział, że dzisiaj przygotuje coś wyjątkowego specjalnie dla ciebie.

Cassie się roześmiała.

- Chyba wiem, co **to** będzie. Opowiadał mi, że kiedy

pracował jako szef kuchni w restauracji w Perth, jego specjalnością była kaczką w pomarańczach.

- Ho, ho, ho! - Blake uśmiechnął się pierwszy raz od długiego czasu.

- Miło widzieć, że znowu się uśmiechasz.

- Wiesz, myślę, że jakoś przetrwam. Zaczynam powracać do życia.

Rzeczywiście na kolację była kaczką w pomarańczach, i to wyśmienita.

Kiedy skończyli jeść, dochodziła dziewiąta.

Cassie położyła dzieci do łóżek, ucałowała je na dobranoc i obiecała, że jutro zabierze je na piknik.

- Wiesz, co teraz zrobię? Wrócę do domu - oznajmił Steven. - Twoja wizyta, Cassie, jest najprzyjemniejszym momentem całego tygodnia, ale tak dawno nie byłem w domu. Jutro przyjadę na kolację, a potem zagramy w karty. Ale dzisiaj prześpię się we własnym łóżku.

Cassie i Blake zostali sami w ciepłym mroku nocy. W oddali ujadł pies dingo. Siedzieli w milczeniu.

- Myślałem właśnie o naszym wyjeździe do Kakadu - odezwał się nagle Blake.

- To było dawno temu. - Wciąż pamiętała każdą chwilę.

- Nikt nigdy tak mnie nie zauroczył. Potrafiłem myśleć tylko o tobie.

Chciała zapytać, co się, w takim razie, później stało. Ale wiedziała, co się stało. Wybuchła wojna.

Blake wstał i podszedł do ratanowego fotela, na którym siedziała Cassie. Wziął ją za rękę.

- Wystraszyłaś mnie.

- Wystraszyłam?

- Nie byłem już panem samego siebie. Chyba się ucie-

szyłem, kiedy wybuchła wojna, bo mogłem uciec od własnych uczuć i oddalić się od ciebie.

- Bardzo dobrze ci się to udało.

- Tak naprawdę, nigdy tego nie zrobiłem. Tylko dzięki silnej woli trzymałem się od ciebie z daleka.

Kiedy wchodziłaś do pokoju, kiedy...

- Przestań! Ze względu na pamięć Fiony, przestań! Blake spojrział na nią zdziwiony.

- To nie ma nic wspólnego z pamięcią o Fionie. Nasze małżeństwo było bardzo szczęśliwe. Fiona była wspaniałą żoną. Ale mimo to, przez te wszystkie lata bardzo cię pragnąłem. Wyszłaś za męża za tego sztywnego pedanta Chrisa... Cassie, serce mi pękało!

Tobie serce pękało! Wstała i przeszła na koniec werandy. Wpatrzyła się w mrok nocy.

- Cassie, nigdy nie przestałem cię pragnąć. - Usłyszała jego kroki. Stanął za nią tak blisko, że ich ciała się dotykały.

Przez jedenaście lat tak bardzo chciała usłyszeć te słowa. Dotknął jej ramienia i odwrócił ją do siebie.

- Powiedz mi, że czułaś to samo. Powiedz, że nie zapomniałaś naszych wspólnych chwil, że... - Objął ją, przyciągnął do siebie i pocałował w usta.

Jego wargi były takie, jak pamiętała. Uścisk przywołał wspomnienia. Blake lekko całował jej oczy, policzki, szyję. Odepchnęła go.

- Nie jestem na to gotowa - powiedziała, oddychając głęboko.

- Nie jesteś gotowa? Minęło jedenaście lat. Czy mamy spędzić resztę życia czekając, aż oboje będziemy gotowi? Cassie, moje dzieci cię potrzebują, Steven cię potrzebuje. Ja cię potrzebuję.

Co to miało znaczyć?

- Daj mi trochę czasu. Nie mogę tak szybko z przyjaciółki rodziny zmienić się w...
- W żonę i matkę? Bo właśnie o to cię proszę. Na miłość boską, myślałaś, że...
- Nie. - Odsunęła jego rękę. - Nic nie myślałam. Po prostu nie jestem na to gotowa. - Nie mogła pozbiierać myśli.

Blake chwycił ją za rękę i mocno ścisnął.

- Dobrze - powiedział z uśmiechem. - Więc zacznij się przygotowywać. To może trochę za szybko... ale my cię potrzebujemy, dzieci, Steven, ja. Od niedzieli wieczór do piątku liczymy tylko dni, czekamy, żebyś znów pojawiła się w naszym życiu. Dzięki tobie czujemy, że życie ma sens.

Domyślała się tego. Przecież właśnie dlatego poświęcała swój czas i przyjeżdżała w każdy weekend. Była tu potrzebna i wiedziała o tym.

Wiedziała też, że przez dziesięć lat kochała się w Blake'u Thompsonie. Dlaczego więc teraz nie była szczęśliwa? Dlaczego nie czuła dreszczyku podniecenia? Dlaczego...

- Daj mi trochę czasu - powiedziała i odwróciła głowę. Blake przyciągnął ją do siebie, nachylił się i znów ją pocałował, długo i namiętnie.

- Boże - wyszeptał. - Od dwóch miesięcy nie miałem kobiety.

Odsunęła się.

- Do zobaczenia rano - oznajmiła i szybkim krokiem weszła do wielkiego salonu. Skręciła w zachodnie skrzydło i poszła do sypialni.

Nie wiedziała, dlaczego tak się czuje. Nie potrafiła nawet nazwać swoich uczuć.

Czy od śmierci Fiony przyjeżdżała tu co tydzień w nadziei, że usłyszy to, co właśnie usłyszała?

Dlaczego zachowanie Blake'a raczej nią wstrząsnęło, a nie sprawiło radości?

Rzucała się niespokojnie w pościeli. Właśnie ją poprosił,

żeby została jego drugą żoną, matką dla jego dzieci, panią w Tookarindze.

Ani słowa o miłości. Ale przecież Fiona tak niedawno umarła, że trudno się temu dziwić. Pragnął jej. Powiedział, że zawsze jej pragnął. Była pewna, że miał na myśli jej ciało. „Od dwóch miesięcy nie miałem kobiety”. Cóż, nie współczuła mu. Ona do wielu lat nie miała mężczyzny.

Małżeństwo z Blake'em oznaczałoby zupełnie nowe życie. Być może nadeszła pora na zmiany. Od ponad dziesięciu lat pracowała jako latający lekarz. Może odmiana dobrze by jej zrobiła. Przecież myślała już o przeprowadzce do Sydney. Ale nie dlatego, że nie lubiła swojej pracy, nie dbała o pacjentów, którzy stali się częścią jej życia. Asystowała przy przyjściu na świat każdego dziecka, jakie urodziło się w ciągu ostatnich jedenastu lat na tym terytorium. Znała tylu ludzi. Serdecznie ją witano w każdym domu na obszarze rozleglejszym niż większość krajów europejskich. Niełatwo będzie z tego zrezygnować. Wiedziała, że Blake by na to nalegał. Chciał, żeby została panią Tookaringi, matką dla jego dzieci. Pragnął, żeby życie domowe toczyło się gładko. Chciał mieć kogoś, kto rozmawiałby ze Stevenem i dotrzymywał mu towarzystwa, podczas gdy on, Blake, jeździłby w interesach albo doglądał stad. Chciał kogoś, z kim mógłby się kochać, kiedy przyjdzie mu na to ochota. Nie spał z nikim od śmierci żony i tęsknił za kobiecym ciałem.

A ona była pod ręką. Dziesięć lat temu spędzili trzy tygodnie kochając się szaleńczo i namiętnie. Miał nadzieję, że to wszystko wróci. Myślał pewnie, że nacieszyła się już pracą zawodową i z radością zajmie się tradycyjnym życiem rodzinnym. Cóż, musiała przyznać, że ostatnio często myślała, jak to byłoby miło - a nawet wspaniale - założyć rodzinę. Romla miała urodzić dziecko w wieku czterdziestu lat, dlaczego więc ona nie mogłaby też mieć dziecka albo

nawet dwojga? Romla nie tylko chciała nadal pracować w hotelu, ale razem z Jimem zamierzała wykupić wspólników. Sam jej sklep z bielizną zarabiał na utrzymanie całej rodziny. We dwoje budowali handlowe imperium i Romla nie zamierzała z tego rezygnować. Cassie nie była pewna, czy chce na dobre porzucić medycynę. Ale dobrze by było, szczególnie teraz, kiedy terytorium stawało się coraz ludniejsze, zatrudnić jeszcze jednego latającego doktora. Mogliby pracować na zmiany. Jedno wylatywałyby do nagłych wypadków, podczas gdy drugie przeprowadzałyby planowe badania. Łatwiej byłoby prowadzić życie rodzinne, gdyby był jeszcze ktoś, kto przejąłby część obowiązków. Życie rodzinne? Z Chrisem nigdy nie chciała mieć dzieci. Dlaczego?

Sam Chris nie wystarczał, żeby dać jej szczęście. Wiedział o tym równie dobrze jak ona.

Potrzebowała pracy, żeby się spełnić. Nie, nigdy nie byłaby szczęśliwa mając tylko Chrisa. Czy byłaby szczęśliwa z Blake'em? Uwielbiała jego dzieci i ojca, a przez całe lata była przekonana, że kocha i jego.

W takim razie, dlaczego nie czuła większych emocji, kiedy dzisiaj wziął ją w ramiona i pocałował? Dlaczego krew szybciej nie popłynęła w jej żyłach, a serce nie zaczęło mocniej bić? Może żaden mężczyzna nie wywoływał już w niej tych uczuć? Może takie namiętności są zarezerwowane tylko dla młodych?

Nie mogła zasnąć. Wstała, podeszła do okna, oparła się o parapet i spojrzała na jasny księżyc. Zastanawiała się, co się wydarzyło między nią a Samem. Dlaczego ostatnio był wobec niej taki chłodny? Od kiedy to się działo? Od śmierci Fiony? Starła się dokładnie określić to w czasie. Dlaczego przestali być sobie bliscy? Może coś się zmieniło między nim a Olivią? Może Liv postanowiła jednak wrócić? A jeśli to z powodu jej wyjazdów do Tookaringi?

Dlaczego wspominała Sama, kiedy Blake właśnie się jej oświadczył? Dlaczego nie czuła z tego powodu szczęścia, tylko myślała o Samie? Dlaczego wahała się, czy przyjąć oświadczyny? To dziwne, pomyślała. Sądzymy, że znamy siebie samych na wylot, a często nic o sobie nie wiemy. **Obudziła** się tuż przed świtem. Wyrzała przez okno i zobaczyła cienką różową smugę tuż nad horyzontem. Niebo było jeszcze ciemne.

- Nie wiem dlaczego, ale Blake jest mi teraz bardzo daleki, a Sam coraz bliższy - powiedziała głośno. Przez kilka tygodni, tuż przed śmiercią Fiony, miała wrażenie, że się w sobie z Samem zakochują. Potem on się od niej odsunął, a ona zajęła się sprawami mieszkańców Tookaringi. A może kolejność była odwrotna?

Nagle jasno sobie uświadomiła, że Sam odciął się od niej, bo był pewien, że ona i Blake...

Blake pragnął, żeby zrezygnowała z dotychczasowego życia i rozpoczęła nowe, przy nim, przy jego dzieciach i ojcu. Chociaż wszyscy ci ludzie byli jej drodzy, zdała sobie sprawę, że nie chce zmieniać swojego życia, które dawało jej tyle satysfakcji.

Jednak chciałyby je z kimś dzielić. Zapragnęła spędzać z Samem nie tylko dni, ale i noce.

Co on na to powie? Czy ona ośmieli się go zapytać?

Rozdział pięćdziesiąty siódmy

Rozległo się głośne pukanie. Blake otworzył drzwi i zajrzał do środka.

- Wzywają cię. Nagły wypadek.

Cassie nie włożyła nawet szlafroka, tylko pobiegła do gabinetu Blake'a, gdzie stała radiostacja.

Usłyszała głos Horriego.

- Sam już wystartował. Niedługo po ciebie przyleci. Ciężki poród w Witham Hill.

- Termin był naznaczony dopiero za miesiąc.

- Powiedz to dziecku.

- Będę gotowa.

- Nawet niedziela nie jest święta? - zapytał Blake.

- Żaden dzień nie jest święty - odparła. - Albo może raczej wszystkie są święte.

Blake rozciągnął usta w uśmiechu.

- Trudno ci się oprzeć w tym stroju. Czy zawsze rano tak wyglądasz? - On już był kompletnie ubrany.

- Zaraz się ubiorę. Akurat starczy mi czasu, żeby coś zjeść.

- Śniadanie gotowe. - Lekko ją pocałował. - Zaczynij żyć dla siebie, a nie dla pacjentów. Najwyższy czas.

Czyżby?

Słyszac warkot silników samolotu, Cassie chwyciła torbę lekarską i podręczną walizkę. Spojrzała na Blake'a.

- W piątek o tej samej porze? - zapytał. Szybkim krokiem ruszyli na pas startowy. - Z formalnościami musimy trochę odczekać, nawet pół roku, jeśli sobie tego życzysz. To da czas latającym doktorom na znalezienie kogoś na zastępstwo. Ale będziesz przyjeżdżała na weekendy.

Czy miała być „zastępstwem” za Fionę? Ktoś miałby przyjść na jej miejsce, żeby wszystko gładko się toczyło, bez żadnej przerwy? Ktokolwiek, jakikolwiek lekarz miałby zająć jej miejsce? Nie wiedziała, czy denerwują ją własne reakcje, czy słowa Blake'a. Jemu się wydawało, że jej decyzja to przesądzona sprawa. W każdym razie, nie czekał na odpowiedź.

Przede wszystkim chciała porozmawiać z Samem, dowiedzieć się, co mu leży na sercu. Sądziła, że zna go tak dobrze, a nie potrafiła odgadnąć, o czym myślał przez ostatni miesiąc.

Sam nie wyłączył silników, tylko wyszedł z samolotu i wyciągnął rękę do Blake'a. Uścisnęli sobie dłonie.

- Cassie mi mówiła, że rozstałeś się z Ołivią- powiedział Blake, przekrzykując ryk silników. - Bardzo mi przykro.

- No, cóż... - Sam wszedł za Cassie do samolotu i zamknął drzwi. - Dobrze się bawiłaś? - zapytał siadając obok niej w fotelu pilota.

Skinęła głową i uśmiechnęła się, ale on tego nie zauważył, skupiony na manewrach startowych.

- George mówi, że Henny bardzo cierpi. Kontaktował się z nami parę godzin temu, więc oczywiście teraz dziecko może być już na świecie - powiedział.

- Połączmy się z nimi, to wszystkiego się dowiemy - zaproponowała Cassie.

Ale Henny jeszcze nie urodziła. Prawdę mówiąc, jej mąż był na granicy hysterii.

- O, Boże, pani doktor! - Jego głos przedzierał się przez

trzaski. - To nasze trzecie dziecko i myślałem, że za każdym razem będzie coraz łatwiej. Nic się nie dzieje, a Henny strasznie cierpi. Cassie zwróciła się do Sama.

- Założę się, że to poród pośladkowy. Dziecko nie ułożyło się odpowiednio. Powinniście mnie wezwać. Blake odwiózłby mnie na miejsce albo przynajmniej do Augusta Springs.

- Należysz mi kawy? - zapytał Sam. - Już dziesiąta, a rano nie zdążyłem wypić.

Cassie wręczyła kubek Samowi i sobie też naląła gorącego płynu.

- Zawsze z przyjemnością myślę o odbieraniu dziecka. - Nagle zrobiło się jej przykro, że to powiedziała. Na pewno przypomniała Samowi, że jego własne dzieci będą się wychowywały na drugim końcu kuli ziemskiej.

- Nigdy nie chciałaś mieć własnych dzieci? - zaciekawił się.

- Ostatnio bardzo mi się ten pomysł podoba.

- Ty i Chris... Dlaczego nie zdecydowaliście się na dziecko? Potrząsnęła głową.

- Chyba wtedy nie byłam jeszcze gotowa. Albo Chris nie był mężczyzną, z którym chciałabym mieć dzieci. To wielka odpowiedzialność. - Spojrzała na niego i zapytała: - Jak znosisz to, że nie ma przy tobie Harry'ego i Samantha? Nie będziesz widział, jak dorastają.

Chwilę milczał. Popijając kawę zapisał coś w notatniku przywiązany do paska od spodni. Usłyszała, jak westchnął.

- Od dawna się nad tym zastanawiałem podczas długich, bezsennych nocy. Nie mam gotowej odpowiedzi, doktorku. Kocham swoje dzieci ponad życie. Czy miałem tkwić w nieudanym małżeństwie tylko dla nich i urządzać awantury, ponieważ nie byłem w nim szczęśliwy? Dorastałyby w atmosferze napięcia i złości. Z czegoś musiałem zrezygnować.

W końcu doszedłem do wniosku, że nie potrafię się dalej tak unieszczęśliwiać i do końca życia się męczyć.

Cassie spojrzała przez okno. Na niebie nie było ani jednej chmury. Jeszcze nie słyszała, żeby Sam mówił tak z głębi duszy.

- Chyba większość rodziców, którzy się rozwodzą, staje przed takimi problemami, prawda?

Sam wzruszył ramionami.

Cassie położyła mu rękę na ramieniu. Spojrzał na nią spod uniesionych brwi.

- Skąd taki czuły gest?

- Podczas weekendu myślałam o tobie. Ostatnio bardzo rzadko rozmawiamy.

- To nie moja wina - odparł.

- Częściowo twoja. Ale jest tak również dlatego, ponieważ nie zapytałam, co się dzieje między tobą a Olivią. Byłeś taki milczący. Powinnam spróbować jakoś do ciebie dotrzeć.

Pogładził jej dłoń, która wciąż spoczywała na jego ramieniu.

- Ja też przez te dwa dni o tobie myślałem. Za trzy miesiące będę już rozwiedziony. Czas, żebyśmy porozmawiali, Cassie.

- Ja też tak uważam.

- Ale zaczekajmy z tym, aż urodzi się dziecko. Chcę, żeby nic nam nie przeszkadzało.

- Blake mi się oświadczył - powiedziała Cassie po minucie milczenia.

Siedzieli w ciszy. Sam na nią nie spojrzał. Nic nie powiedział, tylko wpatrywał się prosto przed siebie.

- Zamierzasz porzucić pracę w PSM i przeprowadzić się do Tookaringi? - zapytał w końcu.

- Zdaje się, że wychodzisz z błędnego założenia. Wciąż na nią nie patrzył.

- Co chcesz powiedzieć?

- Z góry zakładasz, że się zgodziłam.

Dopiero wtedy spojrział na nią z uwagą.

- A nie zgodziłaś się?

- Nie chcę rezygnować z pracy. Jestem kimś ważnym dla tych wszystkich ludzi, a oni są ważni dla mnie. Chciałabym mieć wszystko, i pracę, i rodzinę.

- Naprawdę?

- Chcę brać wszystko, co oferuje życie. Wiesz, tylko przez trzy tygodnie, jedenaście lat temu, wydawało mi się, że jestem naprawdę zakochana, że spotkałam miłość, przy której nic więcej się nie liczy. To niewiele, jak na trzydzieści osiem lat życia, prawda? Nagle zdałam sobie sprawę, że pragnę również miłości. Nie chcę być niczym zastępcą. Pragnę zatrzymać to, co mam teraz, i zdobyć jeszcze coś więcej.

- A więc odmówiłaś mu, bo...

- Nie odmówiłam.

Światło w oczach Sama zgasło.

- Ale też się nie zgodziłam.

- Co **ty** wyprawiasz, doktorku?

- Obudziłam się dzisiaj rano i wiedziałam, że muszę z tobą porozmawiać, ale nie podczas lotu. Chcę to zrobić gdzieś, gdzie będziemy mogli skoncentrować się wyłącznie...

- Ależ, doktorku, jak **tylko** sobie życzysz! Wiesz, **to** zabawne, ale ostatniej nocy położyłem się spać z takim samym postanowieniem. Zdecydowałem, że nie mogę dłużej czekać.

Poród był taki, jak Cassie przewidywała. Dziecko Henny Poulson było ułożone stopami do przodu i nie mogło się wydostać. Biedna kobieta od ośmiu godzin rodziła i bardzo cierpiała.

- Niech pani nie pozwoli jej umrzeć - błagał mąż.

- Henny nie umrze - powiedziała Cassie po badaniu. -Dajcie mi się umyć, a potem zostawcie nas same.

- Będę ci potrzebny? - zapytał Sam.

- Tak. Zabaw George'a. Wypij z nim kawę i czymś go zajmij. Dziecko się urodzi, zanim się obejrzyście.

Dobrze, że nie przylecieliśmy później. - Zwróciła się do George'a.

- Masz koce i czyste prześcieradła? Trzeba czymś osłonić materac, bo będzie dużo krwi.

Umyła się i wróciła do sypialni. Razem z George'em podnieśli udreńczoną Henny i rozłożyli nowe prześcieradła.

- Dobrze. Teraz jazda stąd - poleciała Cassie. George z chęcią spełnił polecenie.

- To będzie bolało - ostrzegła Cassie pacjentkę. - Muszę tak ułożyć dziecko, żeby mogło się wydostać.

Jest w odwrotnej pozycji i nie może się ruszyć. Trzeba wyrównać ułożenie rąk i nóg, żeby nie blokowały dziecka i żebyś nie pękła. Muszę się tam dostać i wykonać kilka ruchów. Dałam ci coś na rozluźnienie, ale musisz ze mną współpracować.

- Wytrzymam każdy ból, jeśli będę wiedziała, że wkrótce się skończy i że dziecku nic się nie stanie.

- Dziecko jest we wspaniałej formie - zapewniła Cassie.

- Serce bije mocno, ale nasz maluch, tak samo jak ty, chce już to wszystko mieć za sobą.

Nie powiedziała głośno, że w takich wypadkach zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że dziecko będzie opóźnione w rozwoju. Włożyła prawą rękę w gumowej rękawiczce w drogi rodne Henny. Gdyby znajdowały się w szpitalu, zrobiłaby cesarskie cięcie. Można je było wykonać w znieczuleniu. Dzięki temu zabiegowi matka mniej by cierpiała, dziecko nie byłoby tak zagrożone. Jednak tutaj, gdyby podała rodzącej środek znieczulający, podziałałby on również na dziecko.

Jedna stopa dziecka ukazała się w pochwie. Cassie wyprostowała nóżki noworodka, żeby wyszły obie razem. Sięgnęła głębiej i ułożyła jego łokcie bliżej ciała tak, by nie stawiały oporu. Delikatnie pociągnęła, żeby ręce i przed-

ramiona przylegały do tułowia. Dobrze. Teraz obie stopy ukazały się na zewnątrz.

Cassie pod kątem pociągnęła je lekko w górę, delikatnie wydobywając tułów. Widziała już nos i usta, jeszcze uwięzione u wylotu pochwy.

Wolną ręką sięgnęła po kleszcze i założyła je na główkę dziecka. Nie puszczając stóp, przeprowadziła główkę pod kością łonową.

Zanim pokazało się łóżysko, odłożyła kleszcze i odessała śluz z ust noworodka. Wilgotne dziecko wydało z siebie miauczące kwilenie.

Wysunęło się łóżysko i wypłynęła duża ilość krwi. Cassie westchnęła z ulgą. Już po wszystkim.

Przecięła pępowinę i ułożyła dziecko na zgiętym ramieniu Henny. Matka popatrzyła na nie, zbyt wyczerpana, żeby cokolwiek powiedzieć.

- To dziewczynka - powiedziała Cassie, myjąc się. - Zdrowa, śliczna dziewczynka.

Sam wsunął głowę przez uchylone drzwi.

- Czy to były odgłosy nowego życia? Cassie uśmiechała się od ucha do ucha.

- Tak. Jest śliczna córeczka. Potrzebuję ręczników i wody. Daj mi też czyste prześcieradła.

- Czy George może wejść?

- Lepiej niech zaczeka, aż zrobię tu porządek. Powiedz mu, że wszystko jest dobrze. Za pięć minut może zobaczyć dziecko.

Zapadał już zmrok, kiedy Cassie zdecydowała, że może opuścić Witham Downs. Zjedli kolację, a potem posprzątała kuchnię. Miała nadzieję, że Sam nie zechce tu nocować, tylko zdecyduje się na powrót do Augusta Springs. Pogoda

była doskonała, na niebie ani jednej chmurki. Teraz, kiedy lotnisko miało oświetlenie, mogli bezpiecznie lądować nocą. Może Sam do niej przyjdzie i porozmawiają przy kieliszku wina. Spojrzała na Sama. Cały dzień, od wyjazdu z Tookaringi, była cały czas świadoma jego bliskości. Od tylu lat z nim pracowała, ale nigdy nie zwracała na niego uwagi. Teraz, jedenaście lat od chwili poznania i pięć tygodni od pierwszego pocałunku, cały czas intensywnie czuła jego obecność; kiedy wchodził do pokoju albo zaglądał do kuchni i pytał, czy nie potrzebuje pomocy, albo kiedy pił piwo przed kolacją. Zwracała uwagę na drobne szczegóły: palce Sama obejmujące puszkę z piwem, drobne zmarszczki wokół oczu, kiedy się uśmiechał, brzmienie jego śmiechu. Podobały jej się jego wąsy i to, jak przetykał, a nawet sposób, w jaki kołysał się na krześle.

Podziwiała go, że wydaje się taki rozluźniony, a jednak jest zawsze gotowy do działania w nagłej potrzebie i wrażliwy na potrzeby innych. Chciała, żeby ją znowu pocałował.

Zeszłej nocy pocałunki Blake'a nie rozpały w niej namiętności, jaką zapamiętała z dawnych lat.

Kiedy poczuła dotyk jego ust, zareagowała zupełnie inaczej niż wtedy.

Może i Sam nie wzbudzi w niej tej tajemniczej iskry, ale jeśli tylko ją zechce... jeśli będzie trzeba, zgodzi się na mniej zmysłowy związek. Sam od tak dawna jest przy jej boku... może to i dobrze, że przy nim nie rozpała się do białości. Żadne z nich nie chciało postępować niegodnie. Nie zbliżyliby się do siebie, gdyby Sam chciał nadal pozostać w dawnym związku małżeńskim.

Poczuła na ramieniu jego rękę. Tuż przy uchu usłyszała głos.

- Gotowa?

- Na co? - zapytała.

Ich oczy się spotkały. Uśmiech przemknął mu przez twarz.

- Na wszystko.
- Chyba tak.
- Najwyższy czas.
- Masz rację.

Za godzinę miała zapaść całkowita ciemność. Sam nucił podczas startu.

Lecieli w milczeniu. Cynobrowe promienie znaczyły mroczniejące niebo na zachodnim horyzoncie.

- Możemy dolecieć do domu za godzinę - powiedział Sam. - Ale mam lepszy pomysł.
- Zgadzasz się, jeśli tylko będziemy mogli spokojnie porozmawiać i...
- Jutro jest niedziela. Nie mamy żadnych planów. Czują, że samolot zwalnia i odgadła, że szykuje się do lądowania. Za chwilę wylądują w samym środku ziem przez cały świat uważanych za niczyje. Sam wziął mikrofon i powiadomił Horriego, że wrócą dopiero rano.

Wylądował przy ostatnich promieniach zachodzącego słońca.

- Chodź. - Wziął ją za rękę. Kiedy wychodzili, zabrał z samolotu koc. - Porozmawiamy pod gwiazdami. - Stała na ziemi, a Sam ją objął. - Zanim cokolwiek powiesz, dowiedz się, że cię kocham. Nie tylko cię kocham, ale w dodatku jestem w tobie zakochany po uszy. Nie mógłbym być szczęśliwy z Olwią nie tylko dlatego, że tak bardzo się różnimy, ale dlatego, że nie jest tobą. Przez ostatnie pięć lat musiałem się powstrzymywać, żeby ci tego nie powiedzieć. - Ich usta się spotkały i Cassie wiedziała, że całe jej życie zmierzało właśnie do tego.

Spojrzał na nią, a ona wyraźnie zobaczyła jego twarz, chociaż wschodził tylko wąski sierp księżyca.

- Nie możesz wyjść za Blake'a. Przed wojną być może go kochałaś, ale teraz jesteś zakochana we mnie. Ja to wiem, nawet jeśli ty sama jeszcze nie wiesz.

- Ależ ja wiem - zapewniła i przytuliła się do niego. - Tuż przed śmiercią Fiony, kiedy u mnie odpoczywałeś po chorobie, czułam, że się w tobie zakochuję. To były szczęśliwe dni. Ale potem stałeś się taki odległy...

- Tak. I to rzeczywiście częściowo moja wina. Wydawało mi się, że ty i Blake znowu jesteście razem. Jednak ostatniej nocy pomyślałem sobie, że się nie poddam bez walki.

- Walczyłbyś o mnie? - zapytała i pocałowała go.

- Do ostatniego tchu. - Wziął ją za rękę i poprowadził do małego zagajnika. - Chodź tu do mnie.

Usiadła obok niego, a Sam przyciągnął ją do siebie.

- Dużo czasu minęło, zanim zrozumiałam. Wydawało mi się, że zbyt dobrze się znamy. Zresztą przed wojną na pewno żadne z nas nic nie czuło...

- Ja tak. Tylko nie zdawałem sobie z tego sprawy. Zrozumiałem to za późno. Byłem już na drugim końcu świata. Nie było nocy, doktorku, żebym o tobie nie myślał przed snem. Każdego dnia byłaś przy mnie. Cassie, wkrótce będę wolny i wtedy będę mógł poprosić cię o...

Roześmiała się.

- W niektórych sprawach jesteś bardzo pruderyjny. Chcesz najpierw dostać rozwód, a dopiero potem mi się oświadczyć?

- Ja pruderyjny? To tylko dlatego, że... - Przyciągnął ją do siebie. Poczowała jego rękę na piersi.

- Dlaczego? - zapytała ze śmiechem, ale uciszył ją pocałunkiem. Potem wyszeptała: - Nie przerywaj. Jest tak wspaniale.

Kiedy już mógł mówić, wyjaśnił:

- To tylko dlatego, że nie chciałem cię stawiać w niezręcznej sytuacji. - Przytulił ją mocniej do siebie.
- Jak byś się czuła, Kochając się z żonatym mężczyzną?
- Nie wiem. Może sprawdzimy? - wyszeptała. Jego język przesunął się po jej wargach.

Sam się zawahał.

- Nie mam nic przy sobie. A co się stanie, jeśli zajdziesz w ciążę?
- Na pewno nie byłabym pierwszą panną młodą w ciąży. Zaczekaj chwilę. - Zdjęła bluzkę i poczuła na sobie jego rękę. - Och, jak dobrze. Nie wiedziałam, że może być tak dobrze.
- Pragnę cię - wyznał, zdzierając z siebie koszulę. - Podniosła się i zdjęła szorty. - Nie ruszaj się - powiedział. Blask księżycy oświetlał jej ciało. - Właśnie o tym marzyłem. Od tylu lat cię pragnę. Wstał, podszedł do niej i przyciągnął ją do siebie. Pocałował ją i ułożył na kocu. Ich nagie ciała się zetknęły.

W środku krainy, przez wielu zwanych Wielką Australijską Samotnią, w mroku nocy słychać było jedynie namiętny krzyk Cassie.

W oddali jasna błyskawica rozświetliła horyzont. Rozległ się pojedynczy grzmot.

- Dlaczego się śmiejesz, i to w takiej chwili? - zapytał Sam.
 - Wiesz, bałam się, że nie będzie między nami tej iskry namiętności.
- On również się roześmiał.